

**Henry Lion Oldi**

# **MAG Z ŁASKI PRAWA**

*TOM 2: MAGENT*

*Przełożył Andrzej Sawicki*

*Tytuł oryg. „Mag w zakonie”*

*A ja, i inni nieszczęśnicy,*

*Co drugi krąg deptali,*

*Zapomnieliśmy o swych sprawkach,*

*Wszyscy się wpatrywali*

*W człowieka, co w beztrosce trwał,*

*A wnet zadyndać miał.*

*Bo dziwnie było patrzeć nań*

*Gdy szedł tak od niechcienia*

*I dziwnie patrzył on na świat*

*Bo wzrok miał pełen cienia.*

*I dziwna była myśl, że on Ma zbrodnię do splacenia.*

*Oskar Wilde*

*„Ballada o więzieniu w Reading”*

# KSIĘGA TRZECIA

## A GRZECH MÓJ ZAWSZE PRZEDE MNĄ

*Krąg Pierwszy*

*MIRAŻE CHARKOWSKIEJ JESIENI*

*- I wśród magów trafiają się dzielni ludzie!..*

*Opera „Cymeryjczyk zachwycony”*

*Aria Conana Akwilońskiego*

### **DOBÓR KART**

- Pobłogosławcie mnie, ojczulku!

Pobłogosławiwszy pospiesznie pielgrzyma - tęgiego obywatela o przebiegłym spojrzeniu, najwidoczniej drobnego kupczyka z Osnowy - ojciec Grigorij wstąpił na stok, a potem znikł we wrotach Monastynu Pokrowskiego.

Wrzesień wreszcie się rozkręcił i szczerze uwierzył, że jest hulaką październikiem, chwackim siewcą babiego lata: wszystkie dróżki i ścieżki szczerze zasypał opadłymi z drzew liśćmi. Złota mi pod nogi! Czerwonego! I wszystkie dziewczęta - moje! W drżącym niczym zorza powietrzu mignęła nawet nić babiego lata; połaskotała twarz, musnęła policzki i znikła, jakby jej nigdy nie było. Co prawda, porażająco głębokie niebo przypominało jeszcze o gorącym, zbyt upalnym lecie, podczas którego wieśniacy całymi wsiami odprawiali „Modły o deszcz”.

Nie za bardzo pomagało.

„Już niedługo procesja będzie - przyszła luźna myśl. - Władyka zamierza wewnętrzne ściany marmurem wyłożyć. Jeżeli bracia Stiepanowowie się nie rozchorują i przyjdą - to mu się nawet uda. Sypną w ofierze co najmniej parę tysięczków rubli. Stiepanowowie świecą przykładną pobożnością...”

Na procesję ozierinskiej ikony Bogurodzicy charkowianie czekali, jak Abrahaniici na niebiańską mannę. Trzydziestego września święty obraz przenoszono z Kuraża na zimę do Monastynu Pokrowskiego; dwudziestego drugiego kwietnia ikona uroczyście wracała na poprzednie miejsce. Oprócz tego w lecie odprawiano dwie pomniejsze procesje; z Kuraża do

Ozierynki, na miejsce, gdzie ikona objawiła się po raz pierwszy, i z powrotem.

Co prawda, zbyt wielu ludzi na tych pomniejszych procesjach się nie zbierało.

A szkoda. Jak to napisał profesor Miller: „Pobył ikony w Monastyrze Pokrowskim, a dokładniej w jego kaplicy, po ustanowieniu katedry archidiecezjalnej przekształconej w cerkiew katedralną - wyraźnie wpływa na jego kondycję majątkową”.

W jaki sposób wpływa, tego mądry profesor nie napisał. I tak wiadomo...

Ojciec Grigorij westchnął i przeciął dziedziniec ukośnie, kierując się w stronę budynku będącego siedzibą archijereja. W dawnych czasach stał tu niewielki drewniany domek - prawdziwa cela zamieszkiwana przez miejscowych, jurydycznych władków. Ale jeszcze za przewielebnego Pawła na miejscu „chałabudy”, jak chatkę zaczęli pogardliwie nazywać nie tylko okoliczni chłopci, ale i niektórzy kapłani, wzniesiono kamienną budowlę.

Oj, lubił zbytek i przepych przewielebny Paweł biskup charkowski i niegdysiejszy rektor smoleńskiego seminarium! Znalazł, wymodlił i wycisnął pieniądze na dom, w którym znalazło się nawet miejsce dla domowej cerkwi św. Krzyża na piętrze, w pobliżu komnat władki; i na kolegium do wyświęcenia bursaków; i zostało jeszcze na bogatą garderobę, na powozy, na rodowodowe kłusaki, meble i obrazy...

Po dziewięciu burzliwych „tłustych” latach wysiali przewielebnego do Astrachania, a długi zostały. Kolejny to już władka'na tronie zasiada, a nijak do końca rachunków rozliczyć się nie daje.

- Zatrzymaj się, ojcie Grigoriju! Stój... no, stójże, do kogo mówię! Ale się rozpędził... widzisz go, nogi młode...

W pobliżu domu siedział na ławeczce aktualny archijerej\*[\* - *W prawosławnej cerkwi archijerej jest odpowiednikiem arcybiskupa kościoła obrządku Zachodniego.*], władka Inokentij. I obracał trzymany w palcach liść klonu.

- Pobłogosławcie, władko! - ojcu Grigorijowi przypomniał się nagle nachalny pielgrzym u wrót; i zrobiło mu się nieprzyjemnie.

- Usiądźcie obok, ojcie Grigoriju! - klonowy liść błysnął ku kapłanowi w znaku świętego krzyża. - Pomilczymy razem.

Pop ostrożnie usiadł na krawędzi ławeczki, rzucił z ukosa szybkie spojrzenie na władkę i pospiesznie przybrał bystry, rozumny wyraz twarzy. Choć bardzo lubił udawać prostaczka, władki In-okientija nie można było nazwać człowiekiem naiwnym. Trzydziestoletni zaledwie rektor kijowskiej akademii był poprzednio biskupem cziriginskim i władką diecezji wołogodzkiej. Miał tytuł doktora nauk teologicznych i był znakomitym,

złotoustym kaznodzieją, członkiem kolegów czterech teologicznych akademii, uniwersytetów moskiewskiego, charkowskiego i petersburskiego, a także dwu towarzystw naukowych - archeologicznego i geograficznego. Był też autorem fundamentalnych „Dogmatów teologii”. Lubiący łapówki kapłani bali się władzy bardziej niż gniewu Pańskiego, a mieszkańcy Charkowa uważali go za świętego.

I oto ten wielki człowiek wzywa ku sobie ojca Grigorija, żeby sobie z nim razem pomilczeć.

Gdyby coś takiego zdarzyło się po raz pierwszy, ojciec Grigorij mocno by się zdziwił.

A tak - już przywykł.

- Retor Prokopowicz mówił, że ty wczoraj w okręgowym sądzie zasiąść raczyłeś - zaczął „milczenie” Inokientij.

- Prawda to, władzyko. Po długiej przerwie, będącej skutkiem braku procesów. Jako episkopalny ober-starzec miałem obowiązek wziąć udział w rozpoznaniu sprawy o uprawianiu mażego procederu. Oskarżonym był mieszczanin Gołoborodko, Iwan Tierien-tiew. Oficjalista z Suzdalskich Kramów.

- Tak, tak... - pokiwał wolno głową przewielebny. - Miałeś, znaczy, obowiązek. Ten retor powiadał, że ów mag był drobnym przestępcą, magiszka kopiejki niewartym. Mizeria, przebacz Panie. Bez żandarmów go chyba wzięli. Dwóch zwykłych miejskich strażników posiali, a on się poddał. Prawda to czy retor zełgał?

- Prawda, władzyko.

- A o co oskarżono maga?

- Pomagał sprzedawać spleśniałą gryczaną kaszę, mącąc wzrok kupującym.

- Oj, ciężkie są nasze grzechy! - Inokientij drwiąco uniósł krzaczastą brew ku górze. - Zatwierdziłeś chyba wyrok. Nie sprzeciwiałeś się?

- Nie inaczej, władzyko. Mieszczanina Gołoborodkę skazano na karę cielesną i przepadek mienia; jego ucznia, Triszkę Niebij-bat'kę na pięć lat obozu. Zgodnie z nowym Kodeksem: artykuł 128, paragraf czwarty.

- Tak, tak... znaczy, kara cielesna. Ponownie przywrócono chłostę, chwała Panu naszemu, na wieki wieków, amen! Potrzebne to, a jakże, potrzebne...

Powiew zbłąkanego wiatru cisnął im w twarze garść liści. Zdławi! oddechy, oblepił i wyrwał z dłoni władzyki ten jedyny, mieniący się czerwienią klonowy liść - i ponownie odleciał, nie wiadomo dokąd.

Nie wiedzieć czemu, ojciec Grigorij jesienią często zwracał uwagę na nie właśnie - na liście. Opadłe, jeszcze zielone, pokryte nalotem delikatnej pleśni, przed chwilą jeszcze grożące

śmiertelnym tańcem na gałęziach, na ziemi i w powietrzu... A na samej krawędzi świadomości błąkał się bezgłośnie i uparcie stary, zapamiętany dawno werset:

„Liściom na wietrze podobne są marzenia człowiecze...”

- Pamiętasz pożar? - zapyta! władyka w swoim najlepszym ulubionym stylu: raptownie zmieniając temat i pozwalając zbitemu z tropu rozmówcy na snucie pospiesznych domysłów, o czym, u licha, mowa?

- Pamiętam, władko.

Ojciec Grigorij od razu pojął, o jaki pożar chodzi. Ogromny, i można by rzec sławny pożar krypt i piwnic cerkwi Trójcy Przenajświętszej, gdzie znajdowało się tradycyjne miejsce wiecznego spoczynku świątobliwych archijerejów. Właśnie wtedy zaczęły się masowe pielgrzymki do monastynu, do prochów świętego Meletija - ogień, który stopił żeliwną trumnę, zostawił nietknięty jedwabny całun, w jaki owinięto ciało świętego.

- Cud Pański stał się wtedy, ojcie Grigoriju. Cud! Rzadko się coś takiego zdarza, nadzwyczaj rzadko... osobliwie W naszych czasach, mrocznych i pełnych podłości. Dzisiejsi kapłani oglądają się tylko za własnymi korzyściami, na dodatek prawa kanonicznego ani katechizmu porządnie nie znają. Jeden banknoty gromadzi, inny chce, by jego kamilawkę\*[\* - *Tradycyjne codzienne nakrycie głowy prawosławnego duchownego.*], srebrnymi rubelkami napelnić! Nie uwierzysz, ale wczoraj jednemu draniowi dałem osobiście w pysk! Stłukłem go na kwaśne jabłko i mordę skrwawiłem.

Władyka milczał przez chwilę, marszcząc brwi.

- Potem do nóg mu padłem: wybacz, zem się gniewem uniósł... i wybaczył mi, łajdak jeden! Ach, jakby to było pięknie, gdyby kapłan od arcykapłana bez problemów wszystkie dobrodziejstwa przejmował: uczoność i świętość, i boską wiedzę! Żeby z durnia każdy mędrcecm się stawał, z ulegającego pokusom - pokutnikiem bożym! Żeby z uściskiem dłoni przejmował wiarę i wiedzę! Królestwo Boże na ziemi by nastąpiło! Co na to powiesz, ojcie Grigoriju?

- Nic nie powiem, władko. Sami stwierdziliście: „Milczeć będziemy”. No to milczę...

- No tak, rzeczywiście milczek z ciebie! Wołam cię, wołam, a po tobie jak woda po gęsi to spływa.

Ojciec Grigorij, episkopalny ober-starzec przy charkowskiej uczelni śledczego Korpusu J.I.W. Kniazia Nikołaja Nikołajewicza, pochylił się. I podniósł jeden liść.

Klonowy.

## I. RASZKA-KNIAHINI ALBO MARIAŻ Z GŁOWĄ W PĘTLI

*Przeto będziesz chodził drogą dobrych*

*I będziesz się trzymał ścieżek tych, którzy są sprawiedliwi.*

*Prawi bowiem zamieszkiwać będą ziemię i nienaganni pozostaną na niej;*

*Lecz bezbożni zostaną z ziemi wytraceni, a niewierni z niej wykorzeni.*

*Przypowieści Salomona*

A dziś przyśniło ci się wieszanie.

Twoja egzekucja.

Jak zwykle, wokół nie było żywego ducha. Zresztą samego „wokół” też nie było. Siny niby skacowany wieczór i stopnie na szafot - raz, dwa, trzy... osiem, dziewięć... i oto nie masz już stopni, tylko ciężka dłoń spoczywa na twoim ramieniu. Prowadzi i kieruje. Nogi (dlaczego bose?!) czują szorstkie deski pomostu. Zatrzymaj się, chwilo! Zatrzymaj się, Kniahini! Postój przez chwilę na kruchej zapadni, na skrawku lodu, który zaciągnął przerębel pod koniec lutego - jeszcze chwila i po odmęcie rozbiegną się kręgi piekła, wciągające grzeszną duszę na drogę potępionych.

Konopny naszyjnik, natarty przydziałowym dziegiowym mydłem owija się wokół szyi niczym gadzina, a koniuszek lewego ucha obrzydliwie łaskocze pętla.

Z węzła sterczą kłujące niteczki.

Stoisz bez kaptura, bez tej ostatniej łaski, dającej ofierze możliwość skrócenia karku i natychmiastowej śmierci, zamiast długiego konania wskutek uduszenia.

Tobie zresztą jest wszystko jedno.

Odczuwasz nawet swoistą radość i ciekawość; zaraz otworzy się zapadnia, ale też otworzy się droga i przekonasz się, co jest *tam*.

Jakby w odpowiedzi na twoją przewrotną ciekawość, kłapa zapadni spada w dół, ogłusza cię głuchy ryk tłumu gapiów i lecisz w bezdenną otchłań z fragmentem oberwanej pętli na szyi - śmiesznym, strasznym i beznadziejnym proporcem minionego życia.

- Cóż to za kraj! - warczy ci ktoś nad uchem. Zawsze warczy, kiedy śni ci się wieszanie; jest kpiarzem i cynikiem, często mówiącym o sobie po prostu „ja”. - Przeklęty kraj! Nawet powiesić nie potrafią jak należy!

Tobie zresztą jest wszystko jedno.

A niewidzialna dłoń, jeszcze przed chwilą ściskająca twoje ramię, rwie na

wysokościach opakowania niezliczonych karcianych talii i w ślad za tobą - w paszczę otchłani - niby rój tropikalnych motyli, atlasowych liści, barwnego śniegu - sypią się czerwone romby, szkarłatne serca, atramentowo czarne liście winorośli i żółdne krzyże.

Czerwone i czarne.

Węgiel i krew.

...obudziłaś się.

Pozwijane w nocy koce i poszwy skręciły się wokół w ciasne, przytulne gniazdeczko. Takie, w jakim godzi się spać poważnej damie, kobiecie... powiedzmy, w średnim wieku; osobie z niezłą pozycją społeczną.

A mąż powinien spać w oddzielnej sypialni, co też i czyni.

Pamiętasz, Kniahini? - leżałaś z otwartymi oczami, patrząc w sufit. Alabastrowa biel wydała ci się ekranem modnego kinematografu „Merkury”: lada moment niewidoczny operator uruchomi maszynię, czarodziejski promień przesyje mrok i po białym polu popłyną dni, lata, przyjaciele i wrogowie.

I wpadła ci do głowy przelotna myśl: Fied’ka powinien wrócić dziś z Połtawy. Oczywiście zajedzie tutaj, do Małygina. Z pewnością będzie się chwalił, że fabrykant Kreinbring, znany mecenas sztuki, obiecał dotację na wydanie nowego zbiorku wierszy Fiodora Sochacza. Za niewielką w sumie łapówkę - wymienienie nazwiska mecenas na karcie tytułowej i obietnicy kilku wizyt, jakie modny poeta miał od czasu do czasu składać w salonie pani Kreinbring.

I chyba znów zacznie Fied’ka warczeć, że to wszystko już mu dojadło. Dość już ma wilgotnych spojrzeń wielbicielek, dość ma oklasków, a błagania: „Autograf! Będę wdzięczna ponad miarę!” - smakują mu jak łycha gorzycy.

Kłamie pan poeta. I sam wie, że kłamie. On bez tego żyć wprost nie może.

Sama zresztą widziałaś, Kniahini: sala Filharmonii rząd za rzędem wstaje wstrząsana frenetycznymi oklaskami, na proscenium, przyciskając dłoń do serca, kłania się wysoki mężczyzna we fraku, a jego twarz przypomina zwierciadło.

W którym niczym stuoki Argus odbija się cała sala.

I napęnia duszę po brzegi.

Drgnij tylko, a się przeleje.

„Bis! Bravo, bravo! Panowie, oto drugi Nadson!” A Fied’ka patrzy we wrzącą otchłań, w pełne głodu oczy tych, którzy gotowi są go ponieść na grzbiecie fali, aby zaraz potem cisnąć w niebyt; patrzy władczo, z bezdźwięcznym rozkazem w oczach i otchłań zamiera, niczym neofita u nóg proroka, gdy tylko spokojny głos z lekką chrypką zaczyna - bez nut, lekko tylko



akompaniując sobie rytmem gitary:

Nijak tęsknocie w nocnej ciszy

Pustych ogrodów,

Ona pociechą duszy jest

I jej nagrodą.

Za wszystkie śmieszne bunty me I za świątynie,

Za gorycz ułud, i ból kłamstw W twojej pustyni...

Siedziałas' w łoży opuściwszy ręce na aksamitne obicie i nie rozumiałaś', Kniahini, dziwiłaś się szczerze: skąd? Ty przecież tak byś nie potrafiła, prawda? - tak mimochodem, odsuwając się od wszystkiego i wszystkich; nieco staroświecko, pozwalając sobie na więcej niż dozwolono współczesnym Pierrotom o twarzach zmęczonych pudrowanymi kłamstwami, z ich wypolerowanymi asonansami, paradoksami rytmu, przekształcającymi wiersze w orgię współbrzmień... Przypominało to nieco manierę Firy-Kokotki, twojej chrześniaczki, która przed ośmiu laty umarła na apopleksję w Genewie: przydech w końcu wiersza, śmieszny, przypominający wilcze wycie, ale jednocześnie chropawy - pauza i wsłuchujesz się do bólu w skroniach: czyżby rzeczywiście stado wilków rusza świeżym tropem?

Za grozę dobrych chęci walców - Piekielne bruki; Za drżenie ukochanych palców, Za ból rozłęki...

Po występach śmiał się, szeleszcząc w ubikacji cenzorskimi meldunkami dotyczącymi „względnie naturalnych przyczyn sukcesu, a także braku wpływów eterycznych”. Gandieri nie miał z tymi meldunkami nic wspólnego: opracowano je uczciwie. Wiedziałaś o tym lepiej od innych: zanim uczeń wejdzie do Konwentu, nie ma prawa do „eteru”, a jeżeli zrobi to samowolnie, bez nadzoru chrzestnego, przynajmniej przez trzy tygodnie będzie cierpiał na bezbarwną niemoc.

Do czegoż więc będzie zdolny Fied'ka, kiedy otworzy przed nim swoje drzwi Konwent?

I kogo widzisz, patrząc przez niego: siebie? Tak, siebie... trochę Firę... ale dlaczego - jeszcze kogoś?

Wielu? Różnych?

Czy tak się zdarza?

Za bliski płacz, dalekie boje Sól na ran rzędzie... I słowo „nijak” niepokojem Dręczyć nie będzie...

Na ekranie sufitu nic się nie pojawiło.

Nic a nic.

Pytaj, nie pytaj - czekaj na odpowiedź, jak klecha na spowiedź...

Wstałaś i narzuciłaś na ramiona jedwabny peniuar. Podarek od męża, na trzecią rocznicę ślubu. Podeszłaś do trójdzielnego lustra i lekko usiadłaś na miękkiej pufie. Wpatrzyłaś się w zwierciadlaną gładź obramowaną przez rzeźby frywolnych kupidynów, jakby wspomnienie tryumfu Fied'ki mimo woli podkusiło cię do tego postępuku.

Pamiętasz?

*- ...nie trzeba, żebyś się ze mną żenił. Wszystko to głupstwa. Patrzyłeś na mnie przez szkło, a inni - na ciebie patrzą jak na to szkło. I za szklanym, przejrzystym Fied'ką widzą mnie. Starą, złą i mądrą. Doświadczoną i bywałą w życiu. Rozmaitą. Oni są po prostu ślepi. Myślą że wszystko to ty: szkło i to, co za szkłem. Dlatego im się podobasz, dlatego każdy cię ciągnie do siebie. Ciągną przecież, prawda?*

Czy myślałaś - stara? Zła? Wielokrotnie kopnięta przez los - że będziesz się wpatrywała we własnego chrześniaka, Fied'kę Sochacza, usiłując zakochanym okiem dostrzec przez niego inne cienie? Siebie? Tak - ale zazdrość, piekaca i okrutna niczym piekło: skąd inni?!

Za nim? Za twoim V.

Uśmierzyłaś pospieszny oddech; zmusiłaś zwierciadło, by ukazało nie marzenia, ale rzeczywiste odbicie.

Twoje.

Nieopatrnie? Na szczęście nie. Większość kobiet w twoim wieku nie lubi patrzeć na siebie rankami; z tobą wszystko było zawsze inaczej. Poranne spojrzenie - najbardziej prawdziwe i świeże. Ciężki koszmaru leży jeszcze na twarzy, ale... Nie, nie tak.

Wstałaś i lekkim krokiem podeszłaś do okna.

Rozsunęłaś portiery i wróciłaś.

Tak, właśnie tak. Niezbyt natarczywe, jesienne światło było w sam raz; cienie się zjeżyły, targnęły w trwodze i uciekły. Obiema dłońmi uniosłaś w górę włosy i niespodziewanie dla samej siebie nagle pokazałaś język odbiciu.

Taki postępek zupełnie nie pasował do damy... powiedzmy, w średnim wieku.

I język zupełnie nieprzyzwoity: różowiutki i ostry.

Za plecami cicho skrzypnęły drzwi. Pokójówka Ketewan Beruaszwili, czystej krwi imeretynka; istota poruszająca się bezgłośnie i milcząco. Gdybyś kiedykolwiek zapragnęła mieć wierną niewolnicę, wybrałabyś Ketewan. Byłyście rówieśniczkami i idealnie się ze sobą zgadzałyście już trzeci rok; choć znowu nie ty dokonałaś wyboru - ktoś inny dokonał go za ciebie.

Mogłyście nawet godzinami milczeć.

Dla dwu kobiet - rzecz prawie niemożliwa i przywodząca na myśl buntownicze „eteryczne działania”.

## NOTATKI NA MARGINESIE

*Jeżeli popatrzyacie w oczy Ketewan, kobieta spokojnie wytrzyma wasze spojrzenie. I niczego szczególnego w jej oczach nie zobaczycie. Ale jeżeli będziecie uparci i zajrzycie głębiej:*

*...sosna.*

*Ale wcale nie ta, jaka rośnie samotnie na dzikiej północy. Górskie stoki pstrzą się różnobarwnymi kwiatami, ciemnymi kroplami dojrzewają jagody na krzewach kizylu, a oto w niebo strzeliście wzbija się ona - prosta, dumna, z dostojeństwem nosząca nieco frywolną czapczkę gałęzi.*

*Królowa.*

Odchyliwszy się ku oparciu krzesła, przymknęłaś oczy i oddałaś się pod władzę Ketewan. Przyjemnie, kiedy po twarzy miękko przesuwają się poduszczyki zwilżone wywarami rumianku i wilczego łyka; przyjemnie czuć pieszczotę szylkretowego grzebienia.

- Jak się spało, Ketewan?

- Dziękuję, tchawadi.

No proszę, doczekałaś się odpowiedzi. Inna by już po raz trzeci wszystkie sny z całej nocy opowiedziała: koguty do pożaru, liście opadły w nieodwzajemnionej miłości... Dobrze, pomilczmy. Dziś będą goście, dziś będą goście, dziś dzień odpoczynku.. Praca - jutro.

Wieczorem,

Bal w Instytucie Szlacheckich Panien J.I.W. Marii Teodorowny, raz i na zawsze nazwanym przez obywateli „Magdalenką”. Powiadano, że nawet gubernialny marszałek szlachty, rzeczywisty radca stanu Aczasojew, kategorycznie się sprzeciwiał utworzeniu kaplicy Marii z Magdali właśnie na dziedzińcu instytutu. Taka, powiadał, przyzwoita uczelnia, cytadela skromności i wiedzy! Ale aktualnego metropolite mógłby w sporze przekonać chyba tylko Piotr Klucznik, a i on musiałby zagrozić co najmniej niewpuszczeniem na rajskie komnaty.

Zresztą bal to bal, co tam kaplica.

Coroczne święto dla panien i śledczych junkrów z korpusu „Barbarzyńca”. Jeżeli

młodzi żandarmi i bawidamki, przyglądając rzadkawe jeszcze wąsiki liczą na hulankę w towarzystwie panien, możesz im tylko szczerze współczuć. Szczególnie elitarnym „niuchaczom”. Trzeba będzie wymyślić coś bardziej chytrego niż sakwojaż brytyjskiego posła, lorda Byrona, w którym pod podwójnym dnem odkryto niespodziewanie diamentowe kolczyki dyrektorki. Fintę „niuchacze” rozgryźli w ciągu półtorej godziny, skrycie zwróciwszy biżuterię w trakcie poloneza. Dyrektorka niczego nawet nie spostrzegła, a czwórka przyszłych „Barbarzyńców”, z niepokromionym Paszką Ananiczem na czele, dostała pochwały.

A może, Kniahini, po prostu zachciało ci się wtedy posłuchać muzyki i przestałaś mędrkować.

Wszystko być może.

- Brat pisze, Ketewan?

- Tak, tchawadi. - zdrowy?.

- Tak, tchawadi.

Wiesz, Raszelko, zachciało ci się wesołości. Straszne, obce pragnienie. Żeby na przykład rozkochać na tym balu podstarzałą Mar-Wannę, klasową damę-wychowawczynię „Magdalenki”, w Paszce Ananiczu, chwackim wachmistrzu, jak lubili nazywać sami siebie podchorążowie ostatniego roku. Rozkochać z rozmachem, miłością do grobowej deski i niechże pan „niuchacz” - między nami mówiąc ulubieniec pułkownika, choć Gandieri starannie to ukrywa! - kryje się po kątach przed natarczywą staruchą i ze strachem wgapia się w tańczących, usiłując odgadnąć: był „eter” czy go nie było?

Sama była zresztą ciekawa, czy Ananicz pochwyci działanie, jeżeli on sam będzie jego ubocznym obiektem? I czy zamroczenie przetrwałoby - na przykład - pół godziny? Lepiej - godzinę. Nie należy wyśmiewać się z młodych. Trzeba tylko nie zapomnieć, żeby od razu wymówić się chorobą i odjechać do domu...

- To wszystko, Ketewan?

- Nie, tchawadi.

Szkoda, że nie jesteś „wideczką”. Dzisiejszy sen... niedługo będzie pół roku, jak wieszanie śniło ci się po raz ostatni. Wtedy, wczesnym kwietniowym porankiem Gandieri podsunął ci „Nowiny Krymskie”. W artykule „Samosąd: barbarzyństwo czy przejaw woli ludu?” opisano, jak to jałtańscy mieszczanie zatłukli na śmierć młodzika aptekarza, którego podejrzewano o „trudnienie się mażą działalnością”. Autor artykułu starał się stanąć okrakiem po obu stronach barykady - jesteśmy przecież cywilizowanymi ludźmi, Europejczykami, ale trzeba też zrozumieć sytuację i okoliczności, zgłębić motywy... Motywy zostały zrozumiane i potwierdzono ucywilizowanie społeczności. A ty po raz pierwszy od tamtego spotkania

pomyślałaś o doktorze Oznobiszynie bez urazy, cierpkiej goryczy i pożałowałaś starego Żołędnego Króla. Nie, teraz już chyba Asa.

Choć co tam z niego za As, jak mu chrześniaka zabito.

Niekiedy było ci wstyd przed samą sobą. Niekiedy: częściej, niżby się chciało, ale rzadziej, niż w istocie należało. Wstyd nadpływa! falą i odstępował, krył się w głębinie pod naporem rozsądku. Komu by ulżyło, gdyby jałtańskie mieszczychy śmiertelnie stłamsili Fied'kę? Akulkę? Albo ciebie, Kniahini?

Zresztą, gdyby to się zdarzyło akurat teraz, ciebie by nie ruszono; w związku z nowomodną doktryną „Bożych Młynów”, którą przed rokiem wysunął Święty Synod. Obeszliby bokiem jak trędowatą i tylko z daleka wytykaliby palcami - ale Fied'kę by deptali i tratowali, bluzgając śliną i uważając się za boskie miecze Opatrzności...

Przestań.

Nie te lata, nie ta ranga i kolor, żeby wpadać w histerię.

- **Aj!**

- Wybaczcie, tchawadi.

- Nic, nic...

Znów skrzypnęły drzwi za plecami. Tym razem nie cicho, ukradkowo - ale pewnie i z pańską niedbalością skrzypnęły zawiasy, które już dawno trzeba było kazać posmarować, ale jakoś się nie składało.

Kroki. Ciężkie, powolne. Bliskie.

I od razu zrobiło ci się gorąco. Wszystkie twoje trzy odbicia w ciężkich zwierciadłach zdrzały i zamglily się nieco, choć nawet nie poruszyłaś głową - prawda, Kniahini?! - a w skroniach obudziły się sekretne pisklęta, które z hukiem zaczęły kuć dziobami skorupę opanowania i zimnej krwi. Coś tam kraknęła Ketewan, ale nie dosłyszałaś, co. Do dzisiaj nie udało ci się przywyknąć do jego pojawiania się na scenie wydarzeń. Stara, sterana życiem babo, wsiowy rozmamlańcu, Kniahini, Damo Dzwonkowa! - co z tobą?!

Podszedł i pochylił się.

Obce wargi lekko musnęły twoją szyję, kłując cię przy okazji szczoteczką wąsów.

- Jak ci się spało, serdeńko?

- Dziękuję, tchawadi...

Tyś to spytała? - Nie, nie ty. Ty odpowiedziałaś? Tak. „Dziękuję, tchawadi...”

Kniaź Gandieri raz jeszcze pocałował cię w kark i odszedł w stronę okna.

Na dworze rodziła się jesień.

Gandieri zaproponował ci małżeństwo jeszcze wtedy, w pociągu „Sewastopol -

Charków”, w przedziale dla dwojga. Zaproponował zwięźle, rzeczowo i bez obraźliwego uśmiešku. Siedząc naprzeciwko obierał pomarańczę maleńkim nożykiem; skórka owocu pętlami zsuwała się w dół i układała na stoliku.

Podobne to było do rozmaitych scen, tylko nie do oświadczeń i deklaracji miłości.

- Sama pani powinna zrozumieć, droga Raiso Siergiejewna... „Dach” to nie tylko szczególny kontrakt. To jeszcze dobór warunków życia, które sprzyjają nierzucaniu się w oczy. Albo przeciwnie, możliwości nieustannego znajdowania się na widoku, co niekiedy skrywa istotę rzeczy i podopieczną lepiej od czapki niewidki.

Zrozumiałaś.

Doskonale go rozumiałaś.

Do drzwi zastukał konduktor: „Herbatki? Nie chcecie państwo herbatki?”. Nasmarowane brylantyną rzadkie włosy konduktora zaczesane były w poprzek łysiny, w ręce trzymał służbową czapkę i cały, młody przecież jeszcze, ale na wskroś już przesiąknięty naftaliną i zapachami wagonowymi, budził pełną żalości pogardę.

„A może kawusię? Oj, przepraszam! Najuniżeniej przepraszam”.

Drzwi z trzaskiem wpadły w odpowiednią szczelinę w futrynie, niby miecz w pochwę.

- Z takimi jak ten wasz hulaka Rom jest znacznie łatwiej... Nieznaczny uraz w głosie arystokraty, który z woli losu musi obcować z ludźmi tak niskiego stanu, że i złościć się na nich nie wypada.

Uraz natychmiast znikł, jakby go nigdy nie było.

- ...z samej swojej istoty pozostają niezauważalni. Nawet kiedy tańczą, z rozmachem uderzając dłońmi w cholewy butów. Pan Druc-Wiśniewski jest człowiekiem tłumu. Wypiszemy mu dokumenty, znajdziemy stanowisko, mianujemy nadzorcą miejskich stajni, czy jeszcze tam kim, umieścimy na koszt państwa w jakimś pensjonacie... Proszę, niechże pani niepotrzebnie nie ironizuje - jeżeli ktoś z tak zwanej „tali” zapragnie usilnie odnaleźć waszego... naszego Waleta, to go znajdzie. Będą kłopoty, ponieważ kontraktowych praktycznie nie da się zmacać ani wykryć eterycznymi działaniami tak, jakby mieli przygotowanie śledcze; ale są jeszcze inne metody. I powiem pani jako zawodowiec: nie zdarzyło się jeszcze, żeby zwerbowany mag-recydywista... zechce pani wybaczyć... niejawni współpracownik, ucierpiał wskutek akcji podjętej przez byłych kompanów czy też przedstawicieli władz państwowych. Reputacja współpracownika korpusu „Barbarzyńca”, choćby i niejawnego, mówi sama za siebie. Wierzy mi pani?

Owszem, wierzyłaś mu.

Soczysty globus pomarańczy w lokalnym Armagedonie rozpadł się na łódeczki, pięknie

układając się na talerzyku. Palce kniazia - mocne, porośnięte rudawymi włoskami - byty zaskakująco zręczne - nie bryznęła nawet kropelka soku.

Pomarańcza musiała być zadowolona.

I mimo wszystko wydało ci się wtedy, że te palce powinny zadrzeć. Nie drżą? Tym gorzej dla nich. Nie wiedziałaś wtedy, dlaczego gorzej, absolutnie niczego nie wiedziałaś; oddawałaś się stukowi kół niczym niekochanemu, ale pewnemu i zaufanemu mężczyźnie; i jeszcze wspominałaś „Babilon 5” i wściekły taniec rot-mistrza-mordercy na krawędzi szaleństwa.

Czyż pan podpul... nie, teraz już pełny pułkownik Gandieri zdolny byłby do czegoś takiego?

Myśli płynęły równo i głupio.

- Z panią, droga pani Raiso Siergiejewna, sprawa jest znacznie bardziej skomplikowana. Panią trudno ukryć, schować w tłumie. Może to pani uznać za komplement. Takich, jak pani, trzeba kryć na widoku, niczym wazę z epoki Ming w muzeum - jest widoczna, ale i ukraść ją trudno. Dlatego mam dla pani propozycję: niechże pani wyjdzie za mnie. Jestem człowiekiem poważnym, majątnym i wdowcem. Świat przyjmie to ze zrozumieniem. A diablo chciałbym zobaczyć tego maga, niechby sobie był Krymskim Asem albo podłożoną Dziesiątką z osetyńskich „mokrych grandów”, który odważyłby się tknąć palcem małżonkę Szatwy-Cyklopa! Chyba się pani ze mną zgodzi?

Zgodziłaś się.

Pamiętasz, Raszka? Całkowicie się z nim wtedy zgodziłaś.

Wzięłaś nawet pomarańczową łożeczkę i z lekka ją nadgryzłaś. Kwaśny, cierpki sok przyjemnie zapiekł w język, ty zaś zgodziłaś się z samą sobą: tak czekałaś. Niekoniecznie na prośbę o rękę i serce, ale na coś w tym rodzaju.

Trzeba by się zarumienić niczym dojrzałe (no, może z lekka już napoczęte!) jabłuszko, ale sił nie staje.

- I sprawa ostatnia... Nie będę ukrywał, Raiso Siergiejewna, żywię dla pani szczerą sympatię. Od samego początku. A także szacunek, jaki czuje jeden rozumny człowiek dla drugiego. I na koniec pewne poczucie winy. Uśmiecha się pani? Niepotrzebnie - wcale nie mam na myśli aresztowania pani w Henningu. Nie czuję winy z powodu uczciwego wykonania swojej powinności. Myślę o czymś innym. Podałem panią ciężkiej próbie, tam w Mordwińsku, podałem wcale nie z poczucia służbowego obowiązku, a honor rodu Gandieri wymaga, żebym odplacił damie w najbardziej hojny sposób. Niechże mi pani uwierzy, że oprócz czysto praktycznego aspektu, będzie mi bardzo miło, jeżeli zgodzi się pani na moją propozycję! A pani,

droga Raiso Siergiejewna, do niczego to nie zobowiąże! Sama pani rozumie, nie jest dziewczątkiem, a i ja już nie jestem bladym młodzieńcem o płonącym spojrzeniu. Niechże pani uzna nasze małżeństwo za część kontraktu, za wypełnienie wzajemnych powinności..

- Chcesz, faraonie, żebym została marucha\*[\* - *Marucha - w rosyjskiej kminie, kochanka, towarzyszka i współpracowniczka herszta.*]? - zapytałaś.

- Chcę - odpowiedział kniaź z powagą, sięgając po papierośnicę.

I nie odmówiłaś'.

Cienkiego, damskiego papierosa, który nie wiadomo skąd znalazł się wewnątrz srebrnego puzderka.

Reszty też nie odmówiłaś.

Po przyjeździe do Charkowa w gabinecie naczelnika dworca czekały już na ciebie dokumenty.

Na ich widok omal się nie popłakałaś', jakbyś' spotkała starych znajomych. Paszport na nazwisko Elzy, baronowej von Raichben - stary, sprzed dziesięciu lat, tylko tym razem bez czerwonego, poprzecznego pasa z napisem „Dowód rzeczowy” na każdej stronie. Pismo z błogosławieństwem starego barona - Wilhelm von Raichben, dawniej istniejący tylko metaforycznie, winał starszej córce zawarcia nowego związku małżeńskiego, wymawiając się jednocześnie od osobistego udziału w weselnych uroczystościach (podagra, migrena i coś tam jeszcze); do pisma załączona była paczka gratulacyjnych telegramów od krewnych z Henningu, notarialne zaświadczenia o charakterze majątkowym i oficjalne wyzwanie na pojedynek kniazia Gandieri przez huzara Chocimskiego, powodowanego palącą zazdrością. Do wezwania załączono też wariant rezygnacji z pretensji, o ile pan pułkownik z kolei...

Przerwałaś czytanie. Według twojej opinii z tym idiotycznym wyzwaniem Szałwa Timurazowicz nieco przesadził. O czym mu natychmiast powiedziałaś, kierując się kobiecą logiką i prawami.

Gandieri zgodził się skinieniem głowy, porwał wyzwanie i rozkazał, by dworcowi lokaje w lot znaleźli dorożkarza.

Fakt, że z góry wiedział o tym, że się zgodzisz i nawet zatroszczył się o odpowiednie dokumenty, wcale cię nie uraził... o nie, wcale!

Ani troszeczkę.

Kontrakt, to kontrakt.

Gandieri otworzył dolną zasuwkę, wypchnął na zewnątrz okiennice i sypialnię



wypełniło chłodne i nieco wilgotne powietrze. Jesień, zamiast gnijącymi liśćmi, pachniała grzybami - i nie bardzo ci się to podobało.

Tam, w tym śnie o szubienicy, zimny wiatr też niósł zapach grzybów rozgniecionych podeszwami żołdackich buciorów, aromat rozkopanej ziemi i mogilnej zgnilizny - przypomniałaś sobie o tym dopiero teraz i przejął cię dreszcz.

Ach, bzdury! Grzyby, mogiła... bredzenie starzejącej się kobiety!

- Zamknąć, serdeńko?

- Nie trzeba. Tak jest lepiej.

Zawsze odczytywał w lot twoje nastroje. I pewnie kłamstwa też potrafił przejrzeć natychmiast. Ale okna nie zamknął - udał, że ci wierzy. Zabawne: ileż to żon pochwalić się może tym, że mąż je rozumie aż do najdrobniejszego kaprysu? Do niewypowiedzianych aluzji? Czy piekielnie świerzbi go przy tym czoło, otwierające się w „trzecie oko”? A czy wiele jest takich żon, które przyszli mężowie aresztowali na balu w Henningu, zamiast miodowego miesiąca w Nicei zafundowali im katorgę w obozie Anamael-Bugriaki, a po roku przenieśli je na zasłanie? Masz powód do dumy, Kniahini i w kręgu rozplotkowanych kur domowych z najlepszego towarzystwa mogłabyś zrobić prawdziwą furorę.

Co, pragnie się cudzych zachwyty? Uwielbienia? Kosych spojrzeń w plecy?

Mamusiu, a czy to prawda, że kniahini Gandieri, z domu von Reichben, była starszą więziennego baraku? Ja też tak chcę, na mą duszę, mamusiu moja!

Jesień.

I nawet nie jest to zabawne.

- Wczoraj otrzymałem depezę od Dorf-Kapcewicza - Gandieri nie odrywał wzroku od okna. W domowym szlafroku, niedbale przewiązanym wygniecionym pasem, pan pułkownik mimo wszystko trzymał się tak, jakby miał na sobie urzędowy mundur. Nawet jedwab na ramionach, nieco już spłowiwały i z rozłazącymi się szwami, wyglądał jak epolety. A na karku, pod krótko ostrzyżonymi włosami, rysuje się fałda... pierwsza.

Starzejesz się, mężulku?

Cóż, i ty nie robisz się młodsza, dziewczątko moje...

- I cóż tam pisze Jego Nieprzekupność?

- To odpowiedź na mój sierpniowy raport. Poleca, żeby Ananicza i jego towarzyszy po ukończeniu uczelni zwolnić od wyboru miejsc pracy. Zamiast tego, wspomniawszy o możliwości szybkiego awansu na rotmistrza, przenieść ich do stolicy wedle osobistego rozkazu Jego Nieprzekupności. A tegoroczny nabór zmniejszyć o połowę. W sumie wyjdzie chyba mniej niż dwie kompanie. Nie uczelnia, a pustynia egipska... chwałę ci Panie, żeś raczył

łaskawym okiem wejrzyć na modły raba Twojego! Żal zwalniać wykładowców, szczerze mi żal, a czym ich zająć, przy tak niewielkiej liczebności stanu junkrów podchorążych? Nie mam pojęcia.

Gandieri wzruszył ramionami.

Głos kniazia brzmiał równo i spokojnie, ale gdzieś na samej jego krawędzi zarysowała się szczelinka. Nie pojmiesz: radość? smutek? osobliwa niecierpliwość? Ostatnimi czasy takie szczelinki i drgnienia zaczęły cię poważnie niepokoić - tak jak wędrowca w ośnieżonych górach niepokoi każdy szelest nad głową.

A może jeszcze niezupełnie ze snu się ocknął i dlatego lekko chrypi?

Robiąc minę, jakbyś współczuła mężowskiemu problemom, pozwoliłaś, by Ketewan ponownie zajęła się twoimi włosami. Owszem, Gandieri natychmiast wyczuje, że twoje współczucie jest udawane. A niech tam. Nikt przecież nie będzie oczekiwał, że pani małżonka szczerze przejmie się sprawami urzędowymi. Znaczy, wszystko w porządku: i uprzejme kłamstwo, a w odpowiedzi zrozumienie motywów. Nabór zmniejszony, Ananicz zostanie wyprawiony do stolicy. Niedługo zostanie rotmistrzem, pojedzie do Sewastopola i w „Babilonie 5” zatańczy martwy taniec.

Wspaniale.

Ciekawe jest co innego: skąd, z jakich to kadeckich korpusów przychodzą na uczelnię ci młodzi ludzie, kandydaci na przyszłych łapsów. Ty w każdym razie niczego o takich korpusach nie słyszałaś.

Trzeci... ach, jak leci ten czas! - to już niedługo czwarty będzie rok, jak przyglądasz się im z bliska: śledczym junkrom, „fircykom” z pierwszego roku i „rapeć-wachmistrzom” z drugiego, jeżeli posłużyć się uczelnianym slangiem. Różni są; i jednocześnie tacy sami. Wysocy, silni, z dobrze rozwiniętą muskulaturą, prawdziwi mężczyźni, którym z niedopatrzenia natury i bożego dopustu kiepsko rosną wąsy i bródki. Spokojni, może nawet za bardzo spokojni jak na młodych ludzi, śledczy junkrowie nigdy się nie kłócili pomiędzy sobą i bardzo rzadko trafiali do uczelnianego aresztu - nie stosowano tu nawet tradycyjnego, odwiecznego na junkierskich uczelniach obrzędu „docierania” młodszych uczniów przez ich starszych kolegów.

Z początku coś takiego się jeszcze zdarzało, ale dymiło się mizernie i gasło samo z siebie bez widocznych przyczyn. Na twoje pytania: „Dlaczego?” Gandieri rozciągał tylko wargi w uśmiechu.

Tak samo podobnym do prawdziwego, jak podobni byli tutejsi śledczy junkrzy do swoich rówieśników, młodzików z dobrych rodzin, albo i do młodych kawalerzystów z

Wojskowej Szkoły Czugujewskiej.

I jeszcze - budzili w tobie sympatie.

Skrywający emocje z rezerwą zupełnie niepasującą do ich wieku młodzieńcy naprawdę ci się podobali. Zadziwiające uczucie u niegdysiejszej katorżniczki i konwentowego maga. Może to dlatego, że nie masz własnych dzieci? Co, Kniahini?

Wszystko być może.

- Jak myślisz, serdeńko, do obiadu się chyba wypogodzi?.

- Owszem. Długo jeszcze, Ketewan?

- Już kończę, tchawadi.

Z początku myślałaś: nic szczególnego. Nawet myśl: „Gdyby nie trafili do tej uczelni, byłiby z nich świetni chrześniacy...” - nawet ta cicha, zupełnie naturalna myśl wyglądała w rzeczywistości na cichą i naturalną. Co z tobą, Kniahini? Czemu z głębin duszy wciąż wypływa niegdysiejsza rozmowa z Fied'ką? Szklanka przed twoją twarzą i słowa, proste i polerowane przez całe życie?!

Dlaczego?

Boisz się?!

...Patrzyłeś teraz na mnie przez szkło, a inni - na ciebie patrzą jak na to szkło. I za szklanym, przejrzystym Fied'ką widzą mnie. Starą, złą i mądrą. Doświadczoną i bywałą w życiu. Rozmaitą. Oni są po prostu ślepi.

Chcesz, podpowiem ci teraz, Kniahini: kogoś ty widziała za Fied'ką?!

A kogo - przez krzywe szkło śledczych junkrów? Nie chcesz?

## II. DRUC-KONIARZ ALBO NIESFORNY ROM

*Niech twoje oczy patrzą wprost,*

*A twoje powieki niech będą zwrócone prosto przed siebie!*

*Przypowieści Salomona*

Droga z uczelni do domu zajmuje pięć, może siedem minut. No, niechby dziesięć, jeżeli od samych stajen liczyć, obok maneżu. I to bez pośpiechu: zatrzymać się w łaźni, opluskać solidnie, do pasa, przebrać się w cywilne... albo powiedzmy lepiej, domowe ubranie. Przecież nie da się cały czas w mundurze chodzić. Po kiego grzyba popu harmonia, a koniuchowi mundur - nawet jeżeli nie nazywa się koniuchem, a „starszym nadzorcą stajen”?

Ty się nie spieszyłeś.

Donikąd.

Dawniej nawet by ci na myśl nie przyszło, żeby się myć i przebierać - co to, panem jesteś? W tym samym ubraniu chadzałeś na hulankę i do sprawy się zabierałeś; a jakbyś się zmęczył, to i tu byś się ułożył, na słomie.

Tak było - ale się zbyło.

Innym zupełnie człkiem się stałeś, aj baro! Jakbyś już wcale Romem nie był ani magiem konwentowym, Waletem Winnym. Trafne to zresztą spostrzeżenie: Prawo już nie dla ciebie, i kędziory romskie ci przystrzygli w razurze monsieur Gilesa; ale Waletem chyba jeszcze zostałeś. To już na całe życie, aż do śmierci, ale czy kiedykolwiek myślałeś, czy kiedykolwiek do głowy ci przyszło, jaką stroną to życie się ku tobie odwróci?

Nie myślałeś, i nie mógłbyś przewidzieć, baro. Teraz też zresztą nie usiłujesz odgadnąć - jałowa to sprawa dla atutowego włóczęgi: samemu sobie wróżyć, o ile nie jesteś „widekiem”. Zresztą „widekowi” też wszystko nie jest wiadome. Wróżyć nie wróżysz, ale myśleć - myślisz...

Nie zaprzeczysz chyba, Druc, duszo nieobyczajna?

Wszystko się zgadza, wszystko prawda. Od dziecka tylu myśli nie przeżyłeś, co ostatnio. Starzejesz się widać. Ot i domem się na starość obciążyleś. Słyszaneż to rzeczy: żeby Rom taboryta dom posiadał?

Cóż, bywa, że i jastrząb się w locie zatrzyma...

- Jutro „fircyki” z drugiej kompanii mają jazdę próbną. Efremie Iwanyczu - pokażesz im dzygitówkę, przypomnisz sobie dawne lata?

- Czemużby nie, Hłarionie Fiedotyczu? - odwróciłeś się ku starszemu już wachmistrzowi, który jak zawsze bezgłośnie podszedł z tyłu. Dokładniej rzecz biorąc, wachmistrz myślał, że podchodzi bezgłośnie, a ty nie chciałeś pozbawiać go złudzeń. - Kiedy wyjazd? Jak zwykle o dziewiątej?

- O dziewiątej. Ale uważaj sobie, Iwanycz, szpakami karmiony, bez tych twoich... Bez numerów, znaczy. Akurat tym razem... Żebyś się nie zagalopował, znaczy.

- Co za podejrzenia? Wstydziliś się, Fiedotycz! - z wachmistrzem dawno już byłeś za pan brat. I nazywałeś go familiarnie, bez tego trudnego do wymówienia „Hłariona” - mówiłeś po prostu „Fiedotycz”, zamiast regulaminowego „wasza gorliwość”. Trzeba przyznać, że i sami uczelniani wychowawcy nie lubili tego zwrotu.

- Ale ty przecież będziesz z nami. W razie czego mnie osadzisz?

- Osadzę. Tylko zanim ja ciebie, kudłaczu, osadzę... Postaraj się, szpakami karmiony? „Fircyki” to przecież tylko „fircyki”, żółtodzioby! Zanim się zorientujemy, który ma węż,

który oko, a który chwyt... no, chyba się rozumiemy...

Poryta brudami twarz Fiedotycza zmarszczyła się niczym pieczony ziemniak i wachmistrz kichnął ogłuszająco, a potem przeżegnał gębę trzy razy.

Żeby bies mu w nią nie wleciał.

Do tej pory męczyły cię wątpliwości: ma wachmistrz dopuszczenie do spisu współpracowników niejawnych czy nie? Robi aluzje? Wie, z kim ma do czynienia? Czy dzieli się wątpliwościami? Fiedotycz nie należał do „niuchaczy” ani do starszych wykładowców, ale był człkiem doświadczonym, weteranem, a tacy powodzenia nie zawdzięczają randze, i nie baczą na tytuły.

Może i wie, ale udaje, że nie.

Mimochodem tylko rzuca uwagę: „Zanim się zorientujemy, który ma węch... chyba się rozumiemy...” A jak się nie zrozumieliście, znaczy, że się nie zrozumieliście. Dowództwo nie zbeszta - bezpośredniego polecenia nie było; tylko zachcianka wachmistrza, żeby „fireykom” zrobić z marszu podwójny sprawdzian.

A może za daleko się posuwasz z podejrzeniami?!

- Postaram się, Fiedotycz. Do jutra.

- Do jutra, Iwanycz.

## NOTATKI NA MARGINESIE

*Przy pierwszym, przelotnym spojrzeniu oczy wachmistrza Fiedotycza wydadzą się podobne do ołowianych guzików. Przy drugim - też. Ale postarajcie się spojrzeć po raz trzeci:*

*...przystań.*

*Nie jakieś tam koślawe rybackie mostki, choć i nie kamienne molo dla dalekomorskich statków. Rzeczna przystań w cichej zatoczce, stara, mocna i solidna. W przystani kołysze się na fali barkas. Farba już na nim spłowiała, łuszczy się całymi plamami, nazwy nie sposób odczytać, ale na pierwszy rzut oka widać, że stateczek jest sprawny i można na nim polegać.*

*Jeszcze właściciele będą mieli z niego pożytek*

No i co, doczekałeś się, zbiegły katorżniku?! „Na rozkaz!” - wachmistrzowie cię mianem ojca wołają, rzuciłeś włączkę, solidnym człowiekiem się stałeś, mieszczaninem! Rozważny, nie pochopny - nawet pobożny! Przyłożywszy dłoń do piersi zmacałeś pod koszulą krzyżyk. Półtora roku temu się ochrzciłeś - a wciąż do tego przywyknąć nie możesz, Romie wędrowni!

Jaki tam wędrowni!

Osiadły.

I nie *Drada-nu-da-naj!* a uczciwie i godnie: „Jechał Kozak za Dunaj...”

Skierowałeś się ku bramie, obok starannie zamiecionej placu, na którym porozstawiano drążki, poręcze, kozły i inne przyrządy gimnastyczne, i obok dwupiętrowego budynku administracyjnego. Otwierając wstawioną w mur furtkę z wymyślnie splecionej żeliwnej kraty, jak zwykle odruchowo machnąłeś ręką wyglądającemu z okienka znajomemu wartownikowi - jakbyś chciał powiedzieć: „Bywaj, stary!”

Wyszedłeś na ulicę.

I oto zakończył się jeszcze jeden dzień. Brat wczorajszego i swat jutrzejszego. Brat? Swat? Sam siebie oszukujesz, baro, i wiesz o tym! Chodzisz po kręgu jak na uwięzi: twarze, mury, stajnie, stajenni, konie, które trzeba doglądać twoim bystrym okiem (ludzi trzeba pilnować dwa razy bardziej czujnie!) - ale tak czy owak, każdy dzień coś tam zmienia.

Nie wokół ciebie. W tobie samym.

W taborze było zupełnie inaczej. Szum, gwar, różnobarwny kołowrót kształtów, dźwięków i zapachów, nowe twarze, nowe drogi, nowe miasta; tylko ty sam wciąż zostawałeś tym samym Drucem-Od-Koni, chwackim Romem i konwentowym magiem. Trzydzieści lat, czterdzieści, sześćdziesiąt - dopóki nie zdechniesz gdzieś w rowie czy na poboczu drogi. Ileś ty koni uprowadził swego czasu, Druc? Zebrałyby się chyba nielichy tabun. A szczęścia i rozumu ani kradzieżą, ani z doświadczenia nie nabyłeś’.

Czy nie pora, żeby się ustatkować?

Należy podziękować Szałwie Timurazowiczowi: ustatkowałeś się. Co prawda szczęścia ci to nie dało i nie dodało (z drugiej strony, dziękować Bogu, przy życiu zostałeś!) - ale powoli zacząłeś nabierać rozumu. Doszedłeś do wniosku, że w pas się powinieneś kłaniać jego jasności panu Cyklopowi; a ziemskie dzięki należy składać na ręce ojca Grigorija, episkopalnego ober-starca przy uczelni.

Z ojcem Grigorijem zadziwiająco szybko nawiązaliście nić porozumienia. Co prawda były po temu przyczyny, o których nie każdy musi wiedzieć.

Minąłeś stary budynek uczelni felczerskiej, z fasadą zdobioną kolumnami. Felczerzy od dawna sąsadowali z uczelnią śledczych. I przez chwilę postąłeś przed jedynym podjazdem rządowego domu, który dał ci schronienie podczas minionych trzech lat.

Trochę zamarudziłeś przy wejściu.

Zabawne: pojęcie „rządowy dom” zawsze oznaczało dla ciebie jedno - więzienie, czyli pierdel. A tak przy okazji, siedziba miejscowej kompanii karnej, a także więzienie mieściły się

niedaleko, w Załopańskiej części miasta. Ale okazało się, że „dom rządowy” niekoniecznie musi być obozem. W sumie to tylko budynek, utrzymywany na koszt skarbu państwa. Zwykły dom, w którym mieszkają ludzie na państwowej służbie. Druga zabawna rzecz: Rom-koniokrad, zbiegły katorznik - na państwowej służbie! Ile razy o tym pomyślisz, tyle razy zdziwienie cię ogarnia - choć coraz mniejsze z każdym minionym rokiem.

Wyjąłeś papierosa i przez chwilę niepewnie obracałeś go w palcach. Rozmyśliłeś się, wsunąłeś go ponownie do paczki i niespiesznie wspiąłeś się po schodach, a potem pociągnąłeś znajomo skrzypiące drzwi.

Do siebie iść ci się nie bardzo chciało - samemu nudno w czterech ścianach; ale zresztą wcale nie zamierzałeś tam wrócić. Nie zamierzałeś też zastanawiać się, czy myśli twoje są słuszne.

Och, *zaboro*, *U roske dawaw*, *e pasz da raskri*, **mamo**. O ściano ogrodzenia, zburzę cię...

Nie.

Nie można.

Jechał Kozak za Dunaj...

Maleńkie mieszkanie ojca Grigorija znajdowało się na samym końcu korytarza.

Melodyjnie brzęknął dzwonek.

- Wejdz, Dufunia. Otwarte - rozległo się zza drzwi.

Przeżegnawszy się przed skromnym ikonostasem, przed którym płonęła lampka, mimochodem zauważyłeś w duchu, że dłoń sama ci się podniosła, by nakreślić znak krzyża. Dawniej musiała jej o tym głowa przypominać. A teraz - sama z siebie.

Wiara? Czy przyzwyczajenie?

Nie bardzo ci się chciało o tym myśleć i duszę wątpliwościami rozdzierać. Zresztą nie po to przyszedłeś do Ojca Grigorija.

W maleńkim gabinecie na ścianach tańczyły cienie. Ciasno im, czarnym, napierają jeden na drugiego, rozpychają się łokciami. Okienko zasłonami zaciągnięte, na stole pali się lampa naftowa - a stół, jak zwykle, ze szczętem zawalony książkami. Na ścianie równe półeczki, a na nich znów księgi, książki i księżyska. I żeby tylko cerkiewne foliały, jakie u ojczulka zgodnie z jego stanem znajdować się powinny. Biblia, Breviarz, „Zasady Prawosławia”! „Przewodnik Duchowy” na koniec...

Ale nie! Znajdziesz tu jeszcze Kodeks Karny (całe siedem tomów z komentarzami, i tytułem tłoczonym złotą czcionką), roczniki „Biuletynu Departamentu Sprawiedliwości” z ostatnich pięciu lat od pierwszego numeru i „Kręgową poręką u Słowian” profesora

Sebastiańskiego, i „Indywidualistyczne kierunki w historii filozofii państwowej” oraz „Przegląd wierzeń fałszywych - pogańskiej, nowoabrahamickiej i mahometańskiej” archimandryty Izraela.

No dobrze! Niech wam będzie! Ober-starzec z racji swego stanowiska powinien być obeznany z jurysdykcją, prawem świeckim i cerkiewnym!

Milczę!

Ale mahometański Koran? Abrahamicki Talmud? Gruba księga „Zohar”, chciałoby się wiedzieć, czyja?! Chińskie „Dao-de-tzin” to i - Boże przebacz - rodzime taborowe „Drada-nu-da-nadaj” utworem czyimś okazać się może! A na samym skraju, stos utworów niejakiego pana Papisa: „Magia Praktyczna”, „Biała Magia”, „Czarna Magia”, „Teoria Magii”, „Narodziny maga”, „Dojrzewanie maga”.

- Znów się książkom przyglądasz? - łagodnie uśmiechnięty ojciec Grigorij podniósł się na twój widok zza stołu. - Wejdz, usiądź. Ale czemu za każdym razem je tylko okiem mierzyć - wziąłbyś i przejrzał, a nuż by ci się któraś spodobała. Czytać przecież chyba umiesz?

W całym gabinecie miejsca starczyło tylko na stół, dwa krzesła i półki na ścianach. Usadowiłeś się jakoś na skrzypiącym wiedeńskim krześle - starzy mieszkańcy powiadali, że jeszcze za czasów wojny prusko-austriackiej przywieziono kilkanaście takich piękności i porozstawiano po rozmaitych pokojach.

- Witacie, ojciec Grigoriju. Sami przecież wiecie, że umiem czytać. Czemu pytacie?

- Witaj, Dufunia. A pytam, bo nijak pojąć nie mogę: czemu ty książek nie czytasz?

Stało się to u nich czymś w rodzaju rytuału. Prawie każda rozmowa z ojcem Grigorijem w jego gabinecie zaczynała się od tych zdań.

- Ale czytam. Daliście mi Biblię i właśnie ją czytam. Zabrałem się do niej drugi raz - po pierwszym ciężko się zorientować, kto kogo rodził.

Łzesz, włóczęgo! Drugim razem się zabrałeś...

- To prawda - kiwnął głową ojczulek ze zrozumieniem. - Wieczna to księga. Sam już nie pamiętam, ile razy ją przewertowałem. No, a oprócz Biblii?

- Przecież nie mogę dwóch książek czytać jednocześnie, bo wszystko mi się pomiesza! No, chyba że gazety...

- I o czym to piszą w tych gazetach?

Przejawiana przez ojca Grigorija chęć zrobienia z ciebie wykształconego człowieka była ci akurat na rękę.

- No, na przykład...

Sięgnąłeś za pazuchę i z szelestem wyjąłeś ukryty tam do tej pory numer



„Charkowskich Wiadomości Gubernialnych”, które kupiłeś rano od smarkatego gazeciarza na moście Garbatym.

- Nie czytaliście jeszcze, ojczulku?

- Nie, nie czytałem.

- O, tu, gdzie „Przegląd wydarzeń zagranicznych”.

- No, no.

Ojczulek zagłębił się w czytaniu. A ty ukradkowo popatrywałeś na niego z boku i myślałeś o tym, jak zdumiewająco zmieniają się niektórzy ludzie, kiedy zajmą się tym, co ich naprawdę interesuje. Zwykle niemrawy, chudy, jakiś taki nieposkładany i niepasujący do codziennego ziemskiego życia, ojciec Grigorij zniecka upodobił się do osoby z ikony: zwykle miękkie rysy jego twarzy rozświetliły się nagle wewnętrznym, uduchowionym blaskiem; plecy się wyprostowały i nawet w uchwycie cienkich palców, trzymających gazetę, można było wyczuć władcą siłę.

„A ja, kiedy czytam, wyglądam chyba na kompletnego idiotę - mignęła ci przez głowę niesforna myśl. - Ustami poruszam, marszczę czoło, drapię się po karku i ciemieniu. Oczy wytrzeszczam. Za to kiedy wsiadam na konia... Ech, choć raz by popatrzeć z boku!”

Ale wredna pamięć natychmiast zepsuła ci przyjemność, wywłókłszy ze swoich głębin następujący obraz:

Oto oddawszy się zajęciu całą duszą rozpuszczasz konia, a za tobą gna, starając się nie zostać w tyle miody śledczy-junkier - aj, nieźle jedzie, wkładając w to duszę i serce, jak prawdziwy Rom! Nie na darmo go uczyłem! Poczzerwieniał chłopak, zarumienił się, oczy mu płoną... „Barbarzyńcy?” Łapsa?! Płona? W życiu! A Sewastopol, „Babilon 5”, gdzie tańczył podchmielony rotmistrz - to co, nie życie?

Nie twoje, baro?!

W następnej chwili młody junkier rzuca się w tył ogarnięty dzikim, niesamowitym, szalonym chichotem, a koń pod nim staje dęba.

No, jakoś się rozeszło po kościach.

W przypadku śledczego junkra skończyło się na złamanej ręce i „nerwowej gorączce”, jak to określił doktor. Tak czy owak, chłopak musiał przeleżeć trzy miesiące w szpitalu. A ty dostałeś surową naganę od komendanta uczelni, pułkownika Gandieri. Z początku kniaź w ogóle, kategorycznie chciał przerwać i zakończyć zajęcia z dzygitowki, które od niedawna prowadziłeś. Przed komendantem wybronił cię wypróbowany przyjaciel, wachmistrz Fiedotycz - to on swego czasu zaproponował, żeby dodać do programu kurs dzygitowki, kiedy zobaczył, z jaką dziecinną łatwością wywijales się trzem jego najlepszym uczniom. Jasna

sprawa, jazda to jedno, a to, co bywały Rom potrafi dokazać na koniu - to rzecz inna. „Dwie Wielkie Różnice” - jak mówią wśród magów w mieście Odessie. Fiedotycz to mądrała - szkoda, że jest śledczym wachmistrzem. Od razu się zorientował, jaką korzyść junkrom mogłyby przynieść twoje fmy i nauka. Ty zresztą się nie sprzeciwiałeś. Szkoda byłoby, żeby wszystko, czego się w życiu nauczyłeś, zabrać ze sobą na tamten świat.

Niech choć chłopaki jakąś' korzyść z tego mają.

I mieli - dopóki w głowie ci się nie przewróciło! Od tamtej pory, na każdych zajęciach z dzygitówki Fiedotycz był przy tobie. Żeby kudłatego Roma nie ponosiło. Wciąż powtarza: „Nie zapomnij się! Spokojnie, mówię!”. Jedna rzecz była dziwna; nigdy wcześniej nie wiedziałeś, że człowiek może stracić rozum od pędu. A i Kniahini, ledwo o tym usłyszała, niemal mu nóż do gardła przystawiła: opowiadaj co i jak, ale ze wszystkimi szczegółami!

Pytasz: „Po co ci to?” - nie odpowiada. Uśmiecha się zagadkowo.

Za wcześnie mówić, powiada, sama muszę się zorientować...

- ...znaczy, Turcy się jednak zdecydowali - z zamętu wspomnień wyrwał cię głos ojca Grigorija. - Kusicielowi odrąbać prawą rękę, a kuszonemu - głowę. Cóż, surowy wyrok, surowe są prawa mahometan. Przykro coś takiego czytać, Dufunia - przykro.

O wszystkim już wiedziałeś - zdążyłeś przejrzeć gazetę podczas obiadu. Prawą rękę... Machinalnie opuściłeś wzrok na prawicę kapłana. Wąską dłoń ma ojczulek, bezwłosą, prawie panińską; na palcu serdecznym pierścień z ametystem, i jeszcze na małym palcu pierścionek: szafir otoczony drobnymi diamencikami.

Miał ojciec Grigorij jedną słabostkę - lubił szlachetne kamienie i cenne ozdoby. Pensję miał zgoła nikczemną, a jednak jakoś tam zdołał, oszczędzając mocno, zebrać i kupić. Krzyż na piersi nosił taki, że i władka mógłby go włożyć. Miał też wyróżnienie państwowe, można by rzec skrajnie rzadko spotykane wśród duchowieństwa - order św. Anny drugiej klasy z brylantami.

Na inne przyjemności i słabostki ojciec Grigorij grosza nie wydał. Ostatnią koszulę z grzbietu ściągnie i bez mrugnięcia okiem drugiemu odda, a poprosisz - żeby kamyczek w lombardzie zastawił dla jakiejś sprawy godnej i szlachetnej... Odmówi. Milczeń będzie i w ziemię wzrok wbije. Jasne, że nie ze skąpstwa, coś innego mu przeszkadza i niby łańcuchem ręce skuwa!

Widać podczas wędrówek po drogach żywota zaraził się ojciec Grigorij „smoczą chorobą”, i do tej pory wyleczyć się z niej nie zdołał.

- Ale u nas, ojcie Grigoriju, chrzan wcale nie jest słodszy. Sami wiecie lepiej ode mnie, że teraz konwentowego maga nie za bardzo surowo każą. Za to chrześniaka - od razu na katorgę,

o ile nie na śmierć skazują, w zależności od ciężaru przestępstwa. I wszystko zgodnie z prawem i nowym Kodeksem Karnym przyjętym przez władze cywilne z błogosławieństwem świętej Cerkwi Prawosławnej.

- Ech, Dufunia... gdybyś ty mógł sobie wyobrazić, jak mnie, grzesznemu, ciężko się z tym pogodzić! Masz rację! Ale mimo wszystko - głowę ścinać! Głowę! Nie po ludzku to i nie po chrześcijańsku.

- Nie po chrześcijańsku, powiadacie, ojczulku? A u Turków?

- Ponownie masz rację. Mahometanie od dawna mieli prawo bardziej od naszego surowe. Choćby teraz. Imperium Otomańskie się na to zdecydowało, to i cały świat islamu za nim pójdzie. Oj, szybko to wszystko idzie! Tak szybko, że i do głowy by mi to nie przyszło! Niedługo maże plemię zostanie wzięte pod but całe i bez reszty. Powinieneś się cieszyć...

- Przecie i bez tego z magami już prawie koniec. Ale nic się nie dzieje bez Bożej woli?

- Dobrze mówisz, synu. Wszystko w ręku Boga. Ale i człowiekowi dał Pan wolną wolę i możliwość wyboru. Żeby sam mógł wybierać, siedzi między Dobrem i Złem, Bogiem i Tym, Co się Przeciwi. Odejmij mu tę możliwość - i co zostanie? Jakże Światło rozpoznasz, skoroś Mroku nigdy nie widział? Jeżeli nie masz z czym porównać?

- I to wy takie rzeczy mówicie? Wy, episkopalny ober-sta-rzec? Losami mażego plemienia się przejmujecie?

Rozmawiając z ojcem Grigorijem - jednym z niewielu, którzy znali twoje prawdziwe imię i mogli je wypowiadać na głos, nie dbając o to, czy je ktoś usłyszy, czy nie - zawsze czuleś się nieswojo. Ot, zachciało się Romowi taborycie z ojczulkiem uczonym w spory wchodzić"! Milczenie i przytakiwanie też kiepsko ci wychodziły. Tak już ci, Druc, od kołyski widać przeznaczono, duszo niespokojna i nieposkromiona! Wiecznie się pchasz mordą w kałużę: najpierw się wepchnąłeś do maga na naukę (chrzestny Jefrem niedługo cię namawiać musiał!), potem do „Barbarzyńców” na koniucha śledczego; a teraz, popatrz - w teologiczne spory ze świętym mężem się pakujesz.

Oj, nie szczędzi ci życie nauki, nie szczędzi - ale i niczego cię nie nauczyło!

Co prawda, ojciec Grigorij tylko się cieszył, gdy mu się taki spór trafił. Znalazł wreszcie człowieka, z którym mógł się skrytymi myślami podzielić. Nie dawały bowiem te myśli spokoju ojcu Grigorijowi. Och, jakżeś ty go dobrze rozumiał, Druc, dawny złodzieju koni!

Z tego też powodu się zgodaliście.

- Dobrze mówisz, mój synu. Ojcowie Cerkwi naszej Świętej tak powiadają: wyczerpała się czara Jego cierpliwości i nareszcie dostanie za swoje każdy, kto się mażym grzechem splamił. I oto uderza gniew Jego we wszystkich, którzy na drodze sprawiedliwym stanęli i

przeciwko Prawdzie się opowiadają. Chrześcianiacy magów mogą mieć jeszcze nadzieję na Zbawienie; odkupić grzech muszą męczeństwem i wtedy do Królestwa Bożego wejdą. A zatwardziali grzesznicy, którzy w Prawie swoim zgubnym i Konwencji dawno ugrzęźli, którzy sami Kusicielem się stali niczym Wąż, którego imię Szatan; ci, którzy kuszą małuczkich - biada im! Nie da im Pan męczeńskiej śmierci na odkupienie win, ale po śmierci w otchłanie piekielne ich wtrąci.

- To ma sens, musi tak być... - mruknął z wyraźnym zwątpieniem w głosie, nie patrząc w oczy ojczulkowi.

- O właśnie, w tym rzecz, że to ma sens - z ciężkim westchnieniem zgodził się ojciec Gngorij. - Może w herezję popadam? Może bluźnierstwa mówię - ale serce nie sługa! Nie mogę uwierzyć, że te śmierci: straszne, złe, *bezprawne* - dzieją się z Jego woli! I nie wierzyć też nie mogę - wypowiedź najświętszego Synodu jest zupełnie jednoznaczna. A mimo wszystko - ciężko mi na sercu, Dufunia. Ciężko.

- Mnie też - kiwnął głową, zgadzając się z ojczulkiem.

- Dlatego chcę zdążyć, zanim nie będzie za późno. Zdążyć zrozumieć - co jest nie tak. Co my, dzieci Adama i Ewy stracimy, jeżeli zginie ostatni z magów? Straciwszy głowę, zaczniemy płakać za włosami? I być może, nawet się dopłacemy?!

Ponownie kiwnął ponuro głową, tym razem już bez słowa. Ojciec Grigorij umie myśli w słowa ubierać, wyrażając nimi mękę, która tobie samemu w gardle niczym kłębek goryczy utknęła, chce się wyrwać na zewnątrz - ale nic z tego nie wychodzi, bo kością ci w krtani stanęła. Jak u psa: wszystko rozumie, a powiedzieć nie może!

- Zrozum, Dufunia: to wielka pokusa! I nie sama magia, nie te „działania eteryczne” - to groszowe błazeństwa. Pokusa leży w czym innym. W małym Prawie! I w tym, jak chrzestny chrześniakowi swoją wiedzę przekazuje! On przecie nie uczy, nie wychowuje - robi zeń swoją kopię, zapisuje pod dyktando, wywołuje fotograficzny obraz! Wyobraź sobie, że o Prawie dowiedzieli się zwykli ludzie. Że znaleźli sposób na to, by zawierać Ugody! Możesz być sobie piekarzem, lekarzem, muzykantem...

Rzeczywiście spróbowałeś to sobie uczciwie wyobrazić. Wychodziło kiepsko. Znaczy, nic nie wychodziło. Czego właściwie boi się ojciec Grigorij? Chyba że samej Ugody. A czy nie jest tak, że ów Ogień, w którym płoną dłonie i w jedność się stapiają - to płomienie Piekła?

- Milczysz? Milczysz - odpowiedział sam sobie ojciec Grigorij - czyli nie rozumiałeś. No nic, ja sam nie od razu rozumiałem. A kiedy rozumiałem, uwierz mi, Dufunia, na kolana padłem i z całego serca podziękowałem Bogu, że dał mi rozum, durniowi, od grzechu mnie ustrzegł i od wielkiego nieszczęścia.

- Wierzę, ojczy Grigoriju. W to, żeś Bogu dziękował - wierzę! Choć ojczulek był od ciebie młodszy w każdym sensie, jakoś niesporo ci było „tykać” ober-starca jak równego sobie. Wcześniej, kiedyś był w Prawie - jeszcze jak by ci było skoro! Pamiętasz, na rozprawie skłamałeś wszystkich, aż ziemia się zadymiała, jeszcze ci konwojenci po mordzie nakładli. A teraz, po chrzcie, po codziennej pracy na uczelni, onieśmiela cię klecha, Drucu? Nigdy wcześniej przecież nie okazywałeś nieśmiałości...

- Ale od jakiego nieszczęścia Pan was ustrzegł, tego pojąć nijak nie umiem.

- Od języka mojego długiego i braku namysłu. Przecież zamierzałem już powiedzieć cerkiewnym hierarchom o istocie Ugody, jaką mag z chrześniakiem zawiera! I poddali by się diabelskiej pokusie! Znaleźliby sposób, żeby takie Ugody zwykli ludzie mogli zawierać!

- Gdzież tu pokusa diabelska? - zdumiałeś się. - Nie z czartem przecież Ugodę się zawiera, ale jeden człowiek z drugim! I my z Kniahinią, kiedy na państwową służbę wstępowaaliśmy, podpisaliśmy osobisty kontrakt. Wyście go przecież zatwierdzali, jako episkopalny ober-starzec! Czyli cerkiew przychylnym okiem patrzy...

- Ot, głupstwa pleciesz, Dufunia! - ojciec Grigorij tak się rozpałił, że lekko stuknął pięścią w stół, co zdarzało mu się niezmiernie rzadko. - W tym całe niebezpieczeństwo, cała groza, że cerkiew się na to godzi! Usprawiedliwia! Nie będzie się sprzeciwiać! A państwo - tym bardziej! Zrozum: jeżeli się rozejdzie, że znaleziono sposób, jak bez nauki można nauczyć człowieka wszystkiego, czego tylko chcieć, choćby był kretynem z dziada pradziada - wielu się tego uczepli. Ojciec przekaze interes głupiemu synowi, naczelnik na podwładnym się odcisnie! A po staremu już wkrótce nikt się uczyć nie zechce! Zrozumiałeś'?

- Wybaczcie durniowi, ojczy Grigoriju, ale nie zrozumiałem! - przyznał się uczciwie.

- Niechby lekarz czy piekarz swego czeladnika poprzez Ugodę uczył... w czymże nieszczęście?

- Naprawdę niczego nie rozumiesz?!

Twarz ojczulka czerwonymi piętami się pokryła. Ale jakoś się opamiętał ober-starzec Grigorij:

- Nie da się pojąć tego od razu; ja sam, zanim zrozumiałem... Widzisz, Dufunia: zły ze mnie nauczyciel, zły wykładowca. A gdyby była między nami Ugoda - wszystko byś w lot podchwycił! I dobrze, że Bóg mi rozum przywrócił: nie wolno ludziom dawać czegoś takiego! Nawet, jeżeli tyś mag wedle Prawa... czekaj, spróbujmy inaczej. Wiesz przecież, że nigdy kopia nie będzie lepsza od oryginału! Nawet mu nie dorówna! Ty, Walecie Winny, ze swojego ucznia co najwyżej Waleta wykrzeszesz - a i to w najlepszym wypadku.

- Wątpię, ojczulku. Danka Szkarłatny - wyżej Dziesiątki by się nie wspiął. A przed nim był...

- Dobrze byłoby, Dufuńka, gdybyś' archiwa przejrzał. Wiesz ty, na przykład, co tak ze czterdzieści lat temu atutowe Walety potrafiły wyprawić? A pięćdziesiąt? A na początku minionego wieku? Coś takiego teraz nie każdy Król zrobić może! Mizernieje rodzaj magów, ich siła znika niczym woda wylana na piasek. Jeżeli inni ludzie zaczęliby poprzez Ugody wiedzę i umiejętności innym przekazywać - koniec! Do dzikości wrócimy! Teraz zrozumiałeś?

- Zrozumiałem - wydusiłeś z siebie z trudem.

Och, Boże ty mój! Na koniec zdołałeś to sobie wyobrazić. Nieprzyjemny ci się widok objawił - lepiej by ci było go nie oglądać. Nie Boża to sprawa, nijak nie Boża... Tyle, że...

- Więc może nie magowie są winni, ojciec Grigoriju? Nie mażą siła, nie „działania eteryczne”, a sama Ugoda? Może w niej tkwi grzech? Choć krwią nie podpisujemy, duszy nie sprzedajemy - ale w ogniu piekielnym się ją hartuje? Dlatego też stoi starszy Atut za lewym ramieniem chrześniaka - do końca Ugody? A może, gdyby magowie swoich uczniów inaczej uczyli, jak pozostali ludzie, grzechu by w tym nie było?

Ojciec Grigorij spojrzał na ciebie ze zdumieniem w oczach. Chciał już coś powiedzieć, ale ty, zapomniawszy na chwilę o obecności episkopalnego ober-starca, sięgnąłeś' na półkę po Biblię, otworzyłeś' ją i zacząłeś' przerzucać kartki nieposłusznymi palcami.

- O tu, zaraz... zaraz to znajdę... przecież i Chrystus cuda czynił! Pięć tysięcy zgłodniałych chlebem nakarmił, wodę w wino... Łazarza wskrzesił! Teraz by go od razu: trupiarz, nekromanta! I na stryk!

- A wtedy na krzyż - spokojny głos ojca Grigorija ochłodził twój zapal, niczym kubek zimnej wody. - Ty, Dufunia, sam nie wiesz, jakie wrzody rozdrapałeś' tym pytaniem. Najlepsi teologowie nad tym pytaniem nie pierwszą setkę lat już głowy sobie łamią. Jedni herezje głoszą jak ty: Jezus był magiem, wielkim magiem - i za to Go krzyżem ukarano! Kiedy Go sądzili ludzie świeccy i kapłani, kiedy Go na Golgotę wysłali - pierwszy to był sąd nad magiem i pierwsza kaźń za „działania eteryczne”. Znaczący, niczego Bogu przeciwnego w sztuce magów nie masz, skoro sam Syn Boży...

Nie dokończył ojciec Grigorij i pośpiesznie się przeżegnał.

- Ale i święci cudów dokonywali...

- Właśnie! - nie wytrzymałeś. - No, Bóg, rozumiem... Wszystko w Jego ręku i nie nam Go sądzić! Ale święci byli przecież ludźmi!

- Wszystko to prawda, mój synu, ludźmi byli. Dlatego spierają się z heretykami ortodoksyjni teologowie: cuda tworzą w imieniu Boga i na Jego chwałę. Mag zaś wykorzystuje działania eteryczne w swoim imieniu i dla korzyści. Mniejsza, swojej czy cudzej - tak czy inaczej ktoś tam korzysta na jego czarodziejstwie. Święci korzyści z cudów nie mieli.

Dlatego tamto było dziełem Bożym, a maże sprawki, to czary paskudne, przeciwne Bogu i z diabelskiego poduszczenia się dziejące. Prawosławna Cerkiew, jakkolwiek dziwne by się to wydać mogło, całkowicie się w tym zgadza z katolikami, a nawet z Abrahamitami; tym ostatnim zabrania się parać magicznym rzemiosłem, bo psuje to zamysły Stwórcy. O mahometanach nawet nie mówię - Mahomet nie czynił cudów, dopiero potem mu je pospółstwo zaczęło przypisywać.

Powiedziano, jakby toporem odcięto. Nie tobie, niedawno nawrócony Romie, *bibachtało manusz*[\* - *Pechowiec, człowiek którego spotykają niepowodzenia (rom.)*] z uczonym teologiem się spierać. Ani w tobie wiary, ani rozumu, a i mordę masz paskudną, baro!

- Ale to, coś powiedział o Ugodzie... - kapłan mówił z namysłem, jakbyś dawno już wyszedł. - Że sama obarczona jest grzechem, a nie magia z nią związana... tyś chyba sam nie zrozumiał, co powiedziałeś! Ileż to lat już nad tym myślę, biję się z wątpliwościami, prawdy dojść usiłuję - a coś takiego do głowy mi nie przyszło! Ani żadnemu z teologów uczonych, ani w jednym traktacie o magii nie spotkałem się z takim podejściem! Ty nawet nie rozumiesz...

- A wy, ojczy Grigoriju, rozumiecie? Dobry wieczór, ojcowie pokutnicy!

Nieco kpiący uśmiezek. Ironiczny błysk zielonych oczu, widoczne nawet przez pajęczynę woalki, opuszczonej z modnego kapelusika. Surowy, ciemnoszary kostium w angielskim stylu; postarał się zręczny krawiec Jaszka Smarowoźnik, nie na darmo kroił i szył specjalnie dla późnej ciąży! Niby brzuch jak ogórek, a żakiet nawet z lekka obcisły, a spódniczka kokieteryjnie szeleści fałdkami. Nigdy byś nie powiedział, że baba w ósmym miesiącu! Nawet czarne lakierowane pantofelki z lśniącymi motylimi klamerkami...

Wielka pani zaszła w gości!

W drzwiach stała, wszedłszy bezgłośnie (w istocie bezgłośnie, w odróżnieniu od wachmistrza Fiedotycza) na stalowych obcasikach, twoja chrześniaczka.

Akulka-Akulina.

Nie. Obecnie - Sochatina Aleksandra Filatowa, za panieńskich czasów Wiśniewska, przewodnicząca Małorosyjskiego Oddziału Światowego Stowarzyszenia Obrony Zwierząt w charkowskiej guberni i studentka wydziału wstępnego Charkowskiego Instytutu Weterynarii.

„I bezwstydna, ryża ateistka” - dodałeś w duchu na własny użytek.

A potem mimo woli się uśmiechnąłeś.

Poczuwszy przy tym przyływ ojcowskiej dumy, która była chyba zupełnie nie na miejscu.

### III. RASZKA-KNIAHINI ALBO SZALEŃSWU DZIELNYCH PIEŚŃ ŚPIEWAMY\*

*Pani Głupota jest rozwiązła, pusta i bezwstydna.*

*Siedzi u wejścia do swojego domu,*

*Na tronie w wysuniętych punktach miasta,*

*Wołając na przechodniów,*

*Którzy idą swoimi ścieżkami...*

*Przypowieści Salomona*

- ...wyobraża pan sobie, drogi kniaziu! Pietrucha Skirski, młody seminarzysta, znalazł sobie dziewczynę i miejsce w Mironosickiej guberni. Ot, ręką tylko sięgnąć, ale potrzebna osobista rekomendacja. Idzie do egzaminatora kandydatów, znanego wam skądinąd wielbnego Gniedycza...

- Gniedycza? Grigorija Gniedycza, protojereja? Tego, o którym pisali we „Wiadomościach Gubernialnych”... Boże, pomóż mej pamięci... „Osobliwość przeprowadzanych przez niego egzaminów w tym się zawierała, że do ich zdania obowiązkowo trzeba było przynieść podarunek w postaci rumu, wina, herbaty, cukry i tak dalej. Pieniądzy nie brał”.

- Ach, jakież to ciekawe! Niechże pan mówi dalej, panie profesorze!

- Otóż więc zjawia się nasz seminarzysta naiwny z pustymi rękoma. Chodził dzień, drugi, ale nic nie wskórał. W końcu ktoś mu szepnął na ucho, w czym rzecz. Wziął więc Skirski paczkę i włożył do środka butelkę rumu, butelkę madery, sztof\*[\*- *Cytat z „Pieśni o Albatrosie” M. Gorkiego.*] kizylówki i tyleż herbaty z cukrem. Wielbny obejrzał co mu przyniesiono, stwierdził, że owszem, może być, i naznaczywszy młodzikowi termin na jutro, jako człek dokładny, napisał dla pamięci na skrawku papieru, „od P. Skirskiego - 1. but. rumu, 1. but. madery...\*[\*- *Stara rosyjska miara trunków - dziesiąta część pojemności wiadra.*], i tak dalej. Ale z roztargnienia zapomniawszy o tej karteczce, wetknął ją w podanie Skirskiego, na którym sam napisał jak najbardziej pozytywną opinię!

- Ach, cóż za kontuzja!

- Iljo Siemionowiczu, mam nadzieję, że to nie koniec opowieści?

- Skądże, kniaziu! Następnego dnia seminarzysta z prośbą i opinią idzie do świątobliwego władcy Inokientija. Ten ostatni czyta opinię i - o zgrozo! - znajduje notatkę.



Seminarzysta się nie zapierał - i opowiedział wszystko, jak było...

- I co, niech nas pan nie torturuje, profesorze!

- No, wszyscy wiedzą, jak się władcyka odnosi do łapownictwa. Z jego osobistego polecenia Gniedycz został zwolniony ze stanowiska egzaminatora, a sam etat został zlikwidowany jako zbędny.

- Tak, surowy człowiek z naszego władcyki...

Nudzisz się, Raszka?

Nie.

Czekasz.

Dzięki trudowi sług pod najbliższymi topolami - w maju ich puch jest bardzo dokuczliwy, ale są tak piękne, że nie sposób wydać polecenie, by je ścięto - zakwitło stadko śnieżnobiałych stolików. Goście zaczerwienieni bardziej od miłej rozmowy niż nalewki z wisien; a każdy nieustannie łypie okiem na drogę - czy nie nadjeżdża przypadkiem maestro Sochatin.

Wszyscy czekają na Fiedieńkę.

A ty czekasz bardziej niecierpliwie niż inni.

Stęskniłaś się?

Nieopodal, z dala od gości, siedzi na werandzie domu młodziutka dziewczyna, za jej lewym ramieniem, odziana w czerń od czubka głowy po pięty, usadowiła się niczym wrona mateczka Choreszan. Prawdziwa *dedakaci*\*[\* - *Dedakaci - dostojna dama, dosłownie „mężna matka” (gruz-)*], święcie strzeże tradycji rodu Gandieri i odzywa się z rzadka, prawie wyłącznie w rodzinnym języku. Współzawodniczy w tym z twoją pokojówką i bardzo często odnosi nad nią zwycięstwa. Łatwo to sobie nawet wyobrażasz: dzicy tadżyccy zbóje dręczą starą kobietę przed pałacem Cze-chel-Sottun i odstępują, nie wydobywszy z niej ani słowa. W historii rodu kniazia pełno było takich przypadków - i takich kobiet.

Sam kraj też był taki.

Mateczkę Chorszewan, swoją przyrodnią ciotunię, kniaź przywiózł z Kaukazu w osiem miesięcy po waszym osiedleniu się w Charkowie, gdy tylko kupił dwór pod miastem, w Małyginie. Przywiózł ją razem z twoją pokojówką i, co było znacznie ważniejsze, ze swoją jedyną córką, Tamarą.

Te trzy kobiety, w braku lepszego określenia, nazywałaś w myślach „rodziną Szałwy”.

Siedząca w krześle dziewczyna jakby usłyszała twoje myśli i słodko się przeciągnęła, zarzuciwszy ręce za głowę. Letnia sukienka obciągnęła się i podkreśliła zarys piersi, a także za

bardzo obnażyła kształtne kostki - Tamara przybrała pozę niezbyt odpowiednią dla młodej panny z szacownej rodziny. Czyż to nie dziwne, Kniahini, że akurat teraz przypomniałaś sobie dawną historię, którą ci opowiedział sługa żytomierskiej synagogi. O pewnej młodej abrahamitce, którą despota burmistrz za uprawianie wiedźmich czarów kazał przywiązać do grzbietu dzikiego rumaka. W ostatnim życzeniu nieszczęśnica poprosiła o dwie agrafki, którymi przypięła suknię bezpośrednio do nóg, żeby podczas kaźni nie obnażyć się nieskromnie przed obcymi ludźmi.

Ale urodziwą Tamarę względy przyzwoitości interesowały mniej więcej w tym samym stopniu, co dobroczynne kwesty na rzecz głodujących Etiopczyków.

Księżniczka nie była pozbawiona poczucia wstydu.

Była tylko upośledzona umysłowo.

Przypomniałaś sobie, jak podczas pierwszego waszego spotkania odczułaś zdumienie równe niemal fizycznemu bólowi: w żaden sposób nie udawało ci się wyczuć dziewczyny. Każde przesłanie nie tylko odbijało się od nieprzeniknionej ściany - grzęzło jak kamień rzucony w bagno. Jakby zamiast Tamary stał przed tobą oficer żandarmerii z korpusu „Barbarzyńca”. Podobieństwo dziewczyny do ojca zwiększało jeszcze to złudzenie. Sam ojciec przedstawił was sobie z niezwykłą, demonstracyjną wprost uprzejmością: „Moja córka, Tamoczka. A to, kochanie, moja nowa żona. Jeżeli chcesz, nazywaj ją po prostu Elzą”. Ujęłaś nawet dziewczynę serdecznie za rękę i ledwo się wstrzymałaś od okrzyku zdziwienia.

Obojętność za serdeczność.

Ręka była absolutnie *pusta*.

Czegoś takiego wśród ludzi się nie spotyka. Dziewczyna nie odpowiedziała, patrząc ci gdzieś ponad ramię; a potem, kiedy puściłaś jej dłoń, Tamara uśmiechnęła się do swoich myśli i odeszła powoli, odprowadzana przez mateczkę Choreszan.

- Nie gniewaj się, Elzo - poprosił Gandieri cicho, poruszywszy policzkiem. - Sama widzisz...

Elzą, zamiast jak dawniej Raisą Siergiejewną, zaczął cię nazywać zaraz po przyjeździe. Ani razu się nie potknął, nie przejęzyczył ani nie zapomniał - pomyłka byłaby w końcu wybaczalna u każdego, ale nie u Cyklopa. Zresztą, każde z tych imion miało takie same prawo do istnienia - to znaczy żadne.

Przelotny kaprys i tyle...

- Nie gniewam się - odpowiedziałaś.

I rzeczywiście nie czułaś urazy. Nie można się gniewać na topole, na wiatr, na drącą się w gałęziach wilgę, jeżeli zapomnieli odpowiedzieć na twoje powitanie. Nie można się gniewać

na biedną, niczemu nie winną Tamarę Gandieri.

Wtedy jeszcze nie wiedziałaś, że pokochasz nieszczęsną dziewczynę. Myślałaś, że jest niema, a na dodatek niedorozwinięta umysłowo. I rzeczywiście, podczas następnych dwu miesięcy nie usłyszałaś od niej jednego słowa. Kupiony przez kniazia od księcia Golicyna dworek był bardzo wygodnie urządzone i gdyby się uprzeć, można tu było mieszkać przez cały rok. W odległości pół godziny jazdy, w swoim drugim majątku, łaskawi i szlachetni Golicynowie urządzili przytułek dla samotnych i ubogich - uznałaś to za ironię losu.

Wydało ci się, że macie wiele wspólnego ze sobą: upośledzona Tamara Gandieri i uboga Raszka-Kniahini, dwa okaleczone ptaki, zaplątane w sidłach losu.

Myliłaś się.

- Witaj, Elzo - rzuciła ci w biegu któregoś dusznego sierpniowego poranka Tamara. I natychmiast puściła się pędem w stronę stawu, zmuszając mateczkę Choreszan do potoczenia się za nią w towarzystwie groźnych, gruzińskich wrzasków. Nie musiałaś się wsłuchiwać w sens obcych słów, nie było potrzeby. Patrzyłaś na uciekinierkę i jej wierną duenię, a w głowie, niczym schwytyany wróbel, tłukła ci się myśl:

„Ona nie jest niemową! Umie mówić!”

Tamara rozmawiała jeszcze przez półtora tygodnia. Demonstrując przy tym przejawy rozumu i zdrowego rozsądku. Pod koniec miesiąca zamęczała cię prośbami, żeby znów jej zagrać „coś z Szopena”, a na początku września ponownie przeistoczyła się w roślinę z cichym, smutnym uśmiechem na twarzy.

Tymczasem po mieście zaczęły krążyć opowieści o wariactwie pułkownikowskiej córki. Kniaziowi okazywano współczucie, plotkowano i szeptano po kątach. Zawołany pożeracz serc, Michel D'Anzas, oficer dragonów i krewniak wicegubernatora zażartował raz w towarzystwie, że koniecznie musi zostać zięciem komendanta szkoły, ponieważ od dziecka nie znosi mądrych dziewcząt.

Cyklop posłał mu sekundantów. Mający wybór broni żartowniś zdecydował się na szablę, którą - jak mówiono - władał znakomicie, i został straszliwie, z zimną krwią pochlastany przez pułkownika; Gandieri zdążył zamienić wesołego pięknisia w krwawy koszmar, zanim wmieszali się sekundanci.

Później zaniechano żartów.

Nawet o tobie, Kniahini, plotkowano półgłosem i oglądając się niespokojnie przez ramię.

- Jadą! Jadą!

Wszyscy usłyszeli tupot kopyt, szelest kół po liściach, które usiały park wokół domu; od bramy rozległo się niskie gardłowe szczekanie - dog Trismegistos, plamiasty olbrzym, który leżąc spokojnie bardzo przypominał rzeźbę, jeżeli kogoś kochał, to bezgranicznie.

- Jada!

Z zamarłym sercem patrzyłaś, jak zeskoczywszy z bryczki i pomógłszy zejść na ziemię żonie, odwrócił się ku wam Fiodor Fiodorowicz Sochatin.

Fied'ka.

„Leszy! Fied'ka-leszy, siła nieczysta! Widzicie, jaki straszny! Uciekaa-a-ć!”

Jak zawsze, odgrywał jakąś swoją, zajmującą i zaprzatającą go bez reszty rolę. Zdolny z jednakowym szykiem nosić frak i huzarski dolman, tym razem Fied'ka ubrał się wedle starej, przyjętej wśród tutejszych mieszczan-mody. Teraz tak ubierali się chyba tylko najlepsi bokserzy, zbierający się na ulubionym miejscu: za dzielnicową synagogą, na placu u skrzyżowanie ulic Mieszczańskiej i Białogrodzkiej.

Patrzcie tylko: potężne bary do trzasku w szwach rozpierają żupan, krótki, skrojony z niebieskiego sukna i opasany trzykrotnie czerwonym pasem; czapka z siwej smuszki, chwacko zsunięta na bakier. Mało wam? No to jeszcze czarne plisowane spodnie luźno wpuszczone w buty, wypucowane do lustrzanego połysku.

I na koniec mocno zaciśnięta w zębach fajeczka oprawiona w srebro, z której unosi się smuzka dymu.

Zamożny fircyk z minionych czasów.

Przypomniałaś sobie, że tak właśnie był odziany Fied'ka, kiedy w trzeciej rundzie powalił osławionego Kowala, studenta fakultetu medycznego, a potem w hotelu Afanasjewa spoił pokonanego „w trupa” i na własnych plecach odniósł do domu na drugi kraniec miasta.

- Fiodorze Fiodorowiczu!

- Witamy!

- Aleksandro Filatowna! Wygląda pani coraz lepiej, serdeńko!

- Maestro!

- Wiersze! Najnowsze! Niechże pan przeczyta!!! Sukinsyn Fiodor natychmiast zmienił taktykę: nawet nie jak bocian, ale jak Miszka kosolapy zamasyście uklonił się zebranym i przyłożywszy dłoń do serca natychmiast się upodobił do podstarzałego aktorzyzny z prowincjonalnej trupy.

I uniółszy wzrok w górę, zaciągnął z melancholijnym, niżogrodzkim akcentem:

- Zachód nam drzewa perskim różu lśnieniem Dziś zaczarował!

Skórę jelenią poplamioną cieniem,

Wdziała dąbrowa.

Rzeka tajemnym spłynęła strumieniem...

Umilkł na chwilę. Spoważniał i powoli obrzucił zebranych ciężkim spojrzeniem.

I już bez błazeństw, twardo i spokojnie, niczym gwóźdź w trumnę wbił ostatnią strofę:

- ...Puste to słowa.

Rozległy się oklaski.

Oczywiście, na żadne tam eteryczne działania czy wpływy Fied'ka sobie nie pozwolił: twój zakaz, Kniahini, był dlań święty. Do wejścia w Konwent chrześniak sam pracować nie może - ale tu wcale to nie było potrzebne.

I bez „eteru” masz ich w garści, Fied'ka.

Akulka-Akulina (a raczej, zgodnie z paszportem, Aleksandra Filatowa) tymczasem zdążyła już przemknąć ku najbliższemu stolikowi, gdzie przysiadła z brzeżku krzesła i natychmiast stała się jakby niewidzialna. Potrafiła to robić na życzenie. Ciężę nosiła lekko i nie za bardzo narzucała się z nią otoczeniu, a do popularności męża odnosiła się ze sporą dozą ironii - szczęśliwie nie okazywała jej przy ludziach. Teraz odrzuciwszy woalkę, młoda kobieta łyknęła odrobinę swojego ulubionego napitku, kwasu z gruszy, zawsze przygotowywanego przed jej przyjazdem do Małygina.

- Witaj, serdeńko - szepnęła jej tak, żeby to wszyscy usłyszeli, dorodna małżonka liii Siemionowicza, uniwersyteckiego profesora katedry prawa rzymskiego. - Wspaniały jest ten wasz ślubny! Z całego serca wam zazdroszczę!

- I bardzo słusznie! - odezwała się chrześniaczka dźwięcznym głosem, zawczasu wybijając z głowy pani profesorowej chętkę na światowe rozmowy. - Na pani miejscu też bym zazdrościła.

Po czym przesłała urażonemu lekko profesorowi pocałunek, przekształcając obrazę w komplement.

## NOTATKI NA MARGINESIE

*Bardzo łatwo spostrzec, że pan profesor ma w oczach: ...kurę.*

*Chodzi kura po podwórzu, grzebie łapą, ziarenek wyszukuje:*

*Przechyli głowę na bok, popatrzy jednym oczkiem, zerknie drugim - dobre to znalezisko?*

*Ko-ko, ko-ko, ko-ko, żyć nielekk-kooo!*

*Albo zatrzyma się i ukradkiem zerknie na koguta z przechylonym grzebieniem, który*

*przechadza się nieopodal.*

*Całkiem niezły kogut, szkoda tylko, że nieco starawy...*

*Za to sąsiedzki...*

Fiodor tymczasem podszedł do ciebie, Kniahini, rozplywając się w pełnych zachwytu wyrazach powitania. Padłszy na jedno kolano, pocałował cię w dłoń twardymi, gorącymi wargami.

- I jak tam ten twój Kreinbring? - zapytałaś, pogładziwszy krucze kędziory.

- Bawi się w mecenasa, ciociu Elzo - Fiodor z przesadną nudą rozłożył ręce, ale lśnienie jego oczu można było bardzo łatwo odczytać: fabrykant okazał się bardziej hojny, niż Fiodor się spodziewał.

- Na długo do nas?

- Do wieczora, ciociu Elzo. A może i zanocujemy. Nie wygonicie nas na noc, prawda? Jadą drogą drogi nocą, a w progu cienie się tłoczą...

- Głupstwa pleciesz, rymopisie! - wtrącił się Gandieri z szerszym niż zwykle uśmiechem na twarzy. Nastroszyłaś się, bo w dodatku do nieco sztucznego uśmiechu, panu pułkownikowi ponownie podejrzenie drgnął głos. Drugi raz podczas jednego dnia, co przedtem się nigdy nie zdarzało. Czy nie za często, Cyklopie?

Co prawda, nikt tego nie zauważył, oprócz ciebie.

- Nie tylko nie przegonimy! Siłą zatrzymamy! Co to ja, na darmo żandarmem jestem!

- Nie na darmo, wujku Szałwo. Wszyscy wiedzą, że nie na darmo.

Fiodor wyciągnął dłoń do kniazia. Obaj wymienili mocny, męski uścisk dłoni; co nikogo nie zdziwiło - zebrani doskonale wiedzieli, że pozbawiony wyrokiem losu syna i następcy, książę bardzo kocha krewniaka swej drugiej żony, Fiodora Sochatina.

I pewnie sporo mu zapisze w testamencie.

Nie było dla ciebie tajemnicą, że w oczach tutejszych przedstawicieli bohemy i wielkiego świata Fied'ka, który zgodnie z dokumentami miał być twoim krewniakiem, jest uważany za twój syn z nieprawego łoża. „Podczas pierwszego małżeństwa zmaistrowała go sobie na boku - szeptano po kątach. - Z tym huzarem chocimskim! Ale co też mówicie, z jakim huzarem? Z angielskim dżokejem! A zapisała go jako krewnego, żeby bez wstydu przy sobie go trzymać!”.

Te plotki całkowicie ci odpowiadały.

Co więcej: odpowiadały i kniaziowi.

- Fiodorze Fiedorowiczu! - wtrąciła się profesorowa. - Błagam: „Balladę Widm”!

Będąc niedysponowana, musiałam zrezygnować z obecności na waszym wieczorze poetyckim u hrabiny Trubeckiej... Błagam...

- Prosimy! - pozostali goście szumnie poparli profesorową. - Fiodorze Fiedorowiczu! Prosimy!

Fiodor spojrział na ciebie z pytaniem w oczach: śpiewać, Kniahini?

Kiwnęłaś głową.

A on, łądak jeden, demonstracyjnie skoczył do powoziku, pogrzebał gdzieś pod koźłem i wyjął mandolinę. Starą, z popękany lakierem. Zwycięsko uniósł ją nad głową, wywołując u zebranych westchnienie zachwytu, a potem wrócił i podał ją tobie.

- Błagam, ciociu Elzo! Będąc niedysponowany po wieczorze u pani Kreinbring... madera, potem gorzalka! Sami wiecie, palce drżą...

Nie, profesorowa nie umiała się gniewać na swoje bóstwo! Starła się ze wszystkich sił: zaciskała wargi i niczym mops trzęsła pulchnymi policzkami. Nie wyszło jej. A ty, ledwo tknęłaś palcem strun, zrozumiałaś, że instrument nastrojono już wcześniej. Nastrojono jak dla ciebie, pod twój chwyt i styl gry.

W drodze się uwiął, czy co?

Jedną ręką trzymał lejce, a drugą stroił?

Oczywiście, wołałabyś alhambryjską gitarę albo ostatecznie lutnię, ale wyboru nie było. Sama przecież kiwnęłaś głową, nikt cię w tył głowy nie pchał. Teraz graj, „ciociu Elzo”. I nie ma się co jeżyć: w rzeczy samej lubiłaś takie właśnie dni, wieczory i spotkania, kiedy mogłaś widzieć Fied’kę, grać dla niego, którego prawie wszyscy - z tobą włącznie - uważali za twojego syna.

Zaprzeczysz?

Nie. I w takich chwilach’można nie myśleć o najważniejszym; o tym, że Fiodor i jego żona już niedługo wejdą w Prawo.

I to wszystko.

Głupia, stara Raszka... A pamiętasz swoje własne wejście w Prawo? O, oczywiście, nie zapomnisz do końca życia, i po śmierci będziesz wspominać.

No to wspomnijmy razem, co?

...dobrze byłoby wiedzieć, czemu cię wtedy zapamiętałem.

Szłaś, jak wszyscy.

Wyglądałaś jak wszyscy.

Mucha na taśmie lepu - jak wszyscy.

Może sedno sprawy tkwiło gdzie indziej: szłaś i wcale się nie odwracałaś.

Siedemnastoletnia smarkula, maleńki robaczek, nawet nie próbowałaś skrycie obejrzeć się przez ramię: gdzie chrzestna wróżka? Czy stoi za tobą?

Jakbyś wiedziała: stoi.

Witajcie, Ester Gedaliwna; jak się ma wasz ojciec w Żytomierzu? Reb zapewnia Icchaka Lejbusza, że po pierwsze, dawno już wyrzekł się marnotrawnej córki, po drugie, nigdy córki nie miał, a po trzecie, żona płacze po nocach, on zaś sam też przecież ma serce, które krwią serdeczną mu broczy. No dobrze, Ester Gedaliwna, odstępczyni najdroższa, niechże pani na to plunie i rozetrze stopą. Co, przywiodła pani do mnie waszą dziewczynę? Oj, to przecież nie dziewczyna, to młodziutki pączek róży! Tfu, żeby nie zapeszyć! Zechce mi pani wybaczyć, nie mam dziś sił na żarty, a na ten śmieszny akcent, którego pani, Ester Gedaliwna, Damo Dzwonkowa, dawno się już pozbyłaś, też sił już nie mam. Stójcie sobie za plecami waszej dziewczyny, która się na panią nawet obejrzeć nie chce, niechże pani stoi w milczeniu i nie zwraca uwagi na moje postękiwania.

Mam dziś chandrę.

Kocham swoją chandrę. Pieszczę ją, hołubię, cieszę się z jej nadejścia, ponieważ mój zwykły stan ma też drugą nazwę - rozpacz. A dziś warczę bez powodu i mając powód, ale na samej krawędzi świta brzeżek wstającego słońca, jutro wszystko będzie inaczej, jutro albo już dziś, pod wieczór, albo zaraz i teraz...

Czekam tak długo, że czas zdążył już stracić dla mnie swoją cenę, nabrał nową - i znów ją utracił.

Szkoda.

Szkoda czasu.

Jakże cię zwą, dziewczyno? Rachel? Dobre imię? Stare, wytrawne - nie imię, ale wino. I służył Jakub za Rachel lat siedem, i wydały mu się jak kilka dni, bo ją kochał. Co prawda, dziecko, nie jestem Jakubem i nie mam kiedy odsłużyć za ciebie siedmiu lat (siedmiu? Ziarnka piasku z drwiną spływają mi między palcami); i mam nadzieję, że nie poczujesz urazy, kiedy powiem, że cię nie kocham.

Nie przeszkodzi mi to wcale wejść w ciebie i poznać cię, wdrzeć się w najbardziej mroczny schowek bez nadziei na to, by kiedykolwiek się uwolnić - lochy moje tysięczne, przychodźcie do mnie same, a ja sprawdzam moc waszych ścian, niezawodność rygli, kajdany i łańcuchy, ogniwo za ogniwo, skuwka za skuwką.

No, dalejże, na początek zapalę ci ogień - jak wszystkim.

Idź.

Najwyższy czas przywyknąć, a jakoś nie wychodzi. Bolesnie jest oglądać ten ogień, ten



zwykły leśny pożar, kiedy dawniej mogłem zadać i obruszyć na ziemię szaleństwo gradu i ognia zmieszanych z krwią, postawić dęba kosmatą grzywą Kobylej Głowy, symbolu końca świata, uderzyć w ziemię piorunami gromów, jak chłop w zapale rzuca na ziemię wyświechtaną czapę... i dopiero potem, roześmiewszy się nagle, powiedzieć:

- Idź!

Oto mi tortura: wypełniać sobie wieczność wspomnieniami dawnej mocy, z każdym dniem zmniejszając się i karlejąc!

Tysiące sępów, niewiedzących, co czynią, dziobie moją wątrobę - i unoszą ze sobą jej kęsy. A głupia wątroba codziennie odrasta; a sępy się płodzą i rozmnażają, żyjąc niczym ptaszkiwie niebiescy - nie orzą, nie sieją, ale się karmią...

Ach, już przeszłaś'?

Widzę, widzę: deszcz lunął z niebios, wiatr rozepchnął ogniste języki i węgle syczą niczym węże w błocie, pod stopami. Ciekawe, nawiasem mówiąc, czemu zawsze przychodzicie do mnie boso? Dobrze, potem...

Rozumiem, że i teraz się nie odwrócisz? No zerknij choćby kątem oka, żeby moją próżność zaspokoić: Ester Gedaliwna, Firo-Kokotko, dobra jestem?! Godna swojej chrzestnej?! Nie chcesz? I dobrze. Pojmujesz, dziewczyno, nie jesteś jedna - niestety! - w sumie jest was teraz pięcioro, idziecie do mnie różnymi drogami, chcąc wejść w Konwencję; idziecie, nie widząc siebie nawzajem i jesteście przekonani o swojej wyjątkowości i samotności, a ja siedzę jak dureń na przecięciu waszych dróg i czekam, wiedząc z góry, że czcze to czekanie.

Dobre słowo: „czcze”. Głupie, przekłete i bardzo dobrze, że jego sens powoli jest zapominany.

Na świecie i bez tego jest za wiele słów.

Lepiej będzie, mała, jak spróbuję cię postraszyć. U-u... stra-chy-niewidy! - pięciu włóczęgów czyhających na wielkiej drodze na twoją liliową dziewiczość, mordy pijackie, nieogolone, jednego syf pozbawił nochala, nozdrza wyjadając...

Boisz się?

Nie?!

No, a ja się boję: Po niebieskowłosych demonach Saj-Khonu, po Żółtym Smoku Keinari i wiecznie głodnym bloku z głębin Świata Bydlaków, po jakszach z powywracanymi oczami - oberwańcy i włóczęgi. Syfilitycy paskudni. I nie na duszę nieśmiertelną się zasadzili, ale na dziewictwo! Nie moja to wina, Raszka, ja mogę tylko to, co wy możecie, co mogę ja-w-was!

Ja - Duch Prawa.

Śmierdzący, zapleśniały duch. Obym był przeklęty za swoje odkrycie! Ach tak, już przecież jestem przeklęty! Czasami zapominam, zestarzałem się i w głowie mi myszy harcują. Jam jest Duch Prawa i Konwencji, a wy wszyscy litery, litery, litery, w których wiecznie muszę siedzieć, liniejąc i blaknąć z każdą nową kopią; farby dziś' drogie, pióra wietrzeją, ręka drży z wysiłku...

Kurzy się i pokrywa pyłem w skarbczykach oryginał, patrzy na kopie w galeriach obrazów... zdejmujcie, paskudnicy, spalcie! Gdyby to ode mnie zależało, szłabyś ku mnie w blasku błyskawic, oświetlona zorzą dalekich pożarów, za twoimi plecami trzepotałyby poły opończy ze skóry nietoperza, a szczyt twego posocha byłby świecił w nocy rombem z wielkiego rubinu! Gdyby to ode mnie zależało... ale ja już nie mam swojej woli, była, ale się zbyła, i ty jej też już nie będziesz miała - nie mówię o obozie karnym, moja poczciwa duszo, ale o czymś? zupełnie innym.

Głupiaś ty.

No, głupia i tyle.

Idziesz, nawet się nie obejrzyysz, a moje draby, zostawszy z tyłu, czapki w łapach gniotą i w pas się kłaniają:

- Dziękuję pięknie, panienczko! Nigdy nie zapomnimy! Nogi myć wam będziem, i tę wodę wypijem...

Kto ich tam wie, czego nie zapomną i coś ty im pokazała, przechodząc obok? Nie popatrzyłem. Przegapiłem.

Nieciekawe to.

Gdzie chandra? Witaj, rozpaczy!

...a gdy się zbliżyłaś, kiedy stanęłaś naprzeciwko mnie, starając się na mnie nie patrzeć - co, niemiły widok? tak?! pocierp trochę, skarbie!!! - rozsunąłem talię kart w wachlarz, niczym żongler.

Blotki, damy, króle... wszystkie karty mają jedną koszulkę - swoją, tę która ciała jest bliższa.

- Ciągniesz?

- Ciągnę!

Delikatna rączka wysunęła się ku przodowi, ale ja zręcznie cofnąłem różnobarwny wachlarz.

Ostatnie pytanie.

Pytanie, na które z góry jest wiadoma odpowiedź.

Zawsze wszyscy odpowiadacie tak samo: dumni, uskrzydleni, którzy dostaliście się na

wyżyny z poparcia chrestnych, których za nic nie zgodzicie się sprzedać; wy... ale muszę próbować.

Nieustannie i wciąż od nowa.

Beznadziejnie.

Jakbym walił łbem o ścianę.

Odchodziłaś, Damo Dzwonkowa, przysła Raszko-Kniahini, niezbyt udatnie skrywając radość - ja! Dama jak Ester Gedaliewna! Jej równa - tyś odchodziła, a ja zostawałem.

Patrzyłem za tobą.

Widziałem różnicę pomiędzy Damą przeszłości i Damą terażniejszości; a widząc ją, z całego serca pragnąłem oślepnąć.

Głupia sprawa - ponieważ wy odchodzicie, a ja zostaję, odchodząc w każdym z was; wy jesteście widzący, tak wam się wydaje, zawsze odpowiadacie tak samo, co oznacza, że ja nigdy nie oślepnę.

Błazen z ciebie dubeltowy.

Ty - to ja.

Struny boleśnie wpiły się w palce.

Złagodziły gwałtowny z początku temperament, rozbiegły się na wszystkie strony, płacząc się dysonansami w trawie; sama prawie nie zauważyłaś, kiedy właściwie zmusiłaś dźwięczne echo, by odezwało się w górze, jakbyś grała nie na polance w parku, a w wysoko sklepionej sali, w której okna są witrażami, pochodnie płoną jak ogniste chusty, a za długim stołem z desek siedzą tylko cienie, cienie, cienie...

Widma.

- ...jam duch zapomnianego zamku. I stróż zamkniętej sali.

Na marmurowych płytach, w ciszy niezrodzonego słowa, Chronię resztki przeszłości... Ostańce czasu minionego...

Fied'ka zaczął cicho, prawie bezgłośnie. Przypadkowo dźwięknęła karafka o czarę - Ilia Siemionowicz nalał sobie wiśniówki, ale przestraszył się dźwięku, cofnął dłoń i zadziwiająco zręcznie, jak na niezdarnego profesora, odstawił karafkę na miejsce.

Kropla nalewki w kryształach długo się namyślała - aż wreszcie zamieniła się w kroplę krwi.

I zastygła.

Jedynie Gandieri ośmielił się podejść do balustrady werandy. Oparłszy się, zaczął patrzeć i słuchać z daleka. I wargi zagryzał pan pułkownik.

A za jego plecami - córka Tamara.

Patrzy gdzieś w bok.

Śpiewałem niegdyś w zamku tym

Sala zastygła ze zdumienia.

A tam, u dalekich - przeklętych! - komnat

Stała pani.

I niepokój w oczach.

Jam widmo zamku zapomnianego

Lecz pamięć mnie nie zawiodła,

I drżenie waszych warg, i drżenie jedwabnej robótki

Wcięło się drżącą struną

W opuszki palców...

A jakże, wcięło się. Trzy razy ci się zdarzyło, że akompaniowałeś Fiedieńce przy „Balladzie Widm” i trzy razy po tych słowach sztywniały ci palce, Kniahini. Poddawały się innemu mistrzowi, innej prawdzie; przeciągły, szkocki zaśpiew wypływał ze strun sam, mimo woli - nigdy go nie grałaś, oprócz tych rzadkich przypadków, a pojawiający się znikąd podmuch powietrza zawsze zaczynał się bawić z kosmykiem włosów u skroni.

Co ty z nimi wszystkimi robisz, Fied’ka?

Co robisz mnie?!

Co ja, Dama Dzwonkowa, zrobiłam z ciebie. Kogo stworzyłam?

Pamiętasz, lady, choć cokolwiek?

Zamknięte życie, jak okiennica.

Przez piekło odtrącony, rajske ogrody mnie nie wabią,

Jam widmo, cień,

Udręka nocna.

Za wszystkich odpowiadam.

W przyszłości widmo niech nie grzebie. Wasz mąż - rycerzem jest, to pewna. Pocięte świece, na płytach winna rosa?

Nad ciałem barona Zabójcę wasale rozsiekli.

W tejsze chwili, jakby poddając się mrocznemu nakazowi, zawył Trismegistos. W dworku, pomiędzy światowymi, żywymi ludźmi zawył do księżycy, którego nie było w dzień i

nad nieistniejącym trupem.

A w rękach Fiodora pojawiła się dziecięca grzechotka z lipy. Zeszły się żebrowane krawędzie, zastukały niczym obcasy po płytach, huknęły obcasami ciężkich butów; wiatr rozsunął jedwabie zasłon i oto... ledwo słyszalny skrzyp otwieranych drzwi.

Kroki.

Żywi tak nie stąpają.

- Jam z waszym mężem równie teraz.

Związała z sobą nas ta krew,

Wrogowie dawni, słów wiele w siebie rzucaliśmy

Was, moja pani

Dawno już tutaj nie ma.

My, dwaj mężczyźni z życia twego Myśmy już byli, a tyś żywa jeszcze Tylko przed tobą gięliśmy kolana, A w noc naszego starcia Ciebie bezsenność dręczy.

Gdzieś niedaleko, nerwowym kontrapunktem, zabrzmiał nowy rytm. Nawet nie spojrzawsz w tę stronę, muskałaś palcami struny mandoliny, wiedząc, że to Akulka stuka opuszkami palców w stolik. Akulka-Akulina, dziewczyna wiercipięta; Aleksandra Fiłatowa, maleńka pani, przed którą cały personel charkowskiego ogrodu zoologicznego chodzi na paluszkach - stuka palcami.

Postukuje.

Lekko, leciutko.

A wydaje się, że do wtóru uderzają madryckie kastaniety. I od razu wzdrygnęły się przejęte zimnych dreszczem plecy, czując daleki taniec, stuk nałożył się na stuk, spieniając dźwięczne bulgotanie mandoliny pamięcią o minionym, prawie zapomnianym - niegdysiejszym! - życiu, które stało się bólem pamięci.

Dzięki za ból.

...wokół pościeli zmiętej waszej

Biją się cienie śpiewające

I struny dźwięczą, i zbroje jęczą pod mieczami

Niechże wam Bóg przebaczy

Nasza pani.

A my was pożegnamy.

Ostatni raz zatrzeszczała grzechotka.

Ostatni raz uderzyły szczupłe palce o krawędź stołu.

Ostatni raz jęknęły struny.

Koniec.

W ciszy, nie mówiąc słowa, wstała z krzesła Tamara Gandieri, woskowa kukła. Zeszła z werandy, deptając zielen trawy i czerwone złoto liści. Za jej plecami porwała się mateczka Choreszan, skoczyła za panienką - ale nie zdążyła.

Niby powoli szła Tamara, płynęła nad trawą niczym obłoczek - a dognać i wyprzedzić jej się nie dało.

Stała kniaziowa córka przed Fied'ką Sochaczem.

Tamara przed Demonem.

Ty, Kniahini, też się spóźniłaś. Wszystko wyszło inaczej; jak w życiu nie bywa, bo nie powinno. Dziewicze dłonie ujęły chłopca mocno za policzki; i Fiodor, nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, pochylił się ku szalonej dziewczynie; wargi stopiły się w jedność z wargami.

Na długo.

Mocno.

A gdy chłopak wreszcie się wyprostował, spojrzał w bok, gdzie niczym dźwięczna klinga uniosła się nad stołem Akulka, prawowita małżonka i ukochana. Zazdrosna bardziej od Maura Otella, jakim go zagrał Tommaso Salwini-ojciec. Kto winien? Kto się z tobą znosił?! Ja?! Ja cię własnymi rękoma uduszę!

Fied'ka wzruszył ramionami - i niewiele brakło, a żupan pękłby mu na plecach. Nie jestem winien. Wierzysz? I nie wiem, co teraz zrobić.

Nie winię cię, wróciła doń milcząca odpowiedź. Wierzę. A oddać - nie oddam.

A Tamara Gandieri przechwyciła te rozmowy-spojrzenia w locie. I na miejscu pięknej, ociężalej umysłowo dziewczyny, pojawił się drapieżny ptak. Zamiast szponów i dzioba miała srebrny nóż, porwany z najbliższego stołu. Ruszyły ku sobie: drapieżna, zębata rybka, morskie dziwo - i górską orlicą z dziobem i szponami gotowymi rwać wszystko i wszystkich. Ruszyły na siebie wbrew wszelkiemu rozsądkowi: po co rozum dwóm wściekłym kobietom? Po co im słowa? Względy przyzwoitości?

Nie doszła Tamara do przeciwniczki. Przechwycił ojciec ukochaną córkę, odwrócił Gandieri krew z krwi swojej skażonej. „Brawo!” - śmieje się. - „Zuch Timoczka!” - śmieje się. „Nasza krew!” - śmieje się.

No popatrz, Kniahini! - powinnaś Akulkę trzymać i uspokajać, a ty się czegoś innego śmiertelnie przestraszyłaś. Nigdy wcześniej nie śmiał się tak pułkownik-Cyklop: na całe gardło,

zanosząc się śmiechem. Gdzie się tego nauczył? Kiedy? W szczęściu? Czy w biedzie?!

Goście udają, że nic się nie stało, a wszystko jest w porządku. Nieglupi ludzie. Oni się rozjadą, a wy zostaniecie.

Wasza w końcu sprawa.

Po upływie godziny, gdy zatarło się złe wrażenie, zagrałaś gościom na mandolinie. Pamiętasz? Żeby na mieście nie było plotek.

#### **IV. DRUC-KONIARZ ALBO ROZJUSZONA DAMULKA REKINEM\* ZWANĄ**

*Bądź mądry, mój synu, i rozweselaj moje serce,*

*A będę mógł dać odprawę temu, kto mnie liy.*

*Przypowieści Salomona*

*\* - Tłumacz przypomina roztargnionym czytelnikom, że w języku rosyjskim „akula” jest nazwą ryby, której Polacy za Francuzami nadali nazwę żalobnego psalmu (rekin - Requiem).*

Okazało się, że w maleńkim gabinecie ojca Grigorija może doskonale zmieścić się jeszcze jeden gość.

Był to zresztą nie pierwszy raz, a teraz Akulina, zanim usiadła, rozwinęła burzliwą działalność. Na kuchence zagotowała czajniczek wody (z samowarem byłoby więcej zachodu!) i zaparzyła piekielnie mocny napitek, przywieziony z dalekiej, niemal baśniowej wyspy Sri Lanki dzięki staraniom rosyjskiej kompanii handlowej „Karawana”. Sam ojczulek dawniej nie pijał herbaty i warzył sobie jakieś zielsko, z barwy i smaku najbardziej przypominające mieszaninę rdzy i drewnianych opiółków - ale wspólnie z Akuliną szybko to naprawiliście i ukazaliście ojcu Grigorijowi drogę prawdy.

Zepchnąwszy na bok księgi i stosy papierzyk, na stole niczym Mesjasz w otoczeniu apostołów pojawiła się cukierniczka z rąbaną „głową” rafinowanych słodczy, trzy barwne filiżanki, miseczka z konfiturami i koszyk na cukierki, który dla braku tych ostatnich napełniono kminkowymi herbatniczkami.

W sumie się okazało, że prowadzenie poprzedniej, mądrej rozmowy o drogach grzesznych, godziwych, eterycznych i niewypowiedzianych, stało się absolutnie niemożliwe. Kiedy Akulina chciała, potrafiła być najmiłą rozmówczynią i gospodynią - z tymi wszystkimi filiżankami-miseczkami-herbatką-konfiturami-ciasteczkami; i wcale jej w tym nie przeszkadzał skromnie krojony angielski kostium.

„Udaje dziewczyna - pomyślałaś, obracając w palcach kawałek herbatnika. - Zagryza strapienie jedzeniem. Chce zmiękczyć starego Druca”.

Nie wiadomo czemu przypomniała mu się nieboszczka Demeter, As balakławski. Pamiętasz, baro? - zjawileś się u starej po raz pierwszy, ta cię herbatką poczęstowała, a sama była tak miła i łagodna, że choćby chleb nią smarować zamiast masła.

Trafiłeś w sedno: weź maga i rozmaz go...

Moja ty dziarska rybko-akulko, co się stało? Czemuż mi żywa martwą Asicę przypominasz?

Nie odpowiesz? Na gorące dmuchasz? Sypiesz historyjkami z życia twojego ukochanego ogrodu zoologicznego, w którym znikasz codziennie na pięć, sześć godzin: z obowiązku i po prostu dlatego, że to lubisz?

- ...wyobraźcie sobie, ojcie Grigoriju - muflona ukradli! Chyba na mięso! Kręcą się tu przecież zbiegłe łobuzy! Zameldowano zarządcy ogrodu, on jak należy, powiadomi! policję i przysłali policaję. A ja akurat tam zaszłam, żeby Timoczkę odwiedzić.

Historia malgaskiego zielonego lemura Timoczki, którego szalejąca z niepokoju Akulina znalazła na śmietniku nieopodal Moskalewki, zasługiwałaby na oddzielne opowiadanie, gdyby jej obecni doskonale już nie znali.

- Podchodzę do wybiegu i patrzę niby na batalistyczny obraz olejny. Temat: policjant przy wykonywaniu obowiązków! Ogląda miejsce popełnienia zbrodni. Wybieg cały, śladów szczególnych brak. Obok przestępują z nogi na nogę dwaj dozorczy, Agafonycz z Polikarpyczem. Policaj obejrzał wybieg, zagląda na sąsiedni - a tam dwa gryfy spacerują. Zdumiał się mundurowy! „Przecież to ptaki! Odlecą do Etiopii i skarb poniesie stratę!” - „Takiego wała odleca! - Polikarpycz mu na to. - Skrzydła mają podcięte”. „A ten muflon, co? Też miał podcięte?” - zaciekawiał się policjant. Polikarpycz zaczął kaszlać, aż posiniał na twarzy, a Agafonycz nawet powieką nie mrugnął. „A skądże, wasza gorliwość! Nie miał.” Uradowany policjant zaraz wyjął formularz, podłożył deseczkę, kopiowy ołówek poślinił i dalejze protokół spisywać. Nie wytrzymałam, zajrzałam mu przez ramię i czytam: „Śledztwo w sprawie o zabór muflona należy zamknąć z powodu braku cech przestępstwa. Powód: wyżej wspomnianemu muflonowi nie podcięto skrzydeł i odleciał”.

Kiedy odśmialiście swoje z ojcem Grigorijem, a Akulina zjadła niemal połowę drobno potłuczonej głowy cukru, popijając herbatą - wreszcie się zdecydowałaś.

- Bóg z nim, z twoim muflonem znaczy. Powiedz mi co innego: dlaczego masz oczy na mokrym miejscu? Herbata ci nie w smak poszła?

Twoja chrześniaczka ostrożnie odstawiła filiżankę na stół. Spojrzała na ciebie i ojca



Grigorija tak, jakby was wrzątkiem oblała:

- Tamara, córka Szałwy Timurazowicza znów miała atak. Jak zeszłego roku w grudniu.

I jak przed dwoma laty.

Natychmiast wszystko zrozumiałaś.

- Fied'ka?

- Tak. Przyczepiła się do niego. Teraz Fied'ka nie może ruszyć się z dworu: Jak nie będzie go widzieć - znów zacznie się miotać i będzie próbowała ze sobą skończyć. Sama widziałam. Ledwo ją utrzymali.

Zrozumiałaś: dziewczyna (jaka tam dziewczyna, od dawna jest kobietą, rodzić niedługo będzie) trzyma się resztkami sił. Ale zrobić można tylko jedno: pozwolić, żeby się wygadała, nie gromadziła w sobie - niech się wygada do woli.

Lżej jej będzie.

- Akulino, przecież to nie potrwa długo. Trzy, może cztery dni. Pocierp i wytrzymaj, dobrze?

- Wujku Druc, przecież ja wiem! Wiem! Ode mnie wtedy też się po trzech dniach odczepiła. Pocierpie... wszystko będzie jak przedtem. Ale grzech na mnie wisi, ojczy Grigoriju: niewiele brakło, a zabiłabym biedną dziewczynę! Ruszyła na mnie z nożem... groźnie szła, a mnie omal rzuciło jej naprzeciw! W sercu war kipi, lada moment gardłem się wyleje, nie wytrzymam! Dziękować Szałwie Timurazowiczowi: zatrzymał córkę. Poprosił, żebym jak najszybciej wyjechała, jak najdalej od pokusy. Kolasę dał, stangreta - i wyjechałam. A Fied'ka został. Przecież wszystko rozumiem, nie patrzcie tak na mnie! Nic strasznego się nie stało. Pomieszka Fiodor w dworku... upał na zewnątrz, a tam strumień, jezioro... a potem jej przejdzie. Ona przecież niewinna, Tamoczka. Jej też mi żal. Nie gniewam się, nawet za ten nóż... rozeszło się po kościach...

No i masz, poniosło Akulinę. W oczach ma jeszcze łzy, ale z pewnością niedługo wyschną. Co prawda, nie ma jej czego zazdrościć. I tak dobrze się dziewczyna trzyma! Ukochany mąż został z inną, a ta wargi zagryza, ale fason trzyma. Wiadomo, że do niczego tam pomiędzy Fied'ką i Tamarą nie dojdzie; kniaź i Kniahini z niańkami są na miejscu... A mimo wszystko - serce nie sługa...

Szczególnie, jeżeli dziecko pod nim nosisz.

Akulina i Fiodor pobrali się w osiem miesięcy po przybyciu do Charkowa. Weselisko wyprawili trzydniowe. Ślub wzięli w największej cerkwi Woskriesieńskiej, potem pojechali do

Klubu Niemieckiego, gdzie znajdowała się najlepsza i największa restauracja w mieście, potem urządzili przejażdżkę po największych placach Więziennym i Zandarmskim - ze śpiewem, pohukiwaniami, petardami i w towarzystwie błaznów. Gdyby nie to, że w pierwszej bryczce na ojcowskim miejscu siedział książę Gandieri w calej krasie błękitnego munduru - kiepsko byłoby z weselnikami! A tak urządzili błazenadę, wszyscy tańczyli do upadłego pomiędzy budynkami - hej, podkóweczki, krzeszcie ognia, panna młoda tego godna! Przecież nie bez powodu radca stanu Cebrikow napisał kiedyś w raporcie: „charakterystyczny jest dla miasta brak karczem i restauracji”?!

Nad rankiem, na brzegu Łopani, kiedy wszystkich już zmęczyły tańce i picie, ale rozgrzani i pełni animuszu nie mieli zamiaru rozjeżdżać się do domów, Fied’ka nagle zaczął deklamować wiersze. Jak pięknie deklamował! Wszyscy się zasłuchali. I ty się zasłuchałeś, pamiętasz?

Pamiętasz, jakżeby inaczej! Właśnie tamtego dnia zrodziła się poetycka Sława Fied’ki. Chociaż przyszła ona nieco później. A wtedy, wypawszy się porządnie, młodzi z gośćmi pojechali na piknik, w zakole Północnego Donu. Wydało ci się wtedy, żeś wrócił do taborowego życia, że wróciła twoja młodość, Drucu mój miły - całą duszą pograżyłeś się w tańcach, piłeś nie upijając się, mimochodem robiłeś drobne cuda, które w razie czego można byłoby uznać za romskie finty i figliki. Kniahini śpiewała, a gitara w twoich rękach zanosila się płaczem i niby ptak do lotu się zrywała...

Niechże wam się szczęści w życiu, - młodzi...

O świcie, zmęczony i szczęśliwy wyciągnąłeś się na ziemi i spytałeś Fied’kę półgłosem:

- Posłuchaj, panie mężu. Nie pospieszyliscie się za bardzo? Twoja żonka młodziutka jeszcze... Nie skrzywdzisz to jej? Potrafisz ustąpić, kiedy będzie trzeba? Zrozum, z serca pytam, nie bez powodu pcham się w duszę z pytaniami!

- Wszystko u nas, Dufunia, w porę - Fiodor tknął się w ramię, zatrzymał rękę i szybko ścisnął palce, jakby powołując się na jakiś wam tylko znany sekret. - Sam rozumiesz, nowożeńcy nie śpią po nocach, to i snów nie widzą. A my z Akulką dość już mamy tych snów, po same gardła!

- Morę, o czym ty mówisz?

- Już ty wiesz, o czym ja mówię...

Wiedziąłeś. Dawno temu, splątawszy jawę ze wstydliwymi wizjami, jakie w swoim czasie nawiedzają każdego chrześniaka, rzuciłeś się z nożem na Jefrema Perłowego - chciałeś zarznąć nauczyciela. Za sprośności różnorakie; za myśli brudne i obrzydliwe. Dobrze jeszcze, żeś wtedy z nożem kiepsko się sprawiał - stłukł ci stary Jefrem mordę i nawet niczego wyjaśnić

nie raczył.

- Czekaj - warknął tylko, ocierając twarz. - Przejdzie.

Wszystko zrozumiałeś, ale dopiero wtedy, gdy wszedłeś w Prawo, gdy po raz pierwszy wziąłeś chrześniaka na Ugodę. Więc i teraz tylko klepnąłeś dłonią Fiodorowe łapsko.

- Czekaj, Fiedia. Przejdzie. Już niedługo, przestaniemy was z Kniahinią męczyć po nocach.

I zgłupiałeś?: natarły na ciebie oczy Fied'ki.

- Ej, Dufuńka, pocziwy z ciebie człowiek! Żebyż tylko z Kniahinią...

I zaczęli młodzi życie rodzinne.

Wszystko się pomiędzy nimi ułożyło - szybko i dobrze, a wyście się po cichu z tego cieszyli. Przez ramię spluwaliście i w nieheblowane drewno postukiwaliście. Szczęście - rzecz krucha i niepewna, rzadko komu się trafia. A jak się trafiło, to należy je trzymać obiema rękami i strzec, żeby ktoś nie zapeszył! Czy to im, smarkaczom, wiedzieć, trzymać się i żyć rozumnie? Ślepi są i poza sobą świata nie widzą.

Dorosłych sprawa, szczęścia strzec.

Czasami sam sobie się dziwiłeś: o swoje rodzone dzieci (gdzież one teraz, mało bab miałeś?) mniej się troszczyłeś niż o nich. Dziwiłeś się i po łbie drapałeś. I z Kniahinią szeptem myślami się dzieliliś: od dnia wesela u młodych mażą nauka szła piorunem, jakby ich kto za uszy ciągnął!

Nie zdążysz kichnąć, w Konwencję i w Prawo wejda, i przyjdzie wam szukać nowych chrześniaków!

Co prawda, w tym względzie jego jasność Cyklop raczył was uspokoić. Przyjdzie czas - znajdą się, i uczniowie. I dla was, i dla nowożeńców. Już jego, kniaziowska w tym głowa.

- Ale oni sami chcieć powinni! - nie wytrzymała raz Raszka.

- Zechcą - kniaź zjeżył w uśmiechu szczoteczkę rudych wąsów. - Tak zechcą, że na kraj świata za wami pójda.

- Ale przecież... - to już ty wtrąciłeś.

- Oczywiście! - zaśmiał się kniaź (a ty niemal zdębiałeś: Cyklop? Śmieje się?). - Wybierzemy, jakich zechcecie. Rudych, grubych, z pieprzykiem nad górną wargą? I każdy za was w wodę i w ogień wskoczy. Możecie nie wątpić.

Nawet nie próbowaliście wątpić.

Jedna troska z głowy - i chwała Bogu!

Ale młodym wciąż się przyglądaliście. Wargi zagryzaliście. Nigdy przecie nie bywało, żeby uczeń nauczyciela przerastał, chrześniak ze starszych blotek doświadczonego atutowca przewyższał. W najlepszym wypadku mógłby mu dorównać - rację miał ojciec Grigorij. Aj, baro! Gdzieś tak z pół roku temu Kniahini wyrwało się przy jakiejś okazji - Fied'ka teraz już jest prawie Królem! A jak wejdzie w Prawo - to i strach pomyśleć!

Niby się cieszy, a w rzeczywistości strach ma w oczach.

Zmilczałeś wtedy. Nie zapytał Walet Damy, jakim magiem stanie się kęs-precelska dziewczyna. Przecież nie ma w talii wyższych atutów od Asa! I kolor, kolor się zaciera! Spojrzysz na Akulinę: siła magiczna od niej bije straszna, niebywała - a koloru zobaczyć nie można. Choćbyś pękł! Wiesz przecież, że dziewczyna jest Winna - kolor się po mistrzu dziedziczy - ale nie, nie widzisz tych czarnych, winnych liści. Co innego widzisz - wszystkie kolory razem, jeden się na drugi nakłada...

Oto on, Bruderszaft! Oto co z niego wyszło!

Nie wiadomo co.

Czyżby nieboszczyk Jefrem Perłowy ci to wybajał? Że - rzadko co prawda, gdzieś raz na sto lat - pojawia się w talii Joker. Mag o niebywałej sile, As nad Asami, bijący każdy kolor! Pojawia się w okresie buntu i w czasach zamętu, żyje burzliwie i intensywnie, choć krótko, umiera przed czasem, a za jego plecami życie swój bieg zmienia. Jak po śmierci kolejnego Odkupiciela, który za grzechy nasze odpowiada.

Bajki!

Bajdy wieczorne!

A może ty po prostu nie chcesz uwierzyć, baro? Uwierz w śmierć - a w progu stanie! Boże Wszchemogący, mnie ukarż, a im daruj! Odkupię winy, jak zechcesz, ale oddal od nich tę czarę! Niech u nich wszystko będzie dobrze, niech żyją długo i szczęśliwie!

Jak w bajce.

Jak w dobrej bajce, w której wszystko dobrze się kończy.

Przecież jeżeli mag mocno czegoś zapragnie - nierzadko się to spełnia. A ty przecież tego chcesz, Drucu-od-Koni? No? Odpowiedz?!

Chcesz?!

Wzdrygnąłeś się i przegnałeś ciężkie myśli. Jeszcze tylko pomyślałeś, że Akulina jest obecnie w ósmym miesiącu. A ty kiedy jej kolor dostrzegać przestałeś, baro? Nie na początku lipca? O jej ciąży dowiedziałeś się od niej samej - z wyglądu można było figę poznać ani brzucha koza wiercipięta nie miała, ani plam na twarzy, nic a nic! Choć... ale tyś powinien był wyczuć! - atut młodszą kartę wewnątrznie wyczuwa... ale nie, przegapiłeś. Rzadko się zdarzało,

żeby kobieta, która chrześniaczką i współniczką czyjąś była, zachodziła w ciążę - rzecz to prawie niebywała! Nie pocznie chrześniaczką dziecięcia, dopóki w Prawo nie wejdzie. A i wtedy...

Raszka jest, na przykład, bezdzietna.

Kto będzie Jokerem? Ten, co się narodził, czy ten, co się ma narodzić?

Kto będzie żył burzliwie i krótko?

- Agafonycz z Polikarpyczem nazwali mnie „zwierzęcą damulką”! - Akulka już się uśmiecha i w oczach łez nie ma, tylko jej głos jeszcze sonantami podejrzenie się zarywa.

- Za charakterek? - postanowiłeś trochę sobie pożartować. - Czy za zwyczaj łażenia po klatkach.

Och, ależ parsknęła pięknotka. Narowista klacz z zazdrości by zdechła, gdyby to usłyszała.

- I za to też - ale sama się odwróciła i uciekła spojrzeniem w bok. - Kiedy lampartowi Tupie kość przebiła wargę, kto miał wleźć do klatki? Aleksandra Fiłatowa, wiadomo!

- Żebyś mu tylko tę kość z wargi wyjęła! - postanowiłeś nie popuszczać. - A mnie opowiadali, że Aleksandra z tym lampartem prawie całować się zaczęła. Szkoda, że mąż tego nie widział...

- Przecież Tupę okropnie bolało! - zupełnie szczerze zdziwiła się Akulina. - Kto ból złagodzi, jak nie ja? Ja przecież rozumiem...

- Ból mu odejmowała! Diabła tam, Boże przebacz - pełne winy spojrzenie rzucone na ojca Grigorija, przypadkowo się wyrwało, ojczulku! - Nie wolno tych zabaw zaczynać, zanim w Prawo nie wejdiesz... A jeszcze przy ludziach...

- W ogrodzie też mi tak jeden mówił. Pomocnik zarządcy, Ławr Stiepanowicz. Choć o czym innym mówił: nie pchaj się, gdzie cię nie posiali! Pracownicy lepiej wiedzą, ile mięsa potrzebują drapieżniki. A ja co, ślepa jestem? Nie widzę, jak w rozdzielni lepsze kęsy na bok odkładają? Nie rozumiem, gdzie te kaski idą? To go uprzedziłam, że cicho nie będę siedzieć. A on mnie zaczął straszyć: doigrasz się, dziewczyno! To już na nic się nie oglądałam, tylko poszłam prosto do zarządcy i zapowiedziałam, że napiszę raport do kierownictwa! Ławr Stiepanowicz, jak go zwalniali, wpadł na pomysł, żeby mnie nastraszyć - to ja mu z miejsca odpaliłam: zaraz pójdę i otworzę klatkę... Nawet nie zdążyłam powiedzieć, którą - znikł, jakby go diabeł jęzorem zlizął.

- Zrozumiałem teraz, dlaczego was, Aleksandro Fiłatowna, „zwierzęcą damulką” nazywają. - Ojciec Grigorij skrył leciutki uśmiech w gęstwinie brody. - Przewisko co prawda nie brzmi za dobrze, ale chlubić się nim można. Widzę, że nikomu nie popuścicie, niezależnie

od rangi i stanowiska, twardo przy sprawiedliwości i prawdzie się opowiadacie...

- Zechciejcie wybaczyć, ojcze Grigoriju, ale czniam z wysoka na tę całą sprawiedliwość! I na prawdę razem z nią! - Akulina rozzłościła się na cały gwizdek. - A zwierząt krzywdzić nie pozwolę! Skoro poskarżyć się nie mogą, skoro w klatkach siedzą, jak w karnych koloniach - to można je okradać, tak?!

W tym dziewczyna ma rację! Gdyby na przykład zaproponować zastępcy Ławrowi, żeby sakiewkę zarządcy podciął - opieprzy jak święty Piotr diabła albo i policjanta wezwie: „Uczciwy człowiek jestem, porządek i prawo szanuję, a ten mi tu...” A przecież złodziejska z niego morda! Prawda?

- No tak, nie ta chciałem rzec! - zmieszał się ojczulek. - Nie o prawdę wam chodzi, ale o sumienie.

- Sumienie...

Zamyśliła się Akulina i umilkła na chwilę, co jej się zdarzało dość rzadko; co prawda częściej teraz niż przedtem.

- Ach, ojcze Grigoriju, każdy ma swoje sumienie, różne od innych! Ławrowi Stiepanowiczowi jego sumienie pozwalało okradać nieme zwierzęta! A moje milczeć o tym nie pozwoliło!

„Ty i bez sumienia zbyt często w milczeniu się nie zamykałaś!” Niewiele brakło, a palnąłbyś to na głos, ale w porę ugryzłeś się w język.

Wargi też zagryzłeś.

- Córko moja - kapłan wstał i uspokajającym gestem chciał pogłodzić młodą kobietę po ramieniu, ale cofnął dłoń, gdy usłyszał gniewny okrzyk:

- A wy nie patrzcie tak na mnie, ojcze Grigoriju! Nie na spowiedzi jestem! Myślicie, że nie wiem, na co wam *wasze* sumienie pozwala! Bóg! Prawda! Sumienie! Rozmowy szczere i głębokie. A sami tymczasem badacie nas po cichutku! Jesteśmy przecież dla was czymś w rodzaju robactwa, które się kładzie na szkiełko mikroskopu! Interesujące robaczki, niezwykle, czasami nawet zabawne! Jeden gryzie, drugi sam się pcha pod mikroskop, żeby patrzeć wam było wygodniej. Gdzież w tym Bóg! Gdzie dusza? Gdzie sumienie, co, ojcze Grigoriju? Was przecież nie to interesuje, prawda?

- Prawda, Aleksandro. I nieprawda.

Głos ojca Grigorija brzmiał spokojnie, żeby nie powiedzieć - monotownie, ale czuć na jak wielki wysiłek musi się zdobyć kapłan, żeby zachować spokój. Dopiekła mu dziewczyna do żywego.

- Chcę zrozumieć, jak działa magiczna siła, jak przechodzi z chrzestnego na chrześniaka,

dlaczego sztuki czarodziejskiej nie można nauczyć kogoś innego tak, jak was uczą w instytucie. Dlaczego z wieku na wiek gaśnie i karleje siła magów i czy można odwrócić ten proces. Ma pani rację, Aleksandro Filatowa. Nie masz w tym sumienia, nie masz w tym duszy - jest tylko czysta wiedza, której tak mi brakuje i którą z wielkim mozółem i staraniem skrzętnie zbieram od wielu lat. Ale kiedy widzę, jak ginie wielka sztuka, jak straszną śmiercią giną młodzi uczniowie - choćby zgrzeszyli po trzykroć i byli winni! - zapominam o wiedzy i, jak się pani raczyła wyrazić, Aleksandro Filatowa, o „robaczkach” pod mikroskopem.

- Zapominacie? Szczególnie w sądzie, kiedy ober-starzec Grigorij zatwierdza wyrok? „Teraz i ninie, i do końca kary, amen”?!

- Przestań, głupia! - podniosłeś głos, ale Akulina błysnęła tylko oczami i w następnej chwili już jej w gabinecie nie było. Dobrze choć, że drzwiami nie trzasnęła. A tobie się przypomniało, jak w gabinecie pułkownika Gandieri po raz pierwszy miałeś okazję zerknąć na te „sprawy”, za które każdy mag konwentowy dałby sobie rękę odciąć...

Stałeś i patrzyłeś.

W milczeniu.

Wszystkie Ugody zostały już podpisane, wszystkie dokumenty już sformułowano i teraz w gabinecie komendanta szkoły śledczej stał nie mag-recydywista, za którym tęskni szubienica, a „niejawny współpracownik” Jefrem Iwanowicz Wiśniewski. Starszy nadzorca uczelnianych stajen.

Od tej pory - swój pomiędzy obcymi.

I oto wtedy z głębin poskrzypującego sejfu wychynęły cztery nowiutkie, jeszcze nie pomięte na rogach, nieprzyprószone kancelaryjnym kurzem i nie rozdęte jeszcze różnymi papierzyskami teczki na akta.

Stałeś i patrzyłeś.

Nie obchodziło cię to, co jest w twoich papierach. Przyszłość można zmienić, a na przeszłość nikt nie ma wpływu. Walet Winny stoi oto wobec największego i najbardziej świętego skarbu żandarmerskiej uczelni; dokumentów dotyczących zwerbowanych magów. - Chciałbyś zerknąć? - zainteresował się uprzejmie pan pułkownik. - Proszę bardzo. Myślę, że nie będzie to zbyt wielkim naruszeniem zasad regulaminu: jakby nie patrzeć, jesteś teraz u nas w służbie i spokojnie możesz się z tym zaznajomić...

Nie sięgnąłeś do swojej teczki. Ręka bezbłędnie wyciągnęła ze stosu jedyną teczkę, która interesowała cię naprawdę:

„Niejawny współpracownik nr. 76 prim. Pseudonim operacyjny - Akula”

Mimo woli drgnęły ci palce.

No, to już w rzeczy samej - jak to się mówi, nie w brew, a prosto w oko! W kogóż to się ona wdała? W ojca? Raczej nie? W matkę? W ciebie? W Kniahinię?

- Wybaczcie jej, ojcie Grigoriju. Młoda jest jeszcze, głupia, zapalczywa, przy nadziei; a już dziś... no, sami słyszeliście. Od tego wszystkiego i zeschnięty kołacz na ścianę włożyć by zaczął. Za dzień lub dwa opamięta się i przybiegnie z przeprosinami.

- Nie żywię do niej urazy, Dufunia - ojczulek powoli odzyskiwał spokój i równowagę ducha. - Sam sobie jestem winien. Nie godzi się komuś bez pytania w duszę z butami włożyć. Wiecznie sypimy sobie sól na rany - a potem obrażamy się jeden na drugiego. Widziałem przecież, że jest mocno zdenerwowana - i mimo wszystko odezwałem się, nie przemyślawszy sprawy. I dostało mi się słusznie. Tym bardziej, że wiele racji było w jej wyrzutach.

- W czym, na przykład?

- W tym, że was badam. Usiłuję zrozumieć. Ciebie, Kniahinię, obu Żołędnych, Sieńkę i Jewłampija, których zwerbowano jeszcze pięć lat przed wami; a bardziej niż innych - Aleksandrę Filatówną z jej mężem, Fiodorem Fiedorowiczem. Myślisz, że nie widzę, iż niesłychane rzeczy się wyrabiają? Blotki Atuty niedługo w kieszeń chować będą! Wiem, opowiadałeś mi o tym waszym Bruderszafcie. Przecież wedle praw boskich i ludzkich nie można krewniaków za męża lub żonę brać! Cerkiew to objaśnia po swojemu, nauka po swojemu; ale w jednym teologia z nauką się zgadzają: od takich związków karleje rodzaj ludzki, wyradza się, a dzieci z takich związków przychodzą na świat cherlawe i niedorozwinięte. Może i u magów tak jest? A jeżeli dwie różne linie, dwa kolory między sobą Bruderszaftem skrzyżować? Świeża krew? Czy nie tak, Dufunia? Może w tym sęk? Wzruszyłeś ramionami.

- Nie wiem, ojcie Grigoriju. Gdyby to zależało ode mnie, czy Raszelki - nigdy by do tego Bruderszaftu nie doszło! Samo wszystko się stało, przypadkiem.

Oj, czy ty przypadkiem nie łzesz? Przecież wtedy jakby ktoś was w łokcie popchnął! Tylko kto?!

- Nie, ojczulku. Nie wiem. Bruderszaft to dziwna sprawa. Dziwna dlatego, że nikt nie może przewidzieć, co z niego wyniknie?

- słowa wydobywały się z trudem, jakby nie chciały się odrywać od zaschniętej krtani. - Boję się, ojcie Grigoriju. Żeby mi dziewczyna od tego wszystkiego nie zwariowała. Przy nadziei jest, a tu jeszcze ta historia z kniaziową córką... Akulina i bez tego kiedyś się przejęzyczyła, wyrwało jej się: dziwne jej się czasami rzeczy zwidują, powiada, a za plecami nie wy z Kniahinią stoicie, a obcy ludzie. A wy, ojczulku, mówicie: w tym sęk! Ratunek!

- Da Bóg, a wszystko się jakoś poukłada - westchnął ojciec Grigorij. - Przecież niewiele



już czasu zostało jej i Fiodorowi?

- Niewiele - zgodziłeś się. - Oby tylko Akulinie nie wypadło rodzić w momencie wejścia w Prawo!

- Nic się nie dzieje bez woli Bożej. Ty, Dufunia, ufaj Panu, to najważniejsze! I módl się - jeżeli sercem będziesz się modlił, Bóg cię wysłucha. Ciężkie terminy przyszły na magów - myślałem już, że koniec z nimi będzie. Ale nie - teraz wierzę: to znak z niebios. Gwiazdą przewodnią będzie wasz Bruderszaft, i ty miej wiarę, Dufunia. Ufaj i proś Boga, żeby nic złego się nie stało.

- Dzięki wam, ojcie Grigoriju. My sami... wiadomo, uschnięta gałąź, swoje już przeżyliśmy. Ale oni, młodzi... Sami wiecie, co się wyprawia!

- O chrześniaków się nie bój. Są teraz pod ochroną państwa - dziękować panu pułkownikowi. Siebie też przedwcześnie na straty nie spisuj, bo to grzech. Kto wie, może dopiero teraz przed tobą życie prawdziwe się otwiera...

- Łatwo wam mówić, ojcie Grigoriju! Całe prawie życie uczelni poświęciliście, w Prawie i Konwencji nie byliście, nigdy nic nie ukradliście, życia nikomu nie odebraliście, na władzę ręki nie podnieśliście - a co przede mną, z moją przeszłością? Co z Kniahinią?

- Mówić w istocie łatwo - ojciec Grigorij powiedział te słowa z naciskiem i zwodniczym spokojem. - Ale żyć nie bardziej łatwo niż tobie. I co z tego, że mi sam władca Witalij grzechy odpuścił? Że dał zezwolenie wziąć ucznia i w miarę potrzeb stosować moc magii dla dobra cerkwi i państwa? Przecież nikt nie odwołał Dekretu Soboru Archijerejów z lata roku pańskiego 1654! A w tym dekrete wyraźnie powiedziano: wszystkie eteryczne działania należy uznać za pochodzące od diabła! Czyli ja, kapłan, grzech popełniam i w grzechu żyję! Władcyce dziękował zawsze będę i w pas mu się kłaniał - ale na duszy nieswojo jakoś. Jak ma być, skoro w inne dusze i żywe, i martwe z pytaniami wążę?! Wiem, że jest na to sankcja, że to dla dobra państwa... ale mimo wszystko... nieswojo się czuję! Jakbym Diabłu świeczkę zapalał. I siłę mażę badać, prawa, które nią kierują, nie na was ani waszych chrześniakach zacząłem. Na sobie! Ale o tym może innym razem porozmawiamy, bo to długa rozmowa, a późno już. Spać pora.

- Dobrej nocy, ojczulku.

Wstałeś z miejsca. Przez chwilę tupąłeś lekko, żeby rozprostować nogi, które niemal ci zdrętwiały od długiego siedzenia na niewygodnym krześle.

- Dobrej nocy, Dufunia. I przekaz Aleksandrze Fiodorownie, że urazy nie chowam. Przeciwnie, sam o wybaczenie proszę, za słowa nieostrożne, które jej duszę skaleczyły.

- Przekażę.

Postałeś jeszcze chwilkę, kiwnąłeś głową - i przecisnąwszy się obok biurka, wyciągając przy okazji papierosa, wyszedłeś z gabinetu.

- Do widzenia, ojcze Grigoriju.

## NOTATKI NA MARGINESIE

*Zajrzyjcie w oczy ojcu Grigorijowi - nie ucieknie ze spojrzeniem w bok;*

*Wszystko zrozumie. Pozwoli wam zobaczyć: ...cełę.*

*Klasztorną cełę. Pieczarę będącą dziełem rąk ludzkich, o grubo ciosanych, szorstkich ścianach. Nikły płomyk lampki wydobywa z mroku kamienną pryczę i maleńki stolik, na nim leżą – foliał oprawny w skórę, kałamarz, kilka gęsich piór i kartka pergaminu, do połowy już zapisana.*

*Płomień lampki drży, rzuca na ściany dziwaczne cienie, światłość i mrok się chyboczą i klębią w chwiejnej równowadze.*

*Kto - kogo?*

Kaptan nie odpowiedział - wbił roztargnione spojrzenie w stół.

Georgij Radcig, magister teologii, doktor prawa rzymskiego, episkopalny ober-starzec, autor dysertacji „Psychologiczne uwarunkowania działalności przestępczej”; *alias* Gosza-Zywczyk, Dziesiątka Czerwienna, mag konwentowy, „niejawny współpracownik Nr. 39-prim”, nazywany w tajnej dokumentacji operacyjnym pseudonimem Strapczy\*[\* - *Strapczy* - w dawnej Rosji podkomorzy, nadzorca sądowy.]

## **Krąg Drugi**

### **DOWIEM SIĘ KIEDYŚ, PO CO BYŁAM\***

- ...i mówiąc bez urazy

*Tyś, chłopcze, nie tchórz, to się chwali,*

*Lecz myśmy takich widywali.*

*Więc słuchaj...*

*Opera „Cymeryjczyk zachwycony”*

*Duet maga Peliasa i Conana Akwilońskiego*

## **DOBÓR KART**

- ...no tak, milczek z ciebie! Wołam cię, wołam, a po tobie wszystko sływa, jak po gęsi woda.

Ojciec Grigorij, episkopalny ober-starzec przy Charkowskiej Szkole Śledczych pochylił się.

Podniósł z ziemi jeden liść.

Klonowy.

Rozłożysta pięciopalczatka zachodziła już szkarłatem i sepią; pęk żyłek w nieprzyjemny sposób przypominał dłoń szkieletu.

- A ty Kurawlewa pamiętasz? - ziewnąwszy, zainteresował się świątobliwy Inokentij. - Pułkownika? Zapomniałeś o dobrodzieju...

Ojciec Grigorij dobrze znał poprzedniego komendanta szkoły, Borysa Pietrowicza Kurawlewa. Jakby nie było, tyle czasu ramię w ramię. Wiedział także o udziale pułkownika w „Maltańskim Krzyżu” albo inaczej, w „Zmowie skazanych”. Przejęzyczył się Kurawlew i zdradził niedługo przed tym, jak zwariował. Skuł się nielicho i zupełnie zapomniał o zwykłej powściągliwości; wezwał do gabinetu i bez przyczyny zaczął się chełpić: niedługo już, grzmiał, ojczulku, wytrzebimy wasze plemię! Wiemy, że wasza słabość leży w gałęziach i liściach!

Powiedział o kilka słów za wiele.

I przez cały czas nazywał kapłana Pawłem: zdradziwszy faryzeuszy, przeszedł w szeregi uczniów Chrystusa, najpierw drugich kamienował, potem pierwszych kazaniem chłostał. Czyli ojciec Grigorij jest niczym święty apostoł.

Błuźnił i koniak z gwinta ciągnął.

Nie minęły cztery miesiące, a powieźli pana pułkownika w koszuli z długimi rękawami na Saburową Daczę. Głośne to było wydarzenie: zjawił się Kurawlew w operze, gdzie nigdy przedtem nie bywał i kiedy cała sala zamarła w zachwycie, słuchając duetu tenora Franchini i mezzosopranu Noel-Gwidy, pan pułkownik skoczył w dół z łoża.

Wyciął takiego koguta, że tenorowi kolana zadrżały - „Mam-ma mia! Mamma mia!”, z maci go objechał! - za kaburę złapał i prawie ją rozpiął, ale runął na ziemię, zwijając się w drgawkach.

I wynieśli nieszczęśnika z tej sceny.

- Pamiętam, władtyko. Za pułkownika Kurawlewa na mnie, niegodnego, nałożono obowiązki ober-starca. A półtora roku wcześniej...

- Półtora roku wcześniej grzechy ci odpuszczono. Nie z werbowanych przecież jesteś, sam do nas przyszedłeś i do nóg padłeś: nie mogę dłużej! Tak, wiem, nie musisz się tłumaczyć... więc umarł twój Kurawlew, w Saburce. Wczoraj o świcie oddał duszę Bogu.

- Światłość wiekuista niechaj mu świeci - przeżegnał się ojciec Grigorij.

- Tak, tak... A testamentu pan pułkownik nie zostawił. Będą się teraz żarli ze sobą młoda wdowa i synowie z pierwszego małżeństwa.

Władtyka pil do czegoś wyraźnie. Nie zrozumiesz aluzji - miej się na baczności. Wielu się już na to nacięło: diaczków zwalniano „do światowych obowiązków”, kapłani usuwani byli z urzędu, co wywołało masowy exodus niższego kleru z diecezji charkowskiej do innych. Ojciec Grigorij czuł jednak, że w tej aluzji nie ma dla niego groźby.

Władtyce chodzi o coś innego.

- Wdowy szkoda. Oszwabiają ją pasierbowie i wykołują. Dobry strapczy tam potrzebny, zaufany. Ojcie Grigoriju, a ty przedtem dobrym strapczym byłeś?

No tak. Powiedziano.

- Kiepskim, władtyko - ojciec Grigorij bez mrugnięcia powieką odparł rzucone spod krzaczastych brwi spojrzenie archijereja, ostre, bystre i przebiegłe. - Ponad Dziesiątkę się nie wzniosłem. I w kolorze niczego nie działałem. O to chcieliście zapytać?

- Patrzcie go, obraził się. Nie kłam, sam widzę, że cię uraziłem. A ja nie z obraźliwych jestem. Ty odrzucasz moją otwartość, choć z poprzednim władtyką byłeś szczery - ale ja się nie obrażam. Słowa z ciebie niczym kleszczami trzeba ciągnąć - ale nic, ciągnę. Zapytam cię ojcie Grigoriju, jak to jest, być strapczym pomiędzy magami? Jakie to sprawy trzeba załatwiać? A ty i teraz zmilczysz, nie odpowiesz?

Kapłan spojrział w niebo, po którym ciągnęły i klucze dzikiego ptactwa. Wprost nad

głowami rozmawiających wisiała gałąź starej akacji, uschnięta, kolczasta i zakurzona.

Gałąź jak gałąź.

- Odpowiem, władyko. „Widek” to jasnowidz, „trupiarz” to nekromanta, a „strapczy” - jak raczyliście słusznie zauważyć, sprawy załatwia.

- Jakie?

- Rozmaite. Wyjechał jakiś urzędnik służbowo i nie wrócił. Dobry „strapczy” potrafi do niego dotrzeć, skomunikować się z nim i odebrać istotne dla sprawy i rodziny wiadomości.

- A jeżeli umarł ten urzędnik? Zginął w drodze?

- To nie ma znaczenia. Żywy czy martwy - dobremu „strapczemu” bez różnicy. Dalej - w obecności „strapczego” nie da się kłamać. Zaczynasz po prostu czekać jak pies albo się rozkaszlesz. Więc wzywają „strapczego”, gdy kompanioni jeden drugiemu nie wierzą. Albo na przykład trzeba autentyczność potwierdzić. Obraz: oryginał czy kopia? Dokument: podpis prawdziwy czy podrobiony?

- Tak, tak, i co z tego wynika?

Ojciec Grigorij tylko głową pokręcił: nic nie wynika, władyko.

Nie próbujcie o tym nawet myśleć.

- Głupiś, ojcie Grigoriju. Niby uczony, a dureń jesteś. Myślałeś, że co? Że zmuszę cię do pracy wedle koloru?

- Władyko, mnie i bez was zmuszają. Wedle koloru. Przecież jestem nie tylko ober-starcem i człowiekiem Cerkwi, ale też niejawnym współpracownikiem Goszą-Żywczykiem. Zgodnie ze wspólnym postanowieniem władz świeckich i duchownych. Ot, wymyślą na górze, żeby okazać pomoc wdowie po przedwcześnie zmarłym Kurawlewie, i do was się zwracają - zgódźcie się, napiszą, władyko Inokientiju na to, żeby ojca Grigorija wykorzystać zgodnie z przeznaczeniem.

Mocna dłoń władyki chwyciła kapłana za rękaw riasy.

- A ja się zgodzę! Nie inaczej, zgodzę się! I co, duszę pułkownika z tamtego świata wywoływać będziesz, żeby testament spisać?!

- Władyko, w szeregi herezjarchów się zaciągacie? Cofnęła się dłoń władyki, spoważniało spojrzenie Inokientija. Zrozumiał ojciec Grigorij: w tej chwili można władcyce powiedzieć prawie wszystko - oprócz tego, czego rzecz mu nie chcesz. Archijerej wybaczy. Wybaczy zarzut, wybaczy aluzję, pogodzi się z odmową. Nie wybaczy tylko kłamstwa.

- Tak jest, będę teraz mówił herezję - uprzedził Inokientij, zmarszczywszy brwi, co sprawiło, że upodobił się bardzo do achajskiego Zeusa-Dajmona. - A ty słuchaj i dobrze to sobie w pamięci zakarbuj. Tak sobie myślę, że nie ja pierwszy - wielu przede mną cię

podchodziło... z kolorem. Prawda?

- Nieprawda, władko. Wszedłszy w Prawo bardzo niewiele działałem... Dziesiątka to karta słaba, niewiele warta. Zresztą, już wtedy pojąłem, że to zgubna droga. Powiem tylko bez skromności, że się nad sobą panować nauczyłem. Ślubowałem: sześć lat bez żadnej finty przeżyć - i przeżyłem, władko. Wytrzymałem. Do dzisiejszego dnia obręcze na sercu umacniam. Żadnych eterycznych działań, oprócz tych prawem usankcjonowanych. Kto mnie podejść zechce - daleko mu się z powrotem toczyć przyjdzie.

- Tak, tak... A cerkiewne procesy? Spory patriarchów, różnice zdań i stanowisk? Nie proponowali, żebyś je rozstrzygał?

- Proponowali. Dwa razy. - I co?

- Odmówiłem. Znana to wśród strapczych rzecz - zakazane to sprawy. Weźmiesz się za określenie autentyczności drzazgi z Krzyża Świętego - spłoniesz. Żył kiedyś w Anatolii znamienity mag z Czerwiennych, który popchnięty pychą postanowił rozwikłać odwieczny spór szyitów z sunnitami. Znaczący, kto właściwie zabił sprawiedliwego Husaina? Czy jego brat kalif Hassan został otruty? Czy sura „Dwa słońca” w Koranie jest surą wstawioną, czy nie?

- I co? Rozstrzygnął? Wyjaśnił?

- Życie postradał. I to w taki sposób, że piekło rajem się przy tym może wydać.

W pyle, prawie pod stopami rozmówców, były się wróble. Ze wszystkich spraw światowych i duchownych, najbardziej interesował je jakiś drobiazg do zjedzenia. Ćwierkanie, szum, pisk... Tęgi gołąb siniec spacerował nieopodal, ale nie mógł się zdecydować na to, żeby się wtrącić ‘do draki.

- Żal - odezwał się cicho świątobliwy Inokentij.

- Czego żal, władko? Kogo żal?

- Was żal. Widzisz go, jak oczy wytrzeszczył! - a przecież uprzedzałem, że herezje będę mówił. Żal mi was, magowie. Wyciskają was jak ropę z pryszczu; już niedługo ostatnich wycisną. Niepotrzebni jesteście nikomu; sami sobie też nie. Czy nigdy cię to nie zdziwiło: każde prawo was odrzuca i siłą na pobocze zagania - oprócz waszego Prawa! Dlaczego jesteście wszędzie obcy? Dlatego, że inni? Nie!

- Więc dlaczego, władko? Inokentij milczał.

Wokół Pokrowskiego Monastyru krążyła jesień, w szeleście opadłych liści - z wiosną pojawią się nowe, zielone, park utonie w ich szeptach... tylko co z tego będą miały te, które teraz opadają?

Paprochy wspomnień?

## V. RASZKA-KNIAHINI ALBO RÓB TO, CO JA

*Dziedzictwo na początku szybko zdobyte Na końcu nie ma błogosławieństwa.*

*Przypowieści Salomona*

Stary Ajnos przysiadł na piętach.

Obok niego rozstawiła żeliwne łapy wkopana w ziemię ławeczka. Zdumiewała się wszystkimi swoimi deskami, pomalowanymi paskudną minią: czemu w kucki? Przecież jestem tutaj?! Wygodna!

Siadaj, małpo jedna!

Siadaj po ludzku!

- Dobry ranek, Erza-san\*[\* - *Osobliwością języka Kraju Kwitnącej Wiśni jest brak w nim dźwięku odpowiadającego naszej literze „i”, którą wyspiarze wymawiają jak „r”. Z mieszkańcami Państwa Środka jest akurat na odwrót.*] - odezwał się mistrz Tahanagi, kłaniając się mimo niewygodnej pozycji. - Cześć jego jasność?

Uśmiechnęłaś się do staruszka: z powodu jego śmiesznego akcentu, uprzejmości skrywającej wężową obojętność i z powodu jego europejskiego, o dwa rozmiary za dużego ubrania.

- Ma pan rację, mój miły panie Tahanagi. Żeby się zobaczyć z mężem, żona musi wstawać o świcie i jechać w miejsce, gdzie wezwały go obowiązki. A potem długo czekać, aż „jego jasność” skończy z besztaniem swoich wychowanków. Powiecie, że tak powinno być? U was na wyspach też się tak dzieje?

Mistrz Tahanagi bardzo poważnie się zamyślił. Pozbawione włosów fałdki nad szczelinkami oczu zeszyły się nad nosem, spod skóry wystąpiły kości policzkowe, a na szczękach zeszywniały na amen mięśnie zuchw. W tej chwili Ajnos bardziej niż kiedykolwiek przypominał chorego, kończącego już życie, ale wciąż jeszcze niebezpiecznego ptaka: rzuci się na zdobycz, rozmyśli się? Czy może zasnuje oczy cieniutkimi błonkami i znów pogrzy się w drzemce?!

Nie, raczył odpowiedzieć. Poruszył wargami:

- U nas być. Zawsze być. Mąż robić sprawy, żona czekać. Drugo, drugo. I nigdy nie robić wymówka ani przekrinać. Inaczej mąż bić żona i iść do gejsza. Niech pani siadać, Erza-san. Poczekamy razem.

Po drugiej stronie placu ćwiczeń tańczył z krzywą dagestańską szablą podoficer Alijew. Mocno mu w tym przeszkadzali czterej rapeć-wachmistrze z drugiego roku, uzbrojeni w ćwiczebne szpady. Z udeptanej ziemi placu wzbijały się obłoczki kurzu, śledczy junkrowie - jutrzejsi absolwenci - starali się ze wszystkich sił opaść, przyciąć, zajechać, żeby zdać w końcu egzamin; ale Alijew z obojętnością człowieka gór, pomnożoną przez niewzruszoność śledczego żandarma, ignorował ich wysiłki.

Ze wszystkich żywych stworzeń na świecie uznawał tylko swoją szablę, którą mu powierzyli przodkowie; i teraz z nią tańczył.

Wszystko inne było tylko kłopotliwą przeszkodą.

- Niechże pani siada, Erza-san. U was tak mówić: w nogach nie ma prawda.

Boże! Powstrzymałaś się w ostatniej chwili! Aleby się wygłupiła kniahini Gandieri, żona komendanta szkoły, gdyby przysiadła w kucki obok tego starucha. Dopadł cię dawny, obozowy nawyk: kiedyś mogłaś godzinami siedzieć tak w baraku, słuchając wzruszających opowieści towarzyszek niedoli, lub sama opowiadając wymyślone na poczekaniu historie.

Nie, dziękuję, lepiej usiądę na ławeczce.

I nagle przyszło ci do głowy, że z profilu mistrz Tahanagi przypomina ci spłowiła pergaminową kartę. Litera dawno już się zatarły, sens i treść wiadomości jest niejasna, ledwo rysuje się fragmentami niczym ślady mew na piasku; ale sam materiał po dziś jest mocny. Szałwa Timurazowicz opowiadał ci, że z tym krępyim niewysokim staruszkiem spotkał się jeszcze w Mordwińsku, gdzie pan pułkownik - nie, wtedy jeszcze podpułkownik - wiele nauczył się od starego Aj nosa.

Czego konkretnie, tego Gandieri nie wyjaśnił.

Ale po objęciu obowiązków komendanta szkoły telegraficznie zaproponował mistrzowi Tahanadze stanowisko nauczyciela gimnastyki i bardzo przyzwoite wynagrodzenia.

Lepsze jest wrogiem dobrego: staruszek przyjechał do Charkowa na koszt skarbu. A ty zawsze odnosiłaś się do niego z przykłądną uprzejmością i przyjaźnią - ponieważ samym swoim istnieniem przypominał ci o dniach, o których wołałabyś na zawsze zapomnieć. Przecież on, maleńki Azjata, niczemu nie jest winien; nie jego wina, że na widok jego pergaminowej twarzyczki zawsze ci się zwiduje pokaleczona twarz Lenki Fert na marmurowym stole.

- Spokojnie! Spokój, powiedziałem!

Spoconych junkrów zaczęły ponosić nerwy. Wszyscy poczerwienieli i twarze skaził im podobny grymas. Jeden, najroślejszy, rzuciwszy się na oślep, dostał płazem po zadku; Paszka



Ananicz postanowił pójść na zwanie z przeklętym draniem instruktorem i frunął bokiem w kolczaste zarośla, oddzielające plac ćwiczeń od krat ogrodu.

Pozostali uznali, że dobrze będzie się cofnąć.

- Róbcie to, co ja! Więcej opanowania! Nie przystoi wam... przyszłym panom oficerom...

- Oddech stracić - mistrz Tahanaga z żalem pokręcił głową. - Pan Arijew za wiere mówi. Wierę mówi, maro oddycha. Maro oddychać - maro żyć...

- Ale on ma przecież rację. Czy nie tak, mistrzu? Gniew, wściekłość - czyżbyście uważali ich za dobrych pomocników?

W rzeczy samej kpiłaś. Udawałaś głupią. Gniew, wściekłość, inne silne uczucia... To dla innych, nie dla śledczych łapsów. W każdym z nich od dziecka siedzi jego podoficer Alijew, który ostrzegał w niebezpieczeństwie: „Spokojnie! Spokojnie, powiedziałem! Rób to, co ja!” I tego wewnętrznego Alijewa hołubią nade wszystko: nie przystoi przyszłym oficerom śledczego korpusu J.I.W. „Barbarzyńca” śmiać się do łez, głośno płakać, popadać w histerię, okazywać gniew, kochać bez pamięci...

Po prostu się nie godzi.

Coś takiego zasługuje na naganę.

Wstyd.

Każdy wykładowca powtarza to sto razy dziennie: takiego na przykład Paszkę wielokrotnie wsadzano do karceru o chlebie i wodzie, za „wulgarne zachowanie się”.

A jak on się potrafił zaraźliwie śmiać na pierwszym roku, jeszcze przed otrzęsinami... Oduczono go.

Z pewnością jest to słuszne. Ci co zostali wybrani do służby Ich Wysokościom, Literze i Duchowi Prawa, dla dobra sprawy powinni zapomnieć o zwykłych życiowych emocjach. Powinni się oduczyć chowania urazy, pożądania zaszczytów, szukania sławy. Wojskowi na przykład (nawet najzwyczajni śmierzący armijni piechociarze z miasteczek N) żywią od dawna zapiekłą niechęć do żandarmerii. A już szczególnie nie cierpią elitarnych „Barbarzyńców”. Zabawne, że nawet tego nie wiedząc, dzielą to uczucie z konwentowymi magami. Ileż to pojedynków stoczono z powodu głębokiej niechęci wojskowych do wpuszczania żandarmerskich oficerów w progi Klubów Oficerskich? Można ich palami straszyć albo grozić przeniesieniem na Kaukaz... Nie pomaga.

Stary Ajnos zgarbił się i zerknął na ciebie po ptasiemu:

- Erza-san zadziwira Tahanagi. Mocno, mocno. Mąż - samuraj. Żona - samuraj. Wszystko widzi, wszystko rozumie. Czemu pytaj, jak przedtem zna odpowiedź?

- Rób tak, jak ja! - zasapani junkrzy zebrali się w grupę poza zasięgiem nieuchwytnego Alijewa. Podoficer kreślił krzywą głównią skomplikowane pętle, najwidoczniej coś im w ten sposób objaśniał. Smagła twarz górala przypominała afrykańską maskę; żeby drgnął choć jeden rys, przesuwał się z raz na zawsze ustalonego miejsca, potrzebne byłoby rozżarzone dłuto.

Kursanci drugiego roku spoglądali na siebie, kiwali głowami i odzyskiwali spokój oraz zdolności chłodnego namysłu; tobie, co prawda, lekcja Alijewa była obojętna.

Z punktu widzenia fechtunku.

Ciebie, Kniahini, interesuje coś innego.

Dlaczego tobie, szanownej damie - Damie - zapiera dech, kiedy ukradkowo obserwujesz to zaliczenie? Walkę? Dlaczego wzbiera w tobie ciężkimi cętkami dzwonkowy kolor i budzi się w tobie pragnienie, żeby natychmiast odejść, nie oglądając się wstecz albo przeciwnie, wpić się niczym pijawka spojrzeniem, duszą, Mocą, żeby pojąć, co się dzieje?!

Z nimi?

Z tobą?!

Z żółtym Ajnosem, który siedzi w kucki, śledzącym odpowiedź przed pytaniem, utkwivszy przed siebie nieprzenikniony wzrok?!

Nerwy, nerwy...

- Mistrzu, u siebie, na wyspach, byliście wojownikiem? Słynnym wojownikiem?

Górna warga Ajnosa drgnęła, obnażając żółte zęby.

- Erza-san trafić w sedno. Tahanagi był biedny ronin. Samuraj bez pan. Bez pieniędzy. Bez rodzina: żona umierać, córka umierać. Bez honor: Tahanagi podeptać honor dom, kochać żona-córka, nie chcieć harakiri. Pracować za rybak; maro-maró przemyt. Potem wasz Chabar-miasto, Mordwin; Charkow. Tahanagi, włóczęga, wirczy bilet. Arijew-san - wojownik. Wierki wojownik. On znać wierki mądrość: „Rób to, co ja!”. A marpa Tahanagi zna tyрко grupota: „Rób co, ja i ty!”

- Żartujecie, mistrzu?

- A wy, Erza-san? Czemu nie jechać do wasz dom, na Sumska urica? Czemu wy siedzieć z biedny Tahanagi? Czemu nie czekać pan purkownik w dom, na miękki tatami?

- Hm... - położywszy dłoń na sercu, zastanawiałaś się przez chwilę. - Niechże pan posłucha, mistrzu; przecież przed chwilą sam mi pan zaproponował, żebyśmy usiadła obok.

Azjata zaczął się kłaniać, szybko, jakby ziarno dziobał.

- Nie gniewać się, Erza-san! Wybaczyc Tahanagi. Ja powiedziec: „Siadać!” Wy robić,

jak ja: siadać. Chropcy robić jak wierki wojownik Arijew-san: rąbać katana. Wszyscy robić, jak ja; wszyscy - ja. Tyrko ja repszy, niż inni: ja - ja, a oni, jak ja.

Stary człowiek zatrzęsł się bezdźwięcznie i kilka razy zachrapał z głębi gardła.

Tak właśnie się śmiał.

- Was uczyli inaczej, mistrzu?

- Tak, Erza-san. Inaczej. Ja - repszy od inni; ja repszy niż mój nauczyciel”.

- Lepszy? Mielście złego nauczyciela?

- Wy nie rozumieć - śmiech ucichł, jakby go nigdy nie było, znikł też ptak. Na jego miejscu siedział człowiek, bardzo już stary, który nie znalazł zrozumienia u obcych i najpewniej nigdy go nie znajdzie. - Wszyscy, kto się ośmierić powiedzieć: „Takeda Soka-ku źre uczyć!” - wszyscy umierać. Ja być uczeń Takeda Sokaku. On - dobrze uczyć. Ja - repiej. Inaczej - śmierć.

- Czyja? Wasza? Waszego nauczyciela? Waszych wrogów?

- Śmierć, wierka sztuka, Erza-san. Jeśri uczeń nie repszy niż nauczycier, śmierć wierka sztuka. Wy patrzeć: ja - nauczycier, wy - uczeń.

Pulchna łapka Ajnosa delikatnie, ale mocno ujęła cię za nadgarstek, przesunąwszy ku łokciowi bransoletę z granatów. Podarek od kniazia na rocznicę ślubu.

- Ja brać was. Trzymać. Wy chcieć być worna. Wy brać tu, i naciskać tak.

Mówiąc to, mistrz zręcznie kierował twoją drugą ręką. Nakrył twoją dłoń swoją i nieznacznie ją przesunął, aż poczułaś pod kciukiem niewielkie wgłębienie na nadgarstku Azjaty.

- Wy naciskać i odwracać. Ja cierpieć i puszczać. Teraz wy. Sama.

Ponownie ujął cię za rękę. Przypominając sobie poprzednią chwilę, ożywiłaś pamięć ciała, przykryłaś, ujęłaś, nacisnęłaś i skręciłaś. Mistrz w żaden sposób „nie cierpieć” a już w ogóle nie „puszczać”. Jeszcze raz. Już lepiej. Ale zręczny chwyt staruszka, w sumie dość delikatny, mimo wszystko trzymał nie gorzej od kajdanek.

- Nie robić, jak ja, Erza-san. Robić, jak ja - i wy. Razem. Mistrz Tahanagi na mgnienie oka puścił cię, zakaszlał - i znów sięgnął do twojego nadgarstka. Na terenie szkoły ciężko ci było pracować, odkształcała się tu ogólna aura, ale i sam mistrz nie był „Barbarzyńcą”; a to znaczyło, że...

Zamydlić mu oczu do końca się nie udało.

Staruszek chybił, ale zdążył zmienić kierunek chwytu powrotnego i w locie

przechwycił cię palcami. Przypomniał sobie azjatycką naukę, wzięłaś, nacisnęłaś i skręciłaś, dodawszy niewielki drobiazg.

Gdy Ajnos cofał dłoń, wydało mu się nagle, że przebija ją rozżarzona igła.

Nie, nie krzyknął.

Po prostu puścił twoją rękę.

- Erza-san - wierki uczeń. Repsz a od stary Tahanagi. Ona robić, jak on i jak Erza-san. Wychodzi dużo lepiej. Dużo-dużo! To żyć wysoka sztuka. A to - Ajnos kiwnął głową w stronę Alijewa - śmierć. Piękny, godny szacunek śmierć. Harakiri. Wy rozumieć?

Wstałaś z ławeczki i lekko musnęłaś dłonią twarde, zupełnie nie starcze ramię Azjaty.

- Dziękuję - powiedziałaś. - Dziękuję za naukę.

- Wam dziękować, Erza-san. Teraz Ajnos mieć uczeń. Prawdziwy uczeń. Repsz y niż nauczycier.

Nad placem ćwiczeń znów się rozległ szczeł kling. Na szczęście „niuchacie” byli zbyt zajęci objaśnieniami Alijewa, żeby złowić nosami twój maleńki „eter”. Głupio, Kniahini! - nie należało zwracać na siebie uwagi, tym bardziej na terytorium szkoły.

A może podłapali? Po prostu udali, że niczego nie zauważają?

## NOTATKI NA MARGINESIE

*Bardzo trudno jest zobaczyć cokolwiek w wąskich oczach Aj-nosa. Ale jeżeli się bardzo, ale to bardzo postarać; to z mgły wyłoni się: ...góra.*

*Nie, nie zwyczajna góra - wulkan. Uśpiony, wygasły wulkan. Dawny. W górę po jego stokach pną się niskopiennie sosny, kędzierzawią się ciemną zielenią niczym sierść niebywałego, niezwykłego zwierza. Wyżej, wyżej... i już nie masz sosen. Gołe kamienie, niewzruszone i obojętne na deszcz, wiatr, słońce i śnieg. Jeszcze wyżej. Cielsko wulkanu wieńczy biała śniegowa czapa. Zestalona, zimna mądrość wieków i starości.*

*Ale jeżeli zadrzeć głowę, ale tak, żeby czapka z niej spadła - widzicie? Nad samym szczytem, w przejrzystych niebieskich odmętach snuje się cieniutka smużka dymu.*

*W głębinach ziemi czai się ogień. Czeka na swój czas.*

Podczas pierwszego roku życia w charakterze niejawnego współpracownika (w charakterze żony Cyklopa?) nijak nie mogłaś się przełamać wewnętrznie.

Denerwowałaś się.

- Elzo Wilhelmowna! Gołabeczko! Niechże pani pozwoli mnie staremu, powiedzieć

szczerze - pięknieje pani z każdym dniem, duszko!

- Antonie Glebowiczu, komu jak komu, ale wam te żarty nie przy stoją!

Bałaś się.

- Kompaniaaaaa! Na prawoooo... patrz! Czołem...asza...asność!

- Zuchy! Dziarskie moje chwaty! Wzdrygałaś się.

Staralaś się częściej zaglądać do szkoły - niby za mężem, poddając się kaprysom namiętnej miłości starzejącej się kobiety - szukałaś towarzystwa starszych wykładowców, panów śledczych... Uśmiechałaś się ukrywając mdłości, mówiłaś o głupstwach, kiedy miałaś ochotę uciekać, gdzie oczy poniosą, kokietowałaś rozmówców, kiedy miałaś ochotę uciec do domu, runąć plackiem na kanapkę i...

Przywykałaś.

Każdy mag jest bezsilny w towarzystwie któregośkolwiek z „Barbarzyńców”. Żeby to tylko on sam, pan śledczy żandarm, pies łańcuchowy był niepodatny na eteryczne działania! - wtedy można byłoby zagrozić mu drogę, stawiając na niej innych, zwykłych ludzi, powstrzymać go, odwrócić jego uwagę... i uciec.

Nie.

Tak pewnie na królika działa wzrok węża dusiciela. Opadają zdrętwiałe nagle ręce, zamiast Mocy w brzuchu zaczyna się miotać szczer trwogi, jeszcze mgnienie oka i sama chcesz się z ulgą rzucić w rozwartą paszczę: weź, Panie, duszę moją... nie mam już sił!

- Wasza jasność! Pan pułkownik prosili, żeby panią powiadomić: zostali zmuszeni do pozostania na uczelni!

- Znowu? Nie, to nie do wytrzymania!

Gandieri nie ponaglał. Raz kiedyś nawet wyrwało mu się:

- Poczekaj. Kiedy się złoży, to się złoży.

Drucowi „złożyło się” prawie od razu: w piątym miesiącu Walet już na całego hulał z wujkami wychowawcami, przypalał papierosa od junkrów, wiodł serdeczne i poważne dysputy z ojcem Grigorijem i płatał zakazane mu przez pułkownika figle.

I robił nacięcia na rękojęści nahajki: pomógł wyłapać ośmiu „niuchaczy”; za dwóch osobiście podziękował mu Cyklop podczas rozmowy w gabinecie, w cztery oczy.

Znaczy - dwa nacięcia głębsze.

Zazdrościłaś Romowi. Aż pewnego razu...

- Witajcie, Elzo Wilhelmowna!

Stali przy wejściu do Teatru Operowego, na rogu Jekatierińskiej i Łopańskiego Bulwaru. Dwaj: oficer ze szkoły, Iwиков, jak i Gandieri, śledczy rezerwista - i wykładowca

fortyfikacji, którego nazwisko zapomniałaś, ale wiedziałaś, że junkrzy nazywają go Barbetem.

- Dobry wieczór panom! Kto dziś dyryguje? Villebois? Dwie ręce jednocześnie wyciągnęły się, wskazując ukośnie przez Jekatierińską na wejście do restauracji „Bohemia”.

Był marzec, kapalo z dachów, naśladowując włoskich tenorów darły się koty; znakomity Villebois, autor powieści i opery „Ojczulek”, szykował się do dyrygowania orkiestrą - a ty patrzyłaś na Iwikowa i Barbeta, czując ze zdumieniem: złożyło się.

Mogę.

Ich samych nie, ale w ich obecności - tak.

- Nie zapalaj się - osadził cię Gandieri, kiedy mu o wszystkim opowiedziałaś. - Za tydzień zaczniemy cię próbować. I tylko za moim pozwoleniem: miejsce, czas, siła działania... a tak przy okazji, Iwikow zna twoją przeszłość.

- Kto jeszcze zna? - zapytałaś, odwróciwszy się od męża. Książ nie odpowiedział.

A ty, Książkini, od tamtego marcowego wieczoru zaczęłaś się uważniej przyglądać panom śledczym i uczelnianym oficerom, smakując nową, zadziwiającą swobodę.

Przez cały czas wydawało ci się, że to ważne.

Potrzebne.

Dobrze jeszcze byłoby wiedzieć: dla kogo ważne i do czego potrzebne.

Przełamując w sobie odrazę, spojrzałaś na drugą stronę placu. Wcześniej patrzyło ci się znacznie łatwiej; teraz się czułaś, jakby drugi Tahanagi wczepił ci się z tyłu w kark, przeszkadzając w ruchach szyi.

Wiesz, Książkini... nie. Niczego nie wiesz.

Lżą mądrale filozofowie, którzy utrzymują, że nie sposób dwa razy wejść do tej samej rzeki! Proszę, oto ona, rzeka, i po raz drugi pluska się w niej podoficer Alijew z szablą oraz wachmistrze i ich dążenia, żeby za wszelką cenę zdać egzamin. Wszystko jak przedtem. Coś się jednak zmieniło, niepostrzeżenie, nieznacznie, i Moc nie pomoże ci się zorientować w zmianach, jakie zaszły u junkrów skrytych przed magiem za widmowym pancerzem.

Patrz uważniej, Książkini!

Patrz po prostu, bez sztuczek i zwodów.

Patrzyłaś i wiedziałaś, zdadzą. Jeszcze chwila i podoficer wetknie głównię w pochwę i przerwie lekcję. Tym razem zdadzą. Śmigają ze świstem ostrza szpad, słychać tupot butów, klnie po awarsku krzywa szabla...

„Zrozumieliście, żółtodzioby?” - pyta szabla.

„Tak” - odpowiadają szpady.

Co zrozumieli, w czym się zorientowali? O czym w ogóle mowa? Nie dla ciebie te pytania i odpowiedzi, moja dziewczyno. Jedna rzecz jest jasna: junkrzy uczą się fechtunku, a tobie wydaje się coś innego: - na placu dzieje się coś gorszego, potwornego, przeciwnego naturze.

Podoficerze Alijew, czegoż ty tych chłopców uczysz?!

- Mój nauczyciel mówił, kiedy pić gorący herbat dużo-dużo... On mówił „Samuraj trzeba pisać wiersz! Inaczej on nie samuraj, inaczej on demon Fuka-chaczi!” Wy pisać wiersze, Erza-san?

Słowa pojawiły się same:

- Byłam.

Kiedyś? się dowiem, Po co byłam.

Starzec pocmokał wargami, jakby próbował smak tego, co powiedziałaś’.

- Wam nie trzeba wiedzieć, Erza-san. Wy wiedzieć. Teraz. Tutaj.

- Tak - odpowiedziałaś bezwiednie, próbując się nie odwrócić od śledczych; nie kryć głowy w piasek niczym głupi struś.

I zetknęłaś się wzrokiem ze spojrzeniem Alijewa, który przed sekundą przerwał walkę.

I ze spojrzeniem Paszki Ananicza, dziarskiego rapeć-wachmistrza.

I trzech śledczych junkrów.

Spojrzałaś w oczy czterech mężczyzn, żandarmów J.I.W. specjalnego korpusu „Barbarzyńca”: jeden był żandarmem, trzech pozostali - będą.

Czterech „Barbarzyńców”, bo nie masz wśród nich byłych i przyszłych.

Zaprzagnęłaś zniknąć. Wcisnąć się w ścianę budynku administracji, wleźć pod ławeczkę albo skryć się za plecami starego Ajnosa.

Ostatni raz czułaś coś takiego podczas aresztowania cię w Henningu; pamiętasz?

Mróz. Okrutny, lutowy mróz obozowego baraku. Przez całą salę, cały w migotliwych lśnieniach, prowadzony szeptami idzie podpułkownik Gandieri, łowca, który dopadł zdobyczy. Idzie niespiesznie i cała twoja siła, zdziesięciokrotniona obecnością odzianej w suknię barwy słoniowej kości Lenki Fert, odbija się od widmowej zbroi „Barbarzyńcy”, żandarma ze śledczego korpusu J. 1. W. przy Wydziale Trzecim.

Pusto.

Zimno.

Nikt nie będzie wył falsetem.

Gasną świece w twoich oczach, głupia Raszko...

Zrozumienie przyszło nagle, jednym skokiem.

Po wilczemu rzuciło się na zdobycz.

Jak tego mogła wcześniej nie dostrzec: ot, unoszą się młode piersi, poruszone przyspieszonym oddechem, czoła, policzki, nosy gęsto usiane kroplami potu, z policzków jeszcze nie znikły czerwone plamy rumieńców - ale zaliczenie zdane! Ciała jeszcze gaszą fizyczne wzruszenie, zmuszając krew do równomiernego przepływu przez żyły; ale w duszach nie ma wzruszenia. Zginęło uniesienie; zdechło niczym parszywy pies pod płótem, zastąpione przez zimne wyrachowanie. Gdzie wściekłość? Uraza? Animusz?!

„Róbcie to, co ja! Spokojnie! Nie przystoi wam... przyszłym panom oficerom...”

Rezultat jest oczywisty.

Od tej chwili zawsze, czy to w pojedynku, czy w boju, w pobliżu aułu Achil-go, czy na przedmieściach Sewastopola, będą się bić spokojnie.

Nie beznamiętnie. Obojętnie.

„Samuraj trzeba pisać wiersz! Inaczej on nie samuraj, inaczej on demon Fuka-chaczi!...”

Jeździć konno; uczyć się sztuki fortyfikacji, strzelać z pistoletu; kochać kobietę, matkę, syna; chwycić łamiących prawo magów, na zawsze przywdziawszy swoją przezroczywą zbroję - obojętnie.

Z taką samą - spokojną duszą.

Z piętra, z okna swojego gabinetu, patrzył na ciebie z wyrzutem w oczach Cyklop. I drapał się w czoło.

## **VI. DRUC-KONIARZ ALBO BIES W ŻEBRO**

*Ratuj wydanych na śmierć*

*A tych, których się wiedzie na stracenie,*

*Zatrzymaj.*

*Przypowieści Salomona*

Od samego rana wszystko szło nie tak. Zaczął się ten „czarny dzień” od bałaganu: pierwszy ochotnik z „fircyków” kiepsko zleciał z grzbietu gniadego trzylatka zwanego Gniedycz. Trzeba przyznać, że bardzo to przypominało nazwisko. Charakter też miał żrebiec



odpowiedni: nie zły, ale zwodniczo poufały. Wypraszał cukrowe łąpówki. Był też mistrzem w nadymaniu brzucha, żeby mniej ciasno dopinać mu popręg i...

Ba-bach!

„Fircyk” leży w piachu. Gniedycz stoi nad nim i fuka mu w ucho, jakby mówił wstań, synku, daj mi smakołyk! Co ci, wstajesz? To ja cię, niedołego, zębami za kołnierz; wstawaj, do kogo mówię!

Wśród szeregów śmieszki przelatują. Niezbyt liczne, jak to się zdarza wśród zwykłych żółtodziobów, grzech wynosić się nad kolegę; ale trochę ich było. Gdyby na miejscu nowicjuszków byli panowie rapeć-wachmistrze, w stu wrzątkach już wygotowani - żaden by nawet brwią nie ruszył; ale tobie, Druc, wcale nie do śmiechu było. Otóż i fart, baro! Ty mogłeś się śmiać lub płakać, wolna wola, ale na fircyków niczym jastrząb rzucił się jego gorliwość Hłarion Fiedotycz.

I przykładowo im wszystkim wypalił.

Nie przystoi przyszłym żandarmerskim oficerom rzeć jak młode źrebaki albo durnym felczerom studentom, nadającym się jedynie do tego, żeby hipopotamom lewatywy robić. Śledczy „Barbarzyńca”, bies w bok, powinien być spokojny i niewzruszony, uczuć nie okazywać, wstyd śmiać się z towarzysza i nie ma dla takich wesółków miejsca w szeregach junkrów sławnej uczelni...

Baaaaauś!

Śmiech natychmiast ucichł. „Fircyki” znieruchomieli i z kamiennymi już twarzami słuchali uwag Fiedotycza; wujek wychowawca głosu nie podnosił, tylko od czasu do czasu chrząkał gardłowo, oddzielając zdanie od zdania - jakby szczykał rygłem. A pod koniec swojej wychowawczej pogawędki wziął nagle na cel nie kogo innego, tylko ciebie:

- ...a lewoooo... atrz! Przyjrzyjcie się, nawet nadzorca stajen, choć cywil, zębów nie szczyrzy. Zachowuje się słusznie i z rezerwą. A wy... wstyd, panowie!

Ciebie od samego ranka chmurzyło, jak niebo przed burzą tylko patrzeć, jak gruchnie między brwiami i błyskawice się z oczu posypią. Gruchnęło potem, kiedy strofowałeś niedbałych koniuchów, którzy przegapili wyglup Gniedycza. Ale „potem” to „potem”, a wtedy, rankiem, trzeba było trzymać fason przed junkrami i pokazywać im obiecaną dzygitówkę.

Całą uprząż, nikomu nie dowierzając, sprawdziłeś osobiście. Warcząc gniewnie tu podciągnąłeś, tam dopiąłeś - choć raczej dla porządku niż z konieczności.

- Gotów, Efremie Iwanyczu? - wachmistrz podszedł z tyłu, a ty po raz pierwszy nie usłyszałeś jego kroków!

- Tak jest, Iłarionie Fiedotyczu!

- To bies w bok, ja im powiem jeszcze kilka słów na ostatek. A jak dam znak ręką - wyjeżdżaj.

Ponuro kiwnąłeś głową.

Nie mogłeś zapomnieć o wcześniejszej rozmowie z ojcem Grigorijem i wybuchu gniewu Akuliny. Nieswojo się czuleś, wiedząc, że dwoje bliskich ci ludzi pokłóciło się o bzdurę. Ojczulek zawinił? Długi jęzor Akulki? Jej ciąża? A może wczorajszy „urok” w dworku?

Jeżeli nawet Kniahini odwrócić go nie może...

Ze wszystkich stron napływało przecucie czegoś strasznego; burza dojrzewała, przesycając powietrze wrzącym oddechem i zbliżała się z każdą chwilą. Ach, głupi Romie! - dalej, przepuścimy burzę przez siebie, uczynimy z niej swoją burzę, sami się burzą staniemy/zobaczymy, ”zrozumiemy, dowiemy się...

Ciepła fala leniwie chlupnęła w brzuchu (zgaga po mażym szczęściu?) i bezsilnie odpłynęła z powrotem. Bez pożytku. Pachnie pieczenia i spalenizną, a z czyjego podwórka - czart jeden wie. Zestarzałeś się, baro, do niczego już jesteś...

Regulaminowy człek z ciebie.

Machnięcie dłonią Fiedotycza też przegapiłeś. Musiał cię wachmistrz okrzykiem otrzeźwić, bies w bok, dopiero się ocknąłeś. W siodło frunąłeś jak za młodych lat i natychmiast zostawiłeś na grzesznej ziemi wszelkie smutki i trwogi - koń! ty! niebo! i jeszcze gdzieś tam, daleko w dole, tamburyn, w który biją kopyta.

Wiatr rzuca w twarz chłód rzeńskiego powietrza pachnącego goryczą jesieni i resztkami utraconej wolności.

Szara wata na niebie - porwana na strzępy.

Ziemia pod kopytami wiruje niczym wściekła karuzela w krwawym wirze złotych, porywanych przez wiatr liści.

Ach, mamó, pędzę po niebie rozsypując iskry gwiazd! Hej, po niebie, hej, przez życie, a przemknie życie, to przez piekło! Nie masz konia Gniedycza, nie masz Roma Dufuńki - dziwny, bajeczny kołowrót, fryga pijana wołą-niewołą, bałamuci niebo z ziemią; upojenie, które oszałamia nie tylko ciebie, ale i ścianę ożywionych mundurów - stoją, gęby pootwierali! Pożerają wzrokiem ożywiony huragan! Bajki nie zobaczą, na co innego ich nastawiono, ślepi są na bajki, ale dość im tego, co widzą... Uspokój się, Walecie Winny! Nie zapalaj się ponad miarę! Niech chłopackowie zobaczą swój jutrzejszy dzień, konieczność, do której powinni dążyć; niech zapragną się nauczyć - a nie stać z opuszczonymi rękoma: „No, *tak* to ja nigdy umiał nie

będę!”.

Uspokoileś się.

Odzyskałeś rozum.

Stłumiłeś upojenie; okiełznałeś wolność.

Wszystko zrobiłeś słusznie i prawidłowo, jak przystoi człowiekowi na stanowisku, w państwowej służbie, a nie koniarzowi hulace, któremu tylko wiatr pod czerepem śwista! Fiedotycz z uznaniem kiwa głową: chwyt z ciebie nie lada!

Chwyt to chwyt. Tylko czemu chwata tak mdli? Jakby sam siebie Zgasił, chwycił na arkan i uzdę sobie nałożył...

Aj, mamó!... Przeciągiem od panów junkrów zaciągnęło. Łupnęło w krzyżu, ból przeszył stawy. W duszy plusnęła katorga, oblała mroźnym wspomnieniem. A w pierwszym szeregu dwaj junkrzy przestąpili z nogi na nogę. Piegowaty prawoskrzydłowy mimo woli za brzuch się złapał - brzuch ci wzdęło, czy co? ot, pech! - a stojącemu obok piękniśowi i bawidamkowi nerwowo drgnął policzek.

Obaj poruszają nozdrzami; obaj myszkują wokół wzrokiem, jakby widzieli cień szalony, nieprawdopodobny, nieistniejący, ale spóźnili się ze zrozumieniem - czyj to był cień?!

Za to przyjaciel Fiedotycz wszystko, czego mu było trzeba, spostrzegł.

Wziął, bies w bok, i zapamiętał.

Będą z chłopców „niuchacze”.

- ...szybko to dziś, Iwanycz, poszło. Zmęczyłeś się czy co?

- Proszono mnie, żebym się nie zapędział - krzywy uśmiech w odpowiedzi. - Może zechcesz sobie przypomnieć, kto prosił? Co, Fiedotycz?

- Dziękuję, Iwanycz. Wziąłeś pod rozwagę. Nie trap się. W twoim wieku konie czy chłopaki... Popatrz tam, czy to nie od uczelni ktoś tu ku nam jedzie?

- Nadzorca stajen, Wiśniewski, do pana pułkownika! Kazano stawić się niezwłocznie!

Czyżby jednak ta burza raczyła się zwalić na łeb? Z powodu niemocy przyjaciółki? Przez junkierski śmiech? Przez fintę roz hulankę podczas jazdy? Wódki by teraz łyk solidny się przydał, ale nie wolno. Regulaminowy człowiek jesteś. Powściągliwy. Zakwaszony.

W dębowych beczkach.

Pamiętasz Dufuńka, ponad trzy lata temu obiecałeś na Krymie konia uprowadzić. Denerwowałeś się, mówiłeś: „Moje słowo jak żelazo!” Chępiłeś się: „Czy się kiedyś zdarzyło, żebym się cofnął przed koniem czy robotą?!” Zardzewiało żelazo, przed koniem się cofnąłeś; niejawnym współpracownikiem i regulaminowym człekiem się stałeś.

Żeby jeszcze tylko wiedzieć: czemu do dzisiaj głupie sumienie cię gryzie? Bierze cię

chęć, by wsiąść do pociągu byle jakiego, pojechać chyłkiem na ten przeklęty Krym i uprowadzić tamtego konia... Głupota?!

Ależ oczywiście, głupota.

Przejechaliście.

- Zdrowia życzę waszej czujności! Zjawiam się na rozkaz!

- Zjawiają się diabły pustelnikom! A w gabinecie komendanta szkoły należy się zameldować. Co prawda ty, Jefrem, jesteś cywilem, tobie można wybaczyć. Wchodź.

Nie zaproponował, żebyś usiadł. No nic, nie będziemy się pychą unosić.

Pan pułkownik najwyraźniej był nie w humorze. Podczas minionych trzech lat jako niejawni współpracownik nauczyłeś się rozróżniać nieuchwytnie niemal odcienie nastrojów „Barbarzyńców”, a kniazia Gandieri w szczególności. Im dłużej to trwało, tym częściej jednak się zastanawiałeś: ty się wyczuliłeś czy kniaź swój nieprzenikniony pancerz rozluźniać zaczął?

Niebezpieczne to myśli.

Swoją cenę podbijasz, Cyklopowi obniżasz - i zaraz ci, Dufuńka, piosenkę zaśpiewają: wędruj koniu wrony po polu zielonym, gdzie pan pogrzebiony.

- Zmówiliście się, czy co?

Gandieri stanął przy oknie i rozcierając dłonią czoło, patrzył w dół.

Widząc jedynie szerokie plecy na tle jasnego prześwitu okna i tak wiedziałeś, gdzie patrzy „Barbarzyńca”. Na Kniaginię, która czekając na męża rozmawia z żółtolicym Azją. Wiedziałeś też, dlaczego patrzy. Idąc tutaj, jeszcze na drugim placu czuleś, że w powietrzu wisi woń magii. Drobną, żartobliwą niemal figiel. I teraz, morę, dostanie ci się od razu za dwa niezatwierdzone „etery”: twój i Kniagini.

A tam, bies w bok, mówi się trudno.

Gandieri odwrócił się ku tobie i po raz ostatni dotknął czoła. Przeszyło cię osobliwe uczucie: jakby to nie pułkownik śledczy przed tobą stał. Jakby był goły i zrobienie z nim czegokolwiek, co tylko romskiej duszyczce się zamarzy, było łatwiejsze od byle splunięcia. Dawniej dowolny śledczy wydawał ci się niewzruszony jak miedziany jeździec, golem ogromny; ręce ci popadały i czuleś się jak nędzny, rozdygotany stwór, nie jak człowiek i mag wedle Prawa. Jakbyś się wybrał ze szklanym pręcikiem górę przesuwając. W uczelni nawet wiele czasu ci zajęło, żeby niczym głupi żrebackek nie trząść się przed lada junkrem... Niewielcy oni, zieleni i niedojrzali, a mimo wszystko: miedziane pomniczki, golemki olbrzymki, osobliwie ci tuż przed promocją.

W Sewastopolu, kiedy z nożem na kniazia szedłeś, nie zwycięstwa, ale śmierci szukałeś. I dlatego potrójnie dziwnie czuć teraz: ty, Druc, jesteś człowiekiem, ale i on jest człowiekiem, ten Szalwa Gandieri, a gdyby teraz zrobić ku niemu krok od drzwi...

Krok nie ty zrobiłeś, ale on.

I natychmiast znikło poczucie siły i bezkarności; zamknęły się chwilowe szczeliny w barbarzyńskiej zbroi i zarosły stalowymi szramami.

Aż zęby cię zabolowały.

„Zaraz mnie opieprzy, aż mi w pięty pójdzie!” - pomyślałeś przelotnie. Ale nie, obeszło się jakoś. Najwyraźniej pan pułkownik, zdając sobie sprawę ze swego rozdrażnienia i wstydzając się tego uczucia, postanowił porozmawiać z tobą grzeczniej niż zwykle.

„Cierpi z powodu córki, szalonej Tamary” - pomyślałeś. Co prawda, do takiego domysłu nie trzeba było mieć łba jak ceber. - Siadaj, nadzorco stajen. No, siadaj, mówię!

A nogi masz miękkie, niby z waty, gną ci się w kolanach, gdy idziesz w stronę krzesła.

Tak, Druc? Nawojowałeś się, anika-wojowniku? Zrównoważony człowieku na stanowisku?

- Zwalniam cię dziś z pracy na drugą połowę dnia - bez wszelkich wstępów oznajmił kniaź, ledwo za jego poleceniem usiadłeś na krześle. - Będę miał dla ciebie... nie, nawet nie polecenie - prośbę.

- Na rozkaz, wasza... - Drgnął ryży wąs: mocno widać dopiekleś Cyklopowi tym „narozkazem”! - Zrobię, co będę mógł - dodałeś znacznie ciszej.

Zamyślony Gandieri przeszedł się po gabinecie, poskrzypując butami. I zatrzymał się naprzeciwko, pod szafą z czarnego dębu.

- Poproszę cię więc, Jefrem, żebyś pojechał do mnie do Małygina. Dziś wieczorem koniecznie musimy z żoną być na balu - nie pojechałbym, ale takie są niestety wymogi służby. A córki nie chcę zostawić na łasce służących. Podejrzewam, że domyślasz się w czym rzecz?

Gandieri wyczekująco zmrużył oczu.

- Słusznie podejrzewasz, wasza jasność - kiwnąłeś oszczędnie głową.

- Tym lepiej - odpowiedzią było także oszczędne skinienie. Jakbyście się w zwierciadle odbijali: tyś człowiek i on też człowiek. Z przerażającą jasnością widać: pod zewnętrzną powłoką chłodnej powściągliwości, na zawsze, rzekłbyś, zrośniętej z żandarmerskim pułkownikiem, płonie piekielny, smolisty war!

Kniaź się trzymał - ale ileż go to kosztowało!

Teraz nie czas był jednak na to, żeby rozmyślać o cudach: Gandieri nie należał do ludzi,

którzy ścierpią brak uwagi ze strony słuchacza!

- ...ze zrozumiałych przyczyn nie chciałbym mieszać w tę sprawę kogokolwiek innego. A Ciebie Tamara zna; o Fiodorze zaś nie ma co mówić. Służba i domownicy zostali już uprzedzeni. Bardzo Cię proszę, Jefrem, przypilnuj mi córkę. Myślę, że podczas naszej nieobecności nic strasznego się nie stanie, ale w razie czego...

Twarz kniazia jest jak wyrzeźbiona z kamienia. Straszne też, kamienne są słowa, absolutnie niemożliwe w ustach Gandieriego Cyklopa, śledczego żandarma.

- Zezwalam na zastosowanie siły i działań eterycznych: w aktualnym stanie Tamara jest po części na nie podatna. Ale tylko w *skrajnym* przypadku i z całą delikatnością. Inaczej odpowiesz głową. Zrozumiałeś?

- Zrozumiałem, wasza jasność. Zrobi się, dopilnuję córki, gąsienica się nie przemknie. Fied'ka też jest człowiekiem poważnym, możecie w to nie wątpić...

- Jefrem, liczę na Ciebie, nie na Fiodora. Oboje z Kniahinią na Ciebie liczymy. Jedź. Na noc zostaniesz we dworku, dadzą Ci tam pokój. Nie spiesz się z powrotem, jutro masz wychodne, już to załatwiłem.

Wstałeś i skłoniłeś się.

Czemuś się otrząsał - chciałeś się poczuć czyściej, czy co?

- Mogę odejść, wasza jasność?

Kniaź zapomniał o odpowiedzi i pozwoleniu. Ponownie odwrócił się ku oknu - plecy miał szerokie, mocne, szmaragdowy mundur opisał tors niczym druga skóra.

Zgarbiłeś się, Cyklopie? Czy może to tylko gra cieni? Cieni, cieni...

- Pół godziny Ci wystarczy na przygotowanie, Dufunia? Wybacz, Jefrem... oczywiście, Jefrem...

Cienie...

Pół godziny wystarczyło aż nadto - opieprzyć nierobów stajennych, pożegnać się serdecznie z Fiedotyczem, przebrać się - i już wkrótce ze szkolnej bramy wyjeżdżał na przydzielonej mu najlepszej szkolnej dwukółce wzorowy obywatel, Jefrem Iwanycz Wiśniewski, nadzorca uczelnianych stajen.

Cały czas wydawało Ci się, że Cyklop patrzy w ślad za Tobą.

Drapiąc się po czole.

Podczas gdy dwukółka toczyła się przez podmiejskie osiedla, zdążyło się już rozpogodzić. Kłęby ołowianej waty rozpełzły się niczym wyświechtany koc, za który jednocześnie szarpnięto z czterech stron; z pęknięć sypnęły się promienie ciepłego, choć nie gorącego wrześnie słońca i nawet pstrokata kłacz bez żadnych ponagleń ruszyła bardziej

rażno.

W twojej duszy było mniej więcej podobnie, jak na niebie: chmury niby się rozplynęły, ale sina mgła czai się po kątach i czeka na swój czas.

Będzie burza.

Okolicę otuliły malowniczym kobiercem gaje i skąpe laski: resztki ciemnej zieleni przeplatały się z pasmami miodowej żółci i wybuchami purpury, a gdzieniegdzie drzewa pokreśliły już niebo kruchą płataniną nagich gałęzi. Melancholijnie to wyglądało, Druc, melancholijnie i pięknie; melancholia zresztą nie była głęboka - dmuchnij tylko i rozplynie się niczym dym, przesączy przez azur gałęzi i baśniowym dymkiem frunie w niebo, żeby rozplynać się w bezkresnym błękicie.

Jesień.

Dookoła jesień i na sercu jesień; na razie jasna z lekką nutką goryczy, ale przecież niedługo trzeba będzie czekać na deszcz, wilgoć, przenikające duszę na wskroś zimne wiatry, zwiastuny rychłej zimy. Co, Druc, przybyło ci soli w bujnych kędziorach? Nie mniej chyba niż czarnego pieprzu.

Przybyło. Co prawda, mówią: „Siwizna w brodę, bies w bok”, aleś ty nie na darmo dostał swoją ksywę. Golisz ty brodę, Romie zbłąkany. Oszukałeś swojego biesa, przeoczył rogaty siwiznę, nie przyszedł. Dał ci osiąść, ustatkować się; żandarmerski pułkownik powierza ci pilnowanie swojej córki - gdzie tu miejsce dla biesa? Wychodzi na to, że nigdzie.

Ale nie wiadomo, dlaczego od tego „nigdzie”, tak podobnego do „nigdy”, jesienna gorycz dwakroć mocniej pali wargi. I coś chrzęści ci w piersi.

Jesień?

Piętrowy dwór, siedziba kniazia Gandieri, wypłynął zza zakrętu dostojnie niczym łabędź, jak przystało solidnej posiadłości: z parkiem, stajniami, oficynami i wszelkiego rodzaju przybudówkami gospodarczymi. Można by go spokojnie pałacykiem nazwać. Kolumny flankujące wejście, różowy marmur stopni, po letniej werandzie skaczą psotnie purpurowe plamki - to słońce prześwieca przez szkarłatne liście winorośli, która oplotła werandę z góry.

I nie od razu można ich spostrzec pośród tego skaczącego nerwowo szkarłatu i sepii. Ale są.

Księżniczka Tamara i Fied'ka Sochacz.

Przy letnim stoliku.

Siedzi piękna panna: twarz smągła, włosy kruczoczarne, suknia z różowych płatków -

pod barwę marmuru, czy może marmur schodów dobrany barwą do sukni? Siedzi, bies w bok i trzyma za rękę księcia z bajki. Patrzy na niego i milczy. Po prostu patrzy i wzroku oderwać nie może. Po prostu milczy, zapomniawszy o słowach.

Po co komu słowa?

Książę się zmieszał; usiłuje to ukryć, ale konfuzja bucha zeń, niczym piana. Na stole zapomniane przez oboje: cudaczny kapelusik, gołąbek z salonu madame Fleur d'Orange i dwa wysokie puchary z czymś czerwonym; chyba mors\*[\* - *Mors - napój orzeźwiający z wody i soku jagód lub owoców.*] z jagód żurawiny, przyjaciółki katorżników.

Wina Tamarze nikt nie poda - pannica i bez tego jest oszołomiona bardziej, niżby się upiła.

A w kącie werandy, na ławeczce, niczym czarna wrona zgarbiła się mateczka Choreszan. Strzeże panienki lepiej niż pies łańcuchowy.

A prawdziwy pies na miejscu nie usiedział. Dobry pies, Trismegistos! - niczym niesiony wiatrem podbiegł do bramy i zaszczekał niskim głosem. Nie na ciebie, ale na leniwe sługi, jakby wydał rozkaz: otwierajcie, leniwcę jedne! Wygląd i głos miał dog władczy, można by rzec - książęcy.

Ciebie Trismegistos uznawał, gdyż odwiedzałeś już wcześniej dwór, pomagałeś przy wyposażeniu końskich boksów, wynikiem czego uznano cię za człowieka pożytecznego, właściwego, dwukrotnie podczas każdej wizyty, przy powitaniu i wyjeździe łaskawie pozwalano ci się podrapać za uchem - po czym dog z uprzejmą miną ponownie układał się w trawie i podejmował służbę wartowniczą.

Rytuału dopełniono i tym razem, kobyłkę odwiedziono, by ją wyprząc, a ty skierowałeś się ku werandzie, skąd radośnie machał ci ręką Fiodor. Księżniczka nagłym ruchem odwróciła się w twoją stronę, w jej oczach mignęła trwoga - zabiorą, nie dam, nie opuszczę! - ale na twój widok dziewczyna odprężyła się i na jej ustach pojawił się nawet uprzejmy uśmiech.

- Powitać spieszę, Tamaro Szalwowna! - zręcznie zerwałeś z głowy czapkę i zabawnie trzepnąłeś nią o biodro. - I was witam, pani Choreszan! Jak zdrowie?

Wrona kraknęła coś pod nosem.

## **NOTATKI NA MARGINESIE**

*W czarnych, wilgotnych, ale nigdy niezawiających się oczach mateczki Choreszan teraz i na wieki: ...wiatr.*



*Wiecie, co to takiego czichtikopi? Leczaki? Nie wiecie? A przecież to codzienność dla każdej kartlijki: kobiece przybranie głowy w formie zawoju z aksamitu, na który narzuca się trójkątną tiulową woalkę. Taki zwój ozdabiał głowę jeszcze młodej kobiety tamtego dnia, kiedy z baszty zamku Lechuri patrzyła w dół, na drogę. I na wóz, na którym wieziono ciało jej syna, zabitego przez krewniaka, a za wozem szedł siwy rumak z pustym siodłem.*

*Wach, wiatr! Zerwał z głowy czichtikopi! Zerwał leczaki! I cisnął pod koła wozu, pod kopyta siwego konia.*

*Wiatr...*

- Szacuneczek, Fiodorze Fiedorowiczu! Trochę błaznowałeś, wiedząc, że tak trzeba.

- D-dzień d-obry... J-jefremie Iwanowiczu...

Księżniczka mówiła wyraźnie, lekko się zacinając - jakby wypowiadała kwestie z wyuczonej roli. Przy tym wszystkim jej dziecięcy, szczerzy uśmiech nijak się nie wiązał z wypowiedzianymi słowami.

Patrzcie państwo! Zapamiętała imię i patronimik! - zdążyłeś się jeszcze zdziwić.

- My... z Fied'ką... zamierzaliśmy zjeść obiad... Z-zechcecie nam t-towarzyszyć?

- Witaj, Jefremuszka! I to prawda, zmęczyła cię chyba droga, a w brzuchu ci burczy, jakby na bębnie grali! Siadaj z nami. Rozmawialiśmy o wielkich sprawach delikatnej materii - gdybyś nie przyjechał, pomarlibyśmy z głodu!

Fied'ke trochę ponosiło, choć w zasadzie trzymał się chłop ze wszystkich sił. Ciężko mu: cały dzień z księżniczką, pod nadzorem tej wrony i jeszcze uważać, żeby i Tamarę zainteresować i nie palnąć jakiegoś głupstwa, a najważniejsze, żeby jej nie urazić - ani obojętnością, ani przypadkową, mimowolną aluzją. Ona teraz jest niczym dzikie zwierzę - rozumu niewiele, ale każdy fałsz czy nieprawdę przez deskę wyczuje i przejrzy.

Nie dziwota, że Fiodora ucieszył twój przyjazd.

Podali obiad, gęstą, jantarowej barwy uchę z karpiów, zapiekankę z grzybów na parze mocno pachnącą aromatem białego pieprzu, domowej roboty faworki; tobie i Fiodorowi przyniesiono cierpki, strzelający w nos bąbelkami kwas z chłodni, a Tamarze - dzban morsa. Nieustannie plotłeś trzy po trzy, mieszając prawdę z nieprawdą, opowiadałeś rzymskie historie i bajdy, zasłyszane krajem ucha na drogach i drózkach, starając się wybrać te bardziej wesołe; zmusiłeś czas, by płynął lekko i beztrąsko, niby ptak lub trojka, pod eklery z kremem i karafkę „jerofieicza” - ależ zadanie dał ci Szałwa Timurazowicz! Wiek byś tak terkotał, dzień za dniem...

- A mój papa... on mówił, że wy, Jefremie Iwanowiczu, jesteście k-końskim bogiem...

- Cóż, jeżeli sam jego jasność tak powiada - zmrużyłeś oczy z miną człowieka dobrze znającego swą wartość. - Są pewnie na tym świecie lepsi ode mnie znawcy koni, ale i stary Jefrem do ostatnich nie należy!

- Przejedźmy się gdzieś! Nudno tu na dworku.

Zlekceważyłeś błysk w oczach Tamary. Zerknąłeś tylko z ukosa na Fiodora, ale ten wzruszył ramionami, jakby mówił: nie sprzeciwiam się! Czemu się nie przejechać?

- Czyż mógłbym odmówić Tamarze Szalwownej? - chętnie podniosłeś kieliszek z nalewką. - Pojedziemy jak wiatr, łagodnie, niczym na puchach! Zaraz zaprzęgniemy Calvadosa...

„Jerościecz” spłynął w gardło jednym haustem.

- Ja...Z-zaprzęgać każe! - Tamara klasnęła w dłonie jak dziewczynka i na widok nieudawanej radości księżniczki popełniła ostatnią omyłkę:

- Tamaro Szalwowna, niechże się pani nie trudzi. Ja sam.

- M-mówcie mi po prostu T-tamara...

Zdaje się, że chciała zrobić kokieteryjnie gniewną minkę. Ale wyszło inaczej: twarz dziewczyny nagle się ściągnęła i stwardniała, upodabniając się do ojcowej. Utkwiłeś wzrok w płycie stołu, wbiłeś go pomiędzy talerze, jakbyś czegoś szukał i nie mógł znaleźć.

- B-będzie mi m-miło...

Nie spodobał się ci też ton tych słów. Niby głupstwo, sztuczna kokieteria człowieka słabego na umyśle - ale jednocześnie przez zmieszany uśmiech z niebywałą dotąd wyrazistością przebiło się szaleństwo, na chwilę wyszczerzyło zęby - i ponownie skryło się w jakiejś norze. Obejrzałeś się na siedzącą w rogu mateczkę Chore-szan: czy czujna nianka coś zauważyła?

Nie, niczego nie spostrzegła. Usnęła, wrona jedna.

Najwyraźniej wasza długa i beztroska rozmowa uspiła nawet jej czujność.

Najpewniej na tym trzeba się było zatrzymać, pod jakimkolwiek pozorem wymówić się od przejażdżki, niepostrzeżenie obudzić starszą damę, odwrócić uwagę Tamary jakąś nową, niesłychaną opowieścią - co, mało ich znałeś, baro? - ale ty wzgardziłeś cichym głosem rozsądku. A może przekłety bies dobrał się wreszcie do twego zebra, a tyś tego nie spostrzegł?

Aj, nie spostrzegłeś, przegapiłeś!

Zamiast szlachetnych wymówek ty przebiegle, z miną spiskowca mrugnąłeś do Fied'ki i Tamary, a potem wszyscy na paluszkach, żeby broń Boże nie obudzić przyrodniej cioteczki Szalwy Timurazowicza, zeszlście z werandy. I ruszyliście ku stajniom.

Nawet tu był jeszcze czas, żeby się wycofać. Ale razem z Fied'ką, któremu zdaje się hulał w głowie wiatr jeszcze dzikszyszy niż w twojej, starej i głupiej, odesłaliście stajennych, rozkazując im otworzyć wrota; a ty szybko zaprząłeś CaWadosa, spokojnego dończaka, którego wcześniej jeszcze bezbłędnie wyłowileś wśród innych kniaziowych koni.

Co, stary „koniarzu”, wilk zawsze wilkiem zostanie? „Zawiązałeś się”, z Konwencji wyszedłeś, a wciąż cię ciągnie do cudzych koni?

Fiodor rycersko pomógł Tamarze wsiąść do kolaski, ty skoczyłeś na kozioł - i machnąłeś na wszystko ręką. Co w tym złego? Przejedźcie się po okolicy i wróćcie. Skoro księżniczka prosi... A popilnować jej i z kozła można - czy to ci pierwszyczna dać baczenie na tył?

No i pięknie!

Jazdaaaaa!

Dureń koniuch długo coś marudził przy wrotach, więc Fiodor zeskoczył na ziemię i jednym potężnym pchnięciem otworzył oba skrzydła.

- Pojedziemy na przejażdżkę, ślicznotko? - zapytałeś, obracając się i mrugając do księżniczki.

Ty?

Czy ten bies, który cię opętał?

Z początku, choć jechaliście z wiatrem, starałeś się nie popisywać. Bez przyczyny pojawił ci się w pamięci obraz: zachłystuje się szaleńczym chichotem młody junkier na dzygitówce, tańczy rotmistrz o szklanych oczach w „Babilonie 5”. Kniagini też się kiedyś wyrwało, że poprzedni komendant szkoły nie odszedł sobie, ot tak, na emeryturę. No a córka Szałwy Timurazowicza też... a i sam książ - ten ogień, który dziś zobaczyłeś w oczach Cyclopa... zły, przeklęty ogień! Ani się spostrzeżesz, jak duszę i rozum do cna wypali i tylko popiół w głowie i sercu zostawi! Książ ma silny charakter, ale każda siła ma swoje granice...

Wściekła jazda, szaleńczy taniec, palący ogień namiętności - wszystko układało się w sekretny, narysowany wcześniej wzór; wstrzymywałeś Calvadosa, jak wstrzymywałeś swoje myśli, nie pozwalając spokojnemu kłusowi rozwinąć się w szaleńczy galop...

Ale najpierw przyszła fala: znajoma, straszna, niemożliwa do opanowania.

I zobaczyłeś zaraz potem:

Tłum.

Huczy niby zaniepokojony ul, bryzga nienawiścią i okrucieństwem. Pośród ludzkich wróbelków skacze ułomny karzeł i pokrzykuje: „Prokopie święty! W dniu twoim, przeżegnaj

krzyżem raba bożego!” i tylko bardziej ludzi podpuszcza, dureń jeden. „A jakże, w dniu twoim, Prokopie! Krzyżem! A maaasz!” A pod nogami, butami, kołkami pospiesznie wyrwanymi z płotów - chłopaczek we krwi i łachmanach, pobity, ale jeszcze żywy. Jak go zobaczyłeś w tym tłumie - nie sposób odgadnąć.

Chyba finta ci sama z siebie wyszła, jak pięść sama zwija się w gniewie.

Dziwna rzecz: bili chłopca bez osobliwej złości, duszy w to nie wkładali, i nawet się temu zdziwiłeś, bo gniewu było w nich dość - ale wzrok ześlizgnął się dalej i odpowiedź pojawiła się sama.

Nieopodał trzech rozczochranych chłopów trzymało Roma, smagłego mężczyznę o orlim nosie. Na czoło nieszczęśnika wystąpił pot, oczy wyróciły się białkami - ale wcale nie przez jałowe próby wytrwania się - Rom, mizerna Dziewiątka Winna, usiłował powstrzymać tłum!

Ot, gdzie przyszło się spotkać!

Na króciutką chwilę wszystko ci się w głowie wymieszało. Zdażyłeś, zdażyłeś przez lata i wiorsty: oto on, twój Danko, jeszcze żywy - a ty nie możesz tego zatrzymać, uratować...

Lejce naprężyły się same.

Boleśnie parsknął Calvados, stając dęba: omal nie przewrócił kolaski i stanął jak wkopany w ziemię.

Jakby wiatr zdmuchnął trzy lata na uczelni, podpisany przez ciebie kontrakt i długie rozmowy z ojcem Grigorijem.

O niczym już nie myśląc, zapomniawszy o pozostawionych w kolasce księżniczce i Fied'ce, sfrunął z kozła na ziemię Walet Winny o ksywie Golony.

Mag z łaski Prawa.

## **VII. RASZKA-KNIAHINI ALBO KRÓL JTAWIA KRZYŻ**

*Kto postępuje nienagannie, postępuje bezpiecznie;*

*Kto zaś chodzi krętymi drogami, będzie szybko ujawniony.*

*Przypowieści Salomona*

- To niepotrzebne, serdeńko - powiedział później, kiedy wracaliście do domu; przebrać się i odpocząć przed balem.

- O czym wy... - zapytałaś odruchowo.

Kopyta dźwięcznie stukały o bruk. Za bulwarem stangret skręcił w prawo, obok dzwonnicy i Monastynu Pokrowskiego. Niebo nad krzyżami usiane było piórkami obłoków, ale dalej, znad Pawłowki znów nadpełzała czarniawa siność.

Robiło się duszno.

- Rozumiem, to drobiazg - Gandieri nie uznał, że twoje pytanie zasługuje na odpowiedź. I bez tego świetnie się rozumieście. - Głupstwo. Lekkomysłność, „finta”, jeżeli posłużyć się tradycyjnym określeniem. A panowie „niuchacze” nie zasługują na zbyt surowe wymówki. Ale moja kochana, zechciejcie sobie wyobrazić, że oni zauważyliby wasz „eter”. Przecież wszyscy podchorążowie drugiego roku marzą tylko o tym, żeby wyjaśnić, kto ich sprawdza, kto szlifuje im węd. Po cóż wam zbyt dobra sława?

Poczułaś, że od skroni ku podbródkowi pełźnie ci i laskocze skórę kropla potu.

- Poczekaj, Szałwo. Chcesz powiedzieć, że oni nie wiedzą, kto w ich otoczeniu jest zwerbowanym do współpracy magiem?! Niuchacze?!

- Rozumie się, że nie wiedzą. Nie powinni wiedzieć. Na szczęście tylko wieloletnia praktyka pozwala specjalistom na określenie nie tylko zaistnienia eterycznych działań, ale i wskazanie jego źródła. Za pięć, sześć lat, nabijesz sobie parę guzów na ciernistych drogach... Co prawda, bywają przykre wyjątki.

- Przykre?

- Albo, jeżeli chcecie, szczęśliwe. Na przykład wasz pokorny sługa tuż przed promocją potrafił wyśledzić obiekt: niejawnego współpracownika Gamzata Cada, tyfiliskiego szaszłykarza.

- I co, pochwalili cię? Nagrodzili?

- Niestety, serdeńko. Wezwał mnie do siebie komendant tyfiliskiej szkoły, pułkownik Szamil Abutalibow, świeć Panie jego duszy, bo nieludzko surowy był staruch! Zmusił mnie do podpisania całego stosu papierzyk i zobowiązań o zachowaniu tajemnicy. Nie chciałbym, żeby wasz ulubieniec Ananicz wyjechał do stolicy objuczony takimiż papierami. Mogą one pozytywnie wpłynąć na karierę oficera, ale częściej dzieje się odwrotnie. Nadmierne zdolności nie zawsze się wybacza.

Z twarzy dzisiejszego, charkowskiego Gandieriego nagle wyrzał Gandieri mordwiński: dumny i inteligentny pracownik, rozgoryczony skostniałością Rady Państwa, zuchwały Cyklop, który zaryzykował przekroczenie litery Prawa w imię zachowania jego Ducha.

Poczułaś, że w powietrzu musują rześkie bąbelki szampana.

Na wschodzie zagrzmiało: najpierw nieśmiało, jakby burza robiła próbę głosów, ale

potem burzowy protodiakon zapiewało wziął mocny ton. Całe niebiosa wypełnił potężny bas, niski, pewny siebie, a potem strwożoną ziemię pobłogosławiła błyskawica.

- Szałwo - odezwałaś się po długiej chwili milczenia. - Powiedz mi, jak zostałeś śledczym żandarmem?

Zamiast odpowiedzieć, położył ci dłoń na kolanie. I lekko nacisnął.

Cóż, moja poczciwa Kniahini? No dobrze już, dobrze, nic nie mówię...

Sypiać zaczęliście ze sobą dopiero w cztery miesiące po weselu. Pierwszej nocy Gandieri złożył ci życzenia miłych snów i oddalił się. W twoim wieku i w twojej sytuacji głupio było samej przewracać się z boku na bok... więc się nie przewracałaś. Zasnęłaś jak zabita. A śniły ci się rozmaite paskudy, bałakławskie trupy, Druc odziany w żandarmerski mundur i ranny w szyję Fied'ka.

Budziłaś się.

Patrzyłaś w sufit.

Po to tylko, żeby znów pograć się w kolejnym koszmarze.

Przed Bożym Narodzeniem w szkole stało się coś nieprzyjemnego. Gandieri przez dwa dni chodził nieswój i zupełnie nie przypominał niegdysiejszego podpułkownika; i pewnego dnia wieczorem, kiedy ogień z kominka nasączył ciało słodką ociężałością, nie wytrzymałaś.

- Szałwo - zaczęłaś, dziwiąc się samej sobie. - Wiesz, Szałwo... I tak się jakoś złożyło. Cicho, spokojnie i normalnie. Gandieri okazał się dobrym kochankiem: był mocny i potrafił uprzedzać twoje życzenia. Był też pomysłowy i w miarę łagodny. Zaskakujące, o ile uwzględnić fakt, że dla „Barbarzyńcy”, dla „niuchacza” Cyklopa z pewnością nie byłaś młodziutkim siedemnastoletnim dziewczątkiem.

Niestety, ostatnio rzadko nocowaliście razem na jednym pośłaniu. Nie ty byłaś przyczyną takiego stanu rzeczy, ale i nie doszukiwałaś się przyczyn. Bałaś się poznać prawdę. Bałaś się, chciałaś ją poznać i znów zaczynałaś się bać. I te rzadkie noce, które spędzaliście razem, także stały się inne: burzliwe, można by rzec namiętne i młodzieńczo nienasycone... po każdej z nich długo jeszcze potem myślałaś, Kniahini: dlaczego?

I czekałaś, aż znów przyjdzie do twojej sypialni.

- Przysługa za przysługę, kochana. Nie zechciałabyś mi powiedzieć, jak się stałaś tym... eee... kim jesteś? No co, zgoda?

Zamiast odpowiedzieć, pochyliłaś się ku stangretowi i kazałaś zatrzymać konia. Przy trotuarze, z lewej strony, stał słup ogłoszeniowy, na którym rozklejacz kończył akurat pracę

nad nowym afiszem.

Wielkie, demonstracyjnie wielkie litery: „Cymeryjczyk zachwycony”

- Łaskawa pani chce program? - chłopak spostrzegł twoje zainteresowanie i rzucił się wprost pod kopyta.

Dałaś mu monetę i otworzyłaś lśniący folder.

„Dramat muzyczny *Cymeryjczyk zachwycony* na motywach znanej opery w inscenizacji Moskiewskiego Teatru Powszechnego. Muzyka znakomitego angielskiego kompozytora Roberta E. Howarda, autora takich oper, jak „Gołębie Piekieł”, „Czarny purytanin”, „Robactwo ziemi” i innych. Przekład i dialogi Howarda Lovecrafta, liverpoolskiego pustelnika-mizantropa, trzykrotnie oskarżonego przez władze o nekromancję i trzykrotnie uwolnionego przez sąd przysięgłych (wiza pastora Cromwella, biskupa Canterbury) z braku dowodów.

Rolę Conana Akwilońskiego wykonuje wszechświatowej sławy tragic Elpidifor Policejmako”.

- Chcesz to obejrzyć, serdeńko?

Ale ty patrzyłaś już na słup ogłoszeniowy, na którym nieco z boku „Cymeryjczyka”, w otoczeniu niekształtnych kłownów i akrobatów, beczelnie chępił się „mistrz świata, wszechświata i miasta Upiurińska, tajemniczy zapaśnik o przywisku Stalowy Marcepan”.

- Szałwo - wyszeptowałaś, pogrążając się z głową w wir niezwykłych zbiegów okoliczności i nie spostrzegając nawet, że twój szept też jest zbiegiem okoliczności - Wiesz, Szałwo...

Teraz jednak to on nie odpowiedział. Zatrzymał stangreta i zeskoczył na bruk. Rozejrzył się dookoła.

Jego twarz okrzepła i stwardniała w kamień, a tylko zdumiewająca fałdka na czole żyła własnym życiem.

Cyklop poczuł obecność gości w pieczarze.

- Szałwo!

- Moja droga, poczekaj chwilkę... zaraz, zaraz!

- Szałwo! Co ty wyrabiasz?

- Boże, co za siła! Ostatni raz w Kownie, kiedy brałem Asa...

- Szałwo Timurazowiczu! Choć raz mi wyjaśnisz!

- Trzeba nam chyba w ten zaułek... tak, nie inaczej...

- Co, psie?! Dawno na łowach nie byłeś?!

Krzepka, rosła sylwetka Cyklopa znieruchomiała na chwilkę.

Gandieri zastygł w bardzo niewygodnej pozie: korpus za bardzo wychylony ku przodowi, trzy palce zaciekle trą czoło, nogi lekko ugięte w kolanach... w rzeczy samej, wyszkolonego psa zatrzymano w połowie wykonywania rozkazu „bierz!”. Głupia Raszko, narzuć owozą skórę i przemknij pomiędzy nogami olbrzyma; uciekaj, uciekaj, póki jest jeszcze czas!

Zaraz potem Cyklop się wyprostował.

Odjął dłoń od czoła.

Wrócił do kolaski - powoli, wbijając w bruk obcasy butów, jakby zatrząskiwał wieko trumny.

Ach, zagalopowałaś się, dziewczyno moja! Zagalopowałaś się i leć teraz w przepaść: wiatr świszczy w uszach, w skroniach szalone tętno, a w dole ślinią się już czekające ostre kły...

- W mojej rodzinie, Elzo, uderzenie kobiety uważa się za hańbę. Mężczyźnie, który zrobił coś takiego, goliło się wąsy. Zechciejcie zauważyć: ja bardzo cenię swoje wąsy...

Czujesz, Kniahini, jak ręce zwisają niby mokre szmaty, a usta wyschły jak słone źródło, zaś waran języka daremnie miota się od szczeliny do szczeliny. W pochwę kręgosłupa ktoś wetknął niewidzialną szpadę, której ostrze niczym ogień razi rdzeń od środka. Mdli? Podpływa fala do krtani?

Przed Dzwonkową Damą stał pułkownik korpusu śledczego J. I. W. „Barbarzyńca”.

Ze wszystkimi tego faktu następstwami. - Miła Elzo, chciałbym się przespacerować. Dość już mam tego kołysania... wy zresztą też. Upał, duszność, wiek... - Wąsy, oby nigdy nie zostały zgolone! - najeżyły się: - Zechcecie mi towarzyszyć? Pamiętajcie to, co mówił kapłan: w biedzie i radości, w zdrowiu i w chorobie...

Jak we śnie, opierając się na jego rękę zeskoczyłaś na ziemię. Stangret - Sieńka Żołędź, niejawni współpracownicy Żołędny Walet - patrzył przed siebie, jakby nagle stracił słuch i przestał nawet mrugać oczami. Niechby nawet Gandieri mógł pozwolić sobie przy nim, by mówić bardziej otwarcie niż przy zwykłym dorożkarzu - Sieńka wolał ogłuchnąć i oniemieć. Na wszelki wypadek.

Gandieri zatrzymał się przy słupie ogłoszeniowym, udając, że ogląda afisze.

„Cymeryjczyk zachwycony”.

- Elzo, niczego nie rozumiesz. Tobie się tylko zdaje, że rozumiesz. W rzeczy samej - nie. I dlatego muszę ci wybaczyć. Rzeczywiście dawno nie polowałem. Powtórzę się: nie dano ci zrozumieć, co znaczy „długo nie polować” dla kogoś takiego, jak ja. Chociaż... czy kiedykolwiek próbowałaś przeżyć dłuższy czas bez „fint”, jeżeli posłużyć się waszą



terminologią?

- Próbowalam. Z twojej łaski, pułkowniku.

Zmarszczył się: szczerze, z prawdziwą, nieudawaną pogardą. - Kniahini, niechże pani sobie to daruje. Zawsze cię podziwiałem; nie odbieraj mi tego. I jeżeli ci się wydaje, że podczas trzech lat spędzonych na terenie uczelni nauczyłaś się „fintować” w obecności oficerów... boję się, że doznasz rozczarowania.

Jego ramię mocno przylegało do twojego.

Jego oddech muskał twój policzek: zapach dobrego tytoniu, męskiej wody kolońskiej „Corum”, wilgoć mordwińskiej kostnicy, krymski żar, pstrokaczna liści na ulicach Charkowa...

Kniahini, co robisz?! Co ty mówisz?!

- Szałwo... wybaczysz mi, dobrze?

Powiedziałaś i zaraz ci ulżyło. Ba! zrobiło ci się lekko, leciutko. Chwilka - i fruniesz w powietrze.

- Dobrze. W sumie i ja się... zagalopowałem. A teraz proszę, skróćmy w ten zaułek.

Poczułaś dreszcz.

- Dlaczego?

- Dla kogo, Elzo. Działanie na poziomie Asa. W dzisiejszych czasach - rzecz niemożliwa. Cud. Zechciej mi uwierzyć, od czterech już lat nie jestem pracownikiem operacyjnym tylko komendantem szkoły i wcale nie zamierzam zamykać naszego tajemniczego nieznajomego. Chcę tylko na niego popatrzeć... porozmawiać, jeżeli się da... już wkrótce nie będę miał takich możliwości. Nikt nie będzie miał. Odchodźcie w przeszłość, Elzo, niedługo zniknie ostatni z was. To ja was zniknąłem - brzmi śmiesznie, ale to orawda. Przemija wasz czas, zmniejsza się rekrutacja do szkół śledczych; tak jest, wygrałem! Tylko czasami...

- Co - czasami?

Jakże to on powiedział; „brzmi śmiesznie”? Owszem, brzmi śmiesznie, miła Elzo, Raszko-Kniahini, Dzwonkowa Damo, niejawni współpracownicy z numerem - ale okropnie byłoby go teraz stracić!

Jak śmiesznie - to się śmieję.

- Czasami się zastanawiam, co przegrałem wygrawszy partię? Jaką figurę zdjąłem z szachownicy, nie dostrzegając jej prawdziwej wartości? Zresztą, to wszystko to liryka... Chodźmy.

- Szałwo... a nie boisz się, że podczas naszej rozmowy tajemniczy As zdążył się ukryć? Roześmiał się tylko.

Patrzyłaś na kniazia tak, jakby pewnie patrzył don Juan na posąg Komandora, gdyby pomnik zamiast otwartej do uścisku dłoni podał uwodzicielowi puchar amontillado.

Gandieri nie umie! Nie powinien! Nie ma prawa tak się śmiać. - Nie zdążył się ukryć, Elzo. Jest wciąż w tym zaułku. Przecież tak czy owak dobry ze mnie „niuchacz”.

Mijając waszą kolaskę, przejechał obok stangret: senna, lekko nabrzmiała gęba, ospała, tępa morda kobyłki. Zza domu wysunęła się zaciekawiona twarzyczka chłopaczka plakaciarza. Gapiąc się w ślad za oficerem z damą, zanurzającymi się w czeluść Zaułka Staroszlacheckiego, omal nie potknął się o własne wiadro; tyś coś zrobiła, Kniahini, sama nie bardzo wiedząc, co robisz - coś zrobiłaś, zastanawiając się z mozołem nad słowami kniazia... i dopiero w chwilę później dotarło do ciebie: jeżeli chłopak usłyszał coś zbytecznego - już zdążył zapomnieć.

Na zawsze.

Nauczyłaś się „fintować” w obecności śledczych oficerów, moja panno? A może Cyklopowi się po prostu spieszy. Kto mu wypalił oko?

Milczę, już milczę...

W trzecim budynku za rogiem mieścił się dziecięcy szpital, który otwarto dzięki wspólnym wysiłkom Towarzystwa Mieszczańskiego, Czerwonego Krzyża i Towarzystwa Opieki nad Chorymi Dziećmi. Przyjmowano tu nie wszystkich pacjentów: szpital przeznaczono wyłącznie dla dzieci charkowskich mieszcuchów, ceny zaś były umiarkowane.

Gandieri lekko wbiegł po stopniach i pchnął drzwi; „Panie oficerze! Panie oficerze!” - rzuciła się na niego siostra miłosierdzia, wy jednak zręcznie ją ominęliście i pospieszycie dalej.

- Panie oficerze! - niosły się lamenty z tyłu. - Tam nie wolno! Tam są dzieci! Boże, co to się wyrabia?!

- Ot, durna baba! - podsumował ciężki bas odźwiernego lub felczera. - Toż to żandarma! Munder nie widzisz?! Im wolno...

Korytarz.

Szara, wąska kiszka.

Na lewo, na prawo, znowu w lewo, w ślepy zaułek.

Dopiero teraz zaczęłaś chwytac - nie „eter”, ten tylko na oślep i z daleka, w sam raz dla „niuchaczy”! - obecność drugiego maga. Mocnego w Konwencji - inaczej byś go nie poczuła. Żołędny... chyba Król. Książ chybił; nie ma tu tajemniczego Króla, nie w szpitalnym korytarzu jest, ale gdzieś niedaleko. Święta Marto Orędowniczko, ale po co? Co też potrzebne magowi w

tym siedlisku niedoli?! Strzykawkę ukraść?! Stetoskop?! Nieboszczyków z kostnicy na bulwar wyprowadzić?!

W koniuszkach palców lekko mrowiło; wydało ci się, że zaraz sypną się z nich iskry. Kusilo cię, by jeszcze raz spróbować: uda się powtórka finty? W obecności osoby urzędowej?

Drzwi do sali chorych.

Tabliczka „Nr 6” podobna do ołowianego obrazka, odskakuje od was - w głąb.

- Panie pułkowniku! - na drodze staje wam coś na kształt góry. Ogromne, brodate chłopisko, w szpitalnym kitlu z rękawami zawiniętymi po łokcie; łapska niby rzeźniczkę poście porośnięte gęstymi kłakami. - Zechce pan natychmiast opuścić to pomieszczenie!

Dopiero w tej chwili zrozumiałas, jak piękny jest mundur „Barbarzyńców”. Gandieri stał naprzeciwko białego smoka niczym baśniowy rycerz, nie poruszywszy się ani na piędź; było to tak odświętne i tak codzienne, że aż głupie.

Głupiaś, Raszko.

- Panie pułkowniku! Słyszysz pan, co mówię?! Tu jest chore dziecko! I jako dyplomowany lekarz, ze „wszystkimi prawami i przywilejami, związanymi z tym tytułem w świetle prawa”...

- Zechce pan nie krzyżeć! - w głosie pułkownika zadrgała stal. - Jest tu chore dziecko. Oprócz tego zaś fluidy eterycznego działania, zaistniałego nie później niż przed pół godziną.

- Panie pułkowniku! Niechże pan posłucha...

- Nie, to raczej niech pan mnie posłucha! Jeżeli nie - natychmiast zaaresztuję pana jako współnika! Ze wszystkimi waszymi prawami i przywilejami, dyplomami, obowiązkami i durnotami! Zgodnie z uzupełnieniem do Kodeksu Karnego, rozdział 75, paragraf osiem łamane przez pięć! A więc?!

Góra skapitulowała.

Zadrzała, zatrzęsła się i z chrzęstem zapadła w siebie.

Dziwnie było patrzeć na atak paniki, ogarniającej silnego, rosłego chłopca; a ty czułaś, że nie jest to za bardzo udawana panika; i nie tylko wasze pojawienie się ją wywołało.

Doktor nie był Żołędnym Królem.

Był po prostu doktorem.

- Aresztujcie mnie! Zakuwajcie w kajdany, dyby czy co tam skrywacie za pazuchą! Ja umyвам ręce! - niechaj umiera dziecię niewinne, niech się rozlega płacz matki! Wasza to wina, panowie żandarmi! Ja umyвам ręce! I zapamiętajcie sobie - cała ta wasza zachwalana praworządność nie jest warta jednej dziecięcej łezki! A co tam z wami gadać! Ręce umyвам!

Rzuciwszy się do kąta, wściekle zadzwonił miską umywalki.

- Aresztujcie, proszę bardzo! Barbarzyńcy! Wandale!

Nie zdążyłaś się nawet zachwycić precyzją lekarskiego kalamburu. Za waszymi plecami huknęły o framugę otwierane drzwi i w maleńkiej salce zrobiło się nie po prostu ciasno

- stał się taki tłok, że szpilki byś nie wetknęła!

Pełno ludzi i wszyscy naraz wrzeszczeli.

- Niuniczka! Mój Niuniczka!

- Aleksieju Demianyczu! Szybciej! Konsultant nam zasłabł!

- Gdzieście tu wleźli, dobrzy ludzie? No gdzie?! Co się tak pchacie...

- Niuniczka! Uśmiechnij się do mamy!

- Konsultant zasłabł! Aleksieju Demianyczu, pośpieszcie się!

- Umywam ręce! Słyszycie!?

- CISZA!

I nagle zrobiło się cicho. Harmonijnie posapywał felczer wspólnie z urażonym doktorem; pochlipywała siostra, poprawiająca przekrzywiony kornet, fukała pozawijana jak kukielka mamunia: „Niuniczka! Mój Niuniczka!” - ale tak czy owak, była to cisza.

Prawdziwa.

- Aleksieju Demianyczu! - kniaź jak zawsze bezbłędnie zapamiętywał imiona nowo poznanych ludzi. - Wyjdźmy, gołabeczkę, żeby gdzieś spokojnie zapalić! Trochę się zagalopowałem... każdemu się może przytrafić.

Przepuściwszy górę przed sobą, Gandieri od drzwi obejrzał się w twoją stronę.

Było to spojrzenie sankcja, spojrzenie rozkaz: choćby i bez pieczęci i podpisu, ale nie mniej przez to wyraźne i jednoznaczne. Miła Elzo, kiedy my tam z doktorem... tu wszyscy powinni się uspokoić. Jasne?

- Tak jest, panie wspólniku! - uśmiechnęłaś się.

W sumie wyszło na to, że uspakając trzeba było ciebie.

Z początku wszystko szło dobrze: Niuniczka uśmiechnął się do mamuni i rodzina zjednoczyła się w zachwycie, felczer zagłębił się w szafkę, poszukując waleriany dla siostrzyczki, sobie nalał coś z niebieskawej butli z „Wesołym Rogerem” na etykietce; pasierbowie Hipokratesa razem łyknęli, odchrząknęli i się uspokoiili.

- To wasz mąż? - kołysząca Niuniczkę mamusia podniosła na ciebie pytające spojrzenie.

- Wybaczcie, jeżeli...

- Nie, wszystko w porządku. To mój mąż, jeżeli mówicie o tym oficerze. Kniaź Szałwa Gandieri, pułkownik specjalnego korpusu śledczych J.I.W.

- Och, wasza jasność, gdybym wiedziała! Gdybym...

- Lepiej byście Aleksiejowi Demianyczowi podziękowali, madame Urtiumowa! - wtrąciła się siostra, lekko oszołomiona środkiem uspokajającym, a może zawiana oddechem felczera. - Aleksiej Demianycz jest u nas carem i bogiem, waszego Antoszeńkę, można by powiedzieć, z tamtego świata ściągnął z powrotem! Sama pani rozumie... zapalenie płuc z komplikacjami...

- Urtiumow? - pamięć nagle bryznęła kroplami marcowej kapeli. Kolejny niezwykle zbieg okoliczności roześmiał ci się w twarz kościanym uśmiechem białego fortepianu. - Wybacz pani, madame... Czy waszym mężem nie jest przypadkiem Jermołaj Prokofiewicz Urtiumow?

- Ale co też wy! - No tak! Mało to na tym świecie Urtiumowów? - Moim małżonkiem jest jego syn, Urtiumow Michaił Jermołajewicz. Drugi już rok będzie, jak się tu przeprowadziliśmy z Mordwińska, żeby przepadło to przeklęte miasto! A pani zna mojego teścia?

- T-tak - nogi nagle wypełniły ci się watą i musiałaś przysiąc na krawędzi łóżka. - N-na fortepianie mu grałam... Klucznicą jego miałam zostać...

Mamusia Urtiumow zachichotała pochlebnie: no proszę, jej jasność zażartować sobie raczyła! Oj, jakież to zabawne! Zaraz potem parsknął basem felczer, cichutko podchwycił śmiech śmiertelnie blady Niuniczka i nawet siostra, wielbicielka lekarskiego talentu, klasnęła w dłoń.

Zaśmiałaś się i ty.

Ogarnęło cię niezwykle podniecające poczucie nierealności tego wszystkiego, zapieniło się w nosie drobniutkimi bąbelkami; podeszłaś do okna i spojrzałaś na wewnętrzny dziedziniec, na szkło oranżerii i na krzesło przy klombie, w którym kulił się chory staruszek, odziany nie wiedzieć czemu nie w szpitalną piżamę, a w drogi, skrojony przez dobrego krawca garnitur.

Chory staruszek w dziecięcym szpitalu.

„Konsultant nam zasłabł...”

- Witaj, Królu - szepnęłaś ledwo dostrzegalnie: nawet nie szepnęłaś, kniahini, Jylko pomyślałaś...

Witaj nagi, nieszczęsny Królu...

I odwróciłaś się do pielęgniarki.

- Więc powiadacie, że z tamtego świata ściągnął chłopca z powrotem...

## NOTATKI NA MARGINEJIE

*Zajrzyjcie w oczy siostrze miłosierdzia, koniecznie zajrzyjcie! Oto co tam zobaczycie ciekawego: ...sroka.*

*Siedzi na gałęzi, skrzeczy i nie przestaje. Wszyscy myślą, że czarnobiałą suknią i długim ogonem chce się pochwalić. Albo jakieś głupie plotki rozgłasza. A nie! Złe ludzie o sroce myślą!*

*Małych srocząt w gnieździe u mateczki tyle, że zapalki nie wetkniesz. A ona skrzeczy, hałasuje, a przy tym baczy pilnie, czy nie podkrada się ktoś do gniazda, czy nie skrzywdzi bezsilnych pisklaków. A maluchy drą się na wyścigi: daj! daj! daj! Temu dała, temu dała i tamtemu też - jakże im nie dać, swoje przecież, rodzone!*

*Trosk ma sroka pełen dziób.*

*Tak pełen, że sama rzadko kiedy bywa syta.*

## VIII. DRUC-KONIARZ ALBO KIEDY UMIERAJĄ LEGENDY

*Kto zatyka ucho na krzyk ubogiego,*

*Nie będzie wysłuchanym gdy sam wołać będzie.*

*Przypowieści Salomona*

*...i poszedłeś.*

Wszystko tańczyło ci przed oczami, spowite w mgiełkę nierealności, gromada ludzi, gromadzące się niczym skały zbiegi okoliczności, a ty nie bardzo nawet wiedziałeś, gdzie jesteś? Kiedy to się dzieje? I czy dzieje się w ogóle? Kogo teraz zajadle kopią nogami ponurzy wieśniacy? Ciebie? Szkarłatnego Dańkę? Obcego chłopaka, chrześniaka Winnej Dziewiątki?

*Winna Dziewiątka!*

Orlonosy, żwawy niczym skra Rorn, którego teraz trzymają nieopodal trzej miejscowi bohaterowie! Uczepiłeś się tej jedynej opoki w osuwającym ci się spod nóg świecie. Z wysiłkiem się podciągnąłeś i wyrwałeś z grząskiego bagna wspomnień. Przetarłeś dłonią oczy, przywracając sobie zdolność widzenia tego, co jest.

*Tu i teraz.*

*Nie bez pewnego zdziwienia spostrzegłeś na dłoni wilgoć.*

*Płaczesz, Druc? Nie, rzeczywiście płaczesz? Ty, Winny Walet, mag w swoim prawie?!*

*Nieważne.*

*Gwizdać na to.*

Oto on, Dziewiątka, słabnie już w ostatnim, nadludzkim wysiłku, trzyma zbydlęcony tłum na uczciwym słowie; jeszcze pół słowa, jeszcze ćwierć, śmiertelny wydech - i...

A razem? Współ? W przysiadzie, czapką o ziemię i dłonią po biodrze?! Dawaj, dalejże, morę, oto moje ramię, oprzyj się... A teraz razem, na dwa głosy: *tu bałwal, tu bałwal, so na woinesa?!*

Co, poznałeś? Widzę, że tak.

I ja cię poznałem.

Ot, gdzie nam się spotkać przyszło!

Raz lub dwa razy w miesiącu, w niedziele, zaglądałeś' na Koński Targ.

Wiedziałeś', że to niebezpieczne. Gdzież, jak nie tutaj, można się przypadkowo nadziać na Romów ze znajomych taborów, na magów z drobnicy albo na fetniaków z ferajny, z którymi miałeś' interesy lub po prostu popijałeś' swego czasu w jakiejś karczmie.

Wiedziałeś, i mimo wszystko tam lazałeś.

Nie mogłeś inaczej.

Choć na pół dnia, choć na godzinę zanurzyć się w szumnym kołowrocie, w niepowtarzalnej mieszaninie zapachów, w której tłoczyły się wonie wędzonych śledzi, dziegiu, piwa, owoców, ludzkiego i końskiego potu, papierosowych skrętów z machorki, oleju słonecznikowego, który szczodra gospodyni lała prosto z bańki.

Tak z dawien dawna pachnie niemyte cielsko bazaru.

Tak pachnie życie wolnego Roma, złodzieja, przechery i krętacza, beztroskiego hulaki i hazardzisty, żyjącego w króciutkiej przerwie pomiędzy „wczoraj” i „jutrem”.

Pamiętasz.' Tamtego unia od razu skręciłeś GO narożnej piwiarni. W „Gandetyku” było brudno, w powietrzu snuł się gęsty papierosowy dym, podłoga zasiana niedopałkami i rybimi łuskami - mdliło cię już na samą myśl o restauracjach w centrum miasta z czujnymi wykidajłami przy wejściu i ulizanymi kelnerami wewnątrz.

Co prawda brud brudem, ale stałych gości rozpoznawali tu z odległości wiorsty. Ledwo zdążyłeś zająć swoje ulubione miejsce, a gospodarz z hukiem postawił przed tobą dwa spienione kufle piwa. Uśmiechnąłeś się, dziękując za domyślność, wyjąłeś z kieszeni kupioną po drodze tarankę i ze znajomością rzeczy walnąłeś o dębowy stół zasuszoną niczym deska rybą.

Kłęby tytoniowego dymu wokół przecinały obce głosy i od czasu do czasu wylatywały z nich urywane zdania:

- ...płać miejscowe, płac placowemu, płac kwartałowemu - a potem mamunia z dzieciakiem drą się razem: „*Kurkulil* Obrastają w tłuszcz na naszej biedzie!

- ...k-kapujesz? Mówi po prostu: baran jesteś! I dymem mi w mordę! No to ja go jaaaak...

- ...powybijać by!

- ...na początek! Dawać tu piwo!

- ...wczoraj na Bursackim magusia z mostu zrzucili... łbem o bruk i do rzeki...

- ...oto mi ludzie! Prawdłowo!

- ...powybijać by!

Po drugiej stronie stołu usadowił się ostronosy chwata. Gęba ciemniejsza od dymnego czarta, kudły płaczą za grzebieniem, Oczki niczym myszy biegają nieustannie i baczą: co gdzie leży? Co można podwędzić?! Pierś goła, bezwłosa, za to kurtka - ogień ze srebrem.

Drgnąłeś, rozkaszałeś się i zacząłeś łykać piwo, które nagle straciło dla ciebie wszelki smak. Nadziałeś się! Twój kolor! Winny! Dziewiątka w Prawie! I wszystko wskazuje na to, że koniarz.

Pokrewna dusza.

- No i co się tak gapisz, wujek? Żywego Roma nie widziałeś? Za patrzeć grosz, dotyk - za dukata! A może zatańczyć! To już drożej, nie każdy pozwolić sobie może!

- Zatańcz, morę, zatańcz - kaszel jakby ręką odjęło. - A ja ci przyśpiewkę zanucę. No, dalej; *bałwał tu, bałwał, so na wionesa? Umadrian mirę romes?*

- *So.na. rakjresa!* - machinalnie podchwycił orlonosy. I zanuciliście cichutko, z uczuciem, na dwa głosy:

- *Ta-ra-raj, da ta-ra-da, ra-ra-ri-da...*

- Kto cię tej piosenki uczył? - przyjaźnie mrugnął okiem Dziewiątka, gdy obaj umilkliście. - Tu na bazarze? W stajniach?

- Matka. W taborze.

- Matka? W taborze?

- Tak. Przy ognisku zawsze śpiewała, wieczorami: „Wietrze, wyj, wietrze, wyj! Czemuż ty nie wyjesz? Męża mi zabiłeś? Przede mną nie skryjesz”.

W odpowiedzi Dziewiątka parsknął serdecznym śmiechem.

Chichotał tak szczerze, że w końcu do ciebie dotarło: dziw nad dziwy się dzieją! Rom Roma nie poznał! Mag - maga! Niechby i Dziewiątka, nie taka znów wysoka karta w talii, ale



przecie nie żaden kmiot, powinien poznać, skoro do Konwencji należy.

- Bajesz, wujek! - błysnąwszy bielą zębów, ostronosy oderwał kęs twojej ryby i wrzucił sobie w usta. - Popatrz tylko na siebie, Rom z ciebie taki, jak ze mnie gubernator! Same pieśni, morę, wodzem cię nie uczynią! Trzeba mieć duszę wolną, krew gorącą... trzeba się Romem urodzić, ot co!

I zmierzył cię zwycięskim spojrzeniem. Załatwił cię, znaczy.

- Wychodzi na to, żeś ty prawdziwy? Rom z korzenia, nie jakaś tam zgniła „pietrucha”\*[\* - *Pogardliwe przezwisko nadawane Romom osiadłym przy miastach, w odróżnieniu od Romów wędrownych, „z korzenia „, „znających wszystkie romskie obyczaje.]?* I może jeszcze koniarz? Czekażże, uprowadź dla mnie konia, sto rubelków zapłacę...

Usłysz.

Odpowiedz.

Igrałeś z ogniem - głupiemu Dziewiątakowi lepiej byłoby wieloznacznie zakręcić palcem przy skroni i wrócić na swoje śmieci - ale nie mogłeś się powstrzymać.

Teraz przyszło stawiać się orlonosemu. Jeszcze by też! Przed chwilą omal głośno nie nazwano go koniokradem! A co, jak ten wuj w kapeluszu okaże się łapsem?! Dziewiątka wpił się w ciebie ostrym spojrzeniem; a potem odwrócił wzrok. Z wujka zrobił się filer... To, to! - jak z ciebie gubernator, morę. Już to mówił. Znaczy, chlapanął wujek, bezmyślnie!

Tak, teraz tylko zorientować się w sytuacji...

- Ty, wujek, uważaj na to, co mówisz! Wiesz choć, co to za jeden ten „koniarz”?

Ślepy, głuchy i węch mu od tytoniu odjęło.

Uzfiął cię za frajera!

Nie wiadomo tylko: cieszyć się, czy smucić. Ot, nareszcie wiadomo, jak kryje ten „barbarzyński” dach! Chciałeś sprawdzić, czekałeś na jakiś przypadek - i doczekałeś się. Mało, że za maga - za Roma uznać cię nie chcą! Jakby ten kontrakt, w mać go papierową, oczy od ciebie odwoził...

No dobrze, przemyślimy to potem w wolnej chwili, poradzimy się ojca Grigorija - a teraz trzeba by coś odpowiedzieć - orlonosy czeka i nie spuszcza z ciebie oczu.

- Koniarz? Co za pytania zadajesz, morę! Wiadoma sprawa: kto z końmi jest za pan brat - ten jest koniarzem!

Pomieszymy w barszczu łapciem, żeby serce uspokoić.

- Ech, wujek, prosta dusza z ciebie! Koniarz - to w mażej kminie - koniokrad. Wzięliby mnie teraz bez powodu, za psi grosz, za twoje słowo bezmyślnie powiedziane - i do pierdła! Dla

wyjaśnienia sprawy...

- No to wybacz... Wybacz głupiemu! Aleś powiedział... do pierdła! Palnie coś człowiek czasami. Skąd ja mam tę waszą kminę znać?

- Nie naszą! Nie naszą! Nie moją!

Ostronosy uniósł się gniewem, aż piwo rozbryzgał.

- Nie jestem magiem! Nie jestem fetniakiem! Uczciwy Rom ze mnie! A słowa są jak rzepy, połazisz tu i tam, zawsze się do ciebie jakies' przyczepi! O, na koniach... tak - na nich się znam! W tym masz rację, wujek! Kiepski Rom z tego, kto z dowolnym koniem wspólnego języka nie znajdzie! Rom w siodle się rodzi i w siodle śpi.

Dziewiątak bębnił i kołował, usiłując przysypać listowiem bzdur przypadkowo ujawnioną prawdę o sobie i swojej profesji. Niech sobie mówi, czego mu żałować? Tobie nie przeszkadza, można nawet posłuchać, pod piwo z rybą.

- W siodle je, w siodle baby kocha, i w siodle umiera, kiedy czas jego nadejdzie!..

Wyjąłeś papierosa, zapaliłeś, wypuściłeś kłęb sinego dymu. No, mów, mów, konwentowy magu, wielki atucie, znawco roli koni w romskim życiu - mów, a my posłuchamy...

Za uszy by cię wytargać.

- ...ech, wujek! Za sto rubelków konia mieć chciałeś?! Koniokrady są, oczywiście, jasna sprawa! Każdy to wie! Nawet ty wiesz, prawda? Sam czysty jestem, ale szczerze ci powiem: niewielu już ich na świecie zostało, prawdziwych koniarzy... Konia uprowadzić, to nie to samo, co zjeść kromkę chleba - to sztuka, wujek!

A wzrok mu płonie, oczka się świecą! Z mysich kocimi się stały! Gdyby na miejscu wujka siedział prawdziwy filer - niechybnie już byś ty, brachu, oglądał niebo przez kraty! No, ale prawdziwego filera wykapowałby Dziewiątka od razu...

Machinalnie nakryłeś was obu: siedzący wokół mieli niczego nie usłyszeć...

Przykryłeś, a Dziewiątak znów to przegapił.

- Sztuka! - wypaliłeś, sam nie wiedząc, co cię tak zirytowało. - Poszedłbyś siedzieć za tę twoją sztukę... gdyby cię wcześniej pod buty nie wzięli i nie skatowali na śmierć!

- Ja przecież nie mam z nią niczego wspólnego! - orlonosy zachnął się z urazą. - Myślisz, że piłbym z tobą w tej zakichanej mordowni, gdybym umiał uprowadzić cudzego rysaka?! Daj papierosa, wujek... niezłe masz papierosy, smakowite... dziękuję. Zapalki mam swoje. Życia ty nie znasz, wujek! Dawniej, owszem, koniokradów całą wsią pod buty brali - a sołtys się tylko przyglądał. Teraz, jak któregoś złapią, na posterunek prowadzą i wszystko. Ale uczenia...

Orlonosy w jednej chwili spochmurniał i gniew zjawił się w jego oczach. Odwrócił się i zaczął puszczać starannie ukształtowane kółka dymu.

Ale chyba nie umiał milczeć długo.

- W gardle mi coś zaschło... piwka byś jeszcze wziął, co? Wujek? Dla obu? Dziękuję. Od razu widać, że dobry z ciebie człowiek! A ja za twoje piwo całą prawdę ci powiem: jak prawdziwi koniarze konie uprowadzali. Teraz nikt tak nie potrafi, nie, nie potrafi! Skarlał naród, atuty przetrzebiono, a na chrześniaka nikogo i kołaczem nie zwabisz... Nawet taki zakamieniały prostak jak ty wie: dlaczego... Nie to, co dawniej...

No, dalejże, złociutki mój... Opowiadaj Dziewiątko Waletowi o dawnych, baśniowych czasach.

- Żył sobie kiedyś Rom Jefrem Perłowy, koniarz nad koniarzami. Zamówili u niego poważni ludzie znamienitego orłowskiego kłusaka Barabasza ze stajen samego grafa Szeremietiewa. Za granicą go sprzedać chcieli albo na przykład z najbliższych wyścigów faworyta usunąć chcieli i kupę pieniążków zarobić na nowym układzie. Jefreperp był Romem zuchwałym, lubił hazard i przyjął zamówienie. Pytają go: ile czasu na to będzie ci potrzeba? A on odpowiada: kłusaka w oddzielnej stajni trzymają? Innych koni obok nie masz? W oddzielnej, mówią. No to za dwa dni załatwione będzie! Zamawiających zatkało, ale słowo się rzekło. Cały dzień Jefrem wokół majątku się kręcił - obce ślepie przejął i wszystko sobie obejrzał...

- Ślepie? Obce?! Łżesz, morę!

- Głupiś ty, wujek! Leci sobie, na przykład, ptaszek po niebie albo tam ważka... wiewiórka po drzewie skacze, susel z nory wygląda - a mag wiorstę dalej stoi i cap go! Nigdzie nie ucieknie ptaszek czy ważka, wiewiórka czy susel. Polatają, poskaczą, a mag ich oczkami wszystko zobaczy! Kapujesz, wujek?

- Kapuję. No dalej, łżyj sobie na zdrowie!

- Nie poganiaj, nie jestem koniem! Słuchaj dalej.

Dziewiątka to Dziewiątka. Susel, wiewiórka - niech mu będzie. Ptak, tak i siak - lepiej go zostawić w spokoju, z niektórymi w ogóle nie wychodzi. Ale z ważką to już chłopina przesadził - oczy ma ważka dziwne jakieś, raz spróbowałaś i omal nie oślepieś.

Przysięgłeś sobie, że nigdy więcej.

- Wypatrzył sobie Jefrem, co chciał i do rakami poszedł. Wytargował tam koński szkielec, załadował go na wóz i odjechał. Na drugi dzień zatrzymał się ze współnikiem w lasku, niedaleko posiadłości. Obu przykrył zwodniczymi powłóczkami, ciemną nocką przeszli obok

stróżów, jak nóż przez wodę.

- A psy? Wilczury, co posiadłości pilnowały?

- Ech, wujek! Psy Jefrema zawsze za swego uważały. Znał się na rzeczy... jednym słowem, Król!

Orlonosy po raz pierwszy powiedział prawdę.

Mocny był w sztuce stary Winny Król, twój nauczyciel, Jefrem Perłowy; w taborach zwany *Grengiro Dad*, Ojciec Koni! Asem mógłby zostać - ale nie chciał.

Wolność kochał.

- ...przedostali się do stajni. Patrzą, a tu jedzie zarządca grafa. „Zdjął” go Jefrem. „Odrysował”. Poczekał, aż tamten odjechał, zamek stajni palcem otworzył - dla maga to jak splunąć! - kłusaka na zewnątrz wyprowadził, siadł w siodło i „przerysował się” w hrabiowskiego zarządcę na tamtego własnym koniu. A do stajni wspólnik podrzucił koński szkielet z czerepem, i wychodząc, lampę naftową w siano rzucił. Pożar, alarm, czeladź dalejże gasić! - gdzie tam, akurat ugaszą! Jak mag podpali, diabła zjesz, zanim ugasisz - spali się do cna! Rano znaleźli pod węglami osmalone kości i doszli do wniosku, że kłusak się spalił.

Tę historię już kiedyś słyszałeś. Opowiadał ci ją sam Jefrem Perłowy, *Grengiro Dad*. Tyle, że nie opowiadał o sobie ani nawet o swoim chrzestnym - jej bohaterem był legendarny Maksa Korole, zwany wśród Romów Gorzkim\*[\* - *Gorzki - po rosyjsku Gorki. Maksym Gorki się kłania (przyp. tłum.)*] z powodu miłości do napojów mocno wysokowych. I nie grafowi Szeremietiewowi konia Maksa uprowadzał, tylko hercogowi Mannheimu. Kiedy jeszcze blotką był, przy ognisku staruchy Izergill usłyszał bajkę o matce, która miała pięciu synów - i wszystkich uznano za spalonych, ponieważ w domu, gdzie mieszkali, po pożarze znaleziono sześć osmalonych szkieletów. I dopiero później się dowiedziano, że spalili się zupełnie inni ludzie, a matka z synami przez piwniczny wykop uciekła.

Zapamiętał Maksa tę historię, a kiedy zamówili u niego uprowadzenie konia - przydała się jak znalazł.

Ech, Jefrem, Romie fartowny! - czyś ty kiedy myślał, że sam trafisz do tej legendy?

- A gdzież on teraz, ten Perłowy?

- Umarł! - ciężko westchnął orlonosy. - A czy to on jeden? Romasz Stojnia, koniarz zawołany, z pół roku temu kopyta wyciągnął i złą śmiercią umierał...

Przeżegnałeś się w myślach: trzeba będzie świeczkę zapalić za spokój duszy Romasza Stojni, znanego Dwa Dzwonki. Znałeś go, mag był zeń jak się patrzy, wiedział, co mówi...

Aj, jacyż to ludzie odchodzą!

- ...ucznią miał. Wspólnika - tego samego, co wtedy pomagał Perłowemu konia ze stajni grafa uprowadzić. Ten też był nie lada zuchem! Samemu Perłowemu mógłby dorównać! Golonym go nazywali, bo brody nie nosił - kłuje, powiadał.

Masz ci los! Machinalnie potarłeś podbródek.

- Jak go nazywali?

- A tobie co do tego, wujek? - najeżył się Dziewiątka.

- Ot, słyszało się w stajniach o jakimś Golonym... Imię miał takie dziwne... czekajże, niech sobie przypomnę... Dufunia, czy jak?

- Zgadza się! Dufunia Druc, ksywa Golony! Widzisz, znany był człek, skoro nawet ty słyszałeś! Ja go raz widziałem z bliska, tak jak teraz ciebie, w karczmie jednej. Przy sąsiednim stole się bawił. Baron Cziamba mi go pokazał. Szkoda chłopca, zginął zaprzeszłego roku, świeć Panie duszy jego!

- Ażebyś pypcia dostał! - zachnąłeś się, chroniąc swoją własną duszę. - Jak to zginął!?

- A tak to! - gniewnie wypalił orlonosy. - Z chrześniakiem trafił w Sewastopolu w żandarmerską obławę. Chrześniak na podwórze, a tam Tatarzy, do noży się wzięli... Dufunia skoczył mu na pomoc. A tu łapsy się wmieszali! Zaczął się z nimi bić, dwóch gołymi rękoma załatwił! Jeden był nawet pułkownikiem! Widzą „Barbarzyńcy”, że nie poradzą Golonemu - i zastrzelili chłopca. W plecy. A ty pypcia mi życzysz...

I co, Druc? Śmiać się czy płakać? Oto jakiego królewicza Bowę z ciebie zrobili! - za chrześniaka życia nie żałowałaś, dwóch żandarmów gołymi rękami... I śmiech, i grzech! No, jeżeli Dwa Dzwonki zginął tak samo, to może za wcześnie jeszcze na świeczkę dla niego?

Nie, nie za wcześnie.

I dla Romasza, ani dla ciebie - w samą porę. Odchodzicie w niebyt. Nie, inaczej: życie się was pozbywa, nie dziś i nie wczoraj zaczęło was wydalać niby ropę z rany - w legendy i bajki, gdzie spotka się Golony z Maksa Królem, z *Grengiro Dadem*. Blotki biją

Walety, Króle Damy, Asy... Wasz czas się skończył, wyszedł na papierosa i zapomniał wrócić. I nie jest temu winien książę Gandieri z jego współpracownikami i podwładnymi - nie masz winnego. Zostaną tylko takie Dziewiątki, które za kufel piwa będą smuć bajki w rozmaitych mordowniach, bo straszna to rzecz, stracić ucznią wspólnika i potem wykończyć się od zwykłej finty... okropną, bolesną śmiercią...

I niedługo nie będzie już nawet tych Dziewiątek o orlich nosach.

A wtedy legendy zaczną powolutku rdzewieć i przekształcać się najpierw w bajki, a

potem w baśni...

- Po drugiej stronie ulicy można dostać wódkę - oznajmiłeś stanowczo, gasząc niedopałek w niedopitym kuflu. - chodźmy. Golniemy sobie po setce za spokój duszy.

- Czyjej duszy, wujek?

- Mojej, morę. Mojej.

Orlonosy oddalał się szybko, szybciotko i nawet się nie obejrzał - a ty patrzyłaś za nim.

Dożyłeś, Drucu? Doczekałeś się?

*Aj, Roma manca na pjena, gadie na peruwen!\*[\* - Romowie ze mną nie piją, chłopci targować nie chcą!].* Rozeźlili się taborowi przodkowie za tego źrebca, którego nie uprowadziłeś; z obłoków twoją głębię sadzą niewidzialną smarują... wstyd im przynosisz, morę!

## NOTATKI NA MARGINESIE

*A w oczach Winnej Dziewiątki, Roma „z korzenia”, w ich ciemnej głębinie, poprzesywanej iskierkami kpin: ...aj, kurz!*

*Po drogach, traktach, szlakach, pod nogami, butami - żółtą Żmijką, niewielkim wicherkiem, w deszcz nazywając się biotem, w letnim upale nazwawszy się śmiercią, w zimowy dzień - śniegiem, ale wszystkie te nazwy to kłamstwo, oszukaństwo, umysłów pomieszanie, bo kurz kurzem zostanie, jak los zostanie losem, jak żona mnie porzuciła - kurzem, powiedziała, paskudnym jesteś i w zębach tylko skrzypiec umiesz!*

*Aj, romale! - sam jestem na świecie!*

*Kurz...*

Pamiętasz, Dziewiątko?

Owszem, Pamiętasz. Tylko teraz nie jest już ważne, czy pamiętasz nasze spotkanie; teraz trzeba utrzymać tłum i nie tylko zatrzymać na krótką chwilę - trzeba zmusić...

W dolnej części brzucha wybuch ognistej lawy. Przenika cię ona niby rozżarzona żerdź, wbija się coraz wyżej, podchodzi do krtani - i wylewa się na zewnątrz smoczym płomieniem.

Płomieniem, którego tchnienia nie czuje nikt, oprócz ciebie.

Nie, nie tylko. Czuje go i Dziewiątka.

I jeszcze - daleka Akulina, która została w mieście.

I pewnie Fiodor.

*I... Rozmar man o kham!\*[\* - Niech mnie stonice spali! (rom.)]\** Kto tam jeszcze mający na samej krawędzi, w mglistej zamieci?!

A, gwizdać! Dufuńka Druc się zabawia!

Zamiast chłopaczka o smagłej twarzy pod nogami chłopów miota się Hryćko Czupryna, jasnowłosy synek sołtysa. Jak on tu trafił? Nieszczęście.

- Stójcie! Stójcie, dranie, sucze syny! Hryćko! Skarbie ty mój! O, tam jest maguś - ucieka wedle grobli! W oczy wam, kurwie syny, piaskiem sypnął! Zostawcie Hryćka!

Sołtys przedarł się przez tłum, charcząc i miotając przekleństwa. Rozepchnął chłopów: oczy wściekle, rozbiegane, pstra bródka sterczy jakby w nią grom strzelił, pianę z gęby toczy; runął na kolana obok pokiereszowanego chłopaka, objął go i zakrył swoim ciałem. Opadły ręce trzymające sztachety, cofnęli się chłopi i rozglądają wokoło - gdzie ten mały mag? Gdzie diable szczenię?! Daleko nie ucieknie!

Och, wielu was, wielu! Trudno! Czemu stoicie?! Dalejże, za nim! Sił już prawie nie ma, wszystkim naraz wzrok mącić, przebranie trzymać na chrześniaku Dziewiątki i to tak, żeby ojca rodzzonego zwieść, to sztuka nie lada! Dziewiątka, gnido, trzymaj się! Ja też nie jestem z żelaza! Jestem Walet, nie zaden tam Król ze mnie, nie As, Ojca Koni na pomoc nie dam rady wezwać!

Aj, morę! Dlaczego?!

Nie dał rady Dziewiątka, nadwerężył się. Obwisł w łapach trzymających go chłopów, głowa mu na pierś opadła.

Dalejże, kmioty jedne! Biegnijcie! Łapcie przeklętego magusia!

Nie bieżą. Przestępują z nogi na nogę, mrugają głupio oczami - jakby za nic pojąć nie mogli: czemu mrugają? Czego szukają? Skąd to zamroczenie? O, jeden już sołtysa w ramię trącił:

- Ty, Ostapie Tarasyczu... tego grzechu się wyrzeknij!

- Hryć! Hryć mój! Zabiję!

- Diabła tam Hryć... Sam popatrz...

Ocknął się z otępienia karzeł wyrodek; bez portek, w porwanej koszuli do kolan, na szyi łańcuch zardzewiały z ciężarami, po pudzie każdy. Zadreptał w kurzu niekształtnymi, wielgachnymi zrogowaciałymi stopami, rozwarł czarną przepaść gęby:

- Krzywdę czynią Prokopiuszkowi nieborakowi! Krzywdzą! Oszukać chcą, mącą w jasnych oczach! Aj, nieszczęście!...

I podreptał wstecz: zanosząc się płaczem i kolebiąc się z boku na bok niczym chroma kaczka.

- Prokopij człek boży! - zaszemrano w tłumie. - Łaskę ma u Pana! Na wskroś oszustwo przewidzi! Prawda mateńka jego ustami mówi!

Od tych szeptów krwią zalatywało.

Otóż i on, los twój, Romie nieposkromiony! Widziałeś go raz tam, gdzie na magów czeka Duch Prawa - widziałeś, aleś go oszukał, tanecznym krokiem się wywinąłeś. Dwa razy cię Kostucha doganiała: za pierwszym razem Dańkę wzięła, za drugim biła, ale nie dobiła - żandarmi w porę się zjawili.

Trzeci raz mag żaden się jej nie odjął, co by nie mówić.

Nie ujdiesz!

Zatańczymy po raz ostatni? Aj, baro! Oto bat już w dłoni! Może chłopaczek jakoś odpełźnie...

- Zostaw, Dufuńka. Daj mnie...

- Nie waż się, Fied'ka!

- Fied'ka! Nie trzeba!!

- Trzeba. No, chłopcy, przerwać ten samosąd!!

Trzeba przyznać, że Fied'ka gardło miał spiżowe. Huknęło nad uchem jak z armaty. Chłopi znieruchomieli nagle i przez ułamek sekundy myślałeś, że wszystko się zaraz skończy. I właśnie ta króciutka chwilka, w której pozwoliłeś sobie na rozluźnienie i popuszczenie niewidzialnych powrozów, na których trzymałeś tłum - ta chwila okazała się decydująca.

- Za koniokradem się wstawiacie, panie? Chyba jednej z nim krwi jesteście?! - wyszczerzył zęby piegowaty drałgal i stanąwszy naprzeciwko Fiodora, demonstracyjnie zaczął podwijać rękawy.

- Chyba! - warknął w odpowiedzi Fied'ka Sochacz, leśny dzikus z Kęs-Precla, odsuwając na bok pana Fiodora Fiedorowicza Sochatina, ulubieńca miejscowej bohemy.

Nawet ty nie zobaczyłeś tego uderzenia.

Stoi piegowaty! Leci piegowaty! Plecami w tłum kmiotów, szcudrze bryzgając na wszystkie strony juchą z rozbitego nosa.

Fiodor pogardliwie otrząsnął dłonie i natychmiast pojąłeś, czego można oczekiwać od rozjuszonego Sochacza - mówiono, że Raszka w młodości całkiem stuknięta była.

Przestań głupcze! Wypalisz się w jednej jedynej fincie! Za wcześniej!

Resztki, szczątki, pyłki ducha - wszystko zebrałeś w palącą kipiel, która cisnęłaś w przechwyty; zatrzymać, nie pozwolić chrześniakowi na samobójczy wybuch, stłamsić siłą starszego chrzestnego, maga wedle Prawa...

Kiedy czarna pustka miękko ugodziła cię w ciemię i ziemia umknęła ci spod nóg, ty - dziwna rzecz! - zdążyłeś się jeszcze zdumieć.



W Prawo wchodzi inaczej.

A Fied'ka wszedł tak.

## ***Krąg Trzeci***

### ***PRAWA NIE SPIJANO DLA DURNIÓW***

- ...i trupa młodej czarodziejki długom widywał ja we snach...

*Opera „Cymeryjczyk zachwycony”*

*Aria Conana Akwilońskiego*

## **DOBÓR KART**

- Więc dlaczego, władzyko? Inokentij milczał.

W szeleście opadłych liści wokół Pokrowskiego Monastynu chodziła jesień. Będzie wiosna, będą nowe liście, zieloniutki... ale jaka z tego korzyść tym, suchym i opadłym?

Truchło wspomnień?

- Słyszeliście? W Nowym Świecie mormon Lynch\*[\* - *W rzeczywistości tragedia Karola Lyncha polegała na tym, że wydawał absolutnie zgodne z prawem wyroki w Wirginii, kiedy mianowani przez angielskiego króla sędziowie odmówili wykonywania swoich obowiązków, i trzeba było coś zrobić z coraz liczniejszymi bezkarnymi przestępcami - a jego nazwisko stało się synonimem bezprawia (przyp. tłum.)*], emerytowany pułkownik, całkowicie usprawiedliwił i uznał za prawomocny samosąd...

Władzyka odchylił się ku oparciu ławeczki i opuścił powieki, od czego jego twarz upodobniła się do pyska mądrego konia z kłapami na oczach. Ależ ma sińce pod oczami..

Ciągnął dalej znużonym głosem:

- Najpierw w Lynchburgu, na rzece James w stanie Wirginia, potem podchwycili to inni - a towarzystwo wielbnego Johna Braga zaraz usprawiedliwiło. Federalne władze umyły ręce; prawo, powiedziano, nie przewidywało takich wysiłków ukarania działalności przestępczej. I wypalają... rozżarzonym żelazem. Jeżeli na kogoś padnie podejrzenie o zajmowanie się małym procederem albo gorzej jeszcze, o współuczestnictwo w takowym - zaraz się zjawiają. Nocą, w kapturach. Pod oknem krzyż, wybacz Panie, zapalają z kukłą. Uprzedzają, znaczy...

Ojciec Grigorij poruszył szczęką:

- Wiem, władzyko. Za pierwszym razem uprzedzają, podczas drugiej wizyty zabijają. Bez sądu i śledztwa. I nikt morderców szukać nie próbuje. Co prawda trzeba stwierdzić, że i w

tym wyprzedziliśmy Nowy Świat, z tymi ich wszystkimi mormonami... nasi pułkownicy nie muszą brać przykładu z tych Lynchów.

- Tak, tak... czasami się zastanawiam, gdzie jest pies pogrzebany? Ileż to lat surowo przestrzegaliśmy praworządności: mag, obrzydły Bogu przestępca? Nakaz aresztu, poparty poszlakami, sąd przysięgłych, dowody, świadkowie, materiały śledcze, paragrafy - do niczego się nie przyczepisz! Wszyscy wiedzieli: tylko wspólny wyrok państwowego sądu i cerkwi, wyrok sprawiedliwy, wydany zgodnie z prawem - tylko on pozbawia maga siły na okres uwięzienia!

Nieruchoma postawa Inokentija przeczyła jego głosowi: wyrobionemu, mocnemu głosowi kaznodziei znanego za granicami guberni.

- U nas to wiedziano, łacinnicy wiedzieli, w krajach mahometańskich też, Abrahamici, buddyści, poganie nawet - wszyscy wiedzieli! Na pamięć, na wrywki! Więc powiedz mi teraz, ojcie Grigoriju: skąd? Skąd wszyscy wiedzieli?! Jakby im kto w ucho szepnął... Razem z ojcem Pawłem, na uniwersytecie, w katedrze teologii wiele o tym rozprawialiśmy. Ojciec Paweł to mąż uczony, starymi językami swobodnie włada, pismo czyta! I on, powiadał, że też nie znalazł wyjaśnienia u naszych praszczurów!

Obok przeszedł szybko zapiewająco z archidiecezjalnego chóru. Pokłonił się, kwaknął coś i nie doczekawszy się błogosławieństwa, znikł za rogiem. Na chórze chyba bardziej dźwięczny głos z siebie dobywał. Ojciec Grigorij poznał go - bursak Piechociński, którego sekretne zapiski trafiły kiedyś w ręce reportera „Wiadomości Gubernialnych” i zostały - ku zgrozie Piechocińskiego - opublikowane.

Mieszczanie długo mieli uciechę, czytając jeden przez drugiego:

„Byłem ja sobie członkiem chóru przez trzy lata i zdobyłem pewną popularność. W mieście znano mnie w kupieckich kręgach i do moich kieszeni często trafiała dodatkowa grzywna miedzi. Wcale to jednak nie poprawiło mojej sytuacji. Unikałem wspólnych zajęć, a regent jak przedtem tłukł mnie po łbie. Szczególnie smuciło mnie to, że przewielebny, którego kochałem całym sercem za to, iż bardzo łaskawie nas traktował, uważał mnie za wyjątkowo lekkomyślnego. Nieustannie mu podpadałem za rozmaite postęпки, których powodów nie zawsze umiał pojąć. Na przykład: samowolne podłączenie się do gubernatorskiej linii telegraficznej; kradzież jabłek w Kurazu; fakt, że ukarany cieleśnią przez regenta podczas pogrzebu profesora Korsakowa, ogarnięty smutkiem i potrzebą samotności ukryłem się w karecie archijereja, która akurat wtedy jak na złość została podstawiona władcy... na szczęście, wysłuchawszy mojej gorzkiej opowieści władcyka podtrzymał swoje zarządzenie, że

śpiewaków z chóru bić mogą tylko protodiakon, a nie dranie regenci...”

Ojciec Grigorij odprowadził młodzika wzrokiem; sam gadatliwy zapiewało nie za bardzo go interesował - kapłan po prostu zbierał myśli.

Gniotło go w piersiach - coraz częściej dawało znać o sobie serce.

- A ja zapytam o coś innego, władko: skąd wiedzieć ma ciało, jak chorobę leczyć? Zacznieś się leczyć sam, oszukańcze leki zastosujesz, zacznieś oszukiwać samego siebie - i niechybnie umrzesz. Ciało ma swoje prawa, a choroba swoje bezprawie.

- Właśnie, właśnie... Czy w istocie choroba ukryta jest w działaniach eterycznych? Czy nie jest tak, że ludzkość leczy się z niej sama, bezmyślnie i bez zastanowienia, powodując się jedynie wewnętrznym prawem?!

- Nie, władko. Sądzę\*[\* - *Czytelnik zechce porównać z powitaniem Livingstona i Stanleja w Afryce. „Mr. Livingston, Ipresume?”*], że nie. Od wieków niezrozumiale przerażało, ale nie zabijało; tak jest i w tym przypadku. Magia nie jest chorobą. Z magii, z pragnienia osiągnięcia wyniku drogą bezpośredniego działania, wzięła się cała nasza nauka - jak roślina z nasienia. Przecież nie wsadzamy do obozów chirurgów, botaników, agronomów? Ale gdyby rezultaty ich działalności pokazał jakiemuś dzikusowi z wyspy Watuwara, uzna je za magię!

- Uzna. Bezwarunkowo. Według ciebie, nie w samej magii przyczyna jej odtrącenia? Nie ona jest chorobą, którą ciało leczy?

- Nie, władko. Nie ona. Ona jest tylko pozorem choroby, nie istotą złą.

Od nabrzeża zaciągnęło dymem - mnisi palili liście na pochyłości. Dym zadrapał w gardle - i ojca Grigorija dopadł atak kaszlu: długi, bolesny, zdumiewający dokuczliwością.

Nie otwierając oczu, świątobliwy Inokentij wyciągnął rękę i lekko klepnął ober-starca po plecach.

- D-dziękuję, władko - wycharczał ojciec Grigorij, łapiąc oddech. - Zechciejcie wybaczyć...

- Kaszlaj, kaszlaj na zdrowie. Słabe jest ciało, jedynie dusza jest nieśmiertelna. Ale wiesz, czasami mi się zdaje, że nie jesteś prawdziwy. Że cię wymyśliłem. I ten twój kaszel, i to, że siedzisz tu koło mnie, pleciesz bzdury, i habit na łokciu masz przetarty... No tak, jasna sprawa, starzeje się władko i dziecinnieje. Głupoty prawdziwe widzi.

Inokentij westchnął i podniósł się, ciężko postępując. – Dobrze potem domilczymy. Zrobiwszy Krok i drugi, jednak się zatrzymał. I rzucił przez ramię, nie oglądając się za siebie:

- Wczoraj zjrzałem, żeby się przyjrzeć twojemu... jak to wy mówicie? chrześniakowi, przebacz Panie? Podobny do ciebie. Też jakiś taki nieprawdziwy. Ojciec szafarz już mi mówił:

przykładny mnich, chodząca skarbnica dobroci - tyle tylko, że oczy ma za mądre. Denerwuje braciszków. A ja na niego patrzę i ciebie widzę. Po to cię też wezwałem - żeby porównać. Powiedz mi, z łaski swojej: od czegoż to tak? Od złego to czy od dobrego? Przecież syn do ojca mniej jest podobny! A ty się z nim widzisz raz na rok, wedle obietnicy, sprawdzałem. Ech, zrozumieć by to, dopóki Lincze rozmaici dziecka z kąpielą nie wyleją...

I odszedł, nie czekając na odpowiedź.

W szeleście jesiennych liści: niewysoki, zasuszony człowieczek.

Ojciec Grigorij nie wiedzieć czemu drapnął palcem ławkę, wbił sobie weń drzazgę i wetknął palec w usta, ruszył ku bramie.

## **IX. RASZKA-KNIAHINI ALBO NA HUCZNYM BALU, PRZYPADKOWO...**

*Sprawiedliwość ratuje prawych,*

*Lecz niewierni wpadają w sidła swej żądzы.*

*Przypowieści Salomona*

Jest skryte dostojeństwo w prowincji. W jej dorodnej powolności, wyraźnym rumieńcu policzków, kruczo czarnych, gęstych nietkniętych przez pincetę brwiach, w szczerym śmiechu, zacofaniu w stosunku do świetnych, porażonych gruźlicą stolic, w zastoju mody, niezgodności czasów - prowincjonalne „teraz” to w pewnym stopniu raczej „wczoraj” niż „dziś”.

A zbiegi okoliczności... te igły w sercu?

Bóg z nimi, z tymi zbiegami okoliczności.

Pamiętasz przecież, Raszka... a co tam pamiętać, skoro widzisz je wprost przed sobą: dziesiątki, setki świeczników, kandelabrow, wykutych ze starego srebra rozet ze świecami - i wszędzie ścieka posoka delikatnego wosku, osuwając się po skwierczących bezsilnie knotach i oddając się ogniu z zapamiętaniem beznadziei.

Z otwartej górnej galeryjki zachłystują się oboje, tęsknie zawodzi fagot, skrzypki oplakują wszystkie grzechy świata, opierając się resztkami sił o chmurne ramię kontrabasu - walc monsieur Augusta Bernouilliego, nieco już zapomnianego władcy dusz, mąci w głowach, porywa ciała... iii... raz-dwa-trzy, raz-dwa-trzy... i nieważne, że walc dawno już stracił wstydlwy tytuł tańca rozpustników, zupełnie nieważne - dlatego, że skrzypki... i oboje... i szelest jedwabiu... sz-sz-sz... proszę, nie przeszkadzajcie.

Zupełnie nie miałeś ochoty do pracy.

Od samego początku.

Nawet wtedy, gdy pięłaś się w górę po karraryjskich marmurach schodów, wyłożonych czerwonym jak wino pluszem dywanów; nawet u wejścia do rozległej, obszernej sali, której kolumny zwieńczały kapitele w formie kwiatów narcyza; nawet usiadłszy na złoconych, diablo niewygodnych krzesłach, na których niemal siłą sadzano szanownych gości.

Gandieri wymówił się od zajęcia miejsca na krześle. Od samego początku stanął za krzesłem dyrektorki instytutu (za lewym ramieniem!) prowadząc niewymuszoną, światową rozmowę; i tam został, kiedy do sali jeden po drugim zaczęli wchodzić junkrowie w paradnych mundurach, kierując się ku wam, by złożyć pełne szacunku ukłony.

Odpowiadałaś lekkim skinieniem głowy, przykleiwszy do ust dyżurny uśmiech.

Nie było cię tutaj.

„Kniahini!”

Niegdyś rumiana, żywa, a teraz jakby pospiesznie ulepiona z brudnego wosku twarz Króla zmarszczyła się żałośnie. Nie twarz, a ogarek nędznej świecy.

„I gdzież to nam... spotkać się przyszło...”

Wprost nad głową, na podpartej kolumnami galeryjce z balustradą, rozsiadła się orkiestra pod batutą dyrygenta Kolinbołockiego - będącego znanym wiolonczelistą, któremu jeden z kniaziów Golicynów, Nikołaj Borysewicz, zapisał w testamencie swój oceniany na setki tysięcy cy instrument z pracowni Stradivificiego. Nie widząc muzykantów, wyczuwałaś ich przez ciemność: oto są, stado kruków we frakach! Tak, to niesprawiedliwe; muzykanci nie są wcale winni temu, że niejaka Elza Gandieri, której charakter nielecho nadwreżyła katorga i „szkielety w szafie”, ma teraz kiepski humor; ale co na to poradzisz?!

Pragnęłaś ciszy.

Całym sercem i beznadziejnie.

Uśmiechaj się, Kniahini! Śmieję się, machaj ręką Raszko, niechże cię... oni się przecież kłaniają, patrzą cielęcym wzrokiem! Przyszli na bal, a nie na pogrzeb!

Gandieri jakby to wyczuł. Zamaszystym ukłonem pożegnał dyrektorkę, podszedł do twego krzesła i oparł się o poręcz.

Obrazowy wręcz przykład wspaniałego oficera.

- Serdeńko, jeżeli chcesz, to znajdę jakąś wymówkę i pojedziemy do domu.

- Nie trzeba - odpowiedziałaś, czując wdzięczność, co było dość niemiłe. - Zostajemy.

Po zakończeniu powitań ogłoszono poloneza. Przyszło ci tańczyć. Na szczęście nie w pierwszej parze: taniec poprowadzili dyrektorka instytutu z gubernialnym marszałkiem

szlachty, ociężałym wąsaczem. Gandieri prowadził cię lekko i trochę bezosobowo, co pozwoliło ci zebrać myśli.

Uśmiech się trzymał, jakby był przyklejony.

Aż wargi ci drętwiały.

- Ta-ak... pan Oznobiszyn, jak sądzę. Piotr Walerianycz? „Nie myli... się pan...”

- Czemu on nie odpowiada? - zapytał cię kniaź, ignorując stojącą z tyłu siostrę miłosierdzia.

- Odpowiada - stwierdziłaś, z trudem wstrzymując się od krzyku.

Walc.

Można odejść na stronę, do okna. Dotknąć portiery, wyczuć palcami kłujące złocenia szwów. Usiąść (nie upaść!) na krześle - szczęśliwie niezłocene, siadali w nim niżsi rangą. Otworzyć wachlarz i pozwolić mu zatrzepotać w dłoni niczym pojmany motyl.

Wszystko dobrze. Wszystko cudownie.

Wychowanki instytutu kokietując bezwstydnie tańczą walca z panami junkrami, nie opodal Zinoczkę Rajewską, uznaną miejscową piękność prowadzi w tańcu stołeczny gość - znużony życiem elew absolwent Korpusu Paziów. Drży lok przepięknie i starannie ułożony nad czołem; paż zerka na wszystkie strony wilgotnymi, końskimi oczami, czeka na zachwyty.

Na próżno.

Starsi rozeszli się do kątów. Plotkując, krytycznie mierzą młodych spojrzeniami przez monokle i lornetki, daremnie starając się ukryć zawiść zasłonami ironii i dobroduszej kpiny. Ogarnia cię niepowstrzymana chęć napicia się wódki. Oszroniona, graniasta lampka. Drobniotkami łyżkami, do dnia. I pozbierać językiem ostatnie krople. Niestety, tu nie dają nawet szampana. Co też wy! Opamiętajcie się. Od dnia założenia Instytutu, kiedy to imperatorowa Maria Teodorowna wyznaczyła coroczną sumę na jego utrzymanie i zatwierdziła statut, w jednym z punktów stwierdzono czarno na białym:

„...żeby wychowywanym tu ubogim pannom dać wykształcenie i wiedzę potrzebną w naukach i rzemiośle, w wyniku czego wychowanki mogłyby po ukończeniu zapewnić sobie utrzymanie nauczaniem dzieci albo pracą rąk własnych, należycie się przy tym popisując skromnością i nieokazywaniem najmniejszego niezadowolenia!”

Będziemy się popisywać skromnością, Raszka. Będziemy zapewniać sobie utrzymanie. Należycie. Tylko że... okropnie ci się chce wódki.

Szklanke.

Drobnymi łyżkami.

Uczcić lekarza dzieci Oznobiszyna.

„Kniahini!”

Niegdyś rumiana, żywa, a teraz pospiesznie jakby ulepiona z brudnego wosku twarz Króla zmarszczyła się żałośnie. Nie twarz, a ogarek nędznej świecy.

„I gdzież to nam... spotkać się przyszło...”

- Ta-ak... pan Oznobiszyn, jak sądzę. Piotr Walerianycz? „Nie myli... się pan...”

- Czemu on nie odpowiada? - zapytał cię książę, ignorując stojącą z tyłu siostrę miłosierdzia.

- Odpowiada - stwierdziłaś, z trudem wstrzymując się od krzyku.

Król cierpiał. I chyba nikt, nawet lekarze, którzy dawno już przywykli do cudzych cierpień, nawet felczerzy, których uszy przywykły już do najbardziej trudnych do wytrzymania okrzyków bólu - dziecięcych... nikt nie rozumiał, jak cierpi stary pediatra.

Nikt.

Oprócz ciebie.

Tak dojrzałe na pozór jabłko pęka pod naporem palców, odsłaniając stoczone przez robactwo zgniłe i śmierdzące wnętrze; tak pod twardą skorupą orzecha tchnie zgnilizną zmarszczone jądro.

Król umierał, wybrawszy wcale nie najłatwiejszy sposób samobójstwa.

„Kniahini, moja droga”.

„Dlaczego?” - zapytałaś samymi wargami, nie, jakimi tam wargami - sercem, duszą, tajną struną gotową lada moment pęknąć.

- Panie Oznobiszyn! Czy może pan mówić?

„Dlaczego? Pół roku bez jednej choćby finty, Raszelko... jednej jedynej! Oni Andriuszę brukowcami... Stos kamieni, cały stos, który tylko drga... długo. A mnie, starucha palcem nikt nie dotknął! Boże młyny, mówi się, mielą powoli! Mielą powoli, powiadają! Nawet oskarżyć mnie nie chcieli - idź precz, kim byś ty nie był! Hulaj dusza... na tamtym świecie zapłacisz!...”

- Panie Oznobiszyn? Czy pan mnie słyszy? „N-nie trzeba mnie zamykać. Ja zaraz... ja już...”

- Słyszysz - musnęłaś ramię męża i nawet przelotnie się zdziwiłaś - nie ręka, a kamień. - Słyszysz cię, Szałwo. Nie trzeba go zamykać. On zaraz umrze i wszystko się skończy.

- Ale co też wy! - miotnęła się siostra, gniewnie zaciskając i bez tego wąskie wargi. -



Kto umrze?! No, pytam się was, kto umrze?! Piotrze Walerianyczu, niech ich pan nie słucha! Zaraz przyjedzie profesor Leński! Już po niego posłali dorożkę. Ech, wy! Piotr Walerianycz dzieci! Z tamtego świata! To doktor cudotwórca! A wy!

„Raszelka! Zamknij tę durną babę! A może nie wolno!”.

- Wolno - kiwnęłaś głową. - Teraz wszystko wolno, mój Królu.

Kamień, którego dotykałaś dłonią, stężał jeszcze bardziej; Gandieri wyczuł twój „eter”, nie mógł go nie wyczuć, ale tobie już było wszystko jedno. Pół roku - ani jednej finty. Jak on zdołał to wytrzymać? I jeszcze ten dzieciak, Urtiumow, wnuk Jermołaja...

Dlaczego?

„Bez powodu, Kniahini kochana. Ot tak, po prostu. Chłopak miał zapalenie płuc... niewiele brakowało... zdołałem go dosięgnąć; za uszy go wyciągałem... To można tylko wtedy, gdy... A, co tam. Na mnie już pora, Kniahini...”

- Grzechy odkupywałaś, Królu? Nie chciałaś, a zapytałaś. Bezwiednie.

„Głupia jesteś, Kniahini. Głupia, jak but. Wiesz przecież sama...”

- Wiem, Królu. Wybacz...

Po raz pierwszy pracowałaś z własnej woli w obecności śledczego pułkownika. Znaczący, nauczyłaś się. Po raz pierwszy i pewnie ostatni. Siostra miłosierdzia umilkła, jakby jej gębę zaszyto - jutro nawet nie będzie pamiętała, czemu się ciskała tak gniewnie; Gandieri, zakuty w pancerz niewrażliwości, po prostu milczał, nie cofając ramienia - za co poczułaś wdzięczność; a ty robiłaś swoje.

- Tak żyjemy. Rozliczamy się czy nie. Za wszystko co od losu dostajemy. Czy w łachmanie niewolnik niemy, Czy król - także rab w satynie,

Wszyscy głusi na dźwięk trąb tak żyjemy...

Pod nogami brukowce: wielkie, grubo ciosane.

Wokół strzeliły w górę ściany: zębate, potężne.

Wrota.

Na górze galeria.

A na dziedzińcu zamku, na tronie ze słoniowej kości umiera król-nekromanta.

Po niebie krążą chmury nietoperzy pozdrawiających odchodzącego przeraźliwymi, żalobnymi piskami, szkarłatne oko słońca niby łza spływa w czarną ramę prześwitu między wieżami, przy zwodzonym moście zamarli jak żelazne posągi strażnicy, którzy unieśli halabardy w pożegnalnym salucie.

Tak, mój Królu?

„Dziękuję... Dziękuję, Kniahini, moja droga...”

My nie chcemy, nie możemy i nie wiemy Co tam dalej, co potem, co za rogiem? Nie umiemy już beztrąsko ruszać w drogę, „Zdarza się... Ot, los...” pomrukuje - W ciemnych szklach kryjemy oczu trwogę.

W dziękczynnym uśmiechu wyszczerza zęby czerep spod miedzianego diademu. Doktor Oznobiszyn ciaśniej owinął się w wyszywany perłami aksamitny płaszcz, jakby się wstydział ciała, które zawodzi go w tak uroczystej chwili. Z kości spełzała już skóra, obnażając stawy i gnijące mięśnie.

Smród zabijał nawet ciężki zapach kadzideł.

I jeszcze - na samej krawędzi pola widzenia majaczył Biały Rycerz. Ktoś - i nikt. W lśniącej bieli zbroi, ale spod jej spojeń sący się purpura - ranny? Skaleczył się? A może ci się tylko tak wydaje?

Dobra.

Niech sobie majaczy.

Nieprawdaż, Królu?

„Ty się trzymaj, Kniahini droga. Żyj. Na spotkaniu Asów długo się sprzeczano. I postanowiono: niech sobie żyją. Może uda wam się przeżyć... wszystkich. Żyj, Kniahini...proszę...”

- Dobrze, mój Królu. Odejdź w spokoju...

Trzepotały na wietrze proporce: trójkąty nawoskowanego papieru,

- Wszyscy jak jeden - spod igły odziani Nawet niegłupi, nie ma co ukrywać! Wierzymy w księgi, wróżb nikt nie zażywa; Wszyscy dorośli, dawno już nie dzieci -

A malcy szepczą: „Cudzie, dziwo! Gdzieś ty?” Ach, dzieci! Przeszłości szczęśliwa...

- Koniec - stwierdziłaś, wracając. - Król umarł.

- Niech żyje Król? - zapytał Gandieri, patrząc w bok. I na mgnienie oka wydało ci się: on wszystko widział. Zamek, mury i trupa na tronie. Było to niemożliwe, nigdy, przenigdy... ale na skroni kniazia pulsowała niebieska żyłka, a po policzku ku szczęce pełzła grupa kropla. Pot? Łza?!

Z pewnością pot.

Duchota.

Jakby w odpowiedzi na wschodzie huknął grom. W dach oranżerii zabębniły drobne

krople dżdżu. Siostrzyczka pospiesznie kopnęła się ku drzwiom... a potem zerknęła na was pytająco spod kornetu.

Co się nią przejmować w takiej chwili.

- Co powiesz, Kniahini? Niech żyje Król?

- Nie, Szałwo. Po prostu: umarł Król.

Wyszedłszy z sali balowej, zeszałaś na dół, do holu. Nie zajrzałaś do damskiej toalety. Po prostu przystanęłaś przy oknie i wparłaś się łokciami w dębowy, malowany cynkwajsem parapet. Na ulicy zmierzch zaczynał dopiero gromadzić cienie po kątach; bal dla panien z instytutu zawsze zaczynał się wcześniej, o co ostro dbała sama dyrektorka.

Nie na darmo imperatorskim ukazem zaliczono dyrektorki instytutu do rady nadzorczej!

Ze swojej dyżurki boczkciem wysunął się szwajcar, emerytowany kapral grenadierów. Głośno kichnął, rozcapierzając swoje wąsiki niczym czarnomorski krab kleszcze - i natychmiast się zawstydził tego kichnięcia.

Skrył się w jamie.

W papierońnicy zostały ci trzy cienkie i długie papierosy „*La jeunesse*”. Ironia losu: „*Je veux un tresor qui les continent tous, je veux la jeunesse!*” - *Chcę skarbu, który mieści w sobie wszystko, chcę młodości (franc.)*” - cytat z „Fausta”. Rozejrzałaś się, mnąc myśli o niczym, jak niektórzy czasami nerwowo mną chusteczkę i szwajcar natychmiast wszystko zrozumiał.

Stanął obok i podniósł zapaloną zapalną.

- A może naleweczki? - mruknął tonem spiskowca, niby to nie zwracając się do nikogo w szczególności. - Żurawinowej? Panom junkrom ni chuchu, znamy swoje obowiązki... ale poważnym ludziom, jeżeli chandra gniecie albo po prostu dusza piszczy... W szczególności - dla dam...

Zamiast odpowiedzieć, odsunęłaś go na bok. Nie spytawszy o pozwolenie, weszłaś do jego kantorku bez „eteru”, jak do własnego gabinetu. Mówią, że u prostaków też tak bywa; nazywa się to intuicją. Paskudna to rzecz; dopiero teraz na swoim przykładzie rozumiałaś, jak bardzo paskudna...

Jak proteza u inwalidy - nie ukryta pod spodniami, ale wprost na wierzchu.

W rozklekotanej szafce znalazła się napoczęta butelka wódki; szklanka - w miarę czysta - stała obok.

- Za spokój duszy? - zapytałaś, nalewając sobie po brzegi.

- Czyjej?

Nieglupi był i pojętny, ten szwajcar. Damulka już leciwa, niby w kwiecie wieku, ale niedługo już ten bukiet będzie nosić - i z dwóch końców świeczkę pali. Czasu ma mnóstwo - hulaj, póki jeszcze możesz! Kochanek ją rzucił albo coś innego... Postanowiła trochę zaszaleć - lepiej podtrzymać piosenkę drugim głosem.

Zuch! Masz, trzymaj banknot!

I może wyjdziemy. Do holu, na powietrze.

- Eee... po kim żałoba, jeśki łaska?

- Symbol odszedł. Epoka.

- No cóż, wasza jasność... symbol, to symbol... świeć mu Panie, na wieki wieków... A ja, za pozwoleniem waszej jasności, z gwinta... i tak niewiele zostało...

Wódka zupełnie nie miała smaku. Niczym woda, nie wódka.

- A zakąski, za przeproszeniem, nie ma! - zmartwił się szwajcar, popatrując strachliwie na schody; nie nadał diabeł kogoś z rady nadzorczej? Uff... chwała Bogu, nikogo... - Kielbasę już zeżarłem, zresztą z czosnkiem była ta kielbaska, nie na damskie gardziołko! Wybaczcie staremu, wasza jasność! Razowiec jest... odrobinka...

- Elzo Wilhelmowna! Pozwólcie zwrócić się z prośbą!

Paszka Ananicz, chwacki rapeć-wachmistrz, wyprężony jak struna. Kruczy lok spadł mu na czoło, patrzy szczerym, lekko kpiącym spojrzeniem... szybko mu to przejdzie.

Na zawsze.

## NOTATKI NA MARGINESIE

*Nigdy nie zaglądaliście w oczy śledczego junkra, który lada moment ma zostać oficerem? No cóż, spróbujcie: ...posąg.*

*Niemal gotowy. Dźwięczne, krótkie uderzenia młotka w dłuto. Lecą kamienne okruchy, mącąc wzrok. Przetrzyjcie oczy - i proszę: Z granitowego bloku już wyłoniły się dumne, szerokie ramiona i tors zakuty w żebrowany półpancerz. Człowiek jakby wyrasta ze skały, odrzucając wstecz wszystko co zbędne, ale jak przedtem, zostając kamieniem. Jedno tylko jakby się nie udało: twarz... Nie pasuje ta młodzieńcza, marzycielska twarz do figury Kamiennego Gościa\*[\* - Zuchwały Don Juan zaprosił na kolację posąg Komandora, którego zabił, uwiódłszy mu pierwszej żonę. Jak się tego należało spodziewać - posąg przyszedł...]. Ręka rzeźbiarzowi drgnęła, czy co?*

*Dłuto posuwa się wyżej i wyżej...*

Za plecami Ananicza kryją się dwie pannice z Instytutu: młodziutkie, świeżutkie, tylko oczka im błyszczą jak latarnie! - O co chodzi, Paszeńka? Niewiele brakło, a byłabyś palnęła: „Wódki? Nie ma, ze szwajcarem wszystko wypiliśmy”.

- Czy nie zechciałaby mnie pani zapisać na drugiego kadryla? Kpi czy o drogę pyta? Ale chyba nie...

- Paszeńka, mój miły! Mało ci dziewcząt? Do waszego munduru, do lazuru „Barbarzyńcy” jak ćmy do ognia ciągną - tylko mrugnijcie!

- Elzo Wilhelmowna! Obiecałem pokazać tym pannom, jak należy tańczyć prawdziwego kadryla! Bez waszej zgody, ale błagam...

- Paszeńka, za stara jestem na kadryla! Lepiej ty sam...

Milczy. Czeka.

- Paszeńka... no, dobrze, zgoda, idźcie na salę, ja zaraz...

- Elzo Wilhelmowna, za pani pozwoleniem, poczekam tutaj.

- Chłopcze mój miły! Wiecie, powinnam wam...

Ściany nagle zatańczyły hopaka; sufit się przechylił i zawirował jak dziecięcy bączek. Co z tobą, Kniahini?! - ledwo ustawszy na nogach, musiałaś się oprzeć o balustradę. - „O, róże purpurowe w kryształach kruchych waz!” - zakrzyczał ci ktoś w samo ucho; ogłuszył cię i przeraził.

Upiłaś się, czy co?!

I dopiero w sekundę później zrozumiałaś: stało się.

Fied'ka sięga po Prawo.

Z własnego doświadczenia wiedziałaś: wejście w Prawo obaj - chrzestny i chrześniak przeczuwają mniej więcej dobę wcześniej. Żeby mieli czas na ukrycie się przed wzrokiem wścibskich, lec na dnie i oddalić się od wszystkich. Teraz działo się coś niebywałego; nie dano ci czasu! Nie! Absolutnie! Jak grom z jasnego nieba! Jeszcze chwila, może dwie i runiesz bezsilnie na marmurową posadzkę, rozrzucając ręce i nogi niczym martwy manekin - oni zaś wezwą lekarza i zaczną się wtrącać w skomplikowany, delikatny proces, będą ci podsuwać flakony z trzeźwiącymi solami...

Boże!

Żeby choć wiedzieć, jak wyglądasz z boku w chwili, gdy Prawo zwie cię ku sobie?

Jak?!

- Elzo Wilhelmowna? Źle się pani czuje?

- Nie, Paszeńka, nic mi... nie jest! Dziewczyny, idźcie! Ja zaraz...

Rzucił się w dół, podtrzymał krzepkimi rękoma i nie dał upaść.

- Wezwę kogo?! Zinoczka, Waria! Powiedzcie dyrektorze...

- Nie trzeba! Już mi dobrze. Kłamałaś.

Było ci źle; gorzej niż przed chwilą.

Dlatego, że wszystko nagle przeszło: sufit, ściany i kołowrót wejścia w Prawo. Mogłaś spokojnie pójść i zatańczyć kadryla, Kniahini, mogłaś flirtować z młodziutkim Ananiczem, dając Zinoczce i Wani przykład kwitnącej młodości, wypić choćby drugą szklankę wódki, niechby tylko szwajcar pobiegł do sklepiku...

Cud zwał ci się pętłą na szyi.

Śniło ci się wieszanie, Kniahini?! - sen w rękę, w dłoń, w pięść, kłapa zapadni leci w dół, zlany w jedno ryk tłumu cię ogłusza i lecisz, lecisz w otchłań z kawałkiem pętli na szyi - śmiesznym, strasznym, beznadziejnym proporcem minionego życia.

...gdzieś...

...gdzieś tam...

...gdzieś tam, w miejscu, którego nazwy nie objął jeszcze żaden z ludzkich języków, wchodził w Prawo leszy-Fied'ka - a ty, Dzwonkowa Damo, wróżko matko chrzestna, byłaś tutaj, na tym głupim, idiotycznym balu, zachowując rozsądek i trzeźwą (no, powiedzmy że ciut podchmieloną!) pamięć.

Głupia! Głupia! Głupia! Prawa nie spisano dla durniów!

- Paszeńka... idź na górę!

Usłuchał i poszedł.

Ruszył po schodach w ślad za pannicami z Instytutu, oglądając się przez ramię; twarzą śledczego junkra, niemal zawsze nieruchomą, targał tym razem nerwowy tik; lewe oko drgało kurczowo, co powodowało, że Paszka wyglądał, jakby mrugał porozumiewawczo i żartobliwie. Rzecz zdumiewająca u przyszłego oficera śledczego korpusu J. I. W., ale teraz akurat nie miałaś czasu na zdziwienie.

Przygotowywałaś fintę.

## X. DRUC-KONIARZ ALBO TAMARA I DEMON

*Bili mnie, a wcale nie bolało,*

*Thukli mnie, a nic nie czułem.*

*Jak tylko wytrzeźwieję, znów do niego wrócę.*

*Przypowieści Salomona*

Witaj, Jefremie, Ojcie Koni. Przyprowadziłeś kolejnego chrześniaka? Widzę, że przyprowadziłeś. Leci ten czas, leci... który to już u ciebie? Trzeci, Czwarty? I nowego masz już na oku? Wtedy - jak się uda - jeszcze się zobaczymy, Winny Królu. A chłopaka dawaj. Niech idzie. Jedzie? Niech jedzie, tylko sam. Obrażam? Ja?

Kogo?! A, ciebie, przypominaniem... Dla ciebie to nie pierwszyna, Prawo znasz... Wybacz, baro, pamięć mam już całkiem dziurawą, niczego utrzymać nie chce.

Dalej, chłopie, naprzód! Dobrego masz konia, tylko gorącego i narowistego - jak ty sam, *bengoro*\*[\* - *Diablik, mały czart (rom.)*]. Uważaj, żebyś nie spadł.

W skok!

Wszystko już było, było, było - niezliczone tysiące razy i nawet samo słowo „było” zdążyło stracić wszelki sens. Było? Jest? Będzie?

Jakaż to różnica?!

Dziś jednak nie mam ochoty zajmować się najgorszym ze wszystkich rodzajów ludożerstwa - pożeraniem samego siebie. Dziś jest święto oszukiwania samego siebie. Przecież byłem, jestem, będę w was wszystkich, czyli i wy wszyscy jesteście we mnie, z waszymi radościami i smutkami, strachami i niecierpliwością, zuchwalstwem i wątpliwościami - kipię w was, by burzycie się we mnie i za każdym razem, daleko, w głębinie duszy, coś zamiera w oczekiwaniu: a może właśnie teraz, akurat teraz wyjdzie, stanie się... może ten gładkolicy smarkacz, z rozczochraną grzywą smolnych włosów - to zwiastun długo oczekiwanego wyjścia? A co, jeżeli?..

Nie, nie, jestem spokojny. Nie trzeba. Jestem obojętny; to, co z nawyku nazywam duszą, pokryło się pyłem stuleci i zarosło pajęczyną jałowych oczekiwań; jestem wyjałowionym, wytrzebionym cudotwórcą, który oduczył się wiary w cuda! Jeżeli nie dostukałem się do was wtedy, kiedy jeszcze nie było za późno na naprawienie pozornie wyglądającego na sukces

błądu... kiedy jeszcze zostawałem człowiekiem... Człowiekiem? Największy ze wszystkich cudów - dostukać się, zostać zrozumianym... nie, nie wierzę.

A ty skacz, chłopaczku, skacz.

Niechaj ci Bóg pomoże.

Nie myśl sobie tylko, że konno dotrzesz do mnie szybciej. Widzisz, twój koń ledwo przebiera nogami, a cisza wokół nas przelewa się ołowianą patoką. Pamiętasz? Bywało tak we śnie. Usiłujesz się obudzić? Wyrwać się z lepkich łap koszmaru? Doskonale czynisz, mądrała z ciebie, *bengoro*. Zobaczymy, jak bardzo jesteś mądry.

Zobaczymy, dokąd poskacziesz.

...dawniej byś u mnie nie przez wiatrołomy skakał! Góry stawałyby ci na drodze - do nieba, przepaści - bez dna! Piękno i groza! Co tam koń! Na smokach trzeba by lecieć! I nie w patoce byś utknął: co tam patoka?! Zamroziłbym cię po same oczy w bryłę lodu - spróbuj się wyrwać! Wybacz, *bengoro*, nie mogę! Tu jesteśmy sobie równi. Dlatego, że mogę nie więcej niż wy, a wy możecie coraz mniej i mniej... *mea culpa, mea culpa, mea maxima culpa*\*[\* - *Moja wina, moja wina, moja największa wina! (lac.)*]! Usiłuję, za każdym razem próbuję naprawić swój błąd, wkopany w fundament budynku, który stał się moim grobowcem i mauzoleum, marzę o tym, żeby rozlać po ziemi tę przeklętą polewkę z soczewicy, którą z głupoty wymieniłem na dar pierworództwa - a wy się opieracie rękoma-nogami-rokami, sumieniem-znaczeniem-honorem, przeszkadzacie, potajemnie podejrzewacie różne głupoty! Ja - tak, wy - siak! Ja - tędy, wy - wała w zęby! Ja - niechaj usłyszą głusi! A wy - watę w uszy i przepływacie obok Wyspy Syren, przywiązawszy się do masztu...

Powiedzmy, ogień - to rozumiałe. Przez ogień przechodzicie wszyscy. Czy to wam pierwszozna? Przecież zapalałem wam ten ogień, kiedy podpisywaliście Ugodę.

Ja, stęchły Duch Prawa.

Co, myślisz, że przyjechałeś? Myślisz, że dalej już będzie równo jak po stole? A kiskę z grochem, *bangoro*, to nie wszystko! Oto on, twój los: spróbuj go oszukać, wystrychnąć na dudka! Strach każdego koniokrada: rozjuszeni do stanu bydłectwa chłopci z kołkami i widłami! Złapali cię na gorącym uczynku, z uprowadzonym koniem - nie ma zmiłuj!

Wykręcisz się?

I w odpowiedzi sływa na mnie spóźnione zrozumienie.

Niestety, *bangoro*, nie tyś mi je dał.

Właśnie teraz, z kędzierzawym diablikiem, idzie ku mnie przyszły Żołędny „widek”. Jego nauczyciel jest tu ze mną, w mojej wewnętrznej rzeczywistości; i część Ducha Prawa,



pogrzebana w Królu-”wideku” na króciutka chwilę wzbiera siłą.

Siłą jasnowidzenia.

Przypadki - to niepojęte do końca prawidłowości! Kto ma o tym wiedzieć, jak nie Duch Prawa?! Jestem jednością w tysiącach dusz, wyczuwam nasze związki - pajak! związany z pajęczyną, wyssanymi muchami - choć tylko z rzadka mogę prześledzić je do końca, przewidzieć, w có się obróci dane działanie, postępek, splunięcie na trotuar!

Och, gdybym mógł widzieć przyczyny, skutki i związki pomiędzy nimi, gdy po raz pierwszy tworzyłem Ugodę!

Żałować już za późno i dość głupio. Wiem - ale teraz skraj zasłony drgnął i pokazał część tajemnicy! Sam tego nie wiedząc, mój chłopcze, rzuciłem ci w twarz twój *prawdziwy* los i przeznaczenie! Popatrz! - wyszczerzywszy zęby, bryzga śliną i nienawiścią, gotowa zgnieść, zmiążdżyć na krwawy placek, w poprzetykany błotem kęs mięsa...

Śmiejesz się? A śmiej się.

Od niechcenia przenikasz na skroś niczym bezcielesne widmo? Przenikaj.

Nawet nie raczysz się obejrzeć, by zobaczyć, jak chłopci wściekle młóca jeden drugiego; ot masz, jeden charknąwszy wściekle wsadził drugiemu w brzuch trójdzielne widły do gnoju...

Umówiliśmy się.

Stoisz przede mną. Witaj.

Zmrużywszy oczy, patrzysz z góry - niespfeszno ci do zeskakiwania z konia. Siedz sobie, nie jestem z tych przesadnie dumnych. A, jednak zlazłeś. Oczywiście, widzisz mnie jak potrafisz, a potrafisz dość kiepsko. Przypomniałem ci z pewnością twojego chrzestnego, Jefrema Perłowego. Albo nie przypomniałem. Znaczy, ty nie jesteś *bangoro*, a Dufunia? Dufunia Druc?,

Bardzo mi miło. A ja jestem Duch Prawa.

Będiesz ciągnąć kartę, Dufunia? Ależ oczywiście, będziesz! Więc dalejże od nowa - jak zawsze. Bez pożytku, głupio i trochę wstyd... jak zawsze.

Zacznijmy od pytania.

Prościutkiego.

Kiedy je zadaję, jestem spokojny. I wcale nie dlatego, że jest mi wszystko jedno. Po prostu ja już znam odpowiedź. Kiedy poruszony przeciągiem drgnął brzeżek zasłony, zdążyłem po cichutku zajrzeć. I oto los obnażył się przede mną, niby kobieta przed snem: piękna i odrażająca jednocześnie.

Kiedyś stanie się moją.

Naszą.

Nie, nie teraz; może się ziści w twoim chrześniaku, albo w chrześniaku twojego chrześniaka, ale ujrzałem nadzieję!

Wiesz, chłopcze, czym jest nadzieja?! Ach, wiesz, to ta suka, która umiera ostatnia, przeżywszy wszystko i wszystkich! Cięty masz język, Dufunia; podobasz mi się; oczywiście, odpowiesz jak wszyscy, ledwo się powstrzymawszy od tego, iżby nie plunąć Duchowi Prawa w oczy.

Ale ja i tak zadaję swoje pytanie.

Pamiętasz, Druc?

O tak, pamiętasz.

Nasze spotkanie było właśnie takie, a za tobą stał twój chrzestny, Jefrem Perłowy. Stał i czekał, nie czuleś potrzeby, żeby się odwrócić.

Wchodząc w swoje Prawo, plecami wyczuwałeś nauczyciela. I potem, kiedy przyszła pora na twojego chrześniaka, Wajdę Chałado\*[\* - *Żołnierz.(rom.)*], wszystko się powtórzyło, tylko że stałeś i czekałeś ty, a Wajda szedł ku Duchowi Prawa pieszo, po pas pograżywszy się w śmierdzące, bulgoczące i tchnące czarodziejskim żarem bioto-; a tyś mógł tylko patrzeć, zagryzłszy wargi i nie mogąc pomóc chrześniakowi.

Musiał dojść sam.

Jak ty sam, swego czasu.

Jak kiedyś stary Jefrem, a przed nim...

Nie wiedziałeś, co się stanie, jeżeli Wajda nie dojdzie. Nie chciałeś wiedzieć. Wiedziałeś, co będzie, kiedy dojdzie - i doszedł.

Za każdym razem przed Duchem Prawa stają we dwójkę: nauczyciel, milczący i stojący nieruchomo, oraz uczeń, idący przed siebie.

Takie jest Prawo; i taki jestem ja - jego Duch.

Nędzna parodia prawdy.

Więc czemuż teraz jest inaczej?!

Mrok miękko uderzył cię w kark i zwałił z nóg. Ale nad tobą nie rozwinął się nowy pułap, a w mglistej mgiele na horyzoncie nie pojawiła się drgająca chwiejnie figura.

Szmerzący bulgot myśli... pod kopytami starej klaczy... stuk-stuk, stuk-stuk... Jak szybko! Współ z Kniahinią spodziewaliście się, że potrwa to jeszcze choćby z pół roku... Szybko, nie w porę. Aj, jakże nie w porę! Ale to drobiazg; główna rzecz, że wszystko jest inaczej! Po mgle powinieneś znaleźć się *nie tutaj!* Ciebie powlokło *tam* - ale w ostatniej chwili

znajomy tunel z mgły przecięła na pół granitowa ściana, wyrosła ci przed samem nosem, moreę i czoło sobie rozbiłeś i nie ustałeś na nogach.

A może to *tu* czoło sobie rozbiłeś, gdy zawiodły cię nogi?

Zmierzała się rzeczywistość ziemska z jawą Prawa, bliskie z dalekim, bywałe z niebywałym. Niby to leżysz, pechowy Romie, gdzie stałeś, gdzie chłopi na twoich oczach, zapomniawszy o całym świecie magusia tłukli - a twoje oczy skierowały się w dał, uszy w trąbki się zwinęły, na oślepie widzisz i na głucho słyszysz...

No, dalej, wysił się, pomogę ci, czuję...

Odrobinę.

- ...ojczulkowie, co to się porobiło! Wiercę powiem, z zazdrości skona!

- ...ale co to? Co się dzieje?!

- ...policjanta, stójkowego wołajcie! Trzeba ją stamtąd wyciągnąć!

- ...widzisz, Pietieńka, co się dzieje, gdy ktoś mamy nie słucha...

- O, macie, jest stójkowy! Widzicie, leci tu jego gorliwość - aż się spocił...

- Wiadomo, z gorliwości...

- Rozejść się! Przejście dla władzy!

Tłum się rozpląnął niczym mokra szmata - i zobaczyłeś. Jakbyś łeb wysunął zza pleców stójkowego.

Ludzie się stłoczyli naprzeciwko żelaznej zwierzęcej klatki. W klatce, wściekle rycząc i chłoscząc się ogonem po bokach, szczyrzył imponujące kły amurski tygrys zwany Maluchem (przez wisko mu leżało, jak krowie siodło). Wściekłość zwierzęcia była zrozumiała - sterczący przed klatką gapie mogliby i niewinne jagnię do furii doprowadzić. Tym razem jednak tłum miał powód do wydawania okrzyków grozy i trwogi - w klatce za tygrysem, na przysypanej słomą podłodze leżała brzemienna kobieta!

Akulina!

Skupiona, poważna twarz, mocno zaciśnięte powieki - ale pierś unosi się równomiernie i drga żyłka na skroni.

Ależ jej się trafiło wejście w Prawo! Czemu w domu nie zostałeś, wiercipieto moja? Czytałabyś uczone książki, szykowałabyś się do egzaminów - nie, poniosło cię w nocy do ogrodu zoologicznego! I nie do ptaszków, nie do rybek lub żółwików - ale do tygryskiej klatki! Jakieś nieszczęście mu się przytrafiło? I co, oprócz ciebie nikt tego nie spostrzegł?!

Żebyś tylko teraz rodzić nie zaczęła...

- Wasza gorliwość! Wasza gorliwość! Co robimy?

- Zastrzelić bydlę i po wszystkim będzie! Przecież tam człowiek w klatce. Baba! W

cięży!

- Może on już ją... tego...

- Czego - tego? Czego - tego, pytam się ciebie?! Drapieżnik? Babę? Tego?

- Może... zagryzł?

- Co pieprzysz! Co ty pieprzysz, mówię? Maluch miałby ruszyć naszą Aleksandrę Filatowną?! Zemdlą nam panienczka i tyle! Bywa' kiedy dziecko w brzuchu! Lepiej byście się rozeszli, dobrzy ludzie, nie drażnijcie zwierzaka! Nie kuście losu...

To Polikarpycz, dozorca. Poznałeś go po głosie. Dzięki ci, Panie, choć jeden mądry człowiek wśród tych cymbałów się znalazł!

- A ty sam, co pieprzysz, bałwanie? Brzemienna kobieta ma zostać w klatce dzikiego zwierza! Strzelajcie, wasza gorliwość!

Stójkowy wyjął rewolwer z pochwy. Sucho szczęknął odwodzony kurek.

Gwar ucichł jak ucięty nożem. Wszyscy umilkli.

Stój, kretynie! Tygrys to zwierzę żywotne, kula z nagana z pewnością go nie zabije, a tylko ostatecznie rozjuszy! A wtedy po Akulinie! Maluch nawet nie zauważy, jak ją na strzępy rozerwie!

- No nie, strach strzelać! - stójkowy opuszcza podniesiony rewolwer i ociera spocone czoło. Ręce mu drżą. - Jeszcze w panienkę trafię...

Stróż porządku wodzi ogłupiałym wzrokiem po tłumie, który czeka na huk wystrzałów i widok krwi. Policjant w geście beznamiętności rozkłada ręce, jakby szukał współczucia, podtrzymania na duchu, i - dziwna rzecz - znajduje!

Podbiega do niego chudziutki, żylasty Agafonycz w długim fartuchu pracownika ogrodu; z drugiej strony z szacunkiem trąca policjanta w pagon Polikarpycz, którego łatwiej przeskoczyć niż obejść.

Choć do niskich nie należy.

- Wasza gorliwość! Nie trzeba strzelać. Aleksandra Filatowna Malucha butelką wykarmiła... ten tygrys nas od klatki odgania, jakby mateczki bronił. Kazalibyście ludziom iść precz, żeby zwierza nie drażnić! Tak byłoby najlepiej!

- A jak Aleksandra Filatowa się ocknie, to sama z klatki wyjdzie - Agafonycz wykorzystał chwilę ciszy i zadudnił stójkowemu w ucho z drugiej strony. - Widzicie sami, żywa panienka, krwi na niej nie ma. W ciąży jest, to i zemdlą biedaczka z duchoty. Maluch jej nie skrzywdzi. Czego od głuptaka chcieć, zwiierz to zwiierz, nie rozumie, że chcemy jej pomóc...

Do stójkowego nareszcie dociera, że lepiej będzie jednak nie strzelać. I że powinien się zająć tym, co lubi i umie: zaprowadzaniem porządku. Co też natychmiast wprowadza w czyn -

ku niezadowoleniu gapiów, ale mając zdecydowane poparcie obu pracowników ogrodu.

- Wezwijcie doktora - zwraca się stróż prawa do pracowników, kiedy gapie oddalają się niechętnie, żeby przyglądać się klatce z nakazanej odległości.

- A co tu dochtór? Czy to Maluch go dopuści?! Czekać trzeba...

- Da Bóg, wszystko dobrze się skończy. Panienska - kobieta wytrzymała, jakoś sobie poradzi...

- Może wodą z węża ją polać? Żeby ochłodzić, znaczy...

- Pr-recz, chamy!

Dziwne: skąd głos kobiecy? A może ci się wydało?

Przed oczami, grudy ziemi i zeschnięte trawki. Boli rozbite czoło, jak zwykle rwie w plecach. Trzeba wstawać - za długo poleżeć nie dadzą. Zaraz nadbiegnie straż, zaczną walić butami, a jak się rozeżlą, to i kolbą przyłożą. Trzeba wstawać - żeby znów dźwigać nienawistne śliskie pnie.

Dlaczego - śliskie?!

Bo jesień, deszcze, wilgoć.

Co to za głupie myśli pchają ci się do głowy, silvański Romie?

- Jak śmieliście! Mordercy, zbójce!

Wiadoma rzecz, zbójce; grabieżcy, złodzieje - kogo innego na katordze spotkasz? Ciekawe, kto damulkę uraził? I gdzie patrzyli gapiowaci nadzorcy? I w ogóle...

- Paniensko, co też mówicie! Jakież my zbójce? Tu ludzie spokojni, a magów tępić - sam Bóg przecież przykazał, a osobliwie koniokradów! A i ojczulek w cerkwi na kazaniu mówił...

- A pewnie! Ojczulek! Za śmierć męczeńską, powiadał, magom odpuszczenie win i do raję droga wolna! Odkupili, grzechy zmyli... My jemu duszę ratuję, paniensko, ręk nie żałując! A wy krzyczycie - zbójce!

- Fiedia! Fied'ka! Jak mu się coś stało... mój ojciec was... do obozu! Fied'ka mój...

- Ten byk, tak? Co Ondrejce nosa złamał? To myśmy go palcem nie tknęli, panienczko! Sam upadł! I ten wasz stangret... też...

- Słuchajcie chłopcy: Chodźmy stąd! To kniaziowa córka... pułkowniczanica...

- I co z tego?

- A sam zobaczysz!

Tupot nóg. Bezlądny, cichnący.

Oddalający się.

Podniesienie głowy wymagało ogromnego wysiłku. Przed oczami wszystko ci pływało.

To pewnie Filat, gadzina, w łeb polanem przygrzał. Złapię - zarżnę bydlaka! W dłoń wbił ci się suchy kolec - i bzdurny, nieistotny ból nagle przywrócił ci przytomność. Rozmyte sylwetki wyostrzyły się i nabrały wyrazistości; wróciła pamięć.

Natychmiast, w okamgnieniu.

Fiodor leżał na wznak, z rozrzuconymi rękami, a nad nim pochylała się księżniczka Tamara. Płacząca i roztrzęsiona.

- Fiedia! F-Fied'ka! W-wstawaj! No wstawaj...ż-że! Oni już poszli. Poszli wszyscy! Fied'ka! Wstawaj... p-proszę...

Dziwne: wcale nie straciła daru mowy! I głos miała ożywiony, choć pełen rozpacz - jaki miałyby każda inna dziewczyna na jej miejscu.

Wstać ci się nie udało, polazłeś więc ku Fiodorowi na czworakach. Na szczęście chrześniak leżał niedaleko - siedem sążni, nie więcej. Katem oka zdążyłeś zauważyć słaby ruch w miejscu, gdzie chłopci kopali młodego magusia. Wygląda na to, że malec chrześniak przeżył. Co z Dziewiątką, nie patrzyłeś, nie było na to czasu.

Najpierw - Fiodor.

Pełłeś powoli, a w głowie migały ci luźne, niezwiązane ze sobą obrazy:

... zaglądają w samą duszę przenikliwe oczy Ducha Prawa... «,

... głucho pomrukuje tłum rozjuszonych do stanu bydłectwa chłopów; na ziemi miota się pod razami szczupłe ciało...

... wyszczerzył kły Maluch, zasłaniający sobą leżące bez czucia ciało Akuliny; stójkowy stoi z rewolwerem w roztrzęsionej dłoni...

Daruj, daruj, Panie! - powtarzałeś sobie niby zaklęcie czy modlitwę; Maluch jej nie skrzywdzi, a stójkowy zrezygnował ze strzelania, czyli wszystko będzie w porządku, są tam Agafonycz z Polikarpyczem, wszystko rozumieją... ni cholery oczywiście nie rozumieją, ale teraz nie to jest najważniejsze! Najważniejsze, że wiedzą, co robić; a raczej wiedzą, czego nie robić, a Akulina zaraz się ocknie...

Ręka trafiła na coś ciepłego, żywego.

Dłoń.

Dłoń Fied'ki.

Potrząsnąłeś głową, odpędzając natrętne wizje niczym muchy. Potem. Wszystko potem, teraz trzeba wyjaśnić, co z Fied'ką.

- Jefremie... Iwanowiczu! P-pomóżcie...

- Nie jestem doktorem, Tamaro. Daj, popatrzę...

Drugie zdanie klóciło się z pierwszym, ale i to nie było ważne. Pochyliwszy się nad Fiodorem, drętymi palcami zacząłeś mu rozpinąć koszulę na piersi. Chciałeś ją rozerwać, ale księżniczka przysła ci z pomocą; chwila i koszula rozchyliła się na boki, odsłaniając szeroką pierś Fied'ki. Przyłożyłeś do niej ucho i jednocześnie dwa palce przytknąłeś do tętnicy szyjnej.

Usiłowałeś też dokonać czegoś niemożliwego: podjąłeś próbę usłyszenia, zahaczenia chrześniaka, dostukania się - masz rację, Druc! Nie jesteś doktorem! Doktorzy tego nie potrafią!

Usłyszałeś.

Zahaczyłeś i natychmiast wypuściłeś, bezsilnie zgrzytnąwszy zębami.

Fied'ka Sochacz żył. Jego ciało leżało na wznak na pagórku, gęsto porośniętym zeschłą już trawą, a dusza-unosiła się tam, gdzie usadowił się Duch Prawa. Nigdy jeszcze się nie zdarzyło, żeby jakiś chrześniak trafił tam sam, bez starszych atutów. Owszem, wchodzić w Prawo muszą sami - ale nie bez powodu jako milcząca podpora każdemu stoi za plecami mag nauczyciel!

I jeszcze jedno; wiedziałeś z pewnością, że Akulina, której pozbawionego czucia ciała lepiej od każdego psa strzeże amurski tygrys - jest obok męża.

Ale bez Kniahini.

- Co z nim? Jefremie Iwanowiczu?

- Żyje. Ale źle z nim, Tamaro Szalwowna!

- Czy on... się ocknie?! Wszystko... b-będzie dobrze?!

W tych słowach było tyle rozpacz i męki, że nie mogłeś się zdobyć na uspokajające kłamstwo, papierowe słowa pociechy utknęły ci w krtani.

- Nie wiem, Tamaro Szalwowna. Być może...

- Jedźcie po doktora! Ja tu... przy nim! Jefremie Iwanowiczu! Ja tu zostanę! Wy jedźcie! Nie tak rozumują szaleńcy. Szybko i przytomnie, bez lez, bez krzyku czy hysterii...

Mignęła ci i zgasła osobliwa myśl, zostawiwszy tylko iskrzący się ślad, niby raca albo spadająca gwiazda.

- Nie zdążę, Tamaro. Gdzież tu szukać doktora? A do Charkowa - godzina jazdy, nawet gdyby gnać, co koń wyskoczy. Potem powrót z doktorem... Głupio. Albo sam się ocknie w tym czasie, albo...

Księżniczka zorientowała się w czym rzecz zaskakująco szybko. Nawet za szybko, jak

na normalnego, zdrowego człowieka. To już nie była sprawa rozumu - tylko intuicji na granicy jasnowidzenia, jaką posiadli prorocy, zakochani i szaleńcy!

- Jefremie Iwanowiczu! Jesteście Romem! A wszyscy Romowie to czarownicy! Choć trochę... Skor-ro doktor n-nie zdąży... czarujcie! Ja się za w-as do k-końca życia modl-lić będę! Jefremie Iwanowiczu?! Ja... za w-was... dla w-was...

Prośba ta wydała ci się tak dzika i niesamowita, że szaleństwo na króciutką chwilę i tobie zajrzało w oczy, wyszczerzyło się przebiegłym uśmiechem Kusiciela - i natychmiast się ukryło.

Niedaleko.

I co, zdecydujesz się, baro? Weźmiesz kniaziową córkę na współniczkę i pomocnicę? Odzyskasz siłę? Przebijesz ścianę?

Decyduj się!

Nie, to nie ty! Nie ty! To demon w twojej głowie, bies w twoim boku! Opamiętaj się, stary głupcze! Złamiesz wariatce życie! Cyklop cię gołymi rękoma, na kawałki...

Złamiesz jej życie?! Ha! I bez tego ma złamane tak, że bardziej nie można! A chrześniaków stracić możesz: nic bardziej prostego. Zresztą i Tamara, jeżeli Fied'ka się nie ocknie, targnie się na swoje życie. Kniaziewego gniewu się przestraszyłeś, chwacki Romie? Tchórzostwem się wymawiasz? A kto na Cyklopa z nożem szedł?

Ależ to numer będzie nad numerami: córka pułkownika żandarmerii pójdzie w romskie blotki!

- Zezwalam na zastosowanie siły i działań eterycznych: w aktualnym stanie Tamara jest po części na nie podatna. Ale tylko w skrajnym przypadku i z całą delikatnością. Inaczej odpowiesz głową. Zrozumiałeś?

- Zrozumiałem, wasza jasność...

Odejdź, Szatanie! Nie kuś mnie! miejmy nadzieję, że się obejdzie; oboje znajdą drogę powrotną... A jeżeli... jeżeli nie?! Co wtedy? Wybaczysz sobie to, że mogłeś pomóc i nie pomogłeś?!

Odejdź! No, proszę cię...

- Cz-czemu zwlekacie, Jefremie Iwanowiczu?! Cz-czego wam trzeba?! Mówcie! Mojej duszy?! Życia?! Oddam! T-tylko go... ur-ratujcie!

To wszystko, Walecie.

Słowo zostało powiedziane.

A wedle Prawa - trzeba odpowiedzieć.



## NOTATKI NA MARGINESIE

*W czarnych niczym smolą oczach księżniczki Tamary teraz i na wieki: ...noc.*

*Nieprzenikniona. I nagle jedna za drugą zaczynają się zapalać nieśmiało, nikłe świece i gwiazd. Widmowy blask spływa na ziemię, księżycowe cienie snują się niby mgła, zmieniając się nieustannie i tworząc coraz bardziej zdumiewające figury. Cienie! Łatwo wśród was zabłądzić, zgubić drogę, stać się widmem, marą, ułudą. Na samym horyzoncie świeci jedna gwiazda, jaśniej od innych. Gwiazda to? Ognisko? Świeczka?*

*Wiecie? Trzeba tam iść, w stronę tego ognia. Przez cienie, mrok, przez noc.*

*Trzeba po prostu iść.*

*W stronę ognia.*

Powoli się wyprostowałeś. Podniosłeś się i stanąłeś niczym wieża nad dziewczyną, która patrzyła na ciebie w górę z rozpaczą i nadzieją w oczach..

Rozpacz i nadzieja.

Straszna, diabelska mieszanka, piekielny wywar.

Demon spojrział na Tamarę.

Kto z nas dwojga jest kusicielem, kto kuszonym?! Kto?! Ta mysi wypłynęła z przeszłości, z dalekiej nocy kęs-precelskiej, kiedy piegowata Akulka bez namysłu wyciągnęła do ciebie chudziutką rączkę:

*- Wujku Druc! Najmilszy! Nie rozmyślałam się! Nogi... nogi całować...*

*- Duszę, powiadasz? - zapytałaś, nie poznając własnego głosu. - No cóż, znaczy - niech i tak będzie. Dawaj duszę, księżniczko. Wiedz tylko: wyciągniemy Fied'kę czy nie - wszystko jedno, i tak nas dwoje diabli wezmą. Decyduj teraz, żebyś potem nie żałowała. Widziałaś chyba, co teraz blotkom robią...*

Ech, dziewczki, dziewczyny! Tamara! Akulka! Oddają się bez wahania! Chciałbym mieć tyle serca, co wy!

*- Już zdecydowałam. - I księżniczka podała ci rękę. Jakby wiedziała, że tak właśnie trzeba.*

Uśmiecham się smutno. Taki los.

Przed obojgiem rozplómienia się żółty, jesienny zwitek, pokreślony tajemniczymi znakami.

## XI. RASZKA-KNIAHINI ALBO ABRASZA Z WERONY W SOBOTY LUBIŁ POŻARTOWAĆ

*Gdy sprawiedliwym dobrze się  
Powodzi, miasto się raduje;  
A gdy giną nieprawi, panuje wesele.*

*Przypowieści Salomona*

Szykowałeś fintę.  
Szaloną i beznadziejną.

Taką, na jaką można się zdecydować, gdy człowiek się obudzi i zamiast krawędzi łóżka widzi krawędź przepaści. Łamane jest Prawo, jeżeli chrzestny nie idzie za chrześniakiem, żeby czekać i milczeć: łamane jest Prawo, jeżeli nie towarzyszy uczniowi, żeby samą swoją obecnością okazać honor pożegnania: rwały się osnowy - i ty, w ostatecznym wysiłku, skoczyłaś w siad za „brudersaftową” spadkobierczynią, Akuliną... Ot, lada moment uderzysz całym ciałem w ścianę naruszeń i warunków, przebijesz się i dogonisz!

A rybka Akulka wyrwała ci się z rąk.

Głupia, głupia Raszka! Powiedzże mi z łaski swojej: czy nie powinna żona towarzyszyć mężowi, w biedzie i w radości, w zdrowiu i w chorobie, w Prawie i w bezprawiu?

Oboje odeszli: Fiodor i Akuliną.

A ty zostałaś.

Idź tańczyć kadryla.

...schody wiły ci się pod stopami niczym kot, wierciły się, ocierały; usiłowały stanąć dęba, strosząc ogon dywanów.

Co robić?

Dokąd biec?

...mocna dłoń ujęła cię za łokieć. Natarły na ciebie oczy, niczym dwie czarne studnie przepełnione nieziemskim zachwytem.

- Elzo Wilhelmowna! - zapytał ledwo słyszalnie Paweł Ananicz, junkier z drugiego roku i rokujący wielkie nadzieje „niuchacz”. - Przecież to pani, Elzo Wilhelmowna? To naprawdę pani?!

Patrzący z boku mógłby pomyśleć, że widzi młodzieńckiego kawalera, który wyznaje miłość dojrzałej i pięknej kobiecie. Ale ty raz już byłaś w podobnej sytuacji: w przedziale

kolejowym pociągu „Sewastopol - Charków”, a kawaler mimochodem obierał pomarańczę.

Na szczęście pannice z Instytutu zdążył odesłać na górę.

Jeszcze tylko ich by tu brakowało...

- Co, Paszeńka? Wyniuchałeś, mój chłopcze?

- Na przykład: wasz pokorny sługa tuż przed promocją potrafił wyśledzić obiekt: niejawnego współpracownika Gamzata Cada, tyfiliskiego szaszłykarza.

- I co, pochwalili was? Nagrodzili?

- Niestety, serdeńko. Wezwał mnie do siebie komendant tyfiliskiej szkoły...

- Elzo Wilhelmowna!

I oto młodzik w szafirowym mundurze wypowiedział słowa, w jego ustach równie nieprawdopodobne, jak wejście w Prawo uczniów bez nauczycieli:

- Podziwiam panią, Elzo Wilhelmowna. Szczerze panią podziwiam! Niechże mnie pani wysłucha! Uważam, że władze popełniają błąd, usiłując od zawsze wytępić to, co powinny badać i wykorzystywać!

- Paszeńka!

- Niechże mi pani nie przerywa! Bardzo proszę, niech mi pani nie przerywa! Wiele myślałem! Napisałem raport do komendanta szkoły! Waszego małżonka! Jutro zamierzałem przekazać ten raport do rozpatrzenia... wyrzucamy dziecko razem z kąpielą! Tracimy to, co moglibyśmy zyskać!

Boże! Jak on był teraz podobny do Szałwy Gandieriego! Do tego podpułkownika, którego nie słyszeli, nie chcieli usłyszeć w Radzie Państwa i pewny swej racji dumny książę wyjechał do zatechłego Mordwińska, żeby rozegrać swoją partię, w której kartami byli żywi ludzie.

Zesłana na karne osiedlenie Dzwonkowa Dama.

Zesłany na karne osiedlenie Winny Walet.

I Lenka Fert, która nie zdążyła wejść w Prawo; bita na marmurowym stole Dzwonkowa Dziewiątka.

- Panie Ananicz! - zgrzytnęło z góry. - Jutro będę gotowy do rozpatrzenia pańskiego raportu! Co więcej, jutro po zaprawie porannej zamelduje się pan u rotmistrza Kowalewa i poprosi, żeby dał panu możliwość starannego przemyślenia pańskiego zachowania w areszcie!

Przeniosłaś spojrzenie z Paszeńki Ananicza na Szałwę Gandieriego, z junkra na pułkownika, z młodzika na męża, z munduru na mundur - i poczułaś, że twoja świadomość lada

chwila ci umknie.

Do jakiejś norki.

Sza, myszy, nie dokazujcie...

- Szałwo... ja zaraz upadnę, Szałwo!

Zanim zdążyłaś dokończyć, mąż już znalazł się przy tobie.

- Panie junkrze! Biegiem na ulicę! Sprowadźcie naszą kolaskę! I jeszcze...

Gandieri się zamyślił i zmarszczył brwi.

- Pojedzie pan z nami. Zechce pan nam pomóc...

- Tak jest, panie pułkowniku! Będę szczęśliwy... Szwajcar otwierał już przez Ananiczem drzwi, kłaniając się z przestachem w oczach.

- Do domu? - zapytał cię Cyklop; zdążył cię podeprzeć, nie dał upaść i stoczyć się ze schodów.

- Nie trzeba do domu! Do ojca Grigorija! Jedźmy do „strap-czego”!

- Raszel, co się dzieje?

Zwrócił się tak do ciebie po raz pierwszy od...

Nie, po prostu zwrócił się tak do ciebie po raz pierwszy.

- Oni wchodzi w Prawo. Bez nas.

Gandieri na całe szczęście nie pytał, kim są ci „oni”.

W kolasce zaczęłaś tracić świadomość.

Ach, jak to pięknie i zabawnie brzmi: zaczęłaś tracić! Ot, moneta jeszcze nie wyszła ze skarbonki, ale ugrzęzła w szczelinie, napiera brzegiem, rwie się na zewnątrz - wypuście, wypuście mnie! Zgubię się w przydrożnym kurzu! Początku utraty - czy jest na całym świecie coś od ciebie zabawniejszego? Tracimy świadomość, pieniądze, czas... niewinność, rodziców, nauczycieli... uczniów - są jeszcze tutaj, ale już straceni, a przekłety Duch Prawa wyciąga z rękawa nowe, niebywałe sztuczki; nie pozwalają ci nawet jak należy stracić Fied'ki z Akuliną, kęs-precelskie dzieciaki, kość z kości duszy twojej, niewydarzona, pozbawiona talentów Kniahini! Postać za ich plecami, pęczniejąc z dumy, odprowadzić, czując parzącą, spływającą z kącika oczu ku wardze łzę... i to ci odbierają...

- Szałwo?

- Co? Niedobrze ci?

- Szybciej, Szałwo...

„Ty! Ty! - stukają koła; koła! Koła! Pociąg do piekła.

Szybciej, Szałwo... do ojca Grigorija, do Goszy-Żywczyka, ponieważ nawet Duch Prawa nie może bezkarnie drwić sobie z jego Litery! Słyszane to rzeczy?! Zostawić cię tutaj (Druc, gdzie jesteś, Romie jeden?!), kiedy chrześniacy przechodzą ostatnią próbę? Sprawa, o której Czerwienni „strapczy” mogliby tylko marzyć: przyłapać Prawo na bezprawiu... marzyć, śnić i wzdychać po nocach...

Dokąd lecisz, Raszka? W jakie ciche odmęty, zapchane po wylot czartami - diablętami twojej pamięci, mojej pamięci, chytrze mrugającymi z mrocznych zakamarków! No, dalej, dalejże, pomogę ci odrobinę; choć - nie uwierzysz! - wcale mi teraz nie zależy na tobie, na sobie... nie żale...

- Bywa tak - zabierając się do polerowania paznokci Firka Kokotka wyciągnęła się na kanapie niby światowa, znużona podbojami lwica - że życiowa narracja traci treść.

- Treść? - zapytałaś.

Minęło wszystkiego trzy dni od twego przystąpienia do Konwencji i do tej pory nie mogłaś przywyknąć do patrzenia na Firkę, na swoją chrzestną... z boku jakby, czy co?

Tak, z boku, a nie oglądając się nieustannie przez lewe ramię.

- Głuptas jesteś. Treść to podstawa, podłoże wszystkich postępów, to przemiana „wczoraj” na „dziś”, to ty sama, jaką powinnaś być zgodnie z zamysłem. Czyim? Nieważne. Zostawmy to pytanie łysym i brodatym starcom w cerkwiach, meczetach i synagogach, niech się spierają do chryпки w krtani. Ale czasami - rzadko i na domiar w szczególnie niemiły sposób przekształcasz się w chodzące zaprzeczenie, bzdurę. Zamysł? Treść? Co też wy mówicie, moi panowie?! Kiedy trzeba ciąć na żywca - pijesz kawę; kiedy trzeba wypowiadać prawdy - kiwasz głową, uśmiechając się przelotnie; kiedy we wszystkich kalendarzach świata wychodzi „jutro” i tylko jutro! A u ciebie, głupia, żebyż to „wczoraj” - u ciebie zeszłoroczny śnieg; roztopiony na jasnym słoneczku! Mój chrzestny, rabbi Abraham ben-Izrael z Werony lubił żartować w soboty: Firoczka, jabłuszko moje, wiesz ty, co to znaczy „magia”?

Firka-Kokotka umilkła, dając ci do zrozumienia, że powinnaś teraz zagrać według swojej roli. Podbiłaś jej bębenka, bo niczego na świecie nie lubiałaś tak, jak takich rozmów o niczym... *pozornie* o niczym.

Estera Gedaliewna Pieriec, alias hrabina Trzetrzelnicka, alias Dzwonkowa Dama, mag wedle Prawa, o swoim chrzestnym opowiadała rzadko.

- I czymże jest „magia”, Firo?

- Nie wiem. I ty nie wiesz, choć sądzisz, że wiesz. A Abrasza z Werony, autor

komentarzy do „Księgi Najcenniejszej”, mawiał w soboty: magia - to „mag i Ja”.

- Kto Ja?

- Ja. Duch Prawa, który zawsze jest „nim”, ale przy tym troszeczkę jest tobą.

- Ja?

Firka długo się śmiała.

- Tak samo śmiał się Abrasza-Werończyk - oznajmiła, odzyskawszy dech. - Zadawałam mu to samo pytanie, a on się śmiał. A potem przestawał. I powiedział kiedyś, że gdy Duch Prawa postanawia zagrać z Literą Prawa w cetno-licho, wtedy właśnie to przekłete „Ja” zaczyna dyszeć nam w kark! Drapiemy się po ciemieniu, a ono dyszy, gubimy się w domysłach, a ono dyszy, szlag by je trafił!

- Fira... uważasz, że to zabawne?

- Nie! To Abrasza tak uważał. Albo udawał, że tak uważa.

- A...kto to taki?

- Abrasza-Werończyk?

- Nie. Duch Prawa?

Fira odrzuciła pilniczek w róg pokoju. W wieku czterdziestu dwóch lat była prawdziwą pięknoscią - tak w każdym razie wydawało się tobie, dwudziestolatce. Wiele byś dała za jej znajomość kosmetyki, umiejętność noszenia drogich toalet i podkreślania urody.

W rzeczy samej, już dałaś.

Wiele.

Co prawda, wtedy jeszcze nie wiedziałaś, jak wiele w istocie. Stałaś się *prawie* taką jak Fira-Kokotka i widząc zachwyty w cudzych oczach, miałaś świadomość, że owo *prawie* jest przepaścią nie do pokonania.

Najbardziej ze wszystkiego bałaś się, że obudzisz się któregoś dnia i odkryjesz, że z całej duszy nienawidzisz swoją chrzestną wróżkę.

- Wiesz, maleńka... O Duchu Prawa nikt niczego nie wie. Mniej więcej tak samo, jak nikt nie wie niczego o sobie. Są tylko legendy... bajki...

Czekałaś.

I doczekałaś się.

- Kiedy Abrasza-Werończyk już sobie sobotnio pożartował, opowiadał mi w poniedziałki, że ponad trzysta lat temu Ferdynand Kastylijski i Izabella Od Wygnania wydali dekret o wypędzeniu abrahamitów - wielu z nich uciekło do Górnej Galilei, do starego Cfatu. Byli wśród nich mistycy, znawcy Imion i Słów... magii, co przekazywali swoją wiedzę z ojca

na syna, a syn uczył wnuka. I jeden z nich miał strasznego pecha...

- Nie pozwolono mu uciec, Fioczka? Dopędzili go? Stracili?

- Nie, ależ z ciebie głuptas! Skąd te „straceńcze” myśli? Po prostu - miał syna, który nie posiadał talentu. A może to ojciec nie miał talentu - wielki mistrz nie zawsze musi być wielkim nauczycielem. Krótko mówiąc, lata poświęcone nauce syna poszły na marne. I wtedy mag zaczął się zastanawiać: czy można przekazywać nagromadzone skarby, jeżeli przekazujący nie umie uczyć, a odbiorca nie potrafi się uczyć?! Czy można zrobić coś takiego, żeby przestano mówić: „Oto szakał, syn lwa!” Czy można przenieść wodę w dłoniach, choćby i przy tym rozlać niewielką, mało znaczącą cząstkę? Czy można tylko siedzieć w milczeniu i czekać na boski cud?

- I co wymyślił? Znalazł sposób?

Fira nagle usiadła. Jej wąskie brwi zesze się u nasady nosa, wyginając przy tym w dwa łuki. Delikatne usta stwardniały nagle i drgnęły:

- A jak sądzisz, moja miła?

W takich chwilach wolałabyś, żeby Fira jak dawniej stała za twoim ramieniem, a nie jak teraz, przed tobą, żartując w sposób, który wcale nie był żartobliwy.

- Milczysz? Abrasza-Werończyk, rabbi Abraham ben-Izrael, autor komentarzy do „Księgi Najcenniejszej” pytał mnie wtedy, głupiutkie, młodziutkie dziewczątko: „Milczysz? Fioczka, skarbeńku, czemu milczysz?”, a kiedyś dodał: „I *on* na razie jeszcze milczy. Myśli. Wybiera. I nieprzerwanie trwa noc, przed zawarciem pierwszej w świecie Ugody pomiędzy człowiekiem i człowiekiem”.

Uśmiechnęłaś się niepewnie:

- Znaczy, co? Nas wszystkich... nie ma? Tak, Firo?

- Jesteśmy. Nie bój się - jesteśmy. Ja, ty... my. Choć Abrasza w czwartki lubił rzucać kolejne pytanie: „Firoczka, ty rzeczywiście uważasz, że my naprawdę zdolni jesteśmy do istnienia?”

- Żartował?

- Nie. Zazdrościł.

- Komu?

- Mnie. Takiej, jaką byłam, zanim się stałam taką, jaką jestem. No co, będziemy się zbierały...

## NOTATKI NA MARGINESIE

*Witajcie, Ester Gedaliewna! Firoczka, nie odwracajcie się, spójrzcie nam w oczy! No, co też wy?! I wtedy nie wiedzieć czemu najpierw nie zobaczymy, a usłyszymy: ...głos.*

*Mateczyny, pełen szczęścia. „Boruch Ato Adoj-noj Eloj-gejnu Melach goojłom aszer kidtonu bemicwojsow weciwonu legadiik nejr szel szabas kojdet\*[\* - Błogosławionyś Ty B-ie, Wszchemocny nasz. Władco świata całego, któryś nas pobłogosławił swoimi przekazaniem i rozkazał nam zapalać świecę na cześć świętej soboty.(staroaramejk.)]!.. Ach, już zapaliły się ogieńki. Nikle, ledwo się tlą. Rozpędzają mroki wieczoru, machają maleńkimi listkami na cześć jutrzejszej świętej soboty.*

*Czemu mama płacze? Ze szczęścia?*

*Dlaczego nie ma was obok matki, szanowna Ester Gedaliewna?*

- A? Co?!

- Niechże się pani uspokoi, Elzo Wilhelmowna! Wszystko w porządku!

Paszeńka! Uspakaja; usiłuje zajrzeć ci w oczy. A Gandieri milczy; literalnie zwisasz mu z ramienia, a on milczy. Z pewnością przeniósł cię na rękach z kolaski do podjazdu budynku urzędu, po korytarzach, nie przejmując się spojrzeniami postronnych, jeżeli takowe były - i z pewnością odskakiwały te spojrzenia od Cyklopa jak żwir pryska spod kopyt rozpędzonego konia.

Nie pamiętasz.

Drogi, podjazdu, spojrzeń - nie pamiętasz.

Twarz kapłana zmiękła, jak twarz niedorozwiniętego umysłowo; nozdrza drgają, z kącika ust wlecze się niteczka śliny. A na policzkach - stwardniałe w żelazo mięśnie szczęk. Młody junkier patrzy na ojca Grigorija z niepozbanionym odrazy zdumieniem: nie takim był mnich, którego znał do tej pory, absolutnie nie takim! Głupi! - twarz każdego „strapczego”, który bez słów wnika w istotę sprawy traci rozumny wyraz.

Twarz to tylko pozór.

Fasada.

Gosza-Żywczyk nie wznosił się ponad Dziesiątkę, ale na przykład twarz jego chrzestnego, Iłariona Połtawskiego, przy pracy robiła się taka... powiadają, że mniej odpornych musieli wynosić.

Nogami do przodu.

- Panie pułkowniku! - niespodziewanie odzywa się kapłan; dziwnie jest słyszeć spokojny, rozważny głos wydobywający się z ust twarzy godnej teraz krety. - Proszę was, niech nas pan zostawi! I pan, junkrze - też. Trudno mi... w waszej obecności... Wybaczcie



panowie...

Błyszczące guziki oczu zwracają się ku kniaziowi.

- Zresztą... Nie, lepiej wyjdźcie. Tak będzie bardziej prawidłowo. Milcząc jak przedtem, Gandieri pomaga ci usiąść na krześle.

Czemu nie zrobił tego wcześniej? Czemu pozwalał ci zwisać z jego ramienia?

Na krześle - źle.

Przedtem łatwiej było oddychać.

Pewnie dlatego myśl... tak się wymyka, a ty się nie rzucasz w pogoń za uciekinierką. Siedzisz niczym zepsuta lalka; bez myśli.

A, do kata z nimi!

Za plecami trzaskają drzwi. Nie, zamykają się cicho, cichuteńko, to tylko tobie się zdaje, że słyszysz trzask. Z palców rąk i nóg, z kolan i łokci wyrastają ci lśniące nici, drgają... nie, ktoś nimi targa... zaraz siłą cię zmuszą, żebyś wstała i poszła.

Dokąd?

Kto cię zmusi?!

- Gosza...ja...rozumiesz, Gosza!

- Nic nie mów. Widzę.

Widzi. Oczywiście, że widzi naruszenie Prawa. Pyta, bezgłośnie i bezdźwięcznie; otrzymuje odpowiedź, też bezgłośnie i bezdźwięczną... odpowiadają najczystsza prawdę, jak na spowiedzi, ponieważ nie sposób łączyć „strapczemu”, choćby trzykrotnie był sobie Duchem Prawa, o którym głupie bajki opowiadali Abraszowie z Werony! Jesteśmy, jacy jesteśmy! Nie jesteśmy widmami twoich nocnych rozmyślań przed zawarciem pierwszej Ugody! Żądamy! Cierpimy...

Twarz.

Zwykła twarz, łagodne rysy, rozumne oczy. Żadnych oznak niedorozwoju umysłowego; tyle, że teraz najbliższy nawet znajomy nie mógłby uwierzyć, że ten mnich jest od ciebie młodszy o osiem lat. O całych osiem lat, podczas których diabeł jeden wie, co... wybaczenie, świątobliwy ojczel!.. Bóg tylko wie, co mogło się zdarzyć, co się zdarzyło i lepiej, żeby się w ogóle nie zdarzyło...

Ojciec Grigorij nachyla się ku tobie:

- Pomyliłaś się, Kniadini. Wszystko się dzieje zgodnie z Prawem.

Kłamie! „Strapczy” nie może kłamać, ale on kłamie!

- Jak to?! Wedle Prawa? Więc dlaczego? Ja? A oni!...

- Ponieważ jest was wielu. Chrzestnych jest wielu. To Bruderszaft, Kniahini; i wasze imię - legion. Wielu was, a ty i Druc jesteście ostatni. Poczekaj, zaraz wszystko...

Waląc się w głąb samej siebie już wiedziałś: miał rację. Rzeczywiście - wszystko. Wszystko zgodne z Prawem.

## **XII. DRUC-KONIARZ ALBO SUROWE PRAWO, ALE PRAWO**

*Kto odwraca swe ucho od słuchania prawa –  
Nawet jego modlitwa jest obrzydliwością.*

*Przypowieści Salomona*

Bursztynowa żółć rozwijającej się karty.

Jesienny liść z żyłkami migotliwych znaków.

Pięknie i dziko, ale przede wszystkim niesamowicie pięknie - jakby sama Jesień wysiliła się na ostatni w życiu liść. Weszła weń i stała się nim. Mógłbyś pomyśleć, że to niemożliwe, że ściśnięcie tego piękna w pięści jest niemożliwe i nie można go przeczej zgnieść; spalić i unicestwić! Patrzyłyś tylko, wiecznie czekając, na nie wiadomo co, i zamarłyś niczym kamienny posąg przed starym ołtarzem.

Ale - nie wolno.

Teraz czekają na *ciebie*.

Nie pozwól Prawu czekać.

- Weź - słowo rodzi się samo, głośnym szeptem huczy w skroniach i wiesz: Tamara słyszy twój szept tak, jakby brzmiał w jej własnej głowie.

W uszach drga ci wysoki, kryształowo czysty dźwięk. Przenikają was setki komarzych igieł; natychmiast też odzywa się i' odpowiada, pospiesznie wibrując na granicy słyszalności, niemal niewidoczna kopuła nieboskłonu. Jantar jesiennego liścia, migotanie znaków napiera i wypełnia sobą cały horyzont.

Tamara robi krok naprzód.

Widzisz ją teraz z boku - i piękno nagości dziewiczego ciała na ułamek sekundy zaćmiewa piękno jesiennego liścia.

„Nadzy przychodzimy na ten świat...”

*Na bań rostoskiri, barwałe rodoskiri\*[\* - Niewysoka, ale z bogatego rodu (rom.).]*

Księżniczka idzie, jakby we śnie: sprężysta płynność ruchów, czarująca wewnętrznym rytmem. Wygina rękę niczym łabędzią szyję i bierze zwój. Rozumienie przychodzi samo, z tej bezgranicznej i znajdującej się poza wszelkimi granicami otchłani, w której króluje Duch Prawa - i dziewczyna zaczyna zgniatać zwój w małej piątce... mocniej, jeszcze mocniej... ot, już tylko sam brzeżek wystaje spomiędzy smukłych palców księżniczki.

Wystarczy.

W oczach księżniczki Gandieri widać jakąś straszną, nieludzką stanowczość; i jednocześnie naiwną radość dziecka czekającego na cud.

Pora.

Twoja dłoń nakrywa rączkę Tamary, mocno się zaciskając na drobnej piątce - ukryć, osłonić, obronić! Odwieczny poryw starszego, choć z góry wiadomo, że to bezpłodne i jałowe. Przed ogniem Ugody nie obronisz i nie osłonisz. Księżniczka wybrała sama. Raszka lubiła powtarzać: „Baby są bardziej wytrzymałe”. Gdybyż tak było! Gdzieś ty, Duchu Prawa?! Czekamy.

No, dalej...

I jakby w odpowiedzi wybucha przed wami płomień: ochra i zieleń. W twarz tchnie niebывалым żarem - piekielne ognie, diabelskie kotły. Taki już wam wypadł los: na okamgnienie doświadczyć piekielnych mąk jeszcze w tym życiu.

Na ustach dziewczyny pojawia się pogardliwy uśmiech: „Ogień? Tylko tyle? A ja myślałam...” Sama nie wie, co myślała, ale to nieważne - księżniczka zdecydowanym ruchem wsuwa swoją piątkę w płomienie, pociągając i twoje łapsko.

Mgnienia płyną, pełzną jedno za drugim, żar płomieni przenika pod skórę, parzy ją, ogarnia ręce, pokrywając je piekącymi pocałunkami; i uśmiech drętwieje na ustach Tamary. Oczywiście, nie mogłaś nawet przewidzieć, dziewczyno moja, *jak bardzo* będzie bolało...

Cierp, proszę cię, pocierp jeszcze trochę.

Słoniowa kość pokryta cieniutką warstwą popiołu; taką się staje twarz księżniczki Tamary. Uśmiech zastyga na jej ustach, skóra napina się na skroniach - rzekłbyś, że pięknie lada moment, w szczelinach pomiędzy powiekami tańczy czarny ogień, brat rodzony tego, który pochłania teraz wasze dłonie. Nie patrz w te oczy, Drucu-Koniarzu - poparzysz się!

Za późno!

Już spojrzaleś.

Z nieba spogląda twarz. Kobieca. Nie, nie twarz - oblicze. Ludzie takich twarzy nie mają. Chyba, że święci albo aniołowie. Otoczona mglistą aureolą, a mimo to świeci wewnętrznym blaskiem.

A w ciemnych oczach (święci nie miewają takich oczu!) - strach.

Kobieta coś mówi. Język obcy i znajomy jednocześnie. Tak bywa. Słowa szemrzą, płyną, spadają niczym dźwięczne krople, obmywają chłodem rozpalone policzki - i razem z tym chłodem przychodzi ulga.

- ...Nareszcie, Tamoczka! Ocknęłaś się! Teraz już wszystko będzie dobrze!

- ...Prawda, m-mamo?

- Oczywiście, córeczko. Czy kiedykolwiek ci skłamałam?

- Nie, mammo... A w-wiesz... widziałam anioła. Był... podobny do ciebie. Obiecał zabrać mnie... do nieba. I ciebie. M-my też b-będziemy aniołami!

- Kiedyś, w przyszłości, córeczko! - twarz kobiety chmurzy się i na ułamek sekundy zasnuwa się cieniem, który zaraz znika, jakby go nie było. - Kiedyś wspólnie z tobą zostaniemy aniołami. Ale nie teraz. Nie będziemy się spieszyć, dobrze? Bo papa będzie za nami bardzo tęsknił.

- A my... my jego t-też ze sobą weźmiemy!

- Oczywiście, weźmiemy! Gdzież ty się bez papy podziejesz, moja piękna?!

Obok kobiecej twarzy pojawia się męska: zabawnie sterczy z niej szczotka ryżych wąsów. Twarz papy jest smagła, ludzka; zupełnie niepodobną do maminej; do anioła też nie jest podobny! A jak z powodu tatki do nieba ich nie wezmą?

Bzdury! Tatko jest dobry! Obowiązkowo wezmą go pomiędzy anioły! Miecz dadzą, tylko nie taki, jaki ma na guzikach, ognisty, jak u archanioła Gabriela! Mama czytała mi książkę o tym mieczu. I papa będzie bronił mnie i mamę, i wszystkich dobrych ludzi - jak teraz, tylko jeszcze lepiej!

Tatko się uśmiecha. Mruga, wyciąga do mnie rękę, ja sięgam ku niemu i nagle widzę - on też się boi, jak mama.

Tatko się boi? On nie może się bać, na całym świecie nie ma nikogo bardziej odważnego!

Z tego strachu tatki i mnie robi się strasznie.

Płaczę. I przez te łzy niczego już nie widzę, przed oczami mgła, szara mgła, ciemność...  
...ciemność. Niezupełnie - w okno zagląda księżyc. Jego srebrzysty blask przesącza się przez kołyszące się za oknem gałęzie drzew - i na przeciwległej ścianie zaczynają tańczyć

księżycowe ludziki. Przychodzą do mnie co noc. Zwykle są śmieszni i weseli. Bawią się ze mną. Ale czasami bywają groźni i straszni - wtedy, kiedy wiatr zaczyna wyć niczym wilcze stado; pospiesznie wtedy naciągam koc na głowę i one nie mogą mnie dosięgnąć.

Śmieję się z nich pod tym kocem.

Prawda, mama mówi, że jestem już dużą dziewczynką, wstyd się bać jakichś księżycowych ludzików, których w ogóle nie ma! Ale ja wiem, że są. Po prostu nie zaglądamy do komnat mamy i dlatego ona myśli, że ich nie ma.

Dziś wiatr nie wyje jak wilk, tylko cicho szepce. Ale księżycowi ludzie mimo wszystko są straszni: wyciągają ku mnie zimne księżycowe dłonie, chcą mnie złapać, porwać! Ale skoro mama powiedziała, że nie trzeba się ich bać - nie będę! Będę jak papa, on jest bardzo dzielny!

Leżę i słyszę szepc:

- ...Kolejny atak. Lekarz mówi, że to dziedziczne. U tych odpornych na działanie eteryczne często się rodzą... trudne dzieci - szepcze wiatr głosem mamy.

Ciekawe, o kim mowa.

- ...nie trzeba, Nino. Wiem. Wiedziałem o tym od samego początku... - głos jakby podobny do głosu tatki.

Co wiedział? Ja też chcę wiedzieć.

- Tak, Szałwo, mówiłeś. Ja zresztą wiedziałam, na co się decyduję. I niczego nie żałuję. Ale mimo wszystko... miałam nadzieję... modliłam się... ale pewnie Bógmnienie usłyszał!

Jakże Bóg mógł nie usłyszeć mamy? Przecież razem z nią kiedyś zostaniemy aniołami! Stary, głuchy Boże, czemu jej nie usłyszałeś?!

Cicho uderzam się po wargach.

Boli.

- Nie wiń się, Nino. Nikt niczemu nie jest winien. Taki już los... Co jeszcze powiedział doktor?

Wiatr pochlipuje cichutko. Czyżby mama płakała? Kto ją śmiał skrzywdzić?!!

„Ty-y-y...” - drwi wiatr.

- Powiedział, że ataki się nasilają. I że on jest wobec tego bezsilny. Jest tylko jedna nadzieja, być może, po ukończeniu osiemnastu lat Tamarze się poprawi. Powiedział: czasami tak się zdarza, trzeba mieć nadzieję...

To o mnie! To o mnie przez cały czas szeptało to wietrzysko głosami mamy i papy! To ja jestem tym trudnym dzieckiem”!

A te „ataki” są wtedy, gdy w głowie robi się zimno, wdiera się do niej styczniowy wichur, wzywając mrok, wyje stadem wilków... a potem już niczego nie pamiętam. Potem mama zawsze płacze, papa się chmurzy, a kiedy widzi, że na niego patrzę, zaczyna się uśmiechać tak, że płakać mi się chce od tego uśmiechu! Rozumiem przecież; to *dla mnie* on się tak uśmiecha.

Nie chcę być „trudnym dzieckiem”! Nie chcę „ataków”! Nie chcę widzieć tych obrzydliwych księżycowych ludzików! Zrozumiałam, że to oni są wszystkiemu winni! To te ich zimne łapy wdzierają się do mojej głowy, a po nich wpada wichur...

Jak teraz!

Precz! Precz ode mnie! Nie chcę już się z wami bawić! Nie trzeba! Nie trze...

Lodowate, wilcze wicie wiatru.

Mrok naucza się srebrem i zmienia w zwierciadło.

...zwierciadło. Ogromne, większe ode mnie, w pociemniałej od wieku dębowej ramie z zawijasami. Pamiętam te zwierciadło prawie od dnia narodzin. Kiedy byłam mała, lubiłam się w nim przeglądać - miny stroiłam, rogi mu pokazywałam, a teraz proszę...

Teraz patrzę na dziewczynę w lustrze i nie mogę uwierzyć, że to ja. Naprawdę ja?! Przecież jeszcze wczoraj byłam maleńka! Lalki swoje pamiętam - wielkie, różowe, oczami mrugają; miały swój domek, nawet nie domek, a cały lalkowy zamek!

Dziwne: lalki pamiętam, ich zameczek też, a jak dorosłam - nie pamiętam! Przed snem lalkom wyprawiłam wesele, obudziłam się i patrzcie państwo! Okazuje się, że jestem dorosła!

Mnie samej niedługo pora będzie za mąż pójść!

Może to mnie do wesela szykują? Kto będzie panem młodym? Dlaczego go nie pamiętam? Nie może tak być: wesele, a ja nie pamiętam za kogo wychodzę! I suknię mam na sobie ciemną... Nie, czerwoną, podoba mi się nawet, ale czemu - ciemną? Przecież do ślubu wkładają dziewczętom suknię białą, bielusięnką! I kapelusik mam czarny, z woalką - po co mi on? Nie chcę takiego kapelusza na ślub! Chcę pana młodego! Kryształowe pantofelki! Niech będzie święto!

A oto i cioteczka Choreszan.

- Cioteczko Chor-reszan... mam dziś wesele? Tak? A kto jest panem młodym? Cioteczko Chor-reszan, cz-czemu płaczesz? P-przecież ty nigdy wcześniej n-nie płakałaś!

- Córeczko, to nie wesele. Spotkało cię nieszczęście; wszystkich spotkało. Umarła twoja mama, świeć Panie nad jej duszą. Dziś pogrzeb...

Mama?! Umarła? Nie wierzę. Cioteczko Choreszan z pewnością coś się poplątało. To ze starości. Po prostu zapomnieli jej powiedzieć: kiedy przyjdzie pora, mama zostanie aniołem - a

ja razem z nią.. Wezmą nas do nieba i będziemy tam czekać na papę. Ale ja przecież jestem tutaj! Znaczy, i mama nie mogła zostać aniołem! Ona by mnie za nic nie zostawiła! A żeby tak po prostu umarła...

Kręcę głową.

Nie, nie, nie...

- Chodźmy, Tamaro. Pożegnaj się z mamą.

> Dokąd ona mnie prowadzi? Zegnać się? Po co?! Nie chcę się zegnać! Nie wierzę!  
Mamie nic nie jest...

Trumna. Pośrodku komnaty. Ogromna, obita aksamitem, z ciężkimi frędzlami po rogach. Wokół stoją ludzie. Obcy, swoi. Tak bywa. Rozstępują się przede mną - nie mogę zobaczyć ich twarzy; wszystko pływa jak we mgle. Zresztą, wcale ich nie chcę widzieć!

Gdzie jesteś, mamó?!  
- Tamoczka, trzymaj się, jestem przy tobie...

Tatko. Dzięki, tato, ale nie teraz. Teraz chcę zobaczyć mamę. Mamó, ty się chowasz, tak?

Trumna się zbliża, rośnie, to już nie trumna - zwierciadło w dębowej ramie, z frędzlami, zwierciadło co runęło na wznak... Wiem, nie trzeba w nie zaglądać. Wiem - jeżeli popatrzę, stanie się coś strasznego, nieodwracalnego.

Nie wytrzymuję; patrzę.

Patrzę i patrzę, zaczynam się uśmiechać! Jacyż oni głupi, ci ludzie! Jakże zręcznie zostali oszukani! Nawet cioteczka Choreszan i papa! Czyż to mama?! Kłamstwo! To po prostu woskowa lalka, nawet nie bardzo do mamy podobna! Może zresztą ta lalka i umarła, ale wcale mi jej nie żal - przecież i przedtem była nieżywa!

A mama...

Podnoszę oczy w górę i widzę, przez sufit i dach; lazur, blask na niebie, unoszą się tam aniołowie, a pośród nich mama! Jest tam, uśmiecha się, macha do mnie ręką - a ja uśmiecham się w odpowiedzi. Mamę wzięto do nieba i jest teraz aniołem. Wszystko jest dobrze, nikt nie umarł! Po co ta żałoba, te ponure twarze, te skąpe łzy?!

Przecież wszystko jest dobrze!

Chce mi się śmiać. Więc wybucham śmiechem, chichoczę i zachłystuję się, nie mogąc powstrzymać wybuchu wesołości. Dokądś mnie odprowadzają od tej komnaty, od trumny i martwej kukły - a ja już nie chichoczę, tylko krzyczę:

- Mamo! Weź mnie ze sobą do nieba! Ja też chcę zostać aniołem! Mamo!!! Zabierz mnie do siebie! Ja chcę Go zobaczyć!

...Jego.

Dziś Go zobaczyłam.

Ma długie kędziory, niby dziewczyna, ale mnie się podobają. Mówią mi, że jest rudy, a ja się śmieję: jaki tam z Niego rudzielec, skoro ma złote włosy?! On ma dobrą twarz i wielkie, mocne ręce. Wyobraziłam sobie, że On mnie obejmuje tymi rękoma i aż mi się gorąco zrobiło!

Stałam przy oknie i patrzyłam na Niego. Przycinał krzaki w naszym parku, a ja stałam i patrzyłam.

Zachwycalam się.

Cioteczka Choreszan powiedziała: On jest tylko ogrodnikiem i księżniczce Gandieri nie przystoi gapić się na prostaka z gminu. Kocham cioteczkę Choreszan, ostatnio jednak całkiem zgłupiała i wciąż mówi jakieś bzdury.

Dawniej jej słuchałam, a teraz nie chcę!. Tak, On wygląda jak ogrodnik, pracuje w naszym ogrodzie - ale ja wiem, że On tylko udaje! Oczywiście, szukają Go wrogowie. Chcą Go zabić i musi się ukrywać pod maską ogrodnika. Ale u nas nic Mu nie grozi. A jeżeli ktoś ośmieli się Go skrzywdzić, powiem papie, papa wezwie swoich żandarmów i złego człowieka powleką do obozu!

Stoję przy oknie. Myślę o tym wszystkim. Patrzę na Niego i uśmiecham się do swoich myśli. Dobrze mi - wiem przecież, że mogę Mu się przydać, w razie potrzeby mogę przyjść Mu z pomocą...

Ściemnia się. Od cyprysów przez całą łąkę ciągną się długie cienie, przecinając ją czarnymi pasami. On jeszcze tam jest, w dole, widzę Jego sylwetkę, ale wołają mnie na kolację. Tak, zaraz pójdę... jeszcze tylko chwileczkę postoję przy oknie.

Dziś Go dotknęłam! Zdarzyło się to... nie, nie tak. Powiem prościej: zdarzyło się! Całą przeniknął mnie radosny dreszcz i na moment przywidziało mi się... coś wstydlivego. Ale mnie wcale nie było wstyd! Odwrócił się, zobaczył mnie - i na chwilę znieruchomiał. On... On też mnie kocha! Wiem! Chciałam Mu o tym powiedzieć, ale chwycono mnie za ręce i spróbowano odprowadzić gdzieś w bok! To ta nieznośna cioteczka Choreszan! I jeszcze powiedziała Mu tak... tak... powiedziała, żeby odszedł! Żeby się tu więcej nie pokazywał! Żeby się nie powazył, nigdy!

Cioteczko Choreszan! Jesteś głupia i wcale nie żałuję tego, że ci dałam w twarz!



Potem... niezbyt dobrze pamiętam, co było potem. Nadbiegli jacyś ludzie, zaczęli mnie przytrzymywać, targać, szarpać - a ja im krzyczałam, że wcale nie trzeba mnie uspokajać! Dajcie mi tylko z Nim być! Wszystko będzie dobrze! Wszystko będzie...

Skądś nadpływa mgła, otula mnie i do szpiku kości przenika zimną, śliską wilgocią. Chłód. Otaczająca mnie mgła gęstnieje, obrzydliwa, szalona mgła...

...szalona. Jestem szalona. Teraz to wiem. Przedtem, w dzieciństwie, zdarzały mi się ataki, a pomiędzy jednym i drugim byłam po prostu „trudnym” dzieckiem. Teraz całe moje życie to jeden przeciągający się atak, czarny koszmar szaleństwa. I tylko czasami zdarzają się momenty przejaśnienia.

Jak teraz.

Jak teraz?

Skoro pojmuję, co się ze mną dzieje, przynajmniej jestem przy zdrowych zmysłach.

Nie na długo. Wkrótce znów ogarnie mnie górska lawina mroku - zapomnę, kim jestem, dopóki ponownie się nie ocknę... gdzie? Kiedy? Na jak długo?!

Mówią, że Bóg nie przebacza samobójcom. Szczerze wierzę, że dla mnie zrobi wyjątek, choć bardzo boję się umierania. Szczególnie teraz, kiedy ja - to ja. Ale żyć *tak* - jeszcze gorzej; a skończyć ze sobą kiedy indziej po prostu nie dam rady. Moje szaleństwo czepia się życia znacznie bardziej uparcie i mocno niż ja sama.

Od dawna już mam na oku ten nóż. Wybacz mi, tato, wybaczcie, mamó i cioteczko Choreszan - ja...

Papo, proszę! Nie trzeba! Puść mnie! Oddaj mi ten nóż! Zabij mnie! Nie chcę! Nie chcę tak! Nie chcę!!!

- Wstań, Tamoczka! Już po wszystkim, wstań...

- Fiedia! F-Fied'ka! W-wstawaj! No wstawaj...ż-że! Oni już poszli. Poszli wszyscy! Fied'ka! Wstawaj... p-proszę...

Nie wstaje. Leży, nie rusza się i nie słyszy - jak mama w tamtej trumnie. Tylko wiatr mu kędziory rozwiewa.

Nie! Boże, nie! Tylko nie jego! On przecież wciąż żyje, można go jeszcze uratować, wiem!

- Jedźcie po doktora! Ja tu... przy nim! Jefremie Iwanowiczu! Ja tu zostanę! Wy jedźcie!

Nie pomoże doktor, nie zdąży Jefrem Iwanowicz - ale jest inny sposób. Ja wiem. Sercem czuję - jest!

- Jefremie Iwanowiczu! Jesteście Romem! A wszyscy Romowie to... czarownicy!...  
Choć trochę... Skor-ro doktor n-nie zdąży... czarujcie! Ja., ja się za w-as...

Czarna pustka, przepaść. Zbliża się. Nie, tylko nie teraz! Ja muszę...

Przepaść cofa się opornie i z niechęcią.

- Cz-czemu zwlekacie, Jefremie Iwanowiczu?! Cz-czego wam trzeba?! Mówcie! Mojej duszy?! Życia?! Oddam! T-tylko go... ur-ratujcie!

Słowo zostało powiedziane.

A wedle Prawa - trzeba odpowiedzieć.

Ból wyszarpnął cię z cudzego koszmaru, przez ironię losu nazywanego życiem. Z nieogarnionej przeszłości, w której strachy księżniczki stały się twoimi strachami, jej myśli stały się twoimi myślami, i wspólnie z dziewczyną coraz głębiej pogrążyłeś się w przepaści, z której nie ma powrotu. Także chciałeś do nieba, gdzie mama, chciałeś się zmienić w anioła, oderwać od grzesznej ziemi i wzbić w światło, odrzuciwszy cielesne okowy, chciałeś ulecieć - a nie dawali.

Otrzeźwił cię ból.

Wróciłeś nagle, szarpnąłeś się i siłą wyrwałeś z lepkich objęć szaleństwa. Zdążyłeś tylko pomyśleć: ileż to razy było tak z *niqV*.

- i na chwilę ogarnęła cię zgroza. Nie miałeś jednak czasu ani sił na strach. Nie mogłeś sobie pozwolić na taki luksus.

Czekaj, Druc... Czasu?!

Wiedziałeś, że czas płynie tu inaczej, a nawet samo pojęcie czasu traci tu zwykłe znaczenie. Choć doświadczenie ci podpowiadało: ogień już dawno powinien był zgasnąć, spopieliwszy zwój Ugody, stopiwszy cię w jedność z Tamarą. Płomień jednak gorzał, gorzały dłonie, ból narastał, robił się nieznośny, nie do wytrzymania, choć wciąż ci się wydawało, że już większy być nie może.

Co się dzieje?!

Oto, nieposkromiony Romie, odezwał się w tobie kęs-precelski Bruderszaft! Myślałeś, że oszukasz los, że się sianem wykręcisz? A kizkę z grochem, masz za swoje, morę! Prawo jest surowe, ale to Prawo i nie da się go oszukać...

- ...cierp, Tamaro, jeszcze odrobinę! Dopóki ogień nie zgaśnie, trzeba cierpieć - sam nawet się nie spostrzegłeś, jak zacząłeś szeptać. Niby uspokajasz księżniczkę, a w rzeczywistości - sobie ducha dodajesz.

Tamara milczy. Wargi zacisnęła w niteczkę i milczy.

Cierpi.

„Boże! Ja to rozumiem! Ale za cóż jej taka męka?!!”

I w tej chwili przyszła odpowiedź na twoje nieme błaganie! I to taka odpowiedź, że od razu zrozumiałeś: nie Bóg ci odpowiedział! A kto - sam się domyśl, baro! Do trzech razy sztuka.

Pęki szafirowy nieboskłon, rozszczepił się i rozwarł w szkarłatną szczelinę; buzuje w niej piekielny ogień, ale nie żarem - ciągnie stamtąd stycziowym mrozem; coraz mocniej, coraz bardziej natarczywie wyje wilcze stado, wiatr z nóg zbija, wrywa włosy z korzeniami i przenika na wskroś lodowymi igłami.

A ręka płonie w ogniu.

Zmusiłeś się i oderwałeś wzrok od tej przepaści.

Odwróciłeś się ku Tamarze - jak ci tam, księżniczko? - i oniemiałeś.

Księżniczka stoi jakby nigdy nic, w jej czarnych oczach płomień się odbija. Jakby nie istniała dla niej ta piekielna szczelina przepaści, jakby nie wiał jej w twarz ten lodowaty wichur i jakby nie słyszała wycia wilczej, idącej tropem zgrai. I rzeczywiście ani jeden włos na jej głowie od tego wichru się nie porusza! A i płomień jakoś równo płonie...

Ejże, Druc! - zapomniałeś się, osłabiłeś chwyt i wszystko na nic! Nie utrzymały palce dłoni księżniczki, ześlizgnęły się i diabelski wichur porwał cię i powłókł ku purpurowej rozpadlinie. Czego się chwycić? Swojej głupoty?!

- Trzymaj się, księżniczko! Trzymaaaaaj się...

Przed oczami mignęła ci wizja; ty i księżniczka, ująwszy się za ręce stoicie na pagórku porośniętym zetląłą trawą, nad ciałem Fiodora, i szepczecie słowa - obce i znajome, jak to czasem bywa. Wokół was drżą w powietrzu podmuchy wiatru, powietrze opływa was zimną zorzą, przesywają je niebieskie iskierki - a od skraju niezbyt odległego lasu, co chwila się żegnając, patrzy na was wioskowy sołtys. Starczyło staruchowi śmiałości, żeby nie uciec ze wszystkimi; został skurwysyn! Oj, nic dobrego z tego nie będzie...

Wizja mignęła i znikła.

Było? Nie było? Bóg jeden wie...

Ostatnie, co zobaczyłeś, to oczy Tamary. Nie ma już w nich płomienia, palącej stanowczości, cichego szaleństwa. Zdumienie i strach. Nie groza czy bezgraniczne przerażenie - zwyczajny ludzki strach. „Jefremie Iwanowiczu? Dokąd? Co teraz pocznę?”

Księżniczka stała naga i nie wstydziła się swej nagości, patrzyła za tobą. A jej dłoń ze ściśniętą w niej Ugodą nadal gorzała w ogniu.

Dziewczyna cierpiała.

A ty zrozumiałeś: ona wszystko wytrzyma.

Raszka miała rację. Baby są bardziej żywotne.

Dopiero gdy trafiłeś tam, gdzie cię niosło, przekląłeś siebie za nadmierny pośpiech. Co, kudłaczu, przed gospodarzem do piekła wepchnąć się chciałeś? Nie mogłeś to poczekać? Nie dowiodłeś do Prawa jednego chrześniaka, a drugiego ci się zachciało? Czekaj teraz na swoją kolej - i Tamara niech czeka.

Na swoją.

Witaj, Rachel.

Witaj, pole Prawa, niezwykle ludne i zmienione z tego powodu niemal nie do poznania.

Witajcie wszyscy, którzy przyszlście z niebytu; którzy zgodnie z Prawem staliście za plecami swoich uczniów - chrzestni za chrześniakami.

Nasi poprzednicy. Magowie czasów minionych.

Ci, którzy uczyliście mnie i Kniahinię, nauczyciele waszych nauczycieli, i dalsi, dalsi, jeszcze dalsi... wszyscy, którzy przez nas przyłożyliście swoją dłoń ku tym dwojgu na Polu Prób. Wszyscy, którzy wycisnęliście na nich swoje piętno. Damy, Króle...

Blżej od innych, plecami do ciebie stał Jefrem Perłowy, Winny Król, który mógłby zostać Asem - ale nie chciał.

Twój chrzestny.

Umarł przed ponad dziesięciu laty - ale teraz nie miało to żadnego znaczenia. Tu znów był żywy; w tobie, we wścieklej rodzinie, która rwała się teraz przez zapory i przegrody, które na jej drodze ustawił Duch Prawa.

Zawołać go?

Pokusa była niemal nieodparta, ale ty wiedziałeś, że nie można. Nie po to tu jesteś, i Jefrem nie po to tu się zjawiał.

## **NOTATKI NA MARGINESIE**

*W oczach Jefrema Perłowego, Ojca Koni zawsze, dopóki nie zamknęły się na wieki, było jedno: ... aj, nóż!*

*Z niebieskiej stali. Wzdłuż klingi konie dęba stoją. Widać, że zamarły w galopie i znieruchomiały na wieki. Przez ostrze przeziera czyjeś odbicie: ja? Nie ja?! I miga to „ja-nie-ja” daleko od rękocyści.*

*Łuk noża razi w oczy słonecznym odblaskiem.*

Przeniosłeś spojrzenie dalej. Żyłasty i przysadzisty Rom z kędzierzawą brodą zakrywającą mu całą pierś; Dama w staromodnej wyszukanej sukni - dumnie wyprostowane plecy, wysoko upięte włosy przytrzymywane przez osiem szpilek z brylantowymi główkami; za Damą - wysoki szlachcic w kamizelce z koronkami i lekką szpadą przy boku; garbata starucha, nie wiedzieć czemu trzymająca nad głową kitajski parasol ze smokami; rośli młodzian w płóciennej koszuli do kolan i bez spodni; dalsi, dalsi, dalsi... iluż tu się zeszło tych naszych Poprzedników?!

Z głębin pamięci wypłynęło;

- Czekaj, Fiedia. Przejdzie. Przystaniemy was z Kniahinią po nocach męczyć... już niedługo.

A w odpowiedzi:

- Ech, Dufunia... Żeby to tylko ty i Kniahini!..

Oto w co przekształcił się Bruderszaft. Już nie dwie osoby w chrześniaków się wpychają - tych niegdysiejszych magów ze trzy dziesiątki się znajdzie. Dlatego z początku odcięło was od chrześniaków niby kamiennym murem; nie wasza kolej! Jesteście ostatni! Zanim się zjawią wszyscy, którzy rękę przyłożyli do tego dzieła...

Nie było się po co szarpać, Walecie, nie trzeba było księżniczki wiązać mażą poręką - wystarczyło odrobinę poczekać... Tyle tylko, że nigdy czekać nie umiałeś i nie lubiłeś, Drucu-Od-Koni! Nie wściekaj się, przyjacielu: stój, patrz, zagryzaj wargi do krwi... nie mam czasu ani na ciebie, ani na twoje wargi...

A na polu tymczasem działo się coś niebywałego. Sypały gromami i popiołem burzowe chmury, leciały z nich na głowy idących paskudy piekielne - ptaki? nietoperze? obrzydlistwa niesłychane i niewidziane? - o skórzastych skrzydłach i paszczach czy dziobach pełnych ostrych kłów.

Nie na żarty zbiesił się Duch Prawa, nawet nie wiedziałeś, że jest do czegoś takiego zdolny - ale i Fied'ka z Akulką też sroce spod ogona nie wypadli! Uderzają paskudy o niewidzialną tarczę przykrywającą męża i żonę, kwiczą przeraźliwie - i przedrzeć się nie mogą!

Ziemia drgnęła, zatrzeszczała; wionęło z rozpadliny piekielnym żarem i siarczanym dymem - a chrześniacy nawet nie zwolnili kroku. Skrzydła im na nogach powyrastały, czy co? - przelecieli nad dziesięciosążniową szczeliną jakby nigdy nic i dalej spokojnie idą do celu.

Zasnęło ziemię tumanem, mgła zgęstniała, przelewa się niczym fale, iskrzyć zaczyna...

patrzysz, a to wcale nie mgła, a morze pluszcze bezkresne, do samych nóg się podsuwa...

Fiodor i Akulina zatrzymali się tylko na moment. I oto przecina już fale trójkątna płetwa zębatego olbrzyma, a nad Akulką smok Gorynycz się wiję, i skrzydła rozłożywszy, broni młodą żonę przed nieszczęściem i złym losem.

Buchnęło morze ogniem, niby nafta - ale tym dwojgu wszystko to furda; smok frunął wyżej, ryba pod wodę się zapadła.

Cofnęły się fale, obnażając morskie dno, stawały im na drodze góry, sypały się z nich kamienne lawiny, martwiaki całymi cmentarzami z mogił wylażyły i chrześniakom drogę zastawiały - a oni szli i szli. A czy przyszło ci do głowy, mój ty Drucu, że wszystkie te strachy i potworności - są pyłem i prochem w porównaniu z życiem księżniczki Tamary? Nie jest koszmarem to, co dzieje się na zewnątrz, ale to, co tkwi w tobie! Uciekniesz przed tym? Ukryjesz się? Spalisz ogniem i błyskawicami?! No, chyba że razem z własną duszą i z sobą samym...

Bzdury?

Może i bzdury.

Kiedy wszystko się skończyło, nie od razu pojąłeś, że to już koniec. Miraże wojowały z mirażami, lały się z nieba wody potopu, jęczała ziemia zasnuta parą - i proszę: cisza, szybko rozwiewające się ostatki dymu, a oboje stoją przed Nim.

Przed Duchem Prawa.

Znajdą się w jego talii karty i kolory dla tych dwojga? A jak się nie znajdą - czy to nie wszystko jedno?!

Czemuż drżysz, Drucu-Od-Koni? Czekasz na pytanie, które swego czasu zadano tobie - młodemu, dumnemu i zapalczywemu chłopakowi?! Boisz się? Czego, baro? Tego, że chrześniacy odpowiedzą „Tak”?

Czy tego, że odpowiedzą „Nie”?

I czemu przed oczami stoją ci nie oni, chrześniacy twoi i Racheli, których los się teraz waży - a księżniczka Tamara, która wciąż jeszcze tam stoi, na przekór wszystkiemu trzymając w palącym płomieniu swoją maleńką piąstkę z zaciśniętym w niej zwojem Ugody?!

Sama jedna.

## **STAWKA POD KARTĄ**

*Nie przesuwaj dawnej granicy,*

*Którą ustalili twoi ojcowie.*

- ...co tam za sukinsyn się dobija, nie bacząc na to, że noc? Kogo tam diabli nadali, żeby mu morda czyrakami obrosła! Przystoi to porządnemu człekowi rozbijać się po nocy - łobuz to jakiś być musi, oberwaniec i hultaj, trzysta czartów mu w dupę!

- Ostapie, potrafisz ty kłać! Pięknie, jak Boga kocham, pięknie ci to wychodzi! Otwieraj! Kuma oberwańcem nazywasz?! Jam ci jest, Demid Gołopupienko, wasz uriadnik.

- Wybacz, kumie, że nie poznałem! Zaraz otworzę, kurza twarz... Katierina, babo durna! Dawaj gorzałkę, stawiaj zakąski - kum w gości, diabli nadali, przyjechał!

W chacie skrzypnęły drzwi i rozległo się pospieszne człapanie ku wrotom. Gdzieś na drugim końcu wsi leniwie naszczekiwały psy. Poruszył się w swej budzie Browko, brzęknął łańcuchem i poniuchał - ale nie zdecydował się na wyjście i podniesienie alarmu; poznał kuma gospodarza. Nie po raz pierwszy uriadnik zaglądał do wsi, swojak przecież, po co na darmo psie gardło nadrywać?

Zgrzytnął odsuwany rygiel.

- Cóż ty tak po ćmoku, a? Demidzie Fomiczu?

- Zanim się tu dostałem, po tych waszych wertepach, szlag by je trafił... Słuchy się rozeszły: dziwna u was historia wczoraj się przydarzyła. Postanowiłem zajrzeć.

- Co prawda, to prawda. Zachodź do chaty. Usiedziem, kolację zjemy, gorzałką duszę ucieszymy! A potem opowiem, com sam widział, własnymi gałami! Strachu się, kurza twarz, najadłem przy tym, że nie daj Boże!

Znowu kroki, od wrót ku chacie. Teraz jednak słyhać, że idzie dwóch ludzi - jeden człapie na bosaka, drugi skrzypi obcasami butów i pobrzękuje ostrogami. Skrzypnęły zamykające się drzwi. W okienku zapłonęło żółtawe światelko. Cisza. Nawet psy okoliczne się uciszyły - najwyraźniej miały już dość.

Śpi wieś Cyrkuny, chrapią chłopci snem ludzi sprawiedliwych, tylko w chacie sołtysa nie śpią ludzie.

Nie za późno na wieczorne gadki, kumowie?

Co wy na to?

- ...ot i mówię ja tobie: wzrok mi zamącili! Pomroczość, żeby ich matki zaraza wydusiła, na ludzi nastali! Aż zawyłem: Mykoło święty! Nie magusia, diabelskie nasienie, tylko Hryćka mojego depczą! A ten sam się nawinał - lubi się pchać, gdzie go nie posieją! Znasz przecież głuptaka...

- Oj, grzeszni my, grzeszni - westchnął cicho dorodny uriadnik. Z nadmiaru

sprzecznych, przepelniających go uczuć, nalał sobie jeszcze pół szklanki warionuchy\*\* - *Wódka z dodatkami, specjalnie pędzona i destylowana.*], bo kwarciana butla stała obok, i rozczmuchał ryże wąsiska. - Małe dzieci, mała bieda, duże dzieci - wielka bieda! Twój i mój - durnie i łobuzy! W kogo oni się wrodzili, bałwany jedne?!

Demid Fomicz jednym haustem wlał trunek w gardło. Odchrząknął, otarł łzę, którą wydusiła mu z oka moc napoju i z chrzęstem zagryzł świeżutką cebulką. Zapiwszy pierwszy smak odlamał kęs chleba i sięgnął po plaster słoniny:

- Dobra u ciebie warionucha, Ostapie! Niech mnie Bóg skarzę, jeśli łzę! Dobra... No, opowiadaj dalej!

- Ale popuścił pomrok...

Sołtys nalał i sobie. Nie wypił jednak, tylko sięgnął po stojącą obok misę z pierożkami, i wzięwszy jeden, umoczył go w śmietanie.

Ale i jego nie wsunął w gębę; zamyślił się.

- Kumie... Nasi ślepią poprzecierali, zeżlili się i dawaj duszę z malca wybijać, żeby prosto do rajy poleciała - a tu zasię! Kurza twarz! Najpierw pański stangret batem zaczął grozić, za stangretem ujął się panicz byczysko, w ramionach jak szafa trzydrzwiowa! Ondrejkwowi kowalowi od jednego zamachu nos za uszy wbił; i nagle sam - trach! - i się wykopyrtnął! Leży, a obok woźnicę cholera trzepie. Ale panienczka przeklina i od morderców nas wyzywa: bandyty, powiada, do obozu was... My jej: nie sierdźcie się, panienko, jakie z nas bandyty, myśmy waszego stangreta ani panicza palcem nawet nie tknęli - ale bogać tam! Nawet słuchać nie chce! A tu dziadek Pieriepielica zawodzi: chłopcy, przecie do kniaziowa córunia! Oj, źle nam będzie! Ja też miarkuję: nieszczęście jak nic! Książ jest zandarmerskim pułkownikiem! I to żeby kacap moskiewski był, ale on z tych kaukaskich czarnuchów... nie daruje!

Sołtys oczy zmrużył i szczęką poruszył - zwidziało mu się, że diabelski książ z kaukaskich gór osobiście idzie ukarać durnego sołtysa wsi Cwirkuny.

Zobaczysz coś takiego - w jednej chwili leb ci siwizną pokryje!

- ...ludziska w nogi za pas wzięli, żeby licha nie kusić. Ja też najpierw z nimi pobiegłem, ale bogać tam! Za stary już jestem na bieganie! Schowałem się w leszczynowym gaju; popatrzę, kurza twarz, co się dziać będzie...

- ...i co?

- Nie cmokaj, nie cmokaj, nie z koniem pijesz! - sołtys opróżnił swoją szklankę i mlaszcząc głośnie, zaczął pożerać pieróg, urna-zawszy usta śmietaną. Drobna, szcurza twarz



Ostapa Tarasycza poczerwieniała, pot wystąpił mu na czoło, gospodarz otarł się rękawem wyszywanej rubaszki i zerknął koso na mokry rękaw. - No popatrz, cały się spościłem. Z gorąca? Od wódki? Czy ot tego, że opowiadanie mnie zmęczyło? A przecież zmęczyło...

- Nie każ się prosić, kumie! Widzę, że bajki pleciesz! No, mów sobie dalej, na zdrowie...

- Bajki, powiadasz? - sołtys chytrze zmrużył oczka. - No dobra, Demidzie, to bajam dalej... Panienska nad tym bykiem rączki załamuje: Chwiedieńka, wstawaj mój złociutki - a on nie wstaje. A ten ichni stangret akurat się pozbierał i na czworakach ku wielmożnym państwu się dowlókl. Panienska do niego; uszu nastawiłem, ale daleko, diabła zje, kto usłyszy i zrozumie. Ale pod koniec usłyszałem; jak nie krzyknie panienska: czego wam trzeba, mówi! Mojej duszy?! Oddam, duszę, oddam, tylko uratujcie!

- Duszę?! - wybałuszzył oczy kum uriadnik, odruchowo nalewając sobie wódki. - Co, tak prosto z mostu powiedziała: duszę oddam chrześcijańską?!

- Prosto, krzywo... a co ty tak wciąż sbbie nalewasz, kumie? Nalej i mnie, jak już zacząłeś!

- A ty co, wszystkie pierożki sobie wzięłeś? I śmietanę? No, dobra, Ostapie, nie o tym mówmy. - Uriadnik obficie nalał gospodarskiej warionuchy w gospodarską szklanę; jakby demonstrował swoją szczodrość. - Ty mów, a ja będę słuchał!

- Ot co! Słuchaj! Ona stangretowi - duszę oddam, tylko uratuj... tego. A on jej - bacz, że później próżne będą zale! A ona, że się zdecydowała. No to wstaje stangret z klęczek, a ja zacznym się dziwić: na Roma mi ten ptaszek wygląda! Chyba też koniokrad z dziada pradiada; a oni wszyscy z mażego plemienia. I wiesz co, kumie? Jakbym zgadł, bierze on, kurza twarz, panienkę za białą rączkę - a tu powietrze wokół nich jak nie zacznie migać! Iskierki niebieskie! Wiatrem zadęło, nie wiadomo skąd... potem ucichło jak przed burzą, trawka nawet nie drgnie, a stangretowi i panience niewiadome wietrzysko włosy rozwiewa! I jakby ogień przy ich rękach rozgorzał! A na skraju drogi koniokrad leży nieruchomo! I czeka, kiedy się diabeł zjawi po jego duszę!

- Toś ty kumie zuch, rycerz! Odważny jak witeź! Jakbym coś takiego zobaczył albo bym ze strachu z nagana zaczął walić, albo bym zwiął, gdzie pieprz rośnie!

- Ja też uciekłem, Demidzie! I przedtem portki mi dygotały, a jak ten ogień piekielny zobaczyłem... Jako chłopak tak nie biegałem, jak wtedy! Tylko patrzeć, kurza twarz, jak czarty z piekła się pojawią i cap mnie za rękę! I do kotła! Potem kazałem moim cyrkuniakom tam podejść, popatrzeć - choć noc na dworze była. Ondrejka kowal się odważył, poszedł - pusto.

Nieboszczyk leży, śmierdzi, a więcej nikogo. Jakby mara była i się zbyła!

- Ale się porobiło! Świat na głowie staje!

- To samo mówię...

Łyknęli warionuchy. Ostapową promocję w szeregi rycerstwa trzeba oblać, to rzecz święta! Zamłaskali, schrupali; wasy śmietaną i masłem umazali. Potem sołtys znacząco mrugnął do gościa, na palcach, starając się nie robić hałasu, podkradł się ku drzwiom do drugiej izby i zerknął przez szparę.

Potem jeszcze ucho przyłożył, przez chwilę słuchał - i domknął drzwi.

- Chyba śpią - szepnął, wróciwszy na miejsce. - Posłuchaj, kumie, co ci powiem; na razie nikomu o tym nie mów. Ani przystawowi, ani komu innemu. Zgoda?

- Widzicie go: nie mów! - popadł uriadnik w rozterkę. - Ja muszę raport spisać...

Ostap Tarasycz zebrał zmarszczki w kącikach oczu i jakby się uśmiechnął.

- No to spisz! Czystą prawdę matuchnę: pojмали chłopci, kurza twarz, maga z chłopaczkiem chrześniakiem, ale władzom ich nie odstawili - tamci czarami ludziom oczy zamydłili i uciekli. Taki raport władzom oddaj. Przecież pojмали? Nie inaczej. Nie utrzymali? Nie. Rom zdechł, a chłopaczek uciekł. Wszystko to prawda. Niech teraz łapią wiatr w polu.

- Oj, mataczysz coś, Ostapie - zasepił się uriadnik; widać nie w smak Demidowi Golopupience był ten chytry plan. - Zacząłeś mówić, to wyłóż rzecz do końca!

- Nie krzycz tak, kumie, Katierinę moją obudzisz - po co nam zbędne uszy? Wszystko ci powiem po kolei, a ty słuchaj. Napiszesz raport i oddasz naczelnikowi cyrkułu. Ale napiszesz i drugi, w którym *moją* prawdę wyłożysz: jak stangret z tym paniczem buhajem za magami się ujęli, i o kniaziowej córce. Napiszesz i skryjesz do czasu. Ja przecież, Demidzie, coś niecoś jeszcze zdążyłem zobaczyć...

- Ileż to pisaniny! - westchnął ponuro Demid, zatrząsłszy brzuchem. - Przeklęta to sprawa, nie lubię... Ale mów, mów dalej, coś jeszcze widział! Czarta z rogami?

- Sameś czart, Panie przebac... Co innego widziałem: maguś ten, co go chłopci pod obcasy wzięli, wcale nie jest Romem. Z sąsiedniej wsi chłopaczek, z Krywłańców. Pomocnik pastucha. Popytałem trochę ludzi. Owszem, widziano chłopaczka kilka razy z jakimś Romem - niechybnie z tym koniokradaem. Kilka razy i to wszystko! Kumasze?

- Nie... a co mam kumać?

- Ej, Demidzie, wielki ty masz rozum! Przecież jeżeli chłopaczek był u maga uczniem - musowo Rom go czarodziejskiego fachu uczył! Tak jak ojczulek pisma uczy, czy cieśla albo

młynarz swego czeladnika. Nie tak?

- Niby tak... ale tego pół życia uczyć się trzeba! Inaczej to tałatajstwo mnożyłoby się jak psy nietrzebione!

- Otóż to! A oni rzadko się widywali! Powiedzmy, że i chyłkiem się spotykali. Wszystko jedno, nie mógł Rom chłopaka za wiele nauczyć. Chłopak był na widoku: Dastuchy, ziomkowie, tat-” ko z mamą - zauważyliby, gdyby na długo przepadał. Rom zresztą też miał gębę znaczną, kurza twarz, szybko by go zauważono. Wychodzi na to, że nie uczył go, jak ucziwi ludzie uczą.

- Uczył, nie uczył! Uczepiłeś się, jak sroka! Może go i nie douczył..

- Nie douczył? A ty widziałeś, co ten smarkacz z końmi wyrabiał? Romskie wywołanki znał! Masz rację, w krótkim czasie takiego guzik nauczysz! Zresztą różnie o tym smarku ostatnio mówić zaczęto; a przecież łobuz był i drań; gorszy od mojego Hryćka, czy od twojego Triszki; uwierz mi, że ludzie bez powodu języków sobie nie strzępią!

- W rzeczy samej, nie? - z powątpiewaniem wtrącił uriadnik.

- Ci, co ich pytałem - nie! - uciał sołtys. - Wszystko się zgadza, niby niczego mag chłopca nie uczył! A przecież wyuczył! Wychodzi na to, że jest czarodziejski sposób! Wiedza, jak przekazywać jeden drugiemu, nawet się nie widząc! Kumasz?

- Nie gorzej niż inni. Dlatego są czarownikami! Wszystko nie po ludzku! Chociaż... niekumaty, mówisz, chłopak był? Jak Triszka z Hryćkiem? Ech, żebyż to naszym ciołkom takim czarodziejskim sposobem trochę rozumu w czerepy włożyć się dało! Komu gospodarstwo zostawić? Jeżeli z każdego bałwana człowieka zrobić można! Pisania i czytania nauczyć! Rachunków! Handlu! Prawa! Ot, wielka rzecz! Triszka dureń, bąki zbija - a w głowie mu rozumu przybywa, chcesz czy nie!

- A ja o czym mówię? - szepnął rozgorączkowany sołtys.

- Teraz przecież jednego maga znamy na pewno: kniaziewego woźnicę! Dlatego poczekaj z pełnym raportem! Odszukamy tego woźnicę! Przyprzemy go do muru! Wiemy o tobie wszystko, jak nie chcesz na katorgę - dalej, czaruj tak, żeby synkowie od ojców pomysłuńek przejmowali! A zaczniesz podskakiwać i kręcić - do samego kniazia pójdziemy! Widzieliśmy, jak waszą córunię Rom stangret na mażą naukę brał! Sami wiecie, miłościwy panie, co teraz z magusiami wyrabiają. My nikomu nie powiemy, uratujemy waszą córunię, ale wy też swojemu stangretowi polecenie wydajcie...

- Do kniazia? Strach pomyśleć! - uriadnik zatrząsł się nagle, jakby go dreszcz przeszył.

- Widziałem ja jego jasność, w pułkownikowskim mundurze. Zerkanie tylko - mróz po skórze lata, wypręży cię lepiej niż sążniowe dyby... Już lepiej woźnicę przydusić, po cichu!

- Dobrze myślisz, kumie! - sołtys klasnąwszy w dłonie przewrócił szklankę i nawet tego nie zauważył. - A jak się stangret uprze - czym go za pysk wziąć? A tym: niechby ludziska się dowiedzieli, że pod Cwirkunami wylęgarnia magów jest, że sam kniaź pułkownik to legowisko osłania, a panienka u stangreta uczy się na wiedźmę - mogą i czerwonego kura puścić! Jasna rzecz, władze potem gwałt podniosą - ale za późno już będzie! Same przecież oczy odwracają, gdy magusiów ludzie na strzępy rwą!

- Niby to tak... - uriadnik wciąż nie mógł się zdecydować.

- Oj, kumie! Jedna rzecz, Rom taboryta albo jakaś tam zaginiona mażą dusza, morda przestępcza; druga kniaź... a jak coś, nie daj Boże, pójdzie nie tak i tamci wyznają, żeśmy się z magiem znosili po głowach nas nie pogłaszczą!

Ostap Tarasycz ukrył uśmiech w siwych, obwisłych wąsach:

- Że nie pogłaszczą, to nie pogłaszczą, Demidzie! Ale zrobić niczego nie będą mogli! Przecież jesteś człowiekiem na posadzie, w służbie, znasz prawo... Ano pomyśl sam: za co nas z synami do obozów wsadzać? Przecież sami się czarów imać nie będziemy!

, Demid Fomicz kiwnął głową, nie do końca pojmując, ku czemu zmierza zmyślny kum.

- ...nasi synowie, bałwany jedne, też czarować nie będą! Magii przeklętej i zakazanej nikt ich uczyć nie będzie. Prawda?

- Prawda - Demid ponownie kiwnął głową. Powoli zaczynało chyba do niego docierać.

- A skoro tak, skoro sami nie czarujemy, czarów nie uczymy, swoich dzieci też nie uczymy, nie łamiemy prawa - za co nas na katorgę wysyłać? My swoich synków kochanych uczymy uczciwie rachować i pisać, handlu i prawa. Dobrze mówię?

- Dobrze! Tylko, że dzieci nasze, rozum też nasz - a przekazywać go morda mażą im będzie...

- A kto się dowie? Kto się w tym połapie?! A jakby nawet - może on po prostu kpiny z prostych ludzi sobie urządza? Albo pieniędzy później od nas zażąda?! Skąd mamy wiedzieć? Przecież w ogóle się z nim nie umawialiśmy! Jego, łajdaka, na katorgę gońcie, jak coś przeskrobał! My niewinni!

- Nikt się zresztą nie domyśli! - podchwycił z ulgą uriadnik.

- Pomyślą, że chłopaki nareszcie zmądrzały! Dobrze mówisz, Ostapie: spróbuj coś udowodnić! Kryminału nie ma! Nie uczymy ich czarodziejstwa! Jesteśmy ojcami! Nie ma takiego prawa! A z kniazem... no, miejmy nadzieję, że jakoś to będzie. Stangret, jak nie jest durniem korzennym - skuma i zgodzi się!

- Toś zuch, kumie! Zrozumiałeś! I jeszcze, posłuchaj: Oksana, twoja szwagierka, na książęcym dworze jest służącą?

- Kucharką. A co?

- Szepnij jej na uszko, niech popilnuje panienki. Czy się będzie z tym stangretem widywać? Jak często? Jak się będzie zachowywać? Ludzie gadają, że ona coś nie tego... Czy jej się aby nie polepsza? Musimy to wiedzieć, Demid.

- Szepnę! Koniecznie szepnę! Mądrała z ciebie, Ostapie! Król Salomon, tylko ci pejsów brakuje! A może byśmy tak wypili?

- No to polej!

Za oknem już się darły pierwsze koguty. Nad Cwirkunami powoli rozpalala się zorza. Purpurowa, jakby na trwozę.

# KSIĘGA CZWARTA

## ODDAJ IM WEDLE TEGO, CO ZDZIAŁALI...

### *Krąg Pierwszy*

#### **WITAJCIE, LETNICY WITAJCIE, LETNICZKI**

- *O magii się nie mówi: głupstwa, zwykła sprawa..*

*Opera „Cymeryjczyk zachwycony” Recytatyw kothyjskiego czarnoksiężnika  
Totha-Lanthi*

### **DOBÓR KART**

- Czego pan oficer sobie życzy?

W znajdującej się na rogu Kijewskiej i Zaułka Więziennego cukierni „Księżniczka Marzenie” istniała piękna tradycja. Wszyscy goście w mundurach - nawet podchorążowie wojskowej szkoły felczerów, których pagony przy kiepskim oświetleniu można było wziąć za oficerskie - natychmiast byli promowani na „panów oficerów”. I nie trzeba było czekać na Rozkaz z Najwyższego Szczebla.

Wystarczył uśmiech jednej z trzech sióstr Zareckich - Zosi, Jasi lub Marysi - córek właściciela zakładu, i promocję uznawano za zatwierdzoną.

- Dwa tyrolskie, Zosieńko.

- Liścianki\*[\* - *Liścianka - rodzaj bezalkoholowej nalewki*]? Na pączkach czarnych jagód?

- Owszem, Zosieńko, proszę bardzo...

Dopiero wtedy, gdy piękniejsza poprawiwszy figlarnie koronkowy fartuszek znikła, by zająć się zamówieniem, starszy junkier Paweł Ananicz pozwolił sobie na krótkie zdjęcie z twarzy dyżurnego przyjaznego uśmiechu.

Podczas kilku ostatnich miesięcy spostrzegł u siebie stopniowy zanik mimiki twarzy. Coraz trudniejsze bywało porozumiewawcze mrugnięcie do sympatycznej panny, czoło pozostawało dziewiczo nieruchome nawet w chwilach głębokiego namysłu, nie życząc sobie

zmarszczek, a uśmiech na ustach pojawiał się raczej z nawyku, niż pod wpływem nastroju.

Było to nieco niepokojące.

Sam zresztą zauważył, że nawet jeżeli go to niepokoiło, to tylko „nieco”. Przyszły śledczy powinien być właśnie takim niewzruszonym, zimnokrwistym i spokojnym w najbardziej trwoźnych chwilach życia. Widzącym wszystko na wskroś, w prawdziwym świetle, bez mglistych zawirowań „działań eterycznych”.

Prawdziwy śledczy powinien być taki jak komendant szkoły, pułkownik Gandieri.

Jak wszyscy junkrowie Ananicz darzył pana pułkownika skrytym podziwem i uwielbieniem, do czego nie przyznawał się nawet ojcu Grigorijowi na spowiedzi. Ojciec Pawła, kapitan wojsk pogranicza, zginął przed dziesięciu laty w Turkiestanie, usiłując zatrzymać naćpanych anaszą\*\* - *Anasza - gatunek dzikich konopi, zawierających w liściach, kwiatach i pyłku silnie działający narkotyk, a także nazwa samego narkotyku*] przemytników, a wdowa z dwojgiem dzieci przeprowadziła się do ciotki w Kołomnie, gdzie wlokła mizerne życie z mężowskiej renty.

Ze wspomnień po ojcu Paweł zachował jedno: zieleń munduru i zapach fajkowego tytoniu. Ostatnio zaś nad mundurem coraz częściej zaczęła się pojawiać twarz, która zaskakująco przypominała smagłe, orlonose oblicze kniazia Gandieri.

- Wasze tyrolskie, panie oficerze! I wasza liścianeczka!

- Dziękuję, Zosieńko!

Uśmiech pojawił się i znikł jak sierpniowa spadająca gwiazda, gdy tylko Zosia wróciła na zaplecze. Jeszcze przed dziesięcioma minutami Paweł Ananicz poważnie się zastanawiał, czy nie wrócić na bal i jeszcze trochę potańczyć, teraz jednak był już pewien słuszności swego wyboru. „Księżniczka Marzenie” w przeciwieństwie do innych cukierni była otwarta do późnych godzin nocnych, a ludzi i za dnia bywało tu niewielu, nie mówiąc o wieczorach; a przepustkę miał Ananicz do północy.

Jest czas, by posiedzieć w ciszy i samotności.

Jest czas, by pomyśleć.

Dzisiejszego dnia śledczy junkier Ananicz po raz pierwszy zdołał odgadnąć tożsamość tak zwanego „współpracownika niejawnego”. I to nie obecność „eteru”, nawet nie jego kierunek i charakter - ale samo źródło. Po szkole krążyła legenda - albo prawda, diablo do legendy podobna! - że dawno temu śledczy junkier Gandieri, wyśmienity „niuchacz”, dokonał tego samego przed promocją w Szkole Tyfiliskiej. W rzeczy samej było się czym pysnić i

podkreślając rzadkie wąsiki, patrzeć na wszystkich z góry!

Ale jakoś nie miał ochoty na to, żeby się pysznić czy podkreślać wąsiki.

Przypomniała mu się Kołomna i gimnazjum, z którego odwołano młodego Pawła Ananicza po drugim roku. Na młodzieńczego gimnazjalistę z wiecznie odstającymi uszami zwróciła uwagę komisja Departamentu Nadzoru - i po sześciu miesiącach sekretnej obserwacji Ananicz dostał rekomendację do zamkniętego Korpusu Kadetów, jako z urodzenia niewrażliwy na wszelkiego rodzaju „działania eteryczne”.

A w gimnazjum szybko zapomniano o chłopcu, którego koledzy z klasy nazywali Sopel.

Zgodnie z tradycją, przyszłego śledczego szkolono i wychowywano w miejscach oddalonych od jego stron rodzinnych i nieprzychylnym okiem patrzono na zbyt częste spotkania z rodziną. Najpierw tęsknił, potem się przyzwyczaił. A i listy od matki, na Boże Narodzenie, Wielkanoc i Dzień Anioła Stróża - czytał obojętnie. Zwłaszcza po ukończeniu kursu, kiedy został przeniesiony do szkoły charkowskiej. Młodsza siostra nie pisała doń w ogóle, ciotka tym bardziej, a na podróże do Kołomny junkier Ananicz nie miał w ogóle ochoty.

Brud, plotki, kuchenne zapachy. Konfitury z wiśni, pełne pestek...

A, co tam.

- Pan oficer życzy sobie czegoś jeszcze?

- Dziękuję, Zosiu. Niczego mi nie trzeba.

W październiku Pawła Ananicza czekała promocja oficerska. Szeregowców i podoficerów do korpusu „Barbarzyńców” dobierano wedle oddzielnych spisów. Trafiali doń ludzie, którzy nie przeszli pełnego kursu nauczania, ale byli częściowo odporni na działania „eteru”, co potwierdzały wyniki badań osobnej komisji. Przyszłych oficerów szkolono, jak to się mówi „od deski do deski”, nie oszczędzając sił, czasu i samych junkrów. Ale nie bez powodu każdą z sześciu imperialnych uczelni śledczych w dniu promocji odwiedzał któryś z członków rodziny Imperatora, żeby jeden z wielkich Książąt mógł publicznie stwierdzić: „Witam was w korpusie oficerskim, panowie!” - a niekiedy, co było najwyższym zaszczytem, tę albo inną uczelnię odwiedzał osobiście sam panujący. Książę Gandieri, na przykład, był z takiej „carskiej” promocji w Tyfilisie.

Paweł dobrze wiedział, że z tego właśnie powodu elitarnych śledczych nie cierpieli armijni wojskowi i odmawiali im prawa odwiedzania klubów oficerskich - co nieraz bywało przyczyną pojedynków. Ale owa wrogość upewniała go tylko w przekonaniu, że wybrał słuszną drogę, nawet jeżeli sporą część tego wyboru dokonał za niego kto inny.

Najlepszych zawsze darzy się niechęcią; a najlepszym z najlepszych towarzyszy



nienawiść.

Czy to bez powodu junkrów zwykłych szkół oficerskich promuje się znacznie wcześniej, w środku lata? A listę przyszłych „Barbarzyńców” zatwierdza Imperator podpisem w dwa miesiące później, po dojrzałym namyśle i dokonawszy starannej oceny każdego z kandydatów!

Paweł Ananicz łyknął liścianki, odchylił się ku oparciu krzesła i zamknął oczy.

Przypomniawszy sobie jasno i wyraziście:

- Elzo Wilhelmina! Przecież to pani, Elzo Wilhelmina? To naprawdę pani?!

- Co, Paszeńka? Wyniuchałeś, mój chłopcze?

- Podziwiam panią, Elzo Wilhelmina. Szczerze panią podziwiam! Niechże mnie pani wysłucha! Uważam, że władze popełniają błąd, usiłując od zawsze wytępić to, co powinny badać i wykorzystywać!

- Paszeńka!

- Niechże mi pani nie przerywa! Bardzo proszę, niech mi pani nie przerywa! Wiele myślałem...

Czuł w ustach gorycz, której smaku nie mogła zabić liściówka i słodycz dwóch tyrolskich ciasteczek. Nie zrozumiała! Nie zdołała, nie zechciała zrozumieć - czyli i on może odrzucić, zbyć machnięciem ręki!

Ona - Elza Wilhelmina, księżna Gandieri; niejawni współpracownicy szkoły charkowskiej i z pewnością -

On - Szałwa Timurazowicz, pułkownik Gandieri, wzór i ideał.

Myśleć o czymś takim było ciężko, ale jeżeli Ananicza nauczono czegoś w ostatnich latach, to właśnie myślenia.

Zimnego i spokojnego.

Wśród junkrów w złym tonie było głośne rozprawianie o przyjętych w zeszłym roku zmianach w Kodeksie Karnym. Trzeba byłoby jednak być głuchym i ślepym, żeby nie zauważyć, że państwo po raz pierwszy zdecydowało się na rezygnację z nienaruszalności prawa. Swojego Prawa, którego wcielonym Duchem i Literą byli oficerowie śledczy specjalnego korpusu J.I.W. „Barbarzyńca”. Wszystkie te obywatelskie próby samosądów, których z cichym przyzwoleniem władz administracyjnych dokonywano coraz częściej; niczym właściwie nieuzasadnione wyższe sankcje prawne dla chrześniaków; ustępliwość ober-starców, którzy jeszcze wczoraj zaciekle sprzeciwiali się jakimkolwiek próbom

naciągania rezultatów śledztwa czy przedstawiania dowodów wymaginowanych za rzeczywiste...

Paweł Ananicz siedział w cukierni „Księżniczka Marzenie” i co sobie myślał, to myślał. Jeżeli jedna ze stron konfliktu samowolnie zmienia reguły gry i w rezultacie kończy partię miażdżącą przewagą...

Na lekcjach historii słyszał o „Pyrrusowym zwycięstwie”.

## I. FIODOR SOCHACZ ALBO RÓŻE, BRZOZY, PAROWOZY

*Ci, którzy cię widzą, spoglądają na ciebie,  
Przypatrują ci się uważnie: Czy to jest ten mąż, który był  
Postrachem ziemi,  
Trząsł królestwami?  
Ziemie obracał w pustynię, grody jej burzył,  
Swoich jeńców nie wypuszczał na wolność?*

*Księga Izajasza*

Upał rozgniatał ciało na owsiany kisiel.

Zwykły letni upał.

Żar.

I jeszcze ta kretyńska piosenka. Przyczepiła się niby rzep; ty ją drzwiami wypychasz, ona oknem się wpycha i pogwizduje ci prosto w nos:

Róże, brzozy, parowozy, Burze w maju, głupie kozy I z topoli puch!

Nie chcesz, a rymujesz dalej! Słowo do słowa! Ciągniesz wędkę, chcesz suma złowić, a tu same mizerne piskorze:

Ot, zostały nam drobiazgi: Smutek, żal i strzępy miazgi. Szczerzy zęby niby drzazgi  
Władca much!

A jodły na pagórku zbiły się w gromadę. Żółte, kosmate, od dołu porośnięte mchem. Zrzucają igły w maliniak, prosto na krwawe krople jagód. Wypuść dziewczyny - zapiszczą tylko i łakomie rzucą się na słodkości.

Szkoda tylko, że oprócz Akuliny żadnych dziewcząt tu nie ma.

I maliny przepadną.

Sam sobie dziwi się Fiodor: skąd mu się takie myśli wzięły? Upał mózg mu rozmiękczył, czy co? A może to wariactwo, przez które szedł jako mag, leciał niby smok i

pławił się w nim jak ryba? I po co było iść, lecieć, płynąć, po co było rwać się na wskroś, miażdżąc przeszkody?

Dla tych jodeł, malin i kretyńskiej przyśpiewki:

Dylu-dylu, jasna rzecz! Wszyscy kiedyś pójdą precz!

Na przewróconym pniu siedzi człowiek. Plecami ku gościom. Plecy ma zwykłe; takich pleców dwanaście na tuzin wychodzi. Łysina pokrywająca mu czaszkę lśni kropelkami potu. Uszy ma odstające, zgarbione ramiona i pofałdowany kark. Jak większość ludzi.

Fiodor idzie.

Wysunął się nieco ku przodowi. Wyprzedził żonę na wszelki wypadek. A ta uparciucha tylko fuknęła.

I proszę; znów idą obok siebie.

...już za nimi nieszczęść sfory Kolorami do kolorów, Te rozkosze i humory - Chleb będziemy żuć...

Doszli. Stanęli za plecami.

Nie wiedzą, co robić dalej. Bo powiedzieć: „Witajcie!” - to chyba najgłupsze, co można zrobić.

- Witajcie! - odezwał się obrócony tyłem człowiek. I nic, nawet za głupio nie wyszło.

Wcale a wcale.

Patrzy Fiodor, a siedzący ma w dłoni kromkę razowego chleba. Kruszy ją wróblom. Ptactwo kręci mu się pod nogami, każdy zaciekle pracuje dziobem i ćwierka jeden przez drugiego. Aż echo wśród sosen się budzi: jeszcze! Jeszcze! Dawaj, syp! Fiodor nagle sam poczuł się jak jeden z tych wróbli. Niby chce się, żeby od ręki cię karmili, ale opierasz się resztkami dumy.

Stojąca obok młoda żona przestąpiła z nogi na nogę.

- Chodźmy stąd - zaproponowała.

Nie powiedziała tego serio. To z urazy. Jakby chciała powiedzieć: no proszę, przyszliśmy tu na przekór wszystkim przeszkodom, a witają nas plecy gospodarza. Na wróblach mu bardziej zależy niż na Fiodorze i Akulinie. Im okruchy sypie, a nam plecy pokazuje.

Pójdziemy i nawet nas nie wołajcie - nie wrócimy.

- Dumni są... - odezwał się człowiek przeciągle. Nie wiadomo, czy uznać to za pochwałę, czy naganę? Niech będzie.

...na saneczkach mkną bajeczki - Mrużą oczka zza maseczki Skrzypią płozy jak skrzypeczki, Sypie się rdza słów...

- Rdza słów? - człowiek jakby próbował smak głupiutkiej piosenki. Przetoczył ją językiem, wciągnął powietrze ustami, jakby degustował stare wino. I wychnął refrenem:

Dylu-dylu, jasna rzecz! Wszyscy kiedyś pójda precz!

A potem wziął i się odwrócił.

Fiodor sam nie wiedział, czego się spodziewać? Pysku nietoperza? Zabawnej mordy, z jakimi na Boże Narodzenie chłopcy do dziewczek się zakradają? Przepięknego oblicza, siejącego blask urody?

A figę, Fiodorze. I tobie figę, Akulino! Nie zobaczycie gęby, mordy ni oblicza. Będą: czoło, nos, policzki; usta będą i podbródek. Czoło wysokie, poprzecinane fałdami zmarszczek. Nos gruby, z wągrami, na końcu jakby trochę siny. Policzki wpadnięte i bruzdy w kącikach ust.

Wygolony podbródek.

Z boku zaschnięte zadrapanie. Ręka mu widać drgnęła, jak się golił.

- Siadajcie - kiwnął głową ów człowiek.

- Gdzie? - wrogo odpowiedziała Akulina, kobieta i tak wyjątkowo uprzejma, a teraz podwójnie łaskawa.

- A choćby na trawie. Albo na tym pniu. Ja się posunę. Żeby to jeszcze kto Fiodorowi podpowiedział: dlaczego mu się wydaje, że to, co poprzednio wydało mu się próbą, to w istocie zabawy w piaskownicy?! Dlaczego dopiero teraz zapachniało prawdziwym niebezpieczeństwem, czystej wody i najwyższej próby? Łaskocze w nozdrzach ten zapach, uderza do głowy, jakby nieopodal ktoś' amoniak rozlał.

I od jodeł mocniejszy zapach żywicy zaleciał.

- Żyli, byli, zapomnieli. Dokochali i skostnieli, Przy spotkaniu nie poznali; „Jam ci jest!”

- zawołasz...

- Wybierajcie - kiwnął głową łyson. Wskazał gdzieś w dół.

W trawie przed nim, pod wróblimi dziobami, zamiast okruszek leżały rozsypane karty. Koszulkami do góry. Wyglądało to tak, jakby zmęczony szuler je roztasował, ale zapomniał zebrać ze stołu. Albo jakby ktoś rozrzucił przed studentami kartki z pytaniami egzaminacyjnymi: wybierajcie! Nasze pytanie, wasza odpowiedź. Fiodora zdjął przelotny żal, że Druc i Kniahini nie zdążyli ich uprzedzić, jak należy się zachować. No cóż, sami sobie poradzimy.

Jak trzeba, to trzeba.

Przykucnął Fiodor i sięgnął po karty. Wybrał pierwszą lepszą, która leżała obok kępy zajęcej kapusty. Ale bał się ją wziąć - a nuż się karta rozerwie. Jakże się ma nie rozerwać na połowy, skoro jej drugi brzeżek ciągnie ku sobie kochana żona.

Ej, Damulko Od Zwierząt, czemu się pchasz z zamkniętymi oczami jak niedźwiedź na rohatynę? Czemu oczy zmrużyłaś?!

- A niech tam - uśmiechnął się człowiek. - Skoro wybraliście, to bierzcie. Co za różnica...

I znów zaskoczenie. Jak przedtem mordy-gęby-oblicza, tak teraz Fiodor się spodziewał, że wyciągnie szablę Waleta, Berło Królewskie, no... niechby choć cętki Dziesiątki, na karcie były w ostateczności. Odwrócił kartę (Akulina tymczasem otworzyła oczy i trzymając za swój brzeżek też patrzy ciekawie!) - i aż mu serce drgnęło tak, że pot musiał otrzeć z czoła wolną ręką.

Czysta karta.

Atlasowa, biała, bielusienka.

- Drugą... drugą wolno?

Akulina. Nie wytrzymała, zapytała; poprosiła, rezygnując z dumy. I dobrze, że tak się stało - gdyby milczała, Fiodor też by nie wytrzymał: „Można drugą?”

- Po co? - zapytał człowiek. Pytanie zadano obojętnym tonem, jakby zadawano je po raz przynajmniej tysięczny. Usta pytającego wykrzywił grymas ziewania, a potem siedzący sam sobie odpowiedział: - Wolno, dzieci. Dziś wszystko wam wolno.

Chwyliła Akulina drugą kartę, odwróciła - czysta. Trzecią - czysta. Fiodor już wszystko zrozumiał, ale urażona jak jeszcze nigdy w życiu żona zaczęła odwracać jedną kartę za drugą...

Wszystkie karty były czyste.

Wszystkie białe.

A Fiodor, tę pierwszą z kart w pięści zacisnął. Zechcesz mu ją odebrać - złamie się. Serce Fied'ce pppowiedziało; prawidłowo. Trzymaj mocniej. Ot, nawet wróbelki patrzą i ćwierkają jeden przez drugiego: trzymaj! Wiatr z gęstwiny maliniaku poszeptuje: trzymaj! Chrząszczyki chroboczą ze wszystkich stron: trzymaj!

I tylko piosenka głupotami mu uszy napycha:

...w życiu jak na stypie jest!

Nie ma uraz ani lez!

Trzeci - zbędny, pusty gest! ‘

Ślepniem niby krety!

- To wszystko? - zapytał Fiodor.

- Wszystko - odpowiedział siedzący.

- To co, pójdziemy?

- Aha. Idźcie.

Naprzeciwno po gałązce wiewiórka. Rozcapierzyła ogon, co jej tam idący dołem ludzie. Niestrachiwe tu wiewiórki. Odejść, czy zostać - wszystko jej jedno.

- Naprawdę mamy iść?

- Naprawdę. Za sośniakiem w lewo i wzdłuż skraju wzgórza. Nie zabłądźcie.

## NOTATKI NA MARGINESIE

*Temu, kto nazywa siebie... Nie, inaczej - kogo nazywają Duchem Prawa niełatwo jest zajrzeć w oczy - A jak zajrzysz, niewiele zobaczysz - Tak tylko, drgają bez przyczyny: ...palce.*

*Dziesięć sztuk. Grube, porośnięte z wierzchu bezbarwnym puszkciem. Paznokcie poobgryzane. Leżą na krawędzi szachownicy; romby lakierowanego drewna stłoczyły się jeden przy drugim, a palce leżą na tych rombach. Jak martwe. Ale nie, zaczęły bębnić. Tamta-ram, tam taram... co tam? Tara ram?*

*Znów się uspokoiły.*

*Leżą.*

Pierwszy krok był trudny. I drugi też niełatwo było zrobić. Akulina przez chwilę sapła wściekle z tyłu, nie ruszając z miejsca, a potem skoczyła przed siebie, jakby ją wichur poniosł. Odepchnęła męża na bok i przodem pospiesznie pobiegła. Łopatki pod suknią poruszają się niczym podcięte skrzydła - lada moment pod niebo uniosą. Zapomniały skrzydła o nóżkach. Trzepoczą i daremnie młóć powietrze. - Ej!

Trzeciego kroku w ogóle zrobić się nie dało. A Akulina niby biegnie, a jakby w miejscu stała. Wiewiórka patrzy z gałęzi zdumionymi oczkami.

- Poczekajcie! Zapomniałem, zapomniałem do cna... zgłupiałem już z tej starości!

Fiodor nawet okiem nie zdążył mrugnąć, a tu jego ukochana żona znów przy kłodzie stoi. Zła, aż strach! Mniej w niej złości było chyba, kiedy wśród smolnych fal płynęła bok w bok z mężem albo kiedy niebo na kęsy rwali oboje i lecące im na spotkanie paskudztwa

rozmaite w spiralę zakręcili tak, że tylko popiół na boki pofrunął!

Znacznie mniej.

- Ty co, głupa rzniesz?! Zapomniał, patrzcie go! Zapomniał, biedaczek! Wśród wróbelków się schował? Wśród sosenek i malin?! Ty co, za dzieci nas uważasz?!

Fied'ce wstyd się zrobiło. Za żonę i za siebie. Czemuż ona krzyczy, a on milczy? Dlatego, że pierwsza się wyrwała. Co za różnica, kto pierwszy, jeżeli złość cię rozpiera. Przedtem myślał, że wejście w Prawo to coś w rodzaju tryumfu, kiedy najpierw mordercza praca, a potem kwiaty, owacje, czapki w górę! A tu co? Nie tryumf, a jakieś głupie róże-brzozy-parowozy...

Żarty żartami, ale mówiąc poważnie, nie nauczył się Fiodor Sochacz o takich rzeczach serio myśleć. Wszystkiego się nauczył - a to nie wyszło. Wiecznie i nieustannie krył się za tarczą ironii.

Patos jest dla dziewczątek z pierwszego roku Instytutu.

Ale i tak czuł się jak dziecko, któremu obiecano kolorowy cukierek, wielki i słodki - a potem nie dali. Sami zeżarli, spece od obietanek-cacanek...

- Nie wygłupiam się - człowiek poruszał przez chwilę wargami i nie wiedzieć dlaczego pottrzymał się za koniuszek nosa. - A ty tu nie krzycz, nie u siebie w domu jesteś. Sosny jej nie w smak... maliniak... Patrzę na was i zastanawiam się, czego w waszych duszach więcej: was czy mnie? A jak jesteście wściekli, lepiej widzę.

- I co, zobaczyłeś?

- Zobaczyłem.

Wyraz jego twarzy zdradza, że coś nie bardzo miłego dla siebie zobaczył. I cień przemknął po tej twarzy. Dziwny cień. Fiodor widział raz podobną sztuczkę w fotograficznej ciemni, kiedy zdjęcie było wywoływane. Teraz tak samo: jakby obca twarz w głębi wypłynęła, ale nie znalazłszy na powierzchni punktu zaczepienia, ponownie w otchłań się zapadła.

I jeszcze raz. I jeszcze.

- Myślałem, że przyjdziecie inni... nie tacy znajomi. Zresztą, co tam. Mam do was pytanie...

Z pewnością chciał rzec: „Mam do was pytanie, dzieci!” Ale wolał nie dokończyć.

Żeby nie rozeźlić Akuliny.

- Pytanie? Jakie?

- Proste. Trudno o bardziej proste. Jak wam się widzi rozerwanie pajęczyny?

Fiodor pomyślał, że ukochana żona zaraz wesołkowi nagada rozmaitych

nieprzyjemności. Ale nie, Akulina zamiast zawrzeć gniewem, zaczęła się rozglądać. Na drzewa popatruje i na krzaki. Za nią i Fied'ka rzucił okiem: faktycznie, jest pajęczyna.

Jak to się stało, że wcześniej jej nie spostrzegli?

Od sosny do sosny, od igielki do igielki, od wróbla do wróbla i od ptaków ku maliniakowi ciągną się nici - ledwo widoczne, na poły przezroczyste. Obłoczek na niebie cały się rozkędzierzawił tymi nitkami. Miotelki dzikiego owsa połączyły się splotem. Wszystko wokół jakby muślinem powleczono. Nitki się schodzą, rozchodzą, tworzą kręgi i splatają w pętle...

Przedtem nie tak było? A jak było? Inaczej?

- O, patrz... Kniahini.

Akulina. Pokazuje gdzieś paluszką w bok. Rzeczywiście, jeżeli zmrużyć oczy, to widać dość wyraźnie - przy zakurzonym krzaku dzikiej róży pajęczyna się splotła w figurkę Kniahini. Nie sposób jej nie poznać. A obok - Druc. Niby zamarł w bezruchu, ale chwieje się lekko od podmuchów wiatru, okropnie chce się Romowi włóczędzie zejść z miejsca! Ale nie wychodzi. A dalej - tak samo: ludzie, ludzie, ludzie...

Niektórych Fiodor poznał; to ci, co przez te wszystkie lata stali w szeregu za ich ramionami. Inni - niby obcy, ale jak się dobrze przyjrzeć, to swoi.

Dlaczego - ktoś to wie?!

- Podejź - podsunął człowiek. - Szarpnij ze wszystkich sił! Fiodor nawet się złościć przestał. No proszę! Oto dlaczego teraz zewsząd pachnie prawdziwą próbą!

- Nie mogę - odpowiada. - Nie chcę. Nie będę.

Obok ukochana żona na chwilę przytuliła się policzkiem do jego ramienia.

Dobrze odpowiedział.

- Dlaczego?

- To są nauczyciele.

- To pajęczyna! Pajęczyna!

- Nie. To nauczyciele.

Człowiek zerwał się z pnia. Resztki razowca cisnął pod nogi i rozdeptał. Nie trzeba mieć czoła szerokiego jak drzwiczki do pieca, nie trzeba czytać w ludziach jak w dziecięcej bajce, żeby zrozumieć, że teraz zeżłił się naprawdę. Nie udaje. Chodzi o coś innego: czekał na coś, długo i z nadzieją - i nie doczekał się.

Tak właśnie nadzieja ostatek sił odbiera tym, którzy dawno już, bardzo dawno temu o



niej zapomnieli.

- Pajęczyna! To pajęczyna... Głupi jeden z drugą! Magowie pieprzeni! Nauczyciel - uczy! Uczeń - uczy się! A wy? A oni?!

- Oni uczyli, my uczyliśmy się od nich. I nie ma co krzyżeć, nie u siebie w domu jesteś...

To znów Akulina. Gdzie awantura, tam już dziewczyna za nic utrzymać języka w gębie nie umie. Co prawda, głupstwo palnęła - rozmówca akurat jest u siebie w domu.

On - Duch Prawa.

W tym właśnie sęk: myślisz - „Duch Prawa”, przekonujesz sam siebie - „Duch Prawa”. A wychodzi mimo wszystko po staremu - „człowiek”.

Człowiek nagle się uspokoił. Nawet uśmiech pojawił się na jego twarzy.

- Oni uczyli? - pyta. - A wy uczyliście się? No proszę, proszę... wiecie co, zbadajmy tę sprawę.

Rozepchnął nogą zeschnięte igliwie, oczyszczając przed sobą niewielki placyk.

Podniósł wróble piórko.

- Tak - pomrukuje sobie pod nosem. - Powiedzmy, że to ty, mądrało...

Wyleciało mu piórko z palców, zakręciło się w powietrzu i opadło na ziemię. Leciało jako piórko, opadło w postaci Fied'ki Sochacza. Małeńki ten Fied'ka, aż śmiech bierze. Duży Fied'ka nie wytrzymał i parsknął śmiechem. Widzisz go, głupi Duch znalazł sobie sposób na wzbudzenie podziwu w konwentowych magach.

Karta, choćby czysta - proszę, jest w dłoni.

To nie jakieś tam piórko.

Zagraj, przyjacielu, zanim się rozstaniemy.

A Fiodor-malec zakręcił się, wzbijając obłoczek kurzu. Pył osiadł, zamieniając się w stoliki, drzewa i ludzkie figurki: pani profesorowa, Ilja Siemionowicz, dalej Kniahini z mandoliną. Struny trąca, a w twarzy ma spokój i ukojenie. A małeńki Fiodor śpiewa, przymknawszy powieki:

- ...jam duch zapomnianego zamku. I stróż zamkniętej sali.

Na marmurowych płytach, w ciszy niezrodzonego słowa, Chronię resztki przeszłości... Ostańce czasu minionego...

A Fiodora-dużego kolnęło w samo serce. Niczym igłą, na skroś. Skąd ból? Skąd igła? Kto wie... widzieć siebie z boku to nie żart, ale czy w tym sęk? Spójrz, magu, przypatrz się uważnie; to ty, to Kniahini - chrestna, nauczycielka i wychowawczyni... ty śpiewasz, ona gra...

ty śpiewasz... ona gra...

Skąd więc igła?!

I skąd pajęczyna?! Ciągną się nici pomiędzy maleńkim Fiodorem i Kniahinią, wiążą ich... łączą... z dwojga jedno czynią...

...Ciało napiera na ciało. Raz za razem, niczym fala przyboju uderza w skały.

I czuje nowy Fiodor, ten bez wieku i wstydu, że zmienia się. Jakby każde zetknięcie obciosywało go na wzór Kniahini; ramiona robią się delikatne i smukłe, palce się wydłużają, o, już sina żyłka na szyi mu występuje...

Gdzie mężczyzna?

Gdzie kobieta?

Ktoś sam ze sobą się kocha.

Ktoś? Nikt.

- Źle wyszło? - zapytał Duch. - No cóż, popatrz inaczej...

Z nieba opadło drugie piórko. Obok pierwszej pojawiła się druga Kniahini. Przed nią fortepian - biały, lakierowany. Nerwowe palce biegają po klawiszach, muskając pieszczotliwie; przymrużyła Raszel drżące powieki, kołysze głową i śpiewa:

- Nigdy się nawet wam nie śniłam, Dobrze to wiem, nie trzeba kłamać.

Z pokorą oto przyjmę sama, Co pańska głowa wymyśliła...

Ona niby śpiewa, a Duch drwiąco jej wtóruje, drań jeden:

Dylu-dylu, jasna rzecz! Wszyscy kiedyś pójdą precz!

Aż sapnął Fiodor-duży. A dlatego sapnął, że zobaczył wreszcie wszystko bez osłonek. Dlatego, że kretyńska przyśpiewka jakby mu wzrok łzami przemyła. Gdzie Kniahini, gdzie Fiodor?! Podobni są do siebie bardziej niż matka i syn... Intonacja, maniera, oczy jednakowo mrużą, a na końcu każdego zdania taki sam przydech robią. Fiodor jest tylko bardziej surowy, i jeszcze: Raszeika nie lubi rytmem się bawić, wiersze bardziej równo jej wychodzą.

- Bardziej równo? - pyta Duch, jakby myśli podsłuchiwał.

- A jeżeli tak?

Spadają z góry kolejne piórka.

I lądują jako ludzie.

Ci, których skrzydłami... którzy za chrześniakami.

Oto gra na klawikordzie Fira-Kokotka. Oto podochocony Abrasza-Werończyk przesunął jarmułkę na ciemność i podśpiewuje *A klejniczker wintele\*\** - *Lekki wietrzyk (żarg. abrahamicki)*. Oto Jefrem Perłowy gra na gitarze, napełniając akordami całe nocne niebo nad

taborem - *Da tu, mri terni chulan, podeka bechtalo destoj\*\* - Och ty moja gospodyni, daj bat, co mi szczęście niesie! (rom.)*]! Oto zamiera sala, wsłuchując się w śpiew olbrzyma we fraku. Oto wędrowny grajek i chłopaczek fletnista...

Zimno się zrobiło Fiodorowi-dużemu. Mrozem go przejęło. Zgroza patrzeć i zgroza słuchać. Od wszystkich oderwać po kawałeczku żywego, zebrać w kulkę, zgnieść dłońmi w jedność - i co wyjdzie z obcego?

A zgrozę Fiodor czuje, bo już wie co.

Już wyszło.

- A ja? Gdzie jestem?!

Wargi same szepczą i tchną: „Gdzie - Ja?! Powiedzcie?!”

Duch Prawa stanął obok. Nie za ramieniem, jako skrzydło - a po prostu i zwyczajnie. I odparł ze smutkiem w głosie:

- Ciebie nie ma, mój chłopcze. Nie miałeś żadnego talentu do magii. Urodziłeś się bez niego. Znaczący to, że bez sensu jest rozprawiać, gdzie ty, tylko ty i nikt więcej. Ze świata po nitce, z boru po sosence, wszystko cudowną Ugodą z góry przyklepać - i oto masz twój dzisiejszy talent. Wielki - acz nie twój.

- Łżesz! Łżesz, draniu!

- Gdybyż tak było... ale nie, nie ma ciebie, mój chłopcze, w tym talencie. Ani odrobinki.

- Łżesz!

Och, ależ zamach wziął Fiodor-duży! Ależ uderzył! Żeby choć trochę, choć odrobinę bólu dostało się i temu, co go przyczynił! Co prawda, zadając cios wiedział, że jakby nie uderzył, jemu samemu stokroć gorzej się dostanie, bo nie znajdziesz nigdzie mocniejszego razu niż ten, który mgnienie wcześniej spadł na jego szaloną głowę.

- Masz, gadzie! Zgadł.

Własny cios na ziemię go zwałił. We łbie mu dzwoni i huczy, gdzieś w górze Akulina krzykiem się zanosi i ręce załamuje; a ledwo mu ćmok z oczu spłynął, ledwo przestały mu przed nimi szkarłatne muszki polatywać - patrzy, a tu Duch Prawa tuż obok, tylko ręką sięgnąć.

Przysiadł w kucki i pomaga mu wstać.

Omal przy tym nie płacze:

- Ależ dureń! Ależ dureń z ciebie! Mówiłem przecież, że mnie samego więcej w was od innych będzie; mnie bić, to gubić samego siebie! Oj, dureń!

Jedna pociecha Fied'ce się trafiła. Tocząc się po ziemi, pogniótł wszystkie wróble piórka. I wszystek pył rozpędził. Nie ma żywych obrazków. Mała radość, ale swoja.

Nie kradziona.

- W tym masz rację - Duch Prawa znów się usadowił na pniu drzewa, patrzy obok Fied'ki i mruga oczami. - Ta radość nie jest kradziona. Kiedy krzyczałeś': „Masz, gadzie!” - widzisz, chłopcze, to byłeś ty... Kęs-precelski leśny dzikus. I kiedy szedłeś' na nóż Pietuńki Wyłupiastego - też byłeś' sobą, prawdziwym sobą.

- A jak z tobą Ugodę zawierałem?! Z ręką w ogniu?!

- I wtedy też. I potem jeszcze - czasami się zdarzało. I teraz; tylko że teraz ciebie w tobie jest za mało. Za dnia i ze świeczką nie odszukasz. Wiesz, był kiedyś jeden mędrzec, co w jasny dzień z latarnią chodził. „Człowieka szukam!” - darł się. Tobie by się taki mędrzec przydał - żeby pochodził po Fied'ce i poszukał. Może jeszcze by coś znalazł?

Rozejrzał się Fiodor dookoła.

Pajęczyna.

Nauczyciele.

Pajęczyna... i

- A ty jesteś tu największym, najważniejszym pajakiem? Duch Prawa wcale się nie obraził.

- A ty? - odpowiedział pytaniem na pytanie.

## **II. ALEKSANDRA-AKULINA ALBO *SIĄŁA SIĘ* MUCHA PAJAKIEM KRZYŻAKIEM...**

*Tak będzie u ciebie z twoimi czarownicami,  
Z którymi się zadawałaś od młodości swojej;  
Każdy zatacza się w swoją stronę, tobie zaś nikt nie  
Pomoże.*

*Księga Izajasza*

- A ty jesteś tu największym, najważniejszym pajakiem? Nie patrzy Fiedia na Ducha, w ziemię wbił wzrok. A ja patrzę! Niech on sam ze spojrzeniem w bok ucieka! Pierwszy!

Nie uciekł.

- A ty? - pyta w odpowiedzi. Niby Fiedię pyta, a w rzeczywistości na mnie popatruje.

- Co ja?

- Też jesteś pajak. Skoro nie chcesz rwać pajęczyny. Łzesz, pajaku jeden! Nastraszyć nas chcesz.

- Wiesz, dziewczyno, jest taka stara anegdotka. Z końcową repliką: „I ty, Saro, też masz rację!”. Więc i ty też masz rację. Wszyscy w niej jesteśmy muchami i pajakami jednocześnie. Sami sieci splatamy, innych w nie łowimy, i sami się w nie łapiemy. Ja, wy, oni...

Tu machnął dłonią w stronę figur, pooplątanych pajęczyną. Ponuro tak machnął, jak pozbawiony nadziei. Jakby ktoś za nitkę szarpnął, a ręka sama odpowiedziała nagłym ruchem.

Na mgnienie nawet mi się go żal zrobiło.

- Nie mam powodu, żeby was zaplątywać. Mówię przecież, sami się zapętliliście, beze mnie. Przeciwnie, wyjście wam pokazałem.

- Wyjście? Skąd? Stąd?!

- Mógłbym oszukać. Mógłbym powiedzieć: „Stąd”. Ale nie będę was oszukiwał; stąd i tak wyjdziecie, jak będziecie chcieli. Silniejsi wyjdziecie, jako Asy nad Asami. Dumni będziecie i śmiali. Tylko nie wasze to będzie wszystko, pojmujecie?

- Jakże nie nasze?! - zdumiewamy się z Fied'ką jednym głosem. - Powiedzmy, żeśmy od nauczyciela wzięli - przecież każdy uczeń bierze od nauczyciela! Teraz - sami umiemy.

- Sami?! - osobliwa twarz Ducha aż się plamami czerwonymi pokryła. Lada moment się rozplacze albo szlag go, nieboraka, trafi.

- No to teraz ty otwieraj oczy, Akulino! Może jakoś do was dojdzie, mimo wszystko!

Myślałam, że on znów z tymi wróblimi piórkami zacznie swoje korowody. Ale nie: odstał w bok i zaczął się w ziemię wpatrywać, jakby czegoś na niej szukał. Spojrzałam - mrowisko. Zwyczajne mrowisko, nieduże, nie ma na co patrzeć, a ten ci patrzy. No to my z Fiedienką też patrzemy - co on nam pokaże tym razem?

Pokazał!

Mrówki się zakręciły, zaczęły biegać wokół jodłowego pieńka, a jedna, największa, na pieńek się wdrapała i z góry na pozostałe wąsikami macha. Przyjrzeć się uważniej; a to wcale nie mrówki, tylko studenci, którzy się na lekcję zbiegli, a ja razem z nimi. A pieńek katedrą się stał, za którą docent Pawłowicz gładzi klin swojej bródki, poprawia pince-nez, pochrząkuje i oznajmia:

- W dniu dzisiejszym, panie i panowie, studentki i studenci, zaczynamy kurs ogólnej zoopatologii, który jest jednym z głównych kursów weterynarii. Zechciejcie więc zapisać temat lekcji wprowadzającej...

Siedzą studenci ze studentkami, piszą, piórami poskrzypują - a ja razem z nimi. A wykładowcy z katedry karuzelę sobie zrobili, oto doktor Gannot farmakologię nam wyklada, a

sam profesor Poluta otwiera kurs ogólnej fizjologii. Zamigotały twarze, lata, książki, konspekty. Bezsenne noce przed egzaminami; krótkotrwała radość: zdałam „celująco!” Co zdałam, u kogo? Nieważne; dalej, dalej... oto pracownia, mikroskop, wgapiam się w okular, robię notatki w dzienniku laboratoryjnym; a oto artykuł w „Wiadomościach Weterynaryjnych”; proszę, nowy preparat, opracowany razem przez doktora Gannota Waldemara Fridrichowicza i lekarza asystenta pierwszego stopnia Sochatinę Aleksandrę Filatową, leczy ze zdwojoną aktywnością. Jakie on tam świństwo leczy, nie sposób orzec... tylko zdążyłam się zdziwić: jak to? To ja już pierwszy stopień specjalizacji zdobyłam?!

A życie mrowiska wre całą parą i toczy się dalej; oto już ja sama za katedrą stoję i studenci mnie słuchają, poskrzypują piórami, a ja im jakąś „parazytologię” wykładam. Potem pojawiły się półki z książkami, a na nich książki - grube, w skórkowych oprawach, a na grzbietach złotymi czcionkami: „Podstawy zoopsychologii”, „Farmakologia z weterynarii, kurs ogólny”, „Zoohigiena”. I wszędzie na nich też złotem, tylko mniejszymi literami: prof. Sochatina A.F.!

To ja mam być tą profesorem Sochatina?!

A ja tymczasem z za katedry studentom rozmaite mądrości wygłaszam, sama zaś stwierdzam w duchu: z tego wiercipięty będzie w nauce pożytek, a tamten to cymbał.

Patrzę na siebie-maleńką - poznaję? Nie poznaję?! Włosy mam wcale nie rude, tylko siwe, i okulary na nosie, mrużę oczy jak krótkowidz. Czyżbym *tak* miała wyglądać?

Będę, z pewnością będę, i co na to poradzisz? Jedna pociecha - jeszcze nieprędko.

Popłynęło wszystko - gdzie mrówki? Gdzie mrowisko? Gdzie ja sama?! - mignęło ostatni raz...

I przepadł urok.

- Oto jak się uczą - uśmiechnął się smutno Duch Prawa. - Ot, jak ludzie uczą innych...

A twarz też mu się nerwowym tikiem zajęła; jak w kinematografie, kiedy taśma się zatnie; nie, inaczej - jak odbicie w stawie, kiedy po wodzie kręgi się rozejdą. Nagle widać Drurowe zmrużenie oczu! Raszel miga na mgnienie oka! Za nią inni, którzy za naszymi plecami się kryli, po nocach spać nie dawali, a teraz stoją wokół powiązani pajęczą nicią i nagle Fied'kę swojego widzę! Fiedia, to ty czy nie ty?! A dalej już w ogóle zgroza - sama na siebie jak w zwierciadło patrzę, tylko zwierciadło krzywe i mętne jakieś! Nabijasz się, gospodarzu miły?! I nagle pojmuję, on wcale z nas nie drwi! My teraz w Prawie! A on, Duch Prawa, jest w nas! Nie ma pajęczyny, nie ma much, pajaków i nici... tylko my.

Zaplątaliśmy się jedni w drugich.

Stalą się mucha pająkiem krzyżakiem i w stół waliła kosmatym kułakiem: ej muszki piękne i ręce, w ciasne was sieci zapłaczę, zapłaczę!..

- ...talent i umiejętności są tu potrzebne, dzieci. Szczególny to talent; być uczniem i być nauczycielem. A wy, niczym karta papieru pod drukarską prasą się położyliście! I krzyczycie teraz: nasze! Do ostatniej literki! Sami to wymyśliliśmy! A wy jak te płyty patefonowe... Nadymacie się - śpiewacy jesteście! Tenory operowe!

Umilkł. Odwrócił się.

A ja czuję, że czeka. Och, doczeka się on, doczeka!

- No dobrze. Niech będzie. Przyszliśmy tu bez żadnego talentu, bez grosza przy duszy; niechby i wszystko w nas było obce. Dobra. Możesz uznać, że ci uwierzyliśmy.

To Fiodor. Tyle, że on tylko mówi, a ja wiem swoje: Nie uwierzył mężulek. Rozumem pojął, a serce nie chce się z tym pogodzić?

- ...uwierzyć uwierzyliśmy, a co dalej? Przecież weszliśmy już w Prawo... czy może dopiero wejdziemy?!

- Weszliście - kiwa głową Duch. - Weszliście, niestety.

- I siłę mażą niemalą mamy, niechby obcą, niechby tylko odlew, z za którego nas nie widać - ale więcej jej niż u innych! Sam mówiłeś!

- Mówiłem. I mogę powtórzyć. Z wyroków przypadku sięgnęliście do najdalej skrytych szkatuł, otworzyliście je, a tam - skarby! Nie przez was pozostawione, nie przez was zebrane... ale wy je na kieszonkowe roztrwonicie!

- Niezły byłby z ciebie prokurator... Albo ober-starzec. Czyli wyjdziemy stąd jako magowie w swoim Prawie, w pełnej sile, potężniejsi od innego Asa, jeżeli nie łzesz... co w tym złego? I co proponujesz w zamian?

- Co złego, pytasz? Co proponuję? Złe jest to, że nie ma was samych we wszystkich waszych umiejętnościach niezbadanych i niezmiernych, które z obcych szkatuł ukradliście! Nie wasze to! I wy sami nie jesteście już sobą. Jestem w was ja, i inni, którzy przed wami Ugodę zawierali, a was samych - tyle co sadła na myszy zostało! Wkrótce w ogóle zginiecie. Ja wam proponuję - przerwać pajęczynę! Sobą się stać - czy to nie jasne?

- Czyli co? Zrezygnować. Wyrzec się?! Umiejętności i nauczycieli? Wszystko od nowa? Prawie cztery lata życia i co, psu w dupę?!

Tu już nie wytrzymałam. Za kogo on nas uważa?

- Oni nie są waszymi nauczycielami! Nie są!!! - wrzasnął w odpowiedzi Duch, aż mu się

głos piskliwie załamał.

- Widzicie go, nie są nauczycielami! Niechby uczyli wedle Ugody, nie tak, jak profesorowie w Instytucie - ale to nasi nauczyciele! Atuty! Chrzestni! Wszyscy płonęli w ogniu Ugody! Oni nas od bandytów osłonili w tamtej leśnej chatce! To się nie liczy, co?! Kto marzył z nami w zimnym lesie?! W Bałakławie „kraciastych” i trupiarza trzymał? Z sideł krymskiej talii kto nas, głuptaków, wyciągał? To też się nie liczy?! Kim sami się staniemy, jeżeli zerwiemy Ugodę?! Kainami, Judaszami sprzedajnymi? Oto kim się staniemy!

- Durnie jesteście patentowane, żadne z was tam Kainy!

Bryznął śliną Duch Prawa. - *Ich* zdradzić się boicie - a *samych siebie* dawno już zdradziliście! A im co do tego? Tak czy tak, wasza Ugoda się kończy, innych chrześniaków sobie znajdują! A przed wami życie całe! Życie! Nie chcecie, żeby to było wasze życie, własne?! Prawdziwe, nie cudze?!

- Prawdziwe, powiadasz? - syczę niby żmija spod studziennego kamienia i czuję, że lada moment przestanę się hamować!

- Oto ono, to twoje życie prawdziwe! Przyjrzyj się!

I mrówki, które od pnia zdążyły się już rozbiec za swoimi mrówczymi sprawami, wróciły na poprzednie miejsca.

Patrz: audytorium w instytucie! Katedra! Doktor Pawłowicz poprawia pince-nez i zabiera się do wykładu. No a teraz jazda! Patrz, Duchu Prawa, patrz i nie mów potem, żeś nie widział!

Zmieniają się za katedrą doktorzy i profesorowie, skrzypią pióra, szeleszczą stronice, siedzą studenci w pracowni - rok, drugi, trzeci... Oto zbliżają się egzaminy końcowe, już minęły, u mnie-maleńkiej nowiutki dyplom w dłoniach, pachnie drukarską farbą, pieczęcie i podpis rektora jeszcze nie zdążyły wyschnąć.

I oto jestem w pracowni. Nie studentka, tylko lekarz weterynarii. Prawda, nie w pierwszym stopniu specjalizacji, tylko w drugim, ale co tam - stopień to sprawa przejściowa. Rok - przejściowa... drugi - przejściowa... trzeci... piąty... Analizy, zapiski w dzienniku, nudne artykuły, których mam już dość po same gardło - bo wszystko to już było! Było, było! A przede mną nic nowego! Nic absolutnie! Tępo się wgapiam w kolejny wycinek tkanki pod mikroskopem, patrzę, już oczy mi łzawić zaczynają, już na oczach okulary się pojawiły, pierwsze zmarszczki twarz poprzecinały, plecy się garbią... a nowy profesor Popów, młody narwaniec i pozer wymówki mi czyni wobec wszystkich pracowników katedry, a ja patrzę na niego wzrokiem pełnym winy, z dołu do góry, słucham, a przed oczami wszystko mi pływa - przez te łyż? Przez stare okulary, dawno by je wymienić trzeba, ale niestety - to brak czasu, to



pieniędzy, to jeszcze tam czegoś...

- Ej, co ty na to, Duchu-mądrało? Nie tak może bywa?! Wszyscy co do jednego zostają profesorami, książki piszą i wielkich odkryć dokonują? A przez całe życie kurz łykać, oczy sobie psuć, kiedy pożytku z tego tyle, co kot napłakał?! Tak nie ma, według ciebie? Czy to uczysz się prawdziwie, czy niczym płyta piszczysz tylko pod igłą patefonu?

- Bywa, Akulino. Jeszcze jak często bywa. Pomarkotniał nasz Duch. Sflaczał, jakby z niego powietrze wypuścili; mizerny się jakiś' taki zrobił, stary i maleńki. My z Fied'ką też się takimi staniemy, jeżeli cię posłuchamy, czyś Duch, czy kto inny! Kręcisz w głowach, mącis, mój Prawniku, ale nic z tego!

- Powiem więcej - częściej tak bywa niż te księgi z wielkimi odkryciami. Masz absolutną rację. Nie odnalazł się człowiek, minąć się z talentem czy powołaniem... nic, tylko innymi sprawami się zajmuje, miota się i nie rozumie, skąd się jego nieszczęście bierze - i w końcu umiera nie jako ten, kim mógł się stać.

- No dobrze, dość morałów, znalazłeś sobie naiwnych - słusznie, Fied'ka, tak trzeba z tym pajakiem gadatliwym! - Powiedz lepiej co innego: powiedzmy, że cię posłuchamy, wyrzekniemy się cudzego... i co dalej?

- Dalej?

Duch Prawa uśmiecha się z zażenowaniem, jakby Fiedia zadał tak głupie pytanie, że jemu, Duchowi, wstyd odpowiadać. No nic, nie przejmuj się, my się pychą unosimy, objaśnij tylko, a my posłuchamy!

- Dalej? Wasza droga pod nogi wam się ułoży. Sami po niej pójdziecie. Wszystko, co na niej znajdziecie, będzie wasze, uczciwie zdobyte. A czy wiele osiągniecie - tego powiedzieć nie umiem. Nie wiem.

- Jakże to tak - na chwilę mnie zatkało, choć nie trwało to długo. - Powiedzmy, magia-czary... i bez niej przeżyjemy, choć będzie przykro. Ale co - Fiodor oduczy się pisać wiersze? Pojmować ludzkie języki? Zapomni, jak gra się na gitarze? Na fortepianie? A ja - co ze mną? Znow dwojgiem kęs-precelskich głuptaków się staniemy? Tego chcesz? Tak?!

- To, czego sami podczas tych lat się nauczyliście - zostanie. A co w was obcym było, ślepym odciskiem, przez duszę nieprzepuszczonym - zniknie. I magii, jeżeli zechcecie, uczciwie, do zgrzytu w kościach, do krzyku - od nowa uczyć się przyjdzie. Bez oszukaństwa, bez Ugody. Jak ludzie się uczą u ludzi, jak było wcześniej, zanim ja...

Urwał. Odwrócił się.

- I kto by nas miał uczyć? Po staremu? Nie ty przypadkiem?

- Ja? Może i ja.

- Przecież ciebie tak naprawdę nie ma!

- Jestem. Dopóki będziecie na świecie wy, będę i ja. W was samych, we wszystkich, którzy byli przed wami i będą - dopóki obowiązuje Ugoda spisana kiedyś *moją* ręką. Więc jestem.

- Ty, przyjacielu, lepiej nie bluźnij! - skrzywił się Fiodor.: - „Jam jest!”, widzieli go! I jakże ty nas uczyć będziesz? Zostawisz nas tu na wieki?

- Sposób się znajdzie. W snach się wam jawić będę - najwyraźniej wyczerpawszy już siły, Duch usiadł wprost na ziemi, na rozrzuconych okruchach chleba, których nie podziobały dawno już rozpierchnięte wróble.

- A wiele się nauczymy? Szybciej pójdzie? Ile lat jeszcze stracić przyjdzie?

- Całe życie. A takimi jak teraz się nie staniecie, nigdy. Talentu w was do magii nie ma - ja to wiem.

- A do czego jest? Do czego?!

Serce mi się zbiesiło. Tłucze się w piersi i tłucze! A nuż odpowie - i od razu się dowiem, pobiegnę za swoim talentem, co sił w nogach!

- Nie powiem.

- Nie wiesz?

- Co za różnica - wiem czy nie? Nie powiem i tyle. Sami poszukajcie.

- Pomyliłem się, Duchu...

Przysiadł Fiodor w kucki naprzeciwko rozmówcy, a minę ma taką, jakby znów zamierzał Ducha w ucho palnąć. Choć wie, że jego samego będzie bardziej bolało - ale tylko patrzeć, jak nie wytrzyma i wyrznie!

- Pomyliłem się. Nie jesteś prokuratorem ani ober-starcem. Przekupień jesteś. Figę z makiem sprzedajesz i łaskawie kota w worku dodajesz. Wszystko ci oddaj i idź do ciebie na naukę. I jak w bajce, trwała ta nauka będzie lat trzydzieści i trzy, nocami nam nie spać i pilnie baczyć na wszystko, co powiesz - żeby potem niedouczonymi zostać? Idź nie wiadomo gdzie, za siedem gór i siedem rzek, znajdź nie wiadomo co i łap żurawia na niebie - który może wcale żurawiem nie jest, a wroną w ogon szarpaną! Szukajcie dzieciaki swojego talentu, powołania - a po czorta on nam, ten swój, skoro cudzego leży wokół, że tylko brać! Wróbel w garści aż nadto nam wystarczy! Gdybyś ty choć góry złote obiecywał albo siłę od naszej większą - to

jeszcze byłoby zrozumiałe, po co się szarpać mamy. A tak?!

„Dla siebie... Dla siebie...” - szepcze Duch, objąwszy głowę dłońmi, ale Fied’ka go nie słucha - i dobrze robi.

- A tak - po co?! Nie, dzięki choć za to, żeś nie skłamał, nie naobiecowałeś cudów niewidów; za prawdę dziękujemy. Ale nie dla nas ta twoja prawda. Tak, Akulinko?

- Tak, Fied’ka! - po raz pierwszy od chwili, w której tu trafiliśmy, wyszedł mi prawdziwy uśmiech, bez goryczy i drwiny. - Wszystko tak, miły, dobrze powiedziałaś.

- Szkoda - jakby skurcz ściągnął wargi Ducha; odwrócił się od nas. I jak na początku - siedzi plecami do nas, łysina kroplami potu usiana... tylko jakoś się zmienił. Przedtem choć plecami do nas siedział, ale czekał.

Teraz już nie czeka.

Umilkły wróble, a i chrząszczyki w trawie ucichły, słońce za chmurą się skryło; upał powinien zelżeć - ale nie, zamiast upału duchota taka się zrobiła, jakby przed burzą. Zamarło wszystko w oczekiwaniu, trawka nie drgnie, nawet jeden listeczek się nie poruszy. Powietrze lepkie się zrobiło i gęste niczym kisiel. A pajęczce figury zamarły niczym widma milczące, mumie w całuny spo<sup>w</sup>ite, przedwcześnie zestarzałe niemowlęta w spirytusie zakonserwowane, pod muzealnym szkłem.

Strasznie mi się zrobiło. Sama nawet nie spostrzegłam, jak obok Fied’ki się znalazłam i wczepiłam się w niego jak w ostatnią podporę - a wtedy Duch się odwrócił.

Uśmiechnął się. Osobliwy był to uśmiech: pozbawiony złośliwości, wesołości i smutku. Jakiś taki bezosobowy i beznamiętny. Jakby wymuszony - powinien się uśmiechnąć, więc się uśmiecha. A sam tymczasem myśli o czymś innym.

- Nie śmiem was dłużej zatrzymywać, młodzi ludzie. Próbę przeszłście i dokonaliście wyboru. Zuchy z was i mądrale. Zasłużyliście też na ostatni mój podarunek. Za wasz upór.

Nie spodobały mi się te słowa! Od razu mi się Krym przypomniał, Sewastopol, „Babilon 5” i ten rotmistrz, co w nim zwariował. Jak wykrzykiwał do Fiodora, dopóki resztek rozsądku nie stracił: „...zjedzon będziesz na ostatku, kiedy się rozprawię z pozostałymi, oto mój podarek!”.

- Dziękujemy, nie trzeba! Lepiej już pójdziemy...

- Pójdziecie, pójdziecie, *ein moment!* - i pójdziecie. A od podarku nie spieszcie się wymawiać. Przedtem braliście, przyjmijcie i teraz. Jakże wam teraz podarków odmawiać, wy teraz w Zakonie, a ja - w was... i bardziej niż w drugich. Słuchajcie i patrzcie.

Gdzie patrzeć, Duch nie powiedział, a my nie zapytaliśmy, dlatego, że Fied'ka nagle rozwarł swoją piączę i popatrzył na czystą kartę.

Tę naszą, jedną na dwoje, którą z trawy podnieśliśmy.

Nasz los.

Ja też się w nią wpatrzyłam.

Z początku kolory rozmaite na karcie pojawiły się czarno-czerwonym fajerwerkiem. Zamigotały na atlasie wina, dzwonki, serca i żółędzie, niby szkiełka kolorowe w dzieciennym kalejdoskopie. To w Asa wicher się składa, to w Dameę, to w Króla, to w Waleta, to w Jokera-Błazna... Potem twarze jakies mignęły i nawet nie zdążyłam się przyjrzeć czyje. A potem nagle karta nabrała głębi niczym zwierciadło.

W tym zwierciadle pojawiły się dwie osoby.

Ale nie my z mężem!

Dwie czteroletnie dziewczynki bliźniaczki. Kędziorki złote, noski zadarte w niebo, policzki jagodowymi konfiturami umazane mają, a oczka chytre, chytrenkie, po dziecięcemu przebiegłe! Obie mają jednakowe sukienki, niebieściutkie z muślinowymi kołnierzykami. Dzieciaki jak z obrazka; patrzysz i napatrzeć się nie możesz! Zaraz krzykną: „Mamo! Tatuśku!” i z rozpędu w ramiona nam się rzucą...

Patrzymy w kartę zwierciadło, na dzieci swoje jeszcze nie narodzone, zachwycamy się nimi nie wiedząc - uwierzyć czy nie - a w skroniach krew nam wrogi wyrok wybija:

- Przekleństwo Bruderszaftu niech spadnie na was oboje! Nie dla was Ugoda, nie dla was chrześniacy w Prawie; nie ma ich i nie będzie. Zrosły się i splotły wasze losy, wasze dusze - i Druca z Raszela; nikogo więcej już nie wpuscicie do tego kręgu. Zapragniecie, będziecie błagać - ale nie zdołacie wyjść poza siebie. Zamknięte będą dla was wrota Ugody - choć zostawię wam furtkę. Oto on, mój podarek: wkrótce urodzą się wam dzieci. Bliźniaki. Będziecie mogli zawrzeć Ugodę z własnymi dziećmi, nie czekając na ich zgodę czy odmowę. Bez ich chęci - tylko z waszej woli. Odcisniecie siebie w nich. Tylko krew z krwi waszej i kość z kości waszych będzie mogła wejść w wasz krąg i go rozerwać. Wtedy przekleństwo Bruderszaftu zostanie zdjęte. Będziecie mogli żyć dalej jak wszyscy magowie. Nie chcecie być sobą - bądźcie kim chcecie, cieszcie się życiem... Ale pierwsza Ugoda - tylko z własnymi dziećmi! Własnymi... dziećmi...

**NOTATKI NA MARGINESIE**

*A teraz on sam, Duch Prawa w oczy wam zajrzał. Co tam zajrzał - przylgnął wzrokiem, że nie oderwiesz. Co on w nich widzi? Czyżby tylko: ...szkło.*

*Kawałek rozbitej okiennej szyby. Na podłodze. Z góry bije słońce i odbicie człowieka W szkle rozsiewa na wszystkie strony migotliwe zajęczki. Albo już nie słońce - obcas bije! W szkło. Z rozmachu. Lecą odłamki, lecą ludziki, jeden mniejszy od drugiego, jeden od drugiego zabawniejszy.*

*A zajęczki za nimi: poigrać chcą.*

*A obcas znów się unosi. O, w każdym odłamku widać: podniósł się i Zaraz opadnie. Będzie jeszcze więcej ludzików i więcej obcasów...*

Nogi gną się jakby z waty były, serce w piersi zamarło i ucichło ze strachu; stoję, padam, przewracam się, a w oddali dziewczki tanecznie zawodzą:

„Stała się mucha pająkiem krzyżakiem i w stół waliła kosmatym kułakiem...”

I podśpiewują wesoło:

„...zjedzon będziesz na ostatku, kiedy się rozprawię z pozostałymi; oto i mój podarek!”

### **III. FIODOR SOCHACZ ALBO TRUDNO BYĆ MAGIEM**

*Zstąp i usiądź w prochu panno, córko babilońska!*

*Usiądź na ziemi, a nie na tronie córko chaldejska,*

*Gdyż już nie będą cię nazywali milutką i pieśczołką.*

*Księga Izajasza*

- ...Aj, ne! Aj, ne-rie!

Cisza.

Tylko zachłystujące się swoim graniem oszalałe świerszcze. I znów, niczym tęskna wilcza kapela:

- Aj! Aj, ne...

Wieczór opada na ziemię niczym stado siwych gołębi. Późny wrześnieowy wieczór. Składając skrzydła, bawi się otulaniem w mrok wierzb na wzgórzu, zmusza surowych topolowych wujków do gniewnego kiwania głowami, obsypanymi siwymi liśćmi; ledwo słyszalnie szumi w sitowiu, udając zbłąkanego utratka - nie ochrzczonego niemowlaka,

utopionego przez matkę.

- Aj, ne! Aj, ne-ne...

- Śpiewasz - zapytał Fiodor unosząc się na łokciu. - Dusza prosi?

Druc nie dosłyszał. Siedział obok kolaski, wcisnąwszy ramię w stopień, a dończak Calvados pochylając się fukał mu w ucho, zapraszając do jazdy. Stary już był, Rom silwański, Walet Winny, starszy niż mogłoby się wydawać; po raz pierwszy Fiodor go takim zobaczył. A gdyby tak ną Kniahinię z ukosa popatrzeć? Nie! Nie może to być!

Wieczorze, wieczorze, cienisty panie - czy to twoje sztuczki?

Nieco dalej, siedząc plecami do Fiodora, zachwycała się wieczorem księżniczka Tamara. Też się nie odwróciła, cała pogrążona w zachwycie.

No, ale jej, biedaczce, można to wybaczyć. - Jefremie Iwanyczu! - gardło najpierw zapiało falsetem, ale potem już jak zwykle wytoczył się zeń bas. - Uszczęśliwcie mnie, rzućcie choć spojrzenie. Oczy czarne, oczy straszne...

- Aj, oczy straszne...

I kiedyż to on zdążył odmłodnieć, ten diabelski Rom. Podskoczył - nie! podfrunął i tanecznym krokiem podbiegł do byłego chrześniaka. Błysnął spojrzeniem! Jakby sto lat zrzucił z grzbietu i obcasami zdeptał. Jedną dłoń za głowę zarzucona, druga w biodro uderza, szybciej niż w bębenek.

Całą okolicę podniósł wrzaskiem:

- Wrócił do nas nasz kochany, Fied'ka znany i lubiany! Usiadł Fiodor. Pospiesznie pomacał się po ciemieniu, gdzie go kłuło. Skrzywił się: trzeba mieć szczęście, żeby na szyszkę natrafić. Walnął w nią chyba, kiedy padał nieprzytomny. Tańczącemu Drucowi księżniczkę wzrokiem pokazał, jakby chciał rzec: czego błaznujesz? Nie wiesz, jaka ona jest? Przy Tamarze zbędnego hałasu podnosić żadną miarą nie należy.

I zobaczył: znikła radość z romskiej twarzy. Rozpłynęła się niczym marcowy śnieg w deszczu. Jakby nie o upośledzonej na umyśle księżniczce Fiodor wspomniał, ale o winie nieszczęsnej, o grzechu nad grzechami.

- Ja... Fied'ka, chciałem jak najlepiej...

Fiodor niczego nie zrozumiał. Wszyscy chcą jak najlepiej. Mag chrześniak wszedł w Prawo, a chrestny najpierw pieśni ciągnie, jakby kota za ogon, a potem bzdury gada. Ciekawe, czy tak bywa ze wszystkimi, czy tylko Fiodorowi Sochaczowi od innych lepiej się powiodło?

No dobra, potem to sobie przemyślimy. Jeszcze podziękujemy i w pas się pokłonimy:

za naukę osobno, a za księżniczkę osobno. Wie Fiodor, że gdyby wtedy, gdy on, chłopczyk bawidamek na Prawo się nadział, tuż cjbok nie znalazł się Druc, nie wiadomo jeszcze, czy Tamara samotnie by to przeżyła.

Wstał i minąwszy Druca, ruszył ku księżniczce.

Po drodze pospiesznie przymierzył uśmiech. Fałd w kącikach ust nie robi?

- Tamaro Szałwowna! Pora do domu! Bo tam się chyba cioteczka Choreszan denerwuje...

Nie odpowiada. Tylko świerczki szumią za spokój duszy.

- Fied'ka... zostaw ją, na miłość boską...

Dłoń księżniczki była lodowata. Jakby chwycił kamień leżący na dnie stawu. Głębokiego, cichego, po samą powierzchnię wypełnionego czartami. Oto zjawi się teraz marmurowy dog Trismegistos, obliże palce pani - i trzeba będzie psi język z krwią odrywać.

Przymarznie.

- Boże, Druc! Co tu?.. Co się z wami stało? Rom milczy. Oczy pod kosmatymi brwiami kryje.

- Rozumiesz, Fied'ka... ja za tobą chciałem... A ona... Rozumiesz?

Fied'ka znów niczego nie rozumie. Absolutnie niczego. Oprócz tego, że on, Fiodor Sochacz, jest teraz magiem konwentowym. Od tej chwili już na zawsze. Nie jest Waletem czy królem - a czystą kartą, bez koloru. Kipi w nim moc i umiejętności. Swoje? Cudze? Prawdę mówił Duch? Kłamał? A co za różnica?

Znieruchomiał Fiodor przed Tamarą niczym bożek wszechwładny i oczami ku oczom sięgnął. Gdzie byś nie była, księżniczko, w jakich byś odmętach nie tonęła - wyciągnę cię ku nowemu życiu. Choćbym cię miał jak placek na patelni rozciągnąć, ale wyciągnę. Szkoda przecież dziewczyny, okropnie szkoda. Tak... już prawie... tak...

Nie wiedzieć czemu, jakoś tak bez powodu przypomniało mu się, jak na porębie w tajdze kłodę sam podnosił, towarzysza ratując, a potem leżał zwinięty w trzy kłęby.

Ciągnij, Fied'ka! Ciągnij! Podnoś! Ratuj! Ale uważaj, bo ci pczepukliga w duszy puści! Całe, to twoje wsenie w parę poszło; chcesz za czerwońca, a nie możesz nawet za kopiejkę!

Tylko bulgotanie.

- Przestań! - to Druc. Od razu pojął, ogłuszył krzykiem i wyniósł z głębi. - Przestań, bałwanie! Zostaw!

Z tyłu niby rak się wczepił i odciągnął. Skąd się taka siła wzięła u starego? Zmęczonego?

No, skąd?

- Do kolaski ją wsadź, Fied'ka. Do kolaski. A ja ci po drodze... ja ci...

- Do kolaski - odezwała się nagle księżniczka Tamara. - Fied'ka, to wy? Chcę do domu... tam się wszystko spaliło, do cna. Jedźmy do domu, dobrze?

...obok żarliwie, choć nieumiejętnie, żegnał się Druc.

I oglądał się przez ramię: tam, gdzie na skraju drogi, rozrzucając szeroko ręce, szczęśliwie uśmiechał się ku niebu martwy Winna Dziewiątka, pechowy Rom-koniarz.

W kolasce księżniczka od razu zasnęła. Wzdrygała się tylko we śnie, pojękiwała cichutko i znów zasypiała, opuściwszy głowę na ramię Fiodora. Niesforny kosmyk jej włosów łaskotał go w ucho, chciałoby się odsunąć go lub poprawić, ale strach było się ruszyć. Jeszcze się dziewczyna obudzi.

- Teraz jesteś w Prawie, Fied'ka - nie odwracając się, rzucił Druc. - Powinieneś zrozumieć, w jednym miejscu sokołem, w innym wężem być trzeba. Potrzebny ci uczeń. Chrześniak. Inaczej zgnije twój fart. Spłoniesz bez pożytku i to niedługo. Teraz ty z Akuliną tym samym jesteście, czym ja z Kniahiną - odcięte kęsy. Na tydzień albo na dwa nie próbuj żadnych fint. Zechcesz - nie wyjdzie.

- Dlaczego?

- Dlatego. Wyobraź sobie, szalona głowo: poszedł chrześniak na swoje, w Prawo i ani on, ani jego chrzestny nie znajdą pod ręką nowych uczniów. Albo są, ale trzeba im przyjechać, albo pojechać do nich... A na sobie fintę zawiązesz - przepadniesz. I dlatego nie dano nam siły po inicjacji. Tydzień, dwa - z pewnością. Czasami dłużej. Żeby był czas na dotarcie do nowego chrześniaka.

- Powinieneś mi to wcześniej powiedzieć - Fiodor czuł, że uraził Roma, ale słowa padały jakby same, bez zastanowienia. - Mądry mag po szkodzie. Tobie lżej...

Przez cały czas miał ochotę się obejrzeć. Z tyłu, za plecami, czegoś mu brakowało. Jakby skrzydeł - były, ale się zbyły. Albo jakby jaszczurczy ogon mu oderwano. Ale się nie odwracał - wstyd jakoś.

Głupiś ty, Fiodorze.

I Druca niepotrzebnie uraziłeś.

- Mnie lżej - zgodził się Rom. - Mnie było lżej, Fied'ka. Mój chrzestny miesiąc wcześniej mnie uprzedził. Jak tylko poczuł, że inicjacja jest bliska, zaraz mnie uprzedził. I co tam będzie i co tu się stanie. Wybacz mi, Fied'ka i wybacz Kniahini, jeżeli zdołasz. Wyczucie



straciliśmy. Myśleliśmy - jeszcze z pół roku naszych chrześniaków polerować będzie trzeba. A gdyby zacząć wyjaśniać wcześniej, niż należy... Można popsuć sprawę. Tak, jak się ciężę psuje. Nijak nie mogliśmy wcześniej, Fied'ka. Wybacz.

- Pali! - przenikliwym szeptem krzyknęła niemal księżniczka, usiłując usiąść z zamkniętymi oczami. - Pali!... Ból...Zgadzam się, zgadzam, niech pali... niech!

Fiodor przytulił do siebie krusze ciało, wiedząc, że gdyby żona to widziała, wybaczyłaby.

- Cicho, no, cicho... wszystko już dobrze, Tamoczka... I nagle, poniewczasie, dotarło do niego:

- Druc! Ona przestała się jękać!

Plecy Druca były obrazem poczucia winy i nieszczęścia.

W dworku czekały na nich długie wymówki. Za przeciągnięcie przejażdżki, za długą nieobecność, za brak pomysłu; wszystkim się dostało. „*Waj, mzetunachawil* - wytykała im cioteczka Choreszan, kiedy Fiodor niósł z kolaski do sypialni księżniczkę, która nawet się nie obudziła. - *Waj, sieni czirime* [\* - *Oj, ślicznotko ty moja! Czemuż nie mogę za ciebie chorować!* (gruz.)]”

I groźnym szeptem do Fiedki:

- *Ericha! Bedszawi, bedukugmarti* [\* - *Ericha!* - *okrzyk gniewu i dezaprobaty. Dalej: „Pechowiec (człowiek Z czarnym losem) i nieudacznik (z krzywym losem)”, (gruz.)!*

Fiodor milczał, nisko spuściwszy głowę. Ciężko było przyznać się przed samym sobą, że jest winien, choć nie on sam zawinił. Ale stokroć bardziej ciężko było słuchać obcej mowy, po raz pierwszy od wielu lat nie pojmując jej sensu. Kiwał machinalnie głową, zgadzał się ze wszystkim, a sam sobie wypominał: Druc miał rację.

Czyli będzie tak do pierwszego chrześniaka. Tydzień albo i dwa, a potem trzeba się będzie pospieszyć, jeżeli mu życie miłe.

„A co z żoną? Jak ona się czuje?!” - gryzła go myśl, pozornie nie mająca związku z innymi.

Rozmyślać o Przekleństwie Ducha Prawa jakoś nie miał ochoty.

Zaprzagnął czegoś innego. Tego, żeby posiedzieć do woli z Drucelem na ciemnej werandzie, przy blasku jednej świecy i przy schłodzonej do perlistej rosy na ściankach karafce; rozpytać go dokładnie o wszystko, co on sam - od tej pory mag wedle Prawa - powinien był wiedzieć przedtem, ale jakoś się nie złożyło. Tylko że ledwo wspiął się na werandę i spojrzął na Roma, który niby zbity pies skulił się w kącie...

Nie, Fied'ka.

Jutro.

Prawda? - jutro będzie czas na rozmowy, a dziś okropnie morzy cię sen. Za mało czasu było przedtem, lada moment padniesz na pysk... idź może do sypialni, co?

A gdy zwałił się na łóżko - tak jak stał, w ubraniu i w butach - runął tam, skąd niedawno wyszedł. W Prawo.

...stoi sobie Fiodor Sochacz z boku. Kolej teraz na niego. W biodrach go rwie, jak zwykle na deszcz, zębów już mu brakuje, w czuprynie źmijki siwych włosów się pojawiły, ręce zmarszczkami się pokryły. To wiek, którego nie oszukasz. Obok ukochana żona: dawna, znajoma, ale już jakby przekwitła z wiekiem. Znaczy, też lata... ileż to ich w tej przerwie pomiędzy jawą i snem przeleciało? Dajmy spokój.

Nie w tym rzecz.

...daleko w przodzie dwie postaci prą przez przegrody ku Duchowi Prawa. Bok w bok i ramię w ramię. Odsłania się morskie dno, góry im drogę przegradzają, wałą się ze szczytów kamienne lawiny, martwiaków cmentarne rotty spod ziemi wyłazą i przeciwko nim stają - a one idą i idą. Miraże ścierają się z mirażami, z nieba ulewa się leje, z ziemi para z sykiem się unosi - i proszę: cisza, szybko się rozwiewają ostatnie kłęby dymu i dwie postaci stają przed Nim.

Przed Duchem Prawa.

„...a my lepiej szliśmy - cicho, bezdźwięcznie, na wydechu tchnęła Akulina. Drapnęła pamięć, jakby kiepsko zagojoną i pokrytą cieniutką warstwą skóry ranę.

Kiwnął głową stary Fiodor.

„Przecież to prawda, Fied'ka?”

„Prawda” - kiwnął stary Fiodor.

„Choć one też, niczego sobie...doszły przecież, maleńkie nasze, rodzone...”

„Doszły - kiwnął stary Fiodor. - Niczego sobie... niczego...”

„A ty co tylko głową kiwasz? Kiwacz się znalazł? Popatrz. Prawie jak my z tobą... w młodości... prawie!”

Dwie postaci stanęły przed Duchem Prawa.

Dwie dziewczyny; dziewczynki właściwie.

Wasze córki.

Wasze chrześniaczki.

Prawie takie jak wy, prawie jak rodzice, lepsze od wielu innych... tylko odrobinę...

mizerną, nieznaczną odrobinę...

...zamilcz!

...i tylko łagodna kapela w mroku: tłuką się dźwięki niby muchy o tkaninę moskitiery, same siebie w pajęczyną zaplątując. Muchy, nici, pająki i magowie, przeszłość bez przyszłości - składają się w słowa.

...nie jesteśmy solą ziemi.

Jesteśmy solą na rany.

Płaczem w oddali i starym zakurzonym płaszczem.

Odchodzimy.

Prawie już przeminęliśmy.

„Dziwne - powiecie - dziwne...”

Nie odpowiemy.

Walety, Króle,

Asy i Damy - niestety, na nas pora!

Wynik, nieubłagany, jak życie.

Nie jesteśmy solą ziemi.

Jesteśmy solą na rany.

Dozorcy podmiotli dziedzince,

Szaszłykami chcą zostać barany,

Uczą Tory, Biblie i Korany,

Jak kopiejkom w ruble się zamienić,

A banknotom złotem się czerwienić.

Delikatnie i upojnie,

Pod oknem rozkwitły tulipany,

Basem dudni trzmiel pijany,

Buddom jawią się nirwany,

Kaznodzieje ryją w Janach,

A okręty na mieliznach śpią spokojnie.

Odchodzimy.

Prawie już przeminęliśmy.

Nie jesteśmy solą ziemi.

Jesteśmy solą na rany.

- Co tu, kto?!

- Cicho, Fied'ka, staruchę obudzisz. To ja, Druc... Usiadłeś na pościeli.

Odchrząknąłeś.

W okno zaglądał wielki, szczerbaty księżyc. Po jego sierpie, od rogu do rogu błakał się suchotniczy rumieniec; miesiąc chciał na Krym, gdzie mógłby się objadać uzdrawiającymi winogronami i pławić się u wód. Gromada gwiazd wokół niego bezdźwięcznie mu przytakiwała; tak jest, u wód! Tak jest, leczyć się, dużo jeść, spać i być może widywać sny...

Sen.

Chwała Bogu, to był tylko sen.

Niedługo zegar wybije północ. Lubi północ ten ścienny zegar z wahadłem podobnym do miedzianego Jabłka Upadku, zaciśniętego w paszczy węża; dla tego zegara północ to raczej nie jest najlepsza pora, ale służba nie drużba! - i zegar zacznie ją wybijać.

Niczym uderzenia śmierci.

Jakie głupie myśli czasami człeka nachodzą!

- Wiesz, Fied'ka, przyniosłem jarzębiaku... zimny... Napijesz się?

- Owszem.

- No proszę, more, już zupełnie wy dojrzałeś!.. Wódki chcesz... *Chasa, piasa, ekch, ekcheske pleskirasa* [\* - *Jedziemy, pijemy, płacimy jeden drugiemu (rom.)*!]! Świecę zapalić?

- Nie trzeba.

Złe przeczucie po niedobrym śnie przechodziło z trudem, resztkami dreszczu hulając po grzbiecie. Paskudnie było słuchać romskiej mowy Druca, nie pojmując znaczenia. Pustka za plecami, gdzie wcześniej niczym skrzydła stali *oni*, szczerzyła wilcze kły; nic to, Fied'ka, obejdzie się! Tydzień, dwa - a potem znajdziecie chrześniaków i wszystko będzie jak u ludzi...

W dłoni zaciskał martwym chwytem kartę, kiedyś białą. Teraz zresztą też powolutku się oczyszczała. Ale można było jeszcze rozróżnić żółdne znaki po rogach i - twarz. Osobliwa twarz, jakby znajoma, swoja, zwykła, ale z głębi występowały, żeby znów zniknąć i zapaść się same w siebie: Demeter z Bałakławy, nosata Greczynka chrześniaczka, jakiś staruch a przypudrowanej bielą peruce...

I przez wszystkich, w ostatnim, tym co wypłynął na końcu, Fied'ce Sochaczu, nieuchwytny nalot, niby pleśń - Duch Prawa.

- Ależ dureń z ciebie! Mówiłem przecież: mnie samego więcej w was od innych będzie...  
oj, dureń!

I proszę, karta czysta, jakby nigdy nic nie splamiło jej bieli. Odszedł Duch, znikł Fied'ka Sochacz, znikli Żółędni Widekowie.

Został tylko sen o córkach.

Ej, Fiodorze bez koloru! Czy to u „wideków” bywają zwykłe sny? Czemuż milczysz? A może nie jesteś „widekiem”?! A kim?

- No, Fied’ka, łap szklankę... Piję za ciebie, za naszą Akulinę. Wyrośliście, niedługo pozdrawiać nas przestaniecie! Nie, nie, żartuję...

- Dziękuję, Druc. Pozdrawiać ciebie i Kniahinie przestanę dopiero wtedy, jak mi język kleszczami wyrwą. A i to klaniać się w pas będę, dopóki grzbiet mi cały zostanie. Grzbiet mi złamią - głową kiwnę, jeżeli ta na ramionach mi jeszcze zostanie. Z tamtego świata rękę pomacham.

- Aj, pięknie mówisz, morę! Aż zazdrość bierze. Wypileś?

- Wypiłem, Druc.

- Weź chlebka. Nie szukałem specjalnie, wziąłem żytniego, pół bochenka, wy starczy... Mówią, że jak się za wiele zje na noc, to brzuchowi szkodzi.

- Owszem. Ale co ty kruszysz i rozrucasz... Daj mnie, ja sam...

- Rozrucam. Grzech chleb rozrzucać, a więc grzeszę. Przycisnęło mnie... jakby na katordze, po wyroku. Albo jakbym fintę na siebie obrócił. W biodrach mi chrzęści, palce niezdarne, kruche... ale co tam, przejdzie. Dobrze byłoby wiedzieć, od czego tak... chyba ze zmęczenia.

- Przejdzie. A ja, Druc, sen widziałem. Straszny. Wieszczy sen. Albo i nie wieszczy, co za różnica? Tak czy owak - straszny.

- Teraz wieszczych snów widywać nie powinieneś. Mówiłem przecież - tydzień, dwa... Weźmiesz chrześniaka, to odzyskasz siłę.

Miesiąc za oknem nagle wywinął kozła. Ugodził rogami pod samo serce: co, chłopie? Sen widziałeś? Wieszczy?! Powiedziano ci, przez tydzień, dwa - żadnych sztuczek bez chrześniaka. A ty sen...

Sen.

I karta twoja biała, białą pozostaje.

A kysz, gęby! Precz!

I tylko gdzieś tam na krawędzi świadomości drży niewypowiedziane pytanie, nieporuszona kwestia: „Dlaczego cię lamie, Druc? Ciebie, chrzestnego, konwentowego maga?!”

Nie! Nie może być! Nie może...

Wszyscy jesteśmy jedną pajęczyną, ale tak czy owak - nie może!

- Jeszcze po jednym, Fied'ka?

- Lej. Popuściło ci?

- Uff... jakby puszczało, powolutku. Wieku mój, wieku, ciężysz mi jak kamień młyński u szyi.

- Powiedz mi, Druc albo lepiej nie. Milcz.

- Co ci powiedzieć, morę?

- Twój chrzestny...

- Grengiro Dad? Ojciec Koni?

- Tak. Twój chrzestny - lepszy był od ciebie? Silniejszy? Mądrzejszy?

- Miody jeszcze jesteś, Fied'ka. Zazdroszczę ci. On był Królem, ja tylko Waletem jestem. Oczywiście, był lepszy. Nauczyciel powinien być lepszy od ucznia, od tego jest nauczycielem.

- Nie! Nie powinien! Nie!

- Nie krzycz, Fied'ka! Cały dom postawisz na nogi! Starucha Choreszan nas pozabija.

- A niech tam! Nie powinien! Zrozum, Druc, durna pało: jeżeli nauczyciel zawsze jest mądrzejszy od ucznia - to śmierć!

- Zmęczyłeś się, morę. I krytykujesz, czego nie rozumiesz. No, chlup... zapij wódeczką... O tak! Zuch! Znalazłeś sobie przeciwnika do sporu - mnie, Roma nieuczonego. Jutro pojedziesz do miasta, do ojca Grigorija, on ci wyjaśni dokładnie: Chrystus, Pierwszy Orędownik, był lepszy od apostołów, apostołowie byli lepsi od biskupów, a ci byli lepsi od swojej trzódki... bo trzódka już w ogóle grzeszną z natury była i jest. Tak było od wiek wieków...

- Nie!

- Tak. Ja co prawda chrzestnej Raszki na oczy nie widziałem, ale słyszałem od ludzi: Fira-Kokotka takie numery wycinała, jakie naszej Kniahini przyśnić się nawet nie mogły. Choć obie - Damy przecież! A wszystko dlatego, że nauczyciel od tego jest nauczycielem, żeby być lepszym od ucznia. I nie kłóć się ze mną, morę. Nie kłóć się, proszę. Odetchnij sobie, zagryź chlebkiem i znów sobie nalejemy.

- Powiedz mi, Druc... Powiedz! Ty też odmówiłeś?

- Czego miałem odmówić, Fied'ka?

- Pajęczyna? Nie zerwałeś? Nie kręć, tylko odpowiadaj. Odmówiłeś?!

- Jaka pajęczyna, Fied'ka?

- Wiesz, jaka! Kiedy Duch Prawa zapytał cię młodego: nie masz ochoty na zerwanie pajęczyny?!

- Wcale mi tak nie mówił, morę. Coś ci się pomyliło. Powiedział mi coś innego...

- Co ci powiedział?!

- Ech, morę... Poddał mnie próbie. Zapytał znacząco: Dufuńka, wielki panie, a zaprzecz się swego nauczyciela? Przepędzisz go z siebie? Jefrema z Druca?

- I co mu odpowiedziałeś?

- O mało mu w gębę nie naplułem. Ale nie zdążyłem; wyrzucił mnie precz. A szkoda, że nie zdążyłem, może teraz bym więcej rozumiał? Po co mnie sprawdzał, czego chciał? Kto go tam wie...

- Nikt nie wie. Polej jeszcze... Za oknem, od stawu, cicho stuknęły kopyta. Głucho warknął dog Trismegistos - raz, drugi - i nagle się zachłysnął radosnym, szczenięcym szczekaniem.

## **NOTATKI NA MARGINESIE**

*W zwodniczo smutnych, wilgotnych oczach doga Trismegistos, jeżeli pozwoli on obcemu wziąć się za skórę na karku i ustawić twarzą w twarz... pyskiem w pysk? Twarzą w pysk? Krótko mówiąc: ...mucha.*

*Zielona, tłusta. Brzęczy wesolo; podleci, usiądzie i na nowo spróbuje podlecieć. Skrzydelka ma błyszczące, łapki kosmate. A charakter - gorszego nie znajdziesz! Ot, na jakiego zwierza zapolować trzeba, jeżeli prawdziwym chwatem jesteś!*

*Dawno to było.*

*A wspominać i wstyd, i przyjemnie. Dziś już takich much nie ma...*

Zegar ze zdziwieniem chybnął wahadłem.

Północ.

Pora bić.

## **IV. ALEKSANDRA-AKULINA ALBO SIEDZĘ ZA KRATĄ...**

*I poprowadzę ślepych drogą, której nie znają,  
Ścieżkami im nieznanymi ich powiodę,  
Ciemność przed nimi obrócę w jasność,  
A miejsca nierówne w równinę.*

*Księga Izajasza*

Krata.

Czemu - krata? Obóz? Szałwo Timurazowiczu, gdzie twoje słowo kniaziowe, pułkownikowskie? Gdzie twój „dach”? Co, wiatr go na bakier przechylił?

Gdzie ja trafiłam, Akulka, do jakiego akwarium?

A przecież nie jestem tu sama! O, sapie i stęka ktoś obok. Głowę by obrócić i zobaczyć kto, ale szyja jakby zardzewiała. I noga. Prawa, nie w porę! I kusi, żeby przez ramię się obejrzeć; czemu za plecami pusto? Czemu zimno? Czemu ja to nie ja, a balonik bez sznurka?

Co to za wariactwa jakież?!

Rozzłościłam się - sama na siebie, na swoją szyję zardzewiałą, na całe durne życie z balonikami, kratami, zdróweczkami i przekleństwami; rozeźliłam się - i od razu usiadłam.

Dość już się należałam!

W szyi jak mi nie chrupnie, nogę igiełkami na wylot przeszyło, ale najgorsze to, że w głowie zakręciło mi się wszystko wściekłym walcem, ciemno się przed oczami zrobiło, a w brzuchu dzieciak brykać zaczął - tylko patrzeć, jak zemdleję! O tak, w moim położeniu akurat tylko się szarpać; nie daj Bóg, a przed terminem rodzić zacznę...

Z daleka, jak przez watę, słyszę głosy:

- Ocknęła się! Chwała Bogu!

- Aleksandro Filatowna! Gołabczko! Jak wy tam?

- Panienko, szybciej z klatki wyłaźcie! Bo tygra już paszczę rozdziawia!

- Ja zaraz, już zasuwę otwieram...

Jaka tam znowu „tygra” paszczę otwiera? Malutki mój, pasiaczku, to ty masz być tą „tygrą”? No, dobrze już, przestań warczeć...

I nagle wszystko runęło na mnie, jakby kto tamę przerwał: jakiś bałwan stojący wśród gapiów wziął i rzucił niedopałek Maluchowi do klatki, prosto na słomę! Dobrze, że obok przechodziłam, bo zanim by pobiegli po węża i zaczęli lać wodą. Maluch wcisnął się w kąt, słoma zaczyna się dymić, ale nie pozwoliłam, żeby zajęła się ogniem - zdeptałam. Potem zaczęłam Malucha uspokajać - i wtedy mnie wzięło.



Wejście w Prawo.

Ile czasu *tam* byłam? Przecież to nie mnie w oczach, ale wokół ciemno się robi! Ejże, Akulino, Panienko od Zwierząt! Co najmniej dwie godziny w tygryziej klatce leżałaś!

- Malutki, ty co? Przecież to ja! Nie poznałeś? Zuch, Maluch, dobry tygrysek, mamy broniał i nikogo nie dopuszczał...

Słucha. Jakby się uspokajał. No, teraz tylko podrapać go za uchem, pogłaskać na pożegnanie - i trzeba się zbierać. Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej...

I nagle do mnie dotarło: nie mogę teraz do niego podejść! Nie mogę go pogłaskać ani za uchem drapać! A już za nic plecami odwracać się do niego nie wolno. Denerwuje się Maluch. Co prawda, niczemu nie jest winien. Chodzi o mnie? Ale czy słyszał kto kiedy, żebym ja Malucha pogłaskać nie mogła? Przecież byłam mu jak mateńka rodzona...

- Dobry Maluch... Zuch, kochany...

Słucha. I z miejsca się nie rusza. Ale tak czy owak patrzy podejrzliwie. No, dobra, niech patrzy - już oparłam się plecami o kraty, już i drzwi ustępują powoli...

## NOTATKI NA MARGINESIE

*Jeżeli zajrzeć w żółte ślepie tygrysa... Ale uwaga! Zaglądajcie ostrożnie! Powiadają, że zwierz nie wytrzyma ludzkiego wzroku. A wy wytrzymacie spojrzenie tygrysa? Proszę bardzo: ...Bursztyn.*

*Padasz w tę drogocenną głębię, lecisz, opadasz...- opadłeś. Brzeg rzeczulki w tajdze. Rzeka pluszcze leniwie, sieje setki słonecznych zajaczków, w przepojonym słońcem powietrzu pławi się żywicznym aromatem; na wąskim pasku jasnego, przybrzeżnego piaseczku - ślady kopytek. Sarna. Mamo, ja tylko na chwilkę!*

*Dogonię ją i zaraz wrócę!*

*Dobrze?*

Chwytają mnie silne ręce, stawiają na ziemię i podtrzymują, żebym nie upadła - bo nogi jeszcze nie za bardzo chcą mnie słuchać. Z tyłu zgrzyt zasuw. No, to wszystko, wydostałam się! Nie, Malucha oczywiście się nie boję, niczego by mi nie zrobił, ale mimo wszystko...

Oddycham głębiej i odwracam się.

Szczotka ryżych wąsów i rasowy nos na smagłej w tym półmroku już niemal czarnej

twarzy, a w oczach - strach! Szałwa Timurazowicz, pułkownik żandarmerii, śledczy „Barbarzyńca” - boi się! Ojczulkowie przenajświętsi! Rata!

Dziś już chyba zdarzył się jeden z tych dni, podczas których dzieją się rzeczy niemożliwe. Wokół kręcą się jacyś ludzie; Polikarpycz z Agafonyczem wrzeszczą coś jeden przez drugiego i dławiąc się śmiechem, walą po plecach przysadzistego stójkowego, który z ulgą w oczach ociera rękawem lśniące od potu czoło; z boku radośnie szczebiocze coś zastępca zarządcy; hełm korkowy zsunął mu się na kark, a spod hełmu włosy słomiane niby strzecha mu sterczą - z pulchnych warg pospiesznie sypie jakieś usprawiedliwienia. Śmieszny jest, ubiera się jak brytyjski urzędnik kolonialny: koszula barwy dziecięcej „khaki”, krótkie szorty i ten korkowy hełm... wypisz wymaluj ogrodowy strach na wróble! Ale po za tym, niezły z niego chłopak, nie taki jak tamten stary złodziej...

Patrzę na niego i widzę, że wargami porusza - ale słów nie słyszę. Jakbym była nie tutaj, ale gdzieś daleko, na skraju świata. W tym kraju, gdzie obok mnie jest tylko pułkownik Gandieri; i jeszcze Kniahini.

- Aleksandro! Gołąbeczko! Żyjesz?!

- Żyję, wujku Szałwo, nie w takich opałach bywałam! - uśmiecham się zeszywniałymi wargami.

Ale sama czuję, że kłamię jak najęta. Nie w takich opałach... akurat! Tu przepaść lada chwila można... dławi mnie ze wszystkich stron. Ciasno mi i duszno. W głowie mi się kręci, zakwas jakiś mam w ustach, jakbym miedziany klucz lizała; i kusi mnie, żeby się obejrzeć za siebie.

Oglądam się.

Nie na zewnątrz, tylko *wewnątrz*.

Za plecami nie ma nikogo. Ani Druca, ani Kniahini! Pusto. Nikt nie mrugnie porozumiewawczo, palcem nie pogrozi, nie podtrzyma, nie pomoże, ani nie ryknie bezgłośnie.

Pustka.

I tylko jedno: jakby czyjś wzrok przylgnął mi do pleców. Nie wiadomo, kto patrzy. Jakby się nie odwracać, z tyłu stoi.

Zamiast tych, co zwykle.

- ...dziękuję wam, panowie, za pomoc! Chwała Bogu, wszystko skończyło się na strachu! Jeszcze raz wam dziękuję. A teraz my z żoną i ojcem Grigorijem odwieziemy Aleksandrę Fiłatówną do domu, skąd wezwiemy lekarza. Zapomnijcie więc o niepokoju. Życzę panom dobrej nocy.

Kniaź bierze mnie pod rękę, ojciec Grigorij pod drugą. Teraz pojedziemy do domu... dziękuję wszystkim; wam, Polikarpyczowi z Agafonyczem i śmiertelnie przestraszonemu stójkowemu, i nowemu zastępcy zarządcy, i stróżowi, Maluchowi... aj, niemal bym zapomniała!

Obracam się w przelocie:

- Polikarpycz! Nie zapomnij zmienić ściółkę Maluchowi, dobrze?

- Zrobi się, Aleksandro Fiłatowna! Mimo wszystko to poczciwi ludzie!

- ...nie bój się, dziewczyno, nie rozglądaj się niepotrzebne. Wiem, jak się czujesz. Pusto dookoła, nieprzytulnie, chłodem ciągnie i jakby ci skrzydła podcięto, prawda?

- Tak... a skąd wy... skąd?!

Ależ ja głupia jestem! Głupią byłam i głupia zostałam! Przecież Kniahini w swoim czasie też w Prawo wkraczała! Wszyscy chyba przeżywają to tak samo.

A ty co myślałaś? Że jedna jedyna jesteś?!

- Wiem, Aleksandro. Nie bój się, wszystko przejdzie, nie potrwa to długo - wszystkiego tydzień, może dwa... a potem będzie lżej. Chrześniaka sobie weźmiesz. Szałwa Timurazowicz mówił, że już on się o to zatroszczy! Wszystko będzie dobrze, sama się przekonasz. Najważniejsze, żebyś się nie przejmowała i niczego się nie bała - nie wolno ci teraz...

To się doczekałam: nieródka Raszelka nosem mnie w moim wstydzie zanurza! A przecież ma rację, nie powinnam się teraz po tygrysiach kłatkach pętać - w mojej sytuacji o dziecku przede wszystkim myśleć mi trzeba! W domu siedzieć, do wykładów się przygotowywać, konspekty i książki rozmaite czytać, pieluchy szyć i czekać na męża. Och, za mało mnie mateczka w dzieciństwie prała i rozumu do głowy nie wbiła! O ściółce dla Malucha sobie w porę przypomniałam, a o sobie i dziecku, które niedługo urodzić się powinno, zapomniałam!

Ładna ze mnie matka będzie!

- Oto kolaska, Aleksandro. Ostrożnie, stopień... Tak, dobrze, miejsca wystarczy i dla was z Elzą, i dla ojca Grigorija, a dla siebie zaraz jakąś przejeżdzną wywołam. Niechże pani odpoczywa, gołąbeczko. Zaraz pojedziemy do dworu.

- Proszę się o mnie nie niepokoić, wasza jasność! Ja akurat mogę w drugim powoziku się przejechać. A pan niech siada z damami.

- Dziękuję, ojcie Grigoriju. Ale...w takim razie, może lepiej wam będzie wrócić do siebie? Jeszcze raz dziękuję za pomoc...

- Nie, wasza jasność. Proszę nie uznać tego za natarczywość albo za chęć wproszczenia

się w gościnę o tak nieodpowiedniej porze. Chciałbym pojechać z wami. Mam przecucie; dałby Bóg, żebym się mylił, ale sami wiecie, że *nasze* przecucia rzadko nas zwodzą...

- Dobrze. Hej, dorożka! Wsiadajcie, ojcie Grigoriju...

- Dokąd jaśnie pan każe? Dorożkarz.

Gęsty, zachrypnięty bas..

- Znasz drogę do Malygina, serdeńko?

- Do Malygina? Raczy pan żartować? Kto tam na noc pojedzie? Wybaczcie, panie...

- Podwójnie płacę. W obie strony. Zanocujesz u mnie we dworze, wrócisz rano. Oprócz tego dostaniesz kolację, a konie owsa, ile zjedzą.

Milczenie.

Dorożkarz raczy się zastanawiać.

- No, jak tak... podwójna zapłata i kolacja... no, dobra, jedziemy. Dziękuję jaśnie panu!

Głosy cichną, odpływają coraz dalej.

- Bardzo dobrze, dziewczyno! Pośpij sobie, to dla ciebie teraz najlepsze, co może być...

Najlepsze... co może być... Choćbym nie chciała, oczy same się kleją. Poczulałam takie zmęczenie, jakbym cały dzień wodę nosiła! Tylko - czemu do dworu? Czemu? Noc już wkrótce będzie.

- Powiedziałem, siadaj do drugiej dorożki razem z ojczulkiem! - przebił się z daleka gniewny głos kniazia. - Obejdę się bez woźnicy! Zrozumiałeś? Czy może mam ci powtórzyć, kochaneczku?

Od głosu pułkownika ciągnie chłodem, jak od styczniowego stawu; lada moment lód trzaśnie i z głębin chluśnie mrokiem. Oj, dostanie się wtedy temu woźnicy, dostanie.

Cóż to się dzisiaj wyrabia z kniazem?

- Tak jest! Jak wasza miłość rozkaże!

Jedziemy do dworu! Piękny dwór, jak rodzona... rodzona? Córka? Boże! Przecież tam została córka Szałwy Timurazowicza! Tamara! I mój Fied'ka - też bez przytomności chyba leży! Oto czemu straszna trwoga, zupełnie nie licująca z wizerunkiem „Barbarzyńcy”, pluskała w oczach i głosie kniazia Gandieri.

- Wszystko będzie dobrze, Aleksandro. Spij.

Wszystko będzie... Wszystko będzie... Niedługo znajdziemy się w posiadłości i wszystko będzie dobrze; stukają kopyta, turkoczą kola po bruku - wszystko będzie do-brze... dooobrze...

\*\*\*

- A oto, serdeńko, i wasz przyszły uczeń. Albo, jak wy to mówicie, chrześniak. Patrzenie

i podziwiającie: Aleksandra Fiłatowna, Anatolij Jewgrafowicz.

- Rad jestem panią poznać, Aleksandro Fiłatowna!

Ależ oczy ma ten nasz Aleksander Jewgrafowicz! Dwa księżycy w pełni, otoczone gwiazdkami! Rudy jak płomień i piegowaty... Oj, przecież ja sama... Lizo Patrikiewna! Cóż to się dzieje? Książ umyślnie mi chrześniaka „pod kolor” dobrał, czy co?

A dłoń całuje z szacunkiem, co mi się nawet podoba.

Ileż masz lat, miły Toleńko? Piętnaście, szesnaście?

- Za waszym pozwoleniem zostawię was samych. I wydam polecenie, żeby was nie niepokojono. Te apartamenty są do waszej dyspozycji, jak długo zechcecie. A teraz, żegnam!

Rajfur by lepiej nie potrafił! - pojawiła się osobliwa myśl.

I bardzo dobrze, że tak mi się pomyślało. Popatrzę jeszcze sobie na ciebie, mój ty rudzielcze i pośmieję się, kiedy zaczną ci się te wstydlive sny. Będiesz chyba bez przerwy chodził czerwony jak raczek i nie spojrzysz na mnie bez wstydu w oczach! Co prawda tobie jakoś ujdzie, chłopak w końcu jesteś... a jak Fiedce też chłopaka podsuną na ucznia? Druc powiedział kiedyś kilka słów za wiele, bokiem im to wychodziło!

I śmiech, i grzech!

No dobrze, na razie trzeba się zająć sprawą. Bo Anatolij Jewgrafowicz pięknie z hukiem, rozsadzony niecierpliwością - o, już mu rumieniec wypłynął na policzki i pała niczym burak ćwikłowy!

Za wcześnie.

No nic, zdążysz ty się jeszcze nacerwienić.

- A więc, Anatoliju Jewgrafowiczu, czy pan pułkownik raczył wam powiedzieć, na jaką naukę was posyła?

- Można... zwyczajnie... Anatolij!

A z odpowiedzią na pytanie się nie spieszy. Wargi zagryza. A potem rzuca krótko, patrząc w podłogę:

-Tak.

- I wy, mój miły... zwyczajnie Anatonu... dobrowolnie się zgodziliście? Przecież w naszej sprawie nie może być przymusu. Tylko na własne życzenie ucznia. Chcę je usłyszeć na własne uszy.

Aż się zaperzył:

- Oczywiście, dobrowolnie, Aleksandro Fiłatowna! Przecież to na polecenie komisji

Rady Państwa! Zgodnie z rekomendacją Trzeciego Oddziału! Z błogosławieństwem synodalnego ober-starca! Ojczyźnie na użytek! Ja... ja się sam zgłosiłem! A tym bardziej... tym bardziej uczyć się eterycznych działań u najpiękniejszej kobiety na świecie... u takiej jak wy, Aleksandro Filatowna! Nie śmiałem nawet o tym marzyć!

Zmieszał się, poczerwieniał i w końcu umilkł.

No tak, jakże tu mówić o przymusie! Sam się zgłosił, oczywiście że sam. Ciekawe, czy Fied'ka nie zacznie okazywać zazdrości? No dobrze, w końcu to żarty...

Potem.

- No cóż, mój miły Anatoliju, nie będziemy chować naszych uczuć pod sukniem. Niechże pan będzie tak uprzejmy i przygotuje się do zawarcia Ugody.

- Teraz? Tutaj?! - chłopak aż pochylił się ku przodowi.

- Owszem, tutaj i teraz. Jest pan gotów?

- Ależ z największą radością! Oddaję się w wasze ręce, Aleksandro Filatowna.

Słowo zostało powiedziane. Pamiętasz?

- Wujku Druca! Najmilszy! Nie rozmyślałam się! Nogi... nogi całować...

- Moje nogi zostaw w spokoju. Chodź no tutaj...

- Raszelo - odezwał się Fiedoniuszka. - Ja z tobą, Raszelo. Ja z wami. Nie chcę... jak ta kura, bez głowy. Nie chcę. Wolę zdechnąć.

- Nie trzeba - odpowiedziała Kniahini, widząc przed sobą bezgłowe zwłoki na marmurze. - Nie trzeba, Sochacz. Lepiej zdychaj.

- Trzeba.

- Zechce pan podejść do mnie. Proszę stanąć obok. I niech mi pan poda dłoń. O, tak... zuch! Proszę się przygotować...

Czy wiem, jak się zawiera Ugodę?

Wiem. I nie tylko dlatego, że moja ręka już kiedyś płonęła w płomieniu Ugody, zgnieciona w ciężkiej łapie wujka Druca. Po prostu *wiem*. Wiedza ta weszła we mnie pewnie wtedy, gdy z Fied'ką podnosiliśmy z trawy i zeschłego igliwia - pustą kartę.

Kiedy weszliśmy w Prawo.

Wokół nas pokój teraz zawiruje w koło, pokryje się roziskrzoną, mglistą siateczką drzeń - i przed nami rozwinie się zwój z płonącymi znakami, których nie umie przeczytać żaden z żyjących magów...

Teraz...

Stoimy wzięwszy się za ręce, jak przed ślubnym ołtarzem, choć kapłan się spóźnia, na

klirosie\*[\* - *Miejsce w prezbiterium cerkiewnym na podwyższeniu, gdzie zbiera się chór.*] nie ma chóru, gości zatrzymało coś po drodze i nikt nie podchodzi do ołtarza, by śpiewnie zaintonować tradycyjne słowa.

Gdzieś ty, Duchu Prawa?

Jesteśmy tutaj, przyszliśmy, czekamy!

- Przyszliście? Po co? Przecież uprzedzałem...

Czarny, oślepiający ból. Mrok, w którym bryzgającymi z oczy iskrami, łzami i piegami ryżego Anatolija wybuchają i gasną pożegnalne gwiazdy... Wybuchają... Gasną...

„Nie wolno!” - krzyczy Kniahini z mroków przeszłości.

„Lepiej zdychaj!” - krzyczy Kniahini z mroku przeszłości.

Raszel? Podobna jestem? Do ciebie?! Do Druca?!

„Nie wolno! - krzyczę z prawdziwego mroku. - Lepiej zdechnę!.. Lepiej...”

Gwiazdy.

Aksamitna czerń gwieźdnego nieba usiana iskrzącymi się kryształkami; blask księżyca, przesączaający się przez gałęzie drzew czyni całe otoczenia nierealnym, bajkowym i tajemniczym - jakby przedłużeniem trwającego jeszcze snu...

Sen!

To był tylko sen!

Stukają kopyta, kola skrzypią po drodze, powóz miękko się kołysze i ten ruch uspokaja, obiecuje nowy, drugi, prawdziwy sen, w którym wszystko będzie dobrze, dooobrze...

Głosy. Znajome głosy, trudno ich nie poznać, szczególnie jeżeli szepczą tuż obok. Książ i Kniahini mysTą pewnie, że śpię. No, niech sobie mysTą, nie będę niszczyć ich złudzeń.

- ...uczniowie?

- Szałwo, nie trzeba się spieszyć. Niech odzyskają siły i spokój ducha, niech przywykną do myśli, że teraz sami są magami w Prawie. Pośpiech jest niebezpieczny i niepotrzebny...

- Ależ Elzo... wiem dobrze, że konwentowi magowie nie potrafią pracować samotnie! Rozumiem, że rozmowa o tym sprawia wam ból, a jeszcze rozmawiać o tym ze mną. Ale kto wam okaże większe zrozumienie ode mnie? Obchodzić się bez eterycznych działań też nie możecie. Wcześniej czy później siła wyrywa się spod kontroli... Widziałem pana Oznobiszyna i nie chciałbym, żebyście się znaleźli na jego miejscu! Warto przeciągać sprawę i ponosić ryzyko? Jesteś mądrą, doświadczoną kobietą, możesz się jeszcze jakoś powstrzymać, zachować kontrolę - w przeciwnym razie nie przetrwalibyście na katordze, a potem na zesłaniu. Ale młodzi...

- Dziękuję, Szałwo. Nie, naprawdę dziękuję za troskę. Faktycznie wiele o nas wiecie... więcej niż ktokolwiek inny...

- Pospolita, kmiot?

W miarowym, spokojnym głosie kniazia drży nutka - niezauważalna prawie, niewyraźna i dopiero po chwili pojmuję: on się uśmiecha.

Naprawdę.

- Szałwo, niepotrzebnie ironizujesz. Wiesz wiele, ale daleko ci do prawdziwej, dogłębnej wiedzy. A ja nie uciekam się do ironii: to, co opowiadam tobie, powinnam była opowiedzieć tej nieszczęśliwej dziewczynie... ale jakoś się nie złożyło. Zrozum, kiedy nowy mag wchodzi do konwencji, następuje pauza. To jak opóźnienie przy ciąży, jeżeli darujesz mi podobną wulgarność. Na tydzień, do dwóch tygodni tracimy zdolności do „eteru”. I dotyczy to wszystkich; starych, doświadczonych atutów i młodych magów, którzy dopiero weszli w Prawo. W najbliższym czasie młodym nic nie grozi. Pozwólcie im dojść do siebie... im i nam. Przecież wy już wszystko macie gotowe?

- Oczywiście, Elzo, przecież obiecałem... Przerwa? Dziwne, że sam się nie domyśliłem...

Kniaź długo milczy.

W mroku słychać tylko jego oddech, przypominający szelest opadłych liści. Przez cały czas wydaje się, że Gandieri lada moment zaczną kaszlać.

- Czyli ochotnicy będą potrzebni dopiero za tydzień lub dwa?

- A czemuż to, Szałwo? Można i wcześniej. Myślę, że w zupełności wystarczą trzy, cztery dni. Mag może wziąć chrześniaka w dowolnej chwili, choćby w minutę po wejściu w Prawo. To jedyna rzecz, do której jesteśmy zdolni w tym okresie. Ale jeżeli termin minie jałowo, nasze umiejętności zaczną się odtwarzać niezwykle szybko i wtedy mag może nieumyślnie spalić sam siebie. Widzieliście, jak to wygląda...

- Widziałem, Elzo. W szpitalu...

Rozmowa odpływa i tonie w mroku nocy. Jakby pułkownika i Raszel uniosła kolaska, a ja zostałam sama. Sama, samiuteńka... czyli za trzy, cztery dni? Kiedy odpoczniemy? Przywiodą mi przyszłego chrześniaka, a on będzie trzepotać rzęsami i oblewać się rumieńcem... Potem zaś...

Ugoda?

Czy czarny, oślepiający ból? Mrok, w którym gasną iskierki?

- ...tak, Elzo - powraca głos, a ja aż się wzdrygam od uczucia spóźnionej radości: nie



jestem sama! Nie jestem sama! A może jednak sama?! - Owszem, pamiętam. Nie trzeba o tym mówić. Chociaż... Wiesz, wciąż myślę o tym chłopczku, którego pan Oznobiszyn dosłownie ściągnął z powrotem z tamtego świata! Przecież gdyby Żołędny Król został przy życiu, groziłaby mu śmiertelna kaźń przez powieszenie. Śmierć za uratowanie życia. Surowe jest prawo dla nekromantów. Wiesz... daleki jestem od myśli, że pan Oznobiszyn całe życie poświęcił szlachetnej i altruistycznej działalności dla dobra swoich bliźnich. Ale chyba nie po raz pierwszy zastanawiam się nad sprawiedliwością naszych praw. Nad ich *zasadniczą* sprawiedliwością. Nie myślę o Literze Prawa, ale o jego Duchu! Mam nadzieję, że mnie rozumiesz, Elzo?

Chyba się przesłyszałam! Komendant szkoły śledczych, pułkownik żandarmerii głośno wątpi w sprawiedliwość Prawa! *Ich* Prawa! Przecież „Barbarzyńcy” to w istocie Prawo samo w sobie, jego duch i litera!

Opamiętajcie się, kniaziu!

- Opamiętaj się, Szałwo! - w głosie Kniahini dźwięczy prawdziwy strach. - I wy to mówicie? Od kiedy to śledczy wątpi...

I pełen wściekłości, nieznany mi krzyk w odpowiedzi: - A ja co - nie człowiek jestem?! Paragraf Kodeksu Karnego?! Nie boli mnie?! Nie zdarza mi się bać?! Nie mam prawa do wątpliwości?! Przecież oprócz Prawa mam jeszcze sumienie, sumienie człowieka, który widzi...

Gandieri nagle milknie. Na pewien czas zapada cisza; stukają tylko kopyta, skrzypią koła, ledwie słyszalnie postępują resory, obiecując kolejny nowy, inny i zdrowy sen, w którym wszystko będzie dobrze...

- Wybacz mi, Szałwo. Okazuje się, że wcale cię nie znałam. Wybacz mi, błagam na wszystko, co wam drogie. A co do praw, waszych i naszych... Czasami mi się wydaje, że odrzuca nas - samo społeczeństwo albo - jeżeli chcecie - państwo... wyciska jak ropny wyprysk. I właśnie dlatego wymiar sprawiedliwości nie widzi różnicy pomiędzy uratowanym od zapalenia płuc synem mieszcanki Urtiumowej, a podniesionym z grobu lichwiarzem Jaworskim - obudzonym po to, żeby nieboszczyk mógł zdradzić, gdzie ukrył oddane mu w zastaw kosztowności.

- Poczekajcie, Elzo... Lichwiarz Jaworski? Sprawa w Gurzufie? Ach, sami widzicie: do śmierci pozostaną śledczym i żandarmem! Owszem, masz rację; prawo państwowe nie czyni różnicy. Ale przecież ona istnieje?

- Zależy, jak na to patrzeć, Szałwo. Wedle prawa istotny jest przecież sam akt „działań

eterycznych”, a nie ich cel czy rezultat. A po rozmowach z ojcem Grigorijem zaczynam myśleć, że ważne jest nawet nie „eteryczne działanie”. Istotne jest coś innego... coś, co budzi niewątpliwe i bezwarunkowe odepchnięcie, odrzucenie. Nie pytaj mnie, co to takiego? Sama nie wiem.

- Szkoda. A może - na szczęście... Jak myślisz?

Stoję na uboczu, jadę w dorożce, odpływam we własny, niedostępny dla innych mrok. Czyli doktor Oznobiszyn umarł?! Ten sam?! Trupiarz? Czemu więc nie czuję radości, a przeciwnie, kłuje mnie w sercu?

Przecież wtedy, w Bałakławie, niewiele brakowało, a by nas pozabijał.

Nie należy się radować, kiedy umiera człowiek. Choćby był trupiarzem-nekromantą albo samym diabłem rogatym. No, z tym diabłem to oczywiście przesada, ale mimo wszystko... Kiedy spędzasz wiele czasu ze zwierzętami, lepiej zaczynasz rozumieć ludzi. Dawno już to zauważyłam. Wtedy przecież mi się wydawało: gdybym mogła, to rozerwałabym Piotra Walerianycza na strzępy! A Maluch - on też, kogo zechcesz, na strzępy może rozerwać; a dla mnie nie jest żadnym „drapieźnikiem” ani okrutnym zwierzem; pamiętam go jako malutkiego kotusia, karmiłam go z butelki, jak własnego dzieciaka... dziecko... swoje... własne...

W głowie mi się kreci, niczym w walcu przy gwiazdzistych świecach; powóz się kołysze usypiająco, niczym fale w morzu, w sinym morzu, oceanie, gdzie pływa senna rybka-akulka...

- ...dwójka! Aleksandro Fiłatowna! Bliźniaczki! Dziewczynki. Zdrowiutkie, chwała Bogu! Winszujemy!

Winszujemy! Winszujemy! Winszu... - tremolo akuszerki echem odbija się od ścian, aż drżą szyby w oknie i dzwonią niklowane instrumenty, które pasują raczej do pracowni mistrza oprawcy - szum się wzmacnia, dzwoni w uszach niczym setki janczarów-dzwoneczków.

Win-szu-je-my!

Przed oczami rozmyte cienie; poruszają się powoli, jakby w mętnej, przeświecionej przez promienie słońca wodzie. Największy cień nachyla się nade mną, zmuszając inne do cofnięcia się; dobrze mi w tym cieniu.

Kochany głos:

- Jak się czujesz?

- Dobrze... dobrze, Fied’ka! Już mnie nic nie boli... Mamy bliźniaki, dziewczynki!

Nie donosiłam was, dziewczynki, ale będziecie musiały wybaczyć waszej pechowej

mamie. Przecież wybaczyście, prawda?

- Widziałem już te twoje walkirie - dudni cień-Fiodor i nagle zaczyna się szybko zmieniać, chudnie jakby... na ułamek sekundy wydało mi się, że w cieniu mignęła znajoma spocona łysina, odstające uszy i siny nos pokryty wągrami...

- ...z dziećmi, tylko z własnymi dziećmi... - zahuczało przeciągiem, a koszula przyłgnęła mi do ciała. - Tylko! Z dziećmi!

Gdzie lekkość w ciele? Gdzie się podział balonik? Ciało jakby po brzegi ołowiem mi się wypełniło. Jakby mi kto skrzydła podciął.

- ...musimy porozmawiać, Akulino.

Pochmurny jest dzisiaj ten mój Fied'ka i posępny: brwi - jak dwie burzowe chmury, a spod nich tylko patrzeć, jak gromy się sypną... i choćby jego samego w popiół obrócić!

- Pamiętasz bajkę o wiernym słudze, Akulino? Tym, co serce obręczami sobie skuwał... niedługo popękają moje obręcze. Nie mogę dłużej trzymać w sobie siły magicznej; rwie się na zewnątrz i szuka ujścia. Nic nie mów, mila! Wiem, że nie tylko ja jestem w takim położeniu. Spalimy się i nie utrzymamy... trzeba zawrzeć Ugodę.

Twardo to zostało powiedziane, o tej Ugodzie, jakby siekierą ciął; a sam oczy odwraca.

Och, Fied'ka, jak ja dobrze cię rozumiem! - Może, poczekamy jeszcze? Przywykniemy, przecierpimy... mówię, a sama wiem, że nie przywykniemy, nie przecierpimy! Wybuchniemy wcześniej albo później. Sami siebie zabijemy.

- Przecież to dzieci! Nasze dzieci! Maleńkie jeszcze! Jak pomyślę, że bierzemy je za rączki, Duszeńkę i Tamarę - i w ogień!

- Milcz! Mnie samemu z serca krew się wylewa! Tylko... cóż mamy począć, Akulino? Spalimy się nadaremnie i dzieci bez opieki zostawimy. I co, lepiej im wtedy będzie?

A może i lepiej? Lepiej niż z takimi rodzicami, co biorą dzieci za ręce - i w czarodziejski ogień? W pajęczynę, niby muchy pojmane i zostawione pająkom na pożarcie? A pająki - to my z Fiedieńką! Sami sobie jesteśmy pająkami, muchami, pajęczyną, szkoda tylko, że żyć bardzo się chce! I dlaczego my?! Nie można było tak, jak u wszystkich? Za jakie grzechy taki los nam zgotowano?!

A dzieciom?!!

Rację miał Druc: za wszystko trzeba płacić. Oto i płacimy za siłę naszą niebywałą, większą od tej, jaką mają Króle i Asy, której nie da się wcisnąć w żadną talię i w żaden kolor! Ciasno jej, tej sile, co w nas siedzi zamknięta - a ujścia nie masz! Nie, niby jest - ale lepiej, żeby go nie było, tego wyjścia, tego wyboru, żebyśmy nie musieli się szarpać i rwać na części!

Z pewnością głupia jestem. Z pewnością rację ma Fied'ka. Powiedzmy, że dzieci będą

podobne do nas. Inni rodzice przecież się cieszą! Wykapany ja! Kopia! Będą Paszeńka i Tamarka magiczkami, prawie takimi, jak mama i tata... prawie... Ból jeszcze będą musiały znieść. Ale przecież wytrzymają, przecierpią, nie może być inaczej! Wszyscy wytrzymują! My za to przy życiu zostaniemy, dzieci sierotami nie zostawimy, i skrzydła zaraz za plecami wyrosną...

Może ten Duch - przeciwnie - podarek nam uczynił?

- Dobrze, miły. Niech będzie.

- Teraz, od razu? - nie uwierzył.

- Teraz! Kiedy możemy jeszcze podejmować decyzje.

Tak powiedziałam, a oczami duszy zobaczyłam ogień piekielny, palący - a my z Fied'ką córeczki nasze ciągniemy ku temu ogniowi.

Nie! Nie chcę takiego daru! Nie chcę! Nie trzeba! Nie trze...

Płomień tańczy, wygina się, wypełnia wszystko dookoła, oślepia, naciera, żarem w twarz bucha...

Płomień bije w oczy.

Nie, nie płomień. Światło. Światło zwykłej latarni.

- Aleksandro! Saszeńko! Ocknij się! Co, znów ci się koszmar przyśnił? To nic, tak bywa.

Wszystko dobrze, sen jest tylko snem... przyjechaliśmy...

Szałwa Timurazowicz.

A stojąca za nim Raszel milczy. Błada jak kreda, prawie sina, patrzy uparcie w ziemię, ale mocne ma nogi Dzwonkowa Dama, Kniahini - nie pada.

Wargi tylko zagryzła - i milczy.

...przyjechaliśmy.

## ***Krąg Drugi***

### ***NOC DNIA SĄDU***

*- Pięknie!*

*Dobrze, wrózu, Dobrze, mój kochany!*

*Teraz już jestem tu bezpieczny,*

*Teraz pozbędę się kłopotów!*

*Opera „Cymeryjczyk zachwycony”*

*Aria Księżniczki Tamaris*

## **DOBÓR KART**

Wieczór błąkał się w koronach topoli, które nieźle już zdążyły wyłysieć w oczekiwaniu na pierwsze październikowe przymrozki; wieczór niczym beztroski pijaczyna włóczył się od domu do domu, od podjazdu do podjazdu i zbiegał w dół, żeby utonąć w sadach Arcybiskupiej Lewady. Gdyby ktoś zechciał zadać sobie trud i zerknąć na topograficzne plany ponad półwiekowej dawności, nakreślone przez najmiłszego pana Moczulskiego - tu tutaj, od Cerkwi Dymitriewskiej, do Wielkiej Panasowki rozciągał się gęsty las, a także - jeżeli wierzyć planom - błota, błota i jeszcze raz błota.

Trwało to wszystko, dopóki w centralnej części nie zaczęto walić starych budowli i nie napłynął tu potok nowych osadników.

Co przekształciło swobodę\*[\* - *Swoboda - tu w znaczeniu: osada podmiejska wolnych (nie poddanych Puńszczyźnie) ludzi, nie podlegających także jurysdykcji władz miejskich (por. nazwę warszawskiej dzielnicy - Wola)] w część miasta.*

Paweł Ananicz szedł ulicą Jekatierynosławską w stronę centrum, skręciwszy od abrahamickiego cmentarza ku parkowi rozrywki „Tivoli”; i rozmyślając o rozmaitych rzeczach szedł tam, gdzie wcześniej były wspomniane wyżej błota.

Myśli, które go zajmowały, bardziej byłyby na miejscu w głowie członka Naukowego Towarzystwa Medycyny i Higieny, założonego niedawno przez profesora von Anper, niż u pana junkra, który lada moment miał zostać oficerem J.I.W. specjalnego korpusu

„Barbarzyńca”. Mówiąc dokładniej, po powrocie z letniego poligonu Paweł trzy kolejne przepustki spędził na posiedzeniach jednego z fakultetów owego szacownego Towarzystwa, słuchając wykładów na interesujący go temat i zadrezczając prowadzących naiwnymi pytaniami.

Godzi się jednak powiedzieć, że uczonym mężom w pewnej mierze pochlebiało zainteresowanie młodego żandarma.

Czwarta przepustka też nie przeszła bezowocnie - Ananicz potajemnie odwiedził Abrahamicki cmentarz. Tak jest, ten sam, który teraz zostawił za plecami, migający z nagrobków sześcioramiennymi gwiazdami. Udało mu się nawet pociągnąć za język starego znawcę Zakonu Abrahamowego, który drzemał na ławeczce nieopodal mogiły syna. Gdyby Paweł opowiedział kolegom, jak spędza czas wolny... Nie, oczywiście żadnych konsekwencji dyscyplinarnych za takie figle regulamin nie przewidywał, i Paweł z pewnością nie trafiłby do aresztu, ale musiałby znosić zdziwione spojrzenia z ukosa, a i notatkę w aktach pan junkier miałby załatwioną.

- Ej, młodziutki! Nie przepuść okazji!

Nie odpowiedziawszy na pozdrowienie wesołej prostytutki, która na chwilkę wychynęła z bramy, Paweł Ananicz bezwiednie oddał honory spieszącemu do swoich spraw majorowi artylerii i dalej kontynuował wieczorną przechadzkę.

Jego wysiłki, żeby zrozumieć coś ze słów uczonych medyków i starego rabina, który zjadł zęby na mądrościach Talmudu, z pewnością były śmieszne. Czy naprawdę były śmieszne? A jeszcze bardziej śmieszne były bezowocne wysiłki Ananicza zmierzające do połączenia spraw i rzeczy nie mających ze sobą niczego wspólnego.

Na przykład:

- Leukocyty, a dokładniej neutrofile i fagocyty - wieszczył z katedry dość młodo wyglądający doktor w *pince-nez*, powołując się na prace miejscowego naukowca, jakiegoś tam profesora Miecznikowa - posiadają zdolność fagocytozy...

- Fagocytozy? - Ananicz zaryzykował pytające spojrzenie, zwrócone do sąsiada z prawej, łysego grubasa o tragicznym wyrazie twarzy, który należało przypisać dwóm bruzdom w kącikach ust.

- Od łacińskiego „fago”, to znaczy „pożerać” - przyjaźnie oznajmił grubas, patrząc z ukosa na młodego junkra, który na tym wykładzie był tak samo na miejscu jak - powiedzmy - grubas na zajęciach z fortyfikacji.

- ...podobnie jak ameby - doktor tymczasem zdążył się już trzy razy powołać na rodaka Miecznikowa, dwukrotnie łapiąc też w locie spadające mu z nosa *pince-nez* - otaczają obce ciała, bakterie czy produkty rozpadu tkanek i trawia je przy pomocy fermentów, dopóki same nie zginą, zabite przez zbierające się produkty rozpadu. Nagromadzenie martwych tkanek, komórek i bakterii, a razem z nimi żywych i poległych, że się tak wyrażę - na posterunku - leukocytów: wszystko to tworzy gęstą, żółtawą ciecz; inaczej mówiąc - ropę...

Długo jeszcze po opuszczeniu sali wykładowej Paweł Ananicz nie mógł się pozbyć natrętnego echa, mającego gdzieś na krawędzi świadomości:

„...otaczają obce ciała...dopóki same nie zginą.” że się tak wyrażę - na posterunku... Ropa! Ropa!”

Rozmowa z rabinem potoczyła się jeszcze bardziej prosto i bez łąciny:

- Jesteście przechrta, młody człowieku? - zapytał rabin, zabawnie przeciągając samogłoski, a otrzymawszy przeczącą odpowiedź, zapytał natychmiast: - I co myślicie o pogromach pod Żytomierzem?

Z dalszej, długiej i pełnej niedomówień przemowy rabina wynikało, że pogromy dawno stały się dlań codziennością. Abrahamitów nienawidzono wszędzie i często dawano upust tej kiepsko tłumaczonej nienawiści - od stosów w Kartaginie, które stały się już historycznymi symbolami, po wspomniane pogromy czugujewskie. Naród wybrany, po zawarciu przymierza ze swoim zazdrosnym i mściwym Bogiem, płacił za tę wyjątkowość od dawna i drogo.

- Można powiedzieć, że jesteście w Prawie? - ośmielił się zapytać Ananicz, czując się jak dziedziczny i kliniczny idiota.

W spojrzeniu, które rzucił mu rabin spod na poły przejrzystych, jakby woskowych powiek, mignęło coś na kształt przyjaźni - zupełnie jak u spotkanego wcześniej grubego łysielca, znawcy łąciny.

- Młody człowieku, jest pan żandarmem - starzec pokiwał głową, przeżuając słowa wargami. - A żandarm to żandarm, bez urazy... Owszem, można powiedzieć i tak: jesteśmy w Prawie. Strzeżemy swojego Prawa i Zakonu, pieścimy je i hołubimy; pilnie przestrzegamy przykazań i nakazów, które patrzącemu z boku mogą się wydać śmiesznymi i głupimi przeżytkami przeszłości. Żyjemy w Prawie. Młody człowieku trafił w sedno! I dlatego pod Czugujewem znów leci w powietrze puch z naszych pierzyn.

Zostawiwszy staruszkę na jego ławeczce, Ananicz długo rozmyślał o tym, czego się dowiedział od obu: od rabina i doktora w *pince-nez* - Zaskakujące myśli niepokoiły młodzieńca, bo były obce, niesłuszne i nieprawdopodobne. Po raz pierwszy pan junkier zaczął się zastanawiać, czy faktycznie przyczyną odrzucenia magii przez społeczeństwo i państwo jest

sam fakt zaistnienia „eterycznych działań”?! A może przyczyną jest jakieś Prawo, Prawo zamkniętej przed innymi grupy ludzi, w poszukiwaniu którego miota się na oślepie i zaciekle „monocyt” Paweł Ananicz? - ryzykując przy tym, że stanie się gęstą, żółtawą ciecżą; inaczej mówiąc ropą?

A jeżeli tak, to czy nie jest prawdziwą buntowniczą myśl: rzecz nie w „eterze”, który ukazano społeczeństwu jako siarka i ogień dla obywateli?

Istota sprawy jest całkowicie inna!

Ale jaka? Gdzie jej szukać?!

Jakby w odpowiedzi na milczące pytanie, orkiestra w „Tivoli” huknęła straszliwym „forte”, co wywołało wściekły wrzask sprzeciwu okolicznych wron.

## V. FIODOR SOCHACZ ALBO DYSZEL PRAWA

*Ponieważ wiedziałem, że jesteś uparty,*

*I że twój kark jest ściętnem z żelaza, a twoje czoło ze spiżu;*

*Dlatego dawno ci zwiastowałem*

*I ogłaszałem, zanim się spełniło...*

*Księga Izajasza*

...pełne radości, głośne poszczekiwanie doga Trismegistosa. Zegar głośno bije północ, której pozostaje tylko drzeć od każdego uderzenia; na dziedzińcu szum, gwar, rzy jakiś koń - chyba obcy, bo psa się przestraszył! - i głosy na dworze, gromkie jak za dnia...

Fiodor wytrzeszczył oczy, nie przemyślawszy sprawy, jak tu po nocy z okien sypialni zobaczyć, co się dzieje przy bramie? Okna sypialni zresztą wychodzą na drugą stronę. A jednak zobaczył. Naprawdę zobaczył! A może po pijaku coś mu się w mroku zwidziało?

Proszę bardzo: wjeżdża w bramę książęca kolaska. Za nią trzęsie się zwykła miejska dorożka. Na koźle pierwszej zasiada Cyklop, pułkownik Gandieri! Obok Kniahini, z twarzą bielszą niż prześcieradło (a może to figle księżycy?); a z tyłu na siedzeniu ktoś leży... nie wiadomo kto...

Akulina?!

Fiodora jakby sprężyną podrzuciło! Oni tu z Drucem jarzębinówkę chleją, a tymczasem z żoną coś się wyrabia! Czemu ona leży? Dlaczego sam kniaź zajął się powożeniem?

A ledwo się zerwał - wszystko natychmiast znikło - przed nim tylko ciemne okno.



Gwiazdy na niebie kłują oczy jak iskierki, prosto w duszę wtykając swe spojrzenia, w załamaniach rżniętego szkła szyb igra blask księżycy, pod parapetem szeleszczą liście starej wierzby, która smętnie kiwa płaczącymi gałęziami.

Ale szum z dziedzińca pozostał.

Gwar jak za dnia, zupełnie niepasujący do późnej pory.

Odwrócił się Fiodor do Druca. Widać, że się boi. Aż nim skręciło, stary Rom rozlał wódkę - a takiego grzechu nigdy jeszcze nie popełnił! Choć w Kęs-Preclu zaprzyjaźnym, kiedy Walet i Dama na zesłanie przybyli, też mus ię zdarzyło. Widzę, że pamiętasz. Garbił się wtedy Rom, stawami chrząścił... Znowu go wzięło?! Ku żonie biec trzeba, a tu z Drucelem coś niedobrego się dzieje, sumienie nie pozwala go w biedzie porzucić.

- Ty co, morę? Szydłem cię ktoś w zadek kolnął? - chrypi Druc, sili się na uśmiech, ale wargi jakoś nie bardzo chcą mu się rozciągać.

- Akulinie coś się stało!

- Myślisz, że to ją przywieziono? To co tu stoisz? *Rozmar tu o kcham\*[\** - *Niech cię stonice porazi!* (rom.)]! Leć się przywitać!

- A ty?

- Co - ja? Ot, przygięło starego. Idź, Fied'ka, idź zaraz mi przejdzie! O, już przechodzi! Przestań się martwić - nie zdechnę, jeszcze nie moja pora! A może pora...

Ostatnie słowa Rom wymamrotał ledwo słyszalnie, samymi wargami i Fiodor, który gnał już ku drzwiom, nie pojął, czy się przestyszał się, czy nie?!

Szybciej! Szybciej! Serce łomocze w piersi, i w takt łomoczą po schodach buty Fiodora. Za drzwiami skrzypią ze złością zaniepokojone drzwi. Oto i one, powozy - dwa, tak jak mu się zwidziało w komnacie na górze! Książęca kolaska i zwykła dorożka. Sam pan pułkownik pomaga Kniahini zejść na ziemię, a ze stojącej dalej dorożki spieszy ku niemu ojciec Grigorij i siedzący z nim Sieńka-Żołędź, książęcy stangret. Wygląda na to, że i to się zgadza - sam Gandieri kolaską powoził! Cóż to się dzieje? Jak? Po co? Skąd? Druc przecież mówił, że żadnych wróżebnych czy wieszczych snów, żadnych widzeń, fint przez tydzień, może dwa...

Nie mógł widzieć!

Nie powinien był!

A zobaczył...

Myśli miotają się Fiodorowi po głowie, niczym stado spłoszonych nietoperzy, piszczą i usiłują się gdzieś wczepić - a jak się wczepią, nie oderwiesz!

Miota się po dziedzińcu światło latarni, rzuca się w oczy, usiłuje oslepić i świat

mrokiem zalać.

Naprzeciwno przybyszom biegnie mateczka Choreszan i krzyczy coś gniewnie po gruzińsku. Niby nie powinien jej Fiodor rozumieć, ale domyśla się, co ta wrona do kniazia kracze. Moja wina! drze się, moja! Nie dopilnowałam! Młody bałwan ze starym księżniczkę - jaskółeczkę na przechadzkę zabrali! I wrócili dopiero po ciemku! A księżniczka zmęczyła się, biedaczka, do tej pory śpi snem nieprzerwanym, sokolica nasza!

Gandieri pyta. Czy Tamara zdrowa i czy nic jej się nie stało. Zmęczona, śpi - i bardzo dobrze, nic strasznego się nie dzieje, niech sobie pośpi! Nie ma co krzyżeć i ludzi niepokoić, mateczko Choreszan! A z bałwanami, młodym i starym, on, kniaź Gandieri, osobiście się policzy! Niech mateczka Choreszan sobie nie myśli...

Fiodor powinien staruchy i kniazia słuchać, ale nie! Mijając wszystkich, biegnie do kolaski; wskoczył na stopień, a tu żona ukochana się podnosi, uśmiecha, uśmiecha się, uśmiecha... No nie, w rzeczy samej się uśmiecha!

Tylko w oczach strach jej został.

- Co z tobą, Saszeńka?! Wszystko dobrze?

- Dobrze, Fied'ka, przy tobie zawsze wszystko dobrze. Po prostu zły sen mi się przyśnił i tyle...

Fiodor przytulił żonę. Podniósł ją na rękach, jak w dniu wesela - z łap niedźwiedzych kołyskę zrobił miękką niby wata. Wzdrygnął się w duchu, czyżby im dwojgu takie same sny się przyśniły? Jak dawniej? Zapytać? A może nie? Może to nic nieznaczące bzdury? Przecież tylko jeszcze bardziej nastraszę ukochaną. Poczekam, postanowił, o nic nie będę pytał. W jej stanie wzruszenia są niebezpieczne. I w ogóle...

Co to za „w ogóle” takie i owakie, skąd się wzięło i dokąd go zawiedzie - pozostało dla Fiodora zagadką. Nie zdążył przemyśleć sprawy do końca, bo przeszkodził mu kaszel. Nie jego kaszel, obcy, ale znajomy jak rodzony.

Kaszel z Kęs-Precla.

Odwrócił się.

Tuż obok stała przyciskająca do ust chusteczkę Raszel. - Kaszel wstrząsał ją całą, a pokryta brodawkami ropucha podstępnie bulgotała jej w gardle, rzucała się w piersi, przypominała o czasach, kiedy Kniahini długo się męczyła po nocach, nie mogąc zasnąć miotana kaszlem podczas zimnych nocy.

Nie, oczywiście teraz było inaczej. Atak się skończył, zanim się na dobre zaczął; Kniahini pospiesznie wsunęła zmiętą chusteczkę do torebki i na jej bladej, przysypanej

księżycowym pudrem twarzy powoli pojawiło się coś na kształt rumieńca.

Fied'ka stał, brzemioną żonę kołysał w ramionach i milczał targany rozterką. Cóż to się wyrabia, Druc, Kniahini! - odpowiedzcie, objaśnijcie, wytłumaczcie, rozgońcie nieszczęście swoimi rękoma. Stańcie za plecami, z lewej i z prawej! Walecie Winny, sam przecież mówiłeś - nie jest nam dana moc po wejściu w swoje Prawo! Ani chrestni jej nie mają, ani chrześniacy. Czemuż więc widzę to, czego widzieć nie powinienem? Słyszę? Czuję?! Czemuż tobie palce chrzesczą, a Raszel dręczy jej żaba?

Odpowiedzcie, chrestni! - wyście już w Prawo wchodzili, wyście już w Prawo wprowadzali, wszystko wiecie, wszystko możecie, wszystko...

A może dzieje się coś bez-Prawnego?

Ostatnia z myśli utkwiała mu w głowie niczym bolesna drzazga. Przeszkadzała. Drażniła. Głębiej się nie wbijała, ale i wyrwać się nie dawała, tylko kłuła bez pożytku. Z powodu tej podłej myśli i może jeszcze przez otaczający ich mrok i wypitą wódkę, Fiodor źle widział. Kiepsko słyszał. Nie bardzo też miał pojęcie, dokąd idzie i gdzie niesie żonę, która cicho leżała w jego ramionach.

Wiedział tylko, że ku domowi i to mu wystarczyło.

I kiedy tuż przed nim niby widmo wyrosła biała sylwetka - zatrzymał się. Oszołomiony potrzasał tylko głową - kto to? Przywidzenie jakieś'?

Witaj, księżniczko Tamaro w koronkowej nocnej koszuli!

Dobrej nocy ci życzę!

Dopiero wtedy Fiodor się przestraszył. Rozmaitych straszyleń, leszaków z kikimorami, widm i duchów żadnych się nie bał, a i nie za bardzo wierzył w ich istnienie. A tu... Przypomniał sobie niedawne wydarzenie: idzie Tamara na Akulinę jak ptak drapieżny, a w ręce ma nóż srebrny z najbliższego stołu porwany. Jak przywarła, to z krwią ją tylko oderwiesz, z bólem i jękiem serdecznym! A tu masz! Fiodor niesie na rękach do jej domu przyczynę rozłąki! Co z tego, że to ślubna żona - czy to wariaci pojmują?! Rzuci się! Skoczy! Bez noża na kawałki rozerwie!

Z daleka krzyczał coś kniaź, krakała ochryple mateczka Choreszan - a Tamara tylko stała. Patrzyła na nich oboje. I na popielatavo białej twarzy księżniczki malował się wyraz takiego podziwu, takie uczucie było z bizantyjsko nakreślonych oczu, że Fied'ka Sochacz nie wytrzymał.

Odwrócił - i natychmiast pojął ze zdumiewającą jasnością: we wzroku Tamary nie było nienawiści! Nie było szalonego uczucia - i samego szaleństwa też nie było! Stoi dziewczyna i patrzy na młodą parę. Lekko im zazdrości - tym dwojgu to dobrze, znaleźli się nawzajem, są

szczęśliwi; a ja cały czas sama jestem... tęskno przecież samej.

- Dobry wieczór, Aleksandro. Dobry wieczór, Fiodorze. Co to za gwar?

- Goście, Tamoczka! Goście i gospodarze! Wróciliśmy, zaraz kolację zjemy, piosenki będziemy śpiewać... - Fiodor pewnie długo by jeszcze plótł podobne bzdury i trzepotał rzęsami, gdyby nie ukochana żona.

Maleńką ma piąstkę, ale twardą niczym kamień. Dobrze taką pod żebra kuksańcem kłuć. Więc kłuje.

- Dziwne - odezwała się Tamara i umilkła jeszcze na chwilę.

Powoli rozejrzała się dookoła, jakby wszystko widziała po raz pierwszy. - Niby wszystko pamiętam... i nie pamiętam. Jakbym bardzo długo spała; a teraz się przebudziłam. Wszystko jakieś takie nowe... i niezwykle.

A Fiodorowi zadudnił w głowie z daleka pełen poczucia winy głos Druca:

„Ja... Fied’ka, ja chciałem dobrze. Rozumiesz, Fied’ka... chciałem pójść po ciebie... A ona... Rozumiesz?”

Fied’ka niczego nie rozumie. Nic a nic, kompletnie. Tylko serce zamarto mu na chwilę w słodkim przeczuciu niebywałego: chciałeś dobrze, baro? Chciałeś? A jak zrobiłeś? Dobrze?

W tej samej chwili i Druc się pojawił, jakby go Fiodor myślami z niebytu wywołał! Widać ulżyło Romowi. Wpatrzył się w Tamarę, jakby samą Babę Jagę zobaczył; przeżegnał się, raz i drugi.

A księżniczka dalej do niego:

- Dlaczego mnie tam... - mówi i uśmiecha się jakby do swoich myśli - Jefremie Iwanowiczu samą zostawiliście? Czekałam na was i doczekać się nie mogłam. Cierpiałam i cierpiałam, dopóki ON się nie zjawiał i ognia nie zgasił. Wiecie, Jefremie Iwanowiczu, gdy tylko odeszliście, dwa razy większy ból poczułam! Trzy razy większy! Dziesięciokrotnie większy! Nawet nie wiedziałam, że tak może być!

- Ja... - Drucowi na chwilę mowę odjęło. - Nie mogłem, miła księżniczko, nijak nie mogłem! Zostałbym, gdyby to ode mnie zależało! Zetniście mnie choćby, durnia starego...

I bach! Na kolana przed księżniczką. Druc, wolny Rom, na kolanach?!

- Niechże pan wstanie... proszę was, Jefremie Iwanowiczu! Nie róbcie sobie wyrzutów! W końcu wszystko obróciło się na dobre! Ja powinnam wam jeszcze podziękować! ON, kiedy gasił ogień, powiedział...

I sama bęc ma kolana, naprzeciwno Druca!

I nagle wszyscy się zbiegli: Szałwa Timurazowicz ją podnosi, mateczka Choreszan coś

kracze. Kniahini uspokaja, ojciec Grigorij o czymś zapewnia, a służba gwar podnosi jeden przez drugiego.

Nie pozwolili Księżniczce dokończyć.

I nie dowiedział się Fiodor, kim był ten ON i co księżniczce powiedział.

- Cisza!

To kniaź huknął niby wódz na polu bitwy.

A potem, gdy zapadła już cisza, Gandieri surowo rozkazał wszystkim iść spać. Późno się zrobiło, wszyscy się zmęczyli i niech znają mores. Ranek jest od wieczora mądrzejszy.

Spać jakoś mu się nie chciało.

Odnosił Akulinę do jej pokoju (dom, chwalić Boga, był duży). Pomógł się jej rozebrać, otulił kołdrą, porozmawiał z żoną o rozmaitych rzeczach. O najważniejszym, o tym co się dziś wydarzyło, bał się mówić; za obopólną milczącą zgodą zostawili temat na później. Oboje wyrazili radość z powodu księżniczki Tamary, oboje życzyli jej rozumu na wieki wieków, trzykrotnie przy tym spluwając za siebie przez lewe ramię, żeby nie zapeszyć. Potem jeszcze za to ramię, przez które spluwali, obejrzeni się ukradkiem: nie, nikogo, nikt tam nie stoi... No i dobrze, przywyknijemy.

I poszedł Fiodor do siebie. Na sypialniane uciechy dawno już pora minęła, żona lada dzień miała rodzić... Trafwszy do swego pokoju strząsnął z pościeli okruszki chleba, pozostałe po jałowej nocnej pijatyce. Wyjął papierośnicę, zapalił. W głowie wreszcie mu się rozjaśniło, kac dawno przeszedł - jakże tu spać?

Zaczął przemierzać pokój z kąta w kąt. Zaczął puszczać dym kóleczkami ku sufitowi. Zaczął przymierzać jedna za drugą myśli rozmaite i chaotyczne, które w głowie mu się pojawiały. Ale myśli nie chciały się układać w sensowną całość, rozbiegały się jak spłoszone myszy, ani jednej nie zdążył się przyjrzeć do końca. Nawet się na siebie rozzłościł; ależ z niego głąb, leszak z najgłębszych komyszy tajgi - nawet myśleć się nie nauczył podczas tych lat!

Prawdę mówił Duch, niczego swojego, wszystko w nim obce!

Pożyczone!

Zatrzymał się. Zgasił papierosa i w popielniczce rozgniół. Przestał mierzyć pokój krokami i od razu usłyszał głosy. Dobiegające z dołu, z ogrodu, z zupełnej bliskości. Głosy znajome, jeden należał do Druca, drugi do Ojca Grigorija.

Fied'ka wiedział od dzieciństwa, że podsłuchiwać nie należy.

Wielokrotnie też wypominał to żonie.

A teraz, jakby go ktoś popchnął w plecy - podkradł się na palcach do parapetu i nieco uchylił skrzydło okna...

- ...aj, bibachtało manusz, kało szero\*[\* - *Nieudacznik, czarna głowa! (rom.)*]! Nie domyśliłem się, głupia pała! Jasna sprawa, dopóki jeden chrześniak nie wszedł w Prawo, drugiego nie ma co brać! A księżniczka nieszczęsna miejsca sobie znaleźć nie może, nóż mi do gardła przystawia - ratuj Fiedieńkę! Ty możesz, ty jesteś czarownikiem! Zadurzyła się we Fied'ce, a ten oczy wywrócił i martwym bykiem leży! Przecież dziewczyna mogłaby się targnąć na swoje życie! Szalona przecież...

Gitara wzięła akord, drugi - suche, chrupkie; nie akordy, a zeschnięte sęczki.

- I zgodziłem się.

- Księżniczkę?! Na chrześniaczkę wziąć? - ojciec Grigorij aż stęknął ze zgrozy.

Fiedka też stęknął. Ale w duchu, bez słów.

- Tak, ojczu Grigoriju! A co miałem robić?! Wzięliśmy się za ręce i gorzejemy w ogniu Ugody. Powiem wam, dzielnie się dziewczyna trzymała! Żeby każdy tak umiał! I nagle mnie odrzuciło, jak kamień! Oto ja, Rom Silvański, Walet Winny - szaloną dziewczynę zostawiłem w ogniu, samą!

Umilkł Druc.

Gitara pochlipywała przeciągle, smutno, jakby się skarżyła bez nadziei na przebaczenie.

- I... i co? No, nie każ się ciągnąć za język, Walecie, na miły bóg! - Ojczulek najwyraźniej był niezwykle poruszony.

- Nic, mój ojczu. Zupełnie nic. Ledwo się ocknąłem, z powrotem rzuciłem się do niej. Żeby dogorzeć do końca, znaczy. Albo ją wyciągnąć. Ale nije mogę! Nie puszcza! Ona tam - a ja tu! Nie wiem już, co robić! Stoi księżniczka, oczy zamknięte, ręka - jak lód. Gorzeje - sama!

Gitara zakwiliła jak ranny ptak i ucichła.

- A jak ją z Fied'ką do kolaski zaczęliśmy wnosić - ona ni z tego, ni z owego się ocknęła! „Tam się wszystko spaliło, do cna - mówi. - Jedźmy do domu”. Wyraźnie mówi, wcale się nie jąka. Potem zasnęła. A co dalej... toście sami widzieli, przy was to już było.

Znów rozpełzły się po mocnym ogrodzie roztargnione, oszołomione i potykające się akordy gitary.

Milczał Druc, milczał i ojciec Grigorij. Długo milczeli.

- Cud, ojczu Grigoriju? - rozszczępił ciszę głos Druca. Tyle błagania, tyle rozpaczy było w tym pytaniu - no, kiwnij choćby głową! przytaknij! - że tkwiącego przy oknie Fiodora dreszczem przejęło.

- Może i cud - odparł kapłan głosem pełnym zadumy. - A może i nie. Trzeba to dobrze przemyśleć. Przede wszystkim ja muszę pomyśleć. Nie jako członek cerkiewnej hierarchii, ale jako „strapczy”, Czerwienna Dziesiątka. Czy to się odbyło zgodnie z Prawem? Zawarto Ugodę czy nie? Nigdy wcześniej nie zdarzyło się, żeby chrześniak sam w ogniu płonął. Żebyż to można było zrozumieć...

Ojciec Grigorij rozmawiał sam ze sobą.

- Wiesz, Dufunia, boję się takich cudów. Gdzież był wtedy Duch Prawa? Albo wszystko jest prawidłowe, a ja niepotrzebnie...

I nagle cofnął się dreszcz, który tarosił Fied'ką.

Przestraszył się.

Fiodor Sochacz na własnej skórze pojął, co to takiego „ośnienie”.

Przecież ojciec Grigorij jest nie tylko kapłanem i konwentowym magiem! Jest też „strapczym!”. A strapczy nikomu nie pozwoli łącać w swojej obecności. Nawet Duchowi Prawa! Mógł Duch jego i Akulkę oszukać, nastraszyć, zamącić im w głowach?! Jeszcze jak mógł, był u siebie w domu, z tymi wszystkimi wróbelkami-pająkami-pajęczynami! Czemuż to oni nie mogą zawierać takiej Ugody, jak wszyscy?! Czemu tylko z własnymi dziećmi? I jeszcze bez ich zgody?! A skoro Duch własne swoje Prawo naruszył, znaczy, można i jego, Ducha, poprzez „strapczego” do odpowiedzi wezwać, i wszystko raz jeszcze rozegrać, żeby było sprawiedliwie!

Sprawiedliwie!

Ziemia boleśnie rąbnęła go w bosc pięty.

Wiadomo, głupio z piętra skakać w mrok.

A, co tam!

Nocna rosa zbierała się już na źdźbłach trawy i szczypało chłodem w stopy. Z tyłu skradał się mrok i zimnymi dłońmi zakrywał mu oczy. Zbijał go z tropu i drwił: zgadnij, kto? Gdzie? Dobrze, że sierp miesiąca rozpruł zbłąkany obłoczek i wyrzwał jednym rogiem na zewnątrz. Pokazał: tam są.

Przy stoliku pod olbrzymim dębem.

Fied'ka zrobił krok.

Potem drugi.

Zrobił dwa kroki.

Wołać po nocy nie ma co, cały dom poderwiesz na nogi, a mateczka Choreszan jak dopadnie, to zabije...Trzy kroki zrobił Fied'ka, a nawet cztery.

Robiąc piąty zobaczył wyraźnie; przy stole nie siedzi dwóch ludzi. Dwie karty leżą sobie na zielonym suknie stolika do gry, którego nikt tu nie ustawiał. Walet Winny i Czerwienna Dziesiątka. Obie już mocno wytarte i przybrudzone, Walet ma nawet róg nadłamany. Teraz ruch należy do niego, do Fiedki Sochacza - idź, połóż się na wierzch czystą kartą, legnij ze swojej - obcej woli...Nie wiadomo, co wyłoni się z bieli: Dziewiątka? As? Błazeński Joker? I wypadną trzy karty z rozgrywki, legną z boku jako obca wziętka, żeby potem tasować się w talii-pajęczynie na wieki wieków, amen! Jakież to głupstwa zwidują się czasami człowiekowi po nocy?

Jakby przez grubą warstwę wody przebiło się coś z daleka: gitara Druca. Zakrztusiła się i zachłysnęła; uwięzły struny w sękatych, nie wiedzieć kiedy zeszywniałych palcach. Poszły w bór akordy, zabłądziły i wpadły w odmet...

Słyszysz:

- Pod palcem się struna zerwała, Zapłakać żałośnie nie chciała, Ja i gitara: staruchów dwoje Nikt nie zawinił, serce ty moje, Starość nas razem złamała.

Czy to twoje, chłopcze? Obce? Kradzione?

- Fiodor, to ty? Co się tak czaisz?

I ostro, nie zwykłym cichym głosem spowiednika, ale okrzykiem podobnym do chłaśnięcia romskiego bata:

- Łap!

Róg księżycy wysunął się z boku, a od ojca Grigorija ku Fiodorowi frunęła jakby garść lez. Mignęła kapela rozbryzgów, poprzecinała mrok dźwięcznymi iskierkami..

Fiodor wyciągnął dłoń, kierując się nie wzrokiem, tylko wyczuciem leśnika i pamięcią niegdysiejszego Sochacza ze wsi zasypanej przez śniegi. Wziął z czarnej zamieci leżkę jedną i drugą, zacisnął je w dłoni. Jak czystą kartę na Duchowej polanie - niechby kto ośmielił się mu ją odebrać. Gorąco się w pięści zrobiło; zapiekło żarem. Zmatowiały karty na zielonym stoliku. Gdzie przetłuszczona Dziesiątka Czerwienna? Gdzie Winny Walet z naderwanym rogiem? Jeszcze przez chwile zamigotały raz i drugi... i gdzieś przepadły.

Znikły.

Siedzi przy stole Druc rozchełstany, pas dłońmi gniece. Krzywi się - figę dostaniesz! Boli!

Siedzi za stołem ojciec Grigorij, ober-starzec episkopalny; plecy proste, a na czole perlą mu się krople potu. Mocno się widać przestraszył ojczulek, ale czego i jak strach zwalczyć - nie



ma pojęcia.

Otworzył Fiodor pięść. Rozwinął ją w dłoń. Taka jak Drukowa - łopata nie dłoń. Tylko trochę większa, więcej w nią złapać można. A na dłoni, od linii życia do wznórka Wenery - niteczka popiołu.

Jeszcze ciepłego.

Dmuchał wiatr, liznął szerokim szorstkim jęzorem - i nie ma popiołu. Rozpłynął się w nocy. Przepadł. Spłynął w pokrywającą trawy rosę, przemienił się w błoto.

Trzeba było zrobić ostatnie kroki; od piątego do siedemnastego. Stał Fiodor przy stoliku i zacisnął wargi. Milczy. Wszystkie słowa, jakie niósł ze sobą, zgubił po drodze. Wiatr nie popiół mu z dłoni zdmuchnął, ale zetlałe, wypalone słowa.

O czym tu mówić? O co pytać? Czego żądać?

Bóg jeden wie.

A ojciec Grigorij na swój prawy mały palec patrzy. Ze smutkiem patrzy i z żalem. Na serdecznym ametyst znaczny fiołkowo świeci, a na małym - pusto. Nie tak, jak przedtem. Przedtem tam pierścionek był: szafir otoczony drobnymi brylancikami. W oprawie z platyny. Piękny i kosztowny pierścionek, bardziej pasujący do zamożnej pani, niż do kapłana.

Był, ale się zbył.

- Popuściło?

To Ojciec Grigorij Roma pyta.

- Chwała Bogu, ojcuzku... teraz już łzej. Druć.

- Ej, Dufunia! Popatrz na swojego chrześniaka, którego nie wiedzieć jak dzieliłeś z Kniahinia!.. No, popatrz, czemuś wzrok w ziemię wbił! Nie rozumiesz? Przecież to on na ciebie, chrzestnego swojego, fintę odwrócił! Ot i skleciło cię, choć kuty jesteś na cztery nogi!

Podchwycił Fiodor spojrzenie Drukowe. Jakby kapłański pierścionek - w locie. Strach był w tym spojrzeniu i smutek rzewny, zachwyt i pytanie - i lzy perliste.

Błyszczą w świetle księżyca.

Zaciśnij je w pięści - popiół tylko zostanie.

- ...Nie dla was Ugoda, nie dla was chrześniacy w Prawie; nie masz ich i nie będzie. Zrosły się i splotły wasze losy, wasze dusze - i Druca z Raszlą; nikogo więcej już nie wpuscicie do tego kręgu. Zapragniecie, błagać będziecie - ale nie zdołacie wyjść poza siebie. Zamknięte będą dla was wrota Ugody - choć zostawię wam furtkę...

- Hej, Fiodor! Aj, morę! Aj, *raj-kłydari*\*[\* - *Wielki włamywacz (rom.)*]/! Ojciec Grigoriju - zażartowaliście sobie - i dość!

- Nie czas na żarty, Dufunia. Powiedz, jeżeli zobaczysz żrebaka choć kątem oka - nie pomylisz dończaka z orlowcem?

- No jakże! Żartowniś z was, ojczulku! Ja? Walet Winny? Koniarz z dziada pradziada?

- A ja choć Dziesiątką tylko jestem, nie Waletem, też nie pomyłę.

- Żrebca?

- Żrebca. Tu stoi ten twój żrebiec. Choć rzadko pracuję w kolorach, święcenia przyjąłem, stanowisko... „Strapczy” jestem, Dufunia. Ja takie rzeczy widzę. Po prostu widzę i wszystko. Zrozumiałeś?

Przetacza się po niebie księżycowy sierp. Kołysze się niczym kolebka z czerwonego złota. W koronie dębu ptak jakiś się ocknął i przez sen dał głos - wypuścił tryl i umilkł, przestraszony własną odwagą. Wicherki na chwackich skrzypeczkach tanecznie przygrywają. Komary zanoszą się malinowym śpiewem. Zapytaj: „W którym uchu dzwoni?” - i sam sobie odpowiedz: „W obu”.

Na dworze noc. Złodziejka wypuszczona za poręczeniem.

Odkaszlnął Fiodor. Zapytał szeptem.

- Pierścionek, ojczulku... Czemu pierścionek rzuciłeś? Nie od razu odpowiedział Grigorij.

- Szkoda mi pierścionka, Fiodorze. Długo na niego oszczędzałem. Powiesz, zem kutwa? Skąpiec? Pomylisz się. Fiodorze, ja byłem chrześniakiem samego Iłariona Połtawskiego, ale niezbyt dobrze mi szło w kolorze: nie wspiałem się nad Dziesiątkę. A potem postanowiłem wyrzec się grzechu. Zdecydowałem się zawiązać. Całkowicie i na zawsze. Słaby ze mnie mag, Fiodorze - a i z resztą różnie bywało. Nie będę się chwalił, ale nie tylko rok i nie dwa bez fint przeżyłem. Obręczami serce skułem, rozum zacisnąłem w imadle, sam siebie w karby wzięłem. I zrozumiałem: do końca nie wytrzymam. Złamię się! A bez chrześniaka - sam rozumiesz...

Fiodor rozumie.

Z głębin pamięci sen-wspomnienie mu wypłynął i uwiązł w krtani niczym kłębek pierza.

- Pamiętasz bajkę o wiernym słudze, Akulino? Tym, co serce obręczami sobie skuwał... niedługo popękają moje obręcze. Nie mogę dłużej trzymać w sobie siły magicznej; rwie się na zewnątrz i szuka ujścia. Nic nie mów, miła! Wiem, że nie tylko ja jestem w takim położeniu. Spalimy się i nie utrzymamy... trzeba zawrzeć Ugodę.

- Może, poczekamy jeszcze? Przywykniemy, przecierpimy... Przecież to dzieci! Nasze dzieci! Maleńkie jeszcze!

„Przecież to dzieci!” - odbiło się od czarnego nieba, uderzyło w gwiazdziste dzwonnice

i potoczyło się echem po ziemi: „Nie mogę już dłużej! Nie mogę”.

Ach, Fiodor, wszystko pamiętasz, ale nie ze wszystkim gotów jesteś się pogodzić.

- Ja wtedy, jak w tej bajce - cicho ciągnął kapłan - poszedłem nie wiedzieć gdzie i znalazłem nie wiadomo co. Ale znalazłem. Bywa, że konwentowy mag i bez chrześniaka fintę skreśli. Mało kto o tym wie - a kto wie, ten nigdy z tego nie korzysta, bo po co? Oto ona, ta recepta. Patrz!

Tknął ojciec Grigorij Fiodora ręką. Poruszył serdecznym palcem. Zaśpiewały iskry ametystu w złocie pierścienia.

- Zamiast chrześniaka można fintę na kamień rzucić. Każdy kolor ma swój kamień. Nam, Czerwiennym - szafir z ametystem, aleksandryt, a jeżeli brylanty, to drobne. Dzwonkowym atutom duże rubiny pasują; Winom - szafiry i topazy, a magom Żołędnym - wielkie rubiny, szczególnie dla „trupiarzy” i „wideków”.

- Ojczulku! - siedzący obok Druc aż się zachłysnął. - *Dadyńko*\*[\* - *Ojczulku!* (rom.)]!

- Co, ojczulku? Co?! Twój Fied’ka drobną fintą górę pieniędzy za jednym zamachem roztrwoni! W popiół! Gdzie ty znajdziesz tyle kamieni, żeby na całe życie bez chrześniaka ci starczyło? W skarbcu państwowym tyłu nie masz...

Nigdy przedtem Fiodor nie widział kapłana w takim stanie. Gniewnym! Pełnym gniewu. Jakby z dawnych czasów zjawił się Gosza-Zywczyk, mag konwentowy, który postanowił wyrzec się swego Prawa. Słaby Atut o żelaznym sercu. Mądry, nieszczęśliwy i dumny człowiek.

Idź, Fied’ka! Pocałuj dłoń, która czarodziejskim pierścieniem uratowała ciebie i Druca.

No?

## NOTATKI NA MARGINESIE

*Pamięta Gosza-Zywczyk: był kiedyś w oczach Czerwiennego Króla, Ilfariona Połtawskiego, strapczego nad strapczymi, do którego wielcy i ważni przez dziesiątych pośredników się zwracali... A, co tam! Przecież był: ...dagerotyp.*

*Kobieta w średnim wieku. Żadna tam piękność, ale o miłej twarzy. Spojrzenie łagodne, szczere. Jasne włosy zebrane na karku w węzeł, tylko dwa kosmyki zwisają ze skroni. Siedzi na krześle i trzyma na kolanach kota. Za nią na ścianie obraz, las i zbocze góry.*

*Szkoda, że nie spotkał jej za życia.*

*Spóźnił się.*

Ale zamiast pocałunku z warg Fiodora wykwitło co innego:

- Skargę mam, panie „strapczy”! Ja, konwentowy mag, atut bez koloru, mam skargę!

Zajmiesz się sprawą?

Znów mignęło - na stole leży Czerwienna Dziesiątka.

- Skargę? Na kogo?

Fiodor pomilczał chwilę, a potem odpowiedział:

- Na Niego!

- Na kogo, znaczy?

- Na niego. Na Ducha Prawa.

- ...cóż ty się, Fied’ka, beze mnie w ogień pakujesz? Ojczulku, wy mu przynajmniej przypomnijcie: w biedzie i w radości...

Och, Akulino, żono najdroższa, kiedy to podkraść się zdążyłaś?!

A cofnąć się już nie można.

## **VI. ALEKSANDRA-AKULINA ALBO JEGO BEZSTRONNOŚĆ**

*O, jak przewrotni jesteście!*

*Tak jakby można garncarza*

*Stawiać na równi z gliną!*

*Jak gdyby dzieło mogło mówić*

*O swoim stwórcy:*

*Nie on mnie stworzył,*

*A garnek mówił o garncarzu:*

*On nic nie umie!*

*Księga Izajasza*

- ...a zatem istotą sprawy jest naruszenie przez Ducha Prawa warunków Ugody, bezprawne nałożenie ograniczeń na zawieranie przez Powodów dalszych Umów, co naraża na

niebezpieczeństwo zdrowie i życie Powodów, a także ich byłych nauczycieli, oraz nakłanianie do naruszenia Prawa pod postacią zawierania Ugody z niepełnoletnimi bez wyrażonej przez nich na to zgody. Pytam Powodów, czy dobrze zrozumiałem treść pozwu?

Ależ wyrąbał! Od razu widać strapczego, a na dodatek ober-starca!

Gdybym to ja tak umiała...

- Tak, ojcie Grigoriju... oj! To jak was teraz nazywać.

- To rzecz bez znaczenia. Jeżeli chcecie, możecie do ukończenia sprawy nazywać mnie „panem strapczym” albo zwracać się do mnie „Wasza Bezstronność”. A zatem, pani Sochatina Akulina Fiłatowna zgadza się z treścią pozwu. A czy pan, panie Fiodorze Fiedorowiczu Sochatin, zgadza się z jego sformułowaniem?

- Tak, panie strapczy.

Jak w cerkwi podczas ślubu!

- Powód żąda, żeby Duch Prawa odwołał swoją decyzję i przywrócił im bezprawnie odebraną możliwość zawierania dalszych Umów zgodnie ze standardową procedurą, a także likwidacji szkodliwych wpływów ich refleksyjnych magicznych działań na swoich byłych nauczycieli, ponieważ aktualnie wyczerpał się termin

Ugody z tymi ostatnimi. Czy powód podtrzymuje swoje roszczenia?

- Tak, panie strapczy.

- Podtrzymujemy.

- Oto więc ja, mag konwentowy, Czerwienna Dziesiątka, strapczy Radcig Georgij Emanuelowicz, podejmuję się przeprowadzić sprawę w imieniu Powodów, zażądać odpowiedzi od wzmiankowanego Ducha Prawa i znaleźć uczciwe rozwiązanie. Zobowiązuję się do bezstronnego przeprowadzenia i rozpoznania sprawy, opierając wszystkie wnioski wyłącznie na faktach, Prawie i zeznaniach stron, ponieważ kłamać w obecności wykonującego swoją powinność strapczego nikt nie jest w stanie. Czy Powodowie potwierdzają moje pełnomocnictwa?

- Potwierdzamy.

- Potwierdzamy, Wasza Bezstronność.

Dopiero teraz widzę, że na czole ojca Grigorija pojawiły się maleńkie kropelki potu. Na policzkach wystąpiły mu mięśnie, szczęki stwardniały niczym kamienie, w kącikach ust pojawiły się głębokie bruzdy, co mocno go postarzyło - i dodało twarzy wyrazu pewnego szaleństwa. A oczy... Jego oczy patrzyły już gdzieś obok nas, mimo ogrodu i mrocznego

budynku daczy - jakby Jego Bezstronność był gdzieś daleko stąd i widział coś, czego inni zobaczyć nie mogli.

Tak zresztą pewnie było.

A wokół głowy pana strapczego drżało i ciekło roziskrzonymi strumyczkami powietrze, a głos ojca Grigorija dudnił głuchym echem, jakiego nigdy nie było w tym podmiejskim ogrodzie! Jakby słowa padały w jakąś zamkniętą i pustą przestrzeń, żeby w ułamek sekundy później wrócić jak zniekształcony odgłos.

- A zatem pełnomocnictwa można uznać za potwierdzone. Zgodnie z daną mi wedle Ugody władzą, otwieram sprawę: Powodowie, małżonkowie Sochatin, przeciwko Pozwanemu, Duchowi Prawa. Powodowie stawili się na rozprawę. Wzywam Pozwanego, Ducha Prawa! Zjaw się!

Ojciec Grigorij nie ruszył się z miejsca, ale na ułamek sekundy wydało mi się, że władczym gestem uniosły się w powietrze dwie widmowe ręce, błysnęły ogniami świętego Elma - i coś trzasnęło, a świat się zmienił, nieuchwytnie, ale zupełnie wyraźnie.

A potem zobaczyłam Jego.

Ducha Prawa.

I od razu zrobiło mi się niedobrze. Zemdliło mnie.

Co to za sztuczki? Kiedy wstępowaliśmy w Prawo - nic się nie działo, ani razu nawet nie przypomniałam sobie, że jestem brzemienna. A teraz wszystko razem, w głowie mi się kręci, mam nudności, kolana jak z waty. Podobno tak jest ze wszystkimi brzemiennymi kobietami...

A może to ten Duch przekłety tak się na mnie odgrywa?

U-uffff! Troszkę popuściło! Oj, żeby tylko nie musiała na niego patrzeć, na przeklętnika jednego! Odwrócić się chcę - ale nie wychodzi. Wzrok sam do niego wraca, jak pies na uwięzi.

Dziś nie wygląda tak, jak poprzednio. Ma na sobie szary, mysiej barwy surdut, wąziutkie spodnie tej samej barwy, na nogach buty starego fasonu, z klamerkami jak motylki (chyba nie srebrne!), a łysina jakby mu się zmniejszyła - starannie zaczesał na nią resztki włosów. Surdut ma nieco przykrótkie rękawy i łapy Ducha wystają z nich prawie po łokcie, a na rękach - matuś moja rodzona, trzymajże mnie - kajdany! Któż go w nie zakuł? Sam siebie skuł, czy co?

Ale nos ma taki jak przedtem, siny, pokryty wągrami i pryszczami...

A jednak się odwróciłam, znalazłam w sobie siłę.

Ze złości chyba.

- Oto jestem, Wasza Bezstronność. Gotów do złożenia zeznań. Niby uprzejmie mówi, zgodnie z protokołem, a przecież drwi sobie z procedury! Zebrali się w składzie, żeby zeznania składać!

- Przypominam Pozwanemu, że tu nie sąd karny. Zechce pan przestać się wygłupiać i zniknie te swoje kajdany - zimno odpowiedział Jego Bezstronność. Biję w duchu oklaski ojcu Grigorijowi. Tak z nim trzeba, z przecherà, a co się będzie z ludzi nabijał!

Zaraz, a gdzież to my w końcu jesteśmy?

Nie za bardzo wypada rozglądać się i kręcić głową w sali sądowej - ale nie umiem się powstrzymać.

Kręcę.

Faktycznie sala sądowa; kiedyś do takiej trafiłam. Ściany na półtora sążnia pokryte boazerią z lakierowanego drewna, wyżej - sama biel, bez żadnych ozdób. Okna wąskie i surowe. Co za nimi, nie da się orzec, jakiś rozmyty kisiel. Za nami drzwi. Otwarte szeroko, a na zewnątrz szeleści poruszane wiatrem listowie drzew nocnego sadu. Księżycowe promienie oświetlają stolik, plecione krzesła i Druca z Raszela. Stoją ramię w ramię i patrzą na nas przez te otwarte drzwi. Kiedy to Kniahini zdążyła tu trafić? Pewnie też nie spała i usłyszała rozmowę. Też ją pewnie kaszel rozrywał, ledwo ja z Fied'ką jakąś' fintę przypadkową wycięliśmy. Przecież my ich, biedaczków, omal nie pozabijaliśmy!

Poczekaj, Duchu! Zaraz za wszystko odpowiesz!

Przelotnie spoglądam na Pozwanego. Duch siedzi na wyświechtanej do połysku drewnianej ławeczce z wysokim oparciem. Lawa oskarżonych, czy co? A „bransolety” z jego rąk już znikły. A to kpiarz! Już pan strapczy pokaże temu błaznowi, gdzie raki zimują!

Gdzie jesteś', Wasza Bezstronności?

Okazuje się, że pan strapczy od pewnego już czasu coś mówi, stojąc za katedrą - a ja przepuściłam początek mowy, gapiąc się na ściany! Tu się nasz los rozstrzyga, a ja...

Już słucham!

- ...z niepełnoletnimi bez ich zgody. Cóż więc możecie odpowiedzieć na wysunięte przeciwko wam zarzuty i skargi?

- Wasza Bezstronność pozwoli, że najpierw odpowiem na ostatni zarzut, jako na najlżejszy do odparcia. Mowa była o możliwości zawarcia Ugody przez Powodów z ich przyszłymi dziećmi, bez zgody tych ostatnich. Czy dobrze zrozumiałem?

Duch mówi niby poważnie, ja jednak nie umiem oprzeć się wrażeniu, że przez cały czas uśmiecha się zjadliwie. Czyżby aż tak był pewien swego?

- Całkowicie, panie Pozwany.

- W takim razie niechże mi będzie wolno przypomnieć wam, panie strapczy, że zgodnie z aktualnie przyjętymi normami i obowiązującym u nas prawem, do osiągnięcia pełnoletności rodzice są prawnymi opiekunami i pełnomocnymi przedstawicielami swoich dzieci. Wynika z tego, że jako ich opiekunowie mogą zawierać umowy dotyczące sposobu pobierania nauk przez swoje dzieci, nie pytając tych ostatnich o zgodę, ponieważ nie są one osobami prawnymi w pełnym tego słowa znaczeniu.

Strapczy milczy. Milczy tak długo, że cisza w sali rozpraw zaczyna się zagęszczać, przemienia się w rój bezdźwięcznie brzęczących muszek, które opadają nas ze wszystkich stron. I dopiero, gdy ta cisza staje się nieznośna, a ja szykuję się do tego, żeby tupnąć, krzyknąć albo zrobić cokolwiek, byle ją tylko przerwać - ojciec Grigorij rozkleja cienkie wargi.

- Pozwany ma rację.

- W takim razie, Wasza Bezstronność, nie rozumiem, o co Powodowie mają do mnie pretensje? Czymże - z prawnego punktu widzenia - zawarcie omawianej przez nas Ugody różni się od zawarcia jakiegokolwiek innej? A skoro zasadniczych różnic nie ma, to zawarcie przez Powodów Ugody z własnymi dziećmi w imieniu tych ostatnich jest całkowicie zgodne z prawem. W rzeczy samej mówimy o prawie dziedziczenia.

Milczenie. Tym razem jednak znacznie krótsze.

- Pozwany ma rację. Zarzut zostaje wycofany. Wycofany?! Gdzie tu sprawiedliwość?! Nie zapytawszy, dzieci za rączkę i w ogień? On nie ma prawa! Ja zaraz...

Ale spóźniam się z otwarciem ust. Wyprzedza mnie Duch Prawa. I pewnie tak lepiej - jawi mi się nieco spóźniona myśl. Słowo zostało powiedziane. Strapczy jest *bezstronny*. Nie trzyma niczyjej strony. Obstaje przy Prawdzie.

Ale cóż nam po takiej Prawdzie?

- Pozwólcie mi teraz na przejście do odpowiedzi na pozostałe zarzuty. Czy może oskarżenia? - Duch przebiegle mruży oczy.

- To zresztą nieważne. A zatem: zarzuca mi się zamach na prawa Powodów, wyrażający się w ograniczeniu ich możliwości zawierania nowych Umów. Przyznaję, że to ograniczenie istotnie ma miejsce i nałożyłem je ja. Utrzymuję jednak, że nakładając wspomniane ograniczenie, postąpiłem zgodnie z moimi uprawnieniami i zgodnie z Prawem, co podejmuję się udowodnić.

Oddech pana strapczego jest coraz szybszy i bardziej ciężki. Ojciec Grigorij przykładą



do czoła chusteczkę i wyciera krople potu. Jakby poczuwszy mój wzrok na sobie, odwraca się i szepcze samym tylko tchnieniem:

- Ciężka sprawa. Ledwo się trzymam, drodzy państwo - mówi to do nas obojga; Fied'ka stoi obok i trzyma mnie za rękę. - Nie wiem, czy wystarczy mi sił na to, żeby rozprawę doprowadzić do końca. Skoczyło mi ciśnienie. Tylko patrzeć, jak padnę. Ale postaram się, proszę państwa, bardzo będę się starał!

Czuje kot, czyje sadło pożarł! A jeszcze Duchem Prawa się nazywa! Pojmuje, krętacz jeden, że przyparliśmy go do ściany - i próbuje nas zmusić do wycofania zarzutów. Na mnie nasłał nudności, pana strapczego ciśnieniem chce stłamsić. A kizkę z grochem! Takiego! Będziesz musiał wszystko odtworzyć jeszcze raz, wedle sprawiedliwości!

Spojrzałam spod oka na męża, zasępił się mój urodziwiec, zebrał się w sobie, palce prawej, wolnej dłoni zaciska i rozluźnia - jakby się do bitki szykował. W tej chwili nie odgadłbyś, że to będący w modzie poeta, wstrząsający niewieściami duszami i sercami. Wygląda jak zapaśnik i zawadiaka przed bójką. Tyle, że walczy za nas teraz Jego Bezstronność. A przecież to męka nieznośna - ani słowem się odciąć, ani w pysk strzelić; stój spokojnie, bratku, i słuchaj, jak bez twego udziału o twoim losie decydują. A panu strapczemu jeszcze trudniej: przecież on sam musi całą sprawę przeprowadzić, a wygląda na to, że niełatwa to rzecz. Postaraj się, kochany, bardzo cię prosimy!

- ...długa to historia, panie strapczy i powodowie. Zaczęła się... żeby nie zełgać, choć oczywiście nie da się łączyć w obecności Waszej Bezstronności - więc zaczęła się prawie przed czterema wiekami. I żeby wykazać, że moje działania zgodne są z prawem, trzeba mi będzie zacząć od samego początku. A więc...

Przeciąga sprawę, jak tylko może, parszywiec jeden! Myśli, że będziemy tu deliberować czterysta lat! Ojciec Grigoriju, trzymajcie się! W was cała nadzieja! Powiedzcie tylko, jak możemy ci pomóc, a my wszystko...

Ojciec Grigorij nie odezwał się ani słowem. Poruszył tylko dłonią, jakby chciał rzec: milcz, rybko-akulko! Milcz i słuchaj!

Milczę.

Słucham.

Na Jego Bezstronność już nie patrzę - żal serce ściska, jak się ten człowiek męczy! Wprost żyły sobie wypruwa!

- ...niestety, syn tego maga okazał się pozbawionym talentu. Nie miał skłonności do

sekretnych sztuk i ojciec daremnie go uczył wszelkich mądrości, zmuszając do ślęczenia nad księgami po nocach. Tak było, drodzy państwo, nie dziwcie się...

Duch Prawa wstał. Przeszedł się po sali, zakładając za plecy śmiesznie wystające z przykrótkich rękawów surduta ręce.

Zatrzymał się przed nami i zakołysał, przestępując z pięt na palce.

- W tych tak odległych czasach magiczną wiedzę przekazywał nauczyciel uczniowi - *prawdziwy* nauczyciel *prawdziwemu* uczniowi! - zwykłymi sposobami. Tak jak wszelką inną wiedzę. Ale do tego, żeby nauczać i żeby się uczyć, potrzeba zdolności. Potrzebny jest pewien talent, dar, uzdolnienia, skłonności, nazwijcie to jak chcecie, a syn wielkiego maga był owego daru pozbawiony. Ojciec też zresztą, prawdę mówiąc, nie był za dobrym nauczycielem - dodał Duch ze smutkiem w głosie i znów umilkł na długo, przemierzając salę. Cicho zaskrzypiały dziwaczne trzewiki z klamerkami.

Dziwne, dlaczego jakoś już mi się nie wydaje, że umyślnie zwleka? Zauroczył nas, gadzina, czy co?!

- ...nie każdy Mistrz może być Nauczycielem; choć każdy Nauczyciel powinien być Mistrzem - wymamrotał Duch, jakby do samego siebie.

Ale szybko się ocknął.

- O czym to ja mówiłem? Ach, tak! Krótko rzecz ujmując, nijak nie mógł ten mag przekazać swojej wiedzy synowi. A bardzo chciał - nawet sobie państwo nie wyobrażacie, jak bardzo! Żalność i gniew nim targały - moje dziecię, krew z krwi i kość z kości mojej - beztalenciem jest i nieukiem?! Ludzie za plecami się śmieją. I wtedy właśnie zrodził się pomysł Ugody. Według której nauczyciel mógł przekazać uczniowi całego siebie, niezależnie od zdolności jednego i drugiego. A co tam, furda szczegóły! Niechby nie całego siebie, niechby tylko część! Powiedzmy, syn będzie słabszy od ojca o jedną czwartą albo trzecią - tó i tak bardzo wiele, uwierzcie mi! Wedle teraźniejszych miar - niesłychanie wiele! Gdyby ten mag ojciec, oprócz wiedzy o rzeczach tajemnych, był jeszcze zwyczajnie po ludzku mądry i przewidujący... ale tego właśnie mu zabrakło!

Niespodziewanie Duch opadł na swoją ławę. Zasłonił twarz dłońmi i umilkł. Wyglądało to tak, jakby płakał. Bezdźwięcznie, beznadziejnie - tylko mu plecy lekko drgały pod mysim surdudem.

Ale kiedy odjął ręce od twarzy, okazało się, że oczy ma suche..

- Przepraszam państwa, to sprawa osobista. Nie będę opowiadał, na jakie żywioły się powołał, na co przysięgał i jaką ofiarę złożył ojciec - tym bardziej, że teraz już nie jest to ważne i nie ma związku ze sprawą. Najważniejsze, że nieszczęśnik dostał to, czego chciał! Stworzył

Ugodę, zerwał jabłko z zakazanego drzewa. Ale, ku swemu żalowi, zrozumiał to za późno... Cóż, znów się rozwodzę. Pora przejść do rzeczy - przerwał sam sobie Duch. - Zawarto więc pierwszą Ugodę i wkrótce mag zaczął dostrzegać, jak zmienia się jego syn. Szybko opanowywał wiedzę, która wcześniej była mu niedostępna, ale na tym rzecz się nie skończyła. Coraz częściej wydawało się ojcu, że patrząc na syna, spogląda w zwierciadło. Nieco krzywe i po brzegach upstrzone przez muchy. Rok mijał za rokiem, aż wreszcie dobiegł końca czas, na jaki zawarto Ugodę. Syn otrzymał wszystko, co wdrukowała mu w duszę, poprzycinawszy ją skrycie, przekłeta Ugoda! I poczuł w sobie pustkę! Umiał wiele i wiele mógł... ale nie potrafił korzystać z tego, co mu się dostało! Dlatego, że wszedł w fatalny, zwodniczy krąg nowej Ugody! Teraz jemu samemu potrzebny był uczeń, ponieważ ojcowski wzorzec, nie mając się gdzie przelewać, spaliłby go od wewnątrz!

Duch podszedł do okna.

Wstawszy na palcach, spróbował wyjrzeć na zewnątrz, ale chyba niczego nie udało mu się zobaczyć. Szurając trzewikami jak starzec, wrócił ponownie na ławeczkę.

- Możemy sobie darować opis tego, co się działo potem. Magicznymi sposobami Prawo rozprzestrzeniało się szybciej od dżumy. I nie dziwota! Gwarantowało mistrzostwo bez jakichkolwiek wysiłków! Niechby i część daru przesączała się przez palce i przepadała, wszystko jedno - kto się oprze i zrezygnuje?! A z drugiej strony - przygotować sobie całkiem przyzwoicie wyszkolonego ucznia, nie tracąc na długotrwałą naukę czasu, który zamiast tego można poświęcić na własne badania! No tak, owszem, uczeń nie dorówna nauczycielowi - ale czy naprawdę wielu jest ludzi gotowych się pogodzić z tym, że uczeń ich przewyższa? A tu przewaga nauczyciela jest gwarantowana! Wszyscy są zadowoleni! Oprócz stwórcy Ugody: za późno zrozumiał, co stworzył - a gdy zrozumiał, to się przeraził! Przepraszam, znów za bardzo się przejąłem. Wróćmy do naszych baranów i do naszej drobnej sprawy. Spójrzcie państwo!

Duch Prawa powiódł ręką w powietrzu przed sobą - i znikł!

Dziwna rzecz - nawet mi przez myśl nie przeszło, że on mógł po prostu uciec. Pozostałym chyba też. Nie mógł. A gdyby nawet mógł - nie zrobiłby tego.

Zamiast Ducha, w miejscu gdzie stał, pojawił się mglisty kontur prześcieradła, podobny do ekranu kinematografu przed rozpoczęciem projekcji. I nagle pojawiły się obrazy! Ale tak wyraźne i rzeczywiste, jakich nigdy w prawdziwym kinematografie nie uświadczysz!

**KOLOROWE!**

Znów mi się zakręciło w głowie; lada moment padnę prosto <sup>w</sup> te obrazy! Mocniej chwyciłam Fiedieńkę za rękę; stoimy i patrzymy.

Najpierw na tym prześcieradle pojawił się tęgi, siwawy, ale wcale jeszcze nie stary pan w białej koszuli, kamizelce i pod muszką. Siedział za stołem zavalonym papierzyskami i pospiesznie zapisywał coś w jakimś notatniku. Najpierw mi się pomyślało, że to ten mag-ojciec, co wymyślił Ugodę. Pomyślało mi się, ale zaraz mi się odmyślało: przecież to żaden mag, tylko jakiś znaczny finansista, właściciel banku.

Po cóż nam Duch pokazuje bankiera?!

Na obraz nasuwa się i przebija przez niego drugi, nie żywy, ale jakby narysowany: pieniądze, pieniądze, mnóstwo pieniędzy; banknoty, asygnaty i złote monety. Ale te pieniądze nie leżą w sejfach; budują na nich fabryki, okręty, maszyny... pieniądze pracują... coś takiego!

Zawsze myślałam, że to ludzie pracują.

Tymczasem obok solidnego pana pojawia się chłopczyk: tęgi, nad wiek poważny i też w białej koszuli, wyprasowanych na kant spodniach, kamizelce i pod muszką. Syn. Siada naprzeciwko ojca, a ten zaczyna mu coś wyjaśniać. Syn słucha, czasami kiwa głową i od czasu do czasu zapisuje sobie coś w zeszyciku.

Potem czas zaczyna płynąć szybko, szybcieńko, chłopak rośnie w oczach, traci dziecienny wygląd i przekształca się w młodzieńca, a potem w mężczyznę; a jego ojciec się starzeje, zaczyna się garbić, a na jego twarzy pojawiają się coraz głębsze bruzdy... ale nadal siedzą jeden naprzeciwko drugiego, a syn już się spiera z ojcem, razem przeglądają papiery, syn podskakuje radośnie i uderza pięścią we własną dłoń: - „Tak jest! - woła. - Wyszło na moje! Udowodniłem! Ja miałem rację, ja!” - a ojciec patrzy na syna z dołu i uśmiecha się z zadowoleniem.

Syn przerósł ojca.

Ojciec jest szczęśliwy.

...a góra pieniędzy rośnie, rośnie, strumyczkami macek obejmuje wszystko i wszystkich - zdolny okazał się synalek, przerósł tatulę, pomnożył kapitał. Aha, już młodszego bankiera pojawia się syn, siada naprzeciwko ojca, słucha uważnie jego słów, zeszycik zapełnia. Niedaleko pada jabłko od jabłoni - ależ sobie kapitalisko zgromadzą, całą Ziemię mackami oplączą!

Zamigotał obraz. Zniekształcił się nieco, pokrył jakimś cętkami. Ponownie się pojawił. Patrząc, wszystko niby jak przedtem, ale niezupełnie! Za stołem siedzi siwawy bankier, a naprzeciwko syn. Słucha ojca, nawet zapisywać się stara... ale z oczu nuda mu wygląda - nieciekawe to wszystko dla chłopaka! Nie interesuje go to, niczego nie rozumie i sen go morzy - ziewnął raz, drugi, już słowa mu się chyli na kartkę krzywo zabazgraną...

Ofuknął ojciec syna, ten się ocknął, zebrał w sobie, zamrugął z przestachu oczami; ojciec znów mu zaczął objaśniać, syn kiwa głową z przejęciem, a z oczu widać - ni czorta nie pojmuje! Zebyż tylko stary znów się nie zbiesił!

Smutną, oj smutną minę ma bankier. Zrozumiał, że syn nie ma smykałki do spraw finansowych, nie pomnoży ojcowskich kapitałów - dałby Bóg, żeby ich nie roztrwonil! Czas przyspieszył jak zwariowany, rośnie syn bankiera, po restauracjach wałęsać się zaczął, do panienek się dobiera, w karcieży rznąć zaczyna - a pieniążków brak! Patrzy ojciec na syna: nie będzie on godnym następcą! No i dobrze, niczego z tym nie zrobisz - nie dał Bóg talentu, to nie ma co z tego powodu niszczyć życia ukochanego dziecka. Żyj sobie, jak chcesz.

Bankier okazał się człowiekiem szczodrym - wezwał syna i daje mu papier. Ugodę. Od tej chwili razem będą zarządzać ojcowskim kapitałem, na równych prawach. Po połowie. A żeby diabeł synka nie podkusił do roztrwonienia swojej części, w umowę wstawiono odpowiedni punkt: synalek może tracić tylko procenty, a podstawowego kapitału tknąć mu nie wolno.

Tych procentów jednak jest sporo. Na beztróskie życie starczy aż nadto i jeszcze zostanie - bogaty tatuńcio się trafił!

Syn umowę podpisał i jeszcze się ucieszył!

Od tej chwili też jest bankierem! I wszystko byłoby dobrze, ale synkowi trosk przybyło - papiery trzeba podpisywać, stawiać się na posiedzeniach rady nadzorczej, ryć w stosach niezapłaconych weksli - bez was nie można, pan jest głównym udziałowcem! Niech pan decyduje. I wymyślił sobie syn, że trosk się pozbędzie, jak sobie najmie zarządcę, który za niego sprawy poprowadzi! A sam sobie życia będzie używał!

Dobrze to pomyślane było, nie ma co gadać, dla nieroba nie ma lepszego rozwiązania! Tyle że zarządca też nie był w ciemni bity, za gołą pensję robić nie chciał. Daj mu część zysków - widzicie go! Ojciec może i by odmówił, ale syn machnął ręką - a co tam, mało mam? I podpisał papiery. Łatwo jest być łaskawcą na cudzy rachunek.

A zarządca poszedł do starego bankiera umowę zatwierdzić. Oczywiście, młody człowiek odstąpił mu część ze swego udziału, ale bank w końcu do ojca należał; trzeba więc było, żeby i ojciec umowę podpisał.

Przeczytał umowę stary bankier: wszystko zgodnie z prawem, podstawowy kapitał uszczerbku nie doznaje, nienaruszony został; a że syn postanowił jeszcze jednego człowieka do udziału dopuścić, na swój rachunek, żeby i ten miał procent od procentu - to już jego synowska sprawa. Wszystko zgodnie z prawem. Westchnął bankier ciężko - ale cóż było robić?

Podpisał.

I pieczęć postawił.

A po jakimś czasie, czy to zarządca lenić się zaczął, czy przyjacielowi przysługę postanowił oddać, czy może jeszcze coś innego go podkusiło - dość, że z jeszcze jednym dobrym człowiekiem w spółkę wszedł i do udziału w zyskach go dopuścił. I znów poszli do starego bankiera. A ten co miał robić; wszystko zgodnie z prawem załatwione - podpisał więc i pieczęć postawił.

I poszłoooo! Kapitał był niemały i synowską część dzielili długo - i wciąż było co dzielić. Stary bankier dawno już umarł, w jego krześle widmo smutne tkwi, w kamizelce i pod muszką. Zasiada, umowy zatwierdza, a gromada udziałowców się mnoży, rzną części na części, coraz mniejsze. Nikt już o początkowym kapitale nie pamięta, nie pomnaża go, wszyscy tylko dzielą i procenty trwonią. Zdążyli nawet zapomnieć, kto jest tym widmem siedzącym w krześle, ale że zachodzić do niego trzeba i ugody zatwierdzać - wszyscy pamiętają i chodzą; my też chodźmy... w końcu to tradycja.

## NOTATKI NA MARGINESIE

*Spróbujmy zajrzeć w oczy bankierowi-ojcu, dopóki zupełnie nie rozplynął się w nicość. Spróbujemy? Ale żebyście się potem nie skarżyli. Otóż macie: ... myszy.*

*Mnóstwo myszy. Myszukują, cholery jedne, wszędzie nosy wtykają. Gryzą stronice starej książki rozrachunków. Roznoszą strzępy po norkach i zakamarkach. Pułapki stawialiśmy, na holenderski ser chyba z milion przepuściliśmy - nie pomaga. Kota sprowadziliśmy: śpi tylko, bydlę rude i żre, aż mu się uszy trzęsą. Foksteriera kupić, czy co?*

*Nienawidzę myszy.*

- ...i tak oto wygląda nasza z wami Ugoda - przed nami znów stoi Duch Prawa. Stoi, usta wykrzywia. I do bankiera z „czarodziejskiego kinematografu” podobny! - Dzielicie, rwiecie Kapitał na części, ale go nie pomnażacie! I coraz większa część odchodzi w niebyt, pyłem się okrywając. Wszyscy żyjecie z procentów... z jakich tam zresztą procentów! Promile to, mizęrota o jakiej i mówić nie warto!

Nie wytrzymałam:

- No, niech będzie - ale w czym my akurat zawiniliśmy?! W tym, że tych procentów nam się więcej dostało?! My Ugody nie naruszyliśmy - to i ty jej nie łam! Nie masz prawa! Dobrze mówię, panie strapczy?

A pan strapczy milczy. Błady się zrobił, do mumii podobny i na nogach ledwo się

trzyma. No, wytrzymaj jeszcze troszeczkę, kochany, pocierp, przecież czuję - niewiele już zostało! Nie będzie nas Duch wiecznie za nosy wodził, bajkami karmił, żeby wygrać na czasie; skończyły się bajki, konsekwencje trzeba ponieść!

- Wy Ugody nie naruszyliście, to prawda - odpowiada Duch zamiast ojca Grigorija, a jego uśmiezek nagle wydał mi się podobny do uśmiechu wilka, który kły jednocześnie szczyrzy. - Ale i ja jej nie złamałem. Z kim Ugodę zawieraliście? Z Druce i Kniahiną, prawda?

- Prawda - kiwamy głowami.

- No i wyszedł wam Bruderszaft - w tym jeszcze niczego złego nie ma, Ugoda na krzyż nie jest zabroniona. Weszliście oboje w udziały Druca i Kniahini - niech wam będzie. Sam to zatwierdziłem. Ale wam było tego mało, sięgnęliście po więcej. Nabraliście pełne kieszenie. A to już nie udział, to się nazywa kredyt albo inaczej pożyczka. Słyszeliście o czymś takim?

On co, za wiejskich przyglupów nas uważa?!

- Widzę, że słyszeliście. A o tym, że kredyt trzeba zwrócić, styszeliście?

- A jakież to kredyt, mój zacny panie? - uśmiecha się przebiegle mój Fiodor. Nawet oczy przestał mrużyć, uśmiecha się szeroko. Chyba odgadł, na czym tego przeklętnika przyłapać można! Panie strapczy, a pan czemu milczy? - To nie kredyt, gołąbeczku, to cały czas ten sam udział! Co wzięliśmy od Kniahini i od Druca, a co od innych - nikomu nic nie ubyło. Bierzemy tylko udziały! Nie mąć nam w głowach, wujek! - i śmieje się.

A ja razem z nim. Przełknął?!

- To pan coś płacze, panie Powodzie szanowny, a nie ja! - słodziutko ciągnie Duch Prawa. - Przecież nie zawieraliście Ugody z pozostałymi, którzy, że się tak wyrażę, oddali wam swoje udziały? W ogniu Ugody z nimi nie gorzeliście? Nie umawialiście się nawet ustnie - z początku w ogóle o nich nic nie wiedzieliście! Prawda?

Prawda.

Ani słowa, prawda.

- I co z tego? - Fied'ka znów się zasępił.

- A to, żeście brali od nich bez Ugody! Nie pytaliście o to, czy możecie!

- Ale przecież oni... oni są martwi! - to ja krzyczę. - Jakże martwych o zgodę prosić? Jakby na przykład człowiek w ziemi skarb zakopał i umarł, a my go znaleźliśmy - co wtedy? Czyj skarb, skoro właściciel umarł, a spadkobierców nie ma? Nasz przecież! I pytać nikogo nie trzeba!

- Mylicie się państwo.

Duch Prawa przestał się wreszcie uśmiechać, ale wcale lżej się od tego nie zrobiło. Przeciwnie - jakby lodowatą wodą z cebra ktoś w twarz mi chlusnął.

- Skarb oczywiście wasz, ale nie cały. Państwu trzeba część z niego oddać. I to lwią część. A wy jej nie oddalście.

- Ale wymyślił! - Fiedka lekceważąco macha ręką - Gdzie to twoje państwo? Komu część oddawać? Sami tu jesteśmy! Magowie państwa nie mają! Wynika z tego, że skarb jest nasz i nikomu oddawać go nie musimy! Jest tu pan strapczy, niech potwierdzi...

Odwracamy się wszyscy do ojca Grigorija - i widzimy, jak Jego Bezstronność zaczyna powoli przewracać się na bok.

Ściany sali zaczynają drżeć jak odbite w stawie, twarz Ducha Prawa też się zaczyna rozmazywać - i obaj z Fiedką rzucamy się ku panu strapczemu. Bez żadnych uzgodnień chwytamy go pod ręce i podtrzymujemy, nie pozwalając mu na upadek. Pod palcami czuję coś twardego. Pierścień! Ten pierścień z kamieniem na lewej ręce strapczego. Kamień... Aleksandryt?

Na prawej ręce powinien być jeszcze jeden, z ametystem.

- Fieda, pierścień!

Fiedce dwa razy powtarzać nie trzeba - od dawna już rozumiemy się w pół słowa. Nasze palce jednocześnie obejmują nadgarstki ojca Grigorija, wchłaniając w siebie pierścienie z ocalałymi kamieniami...

Przenika mnie na wskroś głęboki, wewnętrzny dreszcz. Wiruje ciepłą spiralą, kieruje się na zewnątrz - i gorącą pulsacją odzywa się kamień pod moimi palcami; teraz już wiem, że to aleksandryt... był.

Na mgnienie oka stapiamy się w jedność: mój mąż, ojciec Grigorij i ja. Kąpiemy się we wrzątku, nie dajemy mu ostygnąć, oddając cały żar temu, któremu jest najbardziej potrzebny.

Strapczemu.

Grigorijowi Radcigowi, Czerwiennej Dziesiątce.

Palce same się rozluźniają, ale ojciec Grigorij nadal utrzymuje się na nogach. Sam. Jego twarz powoli odzywa. A z poczerniałych rozetek na pierścieniach osypuje się lekki, prawie nieważki pył.

To wszystko, co zostało z klejnotów.

- Proszę, niech pan kontynuuje, panie Pozwany - głos strapczego jest twardy. - Tylko proszę się streszczać. Niezbyt dobrze się czuję.

- Będę zwięzły, Wasza Bezstronność. Właściwie mówiąc, to prawie skończyłem. Państwo Powodowie, mówiliście, że nikomu niczego nie jesteście winni? I że magowie nie



mają państwa, zatem i oddawać nie ma komu? Czy dobrze was zrozumiałem?

Dopiero za trzecim razem udaje mi się kiwnąć głową. Szyja mi zdrętwiała.

- Za waszym pozwoleniem, odpowiem. Jestem przecież Pozwanym, a więc tym, co odpowiada... Powód ponownie raczył się pomylić. Jest ktoś, komu powinniście oddawać procenty. Państwo Magów - to Ja! To *moje* Prawo, *mój* skarb, to ja spisałem i zatwierdziłem pierwszą Ugodę! Sam jestem skarbem, kapitałem, państwem i właścicielem banku, z którego czerpicie swoje udziały. Po prostu *pozwoliłem* wam brać na kredyt. Albo znaleźć skarb, jeżeli tak wolicie. Pora na zwrot kredytu. Z procentami. Albo, jeżeli chcecie, oddajcie państwu jego część znalezionej skarbu. Lwią część.

- Ale w ugodzie tego nie było! - znów nie wytrzymałam.

- A czytaliście Ugodę? - zwodniczo łagodnym tonem pyta Duch.

- Nie! - czuję, że się rumienię. - Nikt jej nie czyta! Jej w ogóle nie da się przeczytać! Wszyscy i tak wiedzą, czego dotyczy! A wy ją naruszyliście!

- Żeby wiedzieć, czy ją naruszyłem, czy nie, trzeba by ją przynajmniej przeczytać, nie sądzi pani? Nieznajomość Prawa nie zwalnia od odpowiedzialności. Panie strapczy, niech pan potwierdzi.

Twarz ojca Grigorija znów zaczyna się nasączać'woskową bledością. Nie na długo starczyło kamyczków! Ale mimo wszystko Jego Bezstronność powoli kiwa głową. - A więc, pan strapczy potwierdza, że mam rację. Mam prawo zażądać od was zwrotu wydanego przez was kredytu, włączając w to procenty. Co więcej, proponowałem wam rezygnację! Wtedy nie musielibyście się z niczego rozliczać! Wy jednak dokonaliście wyboru. Moja decyzja pozostaje w mocy, żądam od was zwrotu długu - nie będziecie mogli zawierać nowych Umów; nie zdołacie ich zawrzeć z nikim, oprócz własnych dzieci, nie pytając ich o zgodę; a jeżeli zawrzecie Ugodę z waszymi dziećmi i szczęśliwie zdołacie wprowadzić je w Prawo - moje zastrzeżenie straci moc i będziecie mogli zawierać dalsze Ugody na ogólnych warunkach.

Drgnął mu policzek.

Pozwany się odwrócił.

A pan strapczy odezwał się jak echo:

- Strony przedstawiły swoje argumenty, te zaś zostały rozpatrzone. Moja decyzja jest następująca: Duch Prawa miał prawo postąpić, jak postąpił. Powództwo zostaje odrzucone we wszystkich punktach. Rozprawa zakończona.

Nawet nie zdążyłam się rozplakać.

## VII. FIODOR SOCHACZ ALBO JEŚLI NIE DAM WIARY...

*Nawet i cyprysy mają z ciebie ucieszną zabawę i cedry libańskie;*

*Mówiąc: odkąd ty ległeś, żaden drwal nie wychodzi do nas...*

*Ci wszyscy zaś razem odzywają się i mówią do ciebie:*

*Także ty zastąłeś jak my, z nami się zrównałeś!*

*Księga Izajasza*

- Spodziewam się, moi drodzy, że wam nie przeszkadzam? Pytanie padło gdzieś z góry i z daleka. Można byłoby wysnuć z tego kilka żartobliwych przypuszczeń; ale kompletnie zabrakło ochoty do żartów. Byłyby zresztą spóźnione; we mgle, nieznacznie tylko podbarwionej jaśniejszymi smugami zbliżającego się świtu, Fiodor zobaczył blask ognika papierosa. Oto miga na wysokości pierwszego piętra, od strony balkonu kniaziowej sypialni.

Wydalo mu się?

Czy przy niewidocznej balustradzie rysuje się sylwetka - bryła bardziej gęstego mroku, skupisko bezstronności i urzędowej obojętności?

Ogieniek papierosa tlił się niczym jesienna gwiazda - nieszkodliwa, jedna z wielu, która jest gotowa nakreślić czerniejący łuk, dając komuś możliwość wyrażenia życzenia - ale lekko bolały od niej oczy. Piekły, jak otarte kolana. Chciało się je zmrużyć, mrugnąć raz i drugi... odwrócić wzrok.

Nie patrzeć.

- Widzę, że jednak wam przeszkodziłem. Z łaski swojej zechciejcie mi to wybaczyć.

Gandieri mówił półgłosem, ale wyraźnie. Każde słowo miarowo kapalo w atramentową ciszę, jakby woda z nie dokręconego kranu - wierć się w nocy! Miotaj targany bezsennością! Wsłuchuj się w przekłety odgłos padających kropli! W obecności pułkownika Fiodor nagle się poczuł tak samo, jak wczorajszego wieczoru, po wejściu w konwencję. Kiedy przed księżniczką się wygłupił, zapragnąwszy udawać lekarza cudotwórcę.

Pamiętasz?

Ciągnij, Fied'ka! Ciągnij! Podnoś! Ratuś! Ale uważaj, bo ci przepuklina w duszy puści! Całe to twoje wrzenie w parę poszło; chcesz za czerwońca, a nie możesz nawet za kopiejkę!

*Tylko bulgotanie.*

Teraz też tak: jakby mu ktoś ręce związał, a na nogi wzuł kajdany. Dopiero teraz zrozumiał Fiodor Sochacz, co dla konwentowego maga oznacza pojawienie się i obecność

śledczego „Barbarzyńcy”. Po raz pierwszy na swojej garbowanej przecie już skórze poczuł, jak to było, kiedy Cyklop z kompanami brał ich wszystkich na katorgę: Druca, Książinię i inne karty atutowe. I

Jasne też się stało, dlaczego „strapczy” podczas rozprawy był spocony i wargi do krwi zagryzał. A jednak zdołali? Gandieri dawno już musiał stać na balkonie. Czyli oznacza to, że „Barbarzyńca” nie całą siłę odejmuje? A może po prostu żelazny książę zaczyna pękać i tylko patrzeć, jak na kawałeczki się rozsypie, skorupki, skorupy... czerepy...

Głupie te myśli.

- Popatrzylibyście na siebie z boku. Saburowy Dwór na sesji wyjazdowej: sami siebie o coś pytacie i sami sobie dajecie odpowiedzi. Aż zazdrość bierze. Ale żarty na bok, szczerze wam zazdrośczone; wam jest łatwiej. Jak człek jest przy zdrowych zmysłach i pamięć ma dobrą - nie ma dokąd uciec. Ukryć się. Zniknąć. Pozwolicie, moi drodzy, że do was zejdę? Aby, że tak powiem, uzupełnić towarzystwo?

Opustoszał balkon, był ogieniek, a teraz znikł.

Tylko ptaki w ciszy powoli zaczynają pośpiewywać, próbując głosy.

Tylko krzaki w oczekiwaniu świtu próbują się rozruszać, szeleszczą, poprawiają wilgotne okrycia, szykują diamentowe naszyjniki na świt.

Tylko Fied'ka, groszowy rymopis, władca dusz, stoi z otwartą Gębą.

- Aha! Zamknął. Zuch!

A kiedy pan pułkownik raczyli schodzić, aby, że tak powiemy, uzupełnić towarzystwo, dopóki się nie zjawił, nagle - ni w pięć, ni w dziewięć, na ukos i nie do koloru - wyszło coś takiego:

- ...już niedługo smutku smuga nas dopadnie. Sami ogień rozniecimy. Zgorzejemy.

Pod nogami błoto chlupie nieporadnie. Żółty liść opada smętnie - świadek niemy.

Leży w błocie potargany. Z chmur popiołem Krucze wrzaski na nas lecą, nad strumieniem, Co oszalał i nurt wiedzie wzdłuż wądołu, Upoiwszy się żalobnym pieniem.

Jesień idzie - warta tyle, co popioły. I w kieszeni niczym grosz wytarty siedzi. Skoro jeszcze nie skończony - nie zacząłem; Jeśli nie dam wiary - to nie zwiedzie...

...mgła posłusznie się rozstąpiła i chyba nawet nie dlatego, że pan pułkownik niósł w ręce lampę naftową.

Doniósł.

Postawił ja na stoliku.

Odziany w lekko ściśnięty w pasie szlafrok z błękitnego atlasu, niemal tej samej barwy, co przepisowy mundur, przepasawszy się szkarłatnym pasem z frędzlami - Gandieri stał niczym niestosownie jaskrawy punkt w kręgu ciepłego światła. I właśnie z powodu zwodniczych figli tego światła, czającego się wśród nocy niby nieproszony gość, z powodu cieni, rozpychających się w pewnym jeszcze siebie mroku, odkryta głowa pułkownika wydała się Fiodorowi zupełnie białą. Siwy jak kobuz starzec stał u wejścia do domu, wyprostowawszy się dla fasonu niczym bażant na wiosnę, stał i czekał na pojawienie się nieproszonego gościa, przeciwko któremu niczego nie wskórają armie ani prawa.

Fiodor otarł oczy grzbietem dłoni. Strząsnął precz nie wiadomo skąd nabiegłe łzy, i wszystko wróciło do swego zwykłego wyglądu. Światło, cienie i zwykły wygląd pana pułkownika. Znikła gdzieś widmowa siwizna... znikła? Czy jednak została? O, skronie zupełnie siwe. I bokobrody - w połowie. Błyszczą srebrem niczym choinkowe ozdoby.

Wśród ryżej szczoteczki wąsów siwe niteczki widać.

- Witajcie, moi drodzy. Dzień dobry. A może lepiej byłoby rzec - dobrej nocy?

Nikt nie odpowiedział. Po co?

- Wiecie... to ja nawarzyłem tej kaszy. Niechby i nie sam, niechby tę kaszę podgrzewano w różnych miejscach, niech ojciec Grigorij przypisze to wszystko boskiemu zamysłowi, a ja, jako zagorzały fatalista, powołam się na nieuchronność wyroków losu. Co za różnica? Po prostu beze mnie wasze konsylium nie będzie pełne. Są sprzeciwy?

Sprzeciwów nie było.

Cały kocioł tej kaszy, od przeklętego Bruderszaftu do rozpatrzonej dzisiejszego dnia sprawy przeciwko Duchowi Prawa, nawarzył w Mordwińsku uparty i dumny pułkownik Gandieri.

Wszystko się zgadza.

- Dziś już rozumiem; usiłując przyspieszyć pewien proces ja sam i podobnie jak ja myślący ludzie, przede wszystkim zakłóciliśmy równowagę istniejącego od dawna systemu. Poruszyliśmy zatrzymane wahadło i czas ruszył. Kasza nawarzona, trzeba ją teraz zjeść. Niektórzy z moich kolegów mają łżej; zdążyli już przelknąć całą swoją porcję i teraz jest im już wszystko jedno. Pułkownik Kurawlew, poprzedni komendant szkoły, generał von Graft - pomocnik Dorf-Kapcewicza, Abutalibow - nie mieliście honoru zostać im przedstawionymi. Rotmistrz Ziemiańszkin, z którym zetknęliście się w „Babilonie 5”... i wielu innych. Im łżej;

nic już ich nie trwoży i nie niepokoi. W przeciwieństwie do mnie, moi drodzy.

Ogieniek papierosa zakreślił skomplikowaną pętlę. Pułkownik odczekał chwilę i głęboko się zaciągnął, otulając się potem obłoczkiem dymu. Mocne palce jego lewej dłoni wsunęły się do kieszeni szlafroka, skąd wyjęły kilka złożonych poczwórnice kartek papieru. Gandieri pomachał karteczkami w powietrzu, jakby chciał z nich strząsnąć ślady czcionek starego Remingtona.

- Proszę bardzo. Oto artykuł reportera Wenera, Iwana Filipowicza, dla „Południa Kraju”, a po odmowie druku - dla „Wiadomości Gubernialnych”. W obu przypadkach artykuł został wycofany z druku przez cenzurę.

- Werner? - przerwał ojciec Grigorij. - Cenzura zatrzymała mu artykuł? Czy wasza jasność nie raczył się pomylić?

Iwana Filipowicza Wenera znali w mieście wszyscy. Był z pochodzenia Szwajcarem i absolwentem uniwersytetu w Tybindze, szykującym się do objęcia posady pastora, który w rezultacie jednak stał się wiecznym bezdomnym wędrowcem mającym się zająć guwernera i nauczyciela, pedagoga i wykładowcy języków, a tych znał bardzo wiele. Znany szeroko erudyta, zwolennik Jana Jakuba Rousseau, nie przestawał Werner hołubić jednego marzenia; chciał zostać „wiejskim kapłanem, właścicielem schludnego i jasnego domku pod lasem, i mężem wykształconej, łagodnej i uczciwej niewiasty”.

Zamiast tego został miejskim reporterem.

Wenera w mieście szanowano, choć czasami kwitowano pozbawionymi złośliwości uśmiezkami jego dziwactwa; na przykład zamiłowanie do kąpiel w ubraniu, po których Szwajcar rozwieszał mokrą odzież na gałęziach drzew i krzaków, a sam zanurzony po szyję w wodzie czekał, aż wszystko wyschnie.

Wielebny władca Inokientij niejednokrotnie czynił sobie wymówki za to, iż dopuszcza do marnowania talentu tej miary, rozdrabniającego się w codziennych reportażach.

- Nie, mój ojcie. Niczego nie pomyliłem. Pan Werner od ponad trzech miesięcy szykował artykuł o naturze wzajemnych stosunków pomiędzy magami i ich uczniami.

Gandieri znów odczekał chwilę.

Gardło go boli, czy co?

- Wysunął przypuszczenie, proszę obecnych, że ten związek ma charakter wampiryczny. Że uczeń maga popada w całkowitą zależność od mistrza. Że odczuwa nieodpartą potrzebę kontynuowania nauki; że oddaje się nauczycielowi duszą i ciałem, nie będąc w stanie zerwać wiążących go pęt bez pomocy z zewnątrz. Wiem doskonale, że wcale tak nie jest. Ale artykuł Wenera grozi przetruceniem wahadła systemu w drugą stronę i to z podwójnym

przyspieszeniem - a Iwan Filipowicz wcale nie jest ze swoimi domysłami odosobniony; mnie przecież też poparli ludzie myślący podobnie jak ja. Ojciec Grigoriju, mam nadzieję, że ojciec mnie rozumie?

Kapłan westchnął i mocno przetarł twarz dłońmi:

- Owszem, wasza jasność. Dobrze pana zrozumiałem. Jeżeli utrwali się ogólna opinia o wampirycznym charakterze tego związku, dla konwentowych magów nic się właściwie nie zmieni; do spisu grzechów dojdzie jeszcze jeden, i tyle. Ale radykalnej zmianie ulegnie sytuacja uczniów, chrześniaków, którzy natychmiast staną się zakładnikami i z obiektów prześladowań przejdą do kategorii niewinnych ofiar. Albo prawie niewinnych, co w istocie będzie tym samym. Kolejnym krokiem będzie więc próba wprowadzenia zmian do Kodeksu Karnego, a jednocześnie wysiłki uczonych mężów, którzy zaczną starania zmierzające do wyjaśnienia charakteru tej więzi.

Po chwili milczenia ojciec Grigorij dodał:

- Wyjaśnienie tego jest pragnieniem, które do naszych czasów z pewnych przyczyn się nie ujawniło. Należy do nich wewnętrzna niechęć, która zrodziła się na długo przed naszymi czasami. Za to teraz... Panie pułkowniku, faktycznie wytrącił pan system ze stanu równowagi. Czas ruszył. A artykuł Johanna Wenera jest skutkiem, nie przyczyną.

## **NOTATKI NA MARGINESIE**

*Szwajcar Johann Werner ma spojrzenie nieco kpiące i pojmujące. Pojmujące wszystko i kpiące z każdego rozmówcy. A już od ponad dziesięciu lat krył się w nim jeszcze: ...dom.*

*Parter kamienny, a piętro z drewna. Dach kryty żelazną blachą, dudni podczas gradobicia. W zimie dom ogrzewany jest przez holenderski piec, a latem, jak popadnie. Szkoda tylko że kuchnia ciasna, mroczna i wilgotna. Ale to niezbyt ważne. Za to kiedy odejdziesz, masz do czego wracać.*

*Milo jest powiedzieć: wróciłem.*

Gandieri wziął krzesło, przysiadł się do stolika i nieco zgarbił. Otulił się światłocieniem niczym opończą:

- Pod koniec czerwca urażony Werner wyjechał do Liverpoolu. W połowie września dwa brytyjskie czasopisma zaczęły publikować jego prace. Myślę, panowie, że nie trzeba nam będzie długo czekać na zmianę nastawienia opinii publicznej w Europie.

Pan pułkownik pokręcił głową i w tym ruchu wyraził całe swoje ciężkie, wielodniowe znużenie.

Spojrzał na milczącą dotąd Kniahinię.

- A przecież ten Werner nie jest głupcem. Po prostu brak mu odpowiedniej informacji. Przyznam się, moja droga, że był czas, kiedy i we mnie zaległy się podobne myśli.

- O wampirycznym charakterze związku pomiędzy chrzestnym a chrześniakiem? - dźwięcznym wyraźnym głosem zapytała Kniahini.

Aluzja została zrozumiana.

- Tak jest, moja droga. Tyle, że w odróżnieniu od tego dziennikarza, Wenera, ja miałem dostęp do źródeł. I potrafię wyciągać odpowiednie wnioski. Na przykład w dokumentach są zeznania waszych ziomek z Gołowlino, pamiętających niejaką Rachel, córkę miejscowego szojcheta\*[\* - *Szojchet - świątynny sługa, wykonujący funkcję koszernego rzeźnika (Żargon abraham.)*], Fajwuszy Altschullera. Okazało się, że mają długie języki, nawet jak na takie małe miasteczko, jak wasze rodzinne Gołowlino!

- I cóż oni takiego o mnie opowiedzieli? Czekam, Szałwo!

- Nie unos się, moja droga. W końcu jesteśmy wśród swoich... I przymknąwszy lekko oczy, pan pułkownik zaczęli wspominać.

Fiodor słuchał.

I z wolna, bez żadnej magii, przed jego wewnętrznym wzrokiem zaczął się rysować wizerunek młodzietki Kniahini - wtedy jeszcze Raszki flejtucha. Niewysoka, krępa dziewczyna o grubych nogach; pyzata twarz cała w krostach, niezbyt starannie umyte włosy związane na karku w węzeł i niedbale wsunięte pod wytartą chustę. Jak to mówiono: chód kaczy, charakter szpaczy. Gołowliańskie swatki tylko rozkładały bezsilnie ręce; komu potrzebny taki skarb? Dziewczyna miała podstępny, złodziejski charakter - kto namówił syna odźwiernego Binomina do kradzieży wspólnych *moes-chi-ten*\*[\*- *Pieniądze na macę dla biedaków, którzy sami nie mogliby jej kupić na święto Paschy (żargon abraham.)*]? - i była tchórzliwa, ponieważ gdy wszystko się wydało, czepiała się nóg surowego ojca i zuchwale zwała wszystko na niezbyt wymownego młodzika! Trefne nóżki prosiące potrafiła schować w ojcowskiej chłodni - i niewiele brakło, a stary Fajwusza w przeddzień świętej soboty, kiedy każdy przestrzegający Zakonu abrahamita otrzymuje drugą, dodatkową duszę, wyzionąłby pierwszą. Rodzina chciała tę czarną owcę i zakałę rodu wygnać precz - i nawet już się zebrali w bokówce synagogi, ale nie zdążyli; bawiąca przejazdem w Gołowlinie Fira-Kokotka, która

akurat udawała się do Anaburga, zaopiekowała się oniemiałą ze wstydu i hańby przygłupią dziewczyną.

Po co ci ona?! - zdumiewali się gołowlinianie.

Po co ci ona?! - trząśł brodą mądry znawca Tory, rebe Alter.

A Ester Gedaliewna, mag konwentowy, tylko się śmiała.

...tak samo, jak teraz śmiała się w ciszy ogrodowej nocy Raszka-Kniahini.

Smukła, co ją mocno podwyższało, o postawie arystokratki przynajmniej od dziesięciu pokoleń, stała naprzeciw pana pułkownika - a wiatr targał pieszczotliwie frędzle szala na jej ramionach. Przekształcając szal w coś na podobieństwo oficerskich epoletów. Trzepotał nim, niby bojowym sztandarem. A Raszka się śmiała; katorżnica, baronessa, złodziejka, Dzwonkowa Dama, księżna, Kniahini...

Śmiała się.

Śmiała się w twarz pułkownikowi Gandieri, który patrzył na nią ciężkim, uporczywym, kamiennym wzrokiem i wydawało się że coś w jego spojrzeniu, głęboko, na samym dnie, pęka na pół, pokrywa się siateczką szczelin... rozpada się...

Odwrócił się pułkownik.

Przeniósł wzrok na Druca, a właściwie z trudem go przeciągnął.

Tak burłacy ciągną barki po Woldze.

- A wy, panie Druc-Wiśniewski? Przecież zgodnie z zeznaniami niejakiego liii Dadyńko, wodza z taboru silwańskich Romów dowarów, w którym mieliście wątpliwy honor się urodzić...

Fiodor słuchał.

Wyobrażał sobie małego Druca: chromego malca, gołodupca o wiecznie brudnej gębie. Kalectwo było wynikiem pijaństwa taborowej babki, która niezbyt się postarała przy porodzie. Posyłano go do kradzieży kur po sąsiednich wioskach - za każdym razem wpadał. Bili Dufuńkę na śmierć - obcy, swoi, przypadkowo napotkani; często go bili. Jeden tylko pożytek był z malca - kiepsko plótl kobiałki e wierzbowych witek, posyłali go więc, żeby je sprzedawał. Ojca nie znał, matka się bawiła, lubiła śpiewać; podochoceni panowie - bardzo lubili śpiewające Rumunki, Rumunki za pieniądze z każdym pójdą, a Romki uparte, samowolne, nosem kręcić lubią. No i doigrała się ptaszyna, znaleźli ją w rowie z nożem pod sercem. Zmieniło to nieco sytuację Dufuńki, bo przestano go bić - sierota przecież! Wygnać szkoda, a karmić drogo. Podrósł chłopak i zaczął się rzemiosła kowalskiego uczyć. Uwaga! Ręka, noga, mózg na ścianie! Wszystko mu z rąk leci, a jak miotem się zamachnie, to rzadko trafi w to, co trzeba! Raz mu omal iskrą oka nie wypaliło, wykręcił się osmaloną brwią, ale dwa dni na świat jednym



okiem patrzył. Wódz Ilja Dadyńko długo myślał i nic mu do głowy nie przychodziło. W końcu, drapiąc się w brodę, zaprosił do taboru Końskiego Ojca, samego Jefrema Perłowego, Roma nad Romami.

A Dufuńka, niezdara i pechowiec nagle do nóg się Efremowi, magowi konwentowemu rzucił. Wczepił się tak, że nie oderwiesz.. - a zresztą Koński Ojciec wcale się nie sprzeciwił.

Zabrał chłopaka z sobą.

Po co? - zdumiewali się starzy Romowie, poprawiając wyszywane srebrem kamizelki.

Po co?! - Uja Dadyńko niemal płakał, usiłując zrozumieć przyczynę.

A Jefrem Perłowy, Król Winny tylko uśmiechał się pod wąsem - ...tak samo, jak teraz, w nocnym sadzie uśmiechał się Dufunia Druc-Wiśniewski. Gitara w jego rękach śpiewała cichutko o ogniskach w stepie i tańcach do świtu, wyginała się niczym kot i niemal ocierała się o jego ramię, a w bujnych kędziorach Druca plątał się przelotny wietrzyk. Żaden z brzęczących wokół komarów nie ośmielił się usiąść na Drucowym policzku a bekas, nie okazując żadnego strachu, spacerował pomiędzy jego butami. Gitara zanosiła się łkaniem i podśpiewywała przez Izy: *aj, te zadział by, te zadział by, te zapraszał chotia romengilo, ach e dżukro\*\* - Zajdź do mnie, zajrzyj choć ty, romski pieseczku... (rom.)*! A Druc się tylko uśmiechał: koniarz, śpiewak, zabójca, włóczęga, Walet Winny, i konwentowy mag...

- Wielki człowiek z ciebie, wasza jasność! Wielką masz głowę! Wszystko w lot przejrzysz, co?

- Przejrzę - nie od razu odpowiedział Gandieri. Najpierw nie wiadomo dlaczego dotknął szTcła larftpy, oparzył się, ale ręki nie cofnął. Jakby mu trzeba było tego drobnego, chwilowego bólu. - Nie wszystko, ale wiele. Was na przykład też widzę, ojczy Grigoriju.

Kapłan pytająco uniósł jedną brew w górę, co to znaczy, w jakim sensie? Raczcie wyjaśnić, wasza jasność!

- Wy, ojczy Grigoriju, jesteście tu wyjątkiem. Was Iłarion Połtawski, znamienity „strapczy”, wziął jako zupełnie innego człowieka. Wyście byli mądrym, wykształconym i subtelnym, prawda? Jemu, Iłarionowi, nowy chrześniak był pilnie potrzebny, a oprócz was, ojczy Grigoriju - wtedy jeszcze byliście po prostu Georgijem Emmanuelowiczem Radcigiem i lada chwila mieliście otrzymać dyplom z zakresu prawa cywilnego - oprócz was, powtarzam, nie było innych chętnych. A wyście chcieli! Bardzo chcieliście, do utraty tchu...

No i zgodził się Iłarion, As Czerwienny. Fiedka wytrzeszczył oczy i wbił wzrok w Ojca Grigorija. A ten Utkwił spojrzenie w ziemi i opuścił głowę.

Czyżby zrozumiał, ku czemu zmierza pułkownik?

- Widzę, ojczye wielebny, żeście pojęli, do jakich wniosków doszedłem. Słusznie - jesteście jedynym, który został uczniem konwentowego maga już jako ukształtowana i nietuzinkowa osobowość - i właśnie wy nie dźwignęliście się ponad Dziesiątkę. Przepraszam, pomyliłem się: nie jesteście wyjątkami - przedstawiacie sobą ilustrację reguły. Wy wszyscy tu obecni, włączając w to naszych dzikusów z najgłębszych komyszy tajgi... byłych dzikusów, ma się rozumieć. Czyżbym źle odgadł, drodzy państwo?

Dopiero teraz cofnął Gandieri palec od szkła lampy. I jak dziecko, chwycił się na koniuszek ucha. - Dobrze odgadłem - odpowiedział sam sobie.

Za krawędzią nieboskłonu - „horyzontu” jak mawiali w sąsiednich krajach - niewidoczna jeszcze zorza zaczynała z wolna swoje kucharzenie. Tak bywa, kiedy w jeszcze wrzący w kotle barszcz - mętny, brudno szary i przypominający wyglądem pomyje - wleją najpierw zakwasu i wrzątek zagra barwami, zaciągając się niespodziewanie jaskrawą smakowitą czerwienią, żeby potem, już na talerzu, ostudziwszy go uprzednio w chłodni, przyjąć w siebie solidną porcję śmietany i zabielić się niczym Mleczna Droga... i jazda, chłopcy, pod kielicha, z pierożkami i czosnkiem...

Och, trafiają się ludziom porównania, prawda, Fiodorze Fiedorowiczu?! - smakowite, dźwięczne, z pozoru ni z gruchy, ni z pietruchy! Przedświt z bulionem porównywać, i żeby to z mięsnym, a to z postnym buraczanym, do którego wrzuca się z ogrodu co popadnie - kurom na śmiech!

Po prostu ledwo pojaśniało krzynę, ledwo z klirosa doleciał zaśpiew mnisich ptaszków archijereja, od razu w brzuchu zaburczało i jeść ci się zachciało nie do wytrzymania.

I stąd te porównania.

Ej, Fiodorze.

- Wszystko to bardzo piękne - rzucił Gandieri, westchnąwszy głęboko i nikt nie miał wątpliwości, do czego pije pan pułkownik. - Za piękne, żeby było prawdą. Dokładniej mówiąc, żeby było *całą* prawdą. Darmowy ser trafia się tylko w pułapkach na myszy. darujcie trywialność. Z biota w carskie wrota, z niewydarzonej dziewczki światowa dama, z bitego przez wszystkich Pierrota zwycięski Arlekin. Iwan-głuptak staje się Iwanem-carewiczem...

Szczoteczka wąsów rozjechała się szerzej niż zwykle, wargi rozsunęły się, ukazując dwa rzędy bielutkich niczym perły zębów, a z gardła pułkownika wydobyło się orle krakanie.

Szałwa Gandieri, żandarm specjalnego śledczego korpusu J.I.W. „Barbarzyńca” parsknął śmiechem! Śmiał się na całe gardło, zupełnie nie kryjąc się z wesołością, prawdziwie i szczerze śmiał się teraz jak przed kilkoma dniami, kiedy w obecności gości uprawdzał tanecznym krokiem córeczkę Tamarę i jej ostry nóż od rozjuszonej Akuliny - pamiętasz Fied'ka, ty sukinsynu?! Pamiętasz?! To czemu nagle ujrzałeś' okropną wizję?!

...oto.

...w tej chwili.

...słyszysz: dzwonią cekiny tamburynu. Jęczy parkiet pod obcasami. Oszalały gitary; nie śpiewają, ale wyją niczym wilki. W gwarze „Babilonu 5” tańczy rotmistrz Ziemiianiczkin. Poprzez zwariowany gwar i huk, przez rytm śmiertelnego, wściekłego tańca słyszy Fiodor:

- Nie ostygło szczęście, nie zapadła ciemność, I kropla krwi jeszcze noża nie splamiła; Zostań miły! Jeszcze nie żegnaj się ze mną! Choć komuś się zguba zdarzyła.

Nie, nie zdarzyła się.

Jeszcze nie teraz.

Dlatego, że Gandieri przerwał śmiech - na samej krawędzi przepaści postawił dęba rozhukane konie... Zatrzymał się. Obrzucił obecnych spojrzeniem: zimnym, uważnym - i tylko na samym dnie jego ciemnych oczu można było ujrzeć uśmierającego swą furię i zwijającego pierścienie węża szaleństwa.

- Oto magia, mili państwo. Prawdziwa. Czarna. Nie jakieś tam drobne „działania eteryczne”, o których mówią Kodeks Karny i Święty Synod, nie te bzdurki, które wy pokazujecie, a ja - niestety, czy na szczęście - mogę tylko wyczuć. Oto prawdziwa, straszna magia. Wyście tu, drodzy państwo, długo i mało zrozumiale mówili o jakiejś Ugodzie. Proszę o wybaczenie z łaski swojej - nie przywykłem do podsłuchiwania. Tak jakoś wyszło, przypadkiem. Ale Powinienem teraz pomyśleć sobie tak: kniaziu! w imię szlachetnych ideałów i osobistych interesów chciałeś ich wszystkich wytępić! Kniaziu Szalwo, czemuś ty nie doprowadził sprawy do końca?!

Gandieri wstał, podszedł do pnia potężnej akacji i oparłszy się czołem o pień, zamarł w bezruchu. Tylko Fiodor, który stał najbliżej, zdołał usłyszeć:

- Boże! - mrówczymi ścieżkami sączył się gorący szept, parząc śmiertelnie przestraszone drzewo. - Boże! Dzięki ci za to, że dłoń Twoja zatrzymała mnie na krawędzi, na samym skraju. Żyć jeszcze muszę, Boże, żyć! Nie pozbawiaj mnie swej łaski, daj siły, wspomóż!

A potem, odwróciwszy się do pozostałych, pan pułkownik, spokojnie i obojętnie oznajmił:

- Już rano, panowie. Może wydać polecenie, żeby nastawiono samowar?

## VIII. ALEKSANDRA-AKULINA ALBO CÓŻ DZIEŃ WSTAJĄCY MI PRZYNIESIE?..

*Dlatego dalekie jest od nas prawo  
I nie dociera do nas sprawiedliwość;  
Wyczekujemy światłości, lecz oto  
Jest ciemność,  
Wyczekujemy jasności dziennej, lecz  
Musimy chodzić w mrokach.  
Wymacujemy ściany jak ślepi  
I chodzimy po omacku, jakbyśmy  
Nie mieli oczu,  
Potykamy się w biały dzień jak o zmroku,  
Jak umarli w podziemnej krainie.*

*Księga Izajasza*

Rozmowa leniwie zamierała.

Wszyscy byli senni i zmęczeni, ale nikt nie zamierzał udać się na spoczynek. W miejscu leniwej, toczącej się jak pod górkę rozmowy, na skraju nieba pojawiła się równie leniwa i ospała zorza. Samej zorzy jeszcze nie było widać, ale niebo na wschodzie już się nasączyło mętną bielą, z lekka oświeconą od dołu różem; gwiazdy zblakły, wśród ciemnej zieleni ogrodu niczym poprzez smugi dymu zaczęły przebijać jaśniejsze plamy szkarłatu i cytrynowej żółci; głośniejsz zaśpiewały ptaki i ochryple zakrakała gdzieś wrona...

Zimno i mokro. Nagle wszędzie pojawiła się rosa - na stołach, na oparciach plecionych krzeseł, na balustradzie werandy. Mgła. Gęsta, lepka, mlecznobiała. W pobliżu niby wszystko widać, a spojrzysz dalej - zamiast drzew - widmowe cienie, zamiast krzaków jakaś nierozróżnialna szarość; jeden róg domu widać wyraźnie, a reszta rozmywa się we mgle. Jakby się tu w ogrodzie zjawiała jakaś niewiadoma konstrukcja z innego świata. Zechcesz zobaczyć co dalej - ruszysz wedle ściany i przepadniesz. Na zawsze zostaniesz tam, w tym drugim świecie.

I głosy takie jakieś rozmyte. Jakby spod wody dochodziły.

Niepotrzebnie od innych odchodziłam. Aż dreszcz mnie przejął. Wiem, co prawda, że to wszystko bzdury. Sad pozostał sadem, a ludzie ludźmi - oto i oni, dwa kroki zrobić wystarczy. Ale pod sercem, w głębi, toczy mnie robak zwątpienia. A jak nie zobaczę, nie wrócę? Ucichną ostatecznie głosy i zostanę tu sama, biedna rybka-akulka?

Tfu! Co za bzdury w głowę się pchają! Mało mam strachów prawdziwych, to jeszcze na dodatek głupoty wymyślam i sama siebie nimi straszę! Ależ ze mnie idiotka nieszczęsna! Teraz umyślnie tu zostanę, do drugich nie wrócę, Moje strachy, sama się z nimi uporam!

A przecież nie mgły bać się trzeba ani tych potworów wydumanych. Jest coś innego i znacznie groźniejszego. Ze mną tak zawsze. Na poważnie, w rzeczywistej biedzie, wobec prawdziwego niebezpieczeństwa strach mnie przejmuje, ale się trzymam, a czasami nawet zapominam o tym, żeby się bać. Ale potem rozklejam się, byle głupstwo mnie przeraża, boję się nie wiedzieć czego... tylko patrzeć, jak zacznę ryczeć.

Ciekawe, czy to moje, czy przekazane z Ugodą? Ale chyba moje, od zawsze taka byłam... jeszcze w dzieciństwie.

No to w takim razie co z Ugody?

A to, że albo zdychaj, albo wlecz własne dzieci w ogień! Przegraliśmy sprawę, strapczy nam nie pomógł, tylko kamyki na darmo się popaliły... Cóż, przegraliśmy. Straszna rzecz, dzieci niczego nieświadome w czarodziejski ogień ciągnąć, ale przecież nic na to nie poradzimy. Już ja to wiem. Ból zaś pójdzie w niepamięć, za to zostanie siła i życie, a potem będzie już jak u wszystkich ludzi... jak u ludzi...

U jakich ludzi?! U nich - jak u nas? Samych siebie w dzieciach odcisniemy? Własnego życia je pozbawimy, rodzicielskie im narzucając? Niechby i tak! Pod państwowym „dachem” - to nawet nieźle magiem być! Lepiej już niż kucharką albo wsiową babą zamężną za takim obrzydliwcem pijanicą, jak mój tatko był, Panie przebacz! Albo dziwką w burdelu! Nie wszystkie dziewczęta profesorami zostają, albo za kniazia-pułkownika wychodzą! A dla maga pod ochroną państwa zawsze i robota, i miejsce w życiu się znajdzie...

A te sny bezwstydnne, w których wszystko prawdziwe i nie pojmiesz, gdzie sen a gdzie jawa?! Dzieciom coś takiego... i jeszcze z własnymi rodzicami?! Tylko...ileż takie dziecko zrozumie z tego snu? Ile zapamięta? A ja sama - wiele pamiętam z tego, co mi się w dzieciństwie śniło? Można uznać, że prawie nic!

Może nie taki diabeł straszny, jak go malują? Może jakoś' rozejdzie się po kościach? Kiepski początek, ale koniec dobry.

Może i się rozejdzie. Tyle że... jakoś za proste to wszystko. Jeden raz pocierpieć, pomęczyć się razem z dziećmi - a potem żyj jak pączek w maśle, hulaj dusza, piekła nie ma! Choć głupia jestem, ale nie aż tak. Rozumiem, że powinien być w tym jakiś haczyk. Musi być, obowiązkowo!

Gdzie, w czym?!

A jeżeli z dziećmi Ugody nie zawierać, to co dalej? Trzymać się, obręczami żelaznej woli się skuwać, żeby tylko fint nie wycinać? Z Druca i Kniahini siły ostatnie wyczerpywać jako odpłatę za naukę? W ciągu miesiąca, dwóch, do grobu ich wpędzić? A potem samych siebie? Albo za kamykami się chronić? Przecież tych kamyków w końcu zabraknie, rację ma ojciec Grigorij.

Ej, Duchu Prawa, świński ryju niemyty! Podpowiedz, co mamy robić?! Gdzie wyjście? Niechby i nie my sami, niechby z podpowiedzi - ale daj choć jakąś wskazówkę! Przecież wszyscy tkwimy w tej samej pajęczynie! Sam mówiłeś, że ciebie w nas więcej, niż w innych... obudź się w nas, wyrzyj, szepnij do ucha...

Nie potrafimy podejmować decyzji - to nam pomóż!

Całkiem się pogubiłam. Myśli w głowie mi skrzypią jak nie nasmarowane koła, lada chwila para mi z uszu buchnie! Dość, koniec łamaniu głowy. Trzeba zjeść śniadanie, już dymem zapachniało - widać w samowarze napalili. Herbata zaraz będzie gotowa. Zgłodniałam od tych rozpraw i rozmów nocnych, myśli głupich i innych straszności.

Ale za to strachy wydumane się rozpierzchły, nie zauważyłam nawet kiedy - chyba razem z mgłą. Pojaśniało wokół; już nie mgła po ogrodzie się snuje - prawdziwy ranek wstaje. Cały wschód różowym ogniem płonie, po niebie płyną pierzaste obłoczki, z dołu podświetlone purpurą - a mnie nagle bez przyczyny strach znów zdjął.

„Cóż dzień wstający mi przyniesie?”

Znów się wygłupiasz! Znów idiotyzmy jakieś do głowy mi się pchają! Poecie, który Los pytał, dzień wstający kulę przyniósł! Nie trzeba nam takich podarków!

Pojdę lepiej coś zjeść.

Stół zdążyli tymczasem nakryć - długi, miejsca wystarczy dla wszystkich! Na białym koronkowym obrusie poustawiane miseczki z dżemem i domowymi konfiturami oraz świeże bułeczki, miód, racuchy i cięty cukier - do herbaty. Zaraz sobie poużywam! Jeść się chce, aż w brzuchu burczy. I nie solonego, jak powinnam, tylko właśnie słodkości. Słodocze lubiłam od dziecka, tylko że w Kęs-Preclu ze świecą ich szukać; ale kiedy uciekłam z ukochanej ojczyzny

- odbiłam sobie za wszystkie czasy!

Do tej pory sobie odbijam.

Przy stole krzątały się dorodna ciotunia kucharka i jeszcze jedna służąca. Rozkładały talerze, filiżanki i łyżeczki. W ogrodzie za drzewami leniwie kontynuowano rozmowę - wyglądało na to, że mój ukochany mąż się spiera z ojcem Grigorijem. Tak jest, to oni. A oto i Druc, samowar niesie. Gdzież to się wszyscy podziewają?! Niezręcznie samej do stołu siadać bez gospodarzy - a w brzuchu ssie mnie do niemożliwości, nie bez powodu mam taką walizę, ludzie napatrzyć się nie mogą! A niech tam, dopóki nikt nie patrzy, racucha sobie wezmę. Gorący! Teraz konfiturę na niego, malinową - i w gębę! Uch-ch-ch! Pychota! Nie, jeszcze tylko jeden - i zaczekam na pozostałych.

Druc ustawia na stole parujący samowar. Spostrzega, że siedzę z pełnymi ustami i mruga porozumiewawczo; odwraca się, żeby pozostałych przywołać - i akurat w tej chwili zza zakrętu ogrodowej dróżki rozlega się pobrzękiwanie dzwoneczków. Miarowy stukot kopyt i zza krzaków wyjeżdża dorożka. Gęba siedzącego na koźle dorożkarza markotna, we włosach i w brodzie ma ślady słomy. Widać, że wczoraj go nieźle ugościli i biedaczek zasnął w stajni.

Zmordował się.

- Witajcie, panienko! Dzieńdoberek panom! - macha ręką w pozdrowieniu. - Na mnie już pora! Dziękuję pięknie, nie zapomnę do grobowej deski!

Podczas gdy Druc otwierał wrota, a potem je zamykał za dorożką, wszyscy zdążyli już się zejść przy stole. Naprzeciwko mnie siedzi już książę Gandieri w lazuruwo błękitnym szlafroku i herbatkę z filiżanki sączy, jakby nie herbatę pił, a koniak trzydziestoletni degustować raczył! Obok Kniahini, już nie taka blada jak w nocy; albo ją herbata rozgrzała, albo w rzeczy samej jej się polepszyło. Wydaje się, że zamiast filiżanki trzyma w dłoni puchar z „Madame Cliqout”. Fied’ka mój - ten jak zwykle ze spodka pije, z bułeczką makiem posypaną. Nie wiadomo dlaczego mi się pomyślało, że Fied’ka jest teraz do kupieckiego synalka podobny. Czemu do kupieckiego? Sama nie wiem. Podobny i basta!

Ciekawe, jak ja sama z boku wyglądam.

Książę i Kniahini wymieniają półgłosem jakieś uwagi, ze swego miejsca nie słyszę, o czym mówią - siedzą na przeciwległym końcu stołu. Fied’ka popatrzył na nich, przestał siorbać ze spodka i zaczął łykać z filiżanki. Naprzeciwko Druc chrząści cukrem niczym żreback - przyzwyczał się do herbaty „zagryzanej”. No nie, ja będę pić po pańsku, „wrzucaną”. Pamiętam, w Kęs-Preclu najczęściej piliśmy „wpatrywaną”[\* - *Zależnie od zamożności domu w Rosji pijano herbatę „wrzucaną” (odrąbane od głowy cukru kawałki wrzucano do filiżanki z*

*herbatą), lub „zagryzaną” (kawalki cukru odgryzione od głowy zapijano herbatą), w nieco biedniejszych domach pito „sypaną” (drobno porąbane kawalki sypano łyżeczką do szklanki), „lizaną” (każdy lizał swój niewielki kawalek cukru odrąbany z głowy, który potem odkładał na półkę), w biednych zaś „wpatrywaną „(na środek stołu kładziono kawalek cukru i wszyscy się weń wpatrywali), albo „wmyślaną „(każdy żłopał gorzką herbatę i wszyscy myśleli o smakowitym cukrze).]”.*

A oto i ojciec Grigorij. W pierwszej chwili nie zwróciłam nań uwagi. Od razu widać, że kapłan i święty człowiek. Herbatę pije, jakby komunii udzielał!

Siedzimy razem, niczym jedna rodzina, jemy śniadanie; w ogrodzie ptaszki zanoszą się śpiewem, szczebioczą, słoneczko wstaje - wypisz wymaluj, sielanka! Wszystko nam się dobrze dzieje, a będzie jeszcze lepiej; oczywiście jeżeli się nie pamięta, że to wszystko jest w zawieszeniu. Nie zostawił nam Duch Prawa czasu, siła magiczna z nas przebiega na zewnątrz, ujścia szuka. Czemuż to tak? Powinna przecież być jakaś pauza! Kniahini mówiła, i Druc o tym samym opowiadał! Czemu z nami znów inaczej się dzieje?! Dali by choć odetchnąć...

- Aleksandro Filatowna, wydaje mi się, że wszystko ma swoją przyczynę w Bruderszafcie. Z niego się wzięły wasze zdolności i wasze nieszczęścia. Wybacz pani, jeżeli przeszkadzam.

Masz ci los! Na głos zaczęłam myśleć, czy co? A może to ojciec Grigorij myśli nauczył się czytać?

- Ile lat razem z mężem się pani uczyła? Cztery lata, nie więcej, prawda?

- Tak - kiwam głową. - Nawet mniej.

- Inni zaś po osiem, dziesięć lat jako chrześniacy terminują. A niektórzy i po dwanaście. Sama pani widzi, jak szybko u was to poszło. A wasza „pauza” całkiem krótka się okazała. Jeden dzień nie minął, jak finty zaczęły się przebijać. Wszystko to z winy Bruderszaftu i nie trzeba szukać innych przyczyn.

- Z kim to bruderszaft pić zamierzacie, ojczulku? Z Aleksandrą Filatowna? Witam wszystkich! Cóż to, beze mnie do śniadania siedliście?

Tamara!

W lekkiej, przejrzystej sukience, ze sznurem pereł na szyi; oczy radosne na pół twarzy otwarte, wietrzyk dmuchnął i włosy rozwiął niby nimb podświetlany - nic, tylko anioł w gości u nas się zjawiał!

Czyżby rzeczywiście wyzdrowiała? Druc, chytry stary Romie, cóżeś ty za numer nam tu wyciął?

- Witaj nam, Tomoczka! - kniaź pierwszy się ocknął i odpowiedział za wszystkich. -



Myśleliśmy, że śpisz jeszcze i nie chcieliśmy cię budzić. Siadaj z nami. Herbaty ci nalać? Z konfiturami?

I już Szalwa Timurazowicz krząta się koło córki, herbatę jej nalewa, konfitury nakłada, misę z pieczywem przysuwa, a sam popatruje z ukosa i we własne szczęście uwierzyć nie może! Sama bym chyba nie uwierzyła!

Przy tym wszystkim sprawa Bruderszaftu jakoś się rozmyła, a ojciec Grigorij od razu pojął, co i jak - siedzi, milczy i herbatką z precl'em się kontentuje.

- ...a cóż to za książkę wzięłaś, Tomoczka?

Samą mnie to zaciekało. Zerknęłam, bo księżniczka usiadła niedaleko i położyła książkę obok na stole.

Papius. „Narodziny maga”.

Znam ją, a jakże! Widziałam u ojca Grigorija. Mętna okropnie: zaklęcia-inwokacje, znaczki-runy, symbole-hieroglify i wywody jakies' takie pogmatwane. Komentarze do komentarzy, do których osobne przypisy są potrzebne, żeby coś zrozumieć.

Mętne to i tyle.

- O magii, papo. *On* mi powiedział, że teraz mogę się uczyć. Ale od kogo się uczyć, nie powiedział. No to sobie pomyślałam, że choć książkę poczytam.

- Jaki - *on*, Tomoczka?

Głos ma książ Gandieri uprzejmy i miły, jak przed chwilą, ale jego twarz w oczach tężeje i od razy staje się jasne, że przed nami jest już inny człowiek. Pan pułkownik. Śledczy żandarm. Podczas wykonywania obowiązków służbowych. Aż mnie dreszcz przejął, nigdy nie widziałam, żeby *aż tak* twarz mu się zmieniała!

Ale Tamara spóźnia się z odpowiedzią: od strony tylnego dziedzińca rozlega się ogłuszające szczekanie Trismegistosa. Nie jest to rozlewne, radosne szczekanie, jakim pies wita swoich; słyszymy wyraźne, miarowe i natarczywe: Hau! Hau! Hau!. Jasne jak słońce: „Ja! Go! Mam!”

Kogo?!

Książ natychmiast przerwał wypytywanie. Zna swojego psa, jakby się razem chowali. I od razu stwierdził:

- Panie i panowie zechcą mi wybaczyć. Muszę się na chwilę oddalić.

Ostatnie słowa rzucił już w biegu. Potrafi biegać nasz książ, choć ma już swoje lata! Co prawda, gdyby nie moja cięża, to bym go dogoniła. A tak - jakoś niezręcznie mi biegać. O

dziecku sobie przypominałam, nie godzi się teraz rybce-akulce po krzakach śmigać. Fied'ka wziął mnie pod rękę i poszliśmy za kniazem. Szliśmy szybko, ale nie tak szybko, jakby się chciało. Na miejsce doszliśmy ostatni.

Nawet Kniahini zdążyła nas wyprzedzić.

Trismegistos już nie czekał. Stał na uboczu i patrzył na pana z oddaniem w oczach. Warczał tylko nisko, szczyrzył kły i popatrywał na zatrzymanego. Jakby chciał powiedzieć, nie myśl, że jak cię puściłem, to już po sprawie! Spróbuj tylko uciec!

Zatrzymany - przestraszony śmiertelnie, dwunastoletni na oko smarkacz - siedział wtulony grzbietem w pień starej gruszy i tylko się trząsał.

Ze strachu.

I dlatego, że targały mim gwałtowne łkania.

No, to akurat jasna sprawa! Jak się na ciebie rzuci taki potwór z piekła rodem, to nie wstyd złać się w gacie! Trismegistos, pies mądry - kłęb chłopaka nie tknął, z nóg go zwałił, przytrzymał i dał głos. Hej, gospodarzu, sam tu! Ale „zatrzymany” i tak się strachu najadł. Koszula poszarpana, portki w strzępach, cały umorusany, piegowata gęba do krwi podrapana... ale nie pies go drapał, sam chyba nosem w ziemię zarył, jak się przewracał.

Złodziejaszek?

Ta myśl chyba przyszła do głowy wszystkim, włączając w to jego jasność.

- Po coś wlaź do ogrodu? Jabłka kraść? - srogim głosem zapytał kniaź.

Głos mógł się wydać srogim chłopczkowi. Ja akurat wiem, jak kniaź potrafi się odezwać, kiedy naprawdę złość go bierze i chce się czegoś dowiedzieć. Pozostali też wiedzą. Oprócz chłopaka, rzecz jasna.

A skąd miałby wiedzieć?

- Nie-e-e! Jaśnie panie, nie jestem złodziejem! Ja do ciotki Oksany! Krewniak ja jej, Mikit'ka, z Cwirkunów! Nie kraść! Ja do ciotki! Nie bijcie, panie!

No, nie trzeba być pułkownikiem żandarmerii, żeby zrozumieć, że chłopak mówi prawdę. Nie łże, ale i całej prawdy nie mówi! Widać mu z oczu i w głosie to słyhać.

## **NOTATKI NA MARGINESIE**

*Oj, masz ty oczy, chłopczku... wiśnie, nie oczy! No, daj w nie zajrzeć dobremu wujkowi... nie bój się... widzicie go... ..wiśnie.*

*W misce z pierożkami. Dwa pierożki pękły przy gotowaniu i wypadły z nich wiśnie.*

*Między sinymi powiekami z ciasta i białymi plamkami śmietany - ciemnoczerwone źrenice. Same przepatrzymy kogo zechcesz. Zaraz mamusia z tatką przestaną się kłócić i 'wezwą do żarcia.*

*Czemuż oni tak długo się tam kłóć? W brzuchu burczy, kusi, podwędź pierożka, no, dalejże!*

*A babka, cholera łysa jedna, z rozmachem miską o podłogę...*

\*\*\*

- Oj, a cóż tu się porobiło? Mikitka, ty czarci wypędku! Co, znów przez płot? Oj, durny ty, durny! Wasza myłość, wybaczcie mu, durniowi! - nadbiegająca kucharka zakręciła się jak fryga, kłaniając się wszystkim razem i każdemu z osobna. - Toż on nie złodziej, nie kradzieźnik, tylko dureń i tyle! Ja mu sama ucha nakręcę i kijaszkiem go, żeby nie łaził, gdzie go nie posiali! Wasza Myłość, kochanieńki! Wybaczcie postrzeleńcowi, ja sama go spiorę i jeszcze ojcu jego poskarżę...

- Uspokój się, serdeńko. Nikt nie zamierza karać tego chłopaczka. A czy go potem sprać, czy nie, to wasza sprawa. Ufam, że nie miał złych zamiarów.

Kucharka Oksana, ciotunia pechowego Mikitiszki, słuchając kniazia otworzyła gębę, jakby słuchała wyroku na Sądzie Ostatecznym.

- ...niech tylko powie, z łaski swojej, po co przez płot przełaził? Nie mógł zastukać do bramy? Wejść furtką? Czyżbyśmy byli takimi okrutnikami, którzy chłopaka do rodzonej ciotki nie wpuszczą?

I Gandieri, czekając na odpowiedź, wbił wzrok w chłopaczka. Wpatrzył się weń tym swoim spojrzeniem, przed którym człek rad by się schował w krzakach na drugim końcu świata albo zamarł w postawie „baczność!”. Sama wiem, choć nigdy „na baczność” nie stawałam, ale zdążyłam się napatrzeć, jak inni się prężą.

- Odpowiadaj, łajdaku, jak cię jego myłość pyta! - warknęła ciotka Mykity.

Chłopak mrugał oczami i patrzył na boki spojrzeniem zagonionego psa.

- No, serdeńko, słucham! - kniaź lekko zmarszczył brwi i w tej chwili pomyślałam sobie, że Gandieri po prostu sobie żartuje. Jakież to tajemnice mógł skrywać wiejski chłopczyna?

Pułkownikowskie zmarszczenie brwi podziałało na chłopaczka jak podcięcie batem.

- Nasz sołtys... Ostap Tarasycz... kazali przekazać...

- Co takiego kazał ci przekazać Ostap Tarasycz? Przekazuj, Nikito, nie bój się - „ośmielił” chłopca pułkownik.

- Bunt u nas we wsi! - wypalił chłopak, jakby się rzucał głową naprzód w głęboką wodę.

- Bunt w Cwirkunach! Rano w chacie sołtysa wrzask się zrobił. Katierina sołtysina na podwórko w samej koszuli wybiegła i dawaj wrzeszczeć: Maże plemię! Legowisko czarcie! Męża mi zauroczyli! Niedługo wszyscy zginiemy!

Chłopaka poniosło - słowa się zeń łały, jak woda z dziurawego cebra.

- Nasi z chat powyłazili i pytają sołtysinę; jakie legowisko, gdzie? A ona wrzeszczy, że w kniaziowym majątku! U samego pana kniazia pod bokiem! Jego stangret czarownik! I panicz mordziasty, co z miasta przyjechali - czarownik - i panienska wielmożna - też wiedźma. Ja, powiada, wszystko podsłuchałam. Ostap mój Demidowi uradnikowi opowiedział! Hryćka, Hryćka chciał... do nich! A teraz milczy, dureń stary, on milczy, a ja krzyczę!

Chłopak umilkł na chwilę i odetchnął ciężko. Przestraszony własnymi słowami podniósł oczy na kniazia - nie gniewa się pan? Ale Gandieri przestał już marszczyć brwi i słuchał uważnie jak rzadko.

- Mów dalej, chłopcze - poprosił prawie łagodnym tonem. Łaskawość w głosie żandarmskiego pułkownika mogła może i zwieść wsiowego ćwoka, ale nie mnie! Biada ci, Sodomo, czyli wam, mieszkańcy Cwirkun, biada waszym dzieciom i domownikom! Policzone, zważono, osądzono!

- ...szum się zrobił w narodzie - nieurodzaj, mówią, był! To przez nich! U Mitrochy kobyła zdechła - urok nasłali! I ten Rom, który *przymaił* sobie pastucha z Krywłańców, też chyba był z ich bandy! A kniaź nawet nie wie! A jeżeli wie, to ich kryje! Ręka rękę myje. A tu jeszcze nie wiedzieć skąd się przywłókł Prokopij głuptak, co po wsiach bez przerwy łązi. I ryczy na całe Cwirkuny: ratujcie, dobrzy ludzie! Obrońcie przed mażym plemieniem! Skrzywdzić chcą Prokopiuszkę, potwory przeklęte! Pytają go: kto cię krzywdzi, Prokopiuszka, gdzie? A on, że siedlisko magów w kniaziowym domu! Czuję! Czuję! Krzywdy mojej chcą, potwory, ratujcie mnie, dobrzy ludzie! Tu już ludzie nie na żarty się zeźlili, wołają głupek, boży człowiek, zełgać nawet nie umie! Chodźmy, mówią, magów bić! Kniaziowi oczy otworzym! A jakby co... Sołtys, Ostap Tarasycz chciał ich zatrzymać, przemówić do rozumu - ale gdzie tam! No to mi szepnął, biegnij, powiada, do majątku i uprzedź...

Kogo miał uprzedzić, nie wyjaśnił. Najpewniej tylko Oksanę kucharkę. A wyszło, że wszystkich. To już akurat ważne nie było.

- Ta-a-ak... - kniaź powoli się wyprostował i chyba natychmiast zapomniał o gadatliwym Mykitce.

- Tak co im, odbiło, czy jak?! - zaterkotała starucha Oksana.

- Słyszane to rzeczy, żeby tacy szlachetni państwo czarownikami przebrzydłymi byli? Im tam chyba oczy łajnem pozarastały! Ot, głupi! Ot, durni!

- Cichajże, serdeńko - rzucił Gandieri przez zęby i starą natychmiast замуrowało. - Czyli idą tutaj? - ponownie zwrócił się do chłopaka.

- Nie inaczej, jaśnie panie, idą! Niedługo już będą! Wiać musicie, ośmielę...

- Dziękuję za radę, młody junaku. Ale o tym to my już sami zadecydujemy - pułkownik uśmiechnął się skąpo. - Ilu ich tam? Broń mają?

- Co to za broń! Siekiery, kosy, widły i takie tam... Może jedna strzelba albo i tego nie. Kiedy pobiegłem, oni jeszcze tam gardłowali, jasny panie... A ludzi będzie z setka... może trochę mniej...

Kniaź wahał się niedługo.

- Panie i panowie, myślę, że uda mi się stłumić ten „bunt” w zarodku. Podstaw do paniki nie ma. Ale mimo wszystko setka ogłupiałych wieśniaków to niemało, nawet jeżeli nie mają broni palnej. Dlatego uważam za konieczne ewakuować stąd przynajmniej kobiety. Mamy dwie kolaski. Jedna pomieści trzy pasażerki, druga jedną. Szkoda, że dorożka odjechała. Jeszcze jeden człowiek może pojechać wierzchem - w stajni są trzy konie. Ty, Elzo, razem z Tamarą i cioteczką Choreszan siadajcie do większej kolaski, powozić będzie pan Druc-Wiśniewski; w drugiej, którą poprowadzi mój stangret, pojedzie Aleksandra. Ach, jeszcze zostaje Ketewan! Czyli pan Druc pojedzie konno. Elzo, potrafisz powozić?

- Oczywiście, Szalwo. Tyle że nigdzie nie pojedę. Jeżeli uważacie, iż zdołacie sobie poradzić z wieśniakami, to nic mi nie grozi. Jestem waszą żoną, a *mnie* o paranie się magią nie będzie nikt podejrzewał. Zostają, Szalwo.

- Ależ Elzo, tak nie można! - kniaziowi zaczyna lekko drgać policzek. Gandieri milknie na chwilę i policzek nieruchomieje.

- Lepiej będzie wam jechać...

- Nawet mnie nie proście, Szalwo, zostaję z wami! To nasz dom i nigdzie się stąd nie ruszę!

- Elzo...

Poczekajcie, a ja?! Ja mam wyjechać, a mój Fied'ka tu zostanie? Jeżeli raszek swojego męża nie chce zostawić, to ja mam być gorsza?!

- Ja też zostaję!

- Aleksandro, niech się pani opamięta! Niech będzie, ta kobieta (kiwnięcie głową w stronę Kniahini) jest bardziej uparta od oślicy Balaama - ale wy, w waszym stanie...

- Saszeńka, nie rób głupstw! Jedź stąd, nie kuś" licha!

I on też? Poczekaj, mężulku, ty mnie jeszcze nie znasz!

- Głupiś", Fied'ka! Głupcem się urodziłeś i głupcem umrzesz! To *ciebie* te kmiotki za maga uważają, nie mnie! I jeszcze Druca z Tamarą! Więc powinniście wyjechać! Zjawią się chłopci i kogo zobaczą? Pana pułkownika z małżonką, przy nim brzemienną kobietę i kapłana w habicie! No, jeszcze służba - ale oni są miejscowi, ich nikt nie ruszy!

Ależ mi to wszystko gładko poszło. Kiedy się wściekam, to taka się mądra robię, że strach pomyśleć! Samej sobie zazdroszczę!

- Oj, wszystkim wam wiać trzeba! Te mężczyzny są przecie skażone! My tutejsze, to pani dobrze gada, nas nie ruszą!

- Milczeć! Ja, kniaź Gandieri, przed chłopstwem mam uciekać?!

- Aleksandra Filatowna ma rację, jednakowoż...

- Czekajcie, a gdzie Druc?

- Panie Wiśniewski! A rzeczywiście...

Wszyscy naraz umilkli. I w tej ciszy usłyszeliśmy oddalający się tętent końskich kopyt.

- Uciekł - rzuciła niepewnie Kniahini.

Druc?! Odjechał?! Uciekł?! Zostawił nas?! Nie może być!... „Może, rybko-akulko, może!” - zastukały w odpowiedzi kopyta.

- Pan Druc-Wiśniewski widać poszedł za radą Aleksandry Filatowej. Cóż, jego prawo. Dość sporów, panie i panowie. Jestem tu gospodarzem i jako najstarszy...

Kniaź nie dokończył. Umilkł i nadstawił ucha.

Nie, pułkownik nie wsłuchiwał się w echa łoskotu końskich kopyt. Gdzieś daleko, na razie jeszcze ledwo słyszalny, narastał gwar i szum licznych głosów.

- No to gratuluję, paniom i panom. Spóźniliśmy się. Pójdę się przebrać. Źle jest witać gości w domowym ubraniu. - Pułkownik uśmiechnął się krzywo (aż mnie mrozem ścięło od tego uśmiechu!) i ruszył ku domowi.

- Szałwo Timurazowiczu! - wola za nim mój Fied'ka. - Widziałem u pana w gabinecie dwururkę...

## *Krąg Trzeci*

### *NA KRĘGI JWOJE”\**

*- Zabij maga w sobie!*

*Opera „Cymeryjczyk zachwycony -2”*

*Aria Conana Akwilońskiego*

## **DOBÓR KART**

Jak na komendę stukają po wydeptanej ścieżce podeszwy dziesiątków par butów i głos ten niby łoskot werbli przetacza się po uszach. Poranny wiatr owiewa obnażony tors, nie pozwalając się spocić. Przyszły „Barbarzyńca” powinien być zahartowany i niewzruszony, w odróżnieniu od maminych synków, którzy rankami biegają w podkoszulkach - a potem nie wpuszczają panów żandarmów do Klubów Oficerskich. Miarowo unosi się pierś, wdychając i wydychając kolejne porcje powietrza. Śledczy junkier może biec długo, nie zważając na kiepski sen, wczesną pobudkę i wczorajsze wzruszenia.

Wzruszenia?

Jakie znów wzruszenia?

A co właściwie takiego się stało? Czemuż to trzeba się wzruszać? Owszem, wczoraj udało się wyczuć niejawnego współpracownika. Tak jest, okazało się, że to żona komendanta szkoły. Tak jest, pan pułkownik był - łagodnie mówiąc - niezadowolony.

I co z tego?

Decze butami dróżkę junkier-podchorąży Paweł Ananicz. W głowie wirują mu myśli, niczym trybiki w precyzyjnym mechanizmie. Nigdzie się przed nimi nie skryje. Co, chodząca litero prawa, całkowicie sobie we łbie zamąciłeś? Dwa kręgi jeszcze zostały. Myśl Paszka, myśl, potem nie dadzą.

Spróbujmy więc jeszcze raz. Wykujmy taki ot logiczny łańcuch: trzy lata temu rozpoczęła się epidemia śmierci małych chrześniaków. No, wiemy skąd wiatr wieje i nogi wyrastają. Krążą słuchy tu i tam, panowie junkrowie w końcu nie są małymi dziećmi, słyszeli o „Spisku Skazanych” inaczej o „Maltańskim Krzyżu”. Jesteśmy nawet z tego dumni. Dalej - fala samosądów. Państwo i Cerkiew uparcie zamykają na nie oczy. I na koniec - zmiany w Kodeksie

Karnym, oparte na czym chcecie, z wyjątkiem prawa. Z wyjątkiem Prawa. Ktoś tam samowolnie zmieniał reguły gry; Państwo i Cerkiew, do tej pory od ponad trzystu lat pilnie przestrzegające prawnych procedur, włącznie z samym „nie mogę”, w sumie stanęły po stronie owego tajemniczego „ktosia” - i zbrodniczym magom powiedziano szach i mat.

Koniec partii?

Ale gdy zmieniają się reguły, zmienia się i sama gra! Prawo zaczęło pękać w szwach! Najważniejsza rzecz, wokół której tak długo chodziłeś! Ananicz omal nie zatrzymał się w biegu, ale nogi same poniosły junkra dalej. Prawo się sypie! Pęka nie tylko Kodeks Karny - trzeszczą fundamenty społeczeństwa, jego budowa i konstrukcja. Forsowna, przeprowadzona na siłę i wbrew regułom kuracja starej i dobrze znanej choroby, podkopała siły samego organizmu! Oto skąd się biorą samosądy, fale społecznych niepokojów... i straszne myśli, przychodzące do głowy Paszce Ananiczowi. I czy tylko jemu jednemu?

„Świat zwichnął sobie staw?”.

Nie, starszy junkier nie zaczął wysnuwać pochopnych wniosków. Tym bardziej, że poranna zaprawa dobiegła końca. Po pięciominutowej przerwie kompania stanęła w szyku na drugim placu, gdzie maestro Tahanagi zwykle prowadził zajęcia z gimnastyki bojowej o trudnej do wymówienia nazwie.

Nie nazwa, a zbiór postękiwań i kwękań.

Dziki naród, ci Ajnowie.

Z porannej mgły powoli wyplątywały się posadzone wzdłuż płotu uczelni topole. Niebo na wschodzie zaciągało się szkarłatem, a na tle wschodzącego słońca wyraźnie, rysowała się ciemna sylwetka krępego Azjaty.

- Wy się rozrzućcie, panowie. Ja widzieć. Biegać, skakać. Wy wziąć noże i stanąć w parach.

Noże - ćwiczebne, nieostre. Zabić takim nie zabijesz, ale można ukłuć boleśnie.

Dziś Ananicz stanął naprzeciwko Wołodki Burmaka. Chłopak nie był dla Paszki przeciwnikiem - nie stało mu siły ani szybkości. Obaj zresztą o tym wiedzą. Czyli można się szczególnie nie wysilać - tym bardziej, że na pierwszej godzinie zajęć maestro Tahanagi nigdy nie pokazuje młodym junkrom nowych chwytów - chłopcy ćwiczą i doskonalą znane sobie sztuczki, a Ajnos chodzi pomiędzy nimi i czasami coś poprawia.

- „Waki-gatame” przeciwko zre uderzenie w brzuch. Tahanagi wie: wasz czrowiek rubi zre uderzenie. Tahanagi mieć pokazać.



Maestro wzywa jednego z uczniów. Bierze ćwiczebny nóż. Uderzenie „w brzuch” jest szybkie jak atak kobry i Paweł łapie się na myśli: „A ja? Zdążyłbym? Dałbym radę?”

Tępe ostrze zamiera tuż przed brzuchem ucznia, choć przed sekundą wszyscy by przysięgli, że wyjdzie mu plecami. Ostre czy nie - bez różnicy. Takie wrażenie rodzi się w Ananiczu za każdym razem, gdy maestro „mieć pokazać”.

- Patrzeć znowu. Po cichutku.

To ulubione powiedzonko maestro podczas zajęć: „Po cichutku”

- Teraz wasz czrowiek bić grupi Tahanagi.

Nóż trafia do rąk junkra. Młody człowiek uderza - nie tak szybko, jak maestro, ale i takiego ciosu nie chciałoby się dostać.

Maestro robi prawie niezauważalny unik. Odwraca się bokiem, zabawnie klaska w dłonie - i proszę! Nóż skacze już po udeptanej ziemi placu, a ręka „czrowiek” okazuje się wykręcona pod jakimś niesamowitym kątem.

Tahanagi kiwa głową.

- Po cichutku. Wy robić, ja patrzeć.

Chwył „waki-gatami”, który w szkole nazwano zaraz „waśka-z-kotami” przerabiali jeszcze na poprzednich zajęciach, tak że mięśnie same sobie przypomniały lekcję. Wołodka Burmak to nie maestro Tahanagi, a my nie walczymy naprawdę, tylko ćwiczymy...

Ciekawe, czy podczas prawdziwej walki, kiedy stawką jest życie i śmierć, on, Paweł Ananicz, potrafiłby zachować zimną krew? „Po cichutku?”

Z pewnością tak. W ogóle wydaje mu się, że ostatnimi czasy kompletnie oduczył się bać, spieszyć czy wrzeszczać. Rezerwa i obojętność na głupstwa - ideał przyszłego oficera śledczego. No, chyba, że wieczorami, kiedy junkier-podchorąży Ananicz pozwala sobie na nieznaczne opuszczenie tarczy. Ale to głupstwo - i niedługo mu przejdzie.

Przejdzie? Kiedy?

Odpowiedź jawi się sama, prosta i oczywista, a zatem prawidłowa i prawdziwa. Prawda od wieków jest prosta i niewyszukana. Wszystko ostatecznie znajdzie się na swoich miejscach, kiedy zostanie podpisany rozkaz Najwyższego Dowództwa o mianowaniu na pierwszy stopień oficerski wszystkich junkrów-podchorążych we wszystkich wojskowych szkołach całego państwa. To będzie progiem, przez który trzeba przestąpić. I wtedy stalowe obręcze, coraz mocniej skuwające duszę i ciało, staną się nieprzeniknioną zbroją, którą można będzie zdjąć tylko ze skórą. Z życiem. I z rozumem. Mag-recydywista powiedziałby w takim przypadku: „Łaps wszedł w Konwencję”. Myśl była zabawna i Paweł pozwolił sobie na uśmiech. Nieznaczny, samymi kącikami ust.

I natychmiast potem zarył nosem w ziemię.

Na ułamek sekundy zamarł w bezruchu. Nie czuł nawet bólu! Zapomniał się na chwilę! Jedno pozostawało zagadką: jak to się Wołodce Burmakowi udało? Zrozumienie przyszło natychmiast potem, gdy tylko młody junkier dźwignął się na nogi.

Zamiast Wołodki Burmaka stał naprzeciwko niego pierwszy siłacz kompanii i urodzony zapaśnik, Mzareułow. Nieco z boku majaczyła figurka mistrza Tahanagi.

- Ty myśreć bzdura - nieodwołalnie orzekł Ajnos, jakby przed chwilą osobiście zajrzał do głowy niejakiego Pawła Ananicza. - Growa sama, ręce sama. Ty nie żyje, samuraj. Ty źre umierać. Nie growa, brzuch myśreć. Growa pusty dynia. Jeszcze raz, ja popatrzeć.

Mzareułow uderzył z całych sił. „Kota-u-Wasi” (znaczy: „kote-mawashi”) już przerabiali i nóż leciał na ukos z góry i w brzuch. Nawet wiedząc o tym zawczasu, niełatwo było się z Mzareułowem uporać! Wydawało się proste: przechwycić rękę, lewą pięścią na odlew w wątrobę, potem szarpnięcie w „klamrę” i nacisk - a ty wal się, mój drogi!

Tylko że uparty Mzareułow wcale nie chciał się walić. I rękę nawet, cwaniak jeden, zdołał niemal wyprostować. Ostatecznie powalić udało się go Pawłowi z niemałym trudem. Ale powalił! I nawet dobił! Wszystko, jak należy.

- Źre! Bardzo źre! Jak u was mówić - sira jest, are rozum za grosz! Oto nóż! Uderz kroca Tahanagi.

Uderzył. Szybko, silnie, odruchowo.

I nie zdążył mrugnąć powieką, jak runął na ziemię. Ostry i twardy łokieć Ajnosa wpierał się mocno i bezwzględnie w jego kark.

- Dobrze! Growa jak pusty dzban. Jeszcze raz, po cichutku. Runął ponownie. Po cichutku. I maestro - też po cichutku. On tak ze wszystkim, po cichutku i leciutko. On robi, a ty padasz. Ot i cały „Kot-u-Wasi”.

- Mrody i grupi! Sira wie! On (kiwnięcie w stronę Mzareułowa) jeszcze bardziej sira wie. Trafi się inny, z większa sira od wy - co robić? Umierać?

Paweł milczał. I dobrze zrobił, bo zwykle małowmny Ajnos kontynuował wątek:

- Tahanagi stary. Sira dawno nie ma. Ty - mrody i grupi. Ta-hanagi twój sira ciebie bić. Swój nie ma, obcy jest. Stangret na wóz jechać. On kierować, konia - wieź go na wóz. Ja stangret - ty konia. Ty rozumieć?

- Taaaest, maestro Tahanagi - niewiele brakowało, a Paweł stanąłby na baczność, ale zorientował się w porę i z szacunkiem pochylił głowę w krótkim ukłonie. - Pozwólcie zwrócić

się z prośbą...

Azjata pomyślał chwilkę i kiwnięciem głowy wyraził przyzwolenie.

- Zechcielibyście powtórzyć? Jeszcze jeden raz...

- Tahanagi pokazywać, ty zapamiętać. Brać tak. Wróg cisnąć, wróg zuch, sira wiere wiere (podczas zajęć Paweł nigdy nie umiał oprzeć się wrażeniu, że stary Ajnos umyślnie kaleczy język z jakichś osobistych, jedynie jemu samemu zrozumiałych powodów)! Ty sira nie ma, ty się poddawać i puszczać obok. Brać nadgarstek. Po cichutku. Wróg krzyżeć: „Itaj-itaj\*[\* - *Puszczaj, boli! (ajn.)*]”, wróg nie rozginać ręka. Ty brać rokieć. Po cichutku. Wróg się obracać i padać morda w piach. Jeżeri nie padać, swój sira ramać ręka. Nie ty ramać - jego sira. Ty rozumieć.

- Tak jest, maestro. Pozwolicie spróbować?

- Tak. Na Mza-reur.

Tym razem Mzareulow łupnął o ziemię znacznie prędzej. Oczywiście chwyтови Ananicza daleko było do elegancji i precyzji „po cichutku” przebiegłego Azjaty, ale...

- Już repiej. To wierka sztuka - brać cudza sira. Robić swoja. To nie tyrko sztuka warki - to każda sztuka. Rysować. Wiersze. Kabuku. No - komedianstwo. Magia...

- Magia to sztuka? Maestro, wybaczcie! Magia, to zbrodnia, przestępstwo, a nie sztuka...

- Rysować czrowiek, portret - to sztuka?

- Nie inaczej, maestro.

- A u rudzi Mahomet-prorok rysować czrowiek - nie można gorzej. Ćwiczy darej.

Maestro odwrócił się ku innej parze, dając do zrozumienia, że rozmowa skończona. Paweł podniósł nóż, stanął w pozycji naprzeciwko Mzareutowa (teraz to on miał być stroną atakującą) - nagle stwierdził, że siłacz wcale na niego nie patrzy.

Ananicz mimo woli zerknął w tę samą stronę.

Do obserwującego zajęcia rotmistrza Kowalewa podbiegał podoficer dyżurny. Zasalutował pospiesznie i szybko jednym tchem wypalił coś, czego nie można było zrozumieć. Na nieruchomej zwykle twarzy rotmistrza drgnęła brew - coś takiego Ananicz zobaczył po raz pierwszy, a że gardło pan rotmistrz miał jak dzwon, komendę z pewnością usłyszeli nie tylko na placu:

- Kompaniaaaaa! Alarm bojowyyyyy!

## IX. FIODOR SOCHACZ ALBO GDYBY COŚ MI SIĘ STAŁO...

*Ich nogi biegną do złego i spieszą się do przelewu niewinnej krwi;*

*Ich myśli, to myśli zgubne, spustoszenie i zniszczenie znaczą ich szlaki.*

*Księga Izajasza*

Minuty zastygły, tworząc osobliwy łańcuch.

Zmieniały jedna drugą niepostrzeżenie, nieuchwytnie, jak w oczach zahipnotyzowanego przez węża królika przerażenie zmienia się w przecucie zguby, przecucie zguby w rezygnację, a ta staje się czymś strasznym i nieokreślonym, na co jeszcze nie znalazło się słowo <sup>w</sup> żadnym ludzkim języku... i w żadnym króliczym chyba też. Czas płynął, oczywiście że płynął, inaczej być nie mogło - ale tak właśnie chodzi znakomity marsylski mim Noel Lacleau młodszy.

Wrzawa tłumu nie ucichła, ale praktycznie też się nie przybliżała. Zamarła w miejscu - za wzgórzami, gdzie droga się rozwidlała, jednym szerokim rękawem machając w stronę Charkowa i drugim (wąskim, uszytym przez kiepskiego krawczyka) zsuwała się obok dworku ku Północnemu Donowi. Wśród odgłosów nadciągającego rażno poranka ten szum i gwar nie wydawał się nawet groźnym - zlał się i wtopił w inne dźwięki, aż wreszcie, wdziawszy czapkę niewidkę, przeistoczył się w zwykły, a przez to zwodniczo bezpieczny dźwięk.

Fiodor przyłapał się na dziwnym, piekącym jak przypadkowo wrzucony do tabakierki pieprz z Cayenne, pragnieniu - cała jego dusza rwała się za wzgórze, chciał być obok tego szumu, razem z nim. Chciał być szumem. Chciało się widzieć, rozumieć; robić cokolwiek! - zamiast tego siedzenia w ogrodzie i starannego unikania wzroku pozostałych. Biorąc pod uwagę okoliczności, w tym tajemnym pragnieniu działania nie było właściwie niczego osobliwego... niczego, poza jednym drobiazgiem.

Pragnienie było niezwykle mocne, ale półgłosem, co chwila trzeba było samego siebie odciągać od niebezpiecznej linii.

Oto ona, ta linia, meta pojedynku z samym sobą. Raszel zaczyna oddychać chrapliwie, nierównomiernie, błędnie jak gieżło, lada moment rozkasze się okropnie... Uff!, odpuściło, krocze w tył, jeszcze jeden, jeszcze krocze...

Ucz się, chłopcze, ucz się konwentowy magu, kuj stalowe obręcze dla serca... nauczysz się?

Chyba nie.

- Fiodorze! Niechże pan będzie uprzejmy i wejdzie tu do mnie!

To Gandieri. Krzyczy - ale co to za krzyk! Po prostu nieco nasilił głos, a z nerwów wydało się, że to ryczy trąba jerychońska i lada moment zaczną się walić ściany! - z okna gabinetu. W prześwicie zasłon mignęła oślepiająca biel koszuli. Chyba się jeszcze nie ubrał - ale z pewnością się ubierze, obowiązkowo i koniecznie, żeby nikt nie uznał bieli koszuli Cyklopa za haniebną flagę poddania frontu.

Dzięki, kniaziu.

Dzięki za możliwość poderwania się, przebiegnięcia na ukos przez gazon i wbiegnięcia po stopniach, przeskakując co drugi... Fiodorze, chciałeś coś robić... cokolwiek? To rób!

Robię!

Gandieri siedział za stołem plecami do drzwi i podpierał pięścią policzek.

W pozie kniazia było tyle porażającej, dziecięcej bezbronności, że Fiodor zachłysnął się w drzwiach, wcale nie od biegu. Znieruchomiał, nie ze zmęczenia. Wrócił do rzeczywistości dopiero po zwykłym, obojętnym i przesyconym rezygnacją pytaniu, w którym drzenie było silniejsze, niż zwykle:

- Fiodor Fiedorowicz? Proszę mi wybaczyć natarczywość... mam do was prośbę. Bardzo osobistą - niech to zostanie między nami.

Sam zwrot - zasługujący niemal na sceniczne deski - mówił wiele.

- Ja... tak, oczywiście...

Wszystkie z możliwych słów na króciutką chwilę wydały się nagle mizernymi ogryzkami wszystkich jabłek Upadku, jakie tylko kiedykolwiek wyrosły na tym bezlitosnym świecie. Usta wypełniły się żółcią i Fied'ka mógł tylko milczeć, patrząc jak kniaź pochyła się i otwiera drzwiczki sekretarzyka, w którym przechowywał papier, pióra i atrament.

- Na wypadek, gdyby coś mi się stało...

Co on tam, testament trzyma? Ale nie, wyjął zwykły zeszyt; śmieszny, gruby i potargany jak wiejska dziewczka po obłapce z kochasiem na słomie.

Otworzył i pospiesznie przerzucił kilka kartek.

Patrząc zza Kniaziowego ramienia Fiodor doskonale widział, że zeszyt jest prawie dziewiczo czysty i nietknięty. Co najwyżej czwarta część była zapisana gęstym, zdecydowanym pismem ze staromodnymi zawijasami. Może to zresztą dawały znać o sobie krew i gruziński charakter.

Na wewnętrznej stronie okładki widać było jakiś czterowiersz zapisany gruzińskim

alfabetem w rodzinnym języku kniazia. Nieco niżej był przekład. Co prawda Fiodorowi dość było przelotnego spojrzenia na początek pierwszego wersu, żeby w pamięci z bolesną wyrazistością pojawił się tytuł: „Wepchwiszkaosani\*[\* *Witeż w tygryziej skórze*” (gruz.)]”, wielkiego Szoty z Rustawi w niesłusznie zmieszonym z błotem przez krytyków przekładzie Balmonta.

Dwunasta strofa:

- Tylko ten miłości godzien, kto kochając w jej ogrodzie Kryjąc ból i trud, przechodzi dumnie w pustkę nieb. Sobie tylko sam pozwala śmiać się, płakać, w ogniu spalać Nigdy pokłon go nie skala; przed miłością ugnie łeb.

Zeszyt się zamknął.

- Gdyby mi się coś stało, wy, Fiodorze Fiedorowiczu, przekażcie to...

Znów umilkł.

Myśli.

Szałwa Timurazowicz jest teraz daleko. Daleko błądzi Cyklop-ludojad; tak daleko, że nie sięgniesz wzrokiem.

I tak blisko, że tylko rękę wyciągnąć.

Imiona przebiera w garści niby dziecko - garść naiwnych, ale drogich maleńkiemu serduszkowi skarbów. Słyszy Fiodor, jak te nic niewarte błyskotki trzeszczą; słyszy, jak kniaź przygląda się ich blaskowi - prawdziwy? fałszywy? - nie powinien słyszeć, a słyszy. A może to nie paciorki szklane, a prawdziwe klejnoty?! Z których każdy, jeżeli wierzyć ojcu Grigorijowi, na dobrą fintę wystarczy?!

„Przekażcie to Elzie?” Nie. Elza, to imię dla obcych, kupione w państwowym kramie, imię-potrzeba, imię-konieczność, imię-obręcz... nie.

„Przekażcie to Raisie Siergiejewnej?” Też nie. Żadna z niej Raisa, tym bardziej nie Siergiejewna - nawet jeżeli to miano przyrosło, przywarło i oblepiło się całą chmurą asocjacji i wspomnień, dobrych, złych, okrutnych... Ale, nie. Nie pasuje.

„Przekażcie to Racheli Fajwuszewnej?” To imię jest najprawdziwsze z prawdziwych. Wzięte z dzieciństwa. Ale sęk w tym, że jest obce. Dla wszystkich i dla samej jego posiadaczki. Znaczy, niepotrzebne.

„Przekażcie to waszej chrzestnej?” W zasadzie prawidłowo. Tylko że w tym imieniu nie masz miejsca dla kniazia Gandieri, łowcy, który pojmał ściganą zwierzynę i od tamtej pory stoi nad trupem marzenia. Dla Fied’ki miejsce jest, dla pozostałych niewiele, ale się znajdzie; a dla

niego, kniazia - nie ma.

„Przekażcie to Kniahini?”

- Przekażcie to mojej żonie. Niech przeczyta. Jeżeli zechce... Milczenie.

Dwóch mężczyzn wsłuchuje się w ciszę - nie sfalszowali? Wzięli właściwy ton?

- Jeżeli zechce, niech przeczyta to na głos, przy wszystkich. Przy was wszystkich.

Bardzo was proszę, Fiodorze Fiedorowiczu, dopilnujcie tego...

- Ja... tak, oczywiście...

- I bardzo dobrze. A teraz...

Zamyślenie spłynęło z twarzy kniazia niczym zerwana podmuchem wiatru pajęczyna.

Gandieri wstał szybkim ruchem i przeszedł się po gabinecie.

- A teraz, serdeńko, zechciejcie przekazać pozostałym: niech się zbiorą w domu. Na przykład w jadalni na piętrze. Tam jest sporo miejsca i dobrze widać bramę z góry. Chyba że... A przy okazji - oba skrzydła bramy zamknięte? Jeżeli nie - proszę was, zróbcie to osobiście. Dobrze. Ach tak, nie zapomnijcie przykazać służbie, żeby wszyscy zamknęli się w oficynie i niech mi nikt nosa nie ośmieli się wysunąć! Mojego stangreta też z nimi... albo dobrze, on niech, w razie czego, wyjrzy na zewnątrz. Siemion z naszych, bywały i doświadczony, z niejednego pieca chleb jeść mu przyszło...

Gandieri zagryzł wargi i zmarszczył czoło,

Widać było, że ze wszystkich sił stara się nie myśleć o czymś ubocznym, przeszkadzającym mu w skupieniu.

- I jeszcze, niechże pan weźmie...

Zdjąwszy ze ściany dubeltówkę - na kolbie srebrna tabliczka z wygrawerowanym pięknie napisem: „Podpułkownikowi Gandieri - pułkownik Kurawlew” - książ rzucił ją Fiodorowi przez całą szerokość gabinetu.

- Tam, w górnej szufladzie szafki są naboje. Siedem, może osiem sztuk. Niewiele nimi wskóracie, serdeńko! Śrut na kaczki. Uchowaly się jakoś - ostatnio prawie nie wychodziłem na polowania.

W ustach pułkownika Gandieri stwierdzenie to zabrzmiało niemal symbolicznie.

Już na korytarzu doгнаło Fiodora i niby dłonią w plecy pchnęło:

- Na mnie nie czekajcie... sami... umówiliśmy się? Ja przecież rozumiem...

Zbiegając po schodach Fiodor wciąż się zastanawiał: co też miał na myśli pan

pułkownik?

W kieszeni nieprzyjemnie zgrzytały mu naboje.

Zebrawszy służbę w odległym skrzydle oficyny i pospiesznie rozmówiwszy się z Sieńką Krzyżem - milczek Sieńka ponuro kiwał tylko głową i chrząkał w wąsy, odwracając na bok swoją piegowatą gębę - Fiodor poszedł do jadalni na piętrze.

Wszyscy już się tam zebrali. Po wejściu Fiodora zapadła niespodziewana, ostra niczym chłaśnięcie bicza cisza, jaka się zdarza po wejściu człowieka, o którym wszyscy przed chwilą mówili. „Dlaczego nie ja? Dlaczego?!” - pisnęła jakby w tej ciszy Akulina, ukochana żona, nie zdążywszy w porę urwać gwałtownego krzyku protestu; pytanie zawisło w powietrzu, zgęstniało w ogromny pytajnik, a potem rozplynęło się bez śladu.

- Dlatego - burknął Fiodor, poprawiając dwururkę na ramieniu i nawet się nie postarał wniknąć w sens żoninego pytania.

Zrobił krok od progu.

I zobaczył Raszel.

Kniahini stała przy długim, obiadowym stole. Na tle okna, z którego były już snopy porannych promieni, jej figura wydawała się woskową świecą mroku, zapaloną na tle światłości - a mówiąc prościej, czarną sylwetką, jakie dziesiątkami wycinał artysta na ulicy Kokosznicej. Księżna miała opuszczone dłonie, w których trzymała szkatułkę, której nie zdążyła postawić na stole.

Zamarła w połowie ruchu, wróżka chrzestna matka.

Zaraz się zajmie gubieniem trzewiczków.

- Proszę - Raszel przerwała ciszę głosem nagle zgęstniałym i od tego jakby niezbyt posłusznym. - Proszę, przyniosłam. Ojcie Grigoriju, może zechcecie podpowiedzieć, które się najlepiej nadadzą?

Kapłan podszedł, wziął szkatułkę z dłoni Kniahini i postawił przed sobą na stole. Podniósł wykładane macicą perłową wieko i nisko się nachyliwszy, długo patrzył na zebrane klejnoty. W końcu podniósł coś niewielkiego i przysunął do oczu, jak krótkowidz.

- Myślę, że to. Ale zechciejcie pamiętać, że mogę się mylić. W każdym przypadku wasze rubiny już nigdy nie przyciągną do siebie czyjegoś wzroku. O ile oczywiście zechcieliście mi uwierzyć... - I on też! Fiodor czuł całym sobą, jak ojciec Grigorij przebiera w imionach Raszeli, których podczas ostatnich lat zebrano się całkiem sporo. Przebiera w nich jak w precjozach na dnie szkatułki i w końcu pewnie wybiera jedynie potrzebne. Stare i znane przezwisko: - O ile oczywiście zechcieliście mi uwierzyć, Kniahini...

- Uwierzyłam, Gosza - łaskawie zgodziła się Raszel. - Uwierzyłam. Mimo, że zawsze



sądziłam, iż Fira-Kokotka żartowała, kiedy w Amsterdamie opowiadała mi chyba o tym samym... i nawet ani razu nie chciało mi się sprawdzić! Głupia byłam, prawda?

- Nie - padła bardzo poważna odpowiedź. Ojciec Grigorij zwrócił się do Fiodora:

- Na wszystko, co święte, Fiodorze Fiedorowiczu, raczcie mi wybaczyć!... Ale zrozumcie, koniecznie musimy wiedzieć... A oprócz was...

- Oprócz niego - ja! Ja!!! - poderwała się Akulina, ale Raszel natychmiast ją ścięła, wskazawszy palcem na jej brzuch. Jakby jej powiedziała: „Ty się nie wrywaj! Siedź cicho i nie podskakuj!”

- Oprócz nas nie ma nikogo, kto by się nadawał. Kniahini musi pauzować. Druc... sami rozumiecie. Ja jestem strapczy i coś takiego nie jest w moim kolorze, osobliwie bez zamówienia... Sieńka-Żołędź w przeszłości był furtaczem, Dziesiątką, jak i ja; potrafi ręce wydłużyć, czy wygiąć się jakby go z gutaperki zrobili... ale w „wideckich” sprawach jest profanem. Zostaliście tylko wy...

Fiodor nie odpowiedział, tylko podszedł do okna. Otworzył okiennice i zdjawszy z ramienia dubeltówkę położył ją na parapecie.

Szumu za wzgórzami do tej pory nie ruszył się z miejsca. Gwar jednak stał się wyraźniejszy i sięgnął po wyższe tony, a także się nasilił; zakołysał się w wilgotnym, jesiennym powietrzu, jakby poważnie rozmyślał na głos: czy nie pora?

Czemu zwleka? Ileż czasu ciągnie się ta męka oczekiwania, dwadzieścia pięć minut? Pół godziny?

Raczej pół godziny.

- Co wyście tam wybrali, ojczy Grigoriju? - zapytał Fiodor cichym głosem.

- Proszę - kapłan powtórzył za Kniahinią, jakby starając się do niej upodobnić. Podszedłszy bliżej, wyciągnął wąską, panieńską niemal dłoń. Na dłoni leżały rubiny - kolczyki i pierścień. - Wydaje mi się, że to powinno wam wystarczyć. Mieliśmy szczęście, że Kniahini w swojej sypialni... wybaczone brak taktu!

- Dobrze. Spróbuję sięgnąć „wzrokiem”. Ojczulku, bardzo was proszę, weźcie karafkę i rozlejcie gdziekolwiek wodę!

Żebyż to jeszcze wiedzieć, do czego mu woda potrzebna! Rację miał Duch: nic własnego, wszystko obce, подарowane lub kradzione, wyjęte z cudzych kieszeni!... Tak jest, ojczulku, dajcie mi rubiny, proszę bardzo... zacisnę je w pięści, zacisnąłem... trzymam...

- Na talerz? Może być na talerz?

- Co? Ach tak, dobrze... niech będzie na talerz.

Kiedy kapłan się odwracał, zamierzając pójść do bufetu, z kąta wyskoczył czarny cień. Cioteczka Choreszan, gdy chciała, potrafiła się poruszać bardzo szybko. Chwilka i na stole obok szkatułki stał talerz napełniony wodą po liliową obwódkę.

Dopiero w tej chwili Fiodor spostrzegł, że z tegoż kąta, usiadłszy w krześle z podwiniętymi nogami, wszystko z ciekawością obserwuje Tamara. Odpowiadając na jego pytające spojrzenie, kapłan tylko rozłożył ręce. A co ja mogę? Nie chcę odejść i tyle!

- Fiodorze Fiedorowiczu! - odezwała się nagle księżniczka, patrząc nań uważnie, jakby ujrziała coś bardzo ciekawego i interesującego. - A po co włożyliście ten kołpak?

- J-jaki k-kołpak!

„Ojcowie pokutnicy! Ciekawe, kto z nas dwojga się jąka?!” - kolnęła go niespodziewana myśl.

Druga myśl była jeszcze bardziej niezwykła. Fiodor rzadko zabawiał się prozą, jego głównym żywiołem były wiersze, ale w tej chwili przyszło mu do głowy, jak trudne bywa opisywanie sceny, w której bierze udział tak wiele osób! Wewnętrzny wzrok ledwo nadaża z przrzucając się z twarzy na twarz: Kniahini, Tamara, kapłan, Akulina, cioteczka Choreszan i na koniec on sam, Fiodor Sochacz. Dobrze, że choć Druc wyjechał w porę! Na jakies tam opisy, szczegóły, pikantne drobiazgi po prostu nie ma czasu, miejsca ani słów, dlatego że czas zwodniczo niby to drepcze w miejscu, ale to tak jak z wyścigowym koniem, który przestępuje w miejscu, ale w każdej chwili może się zerwać do wściekłego galopu... Boże, jakież to głupie myśli pchają mi się do głowy, kiedy niebezpieczeństwo czai się tuż za progiem!

Wszystko to pewnie ma jedną przyczynę - odwykłeś od życia wśród niebezpieczeństw. Wszyscy odwykliśmy. I strasznie się nie chce przywykać na nowo!

- Jaki kołpak, Tomoczka?

- Niebieski - uściśliła księżniczka nie bez zdziwienia, jakby to było oczywiste. - Niebieściutki, niczym czerwcowe niebo. Obrębiony obłoczkami. A na czubku gwiazdeczka.

Zostawiwszy Tamarze tajemniczy kołpak, Fiodor wetknął wskazujący palec lewej ręki w wodę. Pomieszał, lekko spieniając chłodną ciecz. Nie bardzo nawet wiedząc, czemu to robi, plunął na powierzchnię i ponownie lekko pomieszał palcem.

Otworzył pięść.

Rubinowa kolia i kolczyki z pluskiem opadły na dno talerza.

- Wino - z tym samym co poprzednio łagodnym uśmiechem dodała księżniczka. - Nie, przecież widzę, to wino. Saparawi, pięcioletnie. Fiodorze Fiedorowiczu, odsuńcie szatę, zaczepiła się wam o pasek spodni...

Pomyślawszy pospiesznie i z pewnym żalem, że psychiczne zdrowie księżniczki nie trwało za długo, Fiodor odgrodził się od wpływów postronnych. Słowo „wpływy” pojawiło się samo, nie bardzo pasowało do słowa „postronne”, ale tym wewnętrznym słuchem i czuciem, które nie znają pomylek i nie dopuszczają błędów, Fiodor wiedział: właśnie tak, a nie inaczej.

Palec coraz szybciej bełtał wodę w talerzu.

Rozbryźnięte krople padały na stół.

Na rękaw.

Na podłogę.

Z rubinów na dnie sączyła się mętna krew... *saparawi*... Wino... Pięćioletnie...

...palec.

...woda.

...palec.

- ...niekumaty, mówisz, chłopak był? Jak Triszka z Hryćkiem? Ech, żebyż to naszym ciołkom takim czarodziejskim sposobem rozumu trochę w czerepy włożyć się dało! Komu gospodarstwo zostawić? Jeżeli z każdego bałwana człowieka zrobić można! Pisania i czytania nauczyć! rachunków! Handlu! Prawa! Ot, wielka rzecz! Triszka dureń, bąki zbija - a w głowie mu rozumu przybywa, chcesz czy nie!

- A ja o czym mówię? - szepnął rozgorączkowany sołtys. - O czym? Teraz przecież jednego maga znamy na pewno: Kniaziowego woźnicę! Dlatego poczekaj z pełnym raportem!

I jeszcze, prosto w głowie, obcymi, gorącymi jak świeży barszcz (znowu!), myślami:

„Oj, dam ja mu, dam! Hryćka, rodzzonego - na naukę do maga! Hryćka, dureń stary, uważa za łajdaka! Cap siwy ma Hryćka za głuptaka! Oj, taki chłopiec, jeden jedyny, jak słoneczko - a ten, widzicie go, co wymyślił! Katierino, głupia babo, nie pchaj się przed ojczulkiem do piekła! Poczekaj, posłuchaj do końca! Zauroczyli mi Ostapa, skazili go czarcią zarazą! Oj, dureń on!

...woda.

- To sołtysina, Katierina - bezgłośnie tchnął Fiodor. - Podśluhuje! Ona myśli, że...

- Nie trzeba - łagodna dłoń kapłana legła na jego ramieniu i dopiero wtedy Fiodor zrozumiał, że nie ramię ma, a kamień! Żelazo lite! - Nie trzeba, Fiodorze Fiedorowiczu! My wszyscy słyszeliśmy. Rozumiecie, Fiodorze Fiedorowiczu... to nie teraz, to jeszcze przed świtem było.

Tuż obok ciężko dyszała Kniahini. Jej wzrok wprost palił - było w nim zdumienie i niedowierzanie, płonący zachwyt sięgający uwielbienia, nieprawdopodobnego w tych wiecznie

kpiących oczach - straszna, potworna mieszanina uczuć płonęła we wzroku Kniahini.

I coś jeszcze: woda w talerzu zrobiła się niemal gorąca. Wirowały w niej różowe obłoczki, jakby ktoś wrzucił tam dwa, trzy ziarenka manganowej czerwieni.

- Jakże pan ciekawie porusza rękoma, Fiodorze Fiedorowiczu - doleciało od krzesła. - Tak się tańczy poloneza... W górę, w dół, w bok... w górę, w bok... Nauczycie mnie tak robić?

A czarna, zasepiona wrona milczała, siedząc obok na ławeczce.

- To jeszcze przed świtem... - Kapłan ciężko napał na Fiodora, dysząc mu niemal w samo ucho. - Fiodorze Fiedorowiczu, dalej!

Palec znów zakręcił wodne wiry, barwiące się różem. Zamigotały z dna rubiny. Uleciała nabrzmiała kropla, przypominająca sutek dziewiczej piersi; uleciała, opadła i znikła wśród innych.

...woda.

... palec.

...w górę, w dół, w bok...

- Oj, ludzie! Sąsiedzi kochani! Zauroczyli mojego Ostapa!

- Cichaj, durna babo! Cichaj, cholero jedna!

- Urok rzucili! Ogłupili! Widzicie, co wymyślił: synka, sokolika jedynego, do nich!., do tych! Do tych!

Zza plecionego z chruśniny płotu, upiękzonego pustymi dzbanami i makutrami, gapili się cwirkuniacy. Łapczywe widoku wszelkich awantur biegły od studni baby, darły się dzieci, pośrodku drogi zatrzymał się bednarz Podeprzyjgóra; siąkał rozbitym wczoraj przed niegodziwego panicza nosem piegowaty kowal Ondrejka; diak Szmaragd Jachontycz wsadził paluch w nozdrze i zaczął w nim dłubać z mozołem, jakby chciał wydobyć prawdę na świat boży.

- Cichaj, Katierina... cichaj, bo przyłożę! Jak Boga kocham, przyłożę!

- Oj, ludzieeee! Demidzie, tyś naczelnik, co tak stoisz? Zmówiliście się, czy co?! Spiliście się, kocury łyse! Tak?!

Ludzie powoli się zbierali.

Darła się przeraźliwie sołtysina. Mieszała grzechy ze sprawiedliwością, pojawiwszy z nocnej rozmowy tylko jedno: pod bokiem poczciwych wieśniaków załęgło się maże plemię. Wszyscy się tam zebrali i zasypali kniazioni piaskiem jasne oczy, a teraz do jej Ostapa się dobrali. Przechodzący obok wsi pastuch nie doczekawszy się wypędu, wyprawił dwóch pastuszków, żeby się dowiedzieli, w czym rzecz. Pastuszkowie się dowiedzieli. Starszy z nich,

mieszkaniec pobliskich Krywlańców natychmiast śmignął do swoich, tupiąc po zapyłonej drodze bosymi piętami. Wieści niósł pewny, że choć przez chwilę będzie ośrodkiem wiejskiej uwagi. Piekielna kasza podgrzewała się powoli. Sam sołtys i urzędnik milczeli, niczym nawleczone na sznur płocie, tylko otwierali i zamykali gęby - byli w strachu, że z gorączki i im się po mordach dostanie; albo że, co gorsza, prawda na wierzch wypłynie. I tak coraz bardziej rozpalał się ludek, nie za bardzo nawet wsłuchując się we wrzaski sołtysiny, ale już ludzie żlić się zaczęli, znalazłszy cel przekleństw, na który można było zwalić winy za wszelkie niepowodzenia; na którym można się było wyładować: „Krzywda! - darł się Prokop-przygłup, dzwoniąc pokutnymi łańcuchami...

- Dalej! Fiodorze Fiedorowiczu, błagam!

- Jakże ciekawie śpiewacie, Fied'ka! I słowa ciekawe: n'asz szamasz tgua'ndali, n'asz szamasz aruda n'a...

- Boże! Tamoczka! Co ty mówisz?!

- Fiodorze Fiedorowiczu! Błagam!

A czas wirował w różowym talerzu, niczym krew z rozerwanej arterii. Wił się spiralnie, bryzgając na ścianki sekundami, minutami...

...tłum szedł na spotkanie tłumu. Jeszcze minuta i czołowy oddział gniewnych cyrkuniaków, składający się niemal w całości ze smarkatej hołoty zetknie się na skrzyżowaniu dróg z takimiż niedorostkami, stanowiącymi przednią straż wojsk wsi Krywlańce. Tej samej, z której pochodził pechowy pastuszy na, co w zły czas zapragnął zostać chrześniakiem Winnej Dziewiątki.

- Precz dranie! - darł się już z daleka ojczulek pastuszka. - Złoczyńcy! Hańba! Wasilkę mojego tratowaliście, a teraz na maże plemię winę chcecie zwalić? Nuże, ludzie! Kołkami ich!

Wojowniczość chłopiny wspierało przeraźliwe wycie jego rozjuszonej żony.

Na szczęście, zamiast wymiany ciosów, tradycyjnie zaczęto od obrzucania się oskarżeniami. Wyszło na jaw, że trupa Wasilki chrześniaka nigdzie nie znaleziono, Roma koniokrada wypytać już o nic się nie da (zdechł drań, co mu się słusznie należało); wyjaśniło się, że nieszczęścia Krywlaniec nie omijały (pomór! nieurodzaj! Krowa Jaśka dwugłowe ciele urodziła!), akurat tego samego dnia, w którym dwór Golicynów kupił kniaź Gandieri, więc, znaczy, od razu...

Ondrejka, kowal, na głos już otwarcie wymieniał uprzejmości z ojczulkiem pastuszyny:

- Kochany! Duszę dla ciebie z kogo chcesz wytlukę! Idziemy?

- Idziemy! - zgadzał się rzeczony ojczulek. - Idziemy tłuc! Matka! Podaj mi widły!

Idziemy, brachu!

Pomiędzy ludźmi kręcił się Lewi-Icchak, niewysoki, ale żyłasty abrahamita o przezwisku Rzemień, do niemożliwości podstępny i zręczny w bójkach (o czym mógł zaświadczyć niejeden cwir-kuniak). Trzej jego starsi synowie nieustannie rozlewali do kubków wódkę, którą podtykali komu popadnie, bez różnicy. Rozliczy się to potem. Jeden da kilka groszy, drugi kaszę czy kęs mięsa, inny odpracuje. Najważniejsze, żeby nie tracić czasu, a potem się zobaczy.

Udział w dobrej sprawie zawsze się liczy.

- Razem! Razem idziemy!

- Idziemy!

- Precz! Hańba!

- Czemu drzesz mordę, durniu?

- Czemu? Wszyscy drą, to i ja drę!

- Lomir ale inejnem\*[\* - *Wszyscy razem! (abraham.)*]!

- Razem! Tylko dopijemy - i razem!

- Fied'ka! Kochany mój!

- Zatrzymali się... popijawę sobie urządzili.

- Uważacie, Kniahini, że z pijanymi będzie łatwiej?

- Jak kiedy, Gosza... jak kiedy, mój ojczec...

- Fiodorze Fiedorowiczu! Wasz posoch płonie! Ostrożnie! „Razem!” - plusnęło w głowie jak echo, tętniczą purpurą zawirowało w talerzu... i w tejże chwili rzeczywiście wszystko znikło.

Mokry, ze zjeżonym włosom, Fied'ka Sochacz unosił się nad stołem. Przed nim leżał pęknięty talerz, zalany rzadką, smolistą ciecżą. Wewnątrz było pusto i głucho, jak nocą w opustoszałej cerkwi. Do ramienia przyłgnęła mu Akulina, żona ukochana, jej brzuch, wielki i ciepły, był tuż obok i Fiodor odruchowo poklepał go dłonią.

Ostrożnie.

Pieszczotliwie.

Poczuwszy odpowiedź w postaci lekkiego kopnięcia, cofnął rękę.

- Chwała Bogu! - odezwała się z ulgą księżniczka Tamara, która przez cały czas niczym fryga wierciła się na krześle. - Zgasło. Ja do was krzyczę, krzyczę... A wy nie słyszycie.

- Fiodorze Fiedorowiczu, można jedno słowo na stronie? Ojciec Grigorij delikatnie ujął Fiodora pod łokieć i poprowadził ku drzwiom.

- Zwróciliście uwagę na zachowanie Tamary Szałwowny?  
- Pochwyciwszy szklane spojrzenie Fied'ki, kapłan się opamiętał.  
- Och, głupiec ze mnie! Oczywiście, akurat teraz nie to wam w głowie! Ale wiecie, Fiodorze Fiedorowiczu, ona widzi... jakby to wyrazić słowami... Widzi *cień*! Coś takiego często widują chrześniacy, ale konwentowym magom zdarza się to znacznie rzadziej. Podczas finty wokół maga tworzy się pewien *cień*, mag stoi, a *cień* na przykład tańczy, mag krzyżuje ręce na piersi, a *cień* wyczynia nimi jakieś ruchy. Księżniczka to widzi. Stąd ten kołpak, szata, dziwaczne słowa! Podejrzewam, że działania *cienia* to czynności, które powinniśmy wykonywać, gdyby wiedzę przekazywano nie wedle Ugody, a naturalną drogą! Rozumiecie?

Księżniczka Tamara, wcale nie przejmująca się tym, że stała się przedmiotem tak zdumiewającej rozmowy, nagle zeskoczyła z krzesła.

Lekko, w dwóch krokach, podbiegła do skrajnego, narożnego okna.

- Oto i oni - stwierdziła. - Przyszli.

## NOTATKI NA MARGINESIE

*Thum ma wiele oczu. I we wszystkich widać to samo: ...ogień.*

*Trzepocze czerwony kur skrzydłami i pieje na cześć świtu roznieconego ludzkimi rękoma. Języki płomieni wzbijają się pod same niebo. Liżą szorstko i drą się na strzępy. Wokół cienie tańczą hopaka, z wywijasami i dzikimi podskokami. Oto już belki stropu się walą. Już coś tam gruchnęło i runęło w dół; szuka ognień, co by tu jeszcze smacznego podeżreć, typie krwawym okiem na boki.*

*Lubią ludzie w ogień patrzeć.*

*I z boku, i przy robocie.*

Kraty ogrodzenia znikły pod naporem powodzi ludzkiej fali.

## X. ALEKSANDRA-AKULINA ALBO REPUTACJA DO WAS!

*Srożcie się ludy i drzyjcie!*

*Przysłuchujcie się uważnie,*

*Wszyscy dalecy mieszkańcy ziemi,*

*Przepaszcie się i drzyjcie,*

*Przepaszcie się i drzyjcie!*

*Obmyślcie plan, lecz będzie on udaremniony...*

*Księga Izajasza*

Tłum rozsypał się na pagórku od razu, hurmą, jakby ktoś wetknął kij w mrowisko - i mrówki wyszły na zewnątrz, bronić domu przed nieznanym wrogiem. Zza pagórka wciąż wałęsali się, jak popadło, chaotycznie - a po drodze, która od wielkiego traktu ku dworowi biegnie, wije się drugi tłum; kurzu pełno i wrzawa większa niż na jarmarku!

Ilu ich tam jest?!

Pierwsi dobiegli chłopcy. No tak, oni wszędzie pierwsi. Oblepili ogrodzenie - krata solidna, żelazna, zmyślnie kuta, po zawijasach na wierzch się pną, wrzeszczą, jakby wszyscy wzajemnie chcieli się przekrzyczeć.

Ale przez płot nie przełazą.

Za ogrodzenie - strach. I nie dlatego, że w domu czarownicy zgrzytają zębami, a pułkownik żandarmerski, pan z panów, nóż ostrzy. Na razie ich nie widać. Nikogo zresztą nie widać. Wydawałoby się: skaczyć do ogrodu, rwać pańskie jabłka, żeby się zuchwałością przed koleżkami pochwalić! Skacz, drogi mój, chybaj na drugą stronę! Nie ja zapraszam. Plamisty dog Trismegistos w gości prosi. Gardłowo, z rykiem, kłania się nisko, chlebem i solą będzie witać. I to tak, że smarkaterię z krat prawie zdmuchuje.

Strach! Trafisz w zęby zamorskiemu potworowi - strzępów tyłka po krzakach szukać trzeba będzie! Pożre całego i nawet się nie zakrztusi!

Więc siedzą chłopaki na samym szczycie. Drażnią psa:

- Hej ty, panie w plamistym żupanie! Czarowniki w piwnicy ci się mnożą!

- Jak paciuki\*[\* - *Szczury (małoros.)*]/!

- Hej, gadziny studzienne, wyłaźcie!

- Ale psa to mają strasznego!

- To chyba jakiś czarownik przewrotnik!

- Hej ty, pies! A kysz! Masz tu smalec, ugryź palec!

- Hej, Pawło! Dawaj pałę, ja temu draniowi przygrzeję!

- Wychodź, mażone-smażone! Wychodź!

- Wara! Leżeć!

Wesoło smarkaterii. Bezpiecznie. Niech tatko ostatecznie spierze któregoś za to, że przeholuje w wysiłkach - a co to, pierwszy raz? A tu taka zabawa! A jak jeszcze będzie można bezkarnie pana z jego świńskimi czarownikami przekleństwami obsypać, i to tak, żeby wszyscy



widzieli i słyszeli?! Kamieniami porzucać, pańskiego psa pałką zdzielić?..

Za dzieciarnią do ogrodzenia dotarły baby. I wrzask stokrotnie się nasilił:

- Hryćka! Hryćka mojego opętali, potwory!

- Zabić chcieli!

- Popamiętacie nas! Pokutować w piekle będziecie, łajdaki!

- Bóg wszystko widzi!

- Wasilka, Wasilka mi oddajcie! Czarcie plemię! Gdzieżeście mi syneczka podziali, charakternicy?!

- Wyrodki czarcie!

- Piekielnicy!

Drażą się baby, drażnią się chłopaczekowie, skacze wzdłuż ogrodzenia wierny Trismegistos - a z tyłu, drogą chłopcy ciągną. Z toporami, kłonicami, widłami - co tam który w gorączce porwał. Wielu z pustymi rękoma. Ale chłopcy się nie spieszą. Zatrzymali się za plecami swoich ślubnych i papieroski popalają. Z nogi na nogę przestępują, na pański dom popatrują i pogadują coś między sobą półgłosem. Chłopstwo - osobliwie tutejsze hreczkosieje, to naród rozważny. Każdą rzecz najpierw muszą obmyślić, omówić, opalić - a jak samogon się znajdzie, to i opić.

To baby i dzieciaki drażą się na wyprzódki:

- Taż, co się tam wyrabia! Popatrz tylko! Nie, popatrz sam!

- A co, Katierina?

- A to! My tu sobie gardła zrywamy, a im nic! Zamknęli się w chacie i milczą, jak ryby pod lodem!

- Hej, wy tam, woły jedne! Wy co, na papieroski tu przyszliście?! W oczy wam zaraz naplują, a wy stać będziecie!

- Może tam nikogo nie ma? Uciekli, czy co?

- Chłopy! Co gały wytrzeszczacie? Zróbcie coś, kciuk wam w zadek!

Chłopi spojrzeli jeden na drugiego. Splunęli sążnięcie i roztarli ślinę butami.

- Cicho, durne baby! Cicho, do kogo mówię?! Ten, co ich usiłuje wziąć w karby, w mundurze jest! Uriadnik!

- Po co tu przyszliśmy, pytam się ja was?! Po co?! Bunt robić albo inne bezeceństwa? Czy maże plemię do porządku przywołać, z całą surowością prawa?

- Przywołać, obowiązkowo przywołać!

- Niech Wasilka oddadzą, sokolika... - wzbił się w górę pojedynczy kwik.

Patrzcie państwo! Powoli się uspokajają!

- My do pana kniazia pójdziem z niskim pokłonem! Powiemy mu o legowisku paskudnym, które pod bokiem jego jasności powstało! Otworzymy mu oczy i w razie czego pomożemy zatrzymać! I odstawić, gdzie należy!

- Pomożemy!

- Otworzymy!

- Dostawimy!

- Gdzie należy!

- Na widły!

- A teraz tego... *jeputację* wybrać należy. Ot co! Żeby z panem kniazem pogadać, znaczy.

- To ty idź, Demidzie, tyś” u nas władzą!

- A wy co, oczy wam trawą zarosły? Demid zauroczony! Ogłupiony! On z moim Ostapem tym czarownikom zaprzedać się chcieli!

- Milcz, durna babo!

- Tak jest, Ostapie Tarasyczu! W oczy jej, w oczy! Aj, kozak! Ostap Tarasycz niech jeputatem będzie. Sołtys!

- Szykarz! Icchak jeputatem. Icchak chytry, wała z niego nie zrobisz!

- Ot, prawda! Dawajcie tu szykarza!

■ - Szykarza! Sołtysa! Demida uriadnika!

Chwała ci, Panie. Nie mogli się zdecydować na to, by od razu do podpalania się zabrać, postanowili najpierw pogadać. Może jakoś’ sianem się wykręcimy...

Na razie darli się jeden przez drugiego, zamiast coś zrobić, za ogrodzeniem odszukali kriwlańskiego sołtysa z szykarzem - obaj kryli się z tyłu i wyglądało na to, że niczego tak by nie pragnęli jak tego, żeby się znaleźć o sto wiorst stąd. Ale z wolą ogółu spierać się nie sposób; trzeba się było zgodzić i podziękować za okazany honor.

Tłum ten jest jak cielak-straszyczo - dwugłowy...

Nie obeszło się bez awantury: nieogolony plugawiec, ojciec zaginionego Wasilki-chrześniaka, cały czas usiłował dostać się w skład „jeputacji”. Niestety, przeganiano go precz. Ty masz, mówili chłopci, swoje sprawy i swoje interesy, i w ogóle coś ty za jeden? Gołodupiec i tyle!

Plugawiec obrażał się na wszystkich, wrzeszczał, wymachiwał brudnym kułakiem, groził, że całe maże plemię na widły ponadziewa, a przeklętym „zaprzedańcom” soli w tyłki nasypie. Obok miotła się jego żona, pokrzykiwała sołtysowa Katierina i marszczył gębę rosły i piegowaty kowal Ondrejka, któremu mój Fied’ka nos rozwalił.

Fied’ka jest taki, że w rzeczy samej, może rozwalić...

Na domiar wszystkiego w tłumie kręcił się niczym fryga przyglup kurdupel. Pojękiwał nieustannie: „Skrzydzieć chcą biednego Prokopiuszkę! Obrońcie, dobrzy ludzie, nie pozwólcie!”, Przyglupa starali się pocieszyć, czymś tam go karmili, a ten na chwilę zamykał paszczę, nabijając ją darmowym żarciem, ale przeżuwszy, zaraz potem znów włączał syrenę.

Z boku pewnie wyglądało to nawet zabawnie, ale wcale mi nie było do śmiechu. Tłum gorszy jest od dzikiego zwierza! Co tam zresztą, zwierz dziki jest znacznie łagodniejszy! Nigdy nie wiesz, co tym kmiotom w następnej chwili do kudłatych łbów strzeli! Teraz umyśTili, żeby się dogadywać, a za pięć minut, jak się nasłuchają tej durnej sołtysiny i przyglupa - zechcą dwór spalić!

Strasznie. Nigdy jeszcze tak strasznie mi nie było! Choć nie, kłamie. Było. Tam, w tej leśnej chatce, kiedy Pietunieczka...

Nie, nie wspominać! Lepiej już w okno będę patrzeć!

Odsuwam skraj tiulowej firany - ostrożnie, żeby kmioty nie spostrzegli...

Przed bramą stoi siedmiu chłopów. Pozostali przycichli i cofnęli się. Kogo jeszcze wybrali, nie usłyszałam - a zresztą, co za różnica? I tak nikogo z nich nie znam. A tamci stoją mocno zmieszani. I boją się. Uriadnik odwrócił się przez ramię i wyszczerzył szczurze zęby na tłum, jakby chciał powiedzieć: zamknąć ryje! Wybraliście - to nie przeszkadzajcie!

Potem wyszedł przed resztę i zastukał we wrota. Delikatnie, nawet ja niczego nie usłyszałam. Jeszcze raz stuknął, głośniej. I w tej chwili odezwał się szynkarz:

- Wasza myłość! Wasza myłość! Panowie! My tu do was! Wybrani. Od społeczności!

- Jeputacja!

- Hej, gospodarze! Szanowni! Jest kto w domu? I nagle umilkli. Wszyscy jednocześnie.

Cisza.

Zrobiło się tak, jakby i ptaki w ogrodzie udławiły się swoimi szczebiotami; nawet Trismegistos przestał szczebrać.

Zmartwieli ludzie, jakby ich mrozem ścięło.

I mnie także! Płynęła sobie rzeczka, pluskiem się zabawiała i nagle spadł na nią mróz

pałacy, skuł wszystko lodem od brzegu do brzegu. Myśli w głowie też mi się w lodowe gwiazdki pozamieniały.

Któż nas tak zamroził?

Zapomniawszy o ostrożności, pchnęłam okiennice i wysunąwszy głowę spojrzałam w dół.

Zobaczyłam, że od głównego skrzydła ku wrotom szedł niespiesznym krokiem pułkownik Gandieri. W paradnym mundurze z akselbantami, błyskając w słońcu złotem wypucowanych do połysku epoletów, srebrem guzików i pyszniąc się czerwienią pasa z aksamitnymi frędzlami, z szablą u boku i rewolwerem w lakierowanej kaburze; wystrojony, wyprostowany. Od tej beznamiętnej figury wiało lutowym mrozem i chłodem. Widziałam, jak mróz falami rozplywa się od idącego ku wrotom pułkownika korpusu „Barbarzyńca” i skuwa tłum, który natychmiast się uspokoił, jakby kto nań chlusnął kubłem lodowatej wody.

A mnie powoli zaczęło odpuszczać.

Co tu się dzieje? Kto jest magiem? My, którzy żyliśmy wedle Prawa, czy śledczy żandarm, który miał swoje Prawo. Przecież nie tylko mnie „zamroziliście”, wasza jasność.

A Gandieri idzie, jest już przy bramie. Zatrzymał się. Głowę po ptasiemu na bok przechylił, ale przepasane rzemieniami plecy zostały proste, jakby je z granitu wysieczono. Patrzy kniaź przez kraty bramy. Przez durnych „jeputatów”, przez cwirkuniaków z krywłańcami. Bada ich wzrokiem, jakby patrzył na jakieś osobliwe okazy w gablocie, pod szkłem wystawione.

Zapytał o coś, niegłośno, ale stąd nie da się usłyszeć. Wybrańcy ludu jakby się ocknęli - poruszyli się i zaczęli gadać jeden przez drugiego. Na dodatek kurdupel przyglup wyskoczył przed front i drze się za wszystkich:

- Bracie-kniaziu! Ty widzisz! Bóg ci dał! Obroń! Osłoń nas! Ukrzywdzić chcą!

Musieli go siłą uspokajać. Odwiedli na bok i zatkali pysk kromką chleba. A „jeputaci” podeszli bliżej, żeby wyjaśnić, z czym przyszli. Słyszę tylko:

- ...honor zameldować, wasza czujność!

- ...czarownicy, magowie...

- ...toć u was w domu, wybaczenie śmia...

I kniaziowa odpowiedź (Gandieri tylko nieznacznie podniósł głos, ale chlasnęło jak batem):

- A wy, panie uridniku, co tu robicie?! Też bunt zamyślacie?!

- Taż jaki bunt, wasza...

- My tylko uwiadomić chcielim, coby kniaź wiedzieli...

- Pomóc, jak trza będzie...

- Milczeć! - głos pułkownika ponownie przeciął narastający gwar, jak uderzenie knuta. -

Nie zamierzam wysłuchiwać babskiego wrzasku i dziecięcych kwękań! Zaraz każę otworzyć wrota i dam wam, kochaneczkowie, możliwość wyłożenia waszych próśb w bardziej sprzyjającym otoczeniu.

Kniaź się odwrócił i machnął ręką w stronę skrzydła oficyny.

Drzwi trzasnęły jakby z urazą i do wrót podbiegł ukryty do tej pory Sieńka-Żołędź, który zaczął je otwierać. A na werandzie pojawił się - kiedyż on zdążył wyjść z jadalni? - ojciec Grigorij w popiej sutannie i z krzyżem, jak przystało świętemu mężowi.

Tłum poruszył się niespokojnie:

- Ty, popatrz, tam u nich pop jest!

- Toć pop czarownikowi największy wróg!

- ...może i nie ma? Nie ma tam czarowników?

I nagle, jakby w odpowiedzi na te nieśmiałe zapytania, dzikim falsetem wzbil się ponad tłum wrzask przyglupa Prokopiuszki:

- To on! Czarownik! Przeklęty! Do wrót idzie! Idzie!

- Który? Piegowaty?

- Skrzywdzić chce Prokopiuszkę! Dobrzy ludzie, obrońcie! Bracie-kniaziu - zratuj!

- Taż mówili - Rom! Rom czarownik, poganin i paskudnik!

- A ten do Roma nie za bardzo podobny...

- Prokopie, a nie popieprzyło ci się czasem?

- Popatrz, no popatrz! Pop do balustrady podszedł!

- Ukrzywdzić chce! Strzygoń jeden! Zaprzaniec Chrystusowy! Czemu, ojczulku, chcesz krzywdzić Prokopiuszkę?!

Szlag by go trafił! Ten przyglup magów wyczuwa, czy jak? Kniazia bratem nazywa, a wystarczyło, że wyszedł Sieńka...

- Ocknij się, Prokopie! Nie pomawiaj popa!

- Słuchajcie go ludzie, słuchajcie! Kilimkiem nam w oczy rzucają, a Prokopij - widzi!

Boży on człowiek, sam Bóg jemu oczy dłonią przeciera!

- Może to nie pop? Może czarownik w popiej szacie?

- A może Prokopij pieprzy bez sensu?
- Kto? Boży człowiek i miałby pieprzyć?! Sam pieprzysz!
- Ja pieprzę, ja?!

Podczas gdy ludzkie mrowisko szumiało i bzyczało za ogrodzeniem, Sieńka-Żołędź zdążył sprawnie otworzyć wrota, wpuścić „jeputatów” i zatrzasnąć je przed nosem reszcie chłopstwa. Zgrzytnął klucz w zamku, niemiło brzęknęły łańcuch i zasuwa, i Sieńka pognał, żeby ukryć się w oficynie. A Gandieri w eskorcie idących za nim przedstawicieli narodu, leniwie jak przedtem przeszedł na werandę, gdzie rozsiadł się w lekkim wiklinowym krześle.

Ojciec Grigorij stanął za plecami kniazia, symbolizując jedność władzy świeckiej i duchownej.

Szkoda, że jak patrzeć z góry, to już tak wzruszająco nie wygląda.

A zejść na dół się boję.

## NOTATKI NA MARGINESIE

*Sieńka-fortacz, starszy Z braci Żołędzi, ma oczy zapadnięte i zmęczone. Nie latami, ale życiem. I do tej pory się w nich kryje: ...podwórko.*

*Szary raj. W odległym końcu została jeszcze góra rozmaitych śmieci, zabawek tam tyle, że nie zliczysz, i każdy dzień przynosi nowe. W bliższym końcu sękata topola wyrosła - cały dzień po niej łazić możesz bez znudzenia. Obok komórki sklepikarza Jaroszewskiego leżą skrzynki. Z deszczulek można doskonale miecze strugać. A płot to już w ogóle cudo.*

*Wiele to człowiekowi do szczęścia w dzieciństwie potrzeba?*

*Okruchy z pańskiego stołu.*

Delegatom Gandieri miejsc siedzących nie zaproponował; zostali przed werandą i gnietli czapki w łapach. Jeden urzędnik furażerki nie zdjął - regulamin zabraniał.

- A więc słucham. Zechciejcie jednak mówić krótko i do rzeczy. Zaczniemy od miejscowego przedstawiciela władzy - w dłoni pułkownika pojawił się jeszcze nie zapalony papieros, którego koniuszek, niby lufę pistoletu, skierował w pierś urzędnika. Teraz, kiedy wszystko dzieje się blisko, jest mi lżej. Dalej, Szalwo Timurazowiczu, dalej, Cyklopie, przekonaj ich, nastrasza, niech idą precz! Możesz przecież, jesteś kniazem, pułkownikiem i „Barbarzyńcą”!

- ...znaczy tak. Melduję posłusznie waszej czujności: wczoraj wieczorem, nieopodal wsi Cwirkony miała miejsce próba zatrzymania siłami tutejszych mieszkańców dwóch

magów-koniokradów: Roma-taboryty i jego pomocnika chłopskiego stanu z pobliskiej wsi Krywalańce. Rom z powodu słabości nerwów wyzioną! ducha, uniknąwszy tym samym sprawiedliwej kary, a jego współnikowi udało się zbiec...

- Ciekawe, czemu mnie to nie dziwi... - pokiwał głową kniaź, zapaliwszy papierosa i otuliwszy się obłokiem sinego dymu. - Siłami tutejszych mieszkańców. Mówcie, panie uriadniku, słucham, słucham. Cóż dalej?

- Dalej akurat już nic, wasza czujność - tylko ludzie mówią...

- Cóż takiego mówią owi ludzie?

- Widzieli! - wyrzucił z siebie uriadnik, jakby się głową rzucił w przerębel. - Z waszych ludzi niektórych tam widziano, wasza czujność!

- Ach tak? - nie widzę twarzy pułkownika, ale łatwo mi sobie wyobrazić, jak Gandieri unosi brew w drwiącym uśmiechu. - Kogo właściwie tam widziano? I kto właściwie widział? Wy osobiście, wasza srogość?

Oficjalny stopień uriadnika zabrzmiał niczym najgorsza z obelg.

- Nijak nie, wasza czujność! Ja przybyłem na miejsce dopiero potem, w nocy!

- Aaaa... - Gandieri ziewa nie ukrywając znudzenia. - Któż więc właściwie widział?

- Ten oto Ostap Tarasycz! Cwirkuński sołtys! - tu uriadnik z widoczną ulgą i sporą dozą nieskrywanej złośliwości wskazał głową stojącego obok „sołtysa”, wąsatego, przysadzistego wujaszka.

- Wysłuchajmy więc naocznego świadka.

Sołtys stękał i chrząkał przez chwilę, wbiwszy wzrok w ziemię i przestępując jednocześnie z nogi na nogę, aż wreszcie zaczął:

- Taż wasza myłość... gromada - ona... tego... zawsze... znaczy, zaczęliśmy tych złodziejów zmażonych wiązać, żeby, znaczy, dostawić! A tu tarantas z waszego majątku się toczy. A w niem córa wasza, panienczka, jeszcze ten, z miasta... panicz, mordziasty taki. I stangret, ten co na Roma bardzo wygląda... Ot co!

Ostap Tarasycz umilkł, rozgrzebując ziemię czubkiem rozdeptanego chodaka.

- Słucham dalej - Gandieri ośmielił mowę z tą samą dobrodusnością, z jaką niedawno, przed pojawieniem się tłumu, dodawał odwagi osaczonemu w ogrodzie chłopaczkowi. - Nie trzymajcie nas w nieświadomości...

- ...a mówię. Stangret wasz, co do Roma podobny, z tarantasu zeskokczył i do nas! Wytańcowywać zaczął, jak szurnięty i po romsku coś tam podśpiewywał! Myśmy od razu skumali: czaruje! W oczy nam piaskiem sypnął, ja rodzonego syna za maguna wziąłem! My

jemu, znaczy stangretowi, cóż ty draniu jeden wyprawiasz? A wtem ten panicz mordziasty podskoczył i Ondrejce w mordę! W mordę! Nos mu, psiawiara, całkiem złamał!

- Ciekawe, ciekawe... Ot tak sobie, bez żadnej przyczyny podszedł i w pysk przygrzał? Nos złamał? Za nic? - Dym z papierosa bucha jak z Wezuwiusza, a z dymu, z tej burzowej chmury, dudni taki głos, że od razu wiadomo: biada wam, Pompeje i Herculanium! Kajaj się drabie i mów prawdę!

Bo będzie nieszczęście.

- No, nie żeby tak znów za nic. Ondrejka do niego, panicza znaczy, powiedział: „Koniokrada chcesz bronić! Toś ty chyba z nim w znowie?!” A panicz Ondrejkę w mordę! Ot tak!

- Jasna sprawa. A jakże to panicz za koniokradem się ujmował?

- Powiedział, nie bijcie go! Przestańcie! To samosąd, niby!

- A, kochaneczku, od tego trzeba było zacząć! Samosąd tam sobie urządzaliście?

- Taż nie, wasza myłość! Jakież tam samosąd?! Bóg z wami, psiakrew! Ot, krzyż mi świadkiem! - sołtys naprawdę się przeżegnał.

Tu szynkarz przechera postanowił pomóc kompanowi:

- Wasza myłość niech ma zdrowe i dorodne wnuki! Pozwólcie, że ja...

- Ty? A proszę bardzo. W przeciwnym razie do jutra gadać tu będziemy. Niektórym świadkom pamięć nie dopisuje.

- No przecie stary jestem, czasami zapominam, gdzie mam w spodniach motnię\*[\* - *Woreczek na... hm... klejnoty, w przedniej części ukraińskich (tureckiego kroju) szerokich spodni w typie szarawarów.*] - pospiesznie wtrącił sołtys i zamilkł pod surowym wzrokiem pułkownika.

Wybrańcy narodu też zaczęli z niedowierzaniem zerkać na siebie i łypać oczami na Ostapa Tarasycza, jakby chcieli zapytać: co ty pierniczysz, stary grzybie?! A sołtys, nie zwracając na nich uwagi, wzrokiem pełnym oddania zawisł na ustach kniazia.

- Wasza myłość... - uratował sytuację szynkarz. - Wychodzi na to, że miało tu miejsce okropne nieporozumienie. Nasi wieśniacy pojмали maga z magusiem, a ci zaczęli się wrywać! Znaczy, klócić się! Sami rozumiecie, nasi chłopci nie są miękkimi palcami robieni, od słowa do słowa, no i tak... krew z nosa się polała. A wasz gość, bez urazy, pięść ma jak bochen! Wspaniałą pięść, co tu gadać! Żeby ja taką miał. I to właściwie wszystko. Żadnego samosądu tam nie było.

- Rozumiem. Mam nadzieję, że dziesięć rubli pocieszy nieszczęśliwego, który ucierpiał



przez pięść mojego... hm... gościa?

- Co? - ocknął się sołtys. - Ależ co też wy, wasza jasność, dziesięć to za dużo! Jeden rubelek baserunku Ondrejce... no, niech mu będzie piątak! Przecież sam panicza obraził, morda kudłata! I sam dostał w pysk! A samosądu nijakiego nie było, dobrze wam Icek powiedział, sam bym rzekł to samo, ale język mam sztywny i niezbyt skoro mi się w gębie obraca! Do nóżek waszej jasności padam, wybaczenie mi, durniowi staremu...

- Co ty breszesz, Ostapie! - tknął sołtysa łokciem pod zebro jeden z delegatów. - Rubel, piątak! To po co my się tu przywlekli?!

- A ja was, kumie, za czub nie ciągnąłem! Sami tu leżliście, sami przyszliście i jeszcze mnie przytaszczyliście! A po co? Bóg wam sędzią będzie!

- W takim wypadku - Gandieri zgasił papierosa w leżącej na stoliku odlanej z brązu popielniczce; wstał z krzesła i wyjął z kieszeni skórzany portfel. Nie patrząc nawet, wyjął z niego kilka kolorowych asygnat. - Uznajmy rozmowę za skończoną. Część pieniędzy przekażcie poszkodowanemu, resztę wykorzystajcie jak zechcecie. Dla wszystkich. Wódki kupcie albo co tam zechcecie...

Zasępieni delegaci stali przed gankiem i nie bardzo wiedzieli, co robić. W ich głowach powoli obracały się żarna, ścierając na mąkę ziarno ciężkich myśli. Odejść? Nie? Co właściwie się stało? Po co tu przyszli? Zebrany za płotem tłum, nie uczestniczący w rozmowie i nie mający możliwości dowiedzenia się o czym mowa, ponuro pomrukiwał. Głośniej. Coraz głośniej.

Według mnie książ popełnił błąd. Za wcześnie się podniósł.

Według mnie...

- Szałwo, jak ci nie wstyd! Przyjacielu, wiesz przecież, jak kocham wieśniaków, tych czystych i uczciwych przedstawicieli prostego ludu! Nosicielei odwiecznych prawd, o ciemnych umysłach, ale jasnych duszach! Nie, zupełnie nie potrafisz rozmawiać z nikim, oprócz twoich przerażających kolegów! Powiedźcie, gołabeczki, nie chcecie... jakże to? A! Nie chcecie sobie golnąć? Wiem, że prości ludzie zawsze mają ochotę sobie golnąć!

Na ganku pojawiła się Kniahini. Jeszcze przed chwilą była w jadalni, stała przy sąsiednim oknie - a teraz już jest na werandzie i delegaci natychmiast się rozluźnili, a na ich gębach pojawiły się niepewne, głupawe uśmiechy.

- Dziękuję, jasna pani!

- Honor to dla nas!

- Oj, pani! Oj, niech mnie... Pani! Żeby nie zapeszyć... Ludzie za ogrodzeniem nieco przycichli. Szyje powyciągali i gapią się jeden przez drugiego, co to za dziwowisko w ogrodzie się dzieje.

Służba zjawiała się jak na skinienie czarodziejkiej pałeczki. Obok ganku błyskawicznie znalazły się dwa spore stoliki z plecionymi krzesłami; natychmiast też pojawiły się na nich wyszywane obrusy, na których ustawiono filiżanki, spodki, kieliszki, karafki, a kucharka Oksana już niosła talerze z zimnymi zakąskami.

- I cóż ja bym bez ciebie zrobił, droga Elzo? - sądząc z tonu, kniaź otwarcie się uśmiechał, choć z mojego miejsca nie mogłam dostrzec jego twarzy.

Roztropny uriadnik migiem napełnił kieliszki czymś rubinowo czerwonym - winem albo jagodzianą nalewką.

- Pozwólcie wznieść toast za zdrowie, wasza czujność! Gandieri ponownie usiadł i łaskawie kiwnął głową, jakby mówiąc: proszę bardzo, z książęcym pozwoleniem.

- Szczęścia pełne niech będę wasze komory! Niech dom ten Bóg błogosławi! Nie gniewajcie się, jak coś nie tak - my ludzie prości.

- Ach, ja za prostymi ludźmi wprost przepadam! Rozum dla nich tracę!

Ja już jednak nie słyszałam Kniahini. Patrzyłam za ogrodzenie, za którym zebrało się aż nazbyt wielu prostych ludzi.

„Rozum tracę! - odezwało mi się echem w głowie, jakby wieszcząc coś strasznego. - Rozum! Tracę!”.

- Wiedźma! Wiedźma! W oczy pluje! Zło w sercu nosi! Wiedźma! - Ludzie się rozstąpili i zobaczyłam jak przyglup Prokopie tarza się z wrzaskiem po ziemi, zadzierając ku niebu grube, gołe i niezwykle brudne nogi. Ludzie cofali się od niego ogarnięci zabobonnym strachem.

- Kto wiedźma? Pani?

- Całkiem już zdumiałeś, Prokopij, czy co!

- Przecież on od dziecka durnowaty! Nie wiecie to?

- A my co? Będziem tak stać jak durnie i tylko się gapić? Śmiech - zły, urywany, na granicy hysterii.

- Ty tam lepiej popatrz! Gorzałkę trąbią!

- No proszę! Z szacunkiem...

- Oj ludzie, ludzie kochani! Zaczarowali jeputatów i gorzałką spoił!

- Jakby tak mnie nalali - .. to bym im w mordę!
- Jak ci naleją - to w piekle będziesz kaca leczyl!
- Książ pieniążki daje, gorzałką poi - nas, prostych ludzi!
- Widać się boi! Widać jest czego!
- Mag czy pan - z jednej studni!
- Podpalić - i tyle!
- To idź, pal! Ognia ci dać, czy w gacie narobisz!
- Kto, ja?! Ja ci zaraz...
- Nie mnie, tylko im!

- Co wy za łby się bierzecie! Poczekajcie, aż wybrani wrócą! Przyglup nagle przestał się tarzać po ziemi i jęczeć. Teraz skulił się, objął głowę rękoma i leżąc w pyłe szlochał, aż echo szło po wzgórzach. Krzyki powoli cichły i nad tłumem zapadła mroczna i złowroga cisza, w której jeszcze wyraźniej słysząc było płacz przyglupa Prokopija.

A spod okna można było usłyszeć uspokajający głos ojca Grigorija:

- ...jako pokorny sługa Pana naszego, posiadający władzę episkopalnego ober-starca, zobowiązany jestem dawać baczenie, aby wyroki i procesy w sprawach o „działania eteryczne” zgodne były z prawem. Przypominam też, że jego jasność jest pułkownikiem żandarmerii wydzielonego korpusu „Barbarzyńca” Jego Imperialnej Wysokości. Przychodząc tutaj, postąpiliście jak najbardziej słusznie.

- Tak, tak, jego samotność dobrze „mówi. Przyjdźcie jutro do miasta, powiedzmy, o dziewiątej rano. Powiem wam, gdzie. Napiszecie oświadczenie, odbiorą od was zeznania i sprawie zostanie nadany bieg urzędowy. Jeżeli w istocie miały tu miejsce jakies’ działania eteryczne, to jest magiczne, winni zostaną ukarani z całą surowością prawa, możecie w to nie wątpić.

- Taż tego... Wasza jasność?! Nas, krywłańczaków za co do miasta ciągnąć?! My ni chuchu nie widzieli! To wszystko cyrkuniacy i ich sołtys - niech piszą te wszystkie papierzyska! A my co? Nam co do tego?

- Oczywiście zeznania złożą tylko naoczni świadkowie.

- O, dobrze mówicie, jasny panie! Dziękuję pięknie! A co my tu...

Perspektywa zjawienia się w zarządzie żandarmerii, składania zeznań i podpisywania wszelkiego rodzaju papierów wcale „jepu-tatom” nie odpowiadała. O ile krywłańczacy jakoś się z tego wykręcili ze zrozumiałych zresztą przyczyn, z czego byli bardzo zadowoleni, to Ostap Tarasycz przeklinał się za to, iż dał wplątać w tę głupią historię.

Zrodziło się we mnie podejrzenie, że nie pada kniaziowi do nóg i nie błaga o

wybaczenie tylko z bojaźni przed oskarżeniem o coś gorszego, niż zwykle chłopskie nieposłuszeństwo.

- Wasza myłość! Naród nie żeby co złego, ale uspokoić trzeba! My, choć ludzie mali, ale ze zrozumieniem, a po tamtych głąbach wszystkiego się można spodziewać... - Szynkarz, jak zwykle, wyczuł pismo nosem.

- A to, zaraz się zrobi. Nic bardziej prostego! - radośnie wyszczerzył się uriadnik, nie bez trudu wylazłszy zza stołu. Przełknąwszy resztki z niedopitego przez kogoś kieliszka, wytarł pot z czoła. - Ojczulku, czy nie zechcielibyście wyjść ze mną do narodu...

Ojciec Grigorij kiwnął głową i ruszył w ślad za dziarskim funkcjonariuszem.

- Cisza, narodzie! - ryknął uriadnik. Tłum, który i bez tego się uspokajał, umilkł nagle i bez reszty. Gdzieś tylko w głębi zakwilił <sup>czyjś</sup> głupi berbec, i ponuro - ale też coraz ciszej - chlupał przygłup.

- Odlóżmy sprawę! Przestańcie się gorączkować! Rankiem Ostap Tarasycz do miasta pojedzie, papiery ważne pisać. Zachowajcie spokój. Tu mieszkają sami dobrzy ludzie, nie ma wśród nich mażej siły i nigdy nie było! Zaraz tu ojczulek wam przysięgnie na Pana naszego, Jezu Chrysta, Odkupiciela i krzyż przed wami ucałuje. No co, uwierzycie wtedy?!

- Uwierzym! - niezbyt składnie zahuczeli chłopcy, a baby zawtórowały:

- Jak przysięgnie na Jezu Chrysta...

- I na święty krzyż...

- Sam ojczulek...

- No to niech przysięga, a my popatrzymy!

- Proszę was, ojczulku - uriadnik zadowolony z siebie szczyrzył końskie zęby, nie widząc, że ojciec Grigorij patrzy na niego, jak święty pokutnik na biesa-kusiciela. - No, pocałujcie krzyż i pójdziemy jeszcze sobie chlapanąć po kielichu...

Kapłan stał i nie mógł ruszyć się z miejsca. Poruszył wreszcie wargami:

- Ja... ja nie mogę!

- Co znaczy, „nie mogę”?! Widzicie, że gromada prosi!

- Ja... ja...

Twarz jego samotności zalewała fala bieli.

## **XI. FIODOR SOCHACZ ALBO CZAS ROZRZUCANIA KAMIENI**

*Ja sam tłoczyłem do kadzi,*

*Bo spośród ludów żadnego nie było ze mną;  
A tłoczyłem ich w gniewie  
I deptałem ich w zapalczywości tak,  
Że ich sok pryskał na moją szatę  
I całe moje odzienie zbryzgałem.  
Ustanowiłem bowiem dzień pomsty...*

*Księga Izajasza*

...chęćka była przenikliwa i zimna.

Niczym zmija pod prześcieradłem.

Fied'ka miał szczerą ochotę palnąć z obu rur w durnego uradnika za jego pomysł. Patrzył przez okno jadalni, jak ojciec Grigorij cofa się, zasłaniając twarz rękoma niczym przed uderzeniem, choć nikt nie zamierzał kapłana uderzyć; widział, jak uradnik mruga oczami z niedowierzaniem, a na jego okrągłej, tępawej twarzy maluje się uraza. Chciałem przecież jak najlepiej! Jak najlepiej! A krucha jeszcze przed chwilą i niejednorodna ludzka masa przekształca się w monolit, straszny we wzbierającej furii - lada moment pojną, zrozumieją i zareagują...

Ale mimo wszystko nie oni zaczęli.

Jeden z wiszących na ogrodzeniu smarkaczy zdołał się jakoś przewinać, zawisnąć głową w dół - i już tykał doga palcem w grzbiet, ale Trismegistos odwrócił się w ostatniej chwili i niczym marmurowa błyskawica frunął w górę.

- Aaaaaj! Mamooooo! Aaaj!

Rozdarłszy ubranko o węzły krat zuchwalec niczym pojmany wróbelek zleciał do sadu. Szarpnął się raz i drugi, przygnieciony do ziemi potężnymi łapskami i zakwiczał z przerażenia, patrząc z bliska w wyszczerzone piekło psiej paszczy. Ogrodzenie natychmiast odpowiedziało przeraźliwymi chłopięcymi wrzaskami, baby podjęły wycie smarkaterii, mężczyźni sapnęli ze zgrozą, zapominając o kapłanie i jego odmowie złożenia przysięgi, a wszystko, niczym piana, nakrył histeryczny pojedynczy chichot. Śmielsi kmiotkowie rozejrzeli się za kamieniami, a plugawy ojciec, chrześniaka Wasilki pospiesznie i na oślep cisnął grudką gliny, po czym skwitował chybiecie taką wiązańką przekleństw, że cały świat, Bóg i jego apostołowie jednocześnie zatkali uszy.

Piegowaty kowal Ondrejka zamachnął się podniesionym z ziemi kamulcem.

- Niiieee!

Kniahini była już obok psa i jego ofiary. Opadłszy na kolana oburącz wczepiła się w

skórzaną obrożę i właśnie odciągała opierającego się zaciekle Trismegistosa wstecz, kiedy mocno ciśnięty kamień ugodził ją w policzek.

I przeciął jej skórę aż do kości.

Piegowaty uśmiechnął się z zadowoleniem - oko za oko! - poruszył nozdrzami, jakby węsząc zapach krwi i podniósł kolejny kamień.

- Bij! - stęknął za jego plecami tłum, gotów do rzucenia się na ofiarę.

Fiodor, zapomniawszy o tym, że dwururka nabita jest tylko śrutem, nie widząc nikogo i niczego oprócz krwawej maski, w jaką Przekształciła się nagle twarz Kniahini, podrzucił broń do oka.

Lufy same, jakby kierując się własną wolą, spojrzały na piegowatego drągała.

Śrut smagnął tłum i wokół piegowatego zrobiła się pustka - ludzie z wrzaskiem cofnęli się precz. Pod naporem bólu i strachu napięła się sprężyna nienawiści, gotowa lada moment oddać, zmiatając wszystko na swojej drodze.

Ale Fied'ce w tej chwili na niczym już nie zależało.

- Lap!

Dwururka poleciała ku Akulinie. Młoda kobieta o zręcznych mimo cięży rękach schwyciła ją w locie. Luźne naboje ze szczękiem potoczyły się po parapecie i niczym krople ciężkiej ulewy opadły na parkiet podłogi - a Fiodor już rozwierał okiennice.

Dwukrotnie już podczas dzisiejszego szalonego dnia skakał z piętra do ogrodu. Teraz skoczyło mu się znacznie gorzej niż poprzednio. Wylądowawszy na słupku balustrady, Fied'ka boleśnie uderzył bokiem o samą poręcz, a potem o ziemię. A co tam! Nieważne! Na kolanach, na czworakach niczym pies śmignął przed siebie, gdzie grzmiał Trismegistos, kwiczał smarkacz i broczyła krwią ranna Kniahini.

Zdążyli obaj jednocześnie: Fied'ka Sochacz i pułkownik Gandieri.

Obaj.

Zdążyli.

- Do domu! Nieś ją do domu! - i już jego śladem, gdy Fied'ka stęknąwszy boleśnie od nagłego, przesywającego mu bok bólu porwał kobietę na ręce, pułkownik rzucił: - Głową za nią odpowiadasz! Głową!

Niesiona przez Fiodora Kniahini wydała mu się lżejsza od piórka. „Mama! Jak mama!” - wybuchło niczym fajerwerk i natychmiast zgasło, zmieniawszy się w cichy, zjadliwy szept przeklętego Ducha Prawa: „Jakby siebie samego! Jakbyś siebie samego niósł, chłopcze!”. Za

plecami jęknęły wrota, które wytrzymały pierwszy nacisk i ustąpiły pod drugim; rozpaczliwie zgrzytnął łańcuch, wtórując sklamrzeniu rygla; ciśnięty Fied'ce w plecy kamień gwizdnął obok skroni, a potem grzbiet Sochacza sieknęły gliniane okruchy. „Puść mnie!”. - chlipnęła Kniahini, miotając się niczym wyciągnięta na brzeg ryba. „Puszczaj, ja sama!”; Fiodor jeszcze mocniej owinał ją rękoma, nie pozwalając, by się wyrwała i wbiegł z nią na werandę, gdzie Kniahini i tak mu się wymknęła.

Upadłszy na kolana, przycisnęła dłonią rozcięty policzek.

Jej palce poruszyły się niczym czerwone robaki.

- Bracie-kniaziu! - frunął nad tłum falset przygłupa. - Bracie kniaziu! Bracie, nie krzywdź, nie rusz biednego Prokopiuszki! A-aaaach!

Krzyk urwał się nagle, zachłysnął się i przeszedł w jakiś' okropny, niewyraźny bulgot.

- Głuptaka bożego zabili! Zabili! Ludzie, a my co?!

- Diabeł kaukaski!

- Duszogub!

- Masz!

- Ondrejka! Ludzie, on Ondrejkę usiekł! Ludzie kochani!

- Bij szatana!

Fiodor zdążył jeszcze pochwycić wzrokiem pożegnalne spojrzenie kniazia, rzucone mu przez ramię zaraz potem, jak kaukaska szabla, jeszcze mokra od krwi przygłupa, z chrzęstem rozchlastała piegowatego Ondrejkę od obojczyka po pas. Chwycił spojrzenie, niczym monetę przeznaczoną nie dla niego, i zachłysnął się nagle cudzym strachem, cudzym żalem i cudzą, ale jakże swojską czułością, pod którymi kryło się szaleństwo, jak pod wiosennymi kwiatami kryje się w trawie śliski gad - i nie wytrzymał, odwrócił się, słysząc zduszony krzyk Kniahini:

- Szałwooo!

I wtedy pułkownik Szałwa Gandieri zaczął zabijać naprawdę.

Fied'ka, czemu nie jesteś tam. Nie w bitce? Czemu?

Jesteś' przecież wielki i silny! Potrafisz świetnie się bić, nie tu twoje miejsce; i wreszcie jesteś mężczyzną, który broni swoich bliskich. Czemu zatrzymał się w biegu, w połowie drogi między oficyną a miejscem, gdzie szalał krwawy wicher; Sieńka-Żołędź, niegdysiejszy „fortacz”, gibki niczym łasica i jak ona niebezpieczny; zatrzymał się i cofa drobnymi kroczkami, nie spostrzegłszy nawet, że machinalnie czyni znak krzyża na piersiach. No dobrze, Fiodorze, zostawmy to. Lepiej ci pomogę, niewiele, odrobinę. Kniahini znów zaczyna padać i

trzeba ponownie porwać ją na ręce, brudząc je zasychającą już krwią, i rozrywając się pomiędzy chęcią wykonania rozkazu pułkownika i pragnieniem rzucenia się w środek zawieruchy, gdzie za sprawą Cyklopa działy się straszne rzeczy.

Lepiej o tym nie myśl. Ja przecież wiem, czemu nie jesteś tam, tylko tu.

Dlatego, że zdjął cię przeraźliwy lęk. Nie o siebie, nie...

...Ja sam tłoczyłem do kadzi, bo spośród ludów żadnego nie było ze mną. A w zawierusze spódnic, smagłych, załamanych rąk, drzeniu kobiecych ramion, w pieśni, śpiewie i szalonym tupocie, w hulance na parkiecie „Babilonu 5” tańczy rotmistrz żandarmerii.

Suchy trzask rewolweru. Jakby ciężki zwierz skoczył w zabawie na stertę chrustu. W górę, z ludzkiej zawieruchy usiłuje wzbić się siny dym; próbuje udać dymek z papierosa ten potworny dym, ale nikt mu nie wierzy i zamiast w niebo siedmioma strugami niczym robaki trzeba mu się wezreć w ludzkie ciała. Rozładowany rewolwer zostaje w lewej ręce - niczym blado połyskujący kastet, krótkimi uderzeniami miażdżąc nosy, łamiąc szczęki, rozbijając skronie, za którymi, w piekielnej głębi pulsuje odwieczne: „Bij szatana!”, nareszcie mogące zerwać się z łańcucha.

Ciężka kaukaska szabla, którą były junkier Szalwa Gandieri otrzymał od Szamila Abutalibowa, komendanta tyfiliskiej szkoły, żyje swoim własnym, oślepiającym życiem.

Życiem, którego sensem jest zadawanie śmierci.

Pod naporem wielu nóg ciężko, żalobnie postępują pokutne łańcuchy przyglupa Prokopija. Samo ciało kurdupła dawno już zostało rozdeptane w brudną lepłą masę, która jeszcze drga, usiłuje powstać na krótkie nogi i niewyraźnie bulgocze:

- Bracie-kniaziu! Bracie... nie trze...

Brat kniaź nie słyszy. Teraz już niczego nie widzi, nie słyszy i nie rozumie.

Rację mają ludzie - czart mu teraz bratem.

A obok, niczym diabeł zwija się i tnie zębami potomek alandzkich bojowych psów, które potrafią napadać, zabijać i umierać w milczeniu - ożywiony marmurowy posąg, plamisty dog imieniem Trismegistos.

...a tłoczyłem ich w gniewie i deptałem ich w zapalczywości... Dźwięczą cekiny tamburynów. Jęczy bity obcasami parkiet. Gitary oszalały - nie śpiewają, a wyją jak wilki. Tańczy pan rotmistrz.

Nie ma dla pułkownika wytchnienia ni spokoju.



A tłum nie ma się gdzie cofnąć, ilu by ich tam nie było. Wiruje krwawa karuzela. Oto zardzewiałe zębisko wideł przeorało krwawą bruzdę wzdłuż biodra. Oto styisko topora liznęło ramię. Oto już czyjaś pięść wycięła go w ucho - i niczym obrzydliwa figa potoczyła się pod nogi tłumy. Depczą ludzie po tej pięści. Rozwierają podszwami zaciśnięte palce. Wyje przeraźliwie pozbawiony pięść ojciec Waški, pastucha bożego; wyje jak wilk w pułapce na miesiąc, miedziany bezlitosny okrągłak. Co za przywidzenie? Skąd księżyc rankiem? A jemu, biedakowi, wszystko jedno.

Wyje.

Kniaziowi też wszystko jedno.

Zabija. I śmieje się na całe gardło. Zabija tym śmiechem: ich, siebie, każdego, kto się nawinie. Chlaszcze śmiech; chlaszcze śrut z dubeltówki, tnąc z okna jadalni po tylnych szeregach i chłodzi zapal - brzemienne kobiety są nieco nerwowe, szczególnie z dubeltówką w ręce... to im kwaśnego dawaj, to słonego, to znów postrzelać sobie chcą...

Co, Fied'ka? Widzisz? Słyszysz? No, dalej, jeszcze cię odrobinę wspomogę - bezpłatnie, za darmo, *darem* - tym *mną*, którego w tobie więcej niż w innych...

Obaj sołtysi wleźli pod letni stoliczek - jak tam zdołaliście wleźć, kochani?! Szykarz Lewi Icchak skrył się za pnem starej akacji i szepcze zbielełymi wargami: „Szema, Israel!”

Urzędnik skamieniał.

Nie tutaj, przy samej oficynie. Tam skamienieć bezpieczniej.

Gdzie pozostali „jeputaci” - nie wiadomo.

„Tatku! Tatuśku!” - niesie się z okna pierwszego piętra, gdzie w szponach czarnej wrony szamocze się księżniczka Tamara, która nie ma dość sił, by rozerwać martwy chwyt cioteczki Choreszan i rzucić się do ojca, takiego, jakim go jeszcze ani razu w swoim krótkim życiu młoda dziewczyna nie widziała.

- Panie! Usłysz głos mój! Stanę przed Tobą i będę czekać!... To ojciec Grigorij.

Krzyczy.

Nie - modli się.

A w twoich rękach, Fied'ka, szamocze się ranny ptak:

- Szalwaaaa!

...że ich sok pryskał na moją szatę i całe moje odzienie zbryzgałem. Ustanowiłem bowiem dzień pomsty... I słyszy Fiodor w huraganie szalonych dźwięków, przez rytm tańca śmierci:

- Nie ostygło szczęście, nie zapadła ciemność, I kropla krwi jeszcze noża nie splamiła;  
Zostań miły! Jeszcze nie żegnaj się ze mną! Lecz już komuś się zguba zdarzyła.

Już.

...cofnął się przybój, zostawiając na ziemi ciała martwych fal. Jedne fale pełzały wstecz, zachłystując się trwogą i zapominając o ranach, a inne leżały bezgłośnie, nie troszcząc się już o ziemskie sprawy.

I po nich, żywych i martwych, na nich i pomiędzy nimi, samotnie tłocząc swoją kadź, jakkolwiek bluźnierczo by nie zabrzmiało to porównanie, zasługując na oddzielny stos...

I w ogrodzie, który przemienił się w maleńkie pole ar-Megiddo, wczesnym rankiem, który groził wywinieciem się w węża, pokrytego łuską gada, żeby znów stać się nocą...

Z kaukaską szablą i dawno rozładowanym rewolwerem, świątecznie, karnawałowo zbryzgany krwią swoją i obcą, błyskając srebrem guzików i złotem epoletów...

Tańczył pułkownik Gandieri.

- Oszalał!

- Oj, ludkowie! Oj, co to się wyrabia!

- Nie ten pies jest tu biesem!

Wierny Trismegistos, który nigdy niczego się nie bał, skamlał teraz jak zbesztany szczeniak. Wlokąc za sobą poranione tylne łapy poczołgał się w kolczaste krzaki, byle dalej od pana, którego w swoim psim życiu ukochał ponad wszystkich, ponad siebie i ponad życie, lada chwila mogące go pożegnać.

A pan nie przestawał zabijać.

Nie dostrzegał już nawet, że zamiast ludzi otaczają go widma.

Oszalały bitewnym uniesieniem.

Szabla wciąż rąbała. Płatała powietrze pełne dzikich przywidzeń. Walił na odlew rewolwer. Gardło pana pułkownika rozdzierał chichot, wrywający się na zewnątrz niczym potworne krakanie. Mundur popękał pod naporem mięśni, frędzle pasa dawno już leżały w pyłe, poodrywane i podeptane; Gandieri nie czuł bólu i nie zwracał uwagi na rany - dla niego walka wciąż jeszcze trwała.

- Piekielnik!

- Oj, siłą nieczysta! Mitka, ty durny! Biegiem do mamy!

- Ojczulku! Uśmierzcie szatana!

...sam tłoczyłem do kadzi...

Upadł pan pułkownik.

Na kolana.

Wstał.

Zaraz znowu upadnie.

Wiele, wiele lat później, na dwudziestej pierwszej stronie zbioru wierszy „Korzenie Pajęczyny” pewien „jednodniowy idol”, jak niesprawiedliwie nazwą go krytycy, po długich wahaniach opublikuje:

- Ma pan ognia, drogi panie? Pan wybaczy, ja nie palę.

A cóż to jest za gadanie? Toteż nic nie mówię wcale. A tak przecież żyć się chciało. Nawet kiedy cię rzucano, Nawet gdy nie ratowano, Mimo wszystko żyć się chciało, Bić o wszystko też się chciało O krok każdy, każdy dech... Jak się nad tym pomyślało - Niezłe jest to życie, ech!

- Ma pan ognia, drogi panie? Pan wybaczy, już zgasilem. Gdyby można to powtórzyć, To ja chętnie, choć na siłę. Wszystko zacząłbym od nowa, Odtworzyłbym, co niebyłe, Żeby życie znów pomknęło Po schodach, na łeb, na szyję!

Znów upadać, znowu wstawać Ledwo dysząc pod razami... Gdy się nad tym zastanawiać... Pięknie... mówiąc między nami.

Krytycy nigdy nie mieli się dowiedzieć, że autor „Korzeni pajęczyny”, zapisując te strofy swoim wyrobionym, zamasztywym piśmem, widział rudą dziewczyninę-jesień, pochyloną nad jaskrawym lazurem munduru, widział rudą, niczym jesienne liście szczoteczkę wąsów, widział zamarły na ocienionych przez te wąsy ustach niesamowity uśmiech, widział dłoń trzymającą rękojeść krzywej szabli i zaciśnięte na tej rękojeści mocne palce; i pięść w piersi powoli zaczynała się rozwierać, niechętnie chrzęszcząc stawami.

Wyrwał się ptak Fied'ce z rąk.

Żachnął się wstecz.

Stań! nad leżącym pułkownikiem oszalała kobieta. Twarz we krwi, porozrywana suknia. Straszna, że mróz duszę ścisła. Piękna, że dech w piersiach zapiera.

Więc się zachłysnąłeś, Fiodorze Sochaczu.

Kłęb waty utkwiał ci w krtani.

- Szałwaaaa! Ach, Szałwa...

Zdziwił się Fiodor samemu sobie. Pora wyć jak wilk, pora na ludzi się rzucać, pora duszę niczym kastet na pięść założyć - a nie wychodzi. Dusza nagle zrobiła się lekka - nie będzie już ołowianym obciążnikiem. Od czegoż to? Patrzy Fiodor i znajduje powód. Nie ma już pułkownika „Barbarzyńcy”, w którego obecności mag nie jest wart funta kłaków. Jest

zwyczajnie i prosto Szałwa Gandieri.

A niedługo i jego już nie będzie.

Zostanie tylko ciało, żywe. Zwyczajnie i prosto.

Trudno o coś bardziej prostego i zwyczajnego.

- Szałwaaaa! Ach, Szałwa...

„A-ach!” - jednym tchem odezwał się tłum. Cofnął się za ogrodzenie, żwawo, jak się nie chciał cofnąć przed żywym pułkownikiem. Niewiele brakło, a kmioty puściliby się biegiem. Wszyscy poczuli grozę, pani domu ruszyła nagle w taneczny płas dookoła na poły martwego męża. Ręce niby skrzydła, nogi jak struny, krew na twarzy błyszczą niczym zorza o świcie.

Święto.

Ta minutka pomiędzy lapsem „Barbarzyńcą” a pozbawionym rozumu kaleką, kiedy pancierz jest spękany, wewnątrz pulsuje i prześwituje przez szczeliny i można wszystko - nawet to, co niemożliwe.

Kniahini tańczyła Powrotny Korowód.

Złamawszy pauzę, niby kruchą gałązkę. Jedynym sposobem, na jaki może sobie pozwolić konwentowy mag bez chrześniaka: zamykając fintę na sobie. Wypalając się do cna. Spieniając falę śmierci zbawczą słówką. Tańcząc nad przepaścią, coraz bliżej i bliżej krawędzi... Bliżej, jeszcze bliżej!

Uniosła głowę.

Powiodła wokół spojrzeniem, rozsypując iskry na pomiętej trawie.

Trawę - w parkiet.

Rosę - w woskowe nacieki.

Przeszła się baletową prima, próbując samobójczego mariażu.

Świece! I zapalają się setki kandelabrow, świeczników i rozet ze starego srebra. Wszędzie - na białych słupkach balustrady ganku, przy węzłach krat ogrodzenia, w koronach drzew, na parapetach i porzrzucanych bezładnie plecionych krzesłach.

Gotowe.

Skrzypki - i siedzące w gęstwinie gałązek ptaki same zdumiały się swoim kunsztem - gdzie tam do nich kurskim słowikom, gdzie tam do nich Jaszy Haifetzowi, ubóstwianemu na wiedeńskich salonach! Śpiewajmy, bracia skrzydlaci, wyęźajmy gardziołka, ciągnijmy kantyleny wszystkim ku zawiści!

Mariaż trwał.

Orkiestra! I natychmiast z akacjowych gałęzi runął na łeb, na szyję deszcz dźwięków fortepianu, ale zamiast złamać sobie kark, dał nura w słowicze westchnienia kontrabas, z odległych wzgórz buchnęły bąble obojów, którym zaraz frunęły na spotkanie słoneczne trąbki, dźwięcznymi fanfarami ślizgając się w potarganej czuprynie sadu - niedokończony, niedograny do końca walc monsieur Augusta Bernouilli'ego, który jeszcze przed katorgą na zawsze utkwiał jej w pamięci, upomniał się o swoje prawa.

Czas.

Dopóki mariaż trwa, dopóki żyje.

- Wstawaj, Szałwo!

Nie słyszy. Nie chce słyszeć. Leży - nie, nie leży, odchodzi.

- Poczekaj, Szałwo!

Usłyszał. Zatrzymał się.

- Wstawaj, mówię!

Leży - nie, nie leży; stoi i czeka. Lada moment ruszy w dalszą drogę, by złożyć ostatni meldunek Szaleństwu: „Wasza Nielitościwość! Pułkownik Gandieri melduje się na rozkaz”. Uparciuch się trafił. Ale od kiedy to mąż żonę w uporze przetrzymać potrafi?!

- Chodź do mnie!

No proszę, usłuchał. Idzie. Nie, nie idzie - wstaje. Najpierw tylko wzdrygnął się ostygłym już ciałem, chrzęszcząc stawami niczym wiązka suchego chrustu; potem dźwignął się na kolana, wparłszy się głową w trawę.

- No?! Długo mam czekać?! Na kolana.

Tak być powinno, Szatwo, przed żoną - na kolana. Nareszcie zrozumiałeś. A teraz wstawaj.

- Tańcz!

- Martwiak! - jęknęli patrzący chłopci. - Martwiaka podnosi.

- Tańcz, mówię!

No, dalej, Fiodorze, jeszcze trochę pomogę. Widzisz, za Kniahinią jest cień. Podniósł się na całą wysokość. Podwójny cień - Szałwa Gandieri tańczy z Raszlą. Idą po kręgach, odchodzą, wracają, oddalają się i przybliżają. Nie do ciebie, głupi Fied'ko. Przyjrzyj się uważnie, oto ono. Stoi. Czeka. Szaleństwo. Skrzyżowało na piersi ręce i patrzy rybimi, pustymi oczyma. A Szałwa z Raszka bliżej, dalej... bliżej i dalej...

To cień.

Widzisz?

Nie zdzierzyła Kniahini. Gardło zdusiła jej pętla, pierią szarpnął kaszel i odrzucił w tył. Stoi na kolanach Szalwa Gandieri i czeka. Stoi w cieniu Gandieri Tancerz, stoi samotnie i czeka. Nieopodal stoi Szaleństwo i też czeka.

Kłęczy Raszka-Kniahini, dławi się i nie ma sił, żeby wstać.

Podchwycił Fiodor w locie spojrzenie błaganie.

Spojrzenie rozkaz.

*- A mnie... - zachrypiał Fiedoniuszka w same ucho, przypalając oddechem. - A mnie tak tańczyć nauczysz?*

Czyli nauczył się. Nie oszukała go Kniahini, dotrzymała słowa. Nauczyła go wszystkiego, przekazała, odcisnęła. Twoje to, Fied'ka, czy nie twoje, darowane, kupione, ukradzione - jaka to teraz różnica?!

Skoro każą, trzeba *iść* w tan.

I poszedł, jakby go na sznurze pociągnięto. Poszedł niby ratownik, poszedł jako oprawca. Powrotny Korowód? Zatańczymy, pułkowniku? Jak każesz. Kniahini, moja chrzestna wróżko, tańczyć zaczniemy. Każesz się zabić - zabijemy. Każesz zabić ciebie - też się stanie.

Patrz, póki możesz, jak cię zacznę zabijać.

- Tańcz! Tańcz, Cyklopie! Powstań!

Na białej, czystej karcie pojawił się dziw nad dziwy: nie Król, nie As, nie Joker. Niebywałość bez koloru, barwna niezwykłość. Ty, Fied'ka, jesteś tym dziwem.

Podoba ci się?

A przecież wstał pan pułkownik. Nie w cieniu - na jawie wstał. Stoi, na nogach się chwieje. Szablę z dłoni wypuścił. W oczach cień: przedświt, zmierzch? Szaleństwo wyciąga z daleka dłoń i kiwa palcem, jakby mówiło: dokąd? Tyś' mój! Nie słyszy pułkownik. Nie widzi.

- Tańcz!

Wije się na ziemi Raszka-Kniahini. Ustami chwyta powietrze. Pobladła i posiniała, gorzej niż topielica. Ale spojrzenie ma jak przedtem. Rozkazuje - czyń!

I Fiodor czyni.

- No?!

Ależ zatańczyli! Ależ zatańczyli, aż niebiosy się spociły. Diabła zemdliło, naród groza przejęła. Kniahini śmierć w oczy zagłada. Ależ zatańczyli! Zdychaj, sukinsynu, lepiej już nie zatańczysz!

- Tatku! Tatuśku!...:

Księżniczka Tamara. Wyrwała się z wronich szponów, sfrunęła w dół niczym jaskółka i podbiegła. Zamarła na mgnienie oka, a w czarnych, bizantyjskich oczach - cień. Widzisz go, księżniczko? Ty, która w ogniu płonęłaś sama, samiuteńka? Tak, widzisz. Tańczą w ogrodzie Fied'ka z tatkiem, tańczą w cieniu mag konwentowy z Szalwą Gandieri, o krok dalej od Szaleństwa, o dwa...

- Ja! Ja też...

Uniosła ręce w górę młoda księżniczka. Popłynęła nad ziemią. Co Fied'ka czyni, to ona widzi w cieniu i powtarza. Płonie ponownie i topi się jak świeca. „Tatku!” - wołają ręce. „Tatusku” - wzywają nogi. „Tu jestem!” - szeleści odzież. „Do mnie! do nas!” - krzyczą palce.

A z dołu, spod nóg - spojrzenie rozkaz.

Jeszcze żyjesz, moja Kniahini?

Tak, jeszcze żyjesz.

## NOTATKI NA MARGINESIE

*Kniahini! Moja ty dziewczyno! Nie zamykaj oczu! Patrz na świat prosto i bystro - a zobaczysz tam:...noc.*

*Cofa się i ucieka. Smużkami nakreślone miasto. Czymże jest serce i duma, jeżeli możesz sobie rozkazać? Zapominasz dzień wczorajszy, zapominasz dzisiejszy: zaczyna się deszcz, zasłona poszła w górę, od rana zacznie się nowa sztuka. Oddźwięk zagubionych słów, szum ześlizgujących się kropli.*

*Twardą ręką chwycić skalpel i po żywym ciele, nie drgnie klinga...*

- Martwiaka podnieśli!

- Ludzie kochani, też jak go na nas spuszcza?

- Bij czarowników!

- Uciekajmy! Tłum znieruchomiał. Chybnie się wstecz? Czy naprzód?

## **X. ALEKSANDRA-AKULINA ALBO O PIĘĆ MINUT**

### **WCZEŚNIEJ**

*Wy, beztroskie kobiety,*

*Powstańcie, słuchajcie mojego głosu,*

*Wy, córki pewne siebie*

*Nadstawcie uszu na moje słowo!*

*Księga Izajasza*

...zniechęcił tłum. Przestały nawet lamentować te baby, których mężów Szałwa na sztuki pochłastał. Nawet ranni nie jęczą. Straszna ta cisza. Martwa. Żywi milczą jak martwi, martwi leżą, jak żywi. A pomiędzy nimi - kniaź z Kniahinią. Ni żywi, ni martwi - zawiśli pośrodku. Tknij palcem choć jedno - padną. Kniaź w szaleństwo nie lepsze od śmierci, Kniahini w śmierć, nie gorszą od szaleństwa. A z powrotem, do nas ich wytaszczyć... wystarczy sił?

A za minutę, czy będzie w ogóle kogo wyciągać? I najważniejsze - *kto* miałby ich wyciągać? Jeżeli tłum na nowo runie we wrota - koniec, już po nas. Nie stanie im na drodze rozjuszony Szałwa. Nie wymażemy się i nie odeprzemy ataku. Jeden tylko nabój mi został, a i ten - ze śrutem.

Ileż to myśli w jednej chwili do głowy wedrzeć się potrafi, jakby je kto poganiał.

Strach chyba je popędzał.

Mignęła ta chwilka i nagle ogłuchłam! Wdarł mi się w uszy tętent końskich kopyt! Zagrzmiął za pagórkiem niewidzialny wulkan; wyrzucił z siebie lawę konnych, którzy gnają prosto przed siebie, na zgromadzony przed bramą motłoch. Oszalałe konie i szaleni jeźdźcy - ze zjeżonymi włosami, młodzi, błyszczą nagimi tarczami piersi; regulaminowe kordy unoszą się nad nimi niczym srebrna piana.

Junkrzy ze szkoły śledczych! Setka, nie mniej!

- Kochani! - krzyczę z okna.

- Szybciej! - krzyczę.

- Do nas! Na pomoc! - rzuciłam broń i macham z okna ręką. Boże! Nigdy się tak jeszcze nie ucieszyłam na widok żandarmów!

Łzy z oczu same mi się potoczyły.

Chłopcy kochani, czemu nie zdążyliście o pięć minut wcześniej, o pięć króciutkich minetek? Wszyscy by żyli, wszyscy... Ale sama widzę: nie mogli wcześniej, nijak nie mogli i bez tego konie spienione - widać, że gnali w skok, że bardziej pospieszyć się nie mogli...

W dole wszystko się pomieszało. Uriadnik nagle się opamiętał, rewolwer z kabury wyciągnął i zaczął strzelać w powietrze:

- R-r-rozejść się!

Ojciec Grigorij padł na kolana: „Panie! Tyś widział, Panie! Nie zamykaj ust, nie oddalaj się ode mnie! Podnieś się, zbudź się na mój sąd, dla mojej sprawy. Boże i Panie mój!”



Sieńka-Żołądz ze sługami do kniazia z Kniahinią biegną. Fied'ka padł w miejscu, gdzie tańczył; wstał, stoi; błydy jak śmierć, rękami bezwiednie macha. Tamoczka prosto do ojca się rzuciła, tłum zaczął się rozbiegać na wszystkie strony, jak popadło; szum, wrzaski, płacz, tętent kopyt, wystrzały...

A mnie wszystko się zmąciło przed oczami. Chyba od łez. W głowie mi się kreci, sama już nie wiem, jak do kanapy doczłapałam, padłam i dyszę - ryba-akulka, gębę otwieram, powietrza mi brakuje. Ciało jakby ołowiem się nalało, topią mnie i w nową formę wlewają; coś tam szamocze się we mnie i rwie na zewnątrz, brzuch skurcze mi targają; na razie jeszcze jakoś wytrzymuję.

Co, na rodzenie ci się zebrało, durna Akulino?! Ależ sobie czas wybrałaś! Chyba nawet podwójna, jak Duch wieszczyl. Poczekajcie, maleńkie, pocierpcie jeszcze chwilkę, nie teraz, dajcie mi odetchnąć, przyjdź do siebie - waszej mamie sił już zupełnie zabrakło!

To ja tak te nasze dzieci jeszcze nie urodzone namawiam. Sama rozumiem, że to głupie: jak cię przyciśnie, znaczy - niczego nie wskórasz - ale co jeszcze mi zostało?

A jednak je przekonałam! Uspokoily się dzieciaczki i ból popuścił; gniecie tylko nieprzyjemnie w dole brzucha - ale to drobiazg, można wytrzymać: żeby tylko znów się nie zaczęło.

Odetchnęłam głęboko. Raz, drugi. W głowie trochę mi się przejaśniło, już tak nie kołuje. Łzy otarłam rękawem, usiadłam wygodniej i oparłam się o poduszki... Od razu też, jak tylko mi ulżyło, przypomniałam sobie: co z Kniahinią, z kniazem?! Żyją aby?!

Na dole trzaskają drzwi i łomoczą po schodach buty:

- ...tutaj, tutaj nieście! Na książęce pokoje...

- Ach, nieszczęście, co za nieszczęście!

- Doktora! Natychmiast śłać po doktora!

- Tam jeszcze ranni leżą. Ci zbuntowani chłopci. Co z nimi?

- No, prawda... podobijać ich?

- Jak rozkażecie, wasza...

- Do oficyny, wszystkich do oficyny! Niech tam się służba tymi durniami zajmie!

Wyznaczcie ludzi, którzy ich poprzenoszą...

- Taaaest, wasza...

- Junkier Ananicz! Natychmiast jedźcie do miasta po doktora!

- Taaa...

- Nie trzeba aż do miasta! - poznałam po głosie ojca Grigorija. - Tuż obok jest dom

profesora Leńskiego! Powinien tam teraz być! Leński jest doktorem! Znakomitym, doświadczonym doktorem!

- Starszy junkier Ananicz! Drogę do domu profesora Leńskiego znacie?

- Nijak nie, wasza...

- Stangret książęcy! Sieńka zna!

- Odszukajcie stangreta, bierzcie kolaskę - i po profesora Leńskiego! Duchem! I bez lekarza mi nie wracać! Choćby spod ziemi...

- Taaaest! Choćby spod ziemi!

- Wykonać!

Tupot butów po stopniach. Trzaskają drzwi wyjściowe.

- Akulino? Jak się czujesz?

Nawet nie spostrzegłam, kiedy do pokoju wszedł kochany mąż i stanął obok.

- Chwała Bogu, Fied'ka! Co z nimi?! Kniahini? Szałwa Timurazowicz?

Spochmurniał mój Fiodor. Usiadł na kanapie. Ciężko, bezwładnie - jakby nogi odmówiły mu nagle posłuszeństwa. Odwrócił się. Bał się spojrzeć mi w oczy.

- Niedobrze z nimi. Oddychają wprawdzie, Bogu dziękować. Ja... wybacz mi, jeżeli zdołasz się na to zdobyć. Raszel... ona mi rozkazała. Nie mogłem okazać nieposłuszeństwa. Wiedziałem, że ona się podwójnie spała - za siebie i za mnie! - ale nie mogłem inaczej postąpić! Ona kocha kniazia. Poświęciła samą siebie, żeby tylko jego wyciągnąć...

- I wyciągnęła?

- Nie wiem, Akulinko. Sama by się przeciążyła. I razem - też wątpię. Ja dałbym sobie radę, ale Raszela by się nie wykaraskała. Na szczęście Tamara zdążyła. Druc opowiadał, chciał ją wziąć w chrześniaki. Zamierzał się do nas dostać, kiedy sięgaliśmy po nasze Prawo - ale nie wyszło. Jego ku nam wyciągnęło, a ona *tam* została. Sama; po to, żeby płonąć. I coś się w niej wypaliło. Albo przeciwnie... coś się zapaliło. Dziewczyna widzi, czego inni nie widzą, finty w locie chwyta...

- Bez chrzestnego, bez chrześniaka?! Przecież to niemożliwe!

- A jednak możliwe. Pomogła nam, bardzo nam pomogła. Bez niej Kniahini by już Bogu ducha oddała i kniaź by rozum stracił, żaden Powrotny Korowód nic by tu nie pomógł. A tak... Nie wiem. Może kniaź się ocknie. A może nie. A z Rachelą kiepsko. Boję się, że długo nie pociągnie! Ech, gdybyśmy teraz byli przy sile! Dalibyśmy radę... i ją, i jego...

Wierzę, Fied'ka. To nawet nie kwestia wiary - ja wiem. Dalibyśmy radę. Siły u nas tyle, że przez krawędź się przelewa, starczy dla wszystkich! A jeżeli nawet nie dla wszystkich, to dla tych dwojga z pewnością. Szkoda, że ta siła jest zamknięta i nie ma ujścia. I kamyczki, które zostały w szkatułce, nie na wiele się zdadzą. Nie wystarczy ich, połkniemy je jednym kęsem. Tylko je daremnie popalimy...

- Chodźmy, Fied'ka. Zobaczmy, co z nimi.

Oparłam się o mężowskie ramię. Ból w brzuchu ustąpił, za to w głowie mam istną karuzelę. Zwarłam zęby, nic to, mogę iść. Niedaleko trzeba, pokoje kniazia i Kniahini są tuż obok.

- A wiesz, to Druc nas wszystkich uratował... - odezwał się ni z tego, ni z owego Fied'ka, gdy znaleźliśmy się na progu. - Calvadosa na śmierć zagonił. Wpadł jak pocisk do szkoły, i omal nie pobił podoficera dyżurnego. W jednej chwili wszystkich poderwał na nogi - i tutaj. Gdyby nie on...

No proszę, co się okazało! Przedwcześnie cię, Romie marnotrawny, i źle osądziliśmy. Choć właściwie nie za bardzo był czas na myślenie... złe czy dobre.

- ...teraz siedzi na ganku. Niedobrze mu, okropnie go łamie. Kiedy z Kniahinią Cyklopa wytańcowywaliśmy, jego też zahaczyło. Samym brzeżkiem. No nic, on się jakoś wygrzebie, ale Raszela...

Krew z twarzy już zmyli, ranę opatrzyli i teraz Kniahini cichutko leżała w łóżku. Wyprostowana i blada, niczym wielka kukła. Albo nieboszczka w kostnicy. Tyle że do tej pory jeszcze się trzymała - ledwo zauważalnie drgały jej rzęsy i od czasu do czasu coś tam ochryple bulgotało w jej piersi.

Nad Kniahinią pochylał się maleńki Azjata (widziałam go na uczelni, uczy junkrów bić się. Żółty, przysadzisty i niewysoki człowieczek ze skupieniem dźgał ciało leżącej bez czucia Kniahini palcami podobnymi do akacjowych sęków; tu naciśnie, tam przytrzyma chwilę - i puści, zaraz w drugim miejscu naciskając. Z wysiłku pot mu wystąpił na czoło - jakby nie stał w bezruchu i tylko poruszał rękami, ale dźwigał ciężkie bierwiona, i to nie pierwszą już godzinę.

Na nas krępy Azjata nie zwracał uwagi; nawet się nie odwrócił, gdy weszliśmy. A mnie, kiedy dotykał palcem Kniahini, nagle się wydało, że to dotknięcie ogieniek rozpała. Ciepły taki, żółciutki jak kurczaczek - i od tego ogienka nitczkami do wnętrza ciała ciepło się sączy. Jeżeli to światło wewnątrz zapali tajne świeczki - ożyje Kniahini i będzie taka, jak przedtem... Może to być. Szkoda, że światło nie chce płonąć darmo - dlatego spocił się przysadzisty nauczyciel, jakby bierwiona grube pół dnia już przetaczał.

Popatrzyliśmy i wyszliśmy cichutko, żeby nie przeszkadzać. Ej, gdybyśmy z Fiedieńką byli na siłach - migiem byśmy Kniahinię z tamtego świata ściągnęli, i od razu by do siebie wróciła.

Wokół leżącego bez czucia pułkownika krzżeli się dwaj junkrzy i mateczka Choreszan. Chłopaki opatrywali rany Szałwy Timurazowicza, a mateczka z zapłakaną twarzą (po raz pierwszy zobaczyłam łzy w oczach tej starej wrony) usiłowała wlać kniaziowi do ust jakiś gorący wywar. Ciałem Cyklopa od czasu do czasu targały drgawki jak w ataku febry, napój po raz kolejny się rozlewał, ale mateczka Choreszan uporczywie powtarzała swoje próby. Nie można było się zorientować: powiodła się próba wytańczenia pułkownika z żandarmerskiego szaleństwa czy nie?

Tu też nie mieliśmy niczego do roboty i niespiesznie wróciliśmy do jadalni. W drzwiach niemal wpadliśmy na księżniczkę Tamarę.

Była blada bardziej niż zwykle, oczy miała pełne niewypowiedzianego bólu - ale trzymała się w garści i nie płakała! Przed tą kruchą twierdzą uciekło w przestraszu nawet szaleństwo.

- Wejdźcie - powiedziała po prostu. - Wszyscy inni już się zebraли.

Weszliśmy.

W jadalni już na nas czekali. Druc - wyczerpany, blady, brudny jak sam diabeł, ale żywy! i ojciec Grigorij.

- Tamaro Szałwowna, może nie trzeba przy wszystkich? - niepewnym głosem odezwał się kapłan, podczas gdy Fied'ka pomagał mi usadowić się na kanapie. Oj, żeby się tylko nie zaczęło teraz, przy ludziach!

- Trzeba, ojcie Grigoriju... przy wszystkich. Gdy tylko rotmistrz wręczył mi to pismo, gdy tylko dotknęłam papieru, zrozumiałam - trzeba. To list do papy. Ja wiem, że obcych listów nie należy... Błagam Boga, żeby papie i Elzie nic się nie stało, żeby z tego wyszli, ale teraz... Wydaje mi się, że ten list trzeba niezwłocznie przeczytać. Tak czuję. O, już go nawet otworzyłam...

Księżniczka umilkła na chwilę, rozwijając szeleszczący papier opatrzony w rogu zmyślnym węzłem.

Cichy głos:

„Drogi mój Szalwo!

Gdy będziesz czytał to pismo, ja zdążę chyba wrócić do mojej posiadłości pod Wiszerą,

gdzie wieczorami będę się nudzić, wypijając o jedną lampkę „jerońficzka” za wiele, i po raz setny przerzucać piątą stronę „Don Quichote’a”, poza którą nigdy nie zdołałem przebrnąć.

Moją prośbę o dymisję przyjęto szybko i niezwłocznie - żeby nie powiedzieć - z nadmierną skwapliwością, która bardziej przystoi przy pozbywaniu się nauczyciela łaciny w prowincjonalnym gimnazjum niż przy dymisjonowaniu generała Dorf-Kapcewicza, szefa J.I.W. wydzielonego korpusu śledczych „Barbarzyńca”.

Myślę zresztą, że tak jest lepiej.

Nadciągają nowe czasy, pod wieloma względami zrodzone z naszych wysiłków, o których, drogi Szałwo, wiesz nie mniej niż ja. Wspólnymi i szlachetnymi działaniami wytyczyliśmy doskonałą drogę, szeroki i wygodny trakt, a społeczeństwo się zebrało, by po tym trakcie ruszyć w nowym kierunku. Zaczyna się marsz ku świetlanej przyszłości, któremu towarzyszyć będą radosne okrzyki, pieśni i podrzucanie czapek w górę. Jeżeli jeszcze tego nie wiesz, to spieszę cię powiadomić, że w pięciu europejskich krajach przyjęto ustawy, wedle których „eteryczne działania” same w sobie nie będą uznawane za przestępcze, o ile nie wykorzystywano ich do działań przeciwko prawu. Już niedługo strony gazety zapełnią reklamy seansów spirytystycznych, a wirujące stoliki trafią do powszechnej sprzedaży i nie musimy obaw zgadywać, drogi Szałwo, co potem nastąpi.

Zwyciężyliśmy.

Wkrótce już w ogóle przestaniemy być potrzebni.

Pyrrusowe zwycięstwo.

Nasz Najwyższy Synod lada dzień podejmie odpowiednią decyzję, na mocy której - być może - zlikwiduje się funkcje ober-starców jako niepotrzebne, a poprawki do Kodeksu Karnego przygotowano jeszcze w poprzednim miesiącu. Z dobrze poinformowanych źródeł docierają do mnie wiadomości, że z Departamentu Nadzoru w najbliższym czasie do kancelarii tych guberni, w których znajdują się nasze śledcze uczelnie, zostaną rozesłane tajne okólniki: trzeba będzie przekazać do ich dyspozycji większość naszych niejawnych współpracowników. Nie trzeba się chyba domyślać, w jakim celu i do czego będą wykorzystani. Właśnie ta wiadomość przyspieszyła moją decyzję o rezygnacji z państwowej służby, co też zrobiłem w siedmiodniowym terminie.

Przypuszczam, że zdołasz urwać jakiś tydzień albo dwa na to, żeby mnie odwiedzić w moim majątku, gdzie dwaj starzy „Barbarzyńcy”, zagryzając długie wąsiska oddadzą się wspomnieniom, a mamy chyba o czym porozmawiać, drogi Szałwo; my, którzy jako jedyni spośród uczestników Spisku Skazanych zostaliśmy wśród żywych i przy zdrowych zmysłach. Pod koniec października mam nadzieje...”

- Kchmmm...kchm!

Od drzwi. Tamara wzdrygnęła się u umilkła w pół słowa. W drzwiach stał rotmistrz Kowalew.

## NOTATKI NA MARGINESIE

*Rotmistrz Kowalew ma oczy regulaminowe, przydziałowe. Każde - prawe i lewe też - ma numer inwentarzowy. Po śmierci takie oczy przekazuje się do magazynu; przydadzą się jeszcze młodszym kolegom. W rzeczy samej nie doszukujcie się w tym niczego złego; to mądre, uczciwe i jak najbardziej na miejscu. Tyle że... możecie w nie zaglądać albo nie, jawnie ujmując rotmistrza za policzki, albo podkradźmy się po cichu - tak czy owak tam, w regulaminowych oczach ujrzycie: ...wylącznie pustkę.*

*No i dobrze.*

- Zechciejcie mi wybaczyć, Tamaro Szałwowna. Z pewnością nie w porę... Ale mam sprawę wagi państwowej. Pilną i dotyczącą wszystkich obecnych w tym pomieszczeniu, z wyjątkiem - raz jeszcze proszę o wybaczenie! - pani, Tamaro Szałwowna. Mam szczerą nadzieję, że pani ojcu, a także jego małżonce szybko się polepszy. Posiałem już po profesora Leńskiego. Może pani też nie wątpić, że buntownicy, którzy ośmielili się zaatakować waszą posiadłość, zostaną ukarani z całą surowością prawa. Ale teraz... Zechciejcie wybaczyć, ale muszę się rozmówić z tymi ludźmi w cztery oczy.

- Niechże się pan nie trudzi wyjaśnieniami, rotmistrzu. Wychodzę - i zwróciwszy się do pozostałych, księżniczka dodała: - Doczytam później, dobrze?

Boże, przecież ona się boi! Po prostu boi się zostać sama, boi się, że jej niedawno odzyskany rozum nie wytrzyma kolejnego wstrząsu, że znów runie w czarną otchłań szaleństwa. Dobrze to powiedział Fied'ka... coś w niej się wypaliło albo coś rozgorzało. A ten tępak rotmistrz...

Tamara przeszła obok żandarma, który skwapliwie usunął się na bok i wyszła z komnaty, starannie zamykając za sobą drzwi. Rotmistrz odczekał chwilę, wsłuchując się w odgłos lekkich kroków księżniczki, oddalający się wzdłuż korytarza.

- Mam honor oznajmić wam, panowie i pani, że jestem jednym z czterech oficerów naszej szkoły - cała uprzejmość znikła z jego głosu, który stał się teraz suchy i oficjalny. - Dziś

rankiem otrzymano pilną depeszę. Była skierowana na ręce pana pułkownika, ale ze względu na znane wam okoliczności, a także z powodu pilności terminu, o czym powiadomił nas kurier, przed dziesięcioma minutami uznałem za dopuszczalne i konieczne rozerwanie koperty i zaznajomienie się z jej zawartością. Depesza ta bezpośrednio dotyczy wszystkich zebranych w tym pomieszczeniu. Pozwolę sobie ją odczytać:

## **DEPESZA**

Charków, Zaulek Kotlarewski 6,

Jego Czujność Książę Gandieri Komendant charkowskiej szkoły śledczej J.I.W.  
Wielkiego Księcia Nikołaja Nikołajewicza.

Po otrzymaniu niniejszego poleca się niezwłocznie przypisanych szkole niejawnym współpracowników przekazać do dyspozycji Departamentu Nadzoru celem zaznajomienia z nietradycyjnymi metodami szkolenia. Z polecenia Jego Świątobliwości In-okientija, arcybiskupa slobodzko-ukraińskiego, wymienionym wyżej niejawnym współpracownikom powinien towarzyszyć episkopalny ober-starzec, o. Grigorij.

Z rozkazu

Jego Nieskazitelnosci Gubernatora

Kniazia Oboleńskiego

A.F. Szarawarski

Urzędnik do spraw specjalnych.

- ...akurat! Nigdzie nie pojedę, choćby i sto depesz przyszło, czy to od gubernatora, czy od samego czarta łysego! Oj, mamó, co to?! Boli. Aaa! Ależ boli! Aaaaa!!!

Boże mój!

Uwaga! Rodzę!

- ...Pan profesor! Chwała Bogu! W samą porę! Mamy tu...

## **STAWKA POD KARTĄ ALBO ZAPISKI ŚLEPEGO CYKLOPA**

*Teraz stały się one, a nie dawno,*

*I przed dzisiejszym dniem nic o nich nie słyszałeś,*

*Abyś nie powiedział: Ja o nich wiedziałem.*

*Ty o tym ani nie słyszałeś, ani nie wiedziałeś,  
Ani też ucho twoje nie było dawniej otwarte...*

*Księga Izajasza*

*(dwa i pół wiersza wytarte)*

...sam się sobie dziwię. Po cóż usiadłem do tych zapisków, niczym gimnazjalistka, której po bluzeczką dopiero zaczynają pączkować piersi? Czemu nie piszę w rodzinnym języku, którym mówili ojcowie i dziadowie? Możliwe, że w tajemnicy przed samym sobą hołubię skrytą myśi i nadzieję: kiedyś' ktoś' przeczyta te myśli. I co wtedy? Przeczyta, obojętnie wrzuci ramionami albo rzuci na stryszek, gdzie będą się pokrywały kurzem. A może od razu ciśnie je w ogień.

Albo jeszcze gorzej. Trafi ten zeszyt w ręce, na przykład, zawodowego pismaka, redakcyjnego szczura - a ten natychmiast się rzuci do jego publikacji! I od siebie też co nieco szczerze dorzuci...

Gdy tylko coś takiego przyjdzie ci do głowy - pióro same z palców się wysuwa. Ciężko na sercu i chłodem duszę przejmuje. Ale mężczyźni z rodu Gandieri zawsze doprowadzali sprawy do końca; a te zapiski nie będą wyjątkiem. Tyle tylko, że moje skryte pragnienie, iżby ten zeszyt ktoś' kiedyś przejrzał, wydaje mi się dziwnym i niegodnym tytułu książęcego i pułkownikowskiej rangi.

- Niestety, ostatnimi czasy często dostrzegam u siebie sporo dziwnego i niegodnego...

*(Półtorej stronicy wymazane)*

...nigdy. Nie zabawiałem się też wierszami ani epigramami - choć za czasów mojej młodości grzech ten był dość powszechny wśród moich rówieśników. Zdarzało się to nawet wśród junkrów; niechby i bardzo rzadko, ze zrozumiałych przyczyn. Chociaż... te przyczyny stały się zrozumiałe dla mnie dopiero teraz, w wiele lat później. Wtedy uważałem wszelkiego rodzaju twórczość literacką za szczeniackie popisy i nigdy nie czułem potrzeby, żeby się tym zajmować. Kiedy z polecenia ojca, kniazia Timuraza uczyłem się strof nieśmiertelnego Szoty z Rustawi, dostrzegałem wprawdzie mistrzostwo rytmiki i brzmienia, piękno stylu i podziwiałem - jak się tego po mnie spodziewano! - mistrzostwo poety, ale nie czułem wrzuseń ani uniesień, jakich zewnętrzne objawy wielokrotnie obserwowałem u innych. Tym bardziej dziwna wydaje mi się chęć sięgnięcia po pióro akurat teraz, kiedy zaczynam szósty krzyżyk.

*(Dwa akapity wymazane)*

...do muzyki albo działalności scenicznej; także i do malarstwa. Nie będę ukrywał, że



niektóre melodie i utwory wydawały mi się bardzo miłe dla ucha - ale nic więcej. A burzliwych i gromadnych zachwyty publiczności, kiedy w finale opery cała sala wstawała i wybuchła wrzawa owacji - w ogóle nie podzielałem i nie rozumiałem.

Ucząc się pod kierunkiem domowych nauczycieli najbardziej ukochałem historię wojen i gimnastykę. Co prawda słowo „kochałem” jest tu nie na miejscu. Powiedzmy tak: wolałem te przedmioty od innych; zajmowałem się nimi bez nudy czy niechęci. Nauczyciele pozostałych dyscyplin też mnie chwalili, ponieważ lenistwo i nieprzykładanie się do nauki uważałem za rzecz mnie niegodną, ale powtarzam: nie byłem nimi szczerze zainteresowany.

Najwyraźniej te właśnie moje skłonności i cechy charakteru zostały dostrzeżone przez odpowiednich ludzi i w wieku lat jedenastu, za zgodą ojca zostałem skierowany do zamkniętego, elitarnego Korpusu Kadetów, a po jego ukończeniu wysłano mnie do tyfiliskiej szkoły śledczej jako junkra-podchorążego.

Obecnie już wiem, że zupełnie nie dziecięcy rozsądek (*wymazane pół wiersza*)... wstrzeźliwość w okazywaniu uczuć i zrównoważony charakter, a także obojętność na to, co ogólnie nazywane jest „sztuką”, są jednymi z oznak (innych, jestem pewien, nie znam do dziś), wedle których przedstawiciele tajnej komisji Departamentu Nadzoru znajdują przyszłych śledczych i „łapsów”. Takich, których od urodzenia cechuje niewielka wrażliwość na działania eteryczne. Nie inaczej, moi państwo, właśnie NIEWIELKA wrażliwość. Ponieważ ta wrażliwość, chociaż osłabiona, istniała w Szałwie Gandieri i w innych kadetach, a później w junkrach. Którą to wrażliwość dokładnie z nas wymazano...

*(cztery i pół wiersza starannie wytarte).*

...dyscyplina - o ile mi wiadomo - o cały rząd bardziej surowa niż ta, która panuje w innych wojskowych, a nawet gwardyjskich uczelniach. I jeżeli z początku wychowawcy zmuszeni są uciekać się do stosowania rozmaitych kar, w tym i cielesnych, to pod koniec cyklu taka konieczność zanika w ogóle, pomimo młodego wieku przyszłych „Barbarzyńców”. Oczywiście, trafiają się osobnicy regularnie zamykani w karczerze nawet przed samym końcem nauki i promocją - trzeba też przyznać, że autor niniejszego do nich należał. A jednak, jak to się później okazywało, właśnie z tych nieposkromionych junkrów, którzy najczęściej łamali regulaminy, wyrastali najlepsi „niuchacze”, do których również należał wasz pokorny sługa, a także burzyciele porządku, na przekór wszystkiemu umiejący zdążać do celu (i do których także mam wszelkie podstawy się zaliczać).

Wszystko to działo się wbrew temu, że w Korpusie Kadetów i w szkole wpajano nam rezerwę i powściągliwość we wszystkim: w myślach, postępkach i emocjach. Przyszły „Barbarzyńca” (*wymazane pół linijki*)...pozwolić sobie co najwyżej na skąpy uśmiezek

kącikami ust. *(wymazany wiersz)*... nawet w obliczu śmierci nie wolno mu tracić zimnej krwi i powściągliwości. I tak byliśmy dzień za dniem, rok za rokiem, poddawani nieustannie skrytym sprawdzianom, egzaminom i próbom, nieświadomi nawet istnienia niektórych z nich.

Tak wycinano w nas resztki mocnych emocji, które mogłyby się stać naszą słabością, poddając nas wpływowi „działań eterycznych”. Przyszłych „Barbarzyńców” stopniowo zakuwano w żelazny pancerz zimnej krwi i niezachwianej wiary w siebie oraz w słuszność sprawy, której mieliśmy bronić. (Właśnie ta pewność swojej racji oddała nam tak złą przysługę). Ale ostatni nit w zbroję przyszłych „Barbarzyńców”, ostatnią sprzączkę niewidzialnego pancerza wbiło i dopięło Najwyższe Rozporządzenie, nadające wczorajszym junkrom podchorążym pierwszy stopień oficerski.

„Wszedł w Prawo” - powiedziałby o takim mag.

I miałby rację.

Teraz już byliśmy w pełni uzbrojeni i zakuci w zbroję. Wszystko, co nie mieściło się pod stalowym pancerzem niewzruszoności, bezlitośnie zostało wycięte lancetem chirurga-wychowawcy. Amputowane. No, tak mi się przynajmniej wydawało.

Razem z promocją oficerską odsłonił się przede mną brzeżek drugiej strony medalu.

Okazało się, że i my mamy swoją słabą stronę. „Zbroja” - to obrona, ale i przekleństwo. Każde prawdziwie silne uczucie, które u zwykłego człowieka budzi niepowstrzymany śmiech, zmusza go do płaczu, każe mu wpadać w szal lub histerię - przebiwszy się przez pancerz śledczego, pozbawia go rozumu.

Za wszystko trzeba płacić.

Widziałem, jak to się dzieje.

Dwukrotnie.

A często słyszałem też od kolegów, czytałem o tym w raportach, meldunkach, i znajdowałem w archiwach.

Mnie też zgotowano taki los.

*(Wymazano trzy i część czwartego akapitu)*

...od pewnego czasu nazywam psychiczną kastracją.

Czy nie za wysoka to cena za nieczułość na działania eteryczne? Jest nią przecież perspektywa wcześniejszej albo późniejszej wariacji i zakończenia życia pod postacią „warzywa” w domu opieki, prywatnym lub rządowym, jakich wiele otwiera Departament Nadzoru. I coraz silniejsze poczucie psychicznej ułomności, pojawiające się w miarę upływu czasu. Ale i to nie wszystko... nawet to nie jest najgorsze.

Nasze dzieci!

Istnieje wielka szansa, że będą się rodzić... (*wymazane pół wiersza*), albo po prostu szalone. Czy nie jest to kara boża? Być może karze On dzieci za to, iż ich ojcowie wystąpili przeciwko Jego woli? Piszący te słowa nie ma na myśli „działań eterycznych”

- określanie czy są herezją, czy nie, należy do Świętego Synodu. Chodzi mi o coś innego; o pozbawianie siebie samych wrodzonych nam zdolności do śmiechu i płaczu, do miłości i nienawiści! może właśnie nasze dzieci płacą za tę samowolę?

My z Niną nie mieliśmy szczęścia. Nasza córka... (*wymazane dwie linijki*).

(*Wymazana połowa akapitu*)... „Maltański Krzyż”, inaczej „Spisek Skazanych”. Kiedy zebraliśmy się po raz pierwszy, było nas siedmiu. Wszyscy doświadczeni „niuchacze”, wszyscy oficerowie, najstarszym rangą był podpułkownik znany obecnie jako... (*wymazana linijka*). Wszyscy mieli... powiedzmy to tak - problemy ze spadkobiercami. I wszyscy (co okazało się później) mieli w dokumentach zapiski o naruszaniu dyscypliny. Byliśmy zbyt ciekawi, samowolni i przejawialiśmy inicjatywę. Może w tym tkwiła przyczyna?

Och, padały słuszne i wielkie słowa! Obowiązek wobec Ojczyzny, dobro Państwa, padały skargi na tradycyjne sposoby działań nie przynoszące pożądanych rezultatów, mówiono o tym, że przestępczość z użyciem „działań eterycznych”, chociaż nie wzrasta katastrofalnie, ale i wcale nie maleje; o tym, że krótkowzroczność przełożonych zmusza nas do zastosowania nadzwyczajnych środków. Wszystko to było zresztą prawdą. Rzeczywiście tak myśleliśmy i wierzyliśmy w wypowiedziane przez nas słowa.

Ale w głębi duszy - albo jeśli wola, zakutego w pancerz Prawa rozumu - każdy z nas myślał o czym innym, do czego bał się przyznać nawet samemu sobie.

Skończywszy ze społecznością magów, chcieliśmy potajemnie skończyć i ze sobą.

Z takimi jak my.

Nie mówię o samobójstwie, które jest postępkiem przeciwnym społeczeństwu, naturze i niewybaczalnym grzechem przeciwko Bogu. Mam na myśli odstawienie precz lekarstwa, które nie będzie już potrzebne po wyleczeniu chorego; broni, którą się odkłada w czasie pokoju; brak potrzeby istnienia śledczych żandarmów, wobec wytopienia przestępczych magów.

I będą nasze dzieci żyć... (*wymazane pół linijki*)...nie, będą się rodzić... (*zamazane trzy słowa*)... Boże, myśmy rzeczywiście mieli nadzieję na zwycięstwo i honorowe zejście ze sceny.

Jacyż byliśmy naiwni...

*(wymazana połowa akapitu)*

...na zebranie niezbędnych materiałów. Jeszcze dwa lata, na przygotowanie końcowych wywodów. Równolegle przez cały ten czas trwało badanie fenomenu tak zwanych „żywiolowych niuchaczy” - najczęściej rozmaitych „stukniętych”, „błogosławionych” i „dzieci bożych” - którzy bez odpowiedniego przygotowania potrafią częściowo wychwytywać obecność i kierunek działania cudzego „eteru”. Następnie mój przyjaciel *(wymazane)* zaczął obstawać przy konieczności skierowania oficjalnego raportu do Rady Państwa. Przekazanie tegoż raportu stało się przyczyną niełaski, a następnie przeniesienia Szałwy Gandieriego, w tym czasie już podpułkownika, do Mordwińska. Niemożliwość prowadzenia działalności zgodnie z prawem zapędziła Spiskowców w ślepy zaułek; i uderzając w mur, zniszczyliśmy go.

Litery Prawa naruszyły Prawo.

Wiedzieliśmy, na co się decydujemy - ja też wiedziałem. Działając ze szlachetnych pobudek - tak jak je rozumieliśmy - jednocześnie musieliśmy naruszyć wszelkie zasady, jakie wpajano nam w ciągu lat nauki i służby. Czyż trzeba szukać mocniejszych wrażeń, emocji, wybuchów uczuć, wewnętrznych rozterek - które groziły zbuntowanym „Barbarzyńcom” popadnięciem w szaleństwo? Nawet i teraz w moich zapiskach można znaleźć zbyt wiele wykrzykników i znaków zapytania... Wykrzykniki to zguba rozsądku!

Działaliśmy, tłumiąc opory własnych zbroi, które żyły odrębnymi życiami, żądając praworządności, bez reszty praworządności i tylko praworządności. A jednocześnie we wszystkim, cośmy robili, usiłowaliśmy się chronić wewnątrz tych pancerzy... Litery Prawa deptały Prawo dla zachowania Ducha Prawa, tak jak owego Ducha pojmwaliśmy; kasta pękła, a Litery nie zdzierżyły i pokryły się czernidłem.

Kostroma, pułkownik Poczetykin.

Sewastopol, rotmistrz Ziemlianiczkin.

Charków, pułkownik Kurawlew.

Tyfilis, generał Szamil Abutalibow.

I już niedługo - dwór w Małyginie, pułkownik Gandieri.

*(wymazane poda dwa akapity)*

...czuję, że się zbliża.

Wytrzymałem wojnę z samym sobą. Ja, jeden z głównych spiskowców, święcie wierzyłem w szlachetność naszych zamierzeń, a ilekroć spojrzałem na moją nieszczęsną, szaloną córkę, jej widok utwierdzał mnie w przekonaniu, że postępujemy słusznie. Moja zbroja okazała się bardziej giętka niż u innych, ale i w niej znalazła się szczelina.

*(wymazane pół wiersza)*

...kocham cię.

Kocham cię, Raszel. Proszę: powiedziałem, napisałem, nakreśliłem, spierając się z własną ręką, która zdecydowanie nie chciała wywieść tych słów - i zrobiło mi się źlej. Tak pewnie ludzie wariują. Najpierw robi się źlej, potem jeszcze źlej, potem pancierz opada na ziemię niczym martwa powłoczka, żeby uwolnić miękkie wnętrze, które wylewa się na zewnątrz, aby zginąć. Raszel, moja Kniahini, to się zaczęło dawno, kilka lat po śmierci Niny - ożeniłem się, żeby zadowolić ojca; kochałem swoją żonę, a raczej sądziłem, że ją kocham, tak jak tylko może i powinien kochać książę Candieri, oficer żandarmerii! Raszel, ja przecież nie wiedziałem, jak to jest naprawdę...

Pojmałem cię na balu w Henningu. Zabawne! - brzmi to jak w Biblii! „Pojmałem cię!”. Szedłem ku tobie, czując lekki, ledwo zauważalny niepokój. Przypisałem go wtedy satysfakcji myśliwego, który nareszcie wyszedł na długo tropionego zwierza. Pod wieloma względami było to zresztą prawdą. A gdy następnego dnia ten huzar Chotyński przysłał mi wyzwanie na pojedynek - pierwszym moim pragnieniem było podejść do mety i wsadzić mu kulę w leb! Żeby został znak - Dzwonka! Zamiast tego wezwałem Chotyńskiego do kancelarii żandarmerii Henningu, rzuciłem mu na stół teczkę z twoimi aktami i po pięciu minutach nasz dzielny huzar wycofał wyzwanie. O ile sobie przypominam, musiał potem zastrzelić dwóch czy trzech zabijaków, którzy zarzucili mu tchórzostwo.

Przesłuchiwałem cię dłużej, niż to było potrzebne.

Nie chciałem się z tobą rozstawać?

Czy przypadkowo pojechałem właśnie do Mordwińska? Przekładkowo tam właśnie skierowałem na zesłanie właśnie ciebie? Przekładkowo wybrałem na obiekt moich... *(wymazane dwa słowa)*...poszukiwań właśnie Dzwonkową Damę? Przekładkiem odszukałem cię w Sewastopolu?

Jeżeli już wtedy była to miłość, to miłość szalona i bezrozumna. Nie potrafiąca rozpoznać pod brzemieniem pancierza siebie samej. Znajdująca rozkosz w obustronnych męczarniach. Dzisiaj, kiedy o tym myślę...*(wymazane do końca akapitu)*.

Wtedy w Mordwińsku, w kostnicy, nawet nie zauważyłem twojego towarzysza; w Sewastopolu poczułem do niego sympatię, nie bardzo wiedząc, co jest jej przyczyną. Myśle, że wtedy w Fiodorze zobaczyłem ciebie. Teraz podoba mi się on coraz bardziej... ponieważ to ciebie, Raszelo, w nim coraz więcej.

Ja przecież widzę... choć nie wiem, jak to się dzieje. Lepiej, iżbym nie wiedział. Lepiej,

żeby nikt nie wiedział! Spisek Skazanych naruszył równowagę, trucizna stała się lekarstwem, pozostając trucizną; a teraz na powierzchnię zbełtanej wody wypływa coś nowego; coś, czego bać się należy znacznie bardziej niż dowolnych „działań eterycznych”.

Wiem coś innego. Tracę rozum.

Dzień po dniu i godzina po godzinie.

Boże, któryś świat ten stworzył, każdy kamień w nim ułożył,

Daj mi żyć miłości pełnią, daj mi wypić ją do dna!

Daj mi żądzę żyć płomieniem, choć do śmierci łkać pragnieniem,

Brzemię serca z wdzięcznym pieniem zanieść dumnie w inny świat...

Dziękuję... *(wymazane pół linijki)*... Raszel, ja... *(wymazane wszystko do końca strony)*...

Fiodor umilkł. Przysiadłszy na brzegu łóżka, spojrzał na Kniahinę. Powieki kobiety było mocno zamknięte, a w kącikach oczu błyszczały...

Nie, wydało mu się.

Kniahini jest nieprzytomna.

- Raszel... on prosił, żeby ci to przeczytać. Przeczytałem...

Przy oknie, zwrócony do Fiodora plecami stał ojciec Grigorij. I pewnie dobrze, że stał plecami, ponieważ twarz kapłana przypominała w tej chwili oblicze debila albo świętego.

Strapczy Gosza-Żywczyk, Czerwienna Dziesiątka, po raz drugi w ciągu jednego dnia posłużył za pośrednika. Kniahini, przytomna czy nie, usłyszała wszystko, co powinna była usłyszeć.

Podniszczony zeszyt legi cicho na stoliku obok łóżka.

**KSIĘGA PIĄTA**  
**(niedokończona)**  
**I WTEDY POWIEDZIAŁEM: OTO IDEĘ...**

*Krąg Pierwszy*

**KORZENIE PAJĘCZYNY**

*- Niechaj Piekło pochłonie wszystkie czarodziejskie sztuczki!*

*Opera „Cymeryjczyk zachwycony 2”*

*Aria Conana Akwilońskiego*

**DOBÓR KART**

- Tamaro Szalwowna! Pozwoli pani, że wejdę?

Księżniczka siedziała w ojcowskim gabinecie, ze starego nawyku usadowiwszy się z nogami na krześle. Obite miękką, czarną skórą ogromne krzesło przywodziło na myśl brzuch wieloryba, który połknął upartego proroka Jonasza i patrzący miał ochotę szepnąć cichutko: „Wody sięgnęło mi aż po gardło, ogarnęło mnie topielisko”. Tamara rzadko zaglądała do gabinetu, ojciec nie lubił obecności innych, nawet najbliższych, którzy wdzierali się do jego samotni; teraz jednak księżniczce wydawało się, że jeżeli będzie siedziała w ojcowskim gabinecie, w jego ulubionym krześle i za jego ulubionym biurkiem, to z ojcem obowiązkowo wszystko się jakoś ułoży.

Obowiązkowo.

- To wy, ojcie Grigoriju? Tak, oczywiście, niech ojciec wejdzie... Wicie, zewsząd mnie wygonili...

Było to prawdą. Z sypialni rodzącej wygnał Tamarę profesor Leński. Stwierdził, że poradzi sobie doskonale z pomocą akuszerki, mateczki Choreszan i kucharki Oksany, a zresztą podobny widok wcale nie jest przeznaczony dla oczu młodzietkich panienek. Wiedząc, że profesor ma rację, księżniczka nawet się nie obraziła.

Po prostu wycofała się do gabinetu.

- Tamaro Szalwowna! Wybaczcie, że przeszkadzam... Ale widziałem dzisiaj, jak wy... no, rozumie pani przecież, o czym mówię!

Księżniczka się odwróciła.

Zobaczyła.

I zachłysnęła się nieco spóźnionym zrozumieniem.

- Ojcie Grigoriju! Wy też?! Przecież jesteście kapłanem!?

- Jam jest pasterz niegodny... - uśmiechnął się smutno zagadnięty. - Tak, moja córko, ja też. Czego nie mogę powiedzieć o was - do tej pory nie mogę zrozumieć. Druc opowiedział mi o was i o waszej prośbie... o wszystkim. Mówiąc dokładniej, o tym, co jest mu wiadome.

Księżniczka przechyliła się nad masywnym podłokietnikiem i spojrzała na kapłana. Wokół ojca Grigorija, obok niego i za nim, był cień. Niewielki, znacznie mniejszy niż u Jefrema Iwanowicza albo Fied'ki. Ale był. Jego wielkość nie miała dużego znaczenia. Jak u wszystkich, był podobny do swojego właściciela i jednocześnie przypominał zupełnie innego... człowieka?

Małego, łyskiego jak kolano, w kusym surduciku, o kpiącej i smutnej jednocześnie minie, z nochałem jak śliwka...

Księżniczka знаła tego człowieka?

- Rozumiecie, ojcie Grigoriju, ja *lam* po prostu spłonęłam. Zupełnie i do cna. Czekałam, wierzyłam - i spłonęłam. I to chyba wszystko.

Kapłan podszedł bliżej. Wąską, chłodną dłonią dotknął ramienia księżniczki.

- Nie wiem, Tamaro Szalwowna. Spłonąć - czyli stać się ogniem. A czymże jest ogień? Możliwością brania cudzego i czynienia go swoim? Czynienia - sobą? Jeżeli tak... ja przecież was obserwowałam na dziedzińcu i nie mogłam się zdecydować, czy się was bać, czy wami zachwycać? Wy niczego nie kopiujecie, ponieważ na ogniu niczego się nie da odcisnąć, wy bierzecie i...

- Pożeram? To chcieliście powiedzieć, mój ojcie?

- Nie. Chciałem rzec co innego. Jeżeli w istocie żyjemy z procentów, dzieląc część na części; jeżeli faktycznie powtarzamy się jedni w drugich, nie tworząc niczego nowego i tylko w nieskończoność przeżywamy stare, jak starucha miętoszająca bezzębnymi dźwiękami skórki chleba...

Księżniczka czekała.

- Jeżeli tak jest w istocie i wśród nas nie ma uczniów i nauczycieli, to wy jesteście pierwszym prawdziwym uczniem, jaki pojawił się od wielu lat. Jesteście wcielonym ogniem



Ugody. My jesteśmy tylko niemi w budzie jarmarku tego świata, wy jesteście mistrzem marionetek. Na razie jeszcze niedoświadczonym, nie znającym swoich możliwości, ale my umiemy tylko powtarzać ruchy, a wy uczycie się pociągać za sznurki, a kiedy się nauczycie, nie będą wam potrzebni chrześniacy, karciane kolory i cały ten tani blichtr, który wymyśliliśmy dla samych siebie, żeby ukryć prawdę - a tą jest stwierdzenie, że nie jesteśmy nawet kukłami. Jesteśmy tylko niemi, strunami pękniętej gitary... Niechże cię Bóg pobłogosławi, moje dziecko!

Ojciec Grigorij odwrócił się.

Nie udało mu się ukryć łez. Cień stał za jego plecami, obok niego, wokół, a oczy cienia - maleńkiego, łysego jak kolano, w kusym surduciku - podejrzenie błyszcząły.

...zostawiwszy księżniczkę samą w gabinecie, ojciec Grigorij zatrzymał się przy oknie korytarza. Oparł się o parapet. Przez pewien czas przyglądał się, jak z gałęzi drzew opada niechętnie na ziemię żółto czerwony wrzesień. Przy ogrodzeniu jak milowe słupy stali młodzi junkrowie. „Pilnują” - przyszła pozbawiona sensu myśl, ponieważ Gosza-Żywczyk doskonale wiedział, że wcale nie pilnują, a przeciwnie, osłaniają i ochraniają.

Jakże inaczej, taki skarb! Niewielu ich zostało, prawdziwych konwentowych magów, a takich jak tutaj, na książęcym dworku, chyba nigdzie już nie znajdziesz. I teraz, jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z przewidywaniami dymisjonowanego generała Dorfa-Kapcewicza, jak nakazano w gubernatorskiej depeszy i jak to sobie umyślił chytry cwirkuniecki sołtys, który okazał się nie głupszy od generałów i gubernatorów... Jeżeli wszystko pójdzie dokładnie tak...

Ojciec Grigorij nie czuł się dobrze. Przeciwnie, czuł się bardzo źle. Najświętszy Synod, Watykan, islamscy ajatollahowie i mułlowie, a nawet ci mądrze, abrahamiccy rabini - wszyscy oni wkrótce poprą takie poczynania. Oznajmią, że są miłe Bogu, usankcjonują, a resztę zostawią władzy świeckiej. Pokusa okaże się za wielka. A to będzie początkiem końca. Oczywiście, proces uwiadu będzie długi i z początku nikt niczego nie zauważy...

Ojciec Grigorij otarł czoło, które nagle pokryło mu się potem. Przykro to mówić, ale pułkownik Gandieri wyśmiewający pismaków i ich teorię „wampirycznego związku” pomiędzy magiem i jego chrześniakiem, nie pojął do końca charakteru tej więzi. Podczas ostatniej doby omówiono wiele ważnych spraw - ale istota sprawy została nietknięta.

Ileż czasu potrzeba, żeby z petnego zapалу uczniaka zrobić dociekliwego studenta, potem pewnego siebie magistra, doktora, a dalej mądrego, pełnego zrozumienia profesora, którego słuchają kolejne pokolenia studentów? A jeżeli naukę zamieni się Ugodą? Kalką z nauczyciela, która nałoży się na ucznia?

Co wtedy?

Wtedy cała energia, którą poświęcono by na niespełniony proces nauczania, przypadnie

w udziale magowi-chrzeszczemu; żeby wykorzystał ją wedle własnego uznania. Żeby ją rozchodził na własne finty albo mówiąc oficjalnie, na „działania eteryczne”. Im mniej zdolny uczeń, tym większą ilość energii, którą trzeba by było stracić na naukę takiego cymbała, może wykorzystać na swoje potrzeby konwentowy mag. Oto jest powód, dla którego na chrześniaków bierze się kompletnych tumanów; człowiek utalentowany szybko sięga po Prawo i tylko część chrzeszczego w nim się odciska, w sumie wyuczony wedle Ugody i magiem staje się mizernym i nauczyciel niewiele ma z niego pożytku.

On sam, ojciec Grigorij, może być klasycznym przykładem ilustracji tej tezy.

Inny przykład siedzi w gabinecie z podwiniętymi pod siebie nogami. Skoro z nią wyszło - to da się może ponownie ożywić dawną sztukę? Co prawda, trudno sobie wyobrazić głupsze przypuszczenie, niż to, że wszystko zależy od jednej dziewczyny.

...wcześniej nie słyszał krzyków rodzącej, a teraz przegapił ciszę. Ale zaraz cisza się skończyła:

- Bliźniaki! Fiodorze Fiedorowiczu! Dziewczynki!

- Absolutnie zdrowe dzieci. Aż dziw bierze, że tak wcześnie... Gratuluję, z całego serca gratuluję! Chwałą Bogu, wszystko skończyło się pomyślnie!

- Ogromne dzięki, panie profesorze!

- Pokażcie je matce...

- A czy z nią wszystko w porządku?

- Niech się pan pozbędzie obaw, kochaneczku. Poważniejszych uszkodzeń łona nie ma, krwawienie już ustaje. W sumie poród był bardzo udany! Jeszcze raz gratuluję... otwiera się przed wami zupełnie nowe życie!

Ojciec Grigorij się wzdrygnął, żeby to profesor wiedział, co mówi! O tak, przed noworodkami w całej swojej okazałości staje Jego Wysokość Wybór. Wystarczy się zgodzić, przecierpieć krótki ból - swój pomnożony przez ból dzieci, które za kilka lat nawet we snach nie będą pamiętały tej chwili - i wszystko stanie się piękne! Atuty Bez Kolorów będą miały dość sił, żeby wytaszczyć kniazia i Kniahinię z każdej przepaści! I - co nie najmniej ważne - pomogą i uratują samych siebie! Kilka chwil bólu - i życie! Moc! Długie życie i wielka Moc! A dzieci wyrosną na odrobinę tylko słabszych magów od swoich rodziców!

I tak będzie przez długi czas - za długi, żeby przejmować się konsekwencjami.

Wybacz mi Boże bunt i herezję, ale czy nie jest tak, że całe nasze życie - kraje, ludzie, miasta, morza i lasy, ponad trzy wieki, które nad nami przeszły - wszystko to tylko sen, złudzenie? Kara i jednocześnie próba? Próba zesłana przez ciebie, Boże, na tego, który w tym śnie widzi się Duchem Prawa? Może ta noc poprzedzająca zawarcie pierwszej Ugody trwa

nadal i nadal płonie ogień pierwszej na świecie Ugody, a przez te wszystkie lata, które wchłonęła w siebie ta noc, pewien człowiek przygląda się dziełu swoich rąk? Czy Atuty Bez Koloru nie są drugą szansą? Szansą zawrócenia wiatru na jego właściwe szlaki? Jeżeli oboje odmówią, jeżeli pokonają wielką pokusę, nie zawierając nowej Ugody - grzech zostanie odkupiony? Noc się skończy? Wzjędzie świt? Świat potoczy się nowymi drogami, na których nie będzie miejsca dla przeklętej Ugody? A miraż naszych dni rozwieje się i ustąpi jak dym, jak poranna mgła ustępuje przed promieniami słońca.

Być może. I wtedy nas wszystkich nie będzie. Albo staniemy się inni. W nowym, prawdziwym życiu być może nawet nigdy się nie spotkamy...

Jest i trzecia możliwość. Wszystko już się stało; co było, to było, nie w ludzkiej mocy zmieniać przyszłość. Tak, z laski nieba Duch Prawa otrzymał drugą szansę. Ta jego część, która zamknięta jest w tych dwojgu. Dokonać ponownego wyboru. Przecież nam wszystkim bez wyjątku proponowano rozerwanie pajęczyny, ale żaden z nas na to nie poszedł! I błędny krąg trwał lata, dziesiątki lat, całe wieki. A jeżeli tych dwoje na koniec go rozerwą - runie Ugoda niczym wieża Babel, na zawsze zgaśnie jej tajemny ogień, Duch Prawa odnajdzie nareszcie spokój, ale nasze życie stanie się po prostu naszym życiem i popłynie dalej.

...ale może stać się i coś najgorszego. To, o czym nie chce się nawet myśleć: tych dwoje poświęcą siebie i najbliższych sobie ludzi, zrezygnują z Ugody, spalą się... i nic się nie zmieni!

Nic, nic, nic!!!

Ofiary, śmierci, udręki wyboru - wszystko daremne! Jak przedtem będzie zapalany ogień Ugody, jak przedtem będą w nim płonąć pozbawieni wszelkich talentów uczniowie wspólnie z głupimi nauczycielami - od tej pory nie tylko magowie, ale i lekarze, szewcy, kowale, poeci, muzycy, Boży pasterze...

Nie pozwól, Panie, by się to ziściło!

Odsuń od nas ten kielich!

Przechodzący korytarzem rotmistrz Kowalew zatrzymał się i spojrzał z niedowierzaniem:

- Ojczy Grigoriju? Co wam jest? Źle się czujecie?! Kapłan milczał, zapatrzony w spadający na ziemię wrzesień.

## **I. DWOJE ALBO BLOTKI I ATUTY**

*A ci, którzy płaczą, jakby nie płakali;  
A ci którzy się weselą, jakby się nie weselili,  
A ci, którzy kupują, jakby nic nie posiadali;  
A ci, którzy używają tego świata, jakby go nie używali;  
Przemija bowiem kształt tego świata.*

*Pierwszy list św. Pawła do Koryntian*

- ...no co? - Fiodor podniósł wzrok na żonę. – Podjęliśmy decyzję?

I zobaczył, że Akulina znalazła w sobie dość sił, by kiwnąć głową.

Wiele, wiele lat później, w posłowiu do cieszącego się skandaliczną wprost popularnością zbiorku wierszy: „Korzenie pajęczyny” pewien „Jednodniowy idole”, jak niesprawiedliwie nazwą go krytycy, napisze:

„Wybór, to chyba jedyna rzecz czy sprawa, której nie da się podzielić z kimkolwiek z żyjących. Co prawda, niekiedy mi się wydaje, że nie jest to prawdą...”

Krytycy nigdy się nie dowiedzą, że autor „Korzeni pajęczyny” odłożywszy na bok pióro, widział sypialnię dla gości, w podobnym do wzburzonego mrowiska dworku w Małyginie, widział dwie niedawno urodzone dziewczynki, śpiące tak, jak mogą spać tylko dzieci liczące sobie zaledwie trzy godziny życia, widział wyczerpaną porodem kobietę w pogniecionej pościeli, wysokiego, krzepkiego mężczyznę obok niej i zawieszoną na ścianie litografię Diirera - nadzy Adam i Ewa patrzą uważnie na jabłko w paszczy węża kusiciela, gotowi wziąć zakazany owoc albo cofnąć ręce; i pięść w jego piersi powoli się rozwiera, niechętnie chrzęszcząc stawami.

## *Spis treści*

KSIĘGA TRZECIA A GRZECH MÓJ ZAWSZE PRZEDE MNA	3
Krąg Pierwszy MIRAŻE CHARKOWSKIEJ JESIENI	3
Krąg Drugi DOWIEM SIĘ KIEDYŚ, PO CO BYŁAM*	59
Krąg Trzeci PRAWA NIE SPIJANO DLA DURNIÓW	106
KSIĘGA CZWARTA ODDAJ IM WEDLE TEGO, CO ZDZIAŁALI	158
Krąg Pierwszy WITAJCIE, LETNICY WITAJCIE, LETNICZKI	158
Krąg Drugi NOC DNIA SĄDU	205
Krąg Trzeci NA KRĘGI JWOJE**	255
X. ALEKSANDRA-AKULINA ALBO O PIĘĆ MINUT WCZEŚNIEJ	295
KSIĘGA PIĄTA (niedokończona) I WTEDY POWIEDZIAŁEM: OTO IDE	311
Krąg Pierwszy KORZENIE PAJĘCZYNY	311